

MARC ELSBERG



Marc Elsberg

HELISA

Oni nas zastąpią

Przekład Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



Spis treści

Dedykacja

Dzień pierwszy

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

Dzień drugi

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Dzień trzeci

47

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[Dzień czwarty](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[Dzień piąty](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[86](#)

[87](#)

[88](#)

[89](#)

[90](#)

[91](#)

[92](#)

[93](#)

[94](#)

[95](#)

[96](#)

[97](#)

[98](#)

[Dzień szósty](#)

[99](#)

[100](#)

[101](#)

[102](#)

[103](#)

[104](#)

[105](#)

[106](#)

[107](#)

[108](#)

[109](#)

[110](#)

[111](#)

[112](#)

[113](#)

[114](#)

[115](#)

[116](#)

[117](#)

[118](#)

[Dzień siódmy](#)

[119](#)

[120](#)

[121](#)

[122](#)

[123](#)

[124](#)

Dzień ósmy

125

126

127

128

129

Dzień dziewiąty. I później

130

131

132

133

Epilog

Posłowie i podziękowania

Przypisy

Jak zawsze – dla Ursuli

Dzień pierwszy

1

Na scenie wypełnionej po brzegi sali hotelowej stał już tylko pulpit dla mówcy, a sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych leżał nieruchomo obok. Słuchacze z pierwszych rzędów natychmiast zerwali się z krzeseł, za ich przykładem poszła reszta. Kilku mężczyzn w garniturach rzuciło się w kierunku podium, ubrani na czarno faceci z ochrony osobistej ruszyli tuż za nimi, inni, pochylając się, osłaniali własnymi ciałami kilkoro z pozostałych obecnych. Jessica Roberts rozpoznała ze swojego dalekiego miejsca niemiecką kanclerz, a także premierów Wielkiej Brytanii i Francji. Nie słyszała strzału. Ale tłum nie myśli. Każdy robi to co osoba z przodu albo sąsiad i zaraża następnych. Teraz wszyscy cisnęli się do wyjścia. Ona natomiast przedzierała się pod prąd w kierunku podium. Aby uniknąć stratowania, uciekła między pustoszejące rzędy krzeseł i nie zważając na wąską spódnicę i buty na szpilkach, przechodziła przez siedzenia. Z głośników rozległ się męski głos wzywający po angielsku:

– Bardzo proszę zachować spokój!

Nikt nie słuchał apelu. Ale dzięki temu szeregi foteli prawie opustoszały i tylko kilka zdezorientowanych osób stało tu i ówdzie, rozglądając się bezradnie. Nieduża grupka ludzi w ciemnych garniturach o różnych odcieniach zasłaniała ciało sekretarza stanu. Muskularny członek obstawy zastąpił Jessice drogę.

– Stop!

– Proszę mnie przepuścić! – zażądała po angielsku. – Jestem współpracownicą sekretarza.

Wskazała na swój identyfikator.

*Dr. Jessica Roberts
Staff of the US National Security Advisor
msc Munich Security Conference
Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa*

– Sorry Ma'am.

– Pana obowiązkiem jest ratowanie życia! – krzyknęła. – A robi pan akurat coś odwrotnego! Ten człowiek tam umiera! – Co prawda nie była tego pewna, ale gdy w oczach olbrzyma z ochrony dostrzegła cień wahania, wykorzystała to i precyzyjnie się obok jego potężnego ramienia. Wielkie i atletyczne typy, na

szczęście wolno myślące.

Jeden z mężczyzn grzebał przy krawacie sekretarza, inny nieporadnie obmacywał mu nadgarstek. Szukał pulsu. Jessica odepchnęła obu. Ani śladu krwi. Przyczyna musiała być inna. Energicznym ruchem rozluźniła krawat i wyciągnęła go z kołnierzyka. Rozpięła dwa górne guziki koszuli i próbowała wyczuć puls w tętnicy na szyi. Potem pochyliła się nad zastygłymi ustami, aby sprawdzić oddech.

Brak oddechu. Brak pulsu.

Niewiele myśląc, przyłożyła dłonie do klatki piersiowej sekretarza i ucisnęła ją, napierając całym swoim ciężarem. I dwa! I trzy! Solidnie! Niemal łamiąc żebra. Utrzymywała równe tempo. Na kursie pierwszej pomocy odbytym jeszcze w harcerstwie dobre dwadzieścia lat temu nauczyła się wykonywać masaż serca i serię oddechów. Na szkoleniu przed rokiem dowiedziała się jednak, że najnowsza metoda przewiduje wyłącznie masaż serca, ponieważ mocne poruszanie klatką piersiową tak czy inaczej umożliwia dostarczenie wystarczającej ilości tlenu do płuc.

Nie miała pojęcia, ile razy jak w transie powtórzyła ucisk, gdy czyjś głos tuż obok powiedział coś po niemiecku, a potem ktoś delikatnie, ale zdecydowanie chwycił ją za ramiona i odciągnął do tyłu. Młody mężczyzna w czerwonej kurtce z maską tlenową w rękach przyklęknął obok sekretarza. Inny już wyjmował elektrody defibrylatora.

Lekarka sprawdziła źrenice, oddech, puls. Wydała krótkie polecenie sanitariuszom. Jeden założył sekretarzowi maskę tlenową na twarz, drugi rozerwał koszulę – guziki pofrunęły we wszystkie strony. Skóra na bladym torsie sekretarza mimo intensywnych treningów miejscami zdradzała oznaki zwiotczenia spowodowanego wiekiem. Ratownik przyłożył elektrody po obu stronach klatki piersiowej. Lekarka skinęła głową. Jessica wzdrygnęła się, widząc, jak pod wpływem wstrząsu elektrycznego bezwładne ciało raptownie się wygięło. Kobieta odczekała chwilę, po czym po niemiecku znowu wydała polecenie. Tułów sekretarza po raz kolejny uniósł się nad podłogą. Jessicę przeszył dreszcz.

Środkowym przejściem biegło dwóch kolejnych sanitariuszy z noszami na kółkach. We czterech przełożyli na nie pacjenta. Kredowobiała twarz pod maską, zmierzwione, wilgotne od potu włosy, koszula w strzępach, bezkrwiste ciało, przekręcone spodnie z dużą mokrą plamą w kroczu – w takim wydaniu panów świata oglądano co najwyżej na zdjęciach z wojny. Jeżeli należeli do pokonanych.

Jessica rozejrzała się szybko po sali – była już prawie pusta. Nie zauważyła ani jednego dziennikarza, nawet na górze, na galerii, skąd mieli doskonałą

perspektywę do strzelania fotek. Grzbiet jej lewej dłoni i kłęb prawego kciuka pulsowały. Nosze na aluminiowym stelażu na kółkach ruszyły otoczone wianuszkami sanitariuszy z lekarką, członków obstawy, ratowników medycznych, a na koniec dołączyła do nich także Jessica. Na podium pozostała niewielka grupka osób, które wciąż osłupiałe patrzyły za oddalającą się kolumną. Ktoś, kto zdjął marynarkę i rzucił ją na podłogę, podniósł ją teraz, otrzepał i włożył z powrotem. Poprawił sobie krawat, przeczesał włosy palcami.

Sanitariusz od defibrylatora ponownie przyłożył elektrody. Impuls elektryczny targnął bezwładnym ciałem tak mocno, że Jessica złękła się, iż sekretarz spadnie z noszy. Lekarka pochyliła się nad nim, nie zwalniając tempa masażu serca. W hotelowym foyer ochroniarze zdecydowanymi ruchami torowali sobie drogę przez tłum, wydając krótkie, stanowcze polecenia. Dyplomaci z osobami towarzyszącymi odsuwali się z przerażeniem pod ściany, aby ich przepuścić. Ludzie z obstawy nie pozwalali dziennikarzom robić zdjęć ani filmować. Jessica nie mogła nadażyć za resztą. Wyciągała szyję, aby zobaczyć więcej.

– Co z nim?! – krzyknęła do lekarki, która nawet nie podniosła wzroku. Może nie znała angielskiego.

Przed hotelem stał ambulans. Sanitariusze wsunęli nosze przez otwarte tylne drzwi. Za plecami Jessiki zgromadzili się pozostali członkowie delegacji i inni uczestnicy konferencji. Kątem oka widziała, że funkcjonariusze ochrony nie pozwalają podejść bliżej nikomu postronnemu. Kiedy zaś spróbowała wsiąść do karetki, lekarka natychmiast ją zatrzymała.

– Nie wolno pani z nim jechać – wyjaśniła płynnie po angielsku.

– Dokąd go zabieracie?

– Do kliniki uniwersyteckiej.

– To jest sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych.

– Wiem. – Lekarka zerknęła na plakietkę Jessiki. – Zrobimy wszystko, co konieczne i co w naszej mocy. Zajmą się nim najlepsi specjaliści.

Podczas gdy jeden z sanitariuszy w ambulansie natychmiast podjął masaż serca, lekarka energicznie zasunęła drzwi. Policyjny radiowóz włączył syrenę i ruszył z kopyta pierwszy, a za nim karetka z obracającym się sygnałem świetlnym. Kolumnę zamykał jeszcze jeden samochód policji, również na sygnale i z uruchomionym kogutem na dachu.

Gdy auta zniknęły za najbliższym rogiem, raptem żebra Jessiki niczym żelazne szpony ścisnęły jej płuca. Ogarnięta przerażeniem walczyła ze stalowym uchwytem, nie mogąc zaczerpnąć powietrza.

„Uspokój się! W sytuacjach krytycznych trzeba zachowywać się dokładnie

odwrotnie do tego, co nakazuje instynkt!”.

Zamiast próbować złapać oddech, z gwałtownym zachłyśnięciem wydyszała resztkę powietrza. Żebra rozluźniły się, a po głębokim wdechu płuca wypełniły się upragnionym tlenem. Tylko bez paniki! Już jest dobrze.

Po chwili zdała sobie sprawę, że w kostiumie i w szpilkach stoi na mrozie w śniegu, który cienką warstwą przykrył monachijski pasaż dla pieszych. Z nieba spadały pojedyncze białe płatki, jakby rozsypały się komuś tam, w górze.

Andwele, kierowca Jegora, zjechał land cruiserem z piaszczystej drogi w boczną ulicę, która właściwie nie zasługiwała na to określenie. Każdy wybój i dziurę w nawierzchni Jegor odczuwał w krzyżu jak bolesne uderzenie młotka, a jego ramię nieustannie obijało się o drzwi.

W radiu spiker paplał coś po angielsku z ciężkim tanzańskim akcentem. Jegor nie słuchał go. Obojętnie przesuwiał wzrokiem po prymitywnych parterowych domkach wzdłuż trasy, o kolorach wypłowiałych od słońca i deszczu, z popękany i łupiący się tynkiem, nakrytych blachą albo postrzępionymi liśćmi palmowymi. Niektóre nie były otynkowane, mimo że cegła wyglądała na dosyć starą. Od frontu stały w cieniu koślawe stoliki z owocami albo warzywami, a za nimi siedziała jedna kobieta albo nawet dwie. Od czasu do czasu wyłaniał się jakiś warsztat, przed którym kilku mężczyzn czekało w kucki na piasku, lub kramik, od którego człapała powoli matka z trójką małych dzieci, dźwigając dwie wypchane foliowe torby i wzbijając przy każdym kroku niedużą chmurę kurzu. Jegor mieszkał w Afryce od dwunastu lat, od sześciu w Tanzanii. Uważał, że na tym kontynencie wszystko, co zostało stworzone ręką człowieka, wyglądało albo na niedokończone, albo na zrujnowane.

Andwele ominął jakąś wyrwę, nie zmniejszając prędkości. Jegor zacisnął mocniej palce na uchwycie nad drzwiami. Dzieci w obszarpanych swetrach, krótkich spodenkach i bez butów machały do niego z uśmiechem. Domów było coraz mniej, za oknami zaczęły przeważać pola kukurydziane, maniokowe i inne, przeplatane dzikim gąszczem, niekiedy otoczone palmami. W oddali w bezchmurne niebo strzelał szeroki słup dymu – pewnie ktoś wypalał ziemię.

Na wysokości nędznego poletka kukurydzy Andwele skręcił na sam skraj drogi i zatrzymał krzywo samochód. Obaj mężczyźni wyszli z auta w ziemisto-słodkawy żar i podeszli do brzegu pola. A właściwie do tego, co z niego zostało. Zmarniałe, na wpół zeschnięte rośliny miały gęsto podziurawione albo postrzępione liście. Jegor przyjrzał się dokładnie kilku z nich, odgiął liście okrywające nędzną kolbę kukurydzy. W środku aż roiło się od małych gąsienic.

– *Armyworm* – bąknął pod nosem.

Jakby nie dość było ostatniej suszy. W niektóre lata *Spodoptera exempta* niszczyła do trzydziestu procent zbiorów kukurydzy na obszarach zaatakowanych przez zarazę. Część regionu Pwani na zachód od Dar es Salaam w tym roku ucierpiała szczególnie. Mimo ciągłego nadzoru, profilaktyki, kopania rowów

i intensywnego stosowania pestycydów ani władze, ani sami chłopcy nie byli w stanie zapobiec katastrofie. Gdy gąsienice spustoszyły jedno pole, całymi zastępami ciągnęły na następne. Stąd ich nazwa – *african armyworms*.

Jegor rzucił liście na ziemię i wrócił do samochodu. Kukurydza to jeden z podstawowych produktów żywnościowych na Ziemi, ważny również tutaj, w Tanzanii. Zaatakowanie upraw przez *Spodoptera exempta* albo inne szkodniki zwykle oznaczało dla rolnika ruinę, a dla regionu klęskę głodową.

– I tak jest prawie wszędzie – powiedział Andwele ze swoim śpiewnym akcentem, uruchamiając silnik. – W tym roku jest wyjątkowo tragicznie. Prawie wszędzie. Poza jedną wsią. Ludzie nadali jej już nazwę: Cud.

Po dwudziestu kilometrach jazdy po nieopisanych wertepach oraz niezliczonych wybojach i dziurach Andwele odbił na szeroki pas dzielący drogę od rozrzuconych tu i ówdzie domków i zahamował tak gwałtownie, że cały samochód zniknął w tumanie kurzu.

– Z fasonem – wymamrotał Jegor pod nosem.

– Jesteśmy na miejscu! – Andwele wyskoczył z wozu, obszedł go dookoła i otworzył drzwi pasażera.

– Niech cię... – Jegor miał ochotę zakląć, gdy do wnętrza auta wdarła się chmura pyłu. W końcu tylko westchnął ciężko i wygramolił się na zewnątrz. Zmrużywszy oczy, starał się jak najszybciej wydostać z gorącego obłoku, który powoli osiadał na wszystkim.

Spod daszka okrytego wysuszonymi liśćmi palmowymi mierzyła go wzrokiem wymizerowana kobieta. Była ubrana w sprany T-shirt, niegdyś kolorową spódnicę i japonki. Z ciemności za nią wyglądało dwoje zaciekawionych dzieciaków o umazanych buziach. W drzwiach stał oparty o framugę jakiś małolat.

– To jest właśnie Najuma Mneney! – Andwele przedstawił gospodynię, która wciąż przyglądała się Jegorowi nieufnie.

Kierowca zaczął trajkotać z kobietą w suahili, z którego Jegor nadal rozumiał tylko pojedyncze słowa. Dopiero teraz dostrzegł maczetę w ręce małolata. Po cichu zwrócił na to uwagę Andwelemu, ale na nim ten detal nie zrobił większego wrażenia.

– To na złodziei – wyjaśnił. – Nietrudno się domyślić, że cudowne rośliny są bardzo pożądane. – Po czym niewzruszenie pertraktował dalej z kobietą.

Jej spojrzenie wędrowało nieustannie między nimi dwoma. W końcu ruszyła się spod daszka i dała im znak ręką, aby poszli za nią. Miała sztywny chód ciężko harujących ludzi. Obejrawszy się przez ramię, Jegor zobaczył, że chłopak

z maczetą został na swoim posterunku, ale wciąż czujnie ich obserwował. Za domem znajdował się nieduży rozpadający się taras ze zniszczonymi plastikowymi krzesłami i koślawym drewnianym stolikiem pod postrzępionym dachem z liści palmowych. Obok dwie skrzynki kukurydzy czekały na przetworzenie albo sprzedaż. Najuma wyjęła jedną kolbę i podała gościowi. Żółtą, dużą, jędrną, zdrową. Jegor z uznaniem kiwnął do niej głową, na co ona uśmiechnęła się nieśmiało.

Zaraz za tarasem zaczynał się jej ogród. Albo pole, w zależności od punktu widzenia. Dla tanzańskiego drobnego chłopca już nawet spłachetek ziemi wielkości przeciętnego przydomowego ogródka oznaczał bardzo dużo.

Kobieta wyjaśniała Andwelemu, a on od razu tłumaczył:

– Ona uprawia tutaj mniej więcej dwa tysiące metrów kwadratowych.

Kobieta wskazała granice swojego pola kilkoma szybkimi gestami rąk.

„Trzydzieści metrów szerokości – ocenił Jegor. – Czyli musi ciągnąć się niecałe siedemdziesiąt metrów na długość i pewnie kończy się za ogrodem warzywnym i tamtymi wyższymi od człowieka łodygami kukurydzy”.

Między gęstymi rzędami sięgających do bioder krzaków pomidorów i papryki obsypanych na wpół dojrzałymi owocami Najuma prowadziła ich do kukurydzy. Soczyscie zielona i ciasno posadzona, sięgała na ponad dwa metry. Jeszcze nigdy Jegor nie widział w tej okolicy tak dorodnych okazów tej rośliny. Najuma znowu coś powiedziała, jej ramię zakreśliło koło, ale on nie przysłuchiwał się jej słowom, tylko sprawdzał liście i kolby.

– Nie ma gąsienic, nigdzie – wyjaśnił Andwele. – W promieniu około czterech kilometrów ani jedna uprawa kukurydzy nie została zaatakowana przez szkodniki. A jeśli nawet kilka gdzieś się pojawi, to nie tykają roślin, tylko zdychają albo przenoszą się gdzie indziej. Poza tym – dodał, pokazując pierwszą z brzegu kolbę – owoce są o wiele większe niż normalnie.

Jegor w skupieniu powiódł wzrokiem po roślinie w górę i z powrotem w dół. Od początku swojej pracy w Afryce dla międzynarodowych koncernów rolniczych zajmował się badaniami i rozwojem roślin użytkowych wydajniejszych, odporniejszych, mniej wymagających i mniej podatnych na szkodniki niż ich poprzednie generacje. Kukurydza właściwie nie była specjalnością ani jego, ani jego pracodawcy, saudyjskoarabskiej spółki ArabAgric, hodującej w Afryce warzywa i zboża przeznaczone na eksport do ojczyznanego kraju. Ale informacja o niewielkiej wysepce błogosławionych pól pośrodku tragicznej zarazy i suszy ostatniego sezonu wzbudziła zainteresowanie Jegora.

– Skąd ta kobieta wzięła nasiona?

– Tak jak wszyscy drobni chłopcy tutaj – odpowiedział Andwele, spytawszy najpierw Najumę. – Wykorzystała ziarna z ubiegłorocznych zbiorów.

– A stosuje nawozy i pestycydy? Inne niż chłopcy w okolicy, których dotknęła zaraza?

Nastąpiła krótka wymiana zdań. Najuma pokręciła przecząco głową.

– Nie – oznajmił Andwele.

– Nie wiesz, czy ziemia na nieskażonym obszarze ma może inne właściwości?

– Z naszych map glebowych nic takiego nie wynika. Mimo to wzięłem próbki i zawiozłem do laboratorium – wyjaśnił Afrykanin.

– No dobrze. Może wobec tego stosuje inne nawadnianie? Te rośliny wyglądają tak, jakby susza w ogóle im nie zaszkodziła.

Padają pytania w suahili. W odpowiedzi kręcenie głową.

– A czy poza tym nie zrobiła czegoś inaczej niż zwykle?

Nie.

– Poproś Najumę o kilka liści i kolb do sprawdzenia.

Andwele wdał się znowu w rozmowę z kobietą, po czym wcisnął jej do ręki kilka pomiętych banknotów, a w zamian dostał pęk liści i naręcze kolb kukurydzy. Idąc z powrotem w stronę tarasu, oboje dyskutowali z ożywieniem, Jegor zaś szedł za nimi noga za nogą w dusznym upale, dosyć obojętnie śledząc ich coraz bardziej gorączkową wymianę zdań. Dotarłszy do tarasu, kierowca odwrócił się do Jegora.

– Sąsiedzi Najumy przypisują ten cud duchom.

No jasne. Duchy. Wszystkiemu na tym kontynencie winne są duchy, przodkowie albo czarnoksiężnicy. W gruncie rzeczy Jegor wcale nie chciał wiedzieć nic więcej, mimo wszystko spytał:

– Jakim duchom?

Nastąpiła konwersacja w suahili i w angielskim.

– Nikt nie widział ich dokładnie, tylko z daleka. Kilka miesięcy temu, w okresie kwitnienia, latały o brzasku nad polami. Teraz też jeszcze pojawiają się od czasu do czasu.

– A jak one wyglądały?

– Podobno bardzo komicznie. Jak zjawy. Większe niż perliczka czy drop olbrzymi. Ale czy ja wiem, czy ona nie bredzi? Kto by jej tam wierzył? – podsumował Andwele, lekceważąco machnąwszy ręką.

Gdy okrążali dom, Najuma nie przestawała opowiadać.

– Mówi, że brzmiały jak owady. Bzyczały, brzęczały – tłumaczył dalej

Andwele, już wyraźnie rozdrażniony. Po dojściu do samochodu wymienił z kobietą kilka grzecznościowych formułek, które zrozumiał nawet Jegor. Nie szczędząc słów i uprzejmych gestów, pożegnali chłopkę.

– Bzyczące duchy – bąknął Jegor pod nosem i kręcąc głową, otworzył drzwi auta. Już nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w jego klimatyzowanym wnętrzu.

Jessica nie znosiła zapachu szpitali, tej mieszaniny środków czystości, medykamentów i lekkiego odoru uryny. Na korytarzu od czasu do czasu pojawiały się postacie w białych kitlach. Ambasador telefonował bez przerwy, chodząc tam i z powrotem. Również do niej raz po raz ktoś dzwonił. Głównie uczestnicy konferencji, którzy ją znali i chcieli zasięgnąć informacji o zdrowiu sekretarza stanu. W końcu przestała odbierać. Wkurzała ją ta pogoń za sensacją. Poza tym i tak nie mogła powiedzieć nic ponadto, co zostało podane oficjalnie.

Ruszyła w opancerzonej limuzynie wraz z ambasadorem Stanów Zjednoczonych, szefem biura sekretarza stanu i szefem ochrony całej delegacji dziesięć minut po odjeździe ambulansu i dotarła do kliniki niedługo po nim. Starszy mężczyzna w białym kitlu przywitał ją z zaszępiłą twarzą. Sekretarz jest w poważnym stanie. Ostra niewydolność serca. Znajduje się na sali operacyjnej. To było półtorej godziny temu. Od tamtej pory czekali w odizolowanej części budynku, przeznaczony do takich wypadków.

Ambasador kilkakrotnie przekazywał wydziałowi prasowemu placówki instrukcje dotyczące oficjalnego przekazu medialnego, który w gruncie rzeczy sprowadzał się do wyrażenia optymizmu oraz przygotowania na najgorsze. Stał wciąż z komórką przyklejoną do ucha, gdy w ich kierunku zbliżali się dwaj lekarze. Jessica podniosła się z krzesła. Po chwili rozpoznała, że kroczący przodem mężczyzna to ten sam, który nie tak dawno ją przywitał. Dość często widywała spojrzenie, z jakim teraz do nich szedł. Jego pokerowa twarz wyrażała to samo co pełna współczucia mina.

– Przykro mi... – powiedział po angielsku z niemieckim akcentem. – Jego serce...

Ambasador bez słowa skinął głową. Jessicę zaś ogarnęło bolesne poczucie, że zawiodła. Nie zdołała uratować Jacka.

Zwracając się do niej, lekarz kontynuował:

– ...mimo że, jak słyszałem, doskonale się pani nim zajęła.

Ona też tylko pokiwała głową. Co innego mogła zrobić?

– Trzeba będzie przeprowadzić sekcję zwłok – oznajmił szef ochrony.

Ambasador obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. Szef ochrony odszedł kilka kroków na bok i zaczął gorączkowo dzwonić.

Szef biura sekretarza stanu popatrzył najpierw na ambasadora, a potem na Jessicę.

– Oficjalna informacja o śmierci zostanie podana przez departament stanu – oznajmił ambasadorowi. – Niezwłocznie się tym zajmę.

Szef ochrony znowu do nich podszedł.

– Sekcja zwłok musi odbyć się jak najszybciej – oświadczył zdumionemu lekarzowi, jakby znajdowali się w Stanach Zjednoczonych i on tu dowodził. – Jesteśmy świadomi, że muszą w niej uczestniczyć miejscowi lekarze, ale obecni będą także nasi fachowcy. Dwaj z nich wyruszają właśnie z różnych punktów Europy. Powinni być tutaj za cztery godziny. – Spojrzał na zegarek. – Czyli około dziewiętnastej. Proszę do tej pory wszystko przygotować.

– Najpierw muszę to... – zaczął mężczyzna w białym kitlu.

– Pan ambasador wyjaśni wszystkim właściwym osobom – wszedł mu w słowo szef ochrony uprzejmie, ale stanowczo.

Jessica zauważyła, że czoło i policzki lekarza zrobiły się czerwone od tłumionej wściekłości. Mimo to milczał.

Szef biura sekretarza chwycił jego dłoń i potrząsnął nią mocno.

– Bardzo dziękujemy, panie doktorze, za to, co pan i pański zespół próbowali zrobić.

Ośłupiały starszy pan bąknął tylko:

– Nie ma za co. Proszę. To nasz zawód.

Szef biura jeszcze raz uściskał mu rękę, a następnie zwrócił się do Jessiki:

– Nasz dalszy udział w konferencji jest z oczywistych względów niemożliwy. Każę przygotować samolot. Musimy wrócić do kraju. Lou – w tym miejscu wskazał głową na szefa ochrony – zajmie się resztą.

Jim zerknął w lusterko wsteczne tesli. Dziewczyna, zatopiona w myślach, wyglądała przez okno. Miała nieduży, lekko zadarty nos, ogromne niebieskie oczy o bajecznie długich rzęsach, kształtnie sklepione czoło zwieńczone włosami w kolorze ciemnoblond i pełne usta. Można by ją uznać za wzorzec piękna wykuty przez rzeźbiarza. Jim znowu skierował wzrok na drogę. Jill ledwie skończyła piętnaście lat. Stanowiła miły dla oka widok, ale była jeszcze dzieckiem. Nawet jeśli na dziecko nie wyglądała.

W radiu ryczały reklamy. Erin na siedzeniu obok śledziła wzrokiem krajobraz. W nocy spadło trochę śniegu. Poranny ruch na obrzeżach Bostonu nie był mały, ale jeszcze dało się wytrzymać.

– Dzisiaj trasa numer cztery? – spytała Jill z tylnego siedzenia, gdy Jim skręcił na skrzyżowaniu. Bystra z niej była dziewczynka.

– Tak – odpowiedział. – Z pewnymi modyfikacjami.

– Oczywiście – rzuciła.

– Dzień dobry, minęła dziesiąta – oznajmił lektor wiadomości. – Niestety, to nie jest dobry dzień. Właśnie otrzymaliśmy informację z Białego Domu o nagłej śmierci sekretarza stanu Jacka Dunbraitha. Sekretarz stanu...

– Co to było? – spytała Jill piskliwym głosem. – Zrób głośniej!

Jim, nie kryjąc zaskoczenia, spełnił prośbę. Sam nie interesował się ani polityką, ani politykami.

– ...uczestniczył w Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, podczas której zasnął.

Jim widział w lusterku twarz małej. Przechyliła się między oba przednie siedzenia. Jej szeroko otwarte oczy wyglądały jak u lalki, a lekko rozchylone usta niemal niezauważalnie drgnęły. Lecz najbardziej zdziwił go kolor jej twarzy. Zazwyczaj bladoróżowa cera była teraz kredowobiała. Nigdy jeszcze nie widział jej w takim stanie.

– No, powiedz – szepnęła. – No powiedz wreszcie, na co umarł.

Sprawiła wrażenie śmiertelnie przerażonej. Ale o ile Jimowi było wiadomo, ani nie знаła zmarłego, ani w żaden sposób nie była z nim związana.

– Jako oficjalną przyczynę śmierci lekarze podali ostrą niewydolność serca.

Dziewczynka zamknęła oczy i opadła na oparcie siedzenia. Mięśnie w jej policzkach pracowały intensywnie. Potem mocno zagryzła wargi. Jim natomiast zmarszczył czoło i zadał sobie pytanie, dlaczego się tak bardzo przejęła.

– ...pani prezydent towarzyszy modlitwą zmarłemu i jego rodzinie.

Jill uniosła powieki. Jej twarz się zmieniła. Po chwili, zacisnąwszy usta, skupiła spojrzenie na trzymanym w dłoni smartfonie, na którym gorączkowo czegoś szukała.

Jim przystanął przed imponującym głównym wejściem do Massachusetts Institute of Technology.

– Jesteśmy – oznajmił.

Wysiadł, rozejrzył się i otworzył tylne drzwi po stronie kierowcy. Jill, nie odrywając wzroku od wyświetlacza, chwyciła wolną ręką swój plecak, zarzuciła go sobie na lewe ramię i z gracją wyszła ze zdecydowaniem za niskiego samochodu. Była niemal tego samego wzrostu co mierzący metr osiemdziesiąt pięć centymetrów Jim. Tyle że oczywiście miała znacznie lepszą figurę. To, że pozwalano jej nosić superobcisłe legginsy z sięgającą zaledwie ud cienką bluzą, uważał za nierozsądne. Ale w końcu jest jej ochroniarzem, a nie stylistą.

– Melduj się co godzina – upomniał ją. – Pamiętaj.

– Yhm – odchrząknęła. Zapanowała już nad wyrazem twarzy, ale nie nad jej kolorem. Nadal wyglądała, jakby odpłynęła z niej cała krew.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Dopiero teraz podniosła głowę i spojrzała na niego zaskoczona.

– Tak, dlaczego? – Po czym odwróciła się i ruszyła do wejścia, machając do nich po drodze. – Widzimy się po południu!

Jim wyjął swój smartfon i uaktywnił ukrytą aplikację. Na wyświetlaczu ukazał się obraz satelitarny jego lokalizacji. Wiele nakładających się na siebie czerwonych punktów powoli oddalało się od niego w stronę budynku.

5

Twarz Colina na wyświetlaczu jej smartfona miała jak zawsze za duży nos i niezdrowy kolor. Przez miniaturową słuchawkę w uchu słyszała jego głos zniekształcony przez lekki szum.

– Właśnie przeczytałem informację – powiedział. – Byłaś tam?

– Tak – potwierdziła przez mikrofon na kablu. Całą tę historię zamierzała opowiedzieć mężowi, jak już wróci do domu.

– Niefajnie – stwierdził.

Bardziej liczyła na pytanie: „Jak się czujesz?”.

– Jakoś sobie radzę – wyjaśniła.

– Jaka jest teraz procedura?

– Wracamy wcześniej. Czy dzieci są gdzieś blisko?

W Waszyngtonie minęła jedenasta przed południem. Sobota, dzień wolny od szkoły.

Colin obrócił się, widać było tylko jego ramię. Jessica usłyszała, jak woła:

– Jamie, Amy! Mama chce z wami rozmawiać!

Jej spojrzenie błędziło przez moment po holu lotniskowym zarezerwowanym wyłącznie dla pasażerów rządowej maszyny. Wraz z nią delegacja liczyła siedemnaście osób. Stali w grupkach i rozmawiali po cichu albo siedzieli w milczeniu nad swoimi komputerami. Pozostali członkowie delegacji mieli wrócić w najbliższych dniach samolotami rejsowymi.

– Cześć, mamusi! – Z twarzy córki widoczne były jedynie oczy, nos i promienny uśmiech, ponieważ przysunęła ją za blisko do kamery. – Wrócisz do domu? – zapięła Amy.

Chcąc nie chcąc, Jessica musiała się uśmiechnąć, pierwszy raz od rana. Gdzieś w pobliżu powinien być też Jamie. I rzeczywiście, zaraz pojawił się obok Amy i przycisnął czuprynę do głowy swojej młodszej siostry.

– Cześć, mamo!

– Witaj, skarbie! Niedługo będę w domu. Wylatuję za pół godziny. Tęsknię za wami!

– My za tobą też!

– Już nie możemy się doczekać, kiedy wrócisz!

– Ja też. Na razie! Kocham was!

– Szczęśliwego lotu – odezwał się jeszcze Colin gdzieś w tle.

Jessica posłała im na pożegnanie całusa i szybko się rozłączyła. Wzywano ich

na pokład. Miała nadzieję, że emocje i nerwy wywołane wydarzeniami dnia zostawi w Monachium jak bagaż, który nie jest już potrzebny.

6

Z ogromnego monitora na ścianie błyszczała para małych czarnych oczu. Mężczyzna wyglądał niczym pogodny, promienny filozof z książki z obrazkami. Pod burzą siwych loków i bujną brodą ginęła niemal cała jego głowa, włącznie z twarzą.

– ...odporna nie tylko na *armyworm*, ale też na suszę – wyjaśniał Stavros Patras z ekranu, przysuwając dwie grube kolby kukurydzy tak blisko do kamery, że wypełniły niemal cały obraz.

– Czy jest jakieś wyjaśnienie tego zjawiska? – spytała jedna z osób zgromadzonych przy długim stole konferencyjnym, nad końcem którego wisiał monitor. Był to Horst Pahlen, szef działu rozwoju w Santirze, jednym z największych koncernów chemicznych i biotechnologicznych świata. Dwadzieścia tysięcy współpracowników na wszystkich kontynentach, ponad dziesięć miliardów dolarów obrotu, główna siedziba w szwajcarskim Zug, spółka notowana na giełdach we Frankfurcie i w Nowym Jorku.

Kędzierzawa szopa na ekranie odchyliła się i pozwoliła pokazać się drugiej twarzy. Obok wyłonił się krępy facet o kwadratowej głowie, krzywym nosie, który co najmniej raz musiał zostać złamany, i krótko przystrzyżonych włosach.

– To jest Jegor Melnikow, jeden z naszych czołowych agrotechników – przedstawił go Stavros. – Od miejscowych współpracowników dostał informację o tych roślinach. Jegor, czego się dowiedziałeś?

– Chłopi mówią, że użyli do wysiewu ziaren z ubiegłorocznych zbiorów – odpowiedział Jegor Melnikow ze wschodnioeuropejskim akcentem. – Jeszcze nigdy nie widziałem w tej okolicy tak dorodnej kukurydzy. Wszędzie naokoło sieje spustoszenie *armyworm*, a susza w tym roku była najgorsza od dziesięcioleci. I pośrodku tego wszystkiego takie coś. – Wskazał na kolby w ręce Stavrosa Patrasa. – To nie jest normalne.

– Pana zdaniem to nie jest naturalne? – spytał Pahlen.

– Raczej nie – powiedział Jegor.

– Już zacząłem analizę materiału genetycznego – wtrącił Grek. – Pierwsze wyniki będą miał najwcześniej jutro.

– Dziękuję – rzekł Helge Jacobsen. – Wobec tego porozmawiamy znowu jutro o osiemnastej.

I zakończył szyfrowane połączenie.

Z szesnastu wygodnych skórzanych foteli było zajętych tylko siedem. Siedzieli na nich sam Helge, prezes zarządu koncernu Santira, Horst Pahlen, trzech inni badacze, Micah Fox, szef działu bezpieczeństwa, a także Jacques Cantini, kierownik działu współpracy międzynarodowej.

– I co wy na to? – spytał Helge zebranych.

– Trudno powiedzieć – zauważył Simon Vierli, jeden z naukowców. – Musimy zdać się na opinię tego typu.

– Ze spółką ArabAgric i tym Grekiem współpracujemy od lat – wyjaśnił Pahlen. – Nie jest to geniusz, ale można na nim polegać.

– Odporności na *armyworm* i suszę jeszcze nie mieliśmy – powiedział Yannick van der Bloem, kolejny naukowiec. – To mógłby być trzeci przypadek.

Na szczęście już wiele lat temu utworzyli ścisłą międzynarodową sieć łowców, tak zwanych scoutów. Ich zadanie polegało między innymi na poszukiwaniu nieznanymi substancji czynnych lub właściwości roślin czy zwierząt, które można by ewentualnie odtwarzać syntetycznie czy przemysłowo. Być może kiedyś pozwolą one na stworzenie cudownego proszku do prania, środka do zwalczania szkodników, lekarstwa, dodatku do produktów spożywczych, substytutu paliwa czy też nowego surowca. Ten, kto dyskretnie i odpowiednio szybko opracuje i opatentuje swoje odkrycie, może zarobić na tym krocie.

Santira powstała przed jedenastu laty przez połączenie dwóch dużych koncernów chemicznych. Jeden z nich był silniej nastawiony na typową w tym sektorze działalność, drugi od początku bardziej ukierunkowywał się na biotechnologię. W minionych latach Helge Jacobsen postawił na przyspieszony rozwój tej drugiej branży i dokonał tego. Przy czym obrał inną strategię niż lider rynku Monsanto, którego model biznesowy opierał się od dawna na opanowywaniu całego łańcucha wytwarzania żywności. Zmodyfikowana genetycznie bawełna Monsanto produkowała na przykład substancję czynną oddziałującą zabójczo na określony rodzaj szkodnika i tym samym redukowała nakłady pracy i ryzyko, zapewniając jednocześnie większe zbiory. Ale nasiona tej bawełny były oczywiście w konsekwencji droższe niż normalne. I co roku trzeba było kupować je na nowo. Tradycyjna metoda chłopów uprawiających bawełnę, polegająca na wykorzystywaniu ziaren z ostatnich zbiorów do następnego wysiewu, naruszała prawo Monsanto do nasion. Podobnie sytuacja przedstawiała się z soją, która była odporna na opracowany przez koncern środek do zwalczania chwastów. Chłopi sadzili soję i niszczyli tą trucizną wszystkie inne rośliny na polu, co istotnie upraszczało uprawę. Przynajmniej tak długo, dopóki chwasty

także się nie uodporniły. Przedsiębiorstwo zarabiało więc na sprzedaży zarówno nasion, jak i środka do zwalczania chwastów. Sezon za sezonem. Ponieważ również w tym przypadku Monsanto miał wyłączne prawo do tych produktów. Kto je naruszał, często kończył jako bankrut. Świetny model biznesowy, którego niezadeklarowanym celem było ni mniej, ni więcej, tylko opanowanie światowych łańcuchów wytwarzania żywności.

Helge natomiast nie widział w tym przyszłości, czym przez długi czas narażał się na krytykę. Obserwowany w ostatnich latach zwrot strategii Monsanto i odchodzenie od profilu potwora inżynierii genetycznej na rzecz opartego na bazie danych koncernu marketingu rolniczego zdawał się potwierdzać jego rację. Ale co na dobrą sprawę wiedziano o przyszłości?

Helge pragnął uczynić z Santiry wiodące przedsiębiorstwo przemysłu biotechnologicznego, ewentualnie nawet bioekonomicznego. Na całym świecie firmy ze wszystkich dziedzin rywalizowały ze sobą w zakresie opracowywania nowych zastosowań, surowców i materiałów tworzonych przez specjalnie w tym celu modyfikowane genetycznie mikroorganizmy, takie jak bakterie, drożdże czy grzyby – z myślą o nowych syntetykach czy paliwach, farbach, materiałach budowlanych lub przemysłowych. Miały one na przykład na trwałe zastąpić produkty oparte na ropie naftowej produktami przyjaznymi dla środowiska. Można by rzec: „od natury dla natury”. Przynajmniej taką narrację wymyśliła sobie ta nowa gałąź przemysłu.

Biotechnologia stała się główną technologią nowego tysiąclecia. W debatach publicznych, zwłaszcza w Europie, ludzie burzyli się przeciwko modyfikowanej genetycznie żywności, jednocześnie od nie wiadomo jak długiego czasu sami nosili bieliznę, która dzięki zawartym w proszkach enzymom pozyskanym ze zmienionych genetycznie organizmów stawała się czysta już w temperaturze czterdziestu, a nie sześćdziesięciu czy nawet dziewięćdziesięciu stopni; wcierali sobie w skórę kosmetyki, których substancje czynne zostały częściowo wytworzone przez również zmodyfikowane organizmy, nie mówiąc już o lekarstwach, które łykali lub wstrzykiwali, a które bez tych małych pomocników w ogóle by nie powstały.

Santira odpowiednio wcześniej ukierunkowała się na eksplorację tego rodzaju rozmaitych naturalnych materiałów z całego świata i obecnie posiadała jedno z największych archiwów w tym obszarze.

– W Brazylii i w Indiach zaczęło się identycznie – powiedział Helge i skupił się znowu na dyskusji. Na stole leżały oddzielnie raporty i zdjęcia. Pól sojowych, strąków, kóz. – Nasi łowcy przysłali nam próbki i odpowiednimi kwotami

nakłonili chłopów do milczenia. Dzięki temu te nowinki na razie nie przedostały się do opinii publicznej.

– Pierwszą informację zdobył kilka tygodni temu nasz scout w Brazylii od pracownika regionalnej organizacji pomocowej dla miejscowych *campesinos* uprawiających soję – przystąpił do wyjaśniania Horst Pahlen. – Wyhodowane przez nich rośliny były wydajniejsze i odporniejsze niż te, które są zmodyfikowane genetycznie i płyną już prawie ze wszystkich rynków Ameryki Łacińskiej jako karma dla europejskiego bydła. Do tego momentu postępowaliśmy zgodnie z tradycyjną procedurą – usprawiedliwił późną reakcję. – Sekwencjonowanie i analiza genetyczna próbek trwały do wczoraj. Gdyby nie nowe wydarzenia, być może nadal nie podniósłby się taki alarm. Cztery dni temu z Indii nadeszły sygnały o kozach, które w ogóle nie ulegały epidemii koziej grypy. A warunki zewnętrzne były identyczne: biedny region, biedni chłopci. Wcześniej nikt nie odnotował tej historii ani nigdzie o niej nie wspomniał, a nasz scout też natrafił na nią przypadkiem. Początkowo u nas w firmie nikt nie powiązał kóz z brazylijskimi strakami soi. – Powiedziawszy to, wzruszył ramionami. – W końcu zwierzęta to zupełnie inna sekcja niż soja.

– Trzeba koniecznie przebudować naszą strukturę wewnętrzną – zażądał Helge. – Coś takiego nie może się już nigdy powtórzyć. Dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj, po wynikach analizy soi.

– Te rośliny zostały zmodyfikowane genetycznie – kontynuował Pahlen. – Nie wiemy przez kogo. Ani dlaczego. Ani jak. Nie wiadomo też, jak trafiły do tamtych chłopów. Po prostu znaleźliśmy w nich geny spoza ich genomu.

– Badania nie są jeszcze zakończone – przejął głos Helge – ale wystarczyły nam już dotychczasowe ustalenia. Natychmiast wysłaliśmy na miejsce zespół, który ma dogłębnie zająć się tą sprawą. W tym samym czasie Horst dostał informację o indyjskich kozach. Ponieważ wydało mi się to dosyć osobliwe, zarządziłem przyspieszenie analiz i kazałem szukać manipulacji genami. Wynik poznaliśmy wczoraj wieczorem. Jest wielce prawdopodobne, że także kozy zostały poddane zabiegom z wykorzystaniem inżynierii genetycznej. I znowu nie wiadomo przez kogo ani w jaki sposób. Toteż wyprawiliśmy drugi zespół w świat. Teraz musimy nie tylko dokładnie zbadać te najnowsze odkrycia, ale też znaleźć sprawców. Dystrybuowane gratis udoskonalenia genetyczne stanowią zagrożenie dla naszego biznesu i dla całej branży! Na razie nie mamy wiedzy, czy w przypadku soi i kóz zostały naruszone istniejące patenty. Gdyby tak było, dałoby to przynajmniej podstawę do wstrzymania procederu.

– Jeszcze dzisiejszej nocy powołaliśmy do życia specjalną grupę roboczą,

której zadaniem jest szukanie we wszystkich działach koncernu podobnych informacji – wyjaśnił Pahlen. – Ponadto wysłaliśmy do wszystkich naszych współpracowników i partnerów krótką wiadomość zachęcającą w dobitny sposób do jeszcze większej dociekliwości i pasji odkrywczej. Dla silniejszej motywacji obiecaliśmy wysokie bonusy. Jednym z adresatów tego apelu był Stavros Patras z ArabAgric. Czyli mamy już pierwszą odpowiedź.

– Bardzo szybko – zauważył Helge. – Niepokojąco szybko. Kto będzie następny? – spytał, spoglądając na globus. Santira miała swoje laboratoria badawcze rozsiane po całym świecie. Los Angeles, Boston, Londyn, São Paulo, Bombaj, Singapur, Kobe. Z każdego z nich w każdej chwili mógł zostać wysłany zespół. Dosłownie w pole.

– Singapur – odpowiedział Pahlen.

– Okej, czekamy już wystarczająco długo.

Jim Delrose ostatni raz rzucił okiem na wyświetlacz smartfona. Skupisko migających punkcików na tle architektury budynku pozostawało bez ruchu. Zsunął okulary przeciwsłoneczne z czoła i założył na głowę czapkę z daszkiem.

– Czekaj tutaj – polecił Erin.

Na zewnątrz temperatura zbliżała się do zera. Szybkim krokiem przemierzył Massachusetts Avenue i przez lobby numer 7 wszedł do Massachusetts Institute. Idąc przez budynek o kopułowym stropie, wiódł wzrokiem po licznych studentach i gościach. Ruszył dalej przez historyczne Maclaurin Buildings, przez budynek numer 8, a następnie skierował się ku Dorrance Building i Whitaker Building o zazębiających się krzywych wieżach. Kto wymyślił coś takiego? Na szczęście on nie musiał tu studiować. Wszędzie mnóstwo młodych ludzi w swobodnych strojach, wielu chłopców z brodami, ale nigdzie nie widać ciemnoblondego ogona. Kierował się wskazówkami z wyświetlacza swojego smartfona. Korytarze Whitaker Building doprowadziły go w końcu do celu – toalety. Oczywiście damskiej. Nie było czasu na wahanie. Bez namysłu wkroczył do łazienki, na widok zbulwersowanych i głośno protestujących dziewczyn uniósł wysoko legitymację – trik stary jak świat, bo kto w takim momencie przygląda się dokładnie – wrzasnął: „Ochrona, pilna sprawa!” i szybko znalazł kabinę, którą pokazywał mu smartfon. Nie zastanawiając się wiele, pchnął drzwi potężnym ramieniem.

Na opuszczonej klapie sedesu zobaczył starannie złożoną bluzę, legginsy, T-shirt i bieliznę, poza tym buty i skarpetki, plecak, a na samym wierzchu smartfon.

Do telefonu była przyklejona żółta karteczka, a na niej nagryzmołone dwa zdania:

„Uważajcie na Gene’a! Jest potwornie niebezpieczny!”.

Kto to jest Gene? Nie znał żadnego Gene’a w jej otoczeniu. Postanowił ustalić to później. Na razie sprawdził aparat. Wyłączony. Wiadomo. Żeby nie móc jej śledzić.

– Zniknęła – powiedział do mikrofonu zamocowanego przy uchu, robiąc równocześnie kilka fotek, a potem upychając pospiesznie wszystkie manatki do

plecaka. – Ale jej rzeczy zostały.

Teraz musiał postarać się zniknąć niezauważenie, tak by nie dorwała go kampusowa policja i nie zaczęła zadawać pytań. Które wcześniej czy później się pojawią.

Podczas gdy zbierając się do odwrotu, pokazał wzburzonym kobietom plecak jako uzasadnienie swego nagłego wtargnięcia, przez mikrofon rzucił do Erin:

– Nie mogę zostać dłużej. Ty musisz mnie zastąpić.

Campus MIT ciągnął się na powierzchni ponad sześćdziesięciu ośmiu hektarów na północnym brzegu Charles River. Jim nie miał najmniejszej szansy, aby na tym gigantycznym terenie przypadkiem natrafić na swoją podopieczną. Jako były żołnierz sił specjalnych marynarki automatycznie przełączył się na tryb walki: najważniejsze to zachować zimną głowę i koncentrację, wyostrzyć zmysły. Erin nie było już w tesli. Jim zwinnie wskoczył do wozu i przejechał kilka przecnic dalej. Gdy uznał, że jest bezpieczny, zatrzymał się i rozpakował plecak, jeszcze raz dokładnie oglądając każdą rzecz. Oliwkowy T-shirt, ciemne legginsy, niebieską bluzę z kapturem, biało-niebieskie sneakersy. W duchu uznał bieliznę za dosyć wyzywającą jak na piętnastolatkę. Wszystko wydawało się w nienaruszonym stanie, nic nie wskazywało na szarpaninę i gwałtowne zrywanie ubrania z ciała. Profilaktycznie usunął miniaturowe nadajniki, które zamontowali na każdej części garderoby Jill, i wepchnął je do skrytki pod przednią szybą. To na wypadek gdyby pojawiła się policja i chciała zabrać rzeczy.

W co ona mogła być teraz ubrana? Jim zastanawiał się gorączkowo. Jeśli w ciągu najbliższych godzin się nie pojawi, zauważą to także inni. Osoby, na które on i jego zespół nie mają żadnego wpływu. Koledzy, profesorzy, znajomi z internetu. Najpóźniej wtedy padną pierwsze pytania. I wkrótce do poszukiwań przyłączą się też służby.

Rzucił ubrania na tylne siedzenie i jeszcze raz sprawdził w swoim smartfonie kalendarz Jill. Ostatnie zajęcia, w jednej z jej grup roboczych, odbywały się w Whitaker Building. Szybko przebiegł wzrokiem listę studentów. Sześć osób. Zadzwoił do pierwszej z nich.

– Dzień dobry, Jinjin, mówi Jim Delrose. Miałaś dzisiaj zajęcia razem z Jill. – Oni wszyscy znali go jako jej osobistego ochroniarza. – Czy jest może teraz z tobą?

– Nie, właśnie wracam do domu. Stało się coś?

– Nie, dziękuję. Miłego dnia.

Następny, Zhongbo. Czy na tej uczelni studiują sami Chińczycy?

On też widział Jill ostatni raz pół godziny temu w instytucie. Następna osoba.

- Cześć, Mariah.
- Cześć, Jim. Jak się miewasz?
- Dziękuję, wszystko w porządku. Czy Jill jest może z tobą?
- A nie ma jej z tobą? Wiem, że wybierała się do domu. Mówiła, że po nią przyjedziecie, jak zawsze.
- Oczywiście. Pa!

Zostały dwa nazwiska na liście. Newele.

- Jestem jeszcze w instytucie – odpowiedziała na jego pytanie. – Mam jej poszukać?
- Dzięki, nie trzeba.

Ostatnia była Amira. Nie odbierała. Jim wysłał jej esemesa: „Cześć, Amira, tu Jim Delrose, ochroniarz Jill. Czy Jill jest z tobą?”.

Kilka sekund później przyszła odpowiedź.

„Nie. Jakiś problem?”.

„Nie, nie przejmuj się”.

Fuck! Zadzwoił do Erin.

- Coś nowego?
- Nic.
- Jasna cholera! Wróć do wejścia, na wypadek gdyby jednak jeszcze się tam pojawiła.
- Musimy zameldować o jej zniknięciu.
- Jeszcze się wstrzymajmy. Może to tylko jej kolejna fanaberia.
- Nigdy dotąd nie zostawiła wszystkich swoich ciuchów i nie zniknęła bez najmniejszego śladu.

Jim zazgrzytał zębami.

- Wiem. Czy wspominała ci kiedyś o jakimś Genie?
- Nie. A kto to?

Z trudem panując nad sobą, Jim skręcił w kierunku domów kolonialnych w West Cambridge. Na skraju ulicy leżały jeszcze resztki śniegu z poprzedniego dnia. Wprawnym spojrzeniem byłego członka elitarnych sił specjalnych zeskanował całe najbliższe otoczenie. Historyczny budynek w najbardziej wykwintnej dzielnicy miasta uniwersyteckiego harmonijnie komponował się z sąsiednimi budowlami z tej samej epoki lub ich kopiami w podobnym stylu. Przed domami, o ile można było je dojrzeć zza wysokich żywopłotów lub parkanów, stały zaparkowane auta średniej klasy i luksusowe limuzyny należące do zamożnych

profesorów, menedżerów, przedsiębiorców i polityków. Ledwie otworzył drzwi samochodu, ujrzał zmierzającą ku niemu od strony domu Hannah Pierce, matkę Jill. Szczupła, zbliżająca się do czterdziestki kobieta o wysportowanej sylwetce była ubrana tylko w dżinsy i bluzę. Zdawała się nie przejmować zimnem.

– Jest w domu? – spytał.

– Nie – odpowiedziała Hannah nerwowo.

Jim stłumił przekleństwo. Próbował ją objąć, ale ona odsunęła go od siebie.

– Nie trzeba – rzuciła.

Wziął z tylnego siedzenia ubranie Jill, a także jej telefon i plecak, po czym razem z Hannah wszedł do domu. Zostawił rzeczy w holu, który według niego był urządzone równie elegancko co sterylnie, jak w magazynie poświęconym architekturze wewnątrz. Dużo bieli, antyki przeplatały się z nowoczesnymi designerskimi meblami, ogromny bukiet kwiatów. Rzucił kurtkę niedbale na wieszak, po czym, nie zdejmując butów, popędził na piętro. Hannah za nim.

Pokój Jill był pusty i jak zawsze starannie wysprzątany. Miał ponad trzydzieści metrów kwadratowych powierzchni, duże okna i taras. Po lewej znajdowało się szerokie łóżko, regały, szafki w stylu kolonialnym, pod każdym oknem po obu stronach drzwi prowadzących na taras stały ogromne nowoczesne biurka, a właściwie same blaty na nogach. Na lewym blacie znajdował się monitor, jakieś papiery, książki, coś do pisania, lampa. Biurko po prawej wyglądało podobnie, ale na nim dodatkowo stały białe tablice. Na ścianach wisały dwie duże akwarele przedstawiające pejzaże. Sprawiały wrażenie bardzo drogich, a podobno namalowała je sama Jill. Jim znał niewiele podobnie urządzonych pokoiów nastolatek. Ale w końcu ona nie była normalną nastolatką. Otworzył szafy z ubraniami.

– Brakuje czegoś? – spytał Hannah.

– Wydaje mi się, że niczego.

Jim przebiegł wzrokiem notatki na obu biurkach. Później będzie musiał przyrzeć się im dokładniej. Po chwili wskazał na puste miejsce na blacie.

– Laptop. Jest gdzieś w domu?

– Nigdzie go nie widziałam. Rano chyba włożyła go jak zawsze do plecaka.

– Nie było go w nim.

Schodząc, jeszcze raz zadzwonił do Erin.

Ani śladu po Jill.

Niech to szlag.

Pokazał Hannah rzeczy Jill zostawione w toalecie: ubranie, plecak, telefon. Gdy przeczytała informację na karteczce, zrobiła zdziwioną minę.

– To jej pismo – powiedział Jim. – Znasz jakiegoś Gene’a?

Gdy Hannah wpatrywała się w karteczkę, odniósł wrażenie, że jej drobne ramiona jakby lekko drgnęły. Ale może tylko mu się zdawało.

– Nie – powiedziała w końcu.

– Czy to możliwe, żeby uciekła przed tym kimś?

– Niby dlaczego miałyby to zrobić? – spytała Hannah niemal opryskliwie. Chyba powoli odzyskiwała równowagę. – Wtedy mogłaby wrócić do domu.

– I co teraz? – zwrócił się do niej.

Jej szczęki pracowały nerwowo, a usta zacisnęły się w cienką kreskę.

– Ja zadzwonię do ojca Jill – odparła w końcu, starając się panować nad sobą. Mówiła o byłym mężu. – A ty zawiadomisz swojego szefa.

Hannah jako pierwsza sięgnęła po telefon. Podczas gdy Jim po wybraniu numeru czekał jeszcze na połączenie, usłyszał ją, jak mówi:

– To ja. Mamy problem.

A potem zniknęła w salonie i zamknęła za sobą drzwi, zza których dochodziło jedynie ciche mamrotanie.

Takiej sekcji zwłok doktor Elias Heschke nie przeprowadzał jeszcze nigdy. A jako jeden z najbardziej uznanych lekarzy medycyny sądowej w Niemczech podczas ponad trzydziestoletniej kariery doświadczył już niemało. Sala sekcyjna Instytutu Medycyny Sądowej przy monachijskim Uniwersytecie Ludwika Maksymiliana przypominała skrzyżowanie studia telewizyjnego z salą przesłuchań. Normalnie Heschke stał przy metalowym stole z jednym kolegą. W wyjątkowych przypadkach dołączał do nich jeden lub co najwyżej dwóch lekarzy.

Dzisiaj otaczało go ni mniej, ni więcej, tylko piętnaście osób. Wewnętrzny krąg tworzyło wraz z nim pięciu kolegów. Dwóch z nich było amerykańskimi lekarzami wojskowymi sprowadzonymi z baz USA w Niemczech. Dwóch pozostałych też należało do ich krajanów – jeden przyleciał z Londynu, drugi z Madrytu. Trzy z nazwisk Heschke spotykał wcześniej w publikacjach naukowych, czwarte usłyszał po raz pierwszy. Domyślał się, że ten ktoś pracował dla jakiegoś wywiadu, musiał więc być specjalny powód, dla którego został wezwany, mimo że mężczyzna leżący przed nimi na stole zmarł według diagnozy śmiercią naturalną. Każdy z obecnych, podobnie jak on sam, miał na piersi identyfikator. Jakby nie dość upokarzające było już samo przejęcie jego instytutu przez obcych, na dowód jawnego braku zaufania do niemieckiej medycyny sądowej po każdej stronie stołu tkwiły wysokie stelaże, a na ich szczycie czarne soczewki czterech kamer rejestrowały najmniejszy ruch lekarzy. Krąg zewnętrzny tworzyło w odległości około czterech metrów dziesięciu ubranych od stóp do głów na czarno pracowników ochrony. Heschke pomyślał, że pasują do okoliczności. I do całego tego teatru.

Mężczyznę ze stołu znał z mediów. Co prawda w innym wydaniu.

Zdjęta skóra pokrywy czaszki zasłaniała twarz. Zakończyli już badanie i preparację mózgu oraz wnętrza czaszki. Chociaż pierwszą i jak na razie oficjalną przyczyną śmierci była ostra niewydolność serca, dopiero teraz amerykański kolega – nie tyle odgrywający główną rolę, co raczej dzierzący pierwszy skalpel – mógł wykonać cięcie w kształcie litery V, począwszy od klatki piersiowej po brzuch, obok świeżego szwu pooperacyjnego z tego samego dnia. W zwięzłych zdaniach opisywał na użytek kamer swoje kolejne czynności. Oddzielił tkankę mięśniową od kości. Odciął mięśnie brzucha od nasady żeber. Małą hydrauliczną piłką przeciął chrząstkę żebrową i odchylił mostek.

Mieli przed sobą części serca i płuc, optymalnie ułożone w ciasnej przestrzeni. Służyły temu człowiekowi przez niemal sześć dziesięcioleci jako niezawodne maszyny napędowe. Co je zatrzymało?

Amerykanin lekko odsunął serce i niezbędnymi nacięciami oddzielił je od naczyń krwionośnych. Następnie wyjął je i położył na tacy. Jeden z jego kolegów natychmiast przyłożył skalpel, aby przystąpić do szczegółowego badania.

– Co to jest?

Heschke wyciągnął palec wskazujący prosto w kierunku światła padającego na preparowany organ.

Amerykański partner zamarł. Na części bladej tkanki widoczna była nietypowa plama. Amerykanin uniósł serce do światła. Plama stała się jaśniejsza, tworzyła kontur.

– Co...? – zaczął ten sam lekarz, ale nagle zamilkł.

Podczas swojej kariery Heschke widział serca nieprawidłowo wykształcone, przesadnie duże, po przebyciu zapalenia i innych rzadkich schorzeń. Nigdy jednak nie widział takiego, na którym po wyjęciu z klatki piersiowej ukazywałyby się powoli wzory, jak na kartce poplamionej sokiem z cytryny i trzymanej nad płomieniem świecy.

Im jaśniejsze stawały się plamy na martwym sercu Jacka Dunbraitha, tym wyraźniej Heschke rozpoznawał, co to jest. Dwa kółka, poniżej plamka, a na samym dole wygięta w szyderczym uśmiechu linia.

– Czy to jest...? – zaczął znowu Amerykanin. – To... to niemożliwe!

Tuż przed wpół do siódmej wieczorem Jim usłyszał dzwonek przy drzwiach. Na małym monitorze obok domofonu widać było parę policjantów: kobietę i mężczyznę.

– Oficer Luís Hernandez. A to moja koleżanka, oficer Gardner. Zgłosił pan zaginięcie nastolatki.

Która teraz jest nie wiadomo gdzie zupełnie sama. Bez pieniędzy, bez komórki. Odepchnął od siebie poczucie winy. Miał jednoznaczne polecenie, by nie towarzyszyć jej wszędzie na uniwersytecie, i je wykonał.

– Nie powiemy im o pozostawionym ubraniu i telefonie, tylko o tym tajemniczym Genie, tak jak się umawialiśmy – przypomniała mu Hannah przytłumionym głosem, podczas gdy ogrodową ścieżką szły ku nim dwie potężne postacie.

Jimowi przemknęło przez głowę pytanie, jak ci dwoje zamierzają ścigać podejrzanego na piechotę. Zdziwił się także, dlaczego ma ukryć przed policją te szczegóły. Przecież każda najmniejsza wskazówka mogła być dla nich pomocna. Ale to Hannah była tu bossem. A on już nauczył się jej słuchać.

Oboje przygotowali dokumenty w kuchni. Ekskluzywnie urządzone pomieszczenie prawdopodobnie było większe niż oba mieszkania funkcjonariuszy razem wzięte. Usiedli na końcu ogromnego drewnianego stołu obok szerokich szklanych drzwi prowadzących do ogrodu. Gardner zadowolila się szklanką wody, Hernandez zdecydował się na colę.

Jim otworzył cienką papierową teczkę. Na samym wierzchu leżało zdjęcie młodej kobiety.

– To jej portfolio do agencji modelek? – spytał Hernandez.

– To jest Jill Pierce.

Istotnie, ten portret niezwykle proporcjonalnej twarzy o nieśmiało uśmiechniętych pełnych ustach i ogromnych niebieskich oczach mógłby z powodzeniem pochodzić z okładki jakiegoś luksusowego kolorowego magazynu. Jim odłożył zdjęcie na bok i wyjął kolejne: Jill w dzinsach i cienkiej bluzie, która nie była w stanie ukryć jej figury modelki, obok Hannah przed pomnikiem Waszyngtona. Przewyższała swoją matkę o pół głowy.

Gardner rzuciła krótkie spojrzenie na Hannah.

– Osiemdziesiąt jeden?

– Metr osiemdziesiąt jeden – odpowiedziała Hannah, wyraźnie spięta. – Córka

nie jest w żadnej agencji modelek. Studiuje na MIT.

Jim przedłożył metrykę urodzenia Jill. Wynikało z niej, że dziewczyna ma piętnaście lat, dwa miesiące i trzy dni. Urodziła się w Los Angeles. Rodzice to Hannah i Rodney Pierce, rozwiedzeni.

– Okej – rzuciła Gardner. – Co się stało?

– Muszą państwo wiedzieć, że Jill nie jest zwykłą studentką – dodała Hannah przytłumionym głosem. – Ona skończyła dopiero piętnaście lat.

Gardner sięgnęła po portret i zmarszczyła czoło.

– Piętnaście? I już jest na MIT?

– I nie jest tam wcale najmłodsza. Dla wybitnie uzdolnionych często robi się wyjątki – wyjaśniła Hannah.

– A co studiuje?

– Matematykę, filozofię i nauki przyrodnicze.

– W wieku piętnastu lat – powiedział z niedowierzaniem Hernandez.

– To bardzo mądra dziewczyna – odparła Hannah.

Policjantka rozejrzała się po kuchni.

– A gdzie jej ojciec?

– Zawiadomiłam go. Jest w podróży służbowej w Azji. Przyleci najszybciej jak to możliwe i w Bostonie będzie pojutrze.

– A pan jest...? – Gardner zwróciła się do Jima.

– Ochrona.

– Goryl. Tej małej.

– Tak. Niestety, nie mogę chodzić za nią wszędzie.

– I co się stało?

– Dzisiaj rano zawiozłem Jill na uniwersytet. Ponieważ nie wolno mi ciągle za nią biegać, miała przykazane, żeby co godzina meldować się telefonicznie. Pojechałem odebrać ją po południu. Każdego dnia po zajęciach zawsze jeździ po nią ktoś z naszego zespołu. Ale dzisiaj się nie pojawiła.

– O której to było godzinie?

– Około trzeciej.

– I co pan wtedy zrobił?

– Najpierw zaczęliśmy jej szukać. Na kampusie. Wiedziałem, gdzie miała ostatnie zajęcia. – Przypomniał sobie swoją akcję w damskiej toalecie. – Potem obdzwoniłem jej koleżanki. No i poszedłem na kampusową policję.

Hernandez coś sobie zapisał.

– Czy ona ma komórkę?

– Tak.

– Próbował się pan z nią połączyć?

– A jak pan myśli?

– Jaki jest jej numer?

Jim podał go policjantom. Hannah zabrała mu aparat. Jeśli go tylko nie uruchomiła, nie dotrą do niego.

– Czy coś podobnego już kiedyś się wydarzyło?

– Jill miewa humory, jak każda nastolatka – przyznała Hannah. – Ale nigdy jeszcze nie zniknęła na tak długo.

– Pani jest rozwiedziona. Czy nie jest możliwe, że Jill pojechała do ojca...?

– Nie. Oni nie są ze sobą szczególnie blisko.

– W rozbitych rodzinach często słyszy się coś takiego od rodzica sprawującego główną opiekę – stwierdziła Gardner. – Czy w ostatnim czasie nie pokłóciła się pani z córką?

– Dochodziło do niewielkich nieporozumień, jak to z dziećmi, a zwłaszcza z nastolatkami – odpowiedziała Hannah. – Ale to nie były żadne ostre kłótnie, w każdym razie na pewno nie powód do ucieczki.

– Tak pani uważa?

– Jestem tego pewna.

Gardner pokiwała głową.

– Gdzie pani była, kiedy Jill zniknęła? Muszę panią o to spytać, chyba pani rozumie.

– Pracowałam – odparła Hannah. – Jestem biologiem.

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? – spytała policjantka.

Hannah położyła przed nią na stole karteczkę od Jill.

– To znaleźliśmy w jej rzeczach.

– Uważajcie na Gene'a. Jest potwornie niebezpieczny – odczytała na głos Gardner. – Kto to jest Gene?

– Nie mamy pojęcia.

– A może któryś z kolegów czy koleżanek Jill wie kto to? – zasugerował Jim. – Skoro pewnie będziecie z nimi rozmawiać.

– Zobaczymy.

– Czy Jill mogła mieć jakiś inny powód, aby zniknąć?

– Ciągle skarżyła się na środki bezpieczeństwa zarządzane przez jej ojca – wtrąciła Hannah.

– Ma pani na myśli jego i jego ludzi? – spytała funkcjonariuszka, wskazując głową na Jima.

– Chciała mieć swobodę. Ale jak już mówiłam, nigdy nie zniknęła na tak długo.

– Kiedy szukał pan Jill, nie natrafił pan na nic, co do niej należało? Na plecak czy na laptop?

– Nie – skłamał zgodnie z poleceniem Hannah.

– Czyli nie odezwała się do pana? – rzuciła Gardner, bazgrząc coś w notesie. – A ktoś inny?

– Ma pani na myśli porywacza? – spytał Jim i od razu zaprzeczył: – Nie.

– Co zamierzacie teraz zrobić? – Hannah zwróciła się do pary policjantów lekko ochrypłym głosem. Jim dostrzegł łzy w jej oczach. Gardner także je widziała.

– Wszystko to, co jesteśmy w stanie i powinniśmy zrobić.

– Zależałoby mi na tym, aby nie informować mediów – dodała Hannah.

– Wspomniał pan o swoim teamie – powiedział Hernandez.

– Cztery osoby włącznie ze mną. Na zmianę pilnowaliśmy Jill. – Położywszy rękę na otwartej teczce, uzupełnił: – Dane wszystkich znajdzie pan tutaj. Moje także. Pozostali szukają teraz Jill.

– Będziemy z państwem w kontakcie – zapewniła Gardner. – Gdyby zdarzyło się coś nowego, proszę nas poinformować.

– Oczywiście.

Kiedy wyszli, Hannah spojrzała na Jima z mieszaniną złości i troski.

– Znajdziemy ją – powiedział.

Para dużych niebieskich oczu powinna właściwie patrzeć na nią z kołyski, a nie ze zdjęcia. Jasny puszek na główce chciałaby muskać palcami, a nie tylko wzrokiem. Próbowала sobie wyobrazić, jak pachnie taka delikatna czuprynka. Odrobinę mlekiem, wanilią, fiołkami i ciepłą skórą. Może do fotografii do rubryki urodzinowej w gazecie też ubrałaby swoje niemowlę w taką różową sukieneczkę z koronkowym kołnierzykiem.

Ze zdjęcia obok zerkał na nią noworodek o czekoladowej skórce. Gdyby to była jej córeczka, nazwałaby ją Sonia, ponieważ według niej dziewczynka wyglądała jak Sonia. Oczami wyobraźni widziała ją jako siedmiolatkę: w sukience w czerwone i białe paski siedziała na huśtawce i śmiała się prosto do kamery. W wieku dwunastu lat patrzyła na nią z konia, na głowie miała duży czarny toczeł. Razem jeździłyby na konne przejażdżki. W okresie dojrzewania Sonia darłaby z nią koty, jak wszystkie córki ze swoimi matkami. A potem przez resztę życia pracowałyby nad odnalezieniem wspólnego języka. Ciekawe, jakie imię rodzice Sonii naprawdę nadali swojemu nowo narodzonemu dziecku.

A temu chłopczykowi, którego portret wisiał nad tamtym niebieskookim z ciemnymi kosmykami na głowie? A małemu rudzielcowi z lokami i piegami po drugiej stronie, a tej pyzie o skośnych azjatyckich oczkach? Gdzie oni wszyscy dzisiaj szaleją? Z kim się śmieją? Czego boją się w życiu i o czym marzą?

– ...wszystkie wyniki są doskonałe i zapłodnione komórki jajowe mogą zostać umieszczone w macicy – powiedział mężczyzna o donośnym głosie.

Sceny z udziałem Sonii skryły się oczom Helen za mglistym welonem, a pozostały jedynie nieme fotografie na ścianach. Niechętnie porzuciła swoje marzenia i powróciła do rzeczywistości. Wokół niej pachniało woskowanym drewnem, środkami dezynfekcyjnymi i potpourri o morskim aromacie.

W którąkolwiek stronę spojrzała, wszędzie widziała zdziwione albo rozmarzone oczka, otwarte w uśmiechu usta, malutkie rączki. Zdjęcia dzieci wdzięcznych rodziców pokrywały ściany aż po sufit. W każdej klinice podsuwano je im pod sam nos – dowody sztuki lekarskiej, obietnice kierowane do niecierpliwych bezdziejnych par. Od czterech lat musiała znosić te obrazki. Od czterech lat pełnych diet, wykalkulowanej co do minuty techniki rozmnażania zamiast seksu, kuracji hormonalnych, prób sztucznej inseminacji i powtarzających się po kolejnych niepowodzeniach upadkach w czarną dziurę. Niedługo wreszcie to wszystko się skończy! Oby!

Na tle niezliczonych głów ze zdjęć wręcz nie mogła rozpoznać tej rzeczywistej, swojego lekarza. Miał opaloną twarz, lekko falowane ciemnoblonde włosy zaczesane do tyłu za pomocą żelu, biały kitel na garniturze z krawatem. On i dziecięce główki na ścianie za nim – myśliwy i jego trofea. Helen i Greg usiedli razem z nim na designerskich fotelach w rogu jego obszernego gabinetu.

– Dokonałiśmy diagnozy preimplantacyjnej – zaczął. – Dzięki testowi DNA mogliśmy wybrać zapłodnione jajeczka wolne od ryzyka chorób dziedzicznych oraz znanych już dzisiaj mutacji genów, na przykład genów BRCA1 i BRCA2 odpowiedzialnych za raka piersi. Nie istnieją też żadne czynniki ograniczające ciążę.

Helen nie potrafiła sobie poradzić z natłokiem emocji: ulgą, radością, nadzieją oraz... ze świadomością, że technika stała się źródłem życia. Ta myśl ciągle gniołła ją gdzieś w środku. Ale czy ma inny wybór, jeśli chce zajść w ciążę? W dzisiejszych czasach technika wspiera życie. Wystarczy, że przypomniała sobie sztuczne biodro własnej babci czy wszystkie urządzenia na sali pooperacyjnej po wypadku samochodowym ojca. Dlaczego więc miałyby nie pomóc także i jej, i jej przyszłemu dziecku?

Metoda ta wiąże się z zapłodnieniem w probówce. Po trzech dniach poza organizmem zapłodnione komórki jajowe Helen rozwinęły się w embriony złożone z ośmiu komórek. Każdy z nich został pobrany i sprawdzony.

– Skoro nie chcą państwo znać płci, pozostawimy to przypadkowi.

Jak dowiedziała się Helen, takie zdystansowane podejście do składu rodziny pod względem płci określane jest w USA jako *family balancing*.

„Niechący poddajemy się trendom rynkowym” – stwierdziła w duchu z mieszaniną podziwu i odrazy.

Pomyślała o jednej ze swoich przyjaciółek, która urodziła trzech chłopców i marzyła o dziewczynce. Tymczasem Azjatki, które stać na taki zabieg, decydują się zwykle na męskie potomstwo. Dziewczynki bowiem w tamtym regionie świata mają mniejszą wartość i oznaczają wyższe koszty dla rodziny związane z przyszłym posagiem.

Helen uszczęśliwiłby zarówno chłopiec, jak i dziewczynka. Dlatego w jej przypadku lekarze skupili się przede wszystkim na szukaniu nieprawidłowości w chromosomach. Budowa ludzkiego DNA jest nieskończenie skomplikowana, o czym Helen zdążyła się już przekonać, od lat zajmując się tym tematem. Każda cząsteczka musi znajdować się we właściwym miejscu, aby mogła należycie spełniać swoje zadania. Kiedy komórka jajowa i plemniki ulegają połączeniu, ta nowa gigantyczna minikonstrukcja zazębia się krok po kroku niczym długi,

niemający końca zamek błyskawiczny.

Ów taniec molekuł nie zawsze przebiega bez potknięć.

Możliwe są miliony wadliwych połączeń i defektów: translokacji, inwersji, delecji, potrójnych chromosomów... Im więcej Helen wiedziała o złożoności życia, tym bardziej niewyobrażalne wydawało jej się to, że tak skomplikowany twór jak człowiek może w ogóle powstać, a potem być w stanie funkcjonować. Tak naprawdę to był cud.

Już niewielkie odstępstwo od normalnego składu genów czy chromosomów mogło mieć poważne skutki dla jej dziecka. Część z nich wywołuje upośledzenia, z których najbardziej znane to trisomia 21, spowodowana obecnością trzeciego chromosomu przy dwudziestej pierwszej parze chromosomów. Inne prowadzą jedynie do wykształcenia się krótszego kciuka lub nie mają żadnych następstw. Listy syndromów i ich skutków wypełniają opasłe podręczniki medyczne.

Helen interesowała się jednak błędami niejako w mniejszym stopniu. W końcu one też tworzą życie, chociaż nieco ograniczone. Ale przy okazji uświadomiła sobie, że granica między tym, co „normalne” a „nienormalne”, między „chorym” a „upośledzonym” jest płynna, niestała i każda epoka oraz kultura definiują ją na swój sposób.

Przeważająca większość błędów w strukturze chromosomów powoduje tak ciężkie uszkodzenia, że uniemożliwiają one zagnieżdzenie się zapłodnionego jajeczka albo prowadzą do poronienia. Kobiety najczęściej nawet go nie zauważają albo biorą za normalną miesiączkę. Zgodnie z tym, co Helen czytała, szacuje się, że tylko jedna trzecia wszystkich naturalnie zapłodnionych komórek jajowych przekształca się w zarodek.

W konsekwencji niektórzy lekarze twierdzą, że sztuczne zapłodnienie jest obecnie skuteczniejsze niż naturalne.

I w tym kryła się nadzieja Helen i Grega. To dlatego siedzieli tutaj dzisiaj. I dlatego Helen była gotowa przejść przez męczarnię kuracji hormonalnej oraz zainwestować w to wszystkie oszczędności.

– Urodzi pani zdrowe dziecko – oznajmił doktor Benson, wyzwalając w ciele Helen kolejną falę ciepłych uczuć. – Nie będzie tylko mistrzem olimpijskim w sprincie.

– Nie musi – odpowiedziała Helen. Swoją drogą, skąd on to wie?

– A dlaczego nie? – spytał Greg, nie przejmując się pełnym irytacji spojrzeniem żony. – Przepraszam cię, kochanie, nie uważam, by nasze dziecko koniecznie musiało być mistrzem olimpijskim. Interesuje mnie tylko, skąd doktor

Benson może coś takiego wiedzieć.

– To jest dosyć proste – odparł lekarz. – Jeszcze przed przełomem tysiącleci w mediach dosyć głośno było o myszy zwanej Schwarzeneggerem. Za pomocą określonego genu, *insulin-like growth factor-1*, w skrócie IGF-1, zwiększono przyrost jej tkanki mięśniowej o trzydzieści procent.

O czym on bredzi? Jaka mysz Schwarzenegger? Ona urodzi zdrowe dziecko! Musi! Po latach starań i stresu! Wszystko inne się nie liczy!

– U sportowców osiągających wybitne rezultaty znaleziono w ostatnich latach geny odpowiedzialne za rozwój określonych rodzajów mięśni – kontynuował doktor. – Jedne sprzyjały szybkiemu i gwałtownemu przyrostowi energii, niezbędnej na przykład sprinterowi, inne pomagały w wykształceniu mięśni potrzebnych maratończykom. Najbardziej znany stał się tak zwany gen sprintera ACTN3. Już w roku dwa tysiące ósmym pewna firma zaczęła sprzedawać komercyjne testy, za pomocą których można było badać własny materiał genetyczny lub genom swoich dzieci na obecność wariantów ACTN3. Przez pewien czas była to popularna oferta skierowana do ojców spragnionych piłkarskich sukcesów swoich synów. Ale oczywiście to wszystko nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. Obecnie bowiem wiemy, że znaczącą rolę odgrywają tu też inne geny i inne czynniki.

– Czyli nie będzie to mistrz olimpijski – podsumowała Helen.

Doktor Benson, nic nie mówiąc, zmierzył ją badawczym wzrokiem, niemal niezauważalnie skinął głową, a potem spytał jeszcze głębszym głosem:

– A gdyby jednak mógł nim zostać? Albo mogła zostać? – Zatrzymał spojrzenie na Gregu.

Helen nie rozumiała jego pytania. Greg chyba też nie, ponieważ rzucił:

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– To pytanie całkowicie teoretyczne: co by państwo zrobili, gdyby okazało się możliwe wyposażenie państwa dziecka w takie predyspozycje, które pozwoliłyby mu w przyszłości zostać mistrzem olimpijskim? Bądź też, skoro już o tym rozmawiamy, zapewniłyby mu wyższą inteligencję czy lepsze zdrowie na starość albo przedłużyłyby mu życie?

– Nadal nie rozumiem, co chce pan nam w ten sposób zasugerować – odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem Helen.

– Tyle już państwo poświęcili, aby mieć dziecko. Czy w takiej sytuacji owoc tych starań i wysiłków nie powinien być jak najlepszy?

– Co może być lepszego niż zdrowe dziecko?

Doktor Benson przeniósł wzrok z Grega na Helen i z powrotem, po czym rzucił

tylko jedno słowo, które odbiło się patetycznym echem od ścian gabinetu:

– Możliwości.

Oszołomiona Helen wciąż nie nadążała za tokiem myśli doktora.

– Możliwości, jakich nie ma żadne inne dziecko na tym świecie. I nigdy nie będzie miało. Ponieważ jego szczęście i jego sukces nie zależałyby od tego, jakie społeczne i towarzyskie koneksje mają rodzice, ani od tego, czy ruletka genetyczna pozwoli mu zostać królową piękności. Wasze dziecko bowiem będzie już miało to wszystko w sobie i będzie zdolne przyćmić resztę.

Czy to ma być jakiś żart? Przecież ona chce tylko zajść w ciążę, i nic więcej. Ustalili to w minionych miesiącach.

Doktor Benson zsunął stopy i się pochylił. Nie wiadomo skąd wyczarował niedużego pilota, nacisnął na nim kilka guzików i po chwili przeciwległa ściana zamieniła się w ogromny ekran, z którego promiennie uśmiechała się nadnaturalnej wielkości dziecięca buzia.

– Pozwólcie, że coś wam pokażę. Coś absolutnie nadzwyczajnego.

Przy akompaniamencie koncertu fortepianowego – Helen miała wrażenie, że to Mozart – gromadka dzieci harcowała po łące. Zbliżenia rozradowanych dziecięcych twarzy uderzały w czuły punkt.

„Te obrazy i muzyka chwytają mnie za serce, ściskają mi gardło” – pomyślała Helen. Jej głowa była wobec nich bezsilna. Zwłaszcza że do filmiku wybrano najśliczniejsze maluchy.

– Jako rodzice pragniecie dla waszego dziecka wszystkiego, co najlepsze – rozległ się z ekranu ciepły baryton. – Chcecie zapewnić mu zdrowie, szczęście, powodzenie.

Oczywiście. Przeurocza dziewczynka o wielkich oczach przybijała piątkę koleżance. Pozostałe dzieci krzyczały radośnie.

– Od początku istnienia ludzkości dążymy do tego, aby zapewnić naszym dzieciom jak najlepsze warunki dla ich przyszłego życia.

Helen powiodła wzrokiem za małym palcem przesuwającym się po niezdatnych literkach w książce z obrazkami. To samo robiło dziecko siedzące na kolanach swojej mamy. Przez ekran przemykały obrazy uczennic i uczniów z całego świata.

– Ale mimo niezwykłych wysiłków rodziców pewnych rzeczy nie da się zmienić. Jeśli wasz syn ma mieć tylko metr sześćdziesiąt wzrostu, najpóźniej w okresie dojrzewania musi porzucić marzenie o tym, by zostać gwiazdą koszykówki. A operacje plastyczne mogą dodać waszej córce urody, ale nie

rozumu.

Demonstrowane scenki budziły w Helen współczucie dla występujących w nich młodych ludzi.

– Kto z nas nie chciałby oszczędzić własnym dzieciom takich rozczarowań?

Kto nie chciałby oszczędzić ich sobie samemu? Helen ogarnął smutek na wspomnienie własnych doznanych niepowodzeń i klęsk. Wczesna eliminacja z regionalnych finałowych rozgrywek softballu, ponieważ w decydującym momencie się nie sprawdziła, porażka w rywalizacji o względy szkolnego idola, ponieważ wybrał dziewczynę ładniejszą od niej... Film spełnił swoje zadanie.

– Wasze dzieci mogą mieć w przyszłości łatwiej. W wieku dwóch lat będą czytać, a jako czterolatkom bez trudu uda im się zakasować profesorów matematyki. A kiedy skończą sześć lat, będą grać sonaty fortepianowe Mozarta jak sam mistrz.

Dziewczynka z początku filmiku grała właśnie na fortepianie z wyrazem rozmarzenia na buzi. Jej porywająca interpretacja muzyki Mozarta nadawała całości uduchowiony charakter.

– Mając osiem lat, wasze dziecko opanuje już kilka języków, a w wieku dziesięciu zacznie chodzić na uniwersytet. Jesteście w stanie zmienić los swojej pociechy, na lepsze.

Wdzięczna animacja stanowiła przejście do kolejnego kadru, który ukazywał mężczyznę w białym lekarskim kitlu. Od razu wydał się Helen bardzo sympatyczny. Był średniego wzrostu, szczupły, miał starannie przystrzyżoną bródkę, krótkie szpakowate włosy i okulary o owalnych szklach bez oprawek. Napis na dole informował, że jest to prof. dr dr Stanley Winthorpe III.

– Dzień dobry, nazywam się Stanley Winthorpe. Dwanaście lat temu zainicjowaliśmy projekt, który może zmienić przyszłość waszego dziecka w sen. Jego początkiem były narodziny pewnej dziewczynki. Nadaliśmy jej imię Sarah. – W tle następowały jeden po drugim obrazy z pierwszych lat życia dziecka. – Jak mogliście się już przekonać, Sarah jest ponadprzeciętnie utalentowana. Dzięki fotograficznej pamięci uczy się znacznie szybciej niż inne dzieci, błyskawicznie analizuje złożone sytuacje i przewiduje ich skutki, działa i reaguje zarówno fizycznie, jak i umysłowo w tempie niedościgłym dla każdego innego człowieka. To wszystko umożliwiły zmiany przeprowadzone przez nas w jej materiale genetycznym.

Helen usłyszała, jak Greg zachnął się nerwowo.

– Obecnie jesteśmy w stanie dokonywać jeszcze bardziej zaawansowanych zmian.

Następujące szybko po sobie kadry ukazywały dziewczynki i chłopców o różnych kolorach skóry, jak liczą, piszą, rozmawiają w najrozmaitszych językach, muzykują.

– W konsekwencji w ciągu ostatnich dziesięciu lat urodziło się już kilkadziesiąt dzieci o niezwykłych zdolnościach. Wszystkie rozwijają się wspaniale.

Greg wybuchnął głośnym śmiechem. Zbyt głośnym, jak uznała Helen. Nieprzyjemnie dotknięta potarła nerwowo ręką podłokietnik fotela.

– Co to miało być? – rzucił i rozejrzał się po gabinecie, wciąż się śmiejąc. – Ukryta kamera? Okej! – krzyknął za siebie. – Prawie daliśmy się nabrać! Niewiele brakowało, a byśmy uwierzyli!

Helen też się uśmiechnęła, z ulgą. Czyli po prostu dała się złapać! Greg nagle się opanował.

– Dosyć odważny kawał jak na moment tuż przed implantacją jajeczka – powiedział do Bena.

Doktor zachował uśmiech.

– To nie kawał – odparł.

– W porządku. Myślę, że już wystarczy tej zabawy.

– Możecie odwiedzić te dzieci i przekonać się osobiście – oznajmił Ben.

Greg westchnął.

– Jak długo jeszcze zamierza pan ciągnąć tę komedię?

– Zależy nam na tym – kontynuował lekarz. – Chcemy, aby przyszli rodzice mieli możliwość odczuć, jak to jest wychowywać takie dzieci. Musieliby państwo wziąć sobie dwa dni wolnego. Lub trzy, jeżeli zdecydujecie się na implantację od razu na miejscu. Te dzieci żyją kilka godzin lotu stąd. Oferujemy gratisową wycieczkę na weekend prywatnym samolotem, no i przede wszystkim spektakularną przyszłość dla waszych dzieci.

Jego niewzruszone spojrzenie irytowało Helen. Greg wyrócił oczami.

– Czyli jest pan gotowy tak dla zabawy zafundować nam luksusowy weekend? – spytał, po czym spojrzał ubawiony na Helen. – Chyba nie powinniśmy się zastanawiać, tylko skorzystać, prawda, skarbie?

– Też tak uważam – potwierdził przyjaźnie Ben.

– Swoją drogą, jestem ciekaw, co tam nam pokażecie – powiedział Greg. – Bo przecież nauka nie zaszła jeszcze tak daleko! Od dwa tysiące piętnastego roku chińscy badacze eksperymentują z tymi nowymi instrumentami służącymi do zmiany genów w embrionach człowieka, z crispi czy jak to się tam nazywa...

– CRISPR – poprawił go doktor Benson.
– ...ale nie osiągnęli oczekiwanych rezultatów.
– Ależ tak, osiągnęli – wtrącił spokojnie Benson.
– Media mówiły coś wręcz przeciwnego – powiedział Greg.
– Ponieważ być może kierowano się czymś innym: reakcją światowej opinii publicznej na tego rodzaju badania. Przypomina pan sobie, jaka była?

– N-nie – przyznał Greg.

Benson zwrócił się także do Heleny:

– Widziała pani artykuły?

– Nie.

– A słyszała pani kiedykolwiek o CRISPR?

Helen poczuła się zawstydzona swoją niewiedzą oraz tym, że Benson ją odkrył. Bez słowa pokręciła głową.

– No widzi pani – rzekł doktor. – W mediach mówiono i pisano o tym przez jeden dzień albo co najwyżej przez dwa. Większość ludzi nawet nie zauważyła tej wiadomości. Kilku czołowych genetyków podpisało apel, a jesienią dwa tysiące piętnastego roku odbyła się również niezauważona poza branżą konferencja najwybitniejszych genetyków. I spytam znowu: czy znają państwo rezultat tej konferencji? Nie uchwalono na niej nawet oczekiwanego moratorium na eksperymenty z ludzkimi embrionami. Niespodzianka! A to dlaczego? Wiedzieli państwo o tym? Nie. Mówiąc krótko, ten temat nie interesuje większości ludzi. Nie obchodzi ich, jak stworzyć warunki sprzyjające przyspieszeniu procesów rozwoju. I jak stopniowo oswajać z tym świat.

– Trik PR-owy? – spytał Greg. Jego wzrok szukał ukrytych kamer.

Benson wzruszył ramionami.

– Kto wie? Może Chińczycy są już o wiele dalej, niż się przyznają. – Wskazał na ekran. – Ale to nieważne! Bo my jesteśmy jeszcze dalej!

– I co? Teraz chce nam pan zafundować wspaniałego jasnowłosego nadczłowieka? – spytał drwiąco Greg.

– Wręcz przeciwnie. Na filmie widzieli państwo wybitnie utalentowane dzieci różnych ras.

– Mam uwierzyć, że rozdajecie te cudowne dzieci tak po prostu, gratis?

– Mamy różne oferty do wyboru. Żadna z nich was nie zrukuje. Wręcz odwrotnie.

– I to wszystko mówi nam pan tuż przed zabiegiem, tak żebyśmy nie mieli czasu na zastanowienie – zirytował się Greg.

„Ponieważ o czymś takim nie decyduje się rozumem” – pomyślała Helen.

– Po wycieczce nie będą go już państwo potrzebować, jestem o tym przekonany.

Helen nie była tego taka pewna, ale nie była też nastawiona tak zdecydowanie negatywnie jak Greg, co stwierdziła ku swemu zaskoczeniu.

– Ma pan rację. Gdyby odegrał pan tę farsę wcześniej, wtedy kto wie, czy w ogóle chcielibyśmy dalej z panem współpracować. Jeśli o mnie chodzi, mam dość na dzisiaj. Przyjdziemy w poniedziałek na zabieg...

„Ja też mam chyba tutaj coś do powiedzenia” – Helen miała ochotę przerwać Gregowi, ale on jeszcze uzupełnił:

– Muszę przyznać, że zrezygnowałbym nawet teraz, gdyby nie to, że moja żona przeszła już przez tyle mało przyjemnych przygotowań. To wszystko.

Wstał z fotela, Helen natomiast nadal siedziała. W końcu w takich sprawach decydują dwie osoby, nie tylko Greg. Uśmiechnęła się zatem do niego kokieteryjnie.

– Tak czy inaczej, nie mamy żadnych planów na weekend – odezwała się. – Cała ta kuracja kosztowała nas majątek. Dlaczego by nie wybrać się na darmową krótką wycieczkę?

Greg wbił w nią wzrok i szeroko otworzył usta, po czym opadł z powrotem na fotel.

Kark po lewej stronie wydawał się kawałkiem drewna, a prawej połowy czoła Jessica nie czuła w ogóle. Z wciąż zamkniętymi oczami przekręciła odrobinę szyję, nie odrywając jednak czoła od ściany samolotu, ponieważ jej głowa potrzebowała jeszcze wsparcia. Słyszała pomruk silników, gdzieś cicho klekotał jakiś element wewnętrznego wyposażenia kabiny. Jessica nie musiała się zastanawiać – natychmiast wiedziała, gdzie jest i co się stało. Dzięki delikatnym, powolnym ruchom odrętwienie w karku powoli ustępowało. Uniosła nieco powieki. W kabine samolotu przeznaczonego dla delegacji zalegał mrok. Jedynie nad dwoma miejscami świeciły się małe górne lampki. Pozostali pasażerowie też zasnęli, podobnie jak ona: z głowami opartymi o ścianę albo o fotel; dwoje miało specjalne poduszki na kark do spania. Otwarte usta, od czasu do czasu pochrapywanie. Sami mocno zapracowani ludzie, którzy nie chcieli zbyt długo obciążać własnej psychiki tym, co się stało, i tak jak ona próbowali zdławić pierwszy szok po Monachium za pomocą tabletek na sen.

Otworzyła szeroko oczy. Dźwignęła swe zeszywniałe ciało do pozycji pionowej, przeciągnęła się. Zegarek na ręce pokazywał, że dochodzi godzina trzecia po południu czasu monachijskiego. Czyli w Waszyngtonie jest około dwudziestej pierwszej. Zostały jeszcze dwie godziny lotu. Już nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w swoim łóżku. I zobaczy Amy i Jamiego. Cieszyła się na myśl o spokoju Colina.

– Jess? – usłyszała za sobą czyjś szept. Obejrzała się i zobaczyła szefa biura sekretarza stanu, który pochylał się ku niej ze swojego fotela. – Nie śpisz?

Z podświadomości wyłoniło się wspomnienie, z którego wynikało, że coś dotknęło jej ramienia. Czy od tego się obudziła? Pewnie tak.

– Nie – odpowiedziała szeptem.

– Mam nadzieję, że dobrze ci się spało.

Skinęła głową.

– Okej – rzekł. – Bo sen ci się przyda. Właśnie dostałem wiadomość z Waszyngtonu. Prosto z lotniska mamy jechać oboje do Białego Domu.

Czyli mogła zapomnieć o własnym łóżku. Zastanowiła się przez chwilę. Po wydarzeniach w Monachium nie było to takie dziwne. Ale i nie całkiem oczywiste.

– Debriefing? – spytała.

– Nie. Brzmi poważniej. Wyjątkowo poważnie.

- Jak bardzo?
- Spotykamy się w Situation Room. Z prezydent i wszystkimi dostępnymi członkami gabinetu.

Czyli bardzo poważnie.

- Chodzi o śmierć Jacka?

Wzruszył ramionami.

- Nie chcieli mi powiedzieć nic więcej nawet przez bezpieczne łącze.

Bardzo, bardzo poważnie.

- Muszę zawiadomić rodzinę.

- Oczywiście.

Ledwie wyszli z kliniki, Greg spytał:

– Chyba nie wierzysz temu facetowi? – Zostawił składany dach BMW otwarty, dzięki czemu siedzenia były teraz przyjemnie chłodne.

– Sama nie wiem – odpowiedziała Helen. – Ten filmik był dość przekonujący.

– Hollywoodzkie superprodukcje też są – odparł Greg. – Kobieto, przecież jesteś doradcą w zakresie komunikacji! Kto jak nie ty powinien wiedzieć, że nie należy wierzyć ślicznym obrazkom?

– Dlatego powinniśmy wybrać się tam osobiście – stwierdziła, po czym pochyliła się ku niemu ze swojego siedzenia pasażera i dała mu całusa.

Greg uruchomił silnik i włączył się do ruchu, a ona szybko weszła do internetu. Wyszukiwarka wyrzuciła setki linków.

Helen przebiegła wzrokiem pierwsze, kliknęła w niektóre z nich, sprawdziła parę zdjęć.

– Ten doktor Winthorpe istnieje naprawdę – poinformowała Grega. – Wygląda na to, że jest genialnym biotechnologiem albo genetykiem, albo Bóg wie kim jeszcze. Opracował najrozmaitsze rzeczy z tej dziedziny, założył całą masę firm i zarabia miliardy. Ale ani słowa o cudownych dzieciach.

– Jakoś nie jestem zaskoczony.

– Ale jest niezaprzeczalnym geniuszem i fenomenem. Jestem go jeszcze bardziej ciekawa. – Powiedziawszy to, zerknęła z boku na Grega.

– Widzę, że cię korci, aby ustalić, jak jest naprawdę – stwierdził, kręcąc głową. – O ile mi wiadomo, nauka nie posunęła się na razie tak daleko. To, co doktor Benson nam obiecywał, jeszcze długo nie będzie możliwe. To po prostu nierealne.

– Bo nie powinno tak być?

– Bo... – zamilkł.

– A jeżeli to prawda? – nie ustępowała Helen. – Chciałbyś wtedy mieć takie dzieci?

– W żadnym wypadku!

Ta kategoryczna odmowa zaskoczyła ją. Zazwyczaj bowiem należał do osób, które w sposób racjonalny rozważają każdy, nawet najdrobniejszy argument. Ale to, co w pierwszym odruchu odpowiedziała jej własna intuicja, też nie było bynajmniej jednoznaczne.

– Poważnie? – zdziwiła się. – Czyli twoje dzieci nie miałyby żadnych szans

w porównaniu z innymi. Ani na rynku pracy, ani przy wyborze partnerów. Po prostu w ogóle w życiu.

– Szanse zawsze były nierówno rozłożone – odpowiedział przekornie Greg. – A teraz tym bardziej.

– I co? Pewnego pięknego dnia powiedziałaś naszemu dziecku, że mimo możliwości nie zapewniłeś mu szansy na lepsze życie?

– Wow, teraz dramatyzujesz! Szczerze chciałybyś mieć takie dzieci?

– Będzie trudno, skoro jesteś tak kategorycznie przeciwny. Do tej pory nie zastanawiałam się nad tym.

– Tak czy nie? Nie ma innych odpowiedzi na to pytanie.

„Przynajmniej nie odrzucam takiej ewentualności z góry” – przyznała się Helen sama przed sobą.

– To zależy – odpowiedziała w końcu. – Co złego jest w tym, że człowiek pragnie wszystkiego co najlepsze dla swoich dzieci?

– A co jest dla nich najlepsze?

– Musielibyśmy to sprawdzić.

– Ty naprawdę chcesz się tam wybrać?

– Tak. Możemy dać odpowiedź doktorowi Bensonowi do dwudziestej.

– Widzę, że traktujesz to serio – zdziwił się Greg.

– Muszę. W interesie naszego dziecka. Ty też powinieneś.

– Skoro tak uważasz. Obyś nie była zawiedziona, jeśli cała ta historia okaże się jedną wielką bujdamą albo wręcz oszustwem.

– Wtedy by mi ulżyło – odparła Helen. – Bo taka decyzja nie byłaby łatwa. – Po chwili dodała: – Jestem ciekawa twojej miny, jeżeli to nie jest bujda.

– To jest śmieszne. I niemożliwe.

Helen widziała jednak, że Greg mimo wszystko się zamyślił.

Słońce rzucało już długie cienie, gdy Greg skręcił w ich ulicę. Tutaj, na wschodnich obrzeżach San Francisco, nowsze domy jednorodzinne z miniaturowymi ogródkami od frontu przeplatały się ze starszymi z nieco większymi ogródkami, a pomiędzy nimi pięły się nowoczesne apartamentowce pozbawione ogródków. W jednym z nich mieszkali Helen i Greg. Mogli pozwolić sobie na taki luksus dopiero od roku, kiedy start-up z branży FinTech, dla którego Greg opracowywał programy z zakresu technologicznej obsługi bankowości i obiegu wirtualnego pieniądza, pozyskał nową rundę finansowania i jego oraz ponad dwudziestu innych współpracowników zatrudnił na stałe. Nieregularne dochody Helen jako doradczyni w zakresie komunikacji nie były złe, lecz za mało

stabilne na tego rodzaju ekstrawagancje. Nowa pensja Grega wystarczała im już na mieszkanie, chociaż ich nadzieje opierały się głównie na akcjach firmy, które będzie można spieniężyć dopiero za kilka lat. I których wartość zależała rzecz jasna od rozwoju przedsiębiorstwa.

Brama do podziemnego garażu kompleksu mieszkaniowego otwierała się automatycznie, gdy tylko rozpoznała chip ukryty w skrytce pod przednią szybą samochodu. Greg wjechał w trącający stęchłą mrok i zaparkował na swoim stałym miejscu. Dach zostawił otwarty. Helen zamasyście sięgnęła na tylne siedzenie po swój laptop.

– Musimy jak najszybciej dać odpowiedź doktorowi Bensonowi, czy wybierzemy się jutro na tę wycieczkę – powiedziała, gdy zmiierzali do klatki schodowej. Nie korzystała z windy, aby zachować formę. – Musielibyśmy jeszcze się spakować.

– Wiem – odpowiedział Greg w zadumie.

Helen była już prawie na schodach, podczas gdy on opróżniał jeszcze skrzynkę na listy.

– Cholera! – zawołał. – Skarbie, zostawiłem torbę w aucie.

– To ja już pójdę na górę – usłyszał jej głos z pierwszego piętra. – Na razie.

Na schodach do garażu Greg wyciągnął komórkę i wszedł w kontakty. Znalazłszy szukany numer, od razu go wybrał.

Rozmówca odezwał się w momencie, gdy on akurat dotarł do samochodu.

– Cześć, brachu – przywitał Grega. – Kopę lat.

– Można tak powiedzieć. Jak się miewasz?

– Dzięki, dobrze. A co u ciebie?

– Posłuchaj, nie miałbyś ochoty wyskoczyć dzisiaj na piwo?

– Ty szczęściarzu! A co cię tak przypiliło?

– Opowiem ci potem.

Umówili się w lokalu mniej więcej w połowie drogi od każdego z nich. Dwadzieścia minut jazdy od domu.

Greg wyjął torbę z bagażnika i szybko znowu ruszył na górę. Kiedy dotarł na trzecie piętro, był trochę zadyszany. Małe przedpokój z toaletą z boku. Potem przejście do otwartej kuchni. Helen otworzyła już okno na balkon, przez które wlewało się chłodne powietrze. Na komodzie w pokoju dziennym leżała torba z jej laptopem, na swoim stałym miejscu między rodzinnymi fotografiami (rodziców, rodzeństwa, siostrzenic, siostrzeńców), pocztą i kwiatami. Z łazienki dochodził szum prysznica. Greg odstawił swoją torbę i poszedł do Helen.

– Już jestem – oznajmił.

Za mleczną szybą dostrzegł zarys jej postaci. Przez ułamek sekundy przemknął mu przez głowę inny pomysł na spędzenie wieczoru, ale zaraz przywołał się do porządku i przypomniał sobie o umówionym spotkaniu.

– Głupia sprawa – powiedział. – Właśnie dzwoniли do mnie z biura. Muszę koniecznie pojechać, chodzi o Coratex.

Jedno ze zleceń, o którym Helen nie chciała już nawet słuchać.

Wysunęła głowę z mokrymi włosami zza mleczej szyby, surowo marszcząc brwi.

– Teraz?! – Niebezpieczny ton. Co to ma być?

– Za dwie godziny będę z powrotem.

– A co z doktorem Bensonem? Nie mamy nie wiadomo ile czasu na podjęcie decyzji. Jeśli chcemy w ogóle rozważyć tę możliwość, powinniśmy zobaczyć tamte dzieci.

Greg spojrzał na nią uważnie. Ona mówiła jak najbardziej serio.

– No to jedźmy tam – rzekł.

Odgarnęła do tyłu kilka kosmyków. Przyjrzała mu się.

– Zadzwońisz do niego? – spytała.

– Tak jest.

Jim zahamował z piskiem opon przed niskim budynkiem z czerwonej cegły klinkierowej, w którym mieścił się posterunek policji MIT. Hannah wyskoczyła z auta i poszła szybko do wejścia, nie oglądając się na niego. Oficer Gardner czekała na nich oboje w małym, zimnym biurze, siedząc za biurkiem zawalonym obok komputera papierami i teczkami. Naprzeciw niej tkwił młody mężczyzna, na oko dwudziestopięcioletni, dryblasowaty, z długimi ciemnymi włosami, brodą i niewielkim brzuszkiem. Na niebieskim T-shircie miał jasnozielony sweter, do tego sprane, kiedyś czarne dżinsy. Jim zeskanował jego twarz, całą postać i spojrzenie.

– Hannah Pierce, Jim Delrose, Henry Balsam – dokonała prezentacji Gardner.
– Henry był kolegą ze studiów Jill.

– Był – potwierdził chłopak i zmierzył ochroniarza swojej dawnej koleżanki podejrzliwym wzrokiem.

Jim usiadł obok niego.

– Przypominam sobie – powiedział. – Dwa lata temu we dwoje chodzili na ten sam kurs.

– Zgadza się, wprowadzenie do biochemii. Ma pan dobrą pamięć. Pan był niańką. – Widząc stoicki wyraz twarzy Jima, chłopak dodał szybko: – Tak zawsze mówiła o panu Jill.

– Myślę, że historia, którą Henry ma do przekazania, powinna państwa zainteresować – wtrąciła Gardner. – Kiedy wśród kolegów Jill rozeszła się wiadomość, że jej szukamy, zgłosił się do nas. Proszę opowiedzieć państwu to samo co mnie.

Henry wzruszył ramionami i lekko przechylił głowę na bok, jakby demonstracyjnie się dystansował.

„Zdaje się, że ten gość się mnie boi – pomyślał Jim, widząc zachowanie chłopaka. – Zobaczymy, czy to dobrze, czy źle”.

Na razie postanowił nie robić nic, aby go uspokoić.

– No więc... – zaczął Henry. – Jill i ja dobrze się rozumieliśmy. To znaczy, ona super wygląda... ale to przecież wiadomo.

Jim nie odezwał się ani słowem.

– No więc któregoś dnia przyszła do mnie i poprosiła o przysługę. Skarżyła się, że jest totalnie kontrolowana i pilnowana przez rodziców. – Przelotne spojrzenie na Hannah. – To znaczy przez pana, mister Delrose, i pana ludzi. –

Zanim Jim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, na co zresztą nie miał ochoty, Henry zaczął mówić dalej: – Rzecz jasna wiedziała, że to dla jej bezpieczeństwa, ale mimo wszystko.

Jim obrzucił go uważnym spojrzeniem, czekał na dalszy ciąg. Henry zawahał się.

– Proszę mówić dalej – zachęciła go Gardner.

– Powiedziała, że chciałaby dostawać pocztę, tak żeby nie wiedziała o tym jej niania. I czy w związku z tym mogłaby podać mój adres, a ja potem przekazywałbym jej te listy.

Znowu przerwał, jakby czekał na jakieś pytanie.

Jim i Hannah zrobili mu tę przyjemność.

– Wspomniała po co?

– Listy od kogo?

– Nie. Ale jedno było dziwne. Uprzedziła mnie, że ta korespondencja nie będzie adresowana bezpośrednio do niej, tylko do innej dziewczyny. I jeżeli znajdę w swojej skrzynce list na to nazwisko, mam go jej oddać.

– I pan się na to zgodził? – spytała Hannah, nie kryjąc oburzenia.

Henry szukał spojrzenia Gardner. Ona jednak w żaden sposób nie zareagowała.

– Tak – potwierdził. – Jill powiedziała, że to tylko pseudonim.

– Pseudonim? W jakim celu? Dlaczego? – dopytywała Hannah.

– No ze względu na nadzór.

– Pan się w niej podkochiwał, tak? – spytał Jim, przybierając najbardziej kumpelski uśmiech, na jaki było go stać.

Henry zaczerwienił się.

– Skąd! Ona była naprawdę zabawna. Superbystra. Ale emocjonalnie nie była nawet nastolatką. Co najwyżej dziesięciolatką.

– Bo nie pozwalała panu się do siebie dobrać? – rzucił Jim. – Wszystko jedno. I co potem? Przychodziła jakaś poczta?

– Niezbyt wiele. Parę listów. Dwa albo trzy.

– Które oddał pan Jill, nie otwierając ich.

– Oczywiście!

– Czy na kopertach był nadawca?

– Tak. Boston Credit Institute.

– Bank? – zdziwiła się Hannah. – Spytał pan Jill o to?

– Nie zaglądałem do środka. Ale kiedy miałem je w ręce, czułem, co może w nich być. Jedna z kopert była dosyć sztywna, jakby zawierała coś twardego. Wielkości karty kredytowej.

– Nazwisko – odezwał się Jim. – Nazwisko, którego używała Jill. Pamięta je pan?

– Pamięta – odpowiedziała za niego Gardner. Uderzyła w klawisz komputera i odwróciła monitor w stronę Jima i Hannah. Widać na nim było zdjęcie kompletnie zniszczonej młodej kobiety, która kiedyś mogła być nawet ładna.

„Narkotyki – pomyślał od razu Jim. – Pewnie brała *crystal meth*”.

– Ta osoba istnieje naprawdę. June Pue, dwadzieścia pięć lat, bezdomna ćpunka. Jest w naszych kartotekach z powodu wykroczeń narkotykowych. Złożyliśmy już wniosek o dostęp do konta.

– Pani uważa, że Jill otworzyła konto na nazwisko jakiejś narkomanki? – spytała szorstko Hannah. – Dlaczego miałyby zrobić coś takiego? I w jaki sposób? Przecież wtedy miała... dwanaście lat!

„Ale była superzmyślną dziewczynką” – przemknęło przez głowę Jimowi.

– To powinna wiedzieć raczej pani, a nie my – odpowiedziała spokojnie Gardner.

– Narkotyki? – dodała z niedowierzaniem Hannah. – Gdzie można znaleźć tę Pue?

– Nie mam pojęcia. Nie pokazała się nigdzie już od roku. Ale próbujemy ją namierzyć.

– Czy pod tym nazwiskiem mogła zrobić jeszcze coś innego? – dociekała Hannah. – Na przykład zabukować bilety?

– Czy ma pani powód, by sądzić, że mogłaby to uczynić? – odpowiedziała jej pytaniem Gardner, nie kryjąc swojej podejrzliwości.

– Nie, to była tylko taka luźna myśl. Ale może mimo wszystko warto to sprawdzić.

– Sami wiemy, co należy do naszych obowiązków – odparowała jej Gardner chłodno. – Proszę się nie martwić.

– Przepraszam panią – powiedziała Hannah. – Denerwuję się.

– W porządku. Też mam dzieci.

– Jill nie miała nic wspólnego z narkotykami. Jestem tego pewna na sto procent – oświadczyła z przekonaniem Hannah.

– Przekonamy się – bąknęła policjantka. – Zobaczymy, co wyniknie z wyciągu z konta. Będę informować państwa na bieżąco.

– A ten Gene? Wiadomo coś o nim? – spytał na koniec Jim.

– Nikt ze znajomych Jill nie zna żadnego Gene’a.

Gdy koła samolotu dotknęły pasa w Waszyngtonie, wszyscy się obudzili. W ciemności pobłyskiwały światła lotniska. Jessica sprawdziła szybko na smartfonie ostatnie doniesienia dotyczące Dunbraitha. Informacja o jego śmierci została już podana do wiadomości. Zawał serca. Z całego świata napływały kondolencje i wyrazy współczucia. Pokazały się pierwsze nekrologi.

Czuła się sztywna i ociężała. Poruszyła ramionami, pokręciła głową, kilka razy odetchnęła głęboko. To jeszcze nie koniec nocy. W Białym Domu czekał zespół o najwyższej randze.

Gdy kilka minut później maszyna zatrzymała się na przeznaczonym dla niej miejscu, wszyscy natychmiast zerwali się z siedzeń. Głos pilota powstrzymał ich jednak przed rzuceniem się w stronę wyjścia.

– Proszę pozostać na swoich fotelach. Mamy gości.

Jedna ze stewardes opuściła schodki. Jessica usłyszała ciężkie kroki na stopniach, a potem całą przestrzeń z przodu wypełniła wielka biała postać bez twarzy. Kombinezon, maska tlenowa, specjalne okulary, lateksowe rękawiczki. Za nią wyłoniła się po chwili druga identyczna. Serce Jessiki zaczęło bić w szaleńczym rytmie.

– Dzień dobry – dobiegł głęboki głos zza pierwszej maski. – Jesteśmy z Center for Disease Control and Prevention¹. Chcemy pobrać od państwa próbki śliny.

Mężczyzna otworzył na jednym z foteli swój kuferek.

– To rutynowe postępowanie – oznajmił, wyjmując patyczki higieniczne i foliowe woreczki.

Tyle że Jessica podczas żadnego z niezliczonych lotów, jakie miała na swoim koncie, nie spotkała się z czymś takim. Poza tym wiadomość o pilnym nocnym spotkaniu w Białym Domu bynajmniej nie pomogła jej się uspokoić.

Powstrzymując się od komentarzy, pasażerowie poddali się procedurze. Jeden z zamaskowanych pobierał próbki, drugi zapisywał nazwiska. Otworzyć usta. Patyczek głęboko między wargi. Następnie do foliowej torebki. A potem każdy z pasażerów dostawał coś, czego Jessica w pierwszej chwili nie rozpoznała. Dopiero gdy ktoś założył sobie za uszy białe tasiemki, obrócił się z białą maseczką na ustach i spojrzał pytająco na współpasażerów, zrozumiała.

Przyszła kolej na nią.

– Jessica Roberts? – spytał mężczyzna.

– Tak.

Nieco ciszej dodał:

– To pani próbowała reanimować Jacka Dunbraitha w Monachium?

– Tak.

– Zauważyła pani u siebie jakieś objawy? Złe samopoczucie? Gorączka, ból gardła, kaszel, kichanie?

Jessica poczuła w krtani rosnącą gulę.

– Nie.

– Okej.

Mężczyzna przesunął patyczkiem po jej ustach.

– Dlaczego pan pyta? – próbowała się dowiedzieć, starając się zachować spokój, podczas gdy on chował patyczek do torebki.

– Proszę ją założyć i nie zdejmować bez wyraźnego polecenia – oznajmił mężczyzna i również jej wręczył maseczkę, po czym przeszedł szybko do następnej osoby.

Obok samolotu czekało kilka limuzyn. Przy pierwszej stał szef całej delegacji. On też miał maskę na twarzy.

– Jessico! – dobiegł ją jego przytłumiony głos. – Pani jedzie ze mną.

Kiedy schodziła po stopniach, powiew zimnego powietrza niemal zamroził jej na czole kropelki potu wywołanego strachem.

– Skąd wytrzasnąłeś tę historię? – spytał Irvin.

Piwiarnia wyglądała jak disnejowska wersja bawarskiej Bierhalle. Wcześniej Gregowi zdarzało się przesiadywać tu niekiedy z kolegami, ale ostatnio coraz rzadziej gdzieś wychodził. Siedzieli przy rustykalnym drewnianym stole w tylnej części lokalu umiarkowanie wypełnionego gośćmi. Przed nimi stały puste talerze i dwie do połowy opróżnione szklanki z bezalkoholowym piwem.

– Od znajomego. Opowiedział mi to w całkowitym zaufaniu. Podobno mógłby nawet pojechać w to miejsce. Gdyby tylko chciał.

– I to nie jest żaden numer z ukrytą kamerą?

Greg roześmiał się głośno.

– Też go o to spytałem! – Po chwili znowu spowaźniał. – Chyba za dużo by to kosztowało.

– Jestem zwykłym funkcjonariuszem San Francisco Police Department – powiedział Irvin. – To nie nasza działka.

– Ale ja nie znam nikogo oprócz ciebie, do kogo mógłbym się z tym zwrócić – tłumaczył Greg. – Myślałem, że będziesz wiedział, gdzie można iść z czymś takim. Albo po prostu skierujesz mnie do kogoś kompetentnego. Do FBI, NSA czy Bóg wie gdzie indziej. W końcu chyba nie brakuje kabli w naszym kraju.

– Uważaj na słowa.

– *Sorry*. Albo to wszystko jest gigantycznym oszustwem i trzeba je zdemaskować – Greg pociągnął łyk piwa – albo nie jest. – Nie potrafił uwierzyć w tę drugą opcję. Nie chciał w nią uwierzyć.

Irvin pokręcił głową.

– Sam nie wiem. Na moje wyczucie to brzmi zupełnie niedorzecznie. – Popatrzył tępo przed siebie. – Stawiałbym raczej na FBI. – Również pociągnął łyk ze szklanki, a potem wyjął telefon. – Jak oni się nazywali?

Greg podał mu pełne dane doktora Bensona i jego kliniki oraz doktora Winthorpe'a.

– Nic więcej nie mam.

Irvin westchnął.

– Poczekaj – rzucił, chowając telefon. – Wiem, co zrobię. Zgłoszę to do Nationwide Suspicious Activity Reporting Initiative Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. A oni przekierują to dalej w odpowiednie miejsce.

– Co to takiego?

– NSI to program prowadzony wspólnie przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego, FBI i różne lokalne, federalne, stanowe i inne instytucje bezpieczeństwa w celu jak najwcześniejszego wykrywania aktywności przestępczych i terrorystycznych. Jeśli uznają to za konieczne, ktoś się do ciebie odezwie.

– Prawdopodobnie to tylko jakiś wygłup – rzucił Greg i uniósł szklanę w stronę Irvina.

– Przypuszczalnie – mruknął Irvin i stuknął się z kolegą.

Dzień drugi

Jessica przypomniała sobie, że „New York Times” nazwał kiedyś Situation Room lochem *low-tech*. To było na długo przed tym, zanim zaczęła tu pracować. Cały świat zobaczył znajdujący się w Białym Domu Situation Room w maju 2011 roku, gdy zginął Osama bin Laden. Zdjęcie ze skupionym prezydentem Barackiem Obamą siedzącym w jednym kącie i z sekretarz stanu Hillary Clinton po drugiej stronie stołu, zasłaniającą sobie ręką usta, media utrwały w kolektywnej pamięci całego pokolenia. Chociaż nie był to prawdziwy obraz tego pomieszczenia. Albowiem to, co dla większości wyglądało na pozbawioną wszelkich ozdób salkę, jest w rzeczywistości częścią dużego, pięciusetmetrowego kompleksu w zachodniej części Białego Domu, z licznymi salami konferencyjnymi nafaszerowanymi techniką. Większość wyposażenia pochodziła jednak jeszcze z lat 2006 i 2007, gdy dokonano ostatniej modernizacji. Jessica pomyślała, że wobec nieustannie dokonującej się rewolucji technologicznej można by właściwie znowu przypisać temu centrum dowodzenia określenie *low-tech*.

U szczytu długiego drewnianego stołu siedziała prezydent Alice Hines. Po obu stronach blatu stało po sześć skórzanych foteli o wysokich oparciach, zajętych przez szefów poszczególnych gabinetów, szefa sztabu oraz bezpośredniego przełożonego Jessiki, doradcę do spraw bezpieczeństwa Alberta Watersa. Za nimi, pod dwiema ścianami, boczne fotele zajmowali ich najważniejsi współpracownicy. Niektórzy znaleźli się tutaj chyba zaraz po studiach, a mimo to wolno im było siedzieć bliżej pani prezydent niż Jessice. Hierarchia była ważna nawet w takich sytuacjach. Albo może szczególnie w takich. Jessica zdawała sobie sprawę, że z tą maską na twarzy musi wyglądać błazeńsko. Zresztą ledwie weszła, natychmiast skierowano na nią podejrzliwe spojrzenia.

Znała niemal wszystkich obecnych, z wyjątkiem nieogolonego pięćdziesięciolatka o zmierzwionej fryzurze, ubranego w pognieciony garnitur, który siedział nonszalancko rozparty na ostatnim krześle naprzeciw niej. Wydawał się trochę nie na miejscu w tym tchnącym surową dyscypliną pomieszczeniu.

Drugiego nieznanego zdążył już jej przedstawić doradca do spraw bezpieczeństwa Waters. Doktor William F. Grant za pośrednictwem transmisji wideo śledził w nocy sekcję zwłok sekretarza stanu przeprowadzaną w Monachium. Rosły, szpakowaty mężczyzna przed monitorem emanował tego rodzaju niewzruszoną pewnością siebie, która zwykle wzbudzała w Jessice sporo sceptycyzmu.

– Kadry, które za chwilę państwo zobaczą, nie będą przyjemne – ostrzegł. – Zwłaszcza że wszyscy państwo znali Jacka Dunbraitha osobiście.

Ten człowiek chyba nie zdawał sobie sprawy, jakie zdjęcia oglądano już w Situation Room.

– Przejdźmy od razu do najistotniejszego momentu – zapowiedział. Na ekranie za nim zajaśniało przeświecone ujęcie bezkształtnej masy pokrytej szarymi plamami. Dopiero po chwili Jessica rozpoznała ludzkie serce wyjęte palcami w lateksowych rękawiczkach z klatki piersiowej.

Mimo ostrzeżenia poczuła, jak zaciska jej się gardło.

Grant zatrzymał nagranie. Czerwonym wskaźnikiem laserowym wskazał na serce oraz na kilka wyraźnych jasnych plam na jego powierzchni.

– Jak państwo widzą, przy wyjęciu z ciała organ wykazywał nietypową barwę.

Puścił film dalej. Ta sama dłoń wciąż trzymała serce, tymczasem plamy stały się jaśniejsze, a ich kontury ostrzejsze.

W sali zaległa całkowita cisza, Jessica słyszała jedynie szum własnej krwi w uszach. Po kilku sekundach plamy na sercu spoczywającym w coraz bardziej drżącej dłoni zrobiły się niemal białe. I w tym momencie Jessica jednoznacznie rozpoznała kształt. Ktoś obok jęknął. Grant ponownie zatrzymał nagranie.

– To nieprawdopodobne! – krzyknął sekretarz obrony.

Spojrzenia wszystkich przenosiły się tam i powrotem, z postaci prezydent na ekran.

– Jak to możliwe? – spytała wreszcie.

Serce na ścianie wyglądało jak szczerząca się trupia czaszka.

– Pozwolą państwo, że przedstawię mojego szacownego kolegę profesora doktora Richarda Allena – powiedział Grant. – To jeden z naszych najwybitniejszych naukowców, wielokrotnie wyróżniany i, moim zdaniem, w najbliższych latach kandydat do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny.

– Daj spokój, William – powiedział drwiąco wspomniany profesor i podniósł się z miejsca. Nie był zbyt wysoki. Miał sprężystą, lekką pochyloną sylwetkę typową dla wielu biegaczy. Odgarnął z twarzy uparte brązowe kosmyki i odebrał Grantowi pilota do obsługiwanie wideo.

– Pani prezydent, panie i panowie, znaleźliśmy się w sporych opałach. A tak naprawdę w cholernie potężnych opałach! Powiedziałbym nawet, że mamy przed sobą zwiastun nowej epoki. – Niedbałym ruchem kciuka wskazał przez ramię na serce, którego powierzchnia została zmieniona przez układ plam w trupią czaszkę.

– Jak stwierdził już pan sekretarz: to, co państwo tutaj widzą, jest

nieprawdopodobne. A mówiąc dokładnie: jest nieprawdopodobne *dla nas*. – Mimo niezwyklej powagi tematu w jednym kąciku jego ust igrał drwiący grymas, podczas gdy oczy jarzyły się mądrością i zdawały się przenikać na wylot wszystkich obecnych. – Nasuwa się zatem pytanie: jak to możliwe? Ewentualnie, znowu precyzując: kto potrafi coś takiego? – Odwrócił się w stronę ekranu. – To. Co to w ogóle jest? – I znowu stanął twarzą do słuchaczy. Za jego plecami ukazał się w powiększeniu bezkształtny obiekt w szaro-różowo-zielone plamy. – Pierwsze analizy lekarzy sądowych wykazały, że plamy na sercu są wynikiem zmian określonych fragmentów tkanek. W przybliżeniu przypominają one, jak państwo widzą, trupa czaszkę. A zmiany te zostały wywołane wirusami, które naszemu zespołowi udało się wyizolować z serca. Jak wynika ze wstępnych ekspertyz, nie wykazują one żadnych podobieństw z tradycyjnymi czynnikami zakaźnymi wywołującymi klasyczne zapalenie mięśnia sercowego, takimi jak strepto- czy stafylokokki, tylko z wirusami grypy. Dlatego nasz następny krok polegał na analizie genomu wirusa. Od całego wydarzenia minęło zaledwie kilka godzin, dlatego jesteśmy jeszcze w trakcie prac. Ale pierwsze wnioski są już gotowe.

Na monitorze ukazały się nieskończone szeregi liter. Jessica szybko zauważyła, że są to wciąż te same cztery litery powtarzane w różnej kolejności: A T G C. Adenina, tymina, guanina, cytozyna. Cegiełki DNA, elementy genomu.

„Wygląda naukowo, jednak niczego nie wyjaśnia” – pomyślała. Ale w końcu po to mieli przed sobą fachowca.

– I tu robi się ciekawie. Genom bowiem wykazuje podobieństwa z czynnikami wywołującymi grypę. Ale tylko niektórymi.

Kolumny liter w tle zostały oddzielone od kolorowej trójwymiarowej animacji licznych połączonych ze sobą w formie spirali kuleczek, tak jak Jessica widziała to już w innych prezentacjach. Podwójna helisa DNA.

– W genomie tego organizmu znaleźliśmy liczne fragmenty niewystępujące w zarazkach grypy. Na razie nie znamy ani ich pochodzenia, ani funkcji. Zakładamy, że mamy tu do czynienia z organizmem zmodyfikowanym genetycznie, krótko: GMO. A mówiąc precyzyjnie: z bronią biologiczną.

Odczekał, aż sens jego słów dotrze do zgromadzonych.

– Boże drogi! – szepnął sekretarz do spraw bezpieczeństwa krajowego. – Kogo jeszcze ona... trafiła? Zaraziła?

Przez żyły Jessiki płynął rozżarzony metal, jej żołądek zacisnął się w bolesnym skurczu. Teraz już rozumiała, po co te wymazy śliny w samolocie! „To pani próbowała reanimować Jacka Dunbraitha w Monachium?”. Coś uwięzło jej

w gardle. Znowu nie mogła złapać powietrza. Miała wrażenie, że z porów na jej czole wydzielają się krople potu, gdy tylko wyobraziła sobie, że być może na jej sercu tworzy się właśnie mordercza trupia czaszka. Dlaczego pozwolono jej tutaj siedzieć?

Doktor Grant, który przysłuchiwał się wykładowi Richarda Allena z boku, wyszedł do przodu.

– Właśnie to badamy. Dosłownie w kilka sekund po wystąpieniu tego fenomenu w sali sekcyjnej nasunęło się nam podobne pytanie, jakkolwiek absurdalnie może to brzmieć.

Wziął pilota z ręki Richarda Allena i coś na nim przycisnął. Na ekranie widać było ruchy ludzi w przyspieszonym tempie. Gorączkowo poruszające się palce na pierwszym planie, nerwowo przebierające nad sercem i plamami w formie trupiej czaszki, potem lekarz prowadzący włożył serce z powrotem do klatki piersiowej i wreszcie wszyscy zniknęli z zasięgu kamery.

– Natychmiast podjęliśmy niezbędne środki bezpieczeństwa, aby nie dopuścić do zagrożenia infekcją – wyjaśnił. – Przeciwno zagrożeniu przemawia fakt, że u żadnej z osób, z którymi Dunbraith miał ściślejszy kontakt w ciągu godzin i dni poprzedzających incydent...

„Takimi jak ja” – pomyślała Jessica w szoku.

– ...nie stwierdzono żadnych symptomów, nie mówiąc już o tym, że nikt nie doznał zawału serca.

„No tak, raczej bym to zauważyła” – przemknęło jej przez głowę. Kipiała z wściekłości, że nie ostrzeżono jej natychmiast, gdy tylko dowiedziano się o wirusie!

– Wiemy od osobistego lekarza Jacka Dunbraitha, że na kilka dni przed wyjazdem do Monachium pan sekretarz miał objawy infekcji grypowej. Należy przypuszczać, że to była faza zakaźna.

– W takim razie powinniśmy odizolować wszystkie osoby towarzyszące sekretarzowi stanu! – wykrzyknął sekretarz zdrowia.

Jessicę znowu oblał pot. Prawdopodobnie wyglądała tak, jakby właśnie wyszła spod prysznic. Nie pojmowała, dlaczego w ogóle musiała tu być.

Richard Allen ponownie zabrał pilota Grantowi i przywołał na ekran trójwymiarowy model DNA.

– Nie – odpowiedział. – Po pierwsze, członkowie delegacji, którzy wrócili dzisiaj do kraju, już zostali zbadani. Zakażeni mogą być bezpośredni współpracownicy sekretarza przebywający w ministerstwie przed wylotem delegacji cztery dni temu. Na razie poddaliśmy ich kwarantannie. U osób, które

dołączyły dopiero w Monachium, nie stwierdzono obecności zarazków. Okres, w którym chory może zarażać innych, trwający w przypadku wirusów grypy zwykle od jednego dnia do trzech, w Monachium już minął. Co powinno uspokoić przede wszystkim dzielną panią Roberts – rzekł, szczerząc się do Jessiki. Ona zaś poczuła, jak drżą jej wargi. Nie wiedziała jednak, czy z wściekłości, ulgi czy zaskoczenia, że Richard Allen jest tak wyczerpująco poinformowany i chwali ją przed panią prezydent. Jego szyderczy grymas przekształcił się w przyjazny uśmiech, kiedy dodał: – Już dawno mogła pani zdjąć tę maskę. Nikt pani tego nie powiedział?

Jessica, kipiąc ze złości, rozstrojona karuzelą emocji, ściągnęła osłonę z ust.

– No nie, takiej twarzy doprawdy nie należy zasłaniać! – wyszczerzył się znowu do niej, po czym zwrócił się do pozostałych: – Przejdźmy teraz do mojej drugiej tezy roboczej: uważam, że w przypadku tego wirusa mamy do czynienia nie z GMO przeznaczonym do konwencjonalnego masowego zastosowania, ale z niejako uszytym na miarę modelem, którego celem był właśnie sekretarz stanu. W związku z tym na razie nie musimy martwić się o ogół.

– Spersonalizowana broń biologiczna? – spytała prezydent. – Czy coś takiego jest już możliwe?

– Teoretycznie tak – odparł Allen. – I praktycznie także. Tyle że na razie nie w tak kompleksowym wymiarze, jaką wykazał ten organizm. Wystarczy pomyśleć, jakie warunki musiał spełnić: znaleźć drogę do ofiary, zainfekować innych nosicieli, ale nie wywołać u nich choroby, zidentyfikować właściwą ofiarę, zabić i na bis pozostawić jeszcze ślad.

– A może sekretarz został zarażony przez kogoś ze swojego bezpośredniego otoczenia? – wtrącił młody mężczyzna z drugiego rzędu. – Dostał coś w napoju albo coś w tym rodzaju.

Wszyscy spojrzeli na niego, nie kryjąc zdziwienia.

– Tę opcję też należy wziąć pod uwagę – stwierdził Richard Allen.

– Czyli wyklucza pan przypadek? – spytał sekretarz obrony.

Jessica przysłuchiwała się tylko jednym uchem. Wciąż jeszcze nie mogła uporać się z własnymi emocjami.

– W dużej mierze – odpowiedział Richard Allen. – To coś to jest *game changer*, punkt zwrotny.

– Kto według pana jest w stanie stworzyć taki organizm? – spytała prezydent.

– Nie znam nikogo takiego – odparł Richard Allen. – Nawet się nie domyślam.

– Ale przecież ktoś taki nie spadł nagle z nieba – rzuciła lekko zniecierpliwiona prezydent.

– Miejmy nadzieję – bąknął Allen. Ruchem głowy wskazał na sekretarza obrony. – Nie mam pojęcia, nad czym majstruje się w różnych laboratoriach wojskowych.

– Sądzę, że dzięki temu czemuś, jak pan to nazwał, zdołamy się czegoś nauczyć – zauważył sekretarz obrony. – W końcu nie przez przypadek mamy do czynienia z wirusami SARS i MERS pochodzącymi z Azji lub z Bliskiego Wschodu.

– Czy sugeruje pan ewentualne powiązania z terroryzmem, który ma swe źródła właśnie w tych rejonach świata?

– Pana zdaniem – wtrącił znowu sekretarz do spraw bezpieczeństwa krajowego – może chodzić w tym przypadku o islamskich terrorystów? Albo wręcz o atak Korei Północnej? Musimy natychmiast...

– Nic nie musimy! – przerwał mu ostro Richard Allen. – Gdyby nawet były to SARS albo MERS, to i tak nic by to nie znaczyło! Jeśli się chce, można kupić te wirusy w różnych laboratoriach na całym świecie.

– Ale najłatwiej byłoby chyba jednak na miejscu?

– Owszem. Jednak nie mamy tu do czynienia z żadnym z tych dwóch wirusów. To możemy wykluczyć już teraz. A szczegółowa analiza wymaga jeszcze trochę czasu – oświadczył Allen. – Wtedy dowiemy się więcej.

– Do tej pory będziemy oczywiście prowadzić dochodzenie za pomocą wszelkich dostępnych środków – wtrącił doradca do spraw bezpieczeństwa Waters. – Obecnie najważniejsze jest ustalenie drogi przenoszenia wirusa.

– Jestem pewny, że w departamencie stanu znajdziemy całkiem sporą liczbę zarażonych – oznajmił Richard Allen. – Napastnik lub napastnicy niewątpliwie starali się jak najszerzej rozprzestrzenić wirusa, aby zwiększyć prawdopodobieństwo, że dotknie on właściwą osobę. Ktoś, kto robi coś takiego, potrafi zdobyć się także na zupełnie inne rzeczy. Musimy być tego świadomi.

– Chce pan powiedzieć, że to mogło dotknąć równie dobrze każdego z nas?! – krzyknął sekretarz do spraw bezpieczeństwa krajowego. – To znaczy, że podobny wirus czai się gdzieś na mnie? Albo jest w drodze do pani prezydent? Chociaż go nie widzimy? Nie czujemy? Ani w żaden inny sposób nie zauważamy?

„Wizja budząca grozę” – przyznała w duchu Jessica.

– Gdyby chcieli pozbyć się wszystkich państwa, są prostsze sposoby – zażartował Allen.

– Jeśli mogę pozwolić sobie na pewną uwagę – odezwała się Jessica, starając się panować nad głosem. – Cały czas nasuwa mi się jedno pytanie: dlaczego dokonuje się tego rodzaju skomplikowanego ataku? Moim zdaniem ktoś chce nam w ten sposób coś zasygnalizować. A mówiąc dokładnie: zademonstrować swoją

przewagę i władzę nad nami. Czy to jest właściwy cel? Czy to tylko wstęp do czegoś większego? Dlatego uważam, że powinniśmy pilnie ustalić motywy i cele sprawców. Kim oni są? Czy to terroryści? Czy też jest to wypowiedzenie wojny przez wrogie państwo? I czego chcą?

– Nasze dochodzenie i płynące z niego ustalenia są oczywiście objęte absolutną tajemnicą – oświadczyła prezydent, po czym zwróciła się bezpośrednio do Ala Watersa: – To kwestia narodowego bezpieczeństwa. Chciałabym, aby tym zadaniem zajął się specjalny zespół kierowany przez któregoś z pana współpracowników.

Prezydent najwyraźniej zależało na tym, aby mieć bezpośredni dostęp do zespołu, a wiedziała, że będzie to możliwe raczej wtedy, gdy zostanie on podporządkowany doradcy do spraw bezpieczeństwa, a nie takim instytucjom jak FBI czy jedna ze służb wywiadowczych albo Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Twarze pominiętych oficjeli stężały w niemym osłupieniu.

– Tak jest, pani prezydent – powiedział Al Waters. – Przejmiemy to zadanie.

– Jess, zapraszam cię na słówko. – Al Waters zwrócił się do Jessiki po wyjściu z sali konferencyjnej. – Chciałbym, żebyś mi opowiedziała trochę więcej o wydarzeniach w Monachium – poprosił ją po drodze do swojego biura, leżącego bezpośrednio nad Situation Room, w zachodnim skrzydle Białego Domu.

Była już trzecia nad ranem, Jessica czuła ogarniające ją zmęczenie i marzyła o powrocie do domu. Miękki fotel, w którym się zapadła, zapraszał do drzemki.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – spytała, gdy Al usiadł naprzeciw niej. Mimo nieludzkiej pory wyglądał całkiem rześko.

– Nic – odparł. – Mam zamiar powierzyć ci kierowanie tym zespołem i dlatego cię tu zaprosiłem.

Jessica nagle całkiem otrzeźwiała. Pracowała w Białym Domu od trzech lat. Były promotor jej dysertacji doktorskiej, obronionej w School of Foreign Service na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie, bezpośrednio po swojej nominacji na doradcę do spraw bezpieczeństwa zaproponował jej, aby dołączyła do jego teamu. W tamtym czasie Jessica miała już za sobą trzy lata pracy dla przedstawiciela Stanów Zjednoczonych przy ONZ-ecie, a potem przeszła do organizacji pozarządowej zajmującej się projektami pokojowymi i programami bezpieczeństwa w krajach rozwijających się. Gdy na horyzoncie pojawiły się dzieci, zrezygnowała z nie zawsze bezpiecznej posady na rzecz asystentury w Katedrze Międzynarodowej Polityki Bezpieczeństwa Uniwersytetu Georgetown. Mimo że czasami miała wyrzuty sumienia wobec dzieci, dosyć szybko zaczęło nudzić ją to życie. Niektórzy mogli uważać ją za złą matkę, ale w końcu nie po to ciężką pracą zdobyła tytuł doktorski na jednej z najbardziej renomowanych szkół wyższych w kraju, aby przez całe lata zmieniać pieluchy albo tkwić byle gdzie na pół etatu, żeby tylko w każdej chwili być gotową do opieki nad potomstwem. Gdy więc Al Waters zaproponował jej posadę, zgodziła się, chociaż wiedziała, że na tym stanowisku znowu oczekiwać się będzie od niej pełnego poświęcenia. Chcąc nie chcąc, Colin musiał ograniczyć swoje zaangażowanie w firmie doradczej, aby mieć więcej czasu dla dzieci.

Dotychczas do jej zadań należały analiza, ekspertyzy i doradztwo, kierowała też niewielkimi teamami tematycznymi.

– To jest prawdopodobnie jedno z najważniejszych wyzwań ostatnich lat – powiedziała Alowi. – W naszym zespole są koledzy bardziej doświadczeni ode mnie.

– Właśnie dlatego chcę ciebie – odparł Al. – Jak powiedział profesor Allen: to jest *game changer*, nadchodzi nowa epoka. W związku z tym nikt, kto od kilkudziesięciu lat mieszka w tym waszyngtońskim kotle, na nic mi się nie zda. Tym razem musimy myśleć zupełnie inaczej. Jesteś najmłodsza wśród senior doradców i masz za sobą dosyć barwną karierę. Dlatego to właśnie tobie najszybciej jestem w stanie zaufać.

Jessica zdawała sobie sprawę, że to byłoby jak wyrzucenie jej z katapulty. Kobieta wśród niemal samych mężczyzn, na dodatek dosyć młoda i relatywnie mało doświadczona.

– A kto miałby należeć do tego zespołu specjalnego? – spytała.

– Powinnaś włączyć do niego po jednym przedstawicielu służb wywiadowczych i departamentów. Ale tylko tych, którzy naprawdę ci się przydadzą. Bezpieczeństwo krajowe, FBI, CIA... Bez zbytniego rozbudowywania. Jeśli ktoś będzie próbował być zbyt zachłanny, nie pozwól wyprowadzić się z równowagi. W razie czego przyjdź do mnie – powiedział, zapewniając ją w ten sposób o swoim wsparciu.

– A co z zewnętrznymi ekspertami? Richard Allen?

– Jak uważasz. Pod warunkiem że i on będzie skłonny do współpracy. W każdym razie na pewno został odpowiednio prześwietlony.

– Inaczej nie siedziałby przed chwilą z nami na dole.

– To jest początek czegoś całkiem dużego. Ale niczego dobrego. Jak zauważył już profesor Allen: tkwimy w potężnym gównie.

Już na korytarzu Jessica napisała esemesa do Colina. Zobaczy go dopiero, jak się obudzi, i raczej się nie ucieszy.

„Nowe zadanie. Na razie nie mogę przyjechać. Może na śniadanie. Ale nie liczcie na mnie. Konkrety już w domu. Całuję”.

Czekające ją obowiązki znowu obudziły w niej potrzebę kąpieli. Na prysznic nie było jednak czasu. Już ze swojego biura zadzwoniła w pierwszej kolejności do Richarda Allena, aby zanadto się nie oddalił. Zawsze dobrze jest mieć sojuszników na zewnątrz. Funkcjonariuszy służb poprosi o współpracę w drugiej kolejności.

Gdy odebrał niemal natychmiast, przedstawiła mu się.

– Tajemnicza kobieta z maską – powiedział, chyba się uśmiechając.

– Będę kierować zespołem specjalnym – oznajmiła wprost. – I chętnie włączyłabym pana do niego.

– Może najlepiej będzie omówić wszystko przy kawie – zaproponował. – O tej

porze bardzo mi się przyda.

W ciągu pół godziny Jessica zwerbowała do zespołu specjalnego po jednym przedstawicielu z najważniejszych służb i departamentów. W sumie siedem osób. Zaprosiła ich na godzinę ósmą na pierwszy briefing w Situation Room.

Odświeżywszy sobie makijaż i pociągnąwszy usta szminką, zeszła do surowej minikantyny, gdzie umówiła się z Richardem Allenem.

– Urocze miejsce na randkę – przywitał ją. Już zdążył nalać sobie parującej kawy z automatu.

– Najważniejsze, że randka urocza – odcięła się Jessica.

– *Touché!*

Mimo mdłego światła, nieludzkiej godziny i jednodniowego zarostu wyglądał świeżo.

– Raczej trudno byłoby omówić nam tę sprawę na bankiecie – zauważyła.

– Czym mogę pani służyć? – spytał z palcem na przycisku maszyny.

– Poproszę podwójne espresso.

– Czyli to pani będzie kierować zespołem specjalnym – stwierdził, czekając przy automacie. – I ja mam się w nim znaleźć.

– To pan określił ten wirus jako *game changer*. I myślę, że chciałby pan być przy tym zwrocie akcji.

Wypił łyk, nie spuszczać z niej wzroku. Od kącików jego oczu biegły wyraźne zmarszczki mimiczne.

– Tak łatwo mnie przejrzeć? – rzucił, uśmiechając się lekko, po czym odstawił swój kubek.

Jessica wyciągnęła do niego rękę.

– Witam w zespole! Jestem Jessica.

Ujął ją i uściśnął. Miał przyjemny, ciepły dotyk.

– Rich.

Podał jej kubek z espresso i oboje usiedli przy jednym z niewielkich stolików.

– No dobrze, Rich, opowiedz mi trochę więcej.

– Czterdzieści trzy lata, jestem rozwiedziony, mam dwoje na wpół dorosłych dzieci, które mieszkają z moją eks i które o wiele za rzadko widuję, biegam i uwielbiam szaleć na swojej kolarzówce...

– O wirusie – przerwała mu Jessica.

– Ach, tak – rzucił, uśmiechając się szelmowsko.

– Przydałoby mi się też krótkie wprowadzenie w temat inżynierii genetycznej.

– Okej. Od czego mam zacząć?

– Jak można wyprodukować taki wirus? Wspomniałeś, że stworzenie czegoś tak skomplikowanego nie jest jeszcze możliwe.

– I tak, i nie. Od dwa tysiące dwunastego roku inżynierię genetyczną zrewolucjonizowało pewne odkrycie...

– CRISPR-Cas9.

– No właśnie. Clustered Regularly Interspaced Short Palindromic Repeats. Cas9 to określone proteiny. Od pierwszej publikacji w dwa tysiące dwunastym roku na całym świecie przeprowadzono już tysiące eksperymentów.

– Być może także w zakresie broni biologicznej – wtrąciła Jessica.

– Należy przypuszczać, że tak.

– O ile wiem, za pomocą metody CRISPR-Cas9 można wprowadzać zmiany w dowolnym miejscu DNA. Tak jak byśmy przecięli wstążkę nożyczkami dokładnie tam, gdzie chcemy, po to żeby dezaktywować wadliwy gen lub zastąpić go prawidłową wersją.

– Można by to tak obrazowo opisać...

– I co nie mniej ciekawe, ta metoda nie pozostawia żadnych śladów w poddanym manipulacji organizmie.

– Oczywiście! – potwierdził Rich. – Co sprawi, że dyskusja na temat modyfikowanej żywności będzie w przyszłości niezwykle interesująca...

– ...albo w ogóle niemożliwa. Jeżeli nie da się genetycznie modyfikowanych organizmów rozpoznać jako takie. Kto będzie chciał hodować *genfood*, będzie robił to bezkarnie, ponieważ nikt niczego mu nie udowodni.

– W dużym uproszczeniu: tak, to prawda – przyznał Rich, machnąwszy ręką. – Ale nie zapominajmy o dyskusji w Europie. Również tam coraz więcej fachowców i polityków uważa, że wcale nie mamy do czynienia z inżynierią genetyczną, gdy na przykład wydzielony z jakiegoś gatunku jabłka gen odpowiadający za odporność na określone szkodniki zostaje przeniesiony do innego gatunku jabłka, któremu brak takiej cechy. Jabłko nadal pozostaje jabłkiem i podobny rezultat dałoby się być może osiągnąć w wyniku uprawy, tyle że trwałoby to dłużej, byłoby kosztowniejsze i mniej precyzyjne.

– Ale kiedy gen pochodzi z innego gatunku, na przykład z naturalnego przeciwnika tego szkodnika, ze zwierzęcia?

– Wtedy sprawa nie jest taka prosta. – Richard opróżnił swój kubek i uśmiechnął się do niej. – Tak czy inaczej, widzę, że orientujesz się w tej problematyce bardziej niż większość znanych mi osób. Moje uznanie.

Jessica zignorowała pochlebstwo.

– Czyli ta technologia istnieje. Skąd więc to twoje: „I tak, i nie”?

– Chodzi o wiedzę na temat właściwości niezbędnych genów – powiedział Rich. – Oczywiście wiele informacji można już dziś znaleźć w bankach danych. Musimy jednak poczekać na analizę szczegółową. Który to dokładnie szczep grypy? Co zostało dodane? Może przy okazji natrafi się na ślad, na przykład za pośrednictwem precyzyjnych pytań kierowanych do banku danych, i uda się w ten sposób go prześledzić, cofając się do samego początku.

– Obok motywu najbardziej interesuje mnie jeszcze coś innego... – zaczęła Jessica. – Wspomniałeś, że ktoś, kto umie stworzyć taki wirus, potrafi też inne rzeczy. Czy to znaczy, że gdzieś w przestrzeni zewnętrznej mogą już czyhać także inne zaawansowane GMO? I być może sekretarz stanu nie jest wcale pierwszą ofiarą?

– Jest to całkowicie możliwe, chociaż trudne do stwierdzenia, dopóki nie będą zostawiane tak jednoznaczne ślady jak na przykład trupia czaszka.

– Znak piratów – powiedziała w zamyśleniu Jessica.

– Ale przede wszystkim symbol śmierci.

Przez pół nocy wylękniona Hannah czekała w domu, nieustannie walcząc z myślami, podczas gdy Jim i jego ludzie przeczesywali najciemniejsze zakamarki Bostonu w poszukiwaniu Jill. Na próżno. Kiedy o świcie oboje wyruszyli do banku, mimo zmęczenia byli zupełnie przytomni.

Oddział Boston Credit Institute leżał w centrum, niedaleko portu. O siódmej rano był jeszcze zamknięty dla klientów. Hannah i Jim weszli do budynku przez szklane drzwi obrotowe. W środku czekali na nich: dyrektor oddziału, jeden z jego współpracowników, Gardner, funkcjonariusz z wydziału przestępstw finansowych bostońskiej policji i młody mężczyzna z prokuratury. Wszyscy mieli podkrążone oczy. Niewykluczone, że pracowali w nocy.

Dyrektor oddziału zaprowadził ich do salki konferencyjnej. Na stole leżało kilka plików papierów. Oparłszy na najwyższym z nich prawą rękę, powiedział:

– June Pue była dosyć aktywna.

Rozłożył przed nimi niektóre dokumenty. Hannah ogarnęła je wzrokiem. Wyciągi z konta. Dziesiątki transakcji. Czasem siedmiocyfrowe kwoty.

– June Pue jest bezdomną narkomanką – oznajmiła sucho policjantka Gardner, wpatrując się w jedną z kartek. – A nie milionerką. – Spojrzała na Hannah. – Ani córką milionerki, jak Jill.

– Nie naruszyliśmy żadnych przepisów – zapewnił dyrektor.

– W to nie wątpię – wtrącił policjant z wydziału przestępstw finansowych. – Jak często ta dama była w oddziale?

– Jeden raz – wyjaśnił pracownik oddziału. – Przy okazji otwarcia konta. Wszystkie inne operacje załatwiała przez internet.

– Jakim dokumentem się legitymowała?

Dyrektor rozłożył papiery z innego pliku.

Kopie prawa jazdy, rachunku za telefon i za energię elektryczną. Gardner przyjrzała się im pobieżnie.

– To jest ówczesny adres Henry’ego Balsama – stwierdziła. – Widocznie pani córka sfałszowała rachunki – dodała. – W końcu to żadna wielka sztuka.

– Widzę to po raz pierwszy – oznajmiła Hannah. W głębi ducha przeklinała i zadawała sobie pytanie, kiedy i jak Jill mogła to wszystko niezauważenie sprokurować.

– Ja cię kręcę! – wymamrotał młody prokurator, który na chybił trafił wyciągnął parę papierów z grubego stosu. – Przecież tu są miliony!

Funkcjonariusz z wydziału przestępstw finansowych też sięgnął po kilka kartek. Studiował je wnikliwie, a potem odkładał jedną za drugą.

– Przelewy na inne konta – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Znam ten kod banku. Offshore, Kajmany.

– Przelewy bezdomnej ćpunkki? – spytała go Gardner.

– Wygląda to na klasyczną metodę prania brudnych pieniędzy – wyjaśnił. – Znajduje się jakiegoś bezdomnego, który nie do końca na niego wygląda i ma jakikolwiek dokument tożsamości. Obiecuje mu się trochę pieniędzy i wysyła go do banku ze sfałszowanymi rachunkami za telefon i prąd wystawionymi na niego. Tam każe mu się otworzyć konto na jego nazwisko. Dalsza komunikacja odbywa się już drogą pocztową. Ale większość spraw załatwia się elektronicznie. Fizycznie trzeba tylko wysłać na jakiś adres kartę kredytową.

– A jeżeli ten Balsam opowiedział wam bajeczkę? – zakwestionował prokurator.

– Niby dlaczego?

– Bo to on sam wysłał do banku tę bezdomną.

– Gdyby zrobił jakiś przekręt, to nie zgłosiłby się z własnej woli na policję – powiedziała Hannah.

– A może uważa się za wyjątkowego spryciarza – wtrąciła Gardner. – Jeśli nie, to znaczy, że pani córka zrobiła przekręt. Jakikolwiek on jest.

Hannah obawiała się tego, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, z jakich powodów Jill mogłaby się dopuścić czegoś takiego. Chciała się też dowiedzieć, na czym ten przekręt dokładnie polegał.

– Sprawdzenie wszystkiego zajmie nam trochę czasu – zauważył policjant od przestępstw finansowych, wciąż patrząc na papiery.

– Nie mamy go – rzekła Hannah. – Potrzebne są szybkie wnioski. – Potoczywszy wzrokiem po wszystkich, dodała: – Jill chciała mieć to konto w określonych celach. I jak tylko je założyła, pewnie pierwsze operacje dotyczyły właśnie ich. Jakie były pierwsze operacje?

Asystent dyrektora oddziału rozłożył kilka kartek wyjętych z plików. Wszyscy razem stanęli nad nimi i czytali. Kierując się datami, szukali ruchów na koncie zaraz po jego otwarciu.

– Odebrała kartę kredytową – powiedział dyrektor, zatrzymując palec na odpowiedniej kolumnie.

– Założyła konta u brokera internetowego – dodał jego asystent, wskazując na wyciągi.

– Zapłaciła firmie o nazwie Servzon – odezwał się policjant z finansowego.

– Nie znam takiej – odpowiedział dyrektor.
Jim sprawdzał już w wyszukiwarce, którą uruchomił w telefonie.
– Usługodawca oferujący wirtualne miejsca pamięci i serwery – wyjaśnił. –
Czyli serwery na wynajem. Do czego potrzebny jej serwer?
– Trzeba się do niego dostać! – zażądała Hannah.
– Możemy kazać im go udostępnić – powiedział prokurator.
– Jak szybko?
– To zależy, na ile będą gotowi do współpracy. Ale w przypadku, kiedy chodzi
o zaginioną nastolatkę i być może narkotyki...
– Nie chodzi o narkotyki – zapewniła Hannah.
– Ile ona ma lat? – spytał prokurator.
– Piętnaście – odpowiedziała Hannah.
– I już studiuje na MIT? – zdziwił się policjant. – Czyli nie jest głupia.
– To wszystko musimy zabrać – oznajmił prokurator. – Poproszę także o wersję
elektroniczną.
– Oczywiście – zgodził się dyrektor oddziału. – Mój asystent zajmie się tym.
Tuż przed wyjściem Hannah odciągnęła dyrektora na bok i pozostała razem
z nim i z Jimem kilka kroków za resztą.
– Czy moglibyśmy otrzymać kopie tych dokumentów? Wygląda na to, że moja
córka jest w to w jakiś sposób zaplątana. Być może jest nawet inicjatorką
wszystkiego.
– Oficjalnie chodzi o konto June Pue – zakwestionował dyrektor.
Hannah nadała swemu głosowi błagalny ton.
– Potrzebujemy pilnie jakiegoś tropu! Mojej córki nie ma już prawie cały
dzień. Od kiedy zobaczyłam te papiery, boję się jeszcze bardziej, że wpadła
w jakieś poważne kłopoty. Przecież ona ma zaledwie piętnaście lat!
Dyrektor zmierzył ją wzrokiem, marszcząc brwi. Hannah westchnęła teatralnie.
– No dobrze – bąknął.

Plantacje warzyw ciągnęły się tak daleko, jak tylko Jegor sięgał wzrokiem. Pomidory, cukinie, bakłazany, pizmian, sałaty, fasola... Bujne zielone rośliny w tłustej, wilgotnej ziemi. Uprawy rozplanowane dokładnie co do metra kwadratowego, wysiane i wyhodowane na podstawie ogromnej masy danych komputerowych, które sami gromadzili przez lata, potem połączyli z kupionymi danymi dotyczącymi właściwości gleby i zawartości mikroorganizmów, perspektyw klimatycznych i prognoz pogody, a następnie pobrali je precyzyjnie co do sekundy i przetworzyli. Na tablecie trzymanym w ręce Jegor mógł praktycznie w odniesieniu do każdego ziarna w ziemi, w odniesieniu do każdej rośliny na polu przywołać dziesiątki wykresów, grafik, diagramów i tabel. Robił to co najwyżej dla zabawy albo dla ilustracji przy okazji wizyt zwierzchników. Właściwą robotę wykonywały automatycznie inteligentne programy sterujące.

Zupełnie inaczej niż na nędznych poletkach drobnych chłopów w dalszej okolicy i w przeważającej części kraju. Jego pracodawca miał oczywiście inne środki do dyspozycji. Dobre dziesięć lat temu Saudyjczyk nakupił w Tanzanii ziemi o powierzchni równej wielkości małych europejskich księstw. I nie był w tym bynajmniej osamotniony. Inwestycje, określane przez organizacje pozarządowe i obalonych podstępnie za łapówki polityków opozycji jako *land grabbing*, czyli grabież ziem uprawnych, wręcz eksplodowały wraz ze zmianą politycznego porządku na świecie na początku dwudziestego pierwszego wieku. Na wpół państwowe lub prywatne podmioty z Chin, Indii, Półwyspu Arabskiego, Korei Południowej, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemiec i innych krajów rozwiniętych odkryły, że skrajnie biedna Afryka Subsaharyjska może być spichlerzem zbóż, warzyw i owoców idealnym dla zaspokojenia potrzeb własnych bogatych narodów. Z rozmachem dzierżawiono lub kupowano więc całe połacie ziemi, aby za pomocą najnowocześniejszych metod zapewnić zaopatrzenie dla własnej ludności lub koncernów. Raz po raz padały zarzuty, że rodzimi mieszkańcy tych terenów byli rugowani ze swoich ziem, podczas gdy skorumpowani urzędnicy i politycy nabijali sobie milionowe konta w Szwajcarii czy Singapurze. Jegor nie wiedział, co z tego jest prawdą, zresztą to nie leżało w zakresie jego kompetencji. On odpowiadał za wzrost roślin. A to wychodziło im sto razy lepiej niż miejscowej ludności. Wbrew chętnie upowszechnianemu przez organizacje pomocowe obrazowi tubylców żyjących w harmonii z przyrodą to właśnie oni na ogół w brutalny sposób niszczyli ową naturę, a tym samym także

podstawę własnej egzystencji. Osiemdziesiąt procent tanzańskiego społeczeństwa stanowią drobni chłopcy żyjący z rolnictwa samozaopatrzeniowego, które nie dostarcza im nawet tego, czego potrzebują do życia. Pomimo to zamiast z głową uprawiać swoją ziemię, wyniszczali ją przez zbyt częstą kultywację niewłaściwych produktów, złe płodozmiany oraz nieodpowiednie nawadnianie i nawożenie. Susze, powodzie i szkodniki dokładały swoje. Nierzadko niewielkie poletki stawały się jałowe już po kilku latach i musiały minąć dziesięciolecia, aby się zregenerowały. O ile jeszcze w ogóle ktoś zawracał sobie tym głowę. Nie wyciągając z tego nauk i wniosków, miejscowi chłopcy przynosili się dalej, wypalali następny kawałek lasu, by w ciągu niewielu lat zamienić kolejny grunt w ugór. ArabAgric – koncern, dla którego pracował Jegor – zapewnił wielu z nich pracę i zarobek kilkakrotnie przewyższający ich wcześniejsze dochody. Ponadto dzięki różnym projektom sprzyjał zaludnieniu okolicy, finansował szpitale, szkoły i inne placówki oświatowe. Niech tam aktywiści różnej maści nazywają to sobie wyzyskiem, ale Jegor widział na własne oczy, że robotnicy na polach ArabAgric są szczęśliwsi, zamożniejsi i zdrowsi od drobnych chłopów naokoło, a ich dzieci chodzą do szkoły, niektóre nawet studiuje na uniwersytetach. Praca na plantacjach była bardzo pożądana. Gwoli ścisłości trzeba powiedzieć, że prowadzono także inne projekty, w ramach których chłopcy uczyli się za pośrednictwem narodowych i międzynarodowych organizacji, jak uprawiać swoją ziemię, tak by była wydajniejsza i rodziła jak najdłużej. Niektórzy z nich potrafili nawet zaspokajać rosnący głód zachodniego świata na produkty bio. Jednakże własnego ciągle nie umieli nasycić.

Ale tak to już jest na tym świecie. On sam po studiach nie widział w swojej ojczystej Białorusi żadnych perspektyw i dlatego z niej wyjechał. I tak oto trwa nieustanna wędrówka ludów. Podczas gdy jedni w nadziei na lepsze życie przedzierali się przez pustynię i morze do Europy, inni przynosili się z niej na kontynent, któremu na najbliższe dziesięciolecia przepowiadano gigantyczny boom gospodarczy. A Jegor miał już w nim swój udział. Nawet na Zachodzie rolnictwo nadal kojarzyło się wielu ludziom z obrazem romantycznego i malowniczego wiejskiego obejścia jak z reklamy, a tymczasem obecnie w optymalnych warunkach było ono jedną z najbardziej rozwiniętych gałęzi produkcji przemysłowej, w pełni zautomatyzowaną i zdigitalizowaną. Współpracując w minionych latach z wielkimi zachodnimi koncernami, Jegor z sukcesem wyhodował, przetestował i wprowadził do masowej produkcji nowe odmiany roślin odporne na suszę i szkodniki. Pracę nad nimi można by porównać z pracą przy projektowaniu nowego modelu samochodu albo oprogramowania.

Większość zadań wykonywana była w laboratorium albo przy komputerze. Nowoczesna technologia zrewolucjonizowała zarządzanie uprawami. Dzięki niej można dzisiaj znacznie dokładniej przewidywać pogodę i w konsekwencji wydajniej planować niezbędne nawadnianie, obliczać prawdopodobne szerszenie się szkodników i odpowiednio mu zapobiegać, określać różne właściwości gleby niemal w każdym metrze kwadratowym i optymalnie dostosowywać do nich rodzaje upraw.

Nie brakuje krytyków, którzy uważają taką formę rolnictwa za gwałt na naturze. Inni z kolei argumentują, że tradycyjne metody są niewystarczające dla wykarmienia wciąż rosnącej populacji ludzi na świecie. Jegor nie miał zdania na ten temat. Saudyjczycy płacili dobrze. I jemu, i jego pracownikom. Na skraju rozległego pola pomidorów omawiał właśnie z jednym z nich plan na najbliższe dni, gdy zadzwoniono do niego z laboratorium.

– Chodzi o te próbki kukurydzy, które nam przywiozłeś – odezwał się jego kolega. – Mamy gości. Mógłbyś wpaść?

– Jeśli to pilne.

– Pilne.

– Okej. Jestem w terenie, na działce M438. Będę za kilka minut.

Siedział wygodnie w samochodzie i nie musiał grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu identyfikatora ani przytykać go potem do żadnego urządzenia – dzięki automatycznemu systemowi identyfikacji mógł swobodnie przejechać przez otwarty szlaban przed kompleksem administracyjnym. Minął dwukondygnacyjne budynki biurowe dystrybutorów, na których fasadzie pyszniło się logo ArabAgric, zostawił po prawej parterowy budynek kontrolny jakości i zaparkował przed rozległymi obiektami mieszczącymi szklarnie i plantacje testowe, składającymi się na dział badawczo-rozwojowy. W żarze bijącym od asfaltu na parkingu stały głównie samochody terenowe i nieduże auta osobowe. Nad ich karoseriami drżało powietrze.

Jegor przeszedł obok laboratoriów, w których naukowcy z siedemnastu krajów pracowali nad doskonalszymi nasionami, efektywniejszymi mikroorganizmami użyźniającymi glebę oraz nad innymi metodami zwiększającymi zbiory. Zmierzał do laboratorium numer 7 i do Stavrosa Patrasa.

Potężny Grek przywitał go jowialnym śmiechem i potrząśnięciem dłoni. Jego okazały brzuch prawie nie mieścił się w białym kitlu.

– Ty stary Rusku, i coś ty nam tu znowu przywłókł? Nie możemy się opędzić od gości.

Patras, podobnie jak on, uciekł przed laty ze swojej objętej kryzysem ojczyzny w bardziej obiecujące rejony. Królował wśród stołów zastawionych probówkami, szalkami Petriego i innymi stalowymi lub szklanymi naczyniami laboratoryjnymi. W niektórych kiełkowały jasnozielone listki, w innych czekały płynne pożywki albo bliżej nieokreślone ciecz. Na jednym ze stołów tuż obok laptopa leżały kawałki kolby, liści i łodygi kukurydzy.

Oglądali je uważnie czterej mężczyźni, których Jegor nigdy wcześniej nie widział.

– To są koledzy reprezentujący naszego partnera w pracach badawczych i rozwojowych – przedstawił ich Stavros. – Zainteresowali się twoją kukurydzą.

Trzech z nich podeszło do wielkich kufrów w rogu laboratorium. Czwarty podał rękę Jegorowi.

– Gordon Hemsworth. Ma pan może też próbki roślin z ubiegłego roku? – spytał bez żadnego wstępu.

– Nie – odpowiedział Jegor. Nie pomyślał o tym. Bo właściwie po co?

– No dobrze – odparł Gordon. – Wobec tego musimy je jakoś zdobyć. Mógłby nam pan w tym pomóc? Wszystko zostało już ustalone z pańskim pracodawcą. Dostanie pan na to wystarczająco dużo czasu.

Jegor wzruszył ramionami.

– W porządku.

– Super! Cieszę się! – wykrzyknął Gordon, jeszcze raz serdecznie ściskając mu rękę. Następnie zwrócił się do Stavrosa: – Na jakim etapie jest sekwencjonowanie?

– Jeszcze trwa – odpowiedział Grek.

– Musimy to przyspieszyć – rzekł Gordon, po czym podszedł do swoich kolegów, którzy tymczasem zaczęli rozstawiać na wolnym stole urządzenia z kufrów.

– Wow! – wyrwało się Stavrosowi. – Maszyny trzeciej generacji do sekwencjonowania DNA.

– Najświeższa z nowinek – oznajmił nie bez dumy Gordon.

– My też nie mamy tutaj złego sprzętu – zaczął Stavros – ale to...

– Co to jest? – spytał go po cichu Jegor, gdy Gordon dawał wskazówki swoim kolegom.

– Supernowoczesne aparaty do sekwencjonowania. Tak zwane sekwencjonowanie umożliwia odczytywanie kolejności nukleotydów w cząsteczce DNA. Pewnie pamiętasz Human Genome Project, którego celem było zsekwencjonowanie ludzkiego genomu. Projekt rozpoczął się pod koniec

ubiegłego stulecia i trwał kilka lat. Opracowane od tamtej pory metody umożliwiają znacznie szybsze i tańsze odczytywanie kodu genetycznego. Dlatego obecnie mówi się o technologii sekwencjonowania trzeciej generacji. To umożliwia firmom przeanalizowanie na przykład twojego genomu za sto dolarów z kawałkiem. – Wskazał na ludzi Gordona. – Ci goście rozstawiają właśnie na moim stole urządzenia warte kilka milionów dolarów. Specjalnie przywieźli je tu samolotem. Twoja kukurydza musiała ich rzeczywiście zaniepokoić.

Tym razem u szczytu stołu w jednej z sal konferencyjnych Situation Room siedziała Jessica. Towarzyszyli jej przedstawiciele Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, Departamentu Spraw Wewnętrznych, FBI, CIA, NSA, CDC. Oraz Rich. W drugim szeregu zasiedli asystenci swoich przełożonych. Wśród jednych i drugich zdecydowanie przeważali mężczyźni.

– Mamy przed sobą niezwyklej wagi zadanie – oznajmiła Jessica zgromadzonym. – Musimy najszybciej jak to możliwe znaleźć twórców wirusa. W tym celu przyjmujemy cztery punkty wyjścia. Po pierwsze, musimy ustalić, jaką drogą wirus dotarł do Jacka Dunbraitha. Do zakażenia doszło prawdopodobnie sześć do ośmiu dni temu, jeszcze w Waszyngtonie, kiedy stwierdzono u niego objawy infekcji grypowej. Pan Allen, Rich, twierdzi, że chodzi o wirus, który nie przenosi się drogą kropelkową, tylko przez kontakt skóry z materiałem zanieczyszczonym. To na szczęście ogromnie zawężyło pole naszych poszukiwań. Jack Dunbraith musiał dotknąć nosiciela zakażenia. Albo przedmiotu, z którym ów nosiciel miał kontakt tuż przedtem.

Jaylen Bland, reprezentujący FBI, mruknął:

– To i tak pozostawia wiele możliwości. – Pochylił się nad kilkustronicowym wydrukiem. – Agenda Dunbraitha na tamte dni obejmuje ponad siedemdziesiąt spotkań. Plus kilkaset osób, które znajdowały się w tych samych pomieszczeniach co on, zatem mogły dotykać także tych samych co on papierów, klamek, blatów stołów, butelek z wodą i innych przedmiotów.

– Politycy wszędzie wtykają paluchy – westchnął Rich.

Jessica obrzuciła go karcącym spojrzeniem i mówiła dalej:

– Trzeba więc sprawdzić całe otoczenie ofiary, aby dotrzeć do źródła zakażenia. Zablokowaliśmy domy Dunbraithów i mieszkanie sekretarza. Cała delegacja przebywająca w Monachium została już przebadana, włącznie ze mną. Oczywiście musimy prowadzić wszystkie działania bardzo dyskretnie. I uważać na media, żeby niczego nie wywęszyły. Nimi zajmie się biuro prasowe Białego Domu, rzecz jasna w koordynacji z nami. Po drugie, interesująca dla nas jest specyfika czynnika zakaźnego. Jeśli, jak zakładamy, został on rzeczywiście indywidualnie opracowany z przeznaczeniem do zaatakowania konkretnego organizmu, jego twórca potrzebował w tym celu modelu materiału genetycznego sekretarza.

– To nie takie proste, jak by się mogło wydawać – oznajmił Tom Cantor

z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. – Prawdopodobnie nie wszyscy z państwa wiedzą, że już od dobrych kilku lat chronimy informacje genetyczne wszystkich członków rządu i innych ważnych polityków, na ile oczywiście jest to możliwe. Osoby te są zbriefowane i uprzedzone o tym, że powinny zachowywać w swoich kontaktach daleko posuniętą ostrożność. Żadnego ściskania dłoni osobom niesprawdzonym, żadnego przekazywania osobistych przedmiotów obcym bez uprzedniego starannego wyczyszczenia ich powierzchni, żadnego wyrzucania zużytych chusteczek do nosa w miejscach publicznych i tak dalej, i tak dalej. Zachowanie takiej przezorności i powściągliwości jest oczywiście szczególnie trudne przy okazji wystąpień publicznych, a także w sferze prywatnej, na przykład przy spotkaniach z kolegami szkolnymi własnych dzieci i przy innych tego rodzaju okazjach.

– Na przykład schadzkach z kochanką – bąknął z ironicznym uśmiechem Rich. Tom zignorował jego uwagę.

– Ochrona osobista od jakiegoś czasu obejmuje również tę sferę. Członkowie obstawy mają obowiązek czyścić albo zabezpieczać wszystkie krytyczne pod tym względem przedmioty, choćby używane szklanki, dotknięte klamki, kości ogryzione na *grill party*, by wymienić kilka najprostszych sytuacji. Doszło do tego, że przeszukujemy internetowe platformy zakupowe, żeby sprawdzić, czy ktoś nie sprzedaje przypadkiem koszulki sportowej, którą dana osoba nosiła w college'u i w której w pozostałościach potu mogło się zachować dające się jeszcze wykorzystać DNA. Kupujemy takie rzeczy przez podstawionych ludzi i w ten sposób wycofujemy je z obiegu. Ale oczywiście nie jesteśmy w stanie wychwycić wszystkiego.

– Wystarczy, że natraficie na tę jedną jedyną rzecz... – wtrąciła Jessica.

– To jak szukanie igły w stogu siana – zauważył Tom. – I to tak dużym jak cały świat.

– Jest jeszcze trzeci punkt wyjścia – powiedziała Jessica, wskazując głową na Jaylena.

– W dwa tysiące szóstym roku FBI stworzyło biuro przeciwko broni masowego rażenia – zaczął Jaylen. – Od tamtej pory specjalny zespół do spraw biologicznych środków przeciwdziałania trzyma rękę na pulsie. A trzeba wiedzieć, że zmiany w tej dziedzinie następują w zawrotnym tempie. Toteż zespół śledzi nie tylko postępy naukowców, ale i ma pod lupą ciągle rosnącą rzeszę biohakerów. Spodziewano się, że podobnie jak w przypadku hakerów zabezpieczeń internetowych również tutaj wykształcą się różne odmiany odpowiadające White Hats, Grey Hats i Black Hats, czyli konstruktywnym

hakerom działającym legalnie, takim, którzy czasami balansują na granicy prawa, ale raczej po to, by odkryć ewentualne dziury w zabezpieczeniach, oraz tym, którym przyświecają cele przestępcze, terrorystyczne czy wręcz wojenne. Ze wspólnotą legalnych „genetyków garażowych” biuro zbudowało w ciągu minionych lat korzystną relację, mimo że nie wszyscy jej członkowie pochwalają te kontakty. FBI organizuje nawet co roku konferencję samorodnych biohakerów i sponsoruje konkurs iGEM Massachusetts Institute of Technology. Ale...

– Co to jest iGEM? – spytał ktoś z obecnych.

– International Genetically Engineered Machine Competition – wyjaśnił Rich.

– Międzynarodowy konkurs dla uczniów i studentów, w którym uczestnicy z tak zwanych biobricków, czyli standardowych części biologicznych, mają stworzyć nowe systemy biologiczne. Konkurs odbywa się od dwa tysiące trzeciego roku. Dziś jest już wielką imprezą z udziałem zespołów z całego świata. Te dzieciaki są tysiąc razy bystrzejsze od ich sponsorów – zakończył z dość jednoznacznym uśmiechem skierowanym do Toma, który zignorował go po raz drugi i mówił dalej:

– Nasze kontakty ograniczają się jednak do Stanów Zjednoczonych. Myśl o Europie Zachodniej nie wywołuje u nas bezsenności, ponieważ tamtejsze laboratoria i sfera DIY podlegają wyjątkowo surowym przepisom. Natomiast znaczna część Europy Wschodniej, Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej to czarne skrzynki.

– Dziękuję. – Jessica z powrotem zabrała głos. – Z pewnością skorzystamy z tych kontaktów, aby dyskretnie zyskać rozeznanie w ewentualnych plotkach czy informacjach. Odkryty organizm jest wysoce skomplikowany – kontynuowała. – Szczegółowe analizy nadal trwają, ale jedno jest już jasne: tego rodzaju wirusa nie byłby w stanie zmagistrować pierwszy lepszy garażowy genetyk. Chociaż również w tym środowisku nie brakuje graczy dysponujących wystarczająco zaawansowanym wyposażeniem oraz know-how. Poszczególne „cegiełki”, bo chyba tak to można nazwać, obecnie da się dosyć prosto zamówić u odpowiednich producentów, również online. Są to na ogół specjalistyczne laboratoria pracujące na zlecenie. Chociaż wiele z nich dobrowolnie podporządkowuje się pewnym ograniczeniom, to jednak nie podlegają one obligatoryjnym przepisom bezpieczeństwa czy dystrybucji. Może więc w tym segmencie rynku znajdziemy kogoś, kto producentom broni dostarcza, że tak powiem, części do amunicji. Poza tym do wytworzenia takiego organizmu niezbędne jest wyposażenie, które jest dostępne jedynie w profesjonalnym laboratorium albo które trzeba gdzieś kupić. Zakładając, że zarazek nie powstał

w profesjonalnym czy wręcz państwowym laboratorium, należy sprawdzić wszystkie giełdy typu second hand w poszukiwaniu odpowiednich transakcji w ostatnich latach. Biorąc pod uwagę specyfikę „towaru”, raczej nie powinna to być nieprzebrana ilość i trudna do oszacowania liczba.

– Życzę szczęścia – bąknął Tom.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo – odpowiedziała Jessica i zwróciła się bezpośrednio do niego, ponieważ przyszedł jej do głowy pewien pomysł. – Zdaje się, że wspomniał pan wcześniej o papierach, klamkach i butelkach, których najpierw mógł dotknąć nosiciel, a potem Dunbraith?

– Tak.

– Jak mogło dojść do zakażenia? Przez papier? List? Czy jak w przypadku zarasków wąglika w liście musiałyby się znaleźć biały proszek albo coś w tym rodzaju? Rich?

– Nie – odpowiedział profesor. – Wystarczy jedynie zapewnić mikroorganizmowi wygodną podróż. Może być wystarczająco odporny, a może odpowiednie warunki zapewnia mu opakowanie, koperta: jest ciepła, w miarę wilgotna, a dużo więcej nie potrzeba mu do przetrwania.

Jessica orientowała się z grubsza w środkach bezpieczeństwa na centralach pocztowych. Po zamachach bioterrorystycznych w 2001 roku z użyciem wąglika wydano nowe dyrektywy dla wszystkich instytucji państwowych. Przesyłki wzbudzające jakiegokolwiek podejrzenia były sprawdzane wyjątkowo starannie.

– Czy w centrali pocztowej zauważono w ciągu interesujących nas dni jakieś nietypowe przesyłki skierowane do współpracowników albo osób, z którymi sekretarz się kontaktował? – spytała Toma.

– Sprawdzimy to.

– Dziękuję. Rich uważa poza tym, że tak zaawansowanych organizmów GMO prawdopodobnie jest więcej w przestrzeni zewnętrznej. Jeśli to prawda, mogłoby nam to pomóc. Wszystkie służby informacyjne mają zgłaszać wszelkie doniesienia z całego świata dotyczące podejrzanych GMO, niezależnie od tego, czy chodzi o broń, czy o coś innego.

Przedstawiciele odpowiednich służb zanotowali polecenie bez słowa komentarza.

Następnie Jessica zwróciła się do wszystkich zebranych:

– Panie i panowie, natrafiliśmy na przeciwnika, który ma nad nami przewagę. I to niemałą! Na dodatek w każdej chwili może zaatakować na nowo. Nie wolno nam tracić ani sekundy!

Budzik w telefonie grał monotonną muzyczkę tuż przy głowie Helen. Kiedy uniosła powieki, miała wrażenie, że są z papieru ściernego. Sięgając po omacku po aparat, przypomniała sobie powód tego wczesnego alarmu i natychmiast się rozbudziła. Cyfry na wyświetlaczu mówiły, że jest piąta rano.

Punktualnie o wpół do szóstej przed domem czekała czarna limuzyna. Szofer na ich widok błyskawicznie wyskoczył z auta, przywitał się uprzejmie, a następnie otworzył tylne drzwi przed Helen, podczas gdy Greg wsiadł od drugiej strony. Zza przyciemnionych okien świat wyglądał na rozmyty, a kiedy między przednimi i tylnymi siedzeniami zasunęła się do góry ciemna szyba, również sylwetka kierowcy stała się nie do rozpoznania.

– Tajemnica – rozległ się jego głos przez głośnik w odpowiedzi na pełne zniecierpliwienia pytanie Grega. – Zobowiązał się pan do zachowania tajemnicy.

Z cichym kliknięciem zablokowały się wszystkie drzwi.

Gdy ruszyli, oboje próbowali odgadnąć cel podróży, po kilku minutach zamilkli jednak, ponieważ wciąż czuli senność. Helen zastanawiała się, czy mimo wszystko nie powinna była zadzwonić poprzedniego dnia wieczorem do swojej matki, jak zresztą planowała, kiedy Greg niespodziewanie pojechał jeszcze późną porą do biura. Albo do siostry. Nie, ona już ma dzieci. Lepiej do Carol, swojej najlepszej przyjaciółki. Żeby zasięgnąć jej opinii. Mimo że doktor Benson odradzał, a właściwie nawet zabronił wtajemniczenia obcych. Helen nie zawsze zgadzała się z poglądami matki, Boże broń, ale w tej sprawie ona pierwsza przyszła jej do głowy. Może właśnie dlatego, że jest matką. Jej matką. Jak ona by postąpiła, gdyby miała taką możliwość? Co zrobiłaby z Helen, ze swojej córki? Zdaje się jednak, że niektóre decyzje trzeba podjąć całkowicie samodzielnie.

Pół godziny później auto zatrzymało się przed płaskim parterowym budynkiem, za którym Helen dostrzegła stateczniki niedużych samolotów biznesowych. Nie zauważyła żadnych charakterystycznych punktów orientacyjnych, które zdradziłyby jej, gdzie się znajdują. Szofer odprowadził ich do samych drzwi, gdzie już czekał na nich młody steward w czarnym uniformie.

Wnętrze budynku, na które składała się równie elegancka co surowa hala odpraw, opuszczały właśnie po drugiej stronie trzy osoby udające się w kierunku samolotów.

– Nie mają państwo, zgodnie z ustaleniami, żadnych urządzeń elektronicznych?
– spytał steward, zapraszając ich do służby bezpieczeństwa skanującej całą postać.

Była to jedna z nielicznych wskazówek doktora Bensona: żadnych smartfonów, żadnych kamer, żadnych komputerów, niczego, co mogłoby zdradzić albo umożliwić identyfikację miejsca ich pobytu. Pracownica ochrony o stoickim wyrazie twarzy kazała im przejść po kolei przez bramkę. Gdy Helen znalazła się już po drugiej stronie, kobieta poprosiła Grega, aby się cofnął.

– Co pan ma w kieszeni spodni? – spytała go.

Greg uderzył dłonią w czoło.

– Ale jestem nieprzytomny! – wykrzyknął i szybko wyciągnął telefon. – Po prostu odruch! Każdego ranka automatycznie wkładam go do kieszeni. Bez zastanowienia!

Helen uniosła oczy. Bez zastanowienia! Wzruszywszy przeprasząco ramionami, Greg oddał aparat stewardowi.

– Po powrocie dostanę go znowu, prawda?

– Naturalnie – odpowiedział mężczyzna. – Przechowamy go do tej pory.

Tuż obok pracownik ochrony prześwietlał ich bagaże.

– W porządku – oznajmił. Na rączkach toreb zamocował plakietki z nazwiskami, po czym wyprowadził ich na zewnątrz przez te same drzwi co poprzednie trzy osoby.

– Po prostu odruch! – Helen wycedziła przez zęby. – Co to miało być?!

– No zdarzyło mi się. Przepraszam – odpowiedział szeptem.

Helen wiedziała, że Greg jest czasami rozkojarzony, tym razem jednak nie kupiła tej wymówki. Po mniej więcej stu metrach doszli do niedużego jeta z opuszczonymi schodkami. Helen naliczyła dwanaście okrągłych okienek zakrytych od wewnątrz osłonami przeciwsłonecznymi. Tak małą maszyną nigdy jeszcze nie leciała.

Wąskie przejście oddzielało dziewięć rzędów podwójnych foteli po lewej stronie samolotu od pojedynczych miejsc po prawej, które były puste. Z podwójnych siedzeń natomiast przyglądało się im ciekawie sześć par. Zasłonięte okna pogłębiły w Helen niemiłe poczucie, że oto znalazła się w metalowej puszcze jak w konserwie. Idąc na tył, skinęła głową ku pozostałym pasażerom, którzy niemo odpowiedzieli na jej pozdrowienie. W końcu usiedli oboje w trzecim rzędzie od końca – ona przy oknie, Greg obok. Spróbowała odsłonić okno, ale na próżno.

Do samolotu weszła chyłkiem kolejna para. Para cholernie atrakcyjna. Ona wyglądała jak modelka z wybiegu, on mógł być byłym rozgrywającym w drużynie futbolowej. Ich dzieci z całą pewnością nie potrzebowały optycznego podrasowania. Wolne miejsca podwójne pozostały już tylko w ostatnim rzędzie.

W połowie drogi nowi pasażerowie zdecydowali się siedzieć oddzielnie. Kobieta usiadła po przekątnej do Grega, mężczyzna zaś za nią. Ledwie opadł na fotel, przechylił się do niego przez przejście.

– Cześć, jestem Mike. Diana ma ochotę na małego Frankensteina – parsknął śmiechem. – Prawda, skarbie? – Jego żona zignorowała go i zajęła się lekturą jakiegoś pisma. – Żartuję – rzucił w stronę sąsiadów.

– Greg – zrewanżował się mąż Helen.

– Ciągle mi się wydaje, że jestem w ukrytej kamerze – dodał Mike, rozglądając się dookoła.

– Dokładnie to samo powiedziałem! – roześmiał się Greg.

– Ale co tam! Nie zaszkodzi trochę pobłaznować, no nie? – I jakby na potwierdzenie, jowialnie stuknął sąsiada w ramię.

Jego śmiech irytował Helen. Diana nałożyła sobie słuchawki na uszy.

– Wiesz co, Greg – trajkotał dalej Mike – trochę się orientuję w tych sprawach, bo sam mam do czynienia z biotechnologią. Cała ta historia to jeden wielki szwindel, mogę się założyć.

„No to po co tam jedziesz?” – zadała w duchu pytanie Helen. Prawdopodobnie z tego samego powodu co Greg: na pozór udawał przekonanego, ale tak naprawdę wątpił.

– A jeśli nawet nie, to i tak nie może być dobrze! No bo przecież Golem, Frankenstein, *Wyspa doktora Moreau*, *Nowy wspaniały świat*... Halo! Niczego się nie nauczyliśmy? – Wzruszył ramionami. – Ale jeśli się myślę, chętnie dam się przekonać.

No właśnie. Tak samo jak Greg. Tylko on na razie się do tego nie przyznawał.

Steward zamknął drzwi i niemal w tym samym momencie rozległ się warkot silników. Pilot zapowiedział, że lot potrwa prawdopodobnie trzy godziny, następnie przywitała ich stewardesa, obiecała śniadanie oraz przekąski i napoje podczas całej podróży, potem zachęciła do zapoznania się z repertuarem filmów, a na koniec w ramach szkolenia bezpieczeństwa zaprezentowała występ z kamizelką. Helen przypuszczała, że personel nie znał celu ich wycieczki. Przecież obowiązywała tajemnica. A jeśli ktoś spyta? Może uda jej się jeszcze odrobinę zdrzemnąć. Zapięła pas. Kilka minut później byli już w powietrzu. Kłębiące się myśli nie pozwoliły jej jednak zasnąć.

Gdy tego ranka Jason Brill wszedł do budynku Departamentu Stanu, wszystko było inaczej. Samo przejście przez bramki bezpieczeństwa trwało dłużej. Następnie funkcjonariuszka FBI zaprowadziła go do stołów ustawionych w głębi korytarza. Co najmniej dwudziestu kilku pracowników FBI za laptopami przepytowało wchodzących i za pomocą patyczków higienicznych pobierało od rozmówców próbki śliny.

W obliczu tych kontroli Jasona, podobnie jak większość pozostałych, ogarnęło niewyraźne poczucie, że został przyłapany na jakimś wykroczeniu, którego popełnienia w ogóle nie był świadom. Gdy czekał wystraszony w kolejce, rozmyślał gorączkowo, co takiego mógł nabroić. Albo ktoś inny, a teraz z jakichś absurdalnych powodów próbowano zrzucić winę na niego. Zajmował dosyć niską pozycję w hierarchii, a jak wiadomo, gównu nie spada do góry.

Jason trafił na Latynoskę w średnim wieku. Jak wynikało z identyfikatora na piersi, nazywała się María Solér. Najpierw przyjrzała się uważnie odwrotnej stronie jego legitymacji.

– Jason Brill, praktykant?

– Tak.

– Okej, panie Brill, właściwie mam do pana tylko jedno pytanie. Czy w ciągu trzech ostatnich tygodni zauważył pan albo przytrafiło się panu coś nietypowego?

Jason starał się ukryć zdenerwowanie. Coś nietypowego? Co ona ma na myśli? Co powinien być zauważyć?

– Tutaj albo prywatnie. To bardzo ważne. Treść naszej rozmowy jest poufna. Nie może pan o tym z nikim rozmawiać, również ze swoimi kolegami.

„Żeby nie było świadków, w razie gdybyście chcieli podłożyć mi jakąś świnię?! Rany boskie, uspokój się!”.

– Proszę sobie przypomnieć. Cokolwiek. Nawet jeśli panu wydaje się to mało istotne albo absurdalne. To nie musi wiązać się z pańską pracą. Najdrobniejsza rzecz. Osoba, przedmiot, zdarzenie. Choroba.

Osoba, przedmiot, zdarzenie. Choroba. A to ci dobre! Przecież w tym gmachu aż roi się od freaków. Jego życie praktykanta sprowadzało się do szesnastogodzinnego dnia pracy wypełnionego głównie otepiającą rutynową robotą, do mało regularnych posiłków i niewielkiej ilości wolnego czasu, nie wspominając już o seksie. Był kompletnie wycieńczony i w którymś momencie zaczął się czuć prawie chory. Ale od czasu, kiedy osiem miesięcy temu podjął tę

praktykę, to była norma. Czyli nic nietypowego. Mimo to Jason usiłował sobie przypomnieć. Nic mu nie przychodziło do głowy. Chociaż...

– Miałem katar – powiedział. – Jeśli to podpada pod chorobę.

– Kiedy?

– Chyba z dobry tydzień temu.

María wpisała coś do komputera.

– Czy zauważył pan gdzieś podejrzaną osobę? Ktoś złożył panu nieoczekiwaną wizytę? Dostał pan niestandardową albo niespodziewaną przesyłkę pocztową?

Z powodu kataru? Jason wpatrywał się w nią bezradnie. Przestał przygryzać wargę. Do czego im potrzebny koziół ofiarny?

– Czy mogłaby pani to jakoś skonkretyzować? – poprosił. – Byłoby mi łatwiej, gdyby pani powiedziała, czego pani szuka.

– Mnie też – rzuciła María.

Czyli ona sama nie wiedziała. Albo nie wolno jej było mówić.

Jason chciał pomóc. Osoba. Wizyta. Przesyłka pocztowa. Jego pamięć była czystą kartką. Albo kartką pełną bzdur.

– Przykro mi, ale naprawdę nie przypominam sobie niczego. Najbardziej nietypowe było może to, że dostałem przesyłkę reklamową z próbką wilgotnej ściereczki do czyszczenia. Nigdy wcześniej nie otrzymałem czegoś takiego.

– Ściereczka do czyszczenia – powtórzyła María z ironicznym spojrzeniem.

No super, teraz jeszcze na dodatek się zbłąźnił.

– Sama pani widzi, jak bardzo frapujące jest moje życie.

– Do naczyń czy rąk?

– Do naczyń – odpowiedział Jason.

Kobieta zmierzyła go uważnie wzrokiem.

– Użył jej pan?

„A jeśli tak, to co? W końcu po to płacę podatki”.

– Tak. W domu, w kuchni.

María zapisała uwagę.

– Coś poza tym?

Jason jeszcze raz zagłębił się w sobie. Na próżno.

– Sorry. Nie.

Kobieta wyjęła spod stołu lateksową rękawiczkę i wciągnęła ją na dłoń, a potem wyjęła biały patyczek kosmetyczny z pudełka.

– Proszę otworzyć usta. Muszę jeszcze pobrać od pana próbkę śliny.

Jason posłusznie wykonał polecenie. Z niejasnych przyczyn oblał się potem. Oby tylko tego nie zauważyła. Przecież nie jest świadom żadnej swojej winy.

Procedura pobierania trwała zaledwie kilka sekund, a potem Maria schowała próbkę.

– Okej – powiedziała, wkładając mu do ręki wizytówkę. – Gdyby coś się panu przypomniało, proszę się zgłosić.

To lepsze niż: „Proszę do nas nie dzwonić, my odezwiemy się do pana”.

I oby na tym się skończyło.

Droga do chłopki wydawała się Jegorowi jeszcze gorsza niż poprzednim razem. Gdy od czasu do czasu mijały ich rozklekotane auta, autobusy albo przeładowane ciężarówki, wszystkie pojazdy ginęły w tumanach kurzu. Gordon okazał się rozmownym czy wręcz gadatliwym pasażerem, podczas gdy Andwele w obecności obcego gościa niemal zaniemówił. Ale i tak zwracał na siebie uwagę, wykonując raz po raz karkołomne manewry, aby kogoś wyprzedzić.

Podczas jazdy Jegor pilnie zwracał uwagę na granicę między wysuszonymi a zdrowymi polami kukurydzy. Kilka razy się zatrzymali, aby Gordon mógł przyjrzeć się roślinom z bliska i wziąć próbki. Mniej więcej dwa kilometry od domu chłopki zaczęły się soczyście zielone tereny. Gdy dojechali na miejsce, Andwele znowu zahamował tak, że wszystko wokół zniknęło w chmurze pyłu. Przed domem nikt nie czekał. Jegor, Gordon i Andwele wysiedli po chwili z auta i obeszlą budynek naokoło. Również nędzny zadaszony taras był pusty.

Wreszcie Jegor dojrzał postać Najumy na końcu grządek z pomidorami. Stała pochylona, zrywając czerwone owoce i kładąc je do kosza obok. Andwele, niewiele myśląc, ruszył między krzakami. W połowie drogi krzyknął coś do kobiety. Dopiero teraz zauważyła gości. Chwyciwszy się za plecy, wyprostowała się. W tym momencie Jegor dostrzegł wśród roślin także dwoje dzieci. Andwele dotarł już do niej i zaczął rozmawiać. Najuma wzruszyła ramionami i zdawała się zastanawiać. Potem dała do zrozumienia, że wszyscy mają iść za nią.

Wnętrze miniaturowej chałupki składało się z jednej mrocznej izby. Powietrze stało nieruchomo, przesycone gorącem i zapachem dymu. Na samym środku znajdowało się otwarte, ale wygasłe palenisko pełne białego popiołu. Pod ścianami leżały na podłodze brudne materace i derki. Czyli Najuma miała więcej niż dwoje dzieci, które Jegor właśnie poznał. Zresztą zdziwiłby się, gdyby było inaczej. W tej okolicy kobietę w jej wieku zwykle oblegała cała gromada drobiazgu. Może reszta była w szkole. Nic jednak nie wskazywało na obecność mężczyzny. Co jeszcze nic nie znaczyło. Mógł pracować na budowie w Dar es Salaam, na plantacji innych zagranicznych inwestorów lub u któregoś z dawnych posiadaczy ziemskich. Bądź jako przewodnik, kucharz czy kelner w rezerwacie organizującym safari. Albo obijał się nie wiadomo gdzie jak wielu tutejszych mężczyzn, którzy najpierw narobią dzieci, a potem biorą nogi za pas, zostawiając kobietę samą ze wszystkim.

Z krzywej szafki z małymi szufladkami, zastawionej paroma miskami

i garnkami, Najuma wyjęła nieduży podłużny brązowy przedmiot z uchwytem. Jegor spostrzegł, że była to fajka. Fajka zrobiona z kolby kukurydzy.

– Ta kolba jest z ubiegłorocznych zbiorów – przetłumaczył Andwele wyjaśnienia kobiety.

– Wspaniale! – roześmiał się Gordon.

Najuma podetknęła mu fajkę pod nos i dalej mówiła.

– Nie ma nic przeciwko temu, żeby nam ją dać – wyjaśnił Andwele i jednocześnie wymownie potarł kciukiem o palec wskazujący.

– Czy ona jeszcze się nadaje? – Jegor spytał Gordona. – Dym nie zniszczył materiału genetycznego?

– Od środka pewnie tak – odpowiedział Gordon. – Ale po stronie zewnętrznej na pewno da się coś znaleźć.

Najuma odwróciła się i zaczęła znowu grzebać w szufladzie. Po chwili wyczarowała jeszcze jedną fajkę. Ta była mniejsza, o krótszej, grubszej i ciemniejszej główce. Również cybuch i ustnik były znacznie bardziej brązowe niż w pierwszej.

– A ta jest z kolby sprzed dwóch lat – rzekł Andwele, z uznaniem kiwnąwszy głową w stronę Najumy.

– Weźmiemy obie – postanowił Gordon. – Ile ona by za nie chciała?

Andwele przystąpił do negocjacji. Kobieta gestykulowała żywo i mówiła podniesionym głosem, ale rozmówca nie pozostawał jej dłużny. Jegor rozejrzał się po nędznym domostwie. Co to za nedorzeczny pomysł, żeby pertraktować z mieszkańcami takiej nory? Każda suma, jakiej zażąda Najuma, dla niego będzie znaczyć tyle co napiwek. A dla jego pracodawcy, któremu oczywiście podliczy koszty, tyle co nic.

– Nie bądź skąpy – polecił półgłosem Andwelemu, na co ten obrzucił go mrocznym spojrzeniem. Według niego bowiem nie należy cackać się z tymi ludźmi. A zwłaszcza z kobietami. Aby nie stracić twarzy ani przed Jegorem, ani przed Najumą, zamienił z nią jeszcze kilka zdań, po czym wcisnął jej do ręki plik szylingów, które normalnie zarobiłaby może w ciągu całego roku. Kobieta przeliczyła banknoty z zadowoleniem, a potem ukryła je między fałdami spódnicy. Pierwszy raz od kilku minut zaległa cisza, lecz nie na długo, ponieważ Najuma wręczyła im obie fajki z gorączkowym trajkotaniem. Gordon schował je od razu do foliowej torebki, a gdy Jegor podziękował chłopce, ta odpowiedziała mu znowu nieprzerwanym potokiem słów.

Gordon próbował ją powstrzymać, zadając pytanie:

– Wspominaliście o jakichś duchach, o których Najuma opowiedziała wam

poprzednio. Czy mogłaby mi je jeszcze raz opisać?

Andwele przystąpił znowu do tłumaczenia słów Najumy. Z chaotycznego przekazu wyłaniał się ten sam obraz co za pierwszym razem. Zdezorientowane duchy, pobzykując, unosiły się na niewidzialnych owadzych skrzydłach. Wyjaśnienia te powiedziały Gordonowi równie mało co wcześniej Jegorowi i Andwelemu.

Jegor nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie opuszczą duszną chatę. Na dworze czekał na nich klimatyzowany land cruiser.

Gdy już mieli do niego wsiąść, Gordon rzucił:

– Macie może coś do rysowania?

Jegor spojrzał na niego osłupiały, po chwili jednak otworzył skrytkę pod przednią szybą i wyjął z niej notes i długopis, które wręczył Gordonowi, a ten z kolei podał je Andwelemu.

– Powiedz jej, żeby narysowała te duchy, które rzekomo pobłogosławiły jej kukurydzę.

Początkowo Najuma próbowała się wykręcić, w końcu jednak uległa namowom Andwelego i z ociąganiem wzięła od niego notes. Otworzyła blok na pustej stronie i położyła go na błotniku samochodu. Między palcami trzymała niezdarne długopis. Po chwili kilkoma nieporadnymi ruchami narysowała coś w rodzaju owalu. Na jednym z końców trochę ukośnie nagryzmoła mniejsze kółko.

„Czyli jednak głowa?” – zastanowił się Jegor.

Obok dodała drugą. Dwie głowy?

Następnie na drugim końcu owalu nabazgrała dwa kolejne kółka. Wyglądało to tak, jakby dziecko narysowało twarz o czterech uszach w niewłaściwych miejscach. Najuma zaczęła powoli wypełniać owal liniami. Gdy skończyła, w środku pierwszego kółka wstawiła krzyżyk. Rysując kolejne kreski, zrobiła z tego coś w rodzaju gwiazdy, aż w końcu całe kółko było wypełnione kreskami, które spotykały się wszystkie pośrodku. Jegor nie potrafił się domyślić, co to może być. Według niego rysunek w ogóle nie trzymał się kupy. Najuma nieco wprawniej i szybciej wypełniła także pozostałe kółka koncentrycznymi liniami. Spojrzała krótko na swoje dzieło, po czym z wyczekiwaniem zaprezentowała je swoim gościom. Pięcioletnia córeczka Jegora umiała lepiej rysować.

– Co to ma być? – spytał Andwele.

– Duch – odpowiedział Jegor. Gordon wziął notes, podziękował Najumie i zostawił jej długopis w prezencie.

Gdy już wsiedli do samochodu i Andwele ruszył, Gordon przyjrzał się

rysunkowi, obracając go na wszystkie strony.

– Nie zaszkodziło spróbować – stwierdził wreszcie i zamknął notes. – No dobrze, potrzebujemy więcej próbek zdrowej kukurydzy od innych chłopów.

– Cześć, mamó! Właśnie jemy śniadanie! – Amy, cała zachlapana kakao, rzuciła się na Jessicę. Wylewne powitanie córki przepełniło ją ciepłem.

– To bardzo dobrze! – odpowiedziała i mocno przytuliła dziewczynkę.

– A co ty tutaj robisz? – spytała mała roztropnie. – Tata mówił, że przyjdiesz później.

– Cześć, kochanie. – Colin przywitał ją przelotnym całusem. – Nie wyglądasz... na wypoczętą.

– Jesteś uroczy.

– Dobrze, że w ogóle udało ci się wpaść do domu.

Czyżby usłyszała w jego głosie lekki wyrzut? Colin wiedział, że Jessice nie wolno mówić o dochodzeniu, i dlatego w ogóle nie pytał. Pogodził się z tym, że jego żona ma taką pracę. Ale nie było to bynajmniej łatwe, gdy nie można o wszystkim porozmawiać z najbardziej zaufaną osobą. O ile on nią jest.

„Każdy z nas ma swoje tajemnice” – stwierdził kiedyś. Na co ona zadała sobie pytanie, jakie sekrety skrywa jej mąż.

W końcu przyczłapał Jamie – także w pizamie – obojętny, jakby w ogóle nie zauważył kilkudniowej nieobecności matki. Gdy Jessica uścisnęła go na powitanie, łaskawie przyjął ten gest bez protestu.

Colin zniknął z powrotem w kuchni, dzieci podreptały za nim. Rzuciwszy płaszcz na wieszak, Jessica szybko uwolniła się od szpilek i dołączyła do nich.

Stół w przytulnym kącie jadalnym przedstawiał istne pobożowisko pełne talerzy, rozrzuconych płatków śniadaniowych, okruchów, rozsypanego kakao, rozlanego soku i rozchlapanego syropu klonowego. Na kuchennym blacie między rozerwaną torebką z mąką, butelką oleju, oblepioną ciastem miską i pomazaną deską do krojenia kapało z przewróconego kartonu mleko. Colin zeszkrobywał właśnie z patelni dymiący naleśnik.

– Jest do niczego – powiedział ze złością.

Jessica zaczerpnęła głęboko powietrza. Nawet nie siadając, ukradła z talerza Amy jeden z niedojedzonych tostów, zanurzyła go w resztkach syropu klonowego i popiła pierwszy łyk kawy z filiżanki Colina.

– Przykro mi – powiedziała. – Mam strasznie dużo roboty. Wyjaśnię wam wszystko później. – Wepchnęła do ust jeszcze jeden kawałek tostów, gdy tymczasem Colin wylał na patelnię nową porcję ciasta i tylko zerknął na nią przez ramię. Dzieci siedziały znowu na swoich miejscach.

– Naleśniki! – wołały chórem. – Naleśniki!

Jessica uporła się z resztkami tostów i całą zawartością filiżanki Colina.

– Potwornie mi się spieszy – poinformowała. – Muszę szybko wziąć prysznic i zaraz wrócić do pracy.

– Ale przecież mieliśmy jechać dziś do Terry’ego i Shayli – zaprotestowała Amy.

– Tata z wami pojedzie – uspokoiła córkę.

Colin odstawił patelnię przesadnie głośno, Jessica zaś rzuciła w przelocie, że musi wziąć prysznic, i pobiegła na górę, unikając jego spojrzenia.

Upchnąwszy ubranie w koszu na brudną bieliznę, rozkoszowała się już pierwszymi ciepłymi strugami wody oblewającymi jej ciało, gdy nagle usłyszała Colina.

– Co to ma być? – spytał. Jego przytłumiony głos dochodził zza kotary prysznicowej.

– Przepraszam – wymamrotała, wcierając szampon we włosy. – Nie mogę ci nic powiedzieć. Jedynie tyle, że kieruję zespołem specjalnym w bardzo pilnej i cholernie ważnej sprawie.

– Tak ważnej, że po powrocie z wyjazdu za granicę nie możesz nawet zjeść śniadania z własnymi dziećmi i z własnym mężem?

– Proszę cię, Colin, nie zaczynajmy znowu tej dyskusji. Nie ja jedna w tym domu czasami dużo pracuję.

– Ale ty jedna bez przerwy dużo pracujesz. Przecież my cię już prawie nie widzimy!

– To nieprawda, i dobrze o tym wiesz.

Jessica stała pod prysznicem dłużej niż zwykle, ponieważ ciepły masaż dobrze na nią działał, a poza tym nie miała ochoty stanąć oko w oko z rozeźlonym mężem.

– Sytuacja jest wyjątkowa – oznajmiła. – Al Waters poprosił mnie osobiście...

– A już myślałem, że pani prezydent... – rzucił gniewnie jej mąż.

– Prawie. Nie zrezygnuję z tej roboty, Colin. A ty możesz mnie w niej wspierać albo nie. Decyzja należy do ciebie.

Wreszcie odważyła się wyjść. Męża już nie było.

Z wściekłością, nie mogąc opędzić się od wyrzutów sumienia, zaczęła naprędce suszyć swoje kręcone mahoniowe włosy. Pod płaszczem kąpielowym w talii, na biodrach i udach zaznaczały się – mimo regularnego joggingu – kilogramy, których trzy lata wcześniej tam nie było. Może jednak ta praca jej nie służyła?

Umalowała się w pośpiechu i właśnie wkładała żakiet, gdy zadzwonił jej

telefon. Ten numer zapisała w pamięci dopiero przed kilkoma godzinami. Rich.

– Właśnie przyszła pełna analiza wirusa – powiedział. – Jedzie po ciebie samochód, powinniśmy zaraz być pod twoim domem. Więcej opowiem ci po drodze.

Jessica była już na najniższych stopniach schodów.

– A dokąd się wybieramy?

Ale Rich już się rozłączył.

Kuchnia wyglądała jak chlew. Colin przeżuwał nerwowo, dzieci jedynie bawiły się jedzeniem, a Jamie na dodatek manipulował przy swojej komórce. Mąż miał rację: powinna z nimi chociaż zjeść śniadanie. Nie miała jednak na to czasu. Darowała sobie wszelkie komentarze, pocałowała córkę i syna w czoło, a Colina przelotnie w policzek.

Następnie sięgnęła po torebkę i otworzyła drzwi. Przed podjazdem zahamował ciemny SUV z migającym niebieskim światłem na dachu.

Jessica nie знаła kierowcy. Obok niego siedział Tom, z tyłu – Jaylen i Rich, który przesunął się na środek, aby zrobić dla niej miejsce. Nie zdążyła jeszcze zamknąć za sobą drzwi, gdy auto dosłownie wyrwało spod kół asfalt, wciskając ją w fotel. Rich otworzył laptop na swoich kolanach. Na oparciach przednich foteli były zamontowane od tyłu dwa duże monitory, a trzeci znajdował się z przodu na desce rozdzielczej, przed fotelem pasażera.

– Czy ktoś mi wreszcie powie, co się dzieje?

Kierowała zespołem specjalnym, a chyba jako jedyna nie miała o niczym pojęcia.

Rich otworzył w laptopie tabelę, która ułamek sekundy później pokazała się też na pozostałych ekranach.

– Wiemy, jaki wirus został użyty jako organizm wyjściowy – poinformował ją.

Kierowca wchodził w zakręty, jakby chciał zdobyć Grand Prix. Jessicę na przemian rzucało na drzwi i wciskało w Richa. Nagle poczuła się jak za dawnych lat, kiedy jako mała dziewczynka tłoczyła się razem z rodzeństwem albo z koleżankami na tylnym siedzeniu samochodu ojca. Złapała za uchwyt nad oknem i skoncentrowała się na ekranie przed sobą oraz na wyjaśnieniach Richa.

– Liczyłem na coś jednoznacznego, na coś w rodzaju wirusa ptasiej grypy eksperymentalnie wyhodowanego w dwa tysiące jedenastym roku przez Rona Fouchier.

Jessica pamiętała ten przypadek. Naukowiec z Rotterdamu wykazał w swoich doświadczeniach, że wystarczająco nieliczne mutacje, aby często śmiertelny, ale mało zaraźliwy dla ludzi wirus ptasiej grypy przenosił się drogą kropelkową i tym

samym stał się bardzo niebezpieczny. W konsekwencji doszło do kontrowersji na całym świecie, czy w ogóle należy przeprowadzać tego rodzaju eksperymenty, a jeśli tak – czy wolno upubliczniać ich rezultaty.

– Niestety, jest to co prawda wyjątkowo zaraźliwy, ale całkiem zwyczajny podtyp wirusa grypy. Jego genom jest znany, niemal każdy mógłby go stworzyć albo gdzieś zamówić czy wykraść.

– Wobec tego dlaczego pędzimy jak szaleni, jakby diabeł nas gonił?

– Diabeł nas co prawda nie goni, ale my natrafiliśmy na jego trop pod postacią wirusa. Kiedy ustaliliśmy, jaki to podtyp, wiedzieliśmy także, które sekwencje genów zostały wprowadzone na nowo. I jedna z nich dała nam odpowiedź. Mówiąc wprost, chodzi o odcinek startowy genu, czyli taki, który w określonych warunkach aktywizuje inne geny. Interesujące jest to, że wiemy, kto go opracował.

– A skąd to wiemy?

– Na całym świecie obowiązują dosyć rygorystyczne reguły dotyczące manipulacji genami, na przykład w Stanach Zjednoczonych laboratoria muszą zgłaszać swoje eksperymenty do rządowej Agencji Żywności i Leków. Dzięki temu istnieją obszerne rejestry i banki danych przynajmniej legalnie przeprowadzanych doświadczeń. Podobnie jest na poziomie międzynarodowym, gdzie mamy mechanizm i portal Biosafety Clearing-House i różne inne instrumenty.

– I jedna z tych zdefiniowanych sekwencji występuje w bankach danych?

– Tak. Została zarejestrowana dwa lata temu. I tu robi się coraz ciekawiej. Z różnych powodów odnośne eksperymenty nie zostały przeprowadzone do końca, a konkretne rezultaty nie były publikowane w żadnym specjalistycznym piśmie ani gdziekolwiek indziej. To znaczy...

– ...że tylko ktoś, kto pracował wtedy nad tym projektem, mógł z niego skorzystać. – Jessica z podnieceniem dopowiedziała jego myśl do końca. – Albo przekazał komuś te informacje. – Znowu złapała się uchwytu, aby na najbliższym zakręcie nie wylądować zamiast laptopa na kolanach Richa. – A kto zgłosił ten eksperyment?

– Właśnie tam jedziemy – oznajmił Tom z przodu. – My i ludzie ze SWAT-u. Powinniśmy być na miejscu za półtorej godziny.

– No dobrze, kochani, dosyć zabawy – roześmiał się Rich. – Myślę, że należy się jej informacja, jaki konkretnie jest cel naszej podróży. – Sposób, w jaki się śmiał, sprawiał, że Jessica nie umiała być na niego zła. – Baltimore – zdradził wreszcie. – Jedziemy do Baltimore.

Helen nienawidziła lądowań. Kiedy jeszcze w powietrzu w samolocie otwierały się hamulce aerodynamiczne, brzuch mówił jej, że wskutek braku mocy samolot spada. A jeszcze gorsze było dotknięcie pasa! Tym razem myślała, że umrze, ponieważ nic nie widziała i mogła tylko czekać. Kiedy pilot w końcu zgrabnie posadził maszynę i zaczął hamować, z ulgą zamknęła oczy.

Kilka minut później samolot zatrzymał się. Odgłos rozpinanych z charakterystycznym kliknięciem pasów bezpieczeństwa brzmiał w jej uszach jak zbiorowe uwolnienie się ze zniechęconych więzów.

– Nareszcie! – skomentował Mike i zerwał się jako pierwszy. – No dobra, to obejrzymy sobie ten genetyczny supermarket!

Stewardesa otworzyła drzwi i stanęła przy wejściu do kokpitu. Schodząc za Helen po stopniach, Greg potoczył wzrokiem dookoła. Przed sobą miał białą betonową ścianę, ze stropu padało jaskrawe światło jarzeniówek. Na lewo i na prawo potężne szare metalowe drzwi zamykały halę. Powietrze było letnie i unosił się w nim słodki kwiatowy zapach.

Samolot stał w hangarze. U stóp schodków czekały dwa czarne minibusy o przyciemnionych szybach.

– Jakbyśmy byli handlarzami narkotyków – szepnął Greg. – Albo uprowadzonymi przez nich ofiarami.

– Albo szejkiem na urlopie – odpowiedziała wesoło Helen.

Laboratorium znajdowało się na pozbawionym wyrazu terenie przemysłowym na obrzeżach Baltimore. Podczas ostatnich minut jazdy omówili jeszcze raz poszczególne kroki z pozostałymi członkami zespołu oraz z lokalną wyspecjalizowaną jednostką policji, która czekała już w gotowości i zabezpieczała także tylne wyjścia. Oni mieli plany budynku, a SWAT – plan operacyjny. W ciągu dziesięciu minut policjanci zamierzali przejąć kontrolę nad obiektem o powierzchni sześciuset metrów kwadratowych, a nakaz rewizji dostali zaledwie godzinę temu.

Interesującym ich eksperymentem sprzed dwóch lat zajmowało się pięciu pracowników laboratorium. Trzech z nich, w tym także kierownik projektu, nadal tu pracowało. I z nimi właśnie zamierzano porozmawiać w pierwszej kolejności.

O 13:27 Jessica wydała polecenie wkroczenia do akcji. Oddział złożony z dwunastu mężczyzn wtargnął do środka przez drzwi frontowe, Jessica, Tom i Jaylen za nimi. Za ladą w recepcji tkwiła bez ruchu osłupiała recepcjonistka, przerażona wycelowaną w nią bronią, podczas gdy jedenastu pozostałych mężczyzn przemieściło się w głąb budynku. Jessica posuwała się za nimi w pewnej odległości, w miarę jak zabezpieczali jedno pomieszczenie za drugim. Za nimi wkraczał do akcji drugi zespół, który z zabezpieczonych pomieszczeń wyprowadzał znajdujących się w nich ludzi. I tak dotarli aż do ostatniego, do archiwum, nie natrafiając na żaden opór, co najwyżej na przejęte przerażeniem i paniką twarze. Po dziesięciu minutach rzeczywiście było po wszystkim.

Trzydzieści sześć wystraszonych osób, kobiet i mężczyzn, czekało ciasno stłoczonych w dużej sali.

– Przepraszamy za to zamieszanie – zwróciła się do nich Jessica, wiodąc wzrokiem po wszystkich obecnych. – Niestety, musimy państwa prosić o pozostanie na razie tutaj i wykonywanie poleceń policji. Bardzo możliwe, że już za godzinę będą państwo mogli wrócić do pracy.

Po czym opuściła pomieszczenie.

Dowodzący oddziałem SWAT-u spotkał ją w korytarzu. Obok niego czekali Rich, Tom i Jaylen.

– Tam – powiedział. – Mamy wszystkich trzech.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami osoby przez nich poszukiwane zostały umieszczone w oddzielnych pokojach.

W pierwszym, skromnym gabinecie siedział na biurowym krześle krępy

czterdziestolatek z ciemną brodą i wysokim czołem, pilnowany przez dwóch ludzi z oddziału specjalnego policji.

– Sean Pickard? – spytała Jessica.

– Mam nadzieję, że ma pani dobre wyjaśnienie tej akcji – powiedział bez lęku. Jessica wysunęła krzesło i usiadła na nim okrakiem przed mężczyzną.

– A ja mam nadzieję, że to pan ma dobre wyjaśnienie dla nas.

Oprócz swoich maszyn trzeciej generacji Gordon i jego ludzie rozstawili na przeznaczonym dla nich stole duży monitor i zestaw komunikacyjny. Podczas gdy Gordon zajęty był instalowaniem wszystkich urządzeń, Stavros zwrócił się do Jegora:

– Tobie chyba nie muszę tłumaczyć, co się nam udało.

Rzeczywiście nie musiał. W tak zaawansowanych laboratoriach jak tułejsze analiza genomu roślin była od dawna chlebem powszednim. Pierwsza roślina modyfikowana genetycznie – odmiana tytoniu – powstała w 1983 roku. Począwszy od połowy lat dziewięćdziesiątych, czyli już od jednego pokolenia, rośliny transgeniczne uprawiane były masowo z przeznaczeniem do produkcji artykułów żywnościowych. Obecnie około dziesięciu procent powierzchni rolnej na świecie jest wykorzystywanych do hodowli roślin modyfikowanych genetycznie. Oczywiście ich udział w światowych zbiorach znacznie przekraczał tę wartość. Dzięki ogromnemu wzrostowi wydajności komputerów główna część prac związanych z przenoszeniem genów odbywa się na kartach chipowych.

Również metody analizy uległy radykalnej zmianie. Jedną z najważniejszych technologii nowoczesnej biologii była reakcja łańcuchowa polimerazy, bardziej znana pod skrótem PCR (Polymerase Chain Reaction). Polegała ona na szybkim powielaniu łańcuchów DNA, żeby mogły być wykorzystywane do różnych celów. Podobnie jak wiele innych technologii tego rodzaju jeszcze kilka lat temu kosztowała majątek, a doświadczenia przeprowadzane przy jej użyciu trwały całą wieczność. Dzisiaj każdy laborant amator mógł nabyć za niewielkie pieniądze niezbędny sprzęt w internecie. Kiedy Jegor miał dwanaście lat, ojciec dał mu w prezencie zestaw małego chemika. Dzięki niemu udało mu się wyprodukować w łazience rodziców cuchnący zgniłymi jajami siarkowodór albo ze szkła wodnego zbudować magiczne kryształowe ogrody. W dzisiejszych czasach młodzi ludzie mogli zamiast w chemika bawić się w bioinżyniera genetycznego. Najprostsze zestawy do eksperymentowania genami można kupić w sieci za kilkaset dolarów. Nietrudno zatem sobie wyobrazić, jak bardzo muszą być zaawansowane profesjonalne zastosowania tej technologii, skoro jej podstawowa wersja trafiła już do dziecięcego pokoju.

– Mamy połączenie! – krzyknął Gordon. Wszyscy skupili się przy stole. Jegor ujrzał na ekranie w poszczególnych oknach te same twarze co podczas ostatniej rozmowy.

Gordon przywitał partnerów z drugiego końca świata, a potem powiedział:

– Przyjrzelśmy się z grubsza tej kukurydzy. I jedyna rzecz, jaką do tej pory znaleźliśmy, jest równie fascynująca co alarmująca.

„No świetnie – pomyślał Helge. – Jeszcze jedna niespodzianka”.

Gordon wymierzył w nich żółtą kolbę jak broń.

– To jest ta cholerna kukurydza! – oznajmił. – Najpierw zbadaliśmy ją oczywiście pod kątem odporności na *armyworm*. Porównaliśmy już znane nam oraz prawdopodobne jej właściwości obronne z rezystencją innych roślin. Zazwyczaj jest to proces dosyć długotrwały, ale nam pomogły doświadczenie, zaawansowane algorytmy poszukiwania i trochę szczęścia, dzięki czemu mamy już wynik: znaleźliśmy sekwencje genów, które w nasionach miodli indyjskiej wytwarzają azadyrachtynę!

– Popularny naturalny pestycyd zawarty w oleju miodli indyjskiej – uzupełnił jeden z obecnych naukowców.

– Przecież te sekwencje nie mogły się tam dostać drogą naturalną – zauważył Helge.

– Też mi się tak wydaje! – potwierdził energicznie Gordon. – Algorytmy znalazły jeszcze inne paralele: zarówno z sekwencjami właściwymi dla innych gatunków, jak i z sekwencjami występującymi w znanych transgenicznym odmianach kukurydzy. Ta kukurydza posiada cechy obronne przed sześcioma najważniejszymi szkodnikami Afryki Subsaharyjskiej! Poza tym ma też gen odporności na suszę. Oprócz tego, podobnie jak złoty ryż, wytwarza wyjątkowo dużo beta-karotenu.

– Żeby wyrównać niedobór witaminy A – wtrącił Helge.

– No właśnie. Ciekaw jestem, czego jeszcze nie odkryliśmy.

Helge z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ale w jaki sposób taka superkukurydza trafia na pole biednej chłopki i jej sąsiadów, skoro ona do wysiewu wykorzystuje ziarna ze zbiorów sprzed roku?

– O ile mówi nam prawdę. Ale do tego jeszcze dojdziemy.

Podobnie jak wiele państw afrykańskich również Tanzania podpisała protokół kartageński – porozumienie regulujące transgraniczne przemieszczanie się organizmów genetycznie modyfikowanych. Z tego powodu kraj ten przez długi czas nie zgadzał się ani na import, ani na testowanie materiału transgenicznego. Ostatnio nieco złagodzone zakazy i pod restrykcyjnymi warunkami dopuszczano zakładanie pól testowych. Santira i ArabAgric jeszcze się tym nie zajęły, ale prowadziły już odpowiednie przygotowania. Zatwierdzono natomiast pola innych firm i naniesiono je na mapy.

– Sprawa wydaje się jeszcze bardziej zagadkowa – kontynuował Gordon. – Ta koncentracja silnych genów nie jest naturalna. Poza tym zazwyczaj w materiale genetycznym organizmów modyfikowanych zawarte są wskazówki potwierdzające, że zostały one poddane sztucznej manipulacji. Tutaj nic takiego nie znajdziemy.

– Czyli jednak przypadkowy cud mutacyjny? – spytał Helge.

– Stawiałbym raczej na CRISPR-Cas9.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś tam na miejscu eksperymentuje z superkukurydzą i nie zawraca sobie głowy uzyskiwaniem oficjalnych pozwoleń? – Których zdobycie, jak orientował się Helge, trwałoby całe lata. – I chyba rzeczywiście nie musi się niczego obawiać, skoro, pomijając niezwykle nagromadzenie genów, nie ma żadnych dowodów wskazujących na manipulację nimi.

– Myślę, że za sprawą CRISPR-Cas9 władze tak czy inaczej wkrótce staną przed tym wyzwaniem. W rzeczywistości wskutek tego odkrycia dyskusja na temat transgenicznym organizmów żywych okazuje się bezcelowa. Już od dawna bowiem moglibyśmy uprawiać na swoich polach rośliny modyfikowane genetycznie, a nikt nie byłby nam w stanie udowodnić, że to robimy.

– Ale ta chłopka zaklinała się na wszystko, że wykorzystwała nasiona z zeszłorocznych zbiorów – powtórzył Gordon.

– Potrzebne są nam próbki roślin sprzed roku. Jest szansa, żeby je zdobyć?

– Już je mamy – oznajmił Gordon. – Są badane. Na domiar wszystkiego pierwsze analizy gleby wykazały obecność mikroorganizmów, które w ogóle nie występują w tej okolicy. Wygląda na to, że ktoś pomógł nie tylko roślinom, ale też ważnym mikroorganizmom w ziemi. Ale na razie nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby dokładniej im się przyjrzeć.

– Nasuwa się pytanie – wtrącił znowu Helge – jaki pożytek będzie miał ktoś z tego, żeby na tych polach tak po prostu rosła sobie taka kukurydza. Czy ktoś zgłosił już na nią patent?

– Dobre pytanie – stwierdził Gordon nie bez zdziwienia. – Jeszcze nie sprawdziliśmy.

– Nie ma sprawy, zaraz to zrobimy – odpowiedział Helge i skinął głową ku Horstowi Pahlenowi, który natychmiast uruchomił laptop, otworzył odpowiednią stronę i wpisał w okienku hasło. Na monitorze pojawiła się cała lista linków.

– To takie proste? – Helge usłyszał w głośnieku słowiański akcent Jegora.

Gdzieś z głębi dobiegła odpowiedź Greka:

– Jasne. Oni mają tam banki danych, które można przeszukiwać tak samo jak internet, za pomocą klasycznej wyszukiwarki.

Horst tymczasem sprawdzał wyniki.

– Nic – bąknął. Zmieniał słowa kluczowe, otrzymywał nowe odpowiedzi, ale w końcu odchylił się na krzesło i oświadczył: – Do tej pory nikt tego nie opatentował.

– No to na co czekać? Może my to zrobimy? – wypalił jeden z naukowców, szczerząc zęby.

– Jeśli nie zatrzymamy ekspansji tej rośliny, zniweczy ona miliardowe inwestycje. Wygląda na to, że może ją uprawiać każdy, komu akurat wpadnie w ręce. Nie da się też wykluczyć, że rozprzestrzeni się w sposób naturalny. Wyobraźcie sobie, co by to dla nas oznaczało! I dla naszego kursu na giełdzie.

Z głośników rozległ się znowu głos niewidocznego Białorusina:

– A czy nie jest tak, że rośliny modyfikowane genetycznie w przypadku naturalnego rozmnażania i kombinacji z innymi gatunkami często już w najbliższej generacji tracą wiele ze swoich korzystnych właściwości, a po kilku wysiewach niemal wszystkie?

Obok Helgego odezwał się Horst:

– To zależy, czy... – Zamilkł i walnął się swoją potężną łapą w czoło tak mocno, że jego nędzne włosy podskoczyły we wszystkie strony. – A niech to szlag! Gordon, znaleźliście może jakieś wskazówki dotyczące napędu genowego?

– Jeszcze nie sprawdziliśmy – odpowiedział Gordon.

– Wiesz, co to napęd genowy? – Stavros spytał po cichu Jegora, podczas gdy na monitorze dalej toczyła się dyskusja.

– Jasne, że wiem, w końcu to ja hoduję to gównu. To technologia, którą się stosuje, jeżeli chce się, aby wszczepiona mutacja odpowiedzialna za konkretną właściwość została przekazana następnemu pokoleniu nie według praw Mendla, lecz tak by odziedziczyło ją całe potomstwo.

– ...poszukajcie Cas. – Jegor usłyszał wyrazisty głos Horsta Pahlena. – My też już nad tym pracujemy. Na waszym miejscu wbudowałbym napęd genowy przez CRISPR-Cas.

– Okej, zrobimy tak – odparł Gordon.

– Tylko się pospieszcie. Całą resztę omówimy, jak będziecie mieć wyniki.

Ekran zrobił się czarny.

– Napęd genowy przez CRISPR-Cas? – spytał Jegor Greka.

– Podobno to ty hodujesz to gównu – zadrwił z niego Stavros.

– A ty za to powinieneś mi objaśnić najnowsze technologie, bezmózgowcu – odciął się Jegor. – No więc o co w tym chodzi?

– Wyobraź sobie coś takiego. Odporna kukurydza ma wszczepioną dodatkową

właściwość: może za pomocą CRISPR-Cas każdy fragment genu umożliwiającą tę odporność skopiować do pierwotnie pozbawionego tej cechy ochronnej chromosomu drugiego rodzica. Wtedy oba chromosomy, czyli cały genom, są nośnikami odporności. Co więcej, są także nośnikami zdolności do kopiowania. I to odnosi się także do całego potomstwa tego gatunku!

– To mi wygląda na piękną metodę rozpowszechnienia w ciągu niewielu pokoleń pożądanej cechy w całej populacji – zauważył Jegor. – Albo wykluczenia niepożądaną.

– Dokładnie. Czego udało się dokonać za pomocą innych, nieinżynierijno-genetycznych metod nawet już kilkadziesiąt lat temu. Przykłady: przenosząca śpiączkę afrykańską mucha tse-tse na Zanzibarze czy mucha śrubowa w Panamie. Za pomocą inżynierii genetycznej próbuje się teraz zmodyfikować materiał genetyczny komarów, które przenoszą malarię, a ostatnio także wirus Zika.

Jegor zmarszczył czoło.

– To wariactwo, że to jest takie proste – zauważył. – No bo ktoś wbuduje w jakiś organizm jakąś cechę, a jeśli się okaże, że ona nie spodoba się komuś innemu, to ten drugi wszczepi po prostu inny napęd genowy, który całkowicie ją usunie.

– Niewykluczone.

– A co się stanie, jeśli w zmienionych sekwencjach dojdzie do naturalnej mutacji, która być może również zostanie odziedziczona przez wszystkie następne organizmy?

– Tego też nie da się wykluczyć. Dobrze, jeśli to będzie mutacja pozytywna. Cokolwiek to znaczy. Ale beznadziejnie, jeśli okaże się negatywna.

– Tak naprawdę to cholernie ryzykowna sprawa.

– Zwłaszcza że – wtrącił Gordon, który przysłuchiwał się ich rozmowie – w dzisiejszych czasach każdy jako tako kumaty genetyk amator może poeksperymentować sobie w swoim laboratorium w kuchni albo w garażu.

Po trzydziestu minutach jazdy samochodem bez możliwości wyjrzenia na zewnątrz Helen zrobiło się niedobrze. Nie pomagały ani dyskretna muzyka, ani superkomfortowe skórzane fotele. Nawet szyba oddzielająca ich od kabiny kierowcy była całkiem nieprzejrzysta.

Razem z nią i Gregiem jechali jeszcze Mike, jego żona Diana i trzecia para: Jelena i Douglas. Mike i Greg przez dosyć długą część lotu rozmawiali ze sobą, dobrze się bawiąc. Ku zaskoczeniu Helen, ponieważ hałaśliwa wesołość ich nowego znajomego nie odpowiadała raczej poczuciu humoru Grega. Nikt nie podchwycił ich żarcików na temat ukrytej kamery – albo wszyscy pozostali podchodzili do sprawy znacznie poważniej, albo oni dwaj zbyt przesadnie próbowali tuszować własne napięcie.

W końcu zatrzymali się w rozmowie na futbolu i pozostali przy tym temacie także podczas jazdy bussem. Helen miała rację: Mike rzeczywiście był kiedyś rozgrywającym w drużynie w college'u. Kontuzja kolana przedwcześnie zakończyła jego obiecującą karierę profesjonalnego zawodnika. Teraz należał do kierownictwa międzynarodowego koncernu, którego nazwy nie wymienił, oraz był partnerem kapitałodawcy wspierającego młody biznes. Inna klasa majątkowa i jeden z tych gości, którzy mają coś do powiedzenia na każdy temat.

– Wygląda na to, że chyba wciąż jesteśmy w Stanach – rzucił Greg. – Bo nie musieliśmy przechodzić żadnych kontroli paszportowych.

– Biorąc pod uwagę długość lotu, mogliśmy co najwyżej dotrzeć do Meksyku – stwierdził Mike. – A na jakimś małym krajowym lotnisku można by prześliznąć się bez kontroli.

Trasa, którą jechali, prowadziła głównie prostymi drogami, ale zdarzały się też odcinki dosyć kręte. Kilka razy zatrzymali się i zaraz ruszyli dalej. Helen domyślała się, że pewnie przystawali na światłach albo utykali w niewielkich korkach. Byli w drodze już od czterech godzin i nawet Mike zamknął się kilka minut temu. Milczenie wyraźnie mu jednak nie służyło, ponieważ kręcił się niespokojnie na swoim siedzeniu. Mimo że powód ciągłego zaciemnienia podczas podróży wydawał się zrozumiały, to dosłowne odcięcie od świata źle działało na Helen. Stopniowo zaczął ją ogarniać lęk, że cała ta ich wyprawa może mieć inny cel niż obiecany. Jak mogli nabrać się na coś takiego?

W tym momencie busik ponownie się zatrzymał.

Stanley Winthorpe obserwował przybycie swoich gości na ekranach wewnętrznego monitoringu wizyjnego CCTV. Pojazdy zatrzymywały się jeden za drugim w cieniu platanów na rozległym patio obramowanym skromnymi, ale eleganckimi białymi budynkami i otoczonym wysokim murem. Młoda kobieta w szykownym jasnym kostiumie przywitała nowo przybyłych tradycyjnymi grzecznościowymi formułkami i kilkoma wyjaśnieniami. W pomieszczeniu kontrolnym nie było ich słychać, ponieważ operatorka wyłączyła dźwięk. Centrum bezpieczeństwa zostało zaprojektowane zgodnie z koncepcją Stanleya na podobieństwo kokpitu statku kosmicznego i po ośmiu latach, o dziwo, wciąż zadziwiało i robiło wrażenie.

– Nie powinniśmy byli ich tutaj sprowadzać – odezwała się obok niego Cara Movelli. Wysoka czterdziestolatka miała na sobie jak zwykle czarne dżinsy i czarną trykotową bluzkę z długim rękawem, a jasne włosy upięła trochę niedbale na czubku głowy w coś w rodzaju ptasiego gniazda.

– Wszystko jest pod kontrolą – uspokoił ją Stanley, śledząc na monitorach, jak goście wsiadają do czekających już na nich pojazdów elektrycznych.

– Tak się nam zdawało. Do wczoraj. Dopóki Jill nie zniknęła i nie wyszły na jaw jej potajemne akcje – odpowiedziała Cara. – Jak wynika z danych z konta, musiała zacząć prawie od razu po rozpoczęciu studiów. Przez cały ten czas bywała tutaj regularnie. Niezależnie od tego, co tam nawyczyniała, nie wiemy, ile z tego przemyciła tutaj.

– Albo co stąd wyniosła – uzupełnił odpowiedzialny za bezpieczeństwo Sam Pishta, umięśniony pięćdziesięciolatek o krótkiej fryzurze i mądrych oczach.

– I to mówi szef bezpieczeństwa – zauważył szyderczo Stanley.

– Nie jesteśmy w stanie nadzorować ich bez przerwy – przypomniał mu Sam. – Poza tym dobrze wiesz, że te dzieciaki i tak mają nad nami przewagę.

Stanley powiódł wzrokiem po innych monitorach. Widoki z parku, wnętrza różnych pomieszczeń, budynki, na niektórych kadrach widoczne dzieci i dorośli, na innych ani żywej duszy.

– Taki był plan – rzekł chyba bardziej do siebie, ale zabrzmiało to tak, jakby sam w to wątpił.

– Przewagę dużo większą, niż zamierzano i oczekiwano – dodała Cara. – A młodsze roczniki są jeszcze bystrzejsze niż Jill. Poza tym dlaczego ona ostrzega nas przed Gene'em? Ta wiadomość była wyraźnie przeznaczona dla Hannah i dla nas.

– Ciekawe, jakiego bigosu może narobić nam ten chłopak tutaj, pod nosem? – rzucił Stanley ze złością. – Jill mogłaby być trochę precyzyjniejsza.

– Poza tym zadaję sobie pytanie, dlaczego ona zrobiła to w taki sposób. A Ciebie to nie dziwi? Jakby chciała ostrzec kogoś wtajemniczonego, kto wie, o czym ona mówi. A przy tym jednocześnie zataić coś innego, czego osoby postronne nie powinny wiedzieć. Tylko co chciała powiedzieć? I co zataić? Kim są wtajemniczeni? A kim osoby postronne?

– Musiała wychodzić z założenia, że Jim i Hannah wcześniej czy później zobaczą tę wiadomość. – Sam dołączył do gry w zgaduj-zgadulę. – A niedługo potem także my.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to wiedza o jej genetycznej wyjątkowości – powiedział szorstko Stanley. – Ale ona nie ma o tym pojęcia.

– A jeśli jednak ma? – rzuciła Cara.

– Przecież jeszcze nic jej nie mówiliśmy – warknął na nią Stanley. – Jest za wcześnie, nawet jak na nią.

– Może sama do tego doszła.

– I co wtedy byś zrobiła na jej miejscu?! Jak myślisz? Co?

– Nie wyżywaj się na mnie, Stan! Skąd mam to wiedzieć? Pewnie poleciałabym do... rodziców. I zażądała wyjaśnień.

– Otóż to. Ale ona tak nie zrobiła. Czyli musi chodzić o coś innego.

– Tak czy owak, uważam, że dopóki nie znajdziemy Jill i nie wyjaśnimy tych wszystkich zagadek, powinniśmy wstrzymać wszelkie działania.

– Nie wchodzi w rachubę – odparł zdecydowanie Stanley.

– Tę firmę prowadzisz nie tylko ty – zauważyła Cara.

– Ale do twoich kompetencji nie należą relacje z klientami – odparował Stanley. – Ani badania i rozwój.

– Ale tak jak inni partnerzy odpowiadam za całe przedsięwzięcie.

– Kiedy dzieci dorastają, czasami robią takie rzeczy – podsumował Stanley, wzruszając ramionami, jakby chciał specjalnie zmanifestować swoje opanowanie i spokój. Wyznawał zasadę, że nie rozwiązuje się kryzysów, gdy dodatkowo się je rozdmuchuje.

– Dorastają?! – odpowiedziała z oburzeniem Cara. – Jill ma dopiero dziesięć lat, chociaż wygląda na piętnastolatkę! I ledwie znalazła się na wolności, od razu straciliśmy nad nią kontrolę!

Ale Stanley już jej nie słuchał. Zerknąwszy na monitory, zorientował się, że właśnie zbliża się jego ulubiony moment każdej wizyty: pierwszy kontakt.

– Odpowiemy państwu na wszystkie pytania – zapewniała gości przewodniczka. Jej rysy zdradzały południowoazjatyckich przodków. Przedstawiła się jako doktor

Rebecca Yun. Kierowała teraz pojazdem elektrycznym, w którym ulokowała Helen, Grega, Dianę, Mike'a, Jelenę i Douga. Jechali wyasfaltowaną drogą przez park, na którego granicy wkrótce ukazało się skupisko budynków. Typowo amerykańskie podmiejskie domy, dosyć oddalone od siebie, otoczone otwartymi ogródkami, w których leżały porozrzucone zabawki i rowery. Na jednym z trawników piątka dzieci pod okiem dorosłego opiekuna bawiła się w berka. Helen oceniła ich wiek na sześć do dziesięciu lat. Każde mogłoby być małym modelem.

– Ładne – Greg szepnął do Helen. – Ale...

– Stój! – nagle krzyknął z tyłu Mike.

Jedno z dzieci umknęło przed łapiącym kolegą, przeskakując mu nad głową – jak w filmie z gatunku sztuk walki. Rebecca zatrzymała pojazd.

– Co to... – wybełkotał Greg.

Łapiący rzucił się z furją za skoczkiem, który śmiał się z niego drwiąco i znowu przeskoczył przez tamtego w takim tempie, że Helen nie nadążyła za nim wzrokiem. A gdy wylądował, przybił piątkę z innym maluchem.

– Wow – bąknął Mike.

– To nie fair, Gene! – zawołał inny chłopiec. Rozczochrane jasne włosy wchodziły mu do oczu. – Dobrze wiesz, że Brian tak nie umie.

– To niech się nauczy – roześmiał się Gene. Jego ciemne loki spadały mu zawadiacko na czoło. Przy trzeciej próbie Briana wystrzelił ze dwa metry w górę, zrobił jeszcze salto w powietrzu i lądując, specjalnie szturchnął kolegę nogą w ramię, w rezultacie czego tamten potknął się i upadł. Z bezsilności zaczął płakać. Zanim opiekun zdążył interweniować, jasnowłosy chłopiec krzyknął:

– Dosyć!

Helen nie widziała, jak to się stało, ale mały blondas nagle zawisł poziomo w powietrzu, ze stopą wymierzoną w Gene'a. Tymczasem on też obrócił się tak błyskawicznie, że noga atakującego zamiast trafić go w głowę, zaledwie musnęła mu ramię. Skoczek wylądował na ziemi i okręcił się wokół własnej osi jak na filmie w przyspieszonym tempie, po czym przyjął pozycję obronną. W równie zawrotnym tempie zmienił ułożenie ciała blondyn i koszącym ruchem prawej nogi próbował przewrócić przeciwnika. Ten natomiast bez najmniejszego wysiłku przeskoczył nad nią i już w powietrzu przygotował swój następny cios. Mike gwizdnął cicho przez zęby. Rebecca chciała jechać dalej, ale wszyscy pasażerowie krzyknęli: „Stój!”.

Chociaż Helen nie była wielbicielką filmów sztuk walki, od czasu do czasu oglądała najbardziej emocjonujące sceny. Były to absurdalne, ale mimo przemocy

i brutalności niezwykle estetyczne układy choreograficzne, w których bohaterowie, uwolnieni od siły grawitacji, tańczyli wokół siebie w pełnych artyzmu pozach i w szaleńczym tempie, wirując metr nad ziemią, przewyżając ograniczenia ludzkiego ciała. Helen zdawała sobie sprawę, że filmowcy uciekali się do różnych środków pomocniczych: lin, na których aktorzy byli podciągani, trampolin, dźwigów, a od pewnego czasu korzystali także z animacji komputerowych. Ale ten jasnowłosy chłopiec robił z pozycji stojącej podwójne salto nad głową swojego przeciwnika bez jakiegokolwiek liny czy dźwigu.

– A niech mnie – szepnął Mike za jej plecami. – Trafiliśmy do instytutu Profesora X dla nastoletnich geniuszy.

– Gdzie? – Helen spytała cicho Grega.

– Ma na myśli szkołę dla mutantów z komiksu o X-Menach.

Chłopięce zainteresowania.

– Powstrzymaj ich wreszcie! – wrzasnął Stanley Winthorpe do mikrofonu. Opiekun robił, co mógł, aby rozdzielić te walczące koguty, ale obaj byli dla niego za szybcy i zbyt wysoko wzbijali się nad ziemię. Jak małe dziecko, któremu starsi próbują wcisnąć czapkę na głowę, na próżno rzucał się i podskakiwał między nimi.

– Znowu Gene – zauważyła Cara. – Bardzo lubi drażnić klasyczne dzieci.

– Chłopcy tacy już są – odpowiedział bez namysłu Stanley. – Czasami rzucają się na słabszego.

– Nie chłopcy, tylko zabijaki – zaoponowała Cara. – Tyle że w konfrontacji z podrasowanymi zabijakami szanse są jeszcze mniejsze.

– Nie nazywaj ich podrasowanymi – obruszył się Stanley.

– Czy Jill mogła mieć to na myśli? – spytał Sam. – Że on lubi znęcać się nad słabszymi dziećmi?

– Dobrze przynajmniej, że Brian ma podrasowanego obrońcę w Nelsonie – powiedziała Cara niewzruszenie.

Stanley z irytacją polecił przewodnikom przez zestawy słuchawkowe:

– Jedźcie wreszcie dalej!

– O co ci chodzi? – wtrąciła Cara. – Dzięki tej scenie nasi goście już na samym wstępie mają okazję zobaczyć pokaz możliwości. Przecież zawsze powtarzasz, że każda para klientów ma własne motywy, aby sprawić sobie jedno z naszych dzieci, nawet jeśli większość z nich nigdy się do tego nie przyzna. A te motywy to lęk przed degradacją, darwinizm społeczny, kompleksy wynikające z poczucia niższości, pragnienie uznania, próżność, pozerstwo, zwykła

niegodziwość... Gene i Nelson wykonują właśnie dobrą robotę i dostarczają mocnych argumentów dla chuliganów i dla ich byłych ofiar... *Fuck!*

Helen bardziej domyślała się tego, co się przed nią dzieje, niż rzeczywiście to widziała. Być może dlatego cała ta scena rozgrywała się dla niej jakby w zwolnionym tempie. Obaj chłopcy szybowali w powietrzu powyginani w przedziwnych pozycjach. Stopa Gene'a z całym impetem trafiła w głowę blondyna. Smuga śliny z jego ust nakreśliła w powietrzu linię ciosu. Potem blondyn opadł zgrabnie na ziemię jak kot, ale przez ułamek sekundy się zachwiał. Ten drugi niemal natychmiast znalazł się obok niego i już zamierzał się do kolejnego ataku, gdy tamten zablokował go znowu. Opiekun wykorzystał moment, aby wreszcie wskoczyć między nich i chwycić każdego za ramię.

– Koniec! – rozkazał. – Pogódźcie się!

Mokre od potu włosy kleiły się im obu do głów. Ociągali się, mierzyli wzrokiem. Wreszcie przybili piątkę.

– To jest Nelson – powiedziała Rebecca, wskazując na blondyna – i Gene. Chłopcy czasami się czubią, ale to nic poważnego. Jak państwo widzą, szybko im mija.

Uruchomiła znowu pojazd. Tym razem Greg jej nie zatrzymywał.

– Gene jest naszym najstarszym wychowankiem.

– Najstarszym? – zdziwił się Doug. – Czy to znaczy, że był pierwszy? Niejako prototyp?

– Tak, on i jeszcze pewna dziewczynka – potwierdziła Rebecca.

Helen poczuła ciarki na plecach. A więc to jednak prawda?

– Wow – szepnął Doug.

– Ale raczej nie najsympatyczniejszym. – Diana po raz pierwszy powiedziała więcej niż dwa słowa.

– Ci chłopcy byli lepsi niż kaskaderzy filmowi – zauważył z podziwem Doug.

– Dlatego państwo tutaj się wybrali – przypomniała im Rebecca, jadąc dalej.

„Czy rzeczywiście dlatego?” – zadała sobie w duchu pytanie Helen.

– Co Nelson miał na myśli, mówiąc, że Brian tego nie potrafi? – spytała Jelena.

– Brian nie dysponuje takimi umiejętnościami, jakie mają Gene i Nelson. Dzieci czasami jeszcze tego nie respektują. Ale wcześniej czy później to się zmieni.

„Czy na pewno?” – zastanowiła się znowu Helen. Niby dlaczego miałyby tak być?

– Jak to możliwe, że on nie ma takich umiejętności? – dopytywała Diana.

Rebecca odpowiedziała dopiero po chwili.

– Brian to klasyczne dziecko – wyjaśniła, nie bez trudu usiłując zachować normalny ton głosu, co nie uszło uwadze Helen. – Mieszka tutaj kilkoro takich. To dzieci personelu, poczęte w sposób naturalny. – Spojrzała na zegarek na ręce. – Jest wpół do dwunastej – oznajmiła pospiesznie. – Kwadrans po dwunastej zabierzemy państwa na skromny obiad. A zaraz potem zacznie się oprowadzanie.

– Czy to znaczy – Doug nie zamierzał rezygnować z dalszych pytań – że właśnie oglądaliśmy starcie między normalnymi i genetycznie modyfikowanymi dziećmi?

– Preferujemy określenie „dzieci nowoczesne” – powiedziała Rebecca.

– Nowomowa – bąknął Doug.

– Tak naprawdę była to mała, zabawna potyczka między dwoma nowoczesnymi chłopcami, Nelsonem i Gene'em.

– Okej – zagrzmiał Mike. – Myślę, skarbie, że my wolelibyśmy takiego Nelsona, a nie Briana, prawda?

Diana wykrzywiła twarz, zde gustowana jego pospolitością.

– Czy dzieci wiedzą o swojej... konstrukcji? – spytał Doug.

– Nie. Na to nawet Gene jest jeszcze za młody – wyjaśniła Rebecca.

– A rodzice z personelu? – chciał wiedzieć Mike.

– Nie. Dla normalnego personelu wychowawczego te dzieci są wybitnie uzdolnionymi sierotami albo dziećmi matek zastępczych adoptowanymi przez nas.

– I ludzie wierzą w tę bajeczkę o wybitnych zdolnościach? Bo ja na ich miejscu byłbym bardzo sceptyczny – stwierdził Mike.

– Pan Mike, nie myślę się, prawda? – zwróciła się do niego Rebecca. – Myślę, że w swojej firmie również podchodzi pan do wielu rzeczy sceptycznie, ale najwyraźniej sownie panu płacą za to, żeby nie wyrażał pan swoich wątpliwości zbyt głośno. Albo odwrotnie: nie wyraża pan swoich wątpliwości zbyt głośno, aby być sownie opłacanym.

Mike już miał odpowiedzieć jej z oburzeniem, ale ona go uprzedziła:

– I tutaj nie jest inaczej.

„Nieźle mu się odcięła, nawet bezczelnie – pomyślała Helen. – Po prostu zdemaskowała jego hipokryzję i dwulicowość. Widocznie mogła sobie na to pozwolić. Ponieważ ze względu na superdziecko Mike prawdopodobnie przymknie na to oko. Tak jak robi to u siebie w firmie. Swoją drogą, skąd Rebecca o tym wie? Jakie informacje ona i inni mają o mnie i Gregu?”.

Helge odwołał wszystkie spotkania. Gdy tylko dostał wiadomość, że z Tanzanii nadeszły nowe dane, razem z Horstem i z innymi udał się natychmiast do zabezpieczonej przed podsłuchem sali konferencyjnej. Na monitorze był już widoczny Gordon.

– Niech będą błogosławione nasze nowe maszyny – zaczął żartobliwie. – Gdyby nie one, nie poszłoby nam tak szybko.

– Kosztowały majątek – burknął Helge. – No i co? Jakie wyniki?

– Ustaliliśmy obecność Cas9 – oświadczył rzeczowo Gordon.

– Ku... – Horst powstrzymał się w ostatniej chwili.

Gordon niewzruszenie kontynuował:

– Jeżeli znalezienie gatunkowo obcej sekwencji genu z miodli indyjskiej i innych sekwencji nie wystarczało i potrzebny był jeszcze jeden dowód na to, że ta kukurydza została celowo zmodyfikowana genetycznie, to go mamy.

– Ale czy białko Cas9 nie mogło trafić do DNA przy wszczepianiu innych mutacji? – spytał Helge.

– Nie – wtrącił się Horst. – Białko Cas9 to swego rodzaju nożyce, za pomocą których rozcina się DNA. Ale jeśli wbudowujesz daną właściwość przez mutację heterozygotyczną, czyli bez napędu genowego, potrzebujesz tego białka tylko na ten jeden raz, a potem już nie. Czyli Cas9 nie zostaje w organizmie. Jest inaczej, jeżeli chcesz skorzystać z technologii napędu genowego, ponieważ wtedy kopiujący gen potrzebuje białka Cas9 do rozcięcia sekwencji DNA przy chromosomie odpowiadającym za odporność. W każdym kolejnym pokoleniu. Innymi słowy, następuje jak gdyby wbudowanie tych nożyc na stałe. Przy czym prawdopodobnie z pewnym wysiłkiem dałoby się też temu przeszkodzić. Tylko jeszcze nie teraz. Może kiedyś, tyle że to nie jest w ogóle konstrukt z naszego świata. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł zaprojektować i wyhodować coś tak skomplikowanego.

– Jeżeli ta kukurydza rzeczywiście może przekazać swoje właściwości wszystkim następnym generacjom... – zaczął Helge.

– ...wtedy coraz więcej chłopów w okolicy przez czyste krzyżowanie będzie miało tę cudowną roślinę – dokończył zdanie Gordon.

– Dostaną to na tacy jak Święta Panienska Dzieciątko – zauważył Helge.

– Nasuwa się pytanie, w jaki sposób ci już pobłogosławieni weszli w jej posiadanie – wtrącił Horst.

– No właśnie. Na pewno próbowałeś się dowiedzieć – zwrócił się Helge do Gordona.

– Sam dobrze znasz ten ludek – odparł Gordon. – Dla nich przyczyną wszystkiego jest magia albo duchy.

– No to znajdźcie prawdziwą przyczynę! Albo duchy!

Jessica oparła się o ścianę między drzwiami – za jednym z nich siedział Sean Pickard, a za drugim – Hsiao Jinjin, kolejny podejrzany. Rich stał obok niej, Tom i Jaylen – naprzeciwko.

– Ich zeznania się zgadzają – powiedział Tom. – Oczywiście alibi obu zaczniemy dopiero sprawdzać, a co się tyczy merytoryki, ocena należy do Richa.

– Wyjaśnienia brzmią logicznie i spójnie – zaczął Rich. – Zgłosili eksperymenty i je rozpoczęli. Przestrzegali wszystkich przepisów. Jak już mówiłem, chodzi o sekwencję, która ma uaktywnić określone geny. Kiedy byli mniej więcej w połowie, w jakimś fachowym piśmie ukazał się artykuł opisujący metodę, która rozwiązała już ten problem w sposób prostszy i elegantszy. Taki los naukowca. Sprawdziłem to. Publikację wyników tamtych drugich badań, wewnętrzne protokoły z ich eksperymentów aż do przerwania. Wszystko pasuje. – Wzruszył ramionami. – Co oczywiście nie znaczy, że ktoś nie mógłby kontynuować doświadczenia poza protokołem. Co w tym laboratorium, w obliczu obowiązujących tu przepisów i zasad bezpieczeństwa, byłoby trudne, ale w każdym dobrze wyposażonym laboratorium garażowym jak najbardziej możliwe.

– Jeżeli zatem istnieje prostsze rozwiązanie, to dlaczego nasi inżynierowie od zabójczego wirusa wybrali to drugie? – spytała Jessica.

– Muszę jeszcze przyjrzeć się temu dokładnie. Ale to może trochę potrwać. Może woleli użyć nieznanego rozwiązania, bo z jakichś względów lepiej się dla nich nadaje. A może są po prostu próżni. Albo głupi. Nie wiadomo.

– Pójdę jeszcze raz do Melanie King – powiedziała Jessica, wskazując na drzwi, za którymi znajdowała się trzecia z podejrzanych osób. – Ty, Tom, idź do Hsiao Jinjina, a Jaylen niech się zajmie Seanem Pickardem. Przepytajcie ich. Wezmę ze sobą Richa, ale w razie potrzeby może dołączyć do każdego z was.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – roześmiał się Rich, podczas gdy ona otwierała już drzwi do pokoju, w którym mniej więcej trzydziestokilkuletnia brunetka siedziała na krześle między dwoma funkcjonariuszami SWAT-u. Zanim Jessica zdążyła się przedstawić, kobieta krzyknęła zdenerwowana:

– Coś mi się przypomniało! Pani koledzy pytali, czy dane uzyskane w eksperymencie przekazałam osobom trzecim. Nie wiem, czy ktoś już pani o tym wspomniał, ale dwa lata temu było włamanie do naszego systemu informatycznego. A w nim znajdowały się wszystkie informacje dotyczące

naszych badań!

– Dlaczego mówi pani o tym dopiero teraz?! – wrzasnęła Jessica. Nikt do tej pory nie zająknął się na ten temat. – Znaleziono hakera?

– O to musi już pani spytać szefa IT.

Ich pokój był przestronnym i jasnym pomieszczeniem o przeszklonej ścianie wychodzącej na taras, z dużym podwójnym łóżkiem i z widokiem na korony drzew. Na jednej ze ścian wisiał na ruchomym ramieniu ogromny płaski telewizor. Podobnie jak w wielu hotelach leciał na nim na okrągło filmik powitalny, a na samej górze wyświetlał się napis: „Witamy w New Garden!”. Po lewej od wyjścia na taras stały kanapa i wygodny fotel.

– Żadnych cudownych dzieci tutaj? – powiedział Greg, rozglądając się dookoła. – To show na dworze jakoś mnie nie zachwycało, mimo że przedstawienie przebiegło gładko według scenariusza: na samym wstępie imponujący pokaz, superbohater broni słabszego przed superłobuzem. W rzeczywistości mieli pewnie ukrytą trampolinę.

Helen widziała po jego oczach, że coraz bardziej traci przekonanie. Ona sama czuła ogromną niepewność, a także lęk. Czy rzeczywiście mogliby zostać postawieni przed taką decyzją? Greg twierdził jednak, że to niemożliwe.

– Bzdury gadasz! Jaka trampolina! – prychnęła. – Gdyby faktycznie tam była, to dlaczego ten Brian i opiekun z niej nie skorzystali?

– Bo nie przewidywała tego ich rola – odparł.

Helen rozsunęła szklane drzwi i wyszła na dwór. Greg dołączył do niej po chwili. Powietrze pachniało wczesnym latem. Z drzew dochodził świergot ptaków. Po obu bokach taras był osłonięty niczym klapkami na oczy ściankami oddzielającymi go od sąsiednich balkonów.

– Jeśli Brian jest rzeczywiście klasycznym dzieckiem, jak nazwała go Rebecca – bąknęła – natomiast Gene i Nelson...

Greg przechylił się daleko przez balustradę, jednak szeroki występ muru uniemożliwiał zajrzenie na drugą stronę.

Helen pocałowała go w policzek.

– Bardzo dobrze, że jesteś krytyczny – zwróciła się do niego. – Ale wolałabym, żebyś nie udawał ślepego na jedno oko, byle tylko mieć rację. Ja też nadal mam wątpliwości, i to chyba jeszcze większe, musimy jednak zachować zdolność trzeźwej oceny. I dlatego powinniśmy być ciekawi i otwarci. Bo kto wie, czy nie trzeba będzie podjąć decyzji. I to bardzo ważnej decyzji.

Greg westchnął. I przytaknął. Nie dla świętego spokoju, Helen to widziała. Rzeczywiście przyjął, że ona może mieć jednak rację. W milczeniu patrzyli na czubki drzew. Potem on znowu spojrzał na nią i w zamyśleniu pokręcił głową,

jakby sam nie mógł uwierzyć, że bierze tę ewentualność pod uwagę.

Niedziela rano to był czas przeznaczony dla syna. Irvin zawoził Buddy'ego na trening drużyny baseballowej i razem z innymi ojcami z trybun szkolnego stadionu obserwował chłopców ganiających po boisku.

– Jeszcze mają marzenia – odezwał się jego sąsiad. – Ja w ich wieku też je miałem. A ty, Irv, chciałeś być jak kto? Jak Babe Ruth? Czy jak Joe DiMaggio?

– Zwariowałeś?! Jak Mike Schmidt? Nikt nie miał takich wąsów jak on!

– Wow, człowieku...! Rozumiem. A twój dzieciak?

– Przede wszystkim niech się dobrze bawi.

– Kto nie ma marzeń, nie przeżywa rozczarowań?

– A ty jak zrobisz ze swojego małego drugiego DiMaggia?

W tej samej chwili Irwinowi przypomniała się rozmowa z Gregiem z poprzedniego wieczoru. Wyjął telefon.

– Przepraszam – zwrócił się do sąsiada. – Muszę pilnie zadzwonić. – Poszedł wyżej między puste rzędy. Poszukał w internecie numeru lokalnego biura NSI i zadzwonił. Po kilku wstępnych wyjaśnieniach kobieta po drugiej stronie zdecydowała się nagrać jego historię. Opowiedział zatem, co wie. A właściwie: co zapamiętał. Że przyjaciel przyjaciela chciał po kryjomu sprawić sobie dziecko jakby szyte na miarę. Co technicznie jeszcze długo raczej nie będzie możliwe. A więc to musiało być oszustwo. Albo może nie. Czyli chyba rewolucja. Uzmysłował sobie, że to wszystko musi brzmieć idiotycznie, i szybko się zorientował, że jego rozmówczyni chyba mu nie wierzy. Mimo to słuchała cierpliwie. Irvin usiłował się streszczać. Ostatecznie to jest czas przeznaczony dla Buddy'ego, a nie dla Grega. Wyświadczył mu przysługę. Już oni zajmą się tym odpowiednio. Pewien znajomy mi opowiedział... Biedny Greg! Ale nieważne. To tak na wypadek gdyby. Spełnił swój obowiązek. Schował komórkę do kieszeni. Na boisku Buddy właśnie oddał świetny rzut.

– Super, Buddy!

Mały da sobie radę. Tak czy inaczej.

– No to mamy to – powiedział młody mężczyzna z prokuratury, który był razem z Jimem i Hannah w banku.

Razem z nim w pokoju znajdowali się Gardner i dwoje nowych funkcjonariuszy: Eve i mężczyzna o imieniu Aldridge. Wszyscy stali skupieni nad komputerem na biurku prokuratora.

– Sędzia przychylił się do naszego wniosku o dostęp do miejsca na serwerze Servzon, które Jill prawdopodobnie wynajęła na nazwisko June Pue. Administratorzy Servzon z kolei umożliwili nam wejście do domeny, tak by drugi użytkownik, czyli Jill, niczego nie zauważył. No i tak to wygląda.

Gdy kliknął myszką, na ekranie otworzyło się okno, w którym Hannah zobaczyła jeden jedyny symbol.

– To wszystko? – spytał Jim.

– No tak – potwierdził prokurator. – To tak zwany serwer wewnętrzny, wirtualny. – Gdy kliknął znowu, w oknie pojawiło się pytanie o hasło. – Na dodatek chroniony hasłem. Ale może szczegóły lepiej wyjaśnią państwu koledzy.

Aldridge, szczerzy i nieco nerwowo, powiedział:

– Chroniony hasłem, czyli dostępny tylko dla użytkowników. Ale przyjrzeliśmy się dokładnie wszystkiemu, między innymi logo serwera zewnętrznego. Oszczędzę państwu detali, tylko powiem, do czego doszliśmy. Niezależnie od tego, kto wynajmował serwer zewnętrzny i założył wirtualny, przy logowaniu się popełnił raz błąd i omyłkowo wpisał w serwerze zewnętrznym hasło do serwera wirtualnego. Mógłby oczywiście usunąć ten zapis, jednak tego nie zrobił. Głupie przeoczenie.

Hannah nie rozumiała ani słowa, ale zapewne wcale nie musiała.

– Dzięki niemu byliśmy w stanie otworzyć serwer wirtualny.

I to było najważniejsze.

Prokurator wprowadził do komputera kombinację liter i cyfr. I nagle okno zapełniło się setkami ikonk katalogów.

– Co to jest? – spytała Hannah. – Co Jill zrobiła?

– My też zadajemy sobie to pytanie – odpowiedział prokurator. – Tu się mieści ponad tysiąc katalogów, a w nich setki tysięcy kolejnych podkatalogów i dokumentów. Na razie zajrzeliśmy wrywkowo do niewielu. Ale nie znaleźliśmy w nich żadnych wskazówek dotyczących ich zawartości. Pomyśleliśmy, że może państwo będą umieli powiedzieć coś na ich temat. – Otworzył jeden z katalogów,

a w nim dowolny plik. Na ekranie zaczęła się obracać kolorowa spirala złożona z połączonych razem kuleczek.

– Wygląda jak fragment genomu – stwierdziła Hannah.

– Zdaje się, że większość materiału na serwerze dotyczy tego samego – wyjaśnił prokurator. – Dlatego wezwaliśmy państwa. Nasi ludzie nie mają o tym pojęcia. Szukają dalej innych wskazówek.

– Czy my też moglibyśmy bliżej przyjrzeć się tym katalogom? – spytała Hannah, wpatrując się w monitor.

– Wręcz prosimy panią o to. Przecież to pani dziecko. Do oryginalnych plików mogą oczywiście mieć dostęp tylko nasi pracownicy. Ale założymy pani równoległy serwer i przegramy na niego dane.

– Co to jest? – wymamrotała pod nosem Hannah. – Co ty tu nawyczyniałaś, Jill?

Obiad odbywał się w obszernej sali o trzech przeszklonych ścianach, w której mieścił się bufet i ponad trzydzieści małych stolików. Za szybami rozciągał się park. Helen nie widziała nigdzie dzieci. Kilka par zajęło już miejsca przy stołach. Niektóre z nich nie przyleciały razem z nimi samolotem. Prawdopodobnie zostały przywiezione skądinąd.

Helen i Greg usiedli blisko szklanej ściany.

Mimo długiej podróży Helen nie czuła się głodna. Po kilku kęsach odsunęła talerz na bok. Po chwili do sali wszedł mężczyzna w białym lekarskim kitlu. Na jego widok szepnęła Gregowi do ucha:

– To doktor Winthorpe. Ten z filmiku.

Towarzyszyła mu Rebecca i para innych naukowców. Kobieta pasowała na okładkę magazynu dla kobiet po czterdziestce, a mężczyzna miał fryzurę i uśmiech do złudzenia przypominające Johna F. Kennedy'ego.

– Życzę państwu wspianego dnia, szanowne panie i szanowni panowie! Mam nadzieję, że obiad państwu smakował! Domyślam się, że mają państwo mnóstwo pytań, niektórzy z was pewnie są sceptyczni. – Helen zerknęła z boku na Grega. – To normalne. Czeka was bowiem coś nieznanego i całkowicie nowego. Ale wy należycie przecież do ludzi, którzy dają szansę temu, co nieznanne i nowe, i dlatego jesteście tutaj. Proszę pytać nas o wszystko. Nie oszczędzajcie nas. Bo podstawą waszej ostatecznej decyzji będzie nie uzyskana przez was wiedza, nie niezwykle dzieci, które tu poznacie, i nie opinie innych w grupie. Najistotniejsze będzie jedno: wasze zaufanie. Tylko wtedy, gdy zaufacie nam w stu procentach, wasze dzieci zyskają szansę na to, by również w stu procentach wykorzystać swój potencjał. Domyślam się, że przede wszystkim chcecie pewnie wiedzieć, czy to w ogóle jest możliwe? Według mediów nie jesteśmy jeszcze na tyle zaawansowani, by móc genetycznie zmieniać ludzką naturę. No cóż. Główną przeszkodą jest obowiązujące tabu, zgodnie z którym człowiek nie powinien „udawać Pana Boga”. Taka narracja towarzyszy nam od zarania dziejów. Począwszy od Golema i ucznia czarnoksiężnika, przez sztucznie hodowane dinozaury, po inteligentne roboty. Historie twórców udoskonalonego człowieka zawsze kończą się źle. I chociaż już Biblia nakazywała nam, abyśmy uczynili przyrodę sobie poddaną, większość jest obecnie dogłębnie przekonana, że ingerencja człowieka w naturę może wywołać jedynie katastrofę. Niemal wszyscy utożsamiają się z takim podejściem do tego stopnia, że każdą próbę podważenia

go uznają za bluźnierstwo. Niewierzący używają zamiast określenia „bluźnierstwo” innych słów, na przykład „nieetyczne”. Aby uniknąć owego wykluczenia czy potępienia, wielu naukowców niezgadających się z tymi ograniczeniami pracuje w ukryciu. Tak jak my. A w konsekwencji do opinii publicznej nie dociera prawie nic na temat tego, co robimy. – Na krótko zatrzymał spojrzenie na Helen, starając się nawiązać z nią, podobnie jak z innymi obecnymi, kontakt wzrokowy. – A takie podejście jest z gruntu fałszywe. Przecież nowe technologie, ogólnie rzecz biorąc, zawsze polepszały jakość życia człowieka: poczynając od ujarzmienia ognia przez wynalezienie koła, pisma, druku, odkrycie elektryczności... Zdobytcze współczesnej medycyny i techniki pozwalają coraz większej liczbie ludzi żyć zdrowiej, dłużej i wygodniej niż w poprzednich pokoleniach.

Greg pochylił się ku Helen i szepnął jej do ucha:

– Typowy wyznawca determinizmu technologicznego. Wygląda na to, że chyba nadal jesteśmy w Kalifornii.

Helen nie zareagowała, tylko dalej słuchała Winthorpe’a.

– Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że technika i postęp niosą wyłącznie szczęście. Powinniśmy zawsze rozważać je w konkretnym kulturowym kontekście. Nie można jednak mechanicznie ich odrzucać.

Twarz Grega spochmurniała, gdy doktor zaczął nieco relatywizować rozpoczęty wywód. Najwyraźniej dobrze znał swoją publiczność.

– Przeludnienie i ocieplenie klimatu to najlepsze przykłady na to, jak cudownie udaje nam się ujarzmić przyrodę, tak w tym momencie myśli pewnie wielu z was. I to jest właśnie znowu ta sama fałszywa narracja! Ale my uporamy się i z tym wyzwaniem! – Odchrząknął i po chwili kontynuował: – Proszę mi wybaczyć tę krótką dygresję, lecz była ona ważna dla uzmysłowienia państwu, dlaczego do tej pory nie słyszeli państwo o nas i o innych. Jak już...

– To są jeszcze inni? – Okrągławy trzydziestokilkulatek w bordowej koszulce polo niemal krzyknął ze swojego miejsca.

– Owszem – odpowiedział Winthorpe. – Genomics Institute BGI w Pekinie to największa na świecie firma zajmująca się sekwencjonowaniem genów. Od lat gromadzi i zupełnie oficjalnie dokonuje sekwencjonowania tysięcy genomów wybitnie inteligentnych ludzi. W jakim celu? Zwierzęta użytkowe, na przykład świnie, już od dawna są tam klonowane na skalę przemysłową. Albo hodowane i sprzedawane w wersji miniaturowej jako prosiaczki miniatutki. Pierwsza publikacja na temat doświadczeń przeprowadzonych na ludzkich embrionach przy udziale rewolucyjnej metody edycji i modyfikacji genów CRISPR-Cas9 ukazała

się w dwa tysiące piętnastym roku właśnie w Chinach. Próbę stworzenia embrionów odpornych na wirusa HIV też zawdzięczamy chińskim badaczom, którzy podjęli się tego zadania w dwa tysiące szesnastym roku.

– Nie wiedziałem... – wymamrotał mężczyzna w polo.

– Chińczycy nie są bynajmniej jedyni – wyjaśniał dalej Winthorpe. – Nawet w Europie powoli następują zmiany. Na przykład w Wielkiej Brytanii dopuszczono zabiegi na zapłodnionych komórkach jajowych człowieka w ciągu pierwszych siedmiu dni. W celu wyeliminowania ewentualnych chorób. Taka jest wersja oficjalna. Na razie nie wolno ich jednak umieszczać w macicy kobiety. Na razie. Ale już wcześniej możliwe było ingerowanie w rozwój zarodka, aby zapobiec późniejszym ciężkim uszkodzeniom płodu. Na przykład z komórki jajowej kobiety, która ma uszkodzone mitochondrialne DNA, a chciałaby zostać mamą, wyjmuje się mitochondria, a w ich miejsce wstawia zdrowe, pobrane od anonimowej dawczyni.

– Czy to znaczy – spytała szczupła kobieta w designerskich okularach – że takie dziecko ma potem troje rodziców?

– Bardzo dobre pytanie. Niektórzy uważają, że tak, inni, że nie.

Kobieta pokiwała głową w zadumie. Nie zadała już kolejnego pytania.

– To wszystko może się państwu wydawać na razie bardzo techniczne, wręcz nieludzkie – kontynuował Winthorpe. – Ale postęp inżynierii genetycznej sprawi, że dzieci będą przychodziły na świat zdrowe. A o to przecież chodzi. Myślę, że wymienione przeze mnie przykłady unaocznily, jak daleko posunęły się nawet oficjalne procedury. – Powiedziawszy to, rozłożył szeroko ramiona i dodał: – A teraz proszę za mną, zapraszam państwa w najbardziej ekscytującą podróż waszego życia!

Jason Brill kopiował i spinał razem prezentacje, gdy nagle pojawiła się przed nim María Solér. Obok niej stał jakiś mężczyzna. W Jasonie od razu odezwały się wyrzuty sumienia.

– Posłuchaj, na dzisiaj masz już wolne – oznajmiła mu María. – Pojedziemy z tobą do twojego domu.

Już zwracali się do niego per ty. Wyraźny brak szacunku. A więc tak się sprawy mają. Capnęli go. Nie wiadomo dlaczego. Jason nie miał pojęcia, czym zawinił. Starając się zachować obojętną twarz, mimo wszystko ruszył za nimi.

– O co chodzi? – spytał niby od niechcenia.

– Przekonamy się u ciebie w domu.

Kolega Marii Solér wiozł go przez cały Waszyngton na tylnym siedzeniu cywilnego auta przez trzy kwadransy. Wreszcie dotarli do kamienicy z lat sześćdziesiątych, w której Jason mieszkał od rozpoczęcia praktyki. Podczas jazdy usiłował z jak największym spokojem poznać cel wizyty, ale zarówno kierowca, jak i Solér pozostali lakoniczni, co spowodowało, że zdenerwowanie Jasona przerodziło się w panikę. Auto zatrzymało się obok niedużego vana. Gdy wysiedli, dołączyli do nich dwaj mężczyźni i dwie kobiety z ciężkimi walizkami, czekający w vanie. Przez ułamek sekundy Jason zastanawiał się, czy nie uciec. Niedorzeczny pomysł. Wszyscy szli za nim do drzwi jego mieszkania. Przed wejściem do środka czwórka z walizkami włożyła kombinezony i lateksowe rękawiczki.

– Proszę otworzyć – poleciła María Solér.

Na szczęście od razu trafił kluczem w dziurkę, dzięki czemu mógł ukryć drżenie rąk.

Kombinezony weszły pierwsze. María, Jason i kolega Marii za nimi. Mieszkanie składało się z jednego pokoju z aneksem kuchennym i małej łazienki. Jeden z kombinezonów stał już przy zlewie i w palcach osłoniętych gumową rękawiczką trzymał ściereczkę.

– Czy to jest ściereczka, o której mówił pan pani Solér? – spytał. – Którą panu przysłano?

Jason dopiero po kilku sekundach zrozumiał, o czym mówi ten mężczyzna.

– Tak – odpowiedział osłupiały. – Czyli całe to zamieszanie z powodu jakiejś szmatki?

Mężczyzna włożył podejrzaną gałganek do foliowej torebki.

– A koperty, w której pan to dostał, nie ma pan jeszcze przypadkiem?

Jason zastanowił się przez moment. Napięcie trochę opadło. Pierwszy raz. Może jednak nie dobiorą mu się do skóry. Szmatka przyszła jakieś dwa tygodnie temu.

– Możliwe, że jeszcze jest – powiedział gorliwie. – W szafce pod zlewem stoi kosz na odpadki, karton na makulaturę i drugi na inne rzeczy do recyklingu. Koperta może być ewentualnie w makulaturze.

Kombinezon otworzył szafkę, tymczasem pozostała trójka rozeszła się po pokoju i zachowywała się tak jak technicy policyjni z kryminalnego serialu. Pojemnik na śmieci i oba kartony zniknęły wraz z zawartością w wielkich foliowych workach.

– Okej – powiedział kombinezon.

– Dziękujemy za współpracę – zwróciła się Maria do Jasona. – Koledzy jeszcze tu trochę zostaną. A my mielibyśmy do ciebie kilka pytań, ale zadamy ci je gdzie indziej.

Fuck!

Winthorpe i reszta personelu rozlokowali znowu wszystkich gości w pojazdach elektrycznych i zawieźli do osiedla mieszkaniowego. Dzieci bawiły się w ogródkach przed domami i na ulicy. Były wśród nich takie, które dopiero niedawno nauczyły się chodzić, czyli mniej więcej półtoraroczne, oraz starsze – do sześciu, siedmiu lat. Wszystkie wyglądały na bardzo zdrowe, a zdecydowana większość była niezwykle wysportowana. Mimo to Helen wydały się jakieś inne. Może sprawiały to ich ruchy – jak gdyby szybsze, zwinniejsze i precyzyjniejsze niż u zwykłych dzieci w ich wieku – albo sposób, w jaki się ze sobą bawiły. Helen nie potrafiła tego sprecyzować. Cokolwiek to było, budziło w niej rozdrażnienie, a jednocześnie – paradoksalnie – poczucie dystansu.

Mamy i ojcowie pchali przed sobą po chodnikach wózki z maluchami. Z niektórych z nich spoglądały na Helen ogromne oczy, inne niemowlęta spały zadowolone na swoich miękkich poduszkach. Idylliczne obrazki jak z telewizyjnej reklamy.

– Są przesłodka! – Słyszała kobiece głosy dobiegające z większości elektrycznych pojazdów. – Zachwycające! Przeurocze! Do zjedzenia!

Również superdzieci są słodkie – co za uspokajająca myśl!

Kilka pań chciało wyskoczyć na ulicę, ale zostały powstrzymane przez naukowców.

– Jak sami państwo widzą – wtrąciła Rebecca – nasze dzieci są przede wszystkim dziećmi.

Z tymi obrazkami i wrażeniami zachowanymi w pamięci dojechali do skrzydła budynku głównego i tam opuścili auta.

Winthorpe prowadził ich długim korytarzem, na którego ścianach wisiały portrety dzieci. Po kilkudziesięciu metrach ich oczom ukazała się nieduża hala, która przypominała Helen parkiety giełdowe z dawnych lat. Tyle że personel przy długich stołach przed niezliczonymi monitorami komputerów nie był ubrany w koszule z krawatami i spodnie na szelkach, tylko w bluzy z kapturem, kraciaste koszule albo T-shirty. Część miejsc była pusta. Nad niektórymi ekranami pochylały się po dwie albo trzy osoby i dyskutowały po cichu. W sumie w pomieszczeniu znajdowało się około sześćdziesięciu osób, głównie mężczyzn. Niemal na wszystkich monitorach Helen dostrzegła kolorowe konstrukcje z połączonych razem kuleczek oraz amorficzne formy czy wykresy albo grafiki. Nikt nie zwracał uwagi na gości.

– Wcześniej naukowcy poszerzali swoją wiedzę i uzyskiwali nowe dane przede wszystkim *in vivo* – wyjaśniła członkini personelu Souza. – Czyli obserwowali procesy wewnątrz żywego organizmu, w ustroju żywym. Potem zaczęto badać procesy biologiczne *in vitro*, a więc w warunkach laboratoryjnych, poza organizmem. Od czasu, gdy nastąpił ogromny postęp w technologii komputerowej, a zwłaszcza gdy radykalnie zwiększyła się pojemność kart chipowych i łatwiejsze stało się gromadzenie i przetwarzanie wielkich ilości danych, coraz częściej znajduje zastosowanie pojęcie *in silico*. W naszej dziedzinie oznacza ono projektowanie i symulowanie skomplikowanych procesów chemicznych i biologicznych za pomocą programów komputerowych. Obecnie można w komputerze nie tylko opracować lekarstwo, ale także od razu wyliczyć jego działanie. Dzisiaj możliwe jest wynalezienie mnóstwa rzeczy bez konieczności przeprowadzenia choćby jednego doświadczenia w laboratorium, nie mówiąc o eksperymentach na zwierzętach czy testach na ludziach. Już w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku dzięki tym metodom powstały leki na AIDS.

Z drzwi prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia wyszła kobieta w średnim wieku i minawszy całą grupę gości, nachyliła się do doktora Winthorpe'a i zaczęła szeptać mu coś do ucha, podczas gdy Souza niewzruszenie kontynuowała swój wykład.

– Obecnie na całym świecie istnieją banki danych, w których masowo gromadzone są dane genetyczne...

Na szyi kobiety informującej o czymś Stanleya Winthorpe'a widoczne były czerwone plamy. Czy to jakieś uczulenie, czy oznaka zdenerwowania? Patrząc na nią, Helen od razu pomyślała o podobnej scenie, jaka rozegrała się jedenastego września 2001 roku w szkole podstawowej Emmy E. Booker na Florydzie, gdy ówczesny prezydent George W. Bush dowiedział się o tym, że drugi samolot wbił się w kolejną wieżę nowojorskiego World Trade Center.

– ...o chińskich archiwach inteligencji już wspomnieliśmy – mówiła Souza.

Informatorka Winthorpe'a zniknęła, a doktor znowu zaczął słuchać wywodu koleżanki. Sprawiał jednak wrażenie nieobecnego, jakby pogrążonego w innej rzeczywistości. Najwyraźniej próbował uporządkować to, czego przed chwilą się dowiedział. Tak samo jak wtedy Bush w szkolnej klasie. Helen ponownie skupiła się na słowach Souzy.

– Dzisiaj dysponujemy gigantycznymi zbiorami danych niejako z dwóch stron: jednym źródłem jest genotyp, czyli zespół genów danego organizmu warunkujący jego właściwości dziedziczne, a drugim fenotyp, czyli zespół cech danego organizmu żywego wykształconych podczas jego rozwoju osobniczego. Następny

krok to zestawienie obu tych zbiorów i ustalenie, które geny i jakie warunki otoczenia odpowiadają za wykształcenie jakich cech wyglądu i zachowania lub stwierdzenia, że nie mają na nie wpływu. Dlatego specjaliści gromadzący dane są tak bardzo zainteresowani informacjami o naszym ciele, zdrowiu, temperamentie i oczywiście naszym DNA. Wielu zestawia na przykład dane dotyczące obrazu różnych chorób i analizuje genomy chorych, aby odkryć ewentualne genetyczne przyczyny dolegliwości i w konsekwencji także ewentualne środki zapobiegawcze lub terapeutyczne. W jednym z projektów zestawiono kształty twarzy z genomem, aby móc z DNA człowieka wywieść jego wygląd. Firma Decode Genetics poddała analizie genom tysięcy Islandczyków i dzięki ich bliskiemu pokrewieństwu i możliwości prześledzenia drzew genealogicznych aż do dziewiątego wieku wstecz jest w stanie wyciągnąć wnioski dotyczące całej populacji wyspy. Gromadzenie próbek i prowadzenie poszukiwań w morzu danych jest już od dawna zautomatyzowane, inaczej mówiąc, czynności te przejęły roboty i programy. Tylko dzięki temu możliwe jest ogarnięcie tych gigantycznych zbiorów informacji. My także wykorzystujemy niezwykle wydajne programy komputerowe i sztuczną inteligencję, aby niesamowicie złożony materiał genetyczny człowieka zanalizować pod względem dokładnych funkcji i stworzyć symulację ewentualnych zmian najpierw na komputerze. Biotechnologia to w dzisiejszych czasach w gruncie rzeczy nauka informatyczna. – W tym miejscu Souza zrobiła ręką szeroki gest. – Ludzie, którzy tu pracują, należą do najmądrzejszych i najlepszych w swojej dziedzinie. I jak za chwilę państwo się przekonają, mogą liczyć na wsparcie jeszcze z jednej strony. Gdy w wyniku procesu *in silico* osiągamy rezultat, który chcemy poddać dalszym badaniom, przechodzimy do laboratorium. Zapraszam.

Z tymi słowami odwróciła się do drzwi i opuściła salę. Goście ruszyli za nią. Helen zauważyła, że Winthorpe został na miejscu i przytłumionym głosem rozmawiał z doktorem Benem Odenem.

Gdy Souza wraz z całą grupą przeszła korytarzem do następnego pomieszczenia, Winthorpe zniknął z pola widzenia. Co szepnęła mu do ucha kobieta w średnim wieku? Oby nie był to genetyczny jedenasty września.

Horst rzucił wydruki z szeregami cyfr, kodami genetycznymi i statystykami oraz zdjęcia na stół Helgego, który od razu rozpoznał na nich genetycznie modyfikowane kozy indyjskie i podobnie zmienioną brazylijską bawełnę, kilka tygodni temu odkrytą przez jego tropicieli. Na wydrukach niektóre fragmenty były zaznaczone na kolorowo. Helge nie musiał ich czytać, ponieważ Horst podsumował mu treść w kilku słowach:

– Napęd genowy za pośrednictwem CRISPR-Cas. I w jednym, i w drugim przypadku.

Helge spojrział na materiały, a potem na Horsta.

Dwie minuty później przy stole znaleźli się także szef bezpieczeństwa i dyrektor działu prawnego.

– Nie natrafiliśmy jeszcze na sprawców, ale nasi ludzie pilnie nad tym pracują – powiedział Horst. – Nie ulega jednak wątpliwości, że trzy przypadki na trzech kontynentach mniej więcej w tym samym czasie to raczej nie może już być eksperyment. To jest strategiczny atak na nasz biznes. I kto wie na co jeszcze. Ktoś z zewnątrz próbuje w sposób niekomercyjny upowszechnić modyfikowane genetycznie organizmy. Musimy dojść, kto za tym stoi. I co jeszcze zamierza.

– Na szczęście we wszystkich trzech krajach jest to nielegalne – zauważył szef biura prawnego. – Proponuję, żeby nasze agendy na miejscu zawiadomiły lokalne władze. Równocześnie moglibyśmy poinformować odpowiednie instytucje międzynarodowe. Mamy tu bowiem w sposób oczywisty do czynienia z pogwałceniem protokołu kartageńskiego i protokołu z Nagoi o różnorodności biologicznej. Oprócz tego nie zaszkodziłoby, gdyby niektórzy z naszych doradców politycznych zwrócili uwagę na właściwych szczeblach, że poważnie zagrożone są nasze interesy ekonomiczne. Politycy powinni podjąć jakieś kroki!

– Lepiej nie działajmy pochopnie – wtrącił Helge. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby najpierw znaleźć sprawców i może sobie z nimi trochę porozmawiać, i ewentualnie dopiero potem zrobić hałas. Kto wie, co mogłoby z tego wyniknąć. – Sprawdził w telefonie swój kalendarz. – Jutro rano lecimy z Horstem do Stanów. Będziemy na Wschodnim i na Zachodnim Wybrzeżu, sprawdzimy parę ciekawych biotechnologicznych start-upów. Mój asystent będzie koordynował naszą wewnętrzną komunikację.

– Niestety – oznajmił szef IT. – Ci, którzy włamali się wtedy do systemu, nie zostali namierzeni. Od tamtej pory znacznie rozbudowaliśmy nasze zabezpieczenia – dodał z dumą. – Dzisiaj coś takiego nie byłoby już możliwe.

Takie niezachwiane przekonanie to niemal stuprocentowa gwarancja, że historia się powtórzy.

To było godzinę temu, a teraz jechali już z powrotem do Waszyngtonu. Tym razem na fotelu przy kierowcy siedział Jaylen. Okazał się szybszy przy wsiadaniu, toteż Jessica ponownie wylądowała z tyłu obok Richa, który znowu zadowolił się miejscem pośrodku. Ale w gruncie rzeczy wcale jej to nie przeszkadzało – wolała jego nonszalancki i ciepły luz niż ambitną poprawność Toma i Jaylena.

– Pickarda, King i Hsiao potrzymamy w areszcie, dopóki wszystkiego nie sprawdzimy – oznajmił Tom. – To włamanie do systemu oczywiście komplikuje sprawę.

– Ono może być też kamuflażem – wtrącił Rich – zleconym przez któregoś z podejrzanych.

Jessica słuchała tylko jednym uchem. Jej udo opierało się o jego nogę, co w tej sytuacji wydawało się nieuniknione. Dziwne było tylko to, że zwróciła na to uwagę. I że wcale jej to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie.

Doktor Justine Delacroix, kobieta, która spowodowała, że Stanley odłączył się od grupy, wsiadła z nim do jednego z pojazdów elektrycznych i ruszyła przez kampus.

– Bardzo mi przykro, że panu przeszkodziłam – powiedziała – ale to jest naprawdę ważne.

Zatrzymała się przed kompleksem, którego goście nie widzieli: przed centrum medycznym dla personelu. Można w nim było przeprowadzać wszelkie rutynowe zabiegi i terapie, dlatego jedynie w wyjątkowo poważnych przypadkach korzystano z klinik poza ośrodkiem. Ale to zdarzało się rzadko.

Czekało już na nich dwoje naukowców z zespołu Stanleya – lekko przysadzisty doktor Elmar Shoe i doktor Vadira Andarpi o wyjątkowo wysokim czole nad orlim nosem. Andarpi miał przy sobie duży tablet. Towarzyszył im również Sam Pishta.

– Co się dzieje? – spytał Stanley, z trudem tłumiąc irytację z powodu nieoczekiwanej zmiany jego planów.

– Proszę za nami – zwrócił się do niego Andarpi.

Stanley wraz z resztą podszedł do sali dla chorych, do której można było zajrzeć z korytarza przez dużą szybę przesłoniętą żaluzją.

Na łóżku leżała młoda kobieta, a na jej piersi spało nowo narodzone dziecko. Na krześle obok siedział młody mężczyzna i rozmawiał z nią.

Andarpi dyskretnym ruchem uruchomił swój tablet, otworzył program i uniósł urządzenie w taki sposób, aby wszyscy mogli widzieć monitor. Ukazała się na nim twarz kobiety o brązowej skórze i ciemnych lokach. To była świeżo upieczona matka zza szyby. W górnym prawym rogu ekranu widniała informacja:

„Sondra Farrukah
32, b. wychowawczyni, dom 12”

– Była jedną z naszych wychowawczyń. Sześć miesięcy temu poinformowała nas, że spodziewa się dziecka.

Zdjęcie rozpromienionej ciężarnej kobiety.

– Ojcem jest Jack Wolfson. – Mężczyzna przy łóżku. – Pracuje w obsłudze. Andarpi otworzył zdjęcie ukazujące Farrukah z większym brzuchem.

– Sondra Farrukah nie jest pierwszą kobietą, która w tej placówce w sposób naturalny zaszła w ciążę. W ciągu wszystkich lat uzbierało się ponad dwadzieścioro dzieci sprowadzonych na świat tą drogą. – Pokazywał portrety niektórych z nich, zupełnie jakby Stanley nic nie wiedział na ten temat, a przecież to właśnie on wraz z pozostałymi współzałożycielami od samego początku uwzględniał ten aspekt w swojej koncepcji, ponieważ chciał obserwować relacje między dziećmi klasycznymi a nowoczesnymi. – Zgodnie z postanowieniem umowy odnoszącym się do takich przypadków przenieśliśmy wtedy Sondrę na mniej wymagające stanowisko w administracji. Dwa dni temu ona i Jack zostali szczęśliwymi rodzicami zdrowej dziewczynki, Kendry.

Z monitora rozdziawiał buzię umazany czerwono-brązowy noworodek, który teraz leżał spokojnie na piersi swojej mamy.

– No i? – spytał doktor niecierpliwie. – Ta mała nie jest pierwsza, jak sam pan powiedział. Dlaczego więc jestem tutaj, a nie z naszymi gośćmi?

– Omówimy to w bardziej kameralnym miejscu – rzekł Pishta.

Szef bezpieczeństwa wprowadził ich do korytarza przez wejście opatrzone napisem: „Wstęp tylko dla uprawnionego personelu”.

Potem otworzył jedno z wielu drzwi. Mimo szkła wszechobecnego w architekturze całego kompleksu mała salka nie miała w ogóle okien. Stał w niej stół i osiem krzeseł, a ścianę naprzeciw drzwi pokrywał duży monitor. Takie dyskretne salki konferencyjne znajdowały się we wszystkich częściach ośrodka. Zasłonięte przed wzrokiem osób postronnych, zabezpieczone przed podsłuchem. Stanley usiadł z demonstracyjną niechęcią i zmierzył zespół surowym spojrzeniem.

Delacroix jednym przyciśnięciem guzika uruchomiła monitor na ścianie. Jakiś lekarz przykładał małej Kendrze do pięty przypominający długopis przyrząd. Pobieranie krwi w celu obowiązkowego badania na obecność chorób dziedzicznych.

– Jak w przypadku wszystkich dzieci rodzących się u nas, czy to klasycznych, czy nowoczesnych, wykonaliśmy nie tylko analizę krwi, ale również całego genomu – wyjaśniła Delacroix coś, co Stanley i tak wiedział.

– Przecież to dla mnie żadna nowość! – przerwał jej szorstko.

Delacroix wyświetliła grafiki kilku sekwencji genomu. Stanley rozpoznał je od razu – pochodziły od młodszych dzieci, co najwyżej dwuletnich i najbardziej zaawansowanych genetycznie.

– Genomy siódmej albo ósmej generacji – zauważył. Swoje dzieci znał bardzo

dokładnie. Każde z osobna. – Pierwsze dwa fragmenty należą do Edwina i Carliny.

Te sekwencje odpowiadają między innymi za produkcję określonych substancji semiochemicznych w mózgu, dzięki którym dzieci wykazywały się znacząco wyższym stopniem inteligencji, krótszym czasem reakcji i szybszą pracą mięśni. Ale w żadnym z wcześniej odczytanych genomów struktura tej sekwencji nie była wyjątkowa. Zaawansowane algorytmy wyliczyły jednak, że jest ona możliwa, może być też korzystna i stabilna. Spróbowali zatem. Pierwsze eksperymenty nie udały się już na etapie zagnieżdżania zapłodnionej komórki jajowej. Po kilku niewielkich korektach odniesiono jednak sukces. Edwin i Carlina nawet w tym wczesnym stadium rozwoju okazali się inteligentniejsi i zdolniejsi niż wszystkie dzieci dotychczas.

– Trzecią sekwencję znajdziemy u Chenga, Donny i Aleksandra. – Stanley dalej demonstrował swoją wiedzę.

Również te fragmenty odpowiadały za rozwój mózgu, względnie jego strukturę. Wyposażone w nie dzieci posiadały między innymi dyspozycję do nieprawdopodobnie wysokiej umiejętności dostrzegania wzorów i modeli w złożonych systemach. Ale jak wszystkie inne zdolności również tę należało wspierać odpowiednimi ćwiczeniami, inaczej bowiem nie ulegała wykształceniu.

– Czwartą i piątą sekwencję mają Donna, Aleksander, Alison i Nbwele.

Były to sekwencje odkryte dopiero przed kilkoma laty, zoptymalizowane przez zespół Stanleya, a odpowiadające za gospodarkę energetyczną organizmu. Te dzieci lepiej przyswajały substancje odżywcze z jedzenia, dlatego potrzebowały go mniej, i spały jedynie trzy do pięciu godzin dziennie.

Nie wprowadzali nigdy wszystkich modyfikacji u jednego dziecka. Na ogół ograniczali się do kilku zmian – od jednej do pięciu. Dzięki temu mogli potem łatwiej obserwować i studiować ekspresję genów i jej skutki.

– Jak widzisz, dobrze wiem, co tutaj widać. Są to sekwencje genomów w sumie siedmiorga dzieci: Edwina, Carliny, Chenga, Donny, Aleksandra, Alison i Nbwelega. Te dzieciaki należą do najlepszych i najbystrzejszych ze wszystkich, które mamy.

– To jest genom nowo narodzonej Kendry – objaśniła Delacroix.

Zachowując kamienną twarz, Stanley powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych. Chciał zyskać na czasie. Winthorpe uchodził za jednego z najbardziej utalentowanych studentów w swoim pokoleniu. Jego wczesne prace poświęcone tak różnym zagadnieniom jak fałdowanie białka czy epigenetyczna regulacja

ekspresji genów nadal uznawane są za przełomowe. Niektórzy wciąż widzą w nim przyszłego laureata Nagrody Nobla. Różne nowatorskie opracowania i będące ich następstwem patenty w zakresie syntezy substancji czynnych leków zapewniły mu jeszcze przed ukończeniem trzydziestego roku życia miliardowe dochody. Z nich sfinansowane zostały wszystkie jego dalsze projekty, przede wszystkim dzieci. Od tamtej pory uzyskał kolejne patenty w dziedzinie genetyki syntetycznej. Żadne wyzwanie nie było dla niego zbyt duże. Wręcz przeciwnie – niezmiennie ochoczo podejmował się nierozwiązywalnych zadań. Niezwykle rzadko pozwalał sobie na to, aby mogło go w życiu coś zirytować, zaskoczyć czy wyprowadzić z równowagi. Nieznane zjawiska istniały po to, aby je zgłębić i włączyć do arsenału wiedzy zdobytej. Każdy fenomen ma swoje wyjaśnienie. Trzeba je tylko znaleźć.

– To jest złe zdjęcie – powiedział do Delacroix.

Ona zaś, przekrzywiwszy lekko głowę, wydeła usta.

– Sprawdził się dwa razy, trzy razy i jeszcze raz – odparła.

– I potem znowu – uzupełnił doktor Andarpi po drugiej stronie stołu.

– My też – dodał Pishta. – Nie ma wątpliwości.

– To jest genom Kendry – potwierdziła Delacroix, która podobnie jak jej dwaj koledzy i Pishta stała podczas prezentacji. Stanley podniósł się z krzesła i nie odrywając wzroku od monitora, przyglądał się wnikliwie zdjęciu.

– To niemożliwe – stwierdził stanowczo. – Kendra, tak? No więc owa Kendra została poczęta naturalnie. Wykluczone zatem, aby te sekwencje powstały w jej genomie jako naturalne mutacje. Wy-klu-czo-ne. – Podkreślił każdą sylabę, stukając kostkami palców o blat stołu.

– My też tak uważamy – odpowiedziała oschle Delacroix.

Stanley nie był w stanie już dłużej powściągać gniewu.

– Czyli to nie może być genom tego dziecka – upierał się.

– A może ono nie zostało spłodzone normalnie – zasugerował Shoe.

Zanim Stanley zdążył się odezwać, Pishta szybko dodał:

– Natychmiast sprawdziliśmy wszystkie procedury bezpieczeństwa. Niczego nie odkryliśmy. Nie jest możliwe, aby jakikolwiek z naszych embrionów został poddany implantacji poza przewidzianym trybem postępowania i tym samym w sposób dla nas niezauważalny.

– Najwyraźniej jednak jest możliwe – rzucił drwiącym tonem Stanley. Nieugiętość jego współpracowników doprowadzała go do szału. Według niego największe zagrożenie wszelkiej egzystencji stanowi iluzja pewności. – Niech ktoś inny sprawdzi jeszcze wszystkie procesy.

– Powołaliśmy dwa odrębne zespoły. Pierwszy doszedł do identycznego rezultatu. Drugi jeszcze pracuje – oznajmił Pishta.

Stanley obszedł stół dookoła. Jakby się spodziewał, że zdjęcia zdradzą mu więcej, jeśli stanie tuż przed nimi. Pokręcił głową.

– To nie może być prawda – wymamrotał. Potem wyprostował się.

W swojej pracy naukowej i badawczej zawsze pozostawiał partnerom i współpracownikom wiele swobody. Ufał im. Teraz odwrócił się do nich.

– I to wszystko jest w Kendrze, tak? – spytał. – W żadne pojedyncze dziecko nie wpakowaliśmy dotąd aż tyle.

– Zgadza się – potwierdziła Delacroix.

– W tej sytuacji byłaby najlepiej wyposażonym dzieckiem w całym kompleksie.

– Owszem.

Stanley pokiwał w zadumie głową.

– Sprawdźcie wszystkie nagrania z kamer monitoringu z okresu, kiedy Kendra została spłodzona.

– Już to robimy.

– Dziękuję. Informujcie mnie natychmiast o wszelkich nowych ustaleniach.

Odwrócił się w stronę drzwi. Pozostali zaczęli wychodzić. Jako pierwsza opuściła salkę Delacroix. Shoe i Andarpi za nią. Pishtë Stanley zatrzymał skinięciem głowy.

– Sam, zostań na słówko.

Winthorpe zamknął drzwi za naukowcami, a Sam Pishta przysiadł na brzegu stołu.

– Co to za historia? – spytał go Stanley.

– Słyszałeś przecież. Sprawdziliśmy wszystko, co możliwe. Nie ma nic podejrzanego.

– Żadnych tropów do sceptycznych kolegów i pracowników?

– Nic. Zresztą to nie miałoby sensu. Krytykantom zależy przecież na tym, żeby przerwać ten projekt albo w ogóle go zakończyć. Po co więc mieliby jeszcze produkować nowe dzieci?

Stanley pokręcił głową. Też nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Wszystko naraz – bąknął. – Mamy jakieś wiadomości o Jill?

– Najlepiej spytać Hannah.

Włączył monitor i połączył się z Bostonem. Po chwili ukazała się jej twarz.

– Na jakim jesteście etapie? – rzucił Stanley bez żadnych wstępów.

– Chyba posunęliśmy się sporo do przodu – odpowiedziała. – Policja ma

dostęp do serwera Jill. I znalazła na nim dane. Góry danych. Gigantyczne góry.

– Mimo wszystko nie podoba mi się, że wciągnęliśmy w to policję – burknął Stanley.

– Nie mieliśmy wyjścia – zauważył Sam. – W którymś momencie koledzy zaczęliby dopytywać się o Jill.

– Poza tym sami nie dostalibyśmy się ani do jej tajemniczych kont bankowych, ani do tego serwera – powiedziała Hannah. – Policja przetrząsnęła już wszystko, ale wciąż nie wie, gdzie ona się podziewa. Udało mi się ich namówić, żeby dali nam kopię tego, co było na jej wewnętrznym serwerze. Zgodzili się. Ostatecznie jestem biologiem i oficjalną matką Jill. Ale zabraliśmy się do analizy dopiero pół godziny temu.

Na monitorze otworzyło się dodatkowe okno, a w nim ukazał się widok pulpitu pełnego katalogów i folderów. Gdy Hannah kliknęła w jeden z nich, otworzył się dokument tekstowy.

– Na razie udało mi się przejrzeć pobieżnie zaledwie ze dwadzieścia dokumentów. Wiele z nich dotyczy chyba biotechnologii i bioinformatyki. Ale w końcu to nic nadzwyczajnego, bo przecież ona studiuje te przedmioty. Tyle że niektóre rzeczy wyglądają na dosyć zaawansowane i bardzo specjalistyczne i na pewno wykraczają poza program studiów. Mam wrażenie, że Jill zbierała materiały na różne tematy.

– W jakim celu?

– Na razie trudno mi spekulować. W jednym z dokumentów jest wspomniany konkurs iGEM. Może brała w nim udział, tylko nic nam nie powiedziała.

– Jesteś jej matką adopcyjną – wybuchnął Stanley. – I odpowiadasz za nią. Musimy koniecznie wiedzieć...

– Dopiero zaczęłam wszystko przeglądać. – Hannah weszła mu ostro w słowo. – Potrzebuję trochę czasu.

– Nie mamy czasu. Opracuj system, według którego powinniśmy przeszukać te dane. Posadzimy do tego ze dwadzieścia osób. Czy policja ma jakieś sugestie, gdzie ona może być?

– To są tysiące dokumentów – odpowiedziała Hannah. – Policja wciąż jej szuka. Między innymi próbuje ją wyśledzić na podstawie danych z karty kredytowej i innych operacji pieniężnych. Wygląda na to, że Jill grała na giełdzie. I to ze sporym sukcesem. Inkasowała kwoty w wysokości kilkunastu milionów! Co z nimi robiła, na razie nie wiemy.

– A co z Jimem Delrose'em?

– Szuka jej ze swoimi ludźmi w mieście: na dworcach, lotniskach.

Stanley, nie mówiąc nawet „do widzenia”, rozłączył się i zwrócił do Sama:

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że musimy znaleźć Jill przed policją?

Włączył znowu monitor.

– Ciekawe, co porabiają nasi goście.

Uruchomił wewnętrzną telewizję. Grupa kobiet i mężczyzn stała w korytarzu i patrzyła przez ciemną szybę.

Rebecca Yun przez całą godzinę oprowadzała ich po łączących się ze sobą obiektach edukacyjnych, począwszy od żłobków i przedszkoli przez hale sportowe i klasy po laboratoria, w których dzieci od raczkujących maluchów po nastolatki biegały tam i z powrotem, bawiły się, majsterkowały, rozmawiały, ćwiczyły – pilnowane przez całą gromadę dorosłych. Dzieci, jakie Helen widywała u swoich znajomych, przyjaciół i kolegów. Wesołe, rozdokazywane, kokieteryjne, skupione. Bardzo rzadko dawało się zauważyć coś wyjątkowego, a jeśli już, to zwykle jakieś odmienności ujawniały się w aktywności fizycznej. Helen była świadoma, że w takich okolicznościach trudno byłoby dostrzec i rozsądnie ocenić walory umysłowe. Musiała polegać na opinii naukowców. Podczas całej tej wyprawy szukała w sobie poczucia niezgody czy lęku albo w ogóle jakiejś intuicji, która kazałaby jej odtrącić te dzieci, która podsunęłaby – nawet całkiem nieracjonalny – powód, by nie chcieć takiego dziecka. Ale te wielkie oczy, roześmiane buzie, często jeszcze nieporadne, niezgrabne ruchy małych nóżek i rączek tylko wzmagają w niej pragnienie, które ją tu sprowadziło: by mieć potomstwo. A ponieważ w czasie ostatnich godzin żadne przecucie, żaden instynkt, żaden archetypiczny zew natury nie wywiesił czerwonej flagi – dlaczego nie mogłoby to być właśnie takie dziecko? „Nowoczesne”, jak nazywała je Rebecca. Przecież mimo wszystko to byłoby jej, Helen, dziecko.

Mike, zupełnie jakby czytał w jej myślach, roześmiał się tuż obok.

– Uff, ulżyło mi. To są przecież całkiem normalne dzieciaki.

Przez duże panoramiczne okno zaglądali do pomieszczenia z monitorami na ścianach, na których migotały gry wideo. Dzieci leżały wyciągnięte na pufach, kanapach i kolorowych materacach albo biegały przed ekranami. Helen rozpoznawała szaleńcze gry akcji, wyścigi, wojny w kosmosie. Maluchy zgrabnie kierowały przeróżne postacie na tory z przeszkodami, prowadziły samochody krętymi drogami między beczkami i drzewami, z szaleńczą prędkością uciekały statkami kosmicznymi przed szczątkami eksplodujących gwiazdnych niszczycieli. Inne dzieci zajmowały się budowaniem miast albo abstrakcyjnych obiektów, których przeznaczenie nie było jasne dla Helen. Dwoje grało w szachy.

- Oczywiście – powiedziała Rebecca. – Prawie.
- Zobacz, jak tamten sobie radzi w *Grand Theft* – zwrócił się Mike do Diany.
- Zakasowałby nawet naszego Killiana. Chociaż jest na pewno o trzy lata młodszy.

Czy oni mają już syna? Helen nie mogła uwierzyć, że rodzice mogliby chcieć podarować klasycznemu dziecku nowoczesnego braciszka albo nowoczesną siostrzyczkę. To byłoby przecież nie w porządku wobec tego starszego! Z drugiej strony, dlaczego młodsze dziecko miałyby tracić szanse tylko dlatego, że wcześniej po prostu nie istniały określone możliwości? Mimo wszystko to pierworodne chyba przez całe życie czułoby się pokrzywdzone. Rodzice musieliby się bardzo starać, aby mu to jakoś wynagrodzić. O ile to w ogóle realne...

„A gdyby tak ten sam konflikt odnieść do całej ludzkości?” – pomyślała Helen. Gdy uzmysłowiła sobie potworne konsekwencje takiego procesu, poczuła lekki zawrót głowy.

Rebecca wskazała na parę grającą w szachy.

– Są lepsi od najlepszych programów komputerowych i sztucznej inteligencji. Wygrywają z nimi we wszystkich pojedynkach, co od początku tego tysiąclecia nie udało się żadnemu mistrzowi szachowemu.

– No, terminatorze! Człowiek powraca! – zadrwił Mike.

– Mamo, mamo! Dostałam od Shayli w prezencie kucyka!

Jak zwykle pierwsza przy drzwiach była Amy. I oczywiście znowu w piżamie. Ale przynajmniej w świeżej.

– O mój Boże! – zawołała Jessica z udawanym przerażeniem. – I gdzie ty go postawiłaś? W ogródku?

– Kucyka zabawkę, mamo – pouczyła ją wyniośle córka.

W tym momencie pojawił się także Jamie i objął ją od niechcienia. Za nim wyłonił się Colin.

– Proszę, proszę, jaki rzadki gość nas zaszczycił.

Jessica udawała, że nie słyszy jego złośliwości, tylko dała mu całusa, którego nie odwzajemnił.

– Tata właśnie kazał nam iść spać – oznajmił Jamie.

– Dlatego specjalnie się spieszyłam, żeby zdążyć wam coś jeszcze przeczytać na dobranoc.

– Ja wolałbym pograć na iPadzie – targował się Jamie.

– Wykluczone! – zdecydowała Jessica. – No, biegnijcie do łóżek! Zaraz do was przyjdę.

Lekkim klapssem w siedzenie ponagliła syna, aby ruszył na górę, co ten uczynił niechętnie, człapiąc ciężko po drewnianych schodach, a zaraz za nim ruszyła jego siostra, poszturchując go raz po raz, aby się pospieszył.

Od dwóch lat ich rodzina mieszkała w malowniczej dzielnicy domów kolonialnych w zachodniej części stolicy.

– Może jednak ja im dziś poczytam – zaproponował Colin pojednawczo. – Mogłabyś trochę odsapnąć. Wyglądasz na jeszcze bardziej zmęczoną niż dziś rano.

– Dzięki, to miłe z twojej strony. Ale przez ostatnie tygodnie prawie ich nie widziałam, o czym sam najlepiej wiesz. – Tę drugą część zdania mogła sobie darować.

– Prawdopodobnie od razu z nimi zaśniesz.

– Może nawet przed nimi – przyznała Jessica.

Gdy ruszyła po schodach, z piętra dobiegły ją ożywione dziecięce głosy.

– Gdyby jednak udało ci się jeszcze zejść – powiedział Colin, stojąc na dole – proponuję kieliszek wina. I coś do przekąszenia.

Naprawdę się starał.

- I może masaż stóp?
- Proszę bardzo.
- To dam radę.

– Dokonałiśmy wstępnej kategoryzacji dokumentów Jill – poinformowała Hannah z ekranu w gabinecie Stanleya. – Widać w nich dwa duże bloki: biotechnologia i inwestycje, ewentualnie finanse. Biotechnologią zajęłam się ja razem z dwudziestoma kolegami z kampusu, nad inwestycjami siedzą Jim, Sam i jego ludzie. Ponieważ w tej drugiej części mogą kryć się wskazówki dotyczące obecnego pobytu Jill, zaczniemy od niej. Jim, Sam?

Szef bezpieczeństwa Sam Pishta siedział obok Stanleya, Jim zaś był widoczny na monitorze obok Hannah.

– Włączyliśmy do pracy nasz dział rachunkowy – zaczął Sam. – Bo to przecież ich działka. – W dodatkowym niewielkim oknie na ekranie szybko przewinął niekończący się zbiór wyciągów z konta. – Na razie uzyskaliśmy wgląd w jedno konto w BCI. Prawdopodobnie stanowiło ono dla Jill jedynie bazę wyjściową. Zidentyfikowaliśmy wiele kont u brokerów online, które musiała otworzyć zaraz potem i na które przelała środki z konta w BCI. Oprócz tego miała różne konta w innych bankach, w Stanach i offshore. Wygląda na to, że ta mała zbudowała całą sieć finansową. Tylko cholera wie po co. Nasi dochodzeniowcy próbują do tego dojść. Pracujemy w dwóch zespołach. Jeden sprawdza konto chronologicznie, żeby dociec, jaki miała cel. Druga grupa porusza się w odwrotnym kierunku – czyli cofa się od dziś w przeszłość. Mamy nadzieję, że w ten sposób najszybciej natrafimy na jakiś trop, który wskaże nam obecne miejsce pobytu Jill. Ale chociaż cofnęliśmy się już o trzy miesiące, wciąż jeszcze nic nie znaleźliśmy. Przypuszczalnie na co dzień Jill korzystała z innych kont, do których na razie nie mamy wglądu. Początkowo sumy nie są duże, ale stopniowo rosną coraz bardziej. Możemy chyba przyjąć, że z sukcesem spekulowała papierami wartościowymi. Nasze założenie potwierdza zbiór folderów, w którym znaleźliśmy programy komputerowe. – W małym oknie otworzył pierwszy lepszy z nich, o nic niemówiących symbolach. – Jeden z naszych ludzi z działu finansowego po pobieżnym przeglądzie stwierdził, że to są chyba jakieś skomplikowane algorytmy handlowe, na których on się nie zna. Żeby móc je ocenić, musielibyśmy zaangażować fachowców.

– Czyli wciąż nie mamy pojęcia, gdzie ona się podziewa – stwierdził Stanley.

– Niestety nie – przyznał Sam.

– A policja też nic nie wie?

– Jesteśmy w stałym kontakcie z nimi. Na razie nic nie mają.

- Jakieś sugestie, z jakiego powodu zniknęła?
- Też nie.
- A to ostrzeżenie dotyczące Gene'a? Wiadomo coś więcej?
- Niestety nie.
- Hannah, macie coś jeszcze? – Stanley zwrócił się oschle do kobiety.
- To zależy, jak na to spojrzeć – odpowiedziała. – Po pierwsze, ustaliliśmy, że Jill miała na swoich serwerach bardzo dobre programy bioinformatyczne. I wiele wskazuje na to, że sama nawet je jeszcze rozbudowywała. W jaki sposób, temu się właśnie przyglądamy. Posługując się nimi, stworzyła niezliczone modele *in silico* i przeprowadziła wiele eksperymentów. Jak do tej pory zdążyliśmy się zorientować, rozpiętość zagadnień jest duża, począwszy od *Escherichia coli* oraz innych bakterii i różnych wirusów grypy po najrozmaitsze rośliny i zwierzęta użytkowe. Chcemy też sprawdzić, czy te prace wiążą się w jakiś sposób z programem jej studiów, czy nie.
- Po co miałyby ukrywać prace przeznaczone na zajęcia? – spytał z irytacją Stanley.
- Wolimy się upewnić, Stan. Na wszelki wypadek. Wygląda też na to, że zajmowała się różnymi aspektami genetyki człowieka.
- Aspektami? – spytał drwiąco Stanley. – Jakimi aspektami?
- Jeszcze tego nie ustaliliśmy. Ale chodzi o tysiące dokumentów, które powstały w ciągu trzech lat! Nie mogę pojąć, kiedy ona zdążyła to wszystko wyprodukować.
- Jej wystarczają tylko trzy godziny snu – przypomniał Stanley.
- Mimo wszystko to niemożliwe, żeby zrobiła to całkiem samodzielnie – powiedziała Hannah. – Albo napisała genialne programy, które pozwoliły jej w maksymalnym stopniu zautomatyzować wiele procesów, albo miała wsparcie.
- Albo jedno i drugie.
- Ale przecież nadzorowaliśmy jej komunikację dwadzieścia cztery godziny na dobę – wtrącił Stanley, patrząc na Sama.
- Jeśli chodzi o to konto, wykiwała nas – przyznał szef bezpieczeństwa. – To samo z serwerem.
- Jak?
- Jeszcze nie wiemy – odpowiedział Sam tonem, który nieomylnie zdradzał, że nie czuje się komfortowo, musząc ponownie przyznać się do tego, iż dał się przechytrzyć dziesięciolatce. – Prawdopodobnie załatwiła sobie na uczelni nośniki USB z Tailsem i po kryjomu pracowała na swoim laptopie.
- Co to jest Tails?

– W zasadzie to jest kompletny, gotowy do użycia system operacyjny, przeznaczony nie do instalacji w komputerze, ale do stosowania z płyty DVD, pamięci USB lub karty SD, niezależnie od tego, jaki system działa oryginalnie w komputerze, na którym chcemy skorzystać z Tailsa. I co najważniejsze, ten system nie pozostawia żadnych śladów. Połączenie z internetem następuje przez superbezpieczną, zapewniającą anonimowość sieć Tor. Czyli niczego nie da się wykryć i można się nie martwić, że nasze dane czy informacje o nas trafią w niepowołane ręce. Wyobrażam więc sobie, że wieczorami Jill nie przygotowywała się do zajęć, jak by to wynikało z monitoringu w jej pokoju, tylko zajmowała się tymi sprawami. Niewykluczone, że korzystając ze swoich kont, kupiła sobie jeszcze kilka innych komputerów, o których w ogóle nie wiemy. Ale musiałyby je gdzieś bardzo dobrze ukryć, bo wcześniej czy później już byśmy na nie trafili. Przeszukujemy dokumenty także pod kątem informacji o ewentualnych pomocnikach – wyjaśniał dalej. – Taki serwer idealnie nadaje się do komunikacji z innymi, bo po prostu pozwala się im na dostęp i wymienia z nimi wspólnymi dokumentami.

– Okej – powiedział Stanley opanowanym głosem, chociaż był strasznie zirytowany. – Pracujcie dalej. Potrzebujemy rezultatów. Połączymy się znowu o północy. Teraz muszę wrócić do naszych gości.

Kolacja odbyła się w tym samym pomieszczeniu co obiad. Salę rozświetlały drgające płomienie świec rozstawionych na stołach i na bufecie, a także blask lamp ogrodowych wlewający się przez szklane ściany. Z niewidocznych głośników sączyły się dyskretne dźwięki muzyki.

Tym razem dla Helen i Grega przewidziano miejsca nie przy stoliku dwuosobowym, ale przy jednym z ośmiu dużych okrągłych stołów, przy którym siedzieli już Mike i jego żona Diana oraz dwie inne pary, a także czworo naukowców. Na każdą parę jeden. Zamiast białych uniformów mieli na sobie swobodne stroje w kolorze kości słoniowej przechodzącej w biel. „Dress code czystości” – uznała Helen. Dwoje z nich właśnie nalewało wodę do przygotowanych szklanek.

Dopiero w tym momencie Helen zwróciła uwagę, że nie ma żadnego personelu do obsługi. Przypuszczała, że to ze względu na zachowanie tajemnicy. Na długim bufecie czekały półmiski i patery ze srebrnymi kloszami. Opiekunowie częstowali gości sokami warzywnymi i owocowymi, a także wodą. Helen zdecydowała się na smoothie.

Gdy wszyscy zajęli już miejsca, przy sąsiednim stole podniósł się Winthorpe.

Po krótkim i pełnym patosu powitaniu jednym ruchem ręki sprawił, że szklana ściana za nim zamieniła się w powierzchnię projekcyjną, na której ukazało się sięgające od podłogi do sufitu zdjęcie Ziemi widzianej z kosmosu.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent materiału genetycznego wszystkich ludzi na całej planecie jest podobna. – Obraz kuli ziemskiej zastąpił portret pociesznej małpy, która wywołała uśmiech nie tylko na twarzy Helen. – Poza tym ponad dziewięćdziesiąt osiem procent naszych genów dzielimy z szympanсами. – Ekran wypełnił się galerią najrozmaitszych twarzy ze wszystkich kontynentów. Helen instynktownie uchwyciła w nich fascynującą różnorodność. Tyle przeróżnych losów, przeżyć, emocji, myśli, pragnień i nadziei! – Za odmienności między nami i pozostałymi ośmioma miliardami ludzi odpowiada zaledwie promil naszych genów.

Stosowane wcześniej koncepcje „rasy”, definiowane głównie na podstawie koloru skóry, genetyka obaliła. Nie ma czegoś takiego jak „rasa”. Wręcz przeciwnie. Różnice między populacjami stanowią zaledwie około piętnastu procent wariacji genetycznej, podczas gdy pozostałe osiemdziesiąt pięć procent to różnice między jednostkami w ramach danej populacji. Model rasowy był

wytworem zachodniego szowinizmu. Obiektywnie bowiem nie istnieje na przykład „żółty” kolor skóry. Północni Azjaci i północni Europejczycy mają ten sam kolor skóry. Największa różnorodność genetyczna występuje w Afryce. Ale mimo wspólnych cech materiału genetycznego ludzie żyją w sposób niezwykle zróżnicowany, na przykład w Amazonii czy w Papui-Nowej Gwinei prowadzą tryb życia niemal taki jak w epoce kamiennej, podczas gdy w nowoczesnych metropoliach w pełni korzystają ze zdobyczy dwudziestego pierwszego wieku.

Winthorpe zestawiał obrazy nagich ciemnoskórych ludzi z białymi uczestnikami balu w eleganckich sukniach i frakach. Po chwili przedstawił kolejny kontrast: po lewej stronie monitora młodzi ludzie z zakrytymi twarzami robili burdę na zadymionych ulicach jakiegoś podupadłego amerykańskiego miasta, jak oceniła Helen po mundurach policjantów, po prawej natomiast studenci wspólnie z nauczycielami uczestniczyli w workshopie.

– Jedni trwają, z własnej woli lub niekoniecznie, w analfabetyzmie i agresji, podczas gdy inni współpracują dla osiągnięcia większego dobrobytu. Mówiąc krótko: to, jak wygląda nasze życie, nie zależy wyłącznie od uwarunkowań genetycznych. Ale od tego, co z nimi zrobimy. Dlatego nasza oferta nie ogranicza się do techniki biologicznej. – Za plecami Winthorpe’a pokazały się teraz zdjęcia dzieci: zapłakanych, rozzłoszczonych, rzucających zabawkami, awanturujących się. – Większość z państwa jest zapewne wujkami, ciociami, spotykacie dzieci przyjaciół, tak więc znacie najbardziej typowe problemy. – Winthorpe przeszedł do konkretów: – W następstwie szybszego umysłowego i/lub fizycznego rozwoju (w zależności od tego, na co się zdecydujecie) w waszym przypadku wcześniej dojdzie do konfliktów. Będziecie musieli sobie z nimi radzić tak samo jak wszyscy inni rodzice. – Odnosząc się do zdjęć rozgniewanych dzieci za sobą, dodał: – Zdecydowanie trudniejsze będą relacje między dziećmi klasycznymi i nowoczesnymi. Najpóźniej od drugiego roku życia różnica w rozwoju zacznie być wyraźnie widoczna. Jeśli te ostatnie nie zostaną poddane działaniu genetycznych stymulatorów wzrostu, będą wprawdzie wyglądać jak normalne dwulatki, ale zachowaniem i sposobem wyrażania się dorównają już czterolatkom. Coś podobnego można zaobserwować niekiedy u rzadkich klasycznych, tak zwanych cudownych dzieci, które mają problemy z dostosowaniem się do równolatków, a także z odnalezieniem się wśród starszych od nich kolegów, którym dorównują pod względem umysłowym, ale pod względem fizycznym i często również socjalnym pozostają daleko w tyle. Dlatego na ogół rekomendujemy zarezerwowanie również pakietu wzrostowego.

Greg szepnął do Helen:

– Czuję się jak na wycieczce promocyjnej z ukrytym celem handlowym. A może kupią państwo jeszcze ten cudowny koc elektryczny!

Odsunęła go od siebie. Akurat w tym momencie mógłby darować sobie swoje uwagi.

– Przy tym muszą państwo mimo wszystko pamiętać, że dzieci są rozwinięte ponad swój wiek fizycznie i/lub umysłowo, ale nie emocjonalnie i społecznie. To wymaga szczególnego uwzględnienia w procesie wychowawczym. Proszę sobie wyobrazić dziecko, które wygląda, mówi i myśli jak ośmiolatek, ale emocjonalnie zachowuje się jak pięcio- czy sześciolatek. Naturalnie przykłady takiej asynchroniczności można znaleźć także wśród klasycznych dzieci, jednak u nowoczesnych jest ona regułą. Oczywiście nauczą się państwo z tym sobie radzić i w którymś momencie stanie się to nową normą.

Na monitorze ukazał się obraz rodziny.

– W regionach i krajach, z których państwo pochodzą, jest już trochę rodziców wychowujących nowoczesne potomstwo. Ci rodzice będą zatem pełnili dla państwa rolę mentorów, o ile zdecydujecie się na posiadanie nowoczesnego dziecka. Ponadto w różnych zakątkach Stanów Zjednoczonych żyje już obecnie około pięćdziesięciu par spodziewających się jednego lub dwoje takich maluchów. W najbliższych miesiącach prawdopodobnie setki zainteresowanych również zrobią ten krok. A to oznacza, że jeśli się państwo wyprowadzą albo wybiorą w podróż, w wielu regionach kraju spotkają podobnych sobie ludzi. To samo dotyczy niektórych krajów azjatyckich i obszaru arabskiego. Dla Europy, Afryki, Ameryki Łacińskiej nie mamy obecnie żadnej oferty z powodu uwarunkowań prawnych. W sposób celowy dbamy o tę sieć kontaktów i zachęcamy wszystkich rodziców, aby z niej korzystali.

Nowe zdjęcia, nowe wyjaśnienia.

– Ponadto za pomocą szyfrowanego połączenia nasi doradcy i konsultanci są do państwa dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. W swoim najbliższym otoczeniu mogą państwo korzystać z wyśmienitego personelu o najwyższych kwalifikacjach, który będzie was wspierać we wszelkich dziedzinach. W pierwszych latach są to przede wszystkim nauczycielki i nauczyciele kształcenia podstawowego i gimnazjalnego. A potem sugerujemy, aby posłać dzieci wcześniej na studia, tak jak zrobiliśmy to z naszymi najstarszymi wychowankami. Zanim wasze pociechy dojdą do tego etapu, projekt już od dawna nie będzie tajemnicą i uniwersytety będą przygotowane na przyjęcie nowej klienteli. Najlepsze uczelnie będą zabiegać o te cudowne dzieci. Czesne i inne koszty przejmujemy my, częściowo lub całkowicie, w zależności od wybranego

pakietu. Ale więcej na ten temat dowiedzą się państwo jutro.

Obrazy za jego plecami zniknęły. Za szklaną ścianą ukazał się znowu wieczorny ogród.

– To było krótkie wprowadzenie do tematu wychowania. A teraz życzę państwu smacznego i zapraszam do bufetu, gdzie czekają wyśmienite potrawy.

Amy i Jamie oddychali miarowo i spali z wypiekami na twarzach. Potargane włosy opadały im w nieładzie na czoło. Jessica zamknęła książkę. Ostrożnie wyłączyła lampkę na stoliku i na palcach wyszła z ciemnego pokoju. Za drzwiami czekał Colin z kieliszkiem wina.

– Muszę wziąć prysznic – powiedziała. – Zaraz przyjdę.

– Nie spiesz się.

Colin zszedł na dół, najciszej jak potrafił, po skrzypiących deskach schodów.

Gdy Jessica spojrzała na swoje odbicie w łazienkowym lustrze, uznała, że biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, wygląda wręcz olśniewająco i całkiem świeżo. Colin nie potrafił obiektywnie ocenić jej stanu, ponieważ nie wiedział dokładnie, co zaszło w ostatnich godzinach. Położyła komórkę na półce, a ubranie rzuciła w kąt.

Kiedy kilka minut później wyszła zrelaksowana spod prysznica, na wyświetlaczu zabezpieczonego telefonu widniał symbol jednego nieodebranego połączenia.

Westchnąwszy, owinęła się w płaszcz kąpielowy i z ręcznikiem na głowie oddzwoniła. Natychmiast zgłosił się Jaylen z FBI, członek jej zespołu.

– Mamy coś.

– Muszę przyjechać? – spytała.

– Byłoby lepiej.

– Zaraz?

– Tak.

Zakłęta tak cicho, że Jaylen raczej nie mógł usłyszeć. Poczwała ucisk w żołądku. Na dole czekał Colin z kieliszkiem wina na pojednanie.

Szybko podreptała do sypialni, włożyła pierwszą z brzegu bluzkę i jakiś kostium, a potem niedbale zebrała z tyłu włosy. Zbiegła po schodach, zajrzała do salonu i oznajmiła Colinowi:

– Przepraszam cię, kochanie, pilna sprawa.

Na widok jej służbowego stroju jego twarz stężała.

– Znowu musisz wyjść? – spytał lodowatym tonem.

Przygryzła wargę, potwierdzając niemo.

Colin spojrział na kieliszek, który trzymał w ręce, i pokręcił głową, po czym wypiwszy wino jednym haustem, wstał.

– Dobranoc – powiedział i przeszedł obok niej do przedpokoju, a potem ruszył

po schodach na górę.

Wybór potraw nie był na szczęście oszałamiający. Helen była umiarkowanie głodna i zdecydowała się tylko na trochę zupy oraz sałatę, Greg sięgnął zaś po surówkę i szynkę, do tego wziął sobie ciemną bułkę.

– Całkiem super, że nie trzeba pomagać swojemu czterolatki przy pracy domowej z matematyki – mruknął. – Ale kiedy skończy dwudziestkę, zamknie mnie pewnie w rezerwacie, tak jak my robimy dzisiaj z goryłami.

– Bez obaw, ta zmiana nie dokona się tak szybko – zauważyła Rebecca, która stojąc za nim, wszystko usłyszała. Z pełnymi talerzami wrócili razem do stołu.

– Kiedyś jednak tak się stanie – nie ustępował Greg.

– Ale my nauczymy się, jak sobie z tym radzić – uspokajała go Rebecca. – Opracowaliśmy zalecenia dotyczące koegzystencji ludzi klasycznych i nowoczesnych z wyprzedzeniem na kilka pokoleń.

Ledwie większość gości zajęła znowu miejsca, gdy Winthorpe przystąpił do drugiej części wykładu.

– Decydujące znaczenie dla akceptacji nowoczesnego człowieka w społeczeństwie będzie miała komunikacja. Pod tym względem możemy odwołać się do wcześniejszych doświadczeń.

W tle ukazało się stare zdjęcie noworodka.

– Pierwsze dziecko, które przyszło na świat w wyniku sztucznego zapłodnienia, wywołało skandal i dla wielu było to równoznaczne z obrazoburstwem. Dzisiaj jest to szeroko stosowana praktyka, dzięki której co roku rodzą się setki tysięcy ludzi, a dwa razy tyle staje się szczęśliwymi rodzicami. Za równie duże albo jeszcze większe obrazoburstwo uważa się dzisiaj modyfikacje pierwotnych komórek zarodkowych. Przeciwnicy jako argument wysuwają godność ludzkiego zarodka oraz przekonują, że nie wolno nam wpływać na los przyszłych pokoleń, skoro nie znamy potencjalnych skutków ubocznych takich działań.

Za jego plecami pokazywały się szybko następujące po sobie przykłady zdobyczy technologicznych, począwszy od kamiennego koła, a skończywszy na tomografie komputerowym.

– Od kiedy pojawił się *homo sapiens*, oddziałujemy na przyszłe generacje w rozmaity sposób, nie znając następstw. A zaczynamy ten proces już w momencie, gdy sprowadzamy dzieci na świat.

Korowód obrazów na ścianie zatrzymał się na słynnym motywie Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej, gdy Bóg dotykiem swego palca budzi do życia

Adama.

– Z Biblii nie da się wysnuć ani zakazów, ani zaleceń. Jedni przestrzegają przed tym, aby nie próbować odgrywać roli Pana Boga. Inni wskazują, że Bóg ukształtował człowieka na własne podobieństwo. A zatem Stwórca, tworząc człowieka, stworzył stwórcę. W krajach islamskich też można znaleźć wiele różnych postaw. Mnie podoba się szczególnie sentencja Mahometa: „Allah nie zesłał żadnej choroby jak tylko z lekarstwem”. Równie otwarte są części świata muzułmańskiego wobec nowinek technicznych.

Z religii, które powołują się na Mojżesza jako założyciela, wykształciło się nawet społeczeństwo, które w sposób nieograniczony wspiera biomedycynę. Otóż Izrael ma w stosunku do liczby ludności najwięcej klinik specjalizujących się w sztucznym zapłodnieniu i właśnie w tym kraju rodzi się najwięcej dzieci z próbowki. „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się” – brzmi jedno z najważniejszych dla ortodoksyjnych Żydów przykazań. Przy czym wszystkie środki są dozwolone. Również pod względem wykonywania testów genetycznych przed zajściem w ciążę i podczas jej trwania izraelskie kobiety przodują w świecie, a przy najmniejszych uszkodzeniach płodu ciążę są przerywane. Podczas ankiety przeprowadzonej już w latach dziewięćdziesiątych dwie trzecie izraelskich genetyków uznało za nieodpowiedzialne sprowadzanie na świat dzieci z wadami genetycznymi. Tymczasem, co można uznać za chichot historii, takiego samego zdania było jedynie osiem procent ich niemieckich kolegów. Przy czym ja uważam, że tego rodzaju ankieta powinna być przeprowadzona przede wszystkim wśród rodziców. Jak państwo wypowiedzieliby się w tej kwestii? Gwoli informacji: wszystkim chorobom uwarunkowanym genetycznie my tutaj jesteśmy już w stanie zapobiec.

Pan Bóg i Adam zamienili się w stary posąg Buddy, z którego odpadała farba.

– Religie i filozofie Dalekiego Wschodu podchodzą do tego zagadnienia swobodnie. W kręgu reinkarnacji, czyli wiecznego odradzania się, przyjmuje się różne formy, a doskonalenie jest bardzo pożądane.

Budę zastąpił wizerunek Konfucjusza, a potem Laoziego.

– Nie bez powodu Chiny, Korea Południowa, Japonia i Singapur w ostatnich dziesięcioleciach wyrosły na potęgę w światowych badaniach genetycznych.

Bogów i mędrców przesłoniła wypełniająca całą ścianę falująca flaga amerykańska.

– W Stanach Zjednoczonych religia pieniądza pozwala na wszystko. W obliczu wszystkiego, co dotąd powiedziałem, widać wyraźnie, że wyzwanie komunikacyjne jest złożone, ale nie tak trudne, jak być może państwo sądzili.

Najważniejsze debaty wcześniej czy później będą koncentrować się na tematach takich jak równość i sprawiedliwość.

„To już się dzieje” – pomyślała Helen.

– Co prawda współczesne społeczeństwa dyskutują już o tych zagadnieniach dosyć gwałtownie, ale w innych kontekstach – przyznał także Winthorpe. – Natomiast niebawem włączony zostanie również ten aspekt.

„Co bynajmniej nie ułatwi dyskusji” – dopowiedziała Helen w duchu.

– Z ogromnym prawdopodobieństwem – powiedział przedstawiciel Center for Disease Control and Prevention. Na ściennym monitorze w Situation Room widniała ściereczka z domu Jasona Brilla. – Ta szmatka była wprost naszpikowana wirusami. Jeszcze w żadnym naszym dochodzeniu nie natrafiliśmy na tak wysoką koncentrację.

Obok zdjęcie rozerwanej koperty.

– W kopercie też ich nie brakowało, tyle że w niej zdążyły już obumrzeć. Na tym właśnie polegał trik: na wilgotnym materiale wirusy przetrwały czas transportu.

– Mamy zdjęcie tego Brilla? – spytała Jessica.

– Chwileczkę. – Na ekranie ukazał się schludny student college’u, jakich tysiące kręciło się wokół polityków. – Jason Brill zaraził się, kiedy użył tej szmatki. Dziewięć dni temu zaczął skarżyć się na lekkie przeziębienie, co nie jest niczym nadzwyczajnym o tej porze roku. Pracuje bezpośrednio w biurze ministra. – Przykładowe wideo pokazywało ludzi w dowolnym biurze kichających w obecności innych, podających sobie wzajemnie dłonie, dotykających tych samych klamek, wymieniających między sobą papiery. – Nie znamy na razie dokładnego łańcucha zakażenia, ale u kilku z jego kolegów stwierdziliśmy już infekcję. Jesteśmy raczej pewni, że Brill jest pacjentem zerowym. Ewentualnie nosicielem zerowym.

– Skąd pochodzi koperta? – zadała kolejne pytanie Jessica.

– Mamy tu interesującą sprzeczność – powiedział Tom i wyświetlił na ekranie nową twarz.

Według Jessiki mężczyzna mógł mieć trzydzieści pięć lat albo dobiegał czterdziestki. Zdjęcie zrobiono ewidentnie po aresztowaniu – chuda, kanciasta twarz o zuchwale przekornym spojrzeniu była otoczona burzą dzikich falowanych włosów, co trochę przypominało wygląd britpoppera z lat dziewięćdziesiątych.

– Daniel Boldenack, czterdzieści trzy lata, żyje w Louisville, w stanie Kentucky. Już jako piętnastolatek wszedł w konflikt z prawem z powodu zażywania narkotyków i handlu nimi na niewielką skalę. Od tamtej pory wpadał raz po raz. Ale handlu twardymi narkotykami nigdy nie udało mu się udowodnić, chociaż przeszukiwano go wielokrotnie. Jako osiemnastolatek na pewien czas związał się ze skrajnie prawicowymi bojówkami antyrządowymi. Według naszych informacji już dawno się z nimi rozstał. Wygląda na to, że ma głowę nie od

parady, ponieważ mimo swojej przeszłości skończył biotechnologię w Stanford. Ale potem miał trudności z odnalezieniem się w świecie pracy. Nigdy nie wytrwał długo w jednym miejscu, a wszystkie posady, jakie obejmował, były znacznie poniżej jego kwalifikacji. Kilka lat temu zwrócił na siebie uwagę w społeczności biohakerów przez idiotyczne i prowokacyjne sentencje, za co niezależne laboratoria, które wtedy odwiedzał, go wyklęły. Od tamtej pory mieliśmy go na radarze, ale już się jakoś specjalnie nie rzucał w oczy. Stopniowo skompletował sobie najwyższej klasy wyposażenie i stworzył własne laboratorium. Nie do końca transparentna jest też jego komunikacja w sieci. Od lat stosuje narzędzia anonimizujące, jednak sposób, w jaki się komunikuje, pozwala przypuszczać, że równolegle korzysta także z innych kanałów. Na podstawie całościowego profilu osobowościowego nasze programy przypisały go do trybu obserwacji, ale nie zidentyfikowały jako czynnika zagrażającego narodowemu bezpieczeństwu. Sytuacja się zmieniła, kiedy dodaliśmy aspekt broni biologicznej.

– Sądzi pan, że możemy mieć do czynienia z wewnętrznym terrorystą? – spytała znowu Jessica.

– Nie byłby pierwszy – zauważył Jaylen.

– Czy w ostatnich dniach stwierdzono u niego jakieś nietypowe zachowanie?

W drugim oknie, obok twarzy Boldenacka, człowiek z FBI otworzył katalog z grafikami. Jessica domyślała się, że są to wizualizacje różnych analiz – profile mobilności, modele komunikowania i temu podobne. Za pomocą kolorów program pokazywał w odniesieniu do określonych parametrów różne stopnie odchylenia od normy, poczynawszy od zielonego przez żółty i pomarańczowy po czerwony. Wszystkie parametry Boldenacka mieściły się w zakresie żółtym i pomarańczowym, jedynie profil mobilności sięgał granicy koloru ciemnoczerwonego.

– W ostatnich dwóch tygodniach wyjątkowo dużo się przemieszczał – wyjaśnił Jaylen.

– Między innymi był w Waszyngtonie – zauważyła natychmiast Jessica.

– Co wydaje się podejrzane także dlatego, że przez pewien czas w ogóle nie mogliśmy go namierzyć.

– A gdzie kryje się ta interesująca sprzeczność, o której wspomniał pan na początku? – chciała wiedzieć Jessica.

Na monitorze pojawiła się mapa Stanów Zjednoczonych, a na niej dwa czerwone punkty: jeden z nich na wschodzie, w Kentucky, oznaczał miejsce zamieszkania Boldenacka, Louisville; drugi ukazał się na terenie Kalifornii.

– Dzięki programowi kontroli i monitorowania przesyłek pocztowych zobowiązującemu do fotografowania wszystkich przesyłek nadawanych w całych Stanach wiemy, że ten list został wysłany z San Diego, w Kalifornii.

– Przez Boldenacka?

– Tego jeszcze nie ustaliliśmy. Na kopercie są różne odciski palców, ale żadne nie należą do niego.

– Też bym nie zostawiła swoich na takiej przesyłce – wtrąciła Jessica. – Proszę zorganizować zespół, który zajmie się Boldenackiem. Chciałabym być przy tym, jak go capniecie. Kiedy może do tego dojść?

– Nad ranem – odpowiedział przedstawiciel FBI.

Szybko obliczyła w głowie.

– W porządku. Proszę załatwić samolot. Polecimy do Louisville. Zawiadomię Richa Allena. Powinien lecieć z nami.

Musiła zawiadomić też Colina.

Danie główne: potrawa wegetariańska, ryba, mięso. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Helen wybrała rybę. Winthorpe mówił dalej:

– Przejdźmy do jednego z najtrudniejszych zagadnień: do relacji z najbliższymi. Jak zareagują wasi przyjaciele? Wasza rodzina? Z pewnością w waszym otoczeniu nie brakuje dzieci. Co powiecie ich rodzicom? Nie znam bardziej zażartej rywalizacji niż ta między dorosłymi z klasy średniej i wyższej o to, kto ma najbardziej utalentowane, najbardziej wysportowane, najbardziej przebojowe i najbardziej sympatyczne potomstwo. W niedalekiej przyszłości będziecie musieli oznajmić tym rodzicom, że wasze dziecko pod każdym względem posiada znacznie lepsze predyspozycje. I ci ludzie was znienawidzą!

– No, to się nazywa świetny PR – szepnął Greg. – Jestem ciekaw, jak on teraz z tego wybrnie.

– Rozwiązanie jest całkiem proste – kontynuował Winthorpe. – Najlepiej nie mówcie nic.

Zaległa cisza jak makiem zasiał. Żadnego pobrzękiwania widelcami, żadnego dzwonienia szklankami.

– Super – rzuciła spontanicznie Helen. – Wobec tego co powinnam powiedzieć? Że nie mam zielonego pojęcia, jak to możliwe, że moja mała jest taka rezolutna, bo po mnie na pewno tego nie odziedziczyła?

– Dokładnie – odpowiedział Winthorpe z nieznacznym uśmiechem, podczas gdy cała sala zaczęła głośno rechotać. – I nawet pani nie skłamię.

Tym uzupełnieniem pozyskał sobie niewątpliwą sympatię rozbawionych gości.

– Ale kiedyś przecież to się wyda.

– Wszystko zależy od was. A jeśli nawet do tego dojdzie, stopień akceptacji społecznej dla tego rodzaju zjawisk będzie już większy i sytuacja stanie się prostsza.

Ledwie Winthorpe zamknął usta, odezwał się mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku.

– Kiedy tak się tu rozglądam – co właśnie uczynił – jestem ciekaw jednego: jakie cechy i umiejętności wybierze większość z obecnych? – Goście stanowili mieszanek wielu grup etnicznych, ale o wyraźnej przewadze białoskórych potomków Europejczyków. – Co będzie najważniejsze? Wzrost? Kolor skóry? Inteligencja? Sprawność fizyczna? – Kierował swoje słowa nie tylko do Winthorpe'a, ale do wszystkich. – Mówiąc krótko, zadaję sobie pytanie, czy

możliwości, jakie są nam tu oferowane, nie prowadzą w rezultacie do niebezpiecznej jednorodności? Bo my wszyscy będziemy chcieli przybliżyć nasze dzieci do obiegowego ideału.

Zamilkł, ponieważ być może w tym momencie zdał sobie sprawę z ironii kryjącej się w jego spostrzeżeniu. Bowiem mimo wszelkiej różnorodności kulturowej obecnych łączyło bardzo dużo. Nosili ubrania tych samych marek, mieli niemal identyczne fryzury, okulary, makijaże. Większość wyglądała na wysportowanych, ani jedna osoba nie była rażąco otyła czy niższego wzrostu niż metr sześćdziesiąt centymetrów. W każdym dużym mieście w Kalifornii czy wręcz niemal w każdej światowej metropolii doskonale wtopiliby się między gości drogich restauracji czy bywalców wernisaży – na przykład jako znakomite menedżerki czy odnoszący sukcesy biznesmeni.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na Winthorpe'a. Ale w tym momencie na ścianie za nim pojawił się obraz, który skupił uwagę zgromadzonych. W pierwszej sekundzie Helen miała wrażenie, że to retrospekcja z gabinetu doktora Bensa. Ujrzała dziesiątki portretów dzieci o różnych kolorach skóry, od jasnej do ciemnej, o oczach niebieskich, piwnych, zielonych, o rozmaitych kształtach twarzy, o nosach szerokich i wąskich, bez włosów, z włosami prostymi lub kręconymi.

– Dzieci naszych dotychczasowych rodziców stanowią najlepszą odpowiedź na to pytanie – powiedział Winthorpe. – Chyba sami państwo dostrzegają różnorodność. Jeśli chodzi na przykład o wzrost, rozpiętość wynosi od metra siedemdziesięciu do dwóch metrów dwudziestu centymetrów.

– Czyli znacznie powyżej światowej średniej – zauważył ktoś półgłosem, ale Winthorpe nie odniósł się do tego.

– Wybory rodziców były zróżnicowane w odniesieniu nie tylko do wyglądu, ale także do cech innych niż zewnętrzne – kontynuował. – Z jednym wyjątkiem: wszyscy wykluczyli genetycznie uwarunkowane choroby dziedziczne. Poza tym nie stwierdziliśmy tendencji do identyczności. Przynajmniej na razie. Ale chyba raczej trudno się temu dziwić. No bo proszę się zastanowić. Co, pana zdaniem, decyduje o pańskim sukcesie jako przedsiębiorcy internetowego? – zwrócił się bezpośrednio do mężczyzny, który zadał pytanie. Wydawał się wyjątkowo dobrze przygotowany do tego spotkania i chyba znał historię życia każdego z gości. – Raczej nie brak odmienności! Tylko coś wręcz przeciwnego, to, że jest pan jedyny w swoim rodzaju! Pańskie pomysły, pańskie umiejętności. Mogę się założyć, że tego samego chciałby pan dla swojego dziecka.

– Ale sam pan powiedział, że wiele kultur nie może skorzystać z pana oferty.

Mówił pan o Europejczykach, Afrykanach, mieszkańcach Ameryki Łacińskiej. To znacznie ogranicza różnorodność.

– Myślę, że ta sytuacja wkrótce się zmieni. Z lęku, by nie pozostać w ogonie postępu i nie znaleźć się w gorszej pozycji.

– Czyli mówi pan: odczekać. A w pozostałych przypadkach będzie to nieświadomy, uwarunkowany kulturowo wybór – zaoponował mężczyzna. – Na tej samej zasadzie, jak wiele osób nadaje własnemu dziecku trochę rzadsze imię, a po dwunastu miesiącach dowiadują się ze statystyk, że właśnie wybrali najbardziej popularne imię roku. Instynkt stadny.

– Coś takiego uniemożliwiają różne ideały poszczególnych kultur. Nie wszędzie cieszy się uznaniem tak szczupła sylwetka, do jakiej dąży się w dzisiejszym zachodnim świecie. Albo proszę zwrócić uwagę na ludzi niesłyszących, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Wielu z nich nie uważa się za upośledzonych, tylko za mniejszość i chce mieć także głucho potomstwo. Przy sztucznym zapłodnieniu, gdy komórka jajowa albo plemniki pochodzą od obcego dawcy, często ludzie ci wybierają materiał o podwyższonym prawdopodobieństwie wystąpienia dziedzicznej głuchoty. Co prawda my tutaj nie spotkaliśmy się jeszcze z takim przypadkiem, ale kto wie?

– Świadomy wybór upośledzenia to przecież jakaś niedorzeczność! – krzyknęła jedna z kobiet.

– Jak wspomniałem, oni nie uważają się za upośledzonych.

– A według pana to jest upośledzenie? – spytała kobieta. – Czy spełniłby pan takie życzenie?

– Ta decyzja należy do rodziców.

– Czy rzeczywiście? Oto jest pytanie – nie zgodziła się z nim kobieta. – Czytał pan może opowiadanie *Na wsi* Guy de Maupassanta?

– Przyznaję, że nie czytałem – odparł Winthorpe z wyniosłym uśmiechem. Helen wyczuła z daleka jego dezaprobatę dla tego testu z literatury, jakiemu poddała go jakaś kalifornijska ślicznotka z *upper class*, próbująca zaimponować swoją znajomością francuskich pisarzy. Mimo to pozwolił jej mówić dalej.

– W tej książce uboga chłopka z powodu biedy oddaje jednego z synów na wychowanie bogatej, ale bezdzietnej rodzinie. Gdy ten, już jako dobrze wykształcony i szczęśliwy dorosły mężczyzna, odwiedza swoją prawdziwą rodzinę, jego brat żyjący nadal w nędzy zarzuca matce, dlaczego przed laty także jego nie oddała, aby zapewnić mu lepsze życie.

– Pani zdaniem to dziecko powinno podejmować decyzję? Jeszcze niespłodzone?

– Nie! Uważam tylko...

– Ależ to jest wspaniała historia! – przerwał jej Winthorpe. – Cudowny argument przemawiający za nowoczesnymi dziećmi!

– Nie o to jej chodziło – szepnął Greg do Helen. – Ale Winthorpe ma rację.

Helen spojrzała na niego, lecz on znowu skierował wzrok na doktora. Po raz pierwszy jej mąż zdjął maskę wiecznego sceptyka, a w jego oczach dało się zauważyć otwartość. Ona sama jeszcze do końca nie postanowiła, czy pragnie mieć nowoczesne dziecko. Ale jeśli jutro nie wypłyną żadne jasne kontrargumenty, chyba się zdecyduje. Nie chciałyby jednak decydować bez Grega. Położyła dłoń na jego ręce, na co on uśmiechnął się przelotnie, po czym na nowo zaczął przysłuchiwać się słowom Winthorpe'a.

Dzień trzeci

Gdy dojeżdżali do domu Daniela Boldenacka, Emilio Verres uważnie obserwował okolicę. Dzięki minikamerce i mikrofonowi zamontowanym w jego okularach Jessica była cały czas na bieżąco informowana o sytuacji, chociaż siedziała w zamaskowanym wanie operacyjnym dwie ulice dalej.

Dzielnica mieszkaniowa na południu Louisville wyglądała jak typowe amerykańskie przedmieście w niedzielny poranek. Na sekundę Jessica zwróciła swe myśli ku własnej rodzinie, która po raz kolejny zasiądzie do śniadania bez niej. Na wiadomość wysłaną w nocy Colin jeszcze nie zareagował.

Dom okazał się prostym budynkiem z czerwonej cegły, z drewnianymi wykończeniami, otoczonym trawnikiem i bez ogrodzenia, jak niemal każdy dom przy tej ulicy. Na podjazdach stały albo właśnie z nich wyjeżdżały amerykańskie i azjatyckie auta rodzinne – droższych europejskich nie było widać. Otwarta przestrzeń. Mająca tę wadę, że oni sami byli tutaj dobrze widoczni.

Verres miał wsparcie w postaci dwóch czteroosobowych ekip SWAT-u, które oddzielnymi samochodami zbliżały się od tyłu do domu Boldenacka. Dwie kolejne grupy w swoich pojazdach zabezpieczały go od frontu, gotowe błyskawicznie zablokować teren od strony sąsiadów. Jedynie dwa z łącznie pięciu samochodów już zaparkowały. Trzy pozostałe dopiero nadjeżdżały, aby jak najmniej rzucać się w oczy. Kadry z kamer umieszczonych przy hełmach lub w samochodach migotały na monitorach przed Jessicą, Richem, Tomem, Jaylenem i innymi, którzy siedzieli upchnięci w wanie. Jessica miała dziwne poczucie, jakby była w głowach tamtych mężczyzn, jakby była nimi. Kierowca Verresa zatrzymał się przed podjazdem Boldenacka. Verres i jego ludzie wysiedli z pojazdu. On miał na sobie mundur policjanta patrolującego ulicę.

– Potencjalny bioterrorysta – brzmiała oficjalna informacja dla niego i dla jego kolegów.

Podszedł do drzwi i zadzwonił. Odczekał minutę, a gdy po raz drugi zamierzał nacisnąć dzwonek, Jessica usłyszała z jego mikrofonu męski głos:

– Kto tam?

– Emilio Verres, miejscowa policja. Szukamy świadków serii włamań w sąsiedztwie, panie Boldenack. Może pan coś zauważył?

Zadanie Verresa polegało na tym, aby pod niewzbudzającym podejrzeniem pretekstem dostać się do środka.

Drzwi uchyliły się nieco. W wąskiej szparze ukazała się pociągła twarz, na

którą opadały brązowe kosmyki. Mężczyzna ze zdjęć w policyjnej kartotece.

– O tej porze? – spytał, nie otwierając szerzej drzwi. – Powariowaliście? Nic nie widziałem.

Zanim Boldenack zdążył zamknąć drzwi, Verres wsunął stopę w szczelinę i pokazał swoją legitymację. Podsunął mu ją pod sam nos i oświadczył:

– Jesteśmy tu z powodu pana, panie Boldenack. – Oprócz legitymacji pokazał także nakaz rewizji. – Musimy się rozejrzeć po pana mieszkaniu. Możemy to załatwić w sposób cywilizowany, jeżeli nas pan... – Więcej nie zdołał powiedzieć, ponieważ Boldenack z całym impetem spróbował zatrzaskać drzwi. Solidny but Verresa wytrzymał nacisk. Drzwi odbiły nieco do tyłu, zablokowane przez łańcuch.

– Wchodzimy – oznajmił Verres do mikrofonu i rzucił się potężnym ramieniem na drzwi. Gdy łańcuch wyrwał się z trzaskiem z futryny, Boldenack zniknął we wnętrzu domu. Obrazy na ekranie chwiały się, skakały. Verres pobiegł za mężczyzną. Jessica słyszała w słuchawkach nerwowe rozkazy, dyszenie i tupot nóg. Boldenack chciał uciec tylnym wyjściem. Przez rustykalnie urządzonej salon dopadł do drzwi na taras. Zanim je otworzył, Verres był już prawie przy nim, a przez trawnik biegło sześć ciemnych, ciężko obciążonych postaci. Koledzy Verresa w pełnym rynsztunku. Pędzili z bronią wyciągniętą przed siebie i wrzeszcząc tak przeraźliwie, że Boldenack zamarł z przerażenia. W tym momencie Verres chwycił go, wykręcił mu jedną rękę na plecy i przewrócił na podłogę. Dwoma wprawnymi ruchami założył mu kajdanki. Z nogą na tułowiui skrępowanego otworzył drzwi tarasu i wpuścił kolegów.

Wspólnie podnieśli Boldenacka na nogi i przedstawili mu jego prawa.

– Lepiej, żeby pan z nami współpracował – powiedział Verres. Cała akcja trwała może minutę i nie była zbyt wymagająca. – Proszę pokazać nam swoje laboratorium.

– To było proste – skomentował Tom. Van stał teraz bezpośrednio przed podjazdem zatrzymanego. Nadal śledzili na monitorach obrazy z kamerek przy okularach Emilia Verresa i jego trzech ludzi, którzy przeszukiwali resztę domu.

Boldenack najwyraźniej postanowił współpracować. Nie stawiając oporu, zaprowadził Verresa do garażu. Jessica obserwowała, jak dowódca grupy pilnie śledzi każdy ruch mężczyzny w obawie, aby przypadkiem niepostrzeżenie nie spróbował wykręcić jakiegoś numeru, żeby się uratować. Jego profil osobowości nie wykazywał cech zamachowca samobójcy. Jeżeli więc w laboratorium znajdowałyby się niezabezpieczone groźne dla życia substancje czy organizmy,

nie wszedłby tam tak po prostu, byle tylko poza sobą skazać na śmierć także funkcjonariuszy.

Bez wahania otworzył drzwi i wkroczył pierwszy.

Garaż, w którym zmieściłyby się spokojnie dwa duże auta terenowe, był zamieniony w imponujące laboratorium wypełnione mnóstwem nowoczesnego sprzętu wyglądającego na bardzo zaawansowany, najrozmaitszymi instrumentami ze szkła i stali, mniejszymi i większymi pojemnikami ze skalą, kablami i rurkami.

– Laboratorium znalezione – poinformował Verres swoich kolegów przez krótkofalówkę.

– Budynek zabezpieczony i pusty – potwierdzili tamci w odpowiedzi. – Poza pięcioma kotami.

– Chcecie wejść? – Verres zwrócił się do kierownictwa operacji i do gości z Waszyngtonu. Zabrzmiało to jak: „Odważycie się?”.

– Zaraz będziemy – oświadczyła zdecydowanie Jessica.

Gdy wszyscy znaleźli się w garażu, Boldenack zmierzył ich nienawistnym spojrzeniem.

– Ma pan tu niezłe wyposażenie – powiedziała Jessica. – Dlaczego nie chciał pan go pokazać kolegom?

Rich z ciekawością przystąpił już do lustracji sprzętu i dokumentacji.

– I tak je znaleźliście – warknął.

– Chyba powinnam pana poinformować, że jest pan podejrzany o przygotowanie, a nawet przeprowadzenie śmiertelnego w skutkach ataku terrorystycznego z użyciem broni biologicznej. Czeka pana krzesło elektryczne!

Mina Boldenacka po usłyszeniu tej wiadomości natychmiast obudziła w niej sceptycyzm. Była to bardziej intuicja niż niezłomne przekonanie, ale ten człowiek nie wydawał się wcale przyłapany, jedynie zaskoczony, przerażony i spanikowany.

– Atak terrorystyczny? – wydyszał. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Każdy tak mówi – odrzekła Jessica.

– Przysięgam! – zapewniał żarliwie Boldenack z szeroko otwartymi oczami. Na jego szyi pokazały się nabrzmiałe żyły.

– Wobec tego w co pan się tu bawi, skoro nie chciał pan nam tego pokazać?

Boldenack, z rękami wciąż skutymi na plecach, osunął się bezsilnie na stołek.

– W narkotyki – odezwał się Rich za nią. – On pracuje nad bakteriami, które syntetyzują narkotyki.

Staął obok Jessiki i zmierzył mężczyznę wzrokiem.

– Mam rację?

Tamten skinął głową i podniósł oczy.

– O rany – szepnął z nabożnym szacunkiem. – Rich Allen.

Jessica i pozostali wymienili się spojrzeniami.

– Bakterie, które produkują narkotyki? – upewniał się Emilio Verres.

– Niech pan sobie wyobrazi, że nie musi pan uprawiać żadnego świństwa gdzieś w Ameryce Łacińskiej, Azji czy na jakimś ukrytym poletku, a potem ściągać tego nie bez sporego ryzyka przez pół świata, tylko parę litrów modyfikowanych genetycznie bakterii sika panu dragami do takiego pojemniczka – powiedział Rich, wskazując na błyszczący cylinder.

– Insulina jest dostępna od kilkudziesięciu lat – prychnął Boldenack. – Teraz kolej na heroinę, kokainę i inne rzeczy. Na razie ilości nie są oszałamiające. Dosłownie. Pracuję nad optymalizacją ilościową.

– Za kilka lat każdy będzie mógł sobie wyprodukować swoją dzienną dawkę w garnku – dodał Rich. – Sprzęt i składniki kupi się za parę dolarów w internecie. Taka jest przyszłość.

– No super! – krzyknęła Jessica.

– Walter White inżynierii genetycznej – powiedział Rich. – Już widzę ten serial oczami wyobraźni.

Andwele jechał powoli drogą. Ta była lepsza niż trasy poza terenami ArabAgric. Po obu stronach rozciągały się pola. Nagle po lewej błysnęło coś nad ziemią. Metalowe kule wielkości głowy na cienkich nóżkach biegały po bruzdach niczym gigantyczne pająki. Z niektórych co jakiś czas wysuwał się i wbijał w glebę cienki patyk, jakby te potwory składały jaja. Jegorowi ich widok nie był obcy, ale Gordon zbaraniał.

– Co to jest?! To straszne! – krzyknął z tylnego siedzenia.

– Prototypy robotów do analiz i wysiewów – wyjaśnił Jegor. – Właśnie testujemy, czy można je zastosować na wielkich powierzchniach. Pozwalają na dokładną co do centymetra analizę jakości gleby i precyzyjny wysiew, sterowany automatycznie przez systemy informatyczne. Tam gdzie ziemia jest lepsza, zostawiają więcej nasion, a gdzie nie jest tak urodzajna, mniej. Ewentualnie dodają jeszcze użyźniające mikroorganizmy.

– Niedługo cała ziemia zamieni się w jeden wielki komputer – zauważył Gordon.

– Nowoczesne rolnictwo już od dawna opiera się na technologiach informatycznych – odpowiedział Jegor. – Jak wasza genetyka.

Z przedwieczornych oparów wyłoniła się przed nimi główna siedziba firmy.

– Ile macie tu hektarów? – spytał Gordon.

– W sumie dwieście pięćdziesiąt.

– Jak zabezpieczacie teren?

– Płotem z drutu kolczastego. Mamy też wideomonitoring. No i tamte urzędnicy. – Pochylił się nieco i wskazał ręką na ukos przed siebie. Gordon wyteżył wzrok we wskazanym kierunku. W pierwszej chwili nic nie widział, a potem, na wysokości mniej więcej pięćdziesięciu metrów, zauważył niewielki punkt. To był dron.

– Też wyposażone w kamery – uzupełnił Jegor. – Oblatują zaprogramowane trasy. Specjalny software rejestruje podejrzane zdarzenia, które ludzie z działu bezpieczeństwa mogą potem dokładniej obejrzeć na swoich monitorach.

Gordon powiódł wzrokiem za dronem. Był to zdalnie sterowany kwadrokopter. Kadłub z kamerami dźwigały cztery silniki ze śmigłami zamontowane na czterech ramionach. Nieduży obiekt latający szybko zbliżał się do nich.

– Stój! – krzyknął Gordon. – Stój!

Przerażony Andwele wcisnął pedał gazu do oporu, wskutek czego wszyscy

trzej zawiśli na pasach.

– Rysunek! – zawołał Gordon podekscytowany. – Rysunek duchów! Ten od chłopki! Ma go pan jeszcze?

Jegor wygrzebał ze skrytki pod przednią szybą swój notes. Tymczasem pasażer z tylnego siedzenia wyskoczył już z auta, otworzył gwałtownie przednie drzwi i wyrwał Jegorowi notes z ręki. Przerzucił nerwowo kartki, a gdy znalazł rysunek, uniósł go. W odległości stu metrów i z perspektywy Gordona jakby tuż obok nieudolnego szkicu knedla z czterema kólkami po bokach powoli oddalał się ciemny punkt z czterema warczącymi wirnikami. Jedynie środkowa część maszyny była mniejsza niż ta na rysunku.

– Duchy – bąknął Gordon. – To są nasze duchy.

– Duchy, ale na pewno nie nasze – oznajmił szef bezpieczeństwa terenów należących do Santiry. – Mamy ściśle określone trasy lotów, które programuje garstka pracowników. Indywidualnie sterowane loty przeprowadzamy bardzo rzadko. I każdy z nich jest protokołowany.

W centrum nadzoru i kontroli, naszpikowanym techniką i pełnym monitorów, pokazywał Gordonowi na ekranie swojego laptopa odpowiednie listy.

– Poza tym jakim cudem – odezwał się Stavros – latające kamery miałyby zamienić normalną kukurydzę w cudowne rośliny?

– Dronów używacie tylko do monitoringu? – spytał Gordon. – A nie do rozpylania pestycydów?

– To robimy za pomocą specjalnych zamontowanych na polach urzędzeń albo z samolotów – wyjaśnił Jegor. – Z myślą o przyszłych uprawach trwają właśnie prace nad projektem odpowiedniego drona.

– Czy ktoś w regionie stosuje jeszcze drony?

– Nie mam pojęcia – przyznał Jegor.

– Zdaje się, że w ostatnich latach zaczęły je wykorzystywać niektóre organizacje pomocowe – wtrącił szef bezpieczeństwa. – Ale, o ile wiem, głównie do monitorowania ewentualnych konfliktów i zwalczania kłusownictwa, czyli tylko z kamerami. Zasięgnę jeszcze języka.

– Dobrze by było. Tylko szybko. Bardzo proszę.

– Ułożyliśmy menu w taki sposób, aby było przyjazne w obsłudze – wyjaśniła Rebecca.

Na ekranie przed Helen i Gregiem pojawiła się na lewym skraju lista wielokrotnego wyboru z opcją zaznaczania i rozmaite regulatory. Po prawej stronie widoczne było nagie dziecko w wieku około siedmiu lat, androginiczny nastolatek i osoba dorosła. Na widok tych postaci Helen przeszył dreszcz, ponieważ wszystkie w dziwny sposób przypominały ją i Grega.

– Ilustracje po prawej są symboliczne – powiedziała Rebecca. – Stworzyliśmy je na podstawie kombinacji państwa genów. – Dreszcze wstrząsały teraz ciałem Helen falami. – Proszę zaznaczać te cechy, na których państwu zależy – dodała.

Helen ogarnęła wzrokiem listę. Płeć, kolor włosów, kolor oczu, budowa ciała, wytrzymałość, długość snu, szybkość reakcji...

– I proszę pamiętać o wczorajszym wieczorze. Oczywiście ten wybór stanowi jedynie podstawę. Na rozwój będą miały bardzo silny wpływ okoliczności życiowe. Czy państwa dziecko będzie otyłe, czy chude, zależeć będzie także od stylu życia, czyli od diety, ruchu, stymulacji umysłowej, towarzystwa i tak dalej. W sumie jest tu trzydzieści parametrów – wyjaśniała Rebecca. – Niektóre można niuansować za pomocą regulatorów. Dotyczy to choćby koloru włosów i tego, czy mają być gładkie, czy nie. Niektóre cechy są niekompatybilne. Ale to już zasygnalizuje sam system. Wtedy należy zdecydować się na jedną z nich. Jeżeli przy danym punkcie nie zaznaczą państwo niczego, program zachowa istniejącą sekwencję genomu.

Z wyczekiwaniem przeniosła wzrok z Grega na Helen.

„W punktach, których nie zaznaczę, moje dziecko nie będzie miało żadnej szansy w porównaniu z tak zwanymi nowoczesnymi dziećmi – pomyślała Helen. – Jeśli w ogóle w nic nie kliknę, wszędzie zadecyduje przypadek. Tak jak od miliardów lat. I ja nie muszę niczego wybierać”.

Odsunęła się razem z krzesłem od stołu.

– Chyba nie potrafię – powiedziała.

– Ależ oczywiście, że pani potrafi – odrzekła łagodnie Rebecca.

– Jak... jak ja mam o czymś takim zdecydować? Skąd mam wiedzieć, co będzie dobre dla mojego dziecka?

– Może nie to powinno stanowić kryterium pani wyboru – zasugerowała delikatnie Rebecca.

– Wobec tego co?

– Pani miłość. Jakie dziecko kochałaby pani najbardziej?

Helen nigdy się nad tym nie zastanawiała. Ona kochałaby każde dziecko. Była o tym przekonana. Chociaż wiedziała, że prawda często jest inna. Rodzice nierzadko mają swoich pupili. Helen niejednokrotnie obserwowała to wśród swoich krewnych i przyjaciół.

– Oczywiście bezwarunkowo – dodała Rebecca. – Nie chodzi bynajmniej o taką miłość rodziców, która oczekuje od dzieci wdzięczności, wzajemności czy przywiązania, nawet podświadomie.

Helen z niesmakiem zmierzyła widoczne na monitorze osobliwie marionetkowe Heleno-Gregi w różnym wieku.

– Kolor oczu? – spytała Rebecca, z palcem na dotykowym ekranie.

Greg popatrzył na Helen pytająco.

– Niebieski? – powiedziała w końcu.

Oczy awatarów nabrały koloru. Rebecca cofnęła rękę od ekranu.

– Teraz państwa kolej. Jaki niebieski? Tu jest paleta.

Palce Grega z ociąganiem dotykały wskaźnika, zmieniając odcienie. Znowu posłał pytające spojrzenie ku Helen.

Bezradnie wzruszyła ramionami. Skinęła głową. Było jej wszystko jedno.

– No chodź – powiedział.

– To jest tylko próba na komputerze – zachęcała ją Rebecca. – Zabawa. Nic zobowiązującego.

Helen powoli przysunęła się z powrotem do stołu.

– Kiedyś robienie dzieci sprawiało więcej przyjemności – powiedziała.

– DFF, Drones for Food, to organizacja pomocowa, która za pomocą dronów chce pomóc kooperatywom drobnych chłopów z trzeciego świata w osiągnięciu większej wydajności upraw – wyjaśnił szef działu bezpieczeństwa ArabAgric, gdy samochód zatrzymał się przed niebieskim parterowym budynkiem. Aby dotrzeć do tej osady, przejechali około czterdziestu kilometrów w kierunku Dar es Salaam. Przy ulicy stały gdzieniegdzie tradycyjne nędzne stragany z owocami i warzywami i małe uliczne jadłodajnie. Tu i ówdzie między domami kręcili się ludzie. Nie brakowało za to wszechobecnych dzieci.

Drones for Food. The sky is the only limit – obwieszczał kolorowy ręcznie malowany szyld nad drzwiami.

Gdy zapukali, drzwi otworzył młody czarnoskóry mężczyzna. Szef bezpieczeństwa przedstawił się, a gdy powiedział, że są umówieni, zostali wpuszczeni do środka.

W dusznym biurze, pod szumiącym wentylatorem sufitowym, przywitał ich młody, dryblasowaty i opalony Amerykanin z brodą. Meble w pokoju były skromne i podniszczone.

– Darren Zona – przedstawił się z rozmachem, po czym poprosił ich, by usiedli. Na jego biurku dookoła laptopa piętrzyły się stosy papierów. – Sprawdziłem przekazane przez panów dane – powiedział, patrząc w komputer. – Nie operowaliśmy w opisanym regionie.

– Cudowne! – zachwyciła się Rebecca. – Helen i Greg zaprojektowali dziewczynkę. I chłopca. – Bliźnięta. Dobry pomysł.

„Raczej brak zdecydowania” – pomyślała Helen.

– Dwoje za jednym zamachem – rzucił Greg.

– Nie zapominaj, że mówisz o moim brzuchu – przypomniała mu Helen.

Niebieskie oczy dla niej, piwne dla niego. Jasne falujące włosy dla niej, ciemne kręjące się dla niego. Metr osiemdziesiąt ona, dwa metry on. Ona szczupła, on także, ale miejscami wyraźnie umięśniony. Ciekawe, na co zdecydowali się inni przyszli rodzice? Helen i Greg długo próbowali i dobierali. Czy Pan Bóg, stwarzając Adama i Ewę, też tak się męczył?

– Chcą państwo wydruk? – spytała Rebecca.

– Byłoby wspaniale! – ucieszyła się Helen. – Gdyby mogła pani wydrukować ich od razu, oszczędziłoby mi to dziewięciu miesięcy ciąży.

– Nad tym pracują inni – odpowiedziała ze śmiechem Rebecca.

„Czy było w tym coś śmiesznego?” – zdziwiła się w duchu Helen.

Rebecca przycisnęła guzik i po chwili z cichym pomrukiem z drukarki wysunęły się dwie kartki, które opiekunka podała Gregowi i Helen.

– Jak wspomniałam, wzięliśmy pani komórki jajowe, na wypadek gdyby się państwo zdecydowali. Potrzebujemy sześciu godzin na procedurę wstępną, jeśli chcieliby państwo zakończyć wszystko już tutaj – wyjaśniła Rebecca. – Wystarczy państwa zgoda i przystępujemy do pracy. Oczywiście wiem – dodała zaraz – że to trudna decyzja. Nie – nagle zmieniła ton i zmierzyła wzrokiem Helen i Grega – wcale nie. – Zrobiła wymowną pauzę. – W rzeczywistości państwo już dawno ją podjęli. I są gotowi.

Jessicę piekły oczy ze zmęczenia. Miała wrażenie, że ramiona i kark ma z betonu. Huk silników nie zagłuszał głosu z ekranu jedynie dlatego, że maksymalnie pogłościli dźwięk. Po prawdopodobnie bezcelowej akcji w Louisville byli w połowie drogi do Waszyngtonu. Jessica z trudem koncentrowała się na swoim rozmówcy z monitora. Jego twarz niemal ginęła pod kapturem zielonego kombinezonu, a za nim w tle widać było nieostre fragmenty garażowego laboratorium i jeszcze więcej zielonych postaci.

– Boldenack współpracuje – powiedział dochodzeniowiec. – Przynajmniej tak się wydaje. Nadal twierdzi, że pracował nad bakteriami do syntezy narkotyków. Mówi, że z bioterroryzmem nie ma nic wspólnego. Ale oczywiście musimy to sprawdzić.

– Jasne – potwierdziła Jessica.

– Dwa zespoły przeszukują teraz jego papiery, zarówno te dotyczące doświadczeń, jak i zamówień oraz zakupów. Myślę, że tam najprędzej natrafimy na jakieś wskazówki. Nie liczymy na specjalne szczęście, więc pierwsze wyniki będą pewnie najwcześniej jutro rano. Albo jeszcze później. Analiza mikroorganizmów zajmie więcej czasu. Co najmniej dwa, trzy dni.

– Potrzebujemy jej szybciej – powiedziała zdecydowanie Jessica.

Rich położył uspokajająco rękę na jej przedramieniu.

– Może być – powiedział tak cicho, aby nie usłyszano go w Louisville.

– Nie jesteśmy czarodziejami – odparł obojętnie mężczyzna.

– Ale przecież pan wie, o co chodzi – przypomniała mu Jessica.

– Tak, dlatego tym staranniej musimy pracować.

Wiedziała, że on ma rację.

– Okej, bądźmy w kontakcie – rzuciła.

Gdy ekran pociemniał, rozprostowała się, pokręciła szyją i potarła sobie kark.

– Mogę? – spytał Rich, trzymając gotowe do masażu palce nad jej ramionami. Kiedy odwróciła się do niego, wyjaśnił ze śmiechem: – Wolę spytać, żeby nie narazić się na oskarżenie o molestowanie seksualne.

Jessica zawahała się najpierw, po czym powiedziała zmęczonym głosem:

– No dobrze, chętnie.

– Zaprotokołować: wyraziła zgodę – rzucił Rich ze śmiechem, a następnie wcisnął opuszki palców najpierw delikatnie, a potem mocniej w betonowe barki Jessiki.

Gdy siedzący obok Tom spojrział na nich, Rich oznajmił mu:

– Powiedziała wyraźnie „tak”. Sam pan słyszał.

Tom nie zareagował.

Rich był utalentowanym masażystą, toteż Jessica zamknęła na chwilę powieki. Przez szum silników słyszała, że nadeszły nowe informacje, które odebrali Tom i Jaylen. Przez kilka minut rozmawiali w drugim końcu kabiny, ale ona miała to w nosie, rozkoszowała się przyjemnym dotykiem, który podziałał na nią tak odprężająco, że na sekundę przysnęła, lecz niemal natychmiast poderwała głowę z szybkością ostrza sprężynowego noża.

Rich zakończył już masaż i teraz razem z Tomem i Jaylenem pochyłał się tuż obok nad papierami, z ożywieniem dyskutując na ich temat.

Kiedy zauważyli, że się ocknęła, Tom zwrócił się do niej:

– Dostaliśmy właśnie dosyć dziwną informację. Obecnie wszyscy mają obowiązek meldować nam wszelkie nietypowe aktywności związane z biotechnologią... Na pierwszy rzut oka nie ma to żadnego związku, ale mimo wszystko...

– Czy mógłby nam pan wreszcie wyjaśnić, o co konkretnie chodzi?

– Informacje pochodzą z rutynowej obserwacji międzynarodowych firm przez nasze służby – wyjaśnił, mając na myśli prowadzony przez NSA i inne agencje wywiad przemysłowy. – Mam tu kilka wydruków.

Rozłożył przed nią na niedużym stoliku kilka papierów. Na każdej kartce na samej górze po prawej widniało logo firmy: Santira. Widziała statystyki, wykresy, liczby. Na zdjęciach rozpoznała pola uprawne, pojedyncze egzemplarze kukurydzy i soi, kilka kóz, parę twarzy, prawdopodobnie menedżerów.

– Współpracownicy pewnego europejskiego koncernu chemicznego i biotechnologicznego w minionych tygodniach odkryli niezmiernie zaawansowane modyfikacje genetyczne w organizmach żywych w Brazylii, Indiach i Afryce. W Brazylii chodzi o bawełnę, w Indiach o kozy, a w Afryce o kukurydzę. Na razie jeszcze nie przebadali wszystkiego gruntownie, ale już teraz twierdzą, że te modyfikacje wyprzedzają o wiele lat to, na co dzisiaj stać naukę.

Rich, który do tej pory przysłuchiwał się w milczeniu, sięgnął po kilka wydruków i rzucił na nie okiem.

– Jak nasz śmiertelny wirus – powiedział bardziej do siebie niż do innych.

– Nie dość na tym – kontynuował Tom. – Na te zmodyfikowane rośliny i zwierzęta natrafiono u biednych chłopów, którzy nie stosowali ani transgenicznych ziaren, ani transgenicznej spermy. Nie wspominając już o tym, że takich odmian nie mogliby kupić nigdzie na rynku. Nie wiadomo, kto potrafi

wytwarzać coś tak skomplikowanego.

– I ci chłopcy mają to tak po prostu, nie wiadomo skąd? – zdziwiła się Jessica. – Nic dziwnego, że ten koncern się martwi. Nasze też się nie ucieszą, kiedy się o tym dowiedzą.

– Santira na pewno nie odpuści. Jej prezes, niejaki Helge Jacobsen, osobiście o to zadba.

– Gdzie dokładnie zostały znalezione te organizmy? – spytała Jessica.

Stojący obok niej Rich wciąż studiował wydruki i niemal nie przestawał kręcić głową. „Wow”, „niewiarygodne”, „niebywałe” – bąkał raz po raz pod nosem.

Tom otworzył na monitorze mapę świata, na której widoczne były cztery czerwone punkty – jeden w Monachium, drugi w zachodniej części Indii. Dwa pozostałe znajdowały się na południowej półkuli – w centrum Brazylii oraz w Tanzanii, niedaleko wybrzeża i Dar es Salaam.

– Wygląda na to, że wirus, który zabił Jacka Dunbraitha, nie był jedynym zaawansowanym organizmem transgenicznym uwolnionym z międzynarodowych laboratoriów – stwierdził przedstawiciel FBI. – Jeśli informacje Santiry się zgadzają, mamy do czynienia z ich występowaniem na całym świecie.

– Nie wiemy, czy wszystkie są ze sobą spokrewnione – wtrąciła Jessica. – O ile dobrze zrozumiałam, tamte trzy wirusy są zabójcze...

– GMO – skorygował ją Rich. – Czy zabójcze, tego jeszcze nie wiadomo.

– Tak czy owak... zabójcze dla biznesu naszych koncernów biotechnologicznych, a nie dla chłopów. Ich nie zabijają, wręcz przeciwnie, umożliwią im lepsze życie.

– Jest jeszcze jeden interesujący szczegół – zauważył Jaylen. – Santira do tej pory nie zawiadomiła o swoim odkryciu żadnej instytucji, mimo że wprowadzenie takich organizmów do obiegu w tamtych krajach jest zakazane albo wymaga formalnego pozwolenia. Poza tym to narusza różne międzynarodowe porozumienia, jak protokół kartageński czy protokół z Nagoi.

Widząc pytające spojrzenie Jessiki, Rich wyjaśnił:

– To są międzynarodowe umowy dotyczące różnych kwestii z zakresu ekonomii biologicznej. W pierwszej chodzi głównie o transgraniczne przemieszczanie się organizmów zmienionych transgenicznie, czyli o handel nimi, sposoby obchodzenia się z nimi, ich stosowanie i tak dalej. Druga reguluje przede wszystkim problematykę różnorodności biologicznej i podział korzyści płynący z wykorzystania zasobów genetycznych. W ostatnich latach nie brakowało przecież historii tego rodzaju: jakiś wielki koncern, wykorzystując stare rozwiązania, pomagał rdzennej ludności na końcu świata zwiększyć plony, potem

opatentowywał to jako własne odkrycie i kazał płacić dotychczasowym użytkownikom oraz oczywiście wszystkim innym. Protokół z Nagoi ma uniemożliwić takie praktyki albo przynajmniej uregulować je w sposób zadowalający dla wszystkich.

– A dlaczego Santira nikogo nie zawiadamia? – spytała Jessica.

– To raczej proste – odpowiedział Tom. – Pewnie próbują najpierw na własną rękę dotrzeć do sprawców.

– Rozumiem ich – rzucił Rich. – Też chętnie poznałbym tych gości. Takie głowy chciałaby zatrudnić w swoim dziale badawczym każda firma.

– Czy możemy mieć na oku ludzi z Santiry, którzy się tym zajmują? – Jessica zwróciła się do Toma.

– W jakim sensie?

– Tak żebyśmy od razu się dowiedzieli, jeżeli coś znajdą. I gdzie.

– Już to robimy. Prezes Helge Jacobsen i Horst Pahlen odpowiadający w firmie za rozwój i badania właśnie przylecieli do Stanów...

– W poszukiwaniu autorów tych nowych organizmów?

– Nie, przyjechali z wizytą do spółek biotechnologicznych, które Santira być może kupi.

– To dobrze. Może ta sprawa nie ma nic wspólnego z naszą. Mimo to obserwujcie tych facetów. I monitorujcie całą firmę. Przy użyciu wszystkich dostępnych środków. – Jessica wstała i oparłszy ręce na biodrach, zwróciła się do Richa: – Zaawansowane organizmy modyfikowane genetycznie rozsiane po całym świecie, twórcy nieznani... Co o tym sądzisz?

Naukowiec oderwał wzrok od papierów.

– Nie jestem matematykiem – powiedział – ale prawdopodobieństwo, że coś takiego dzieje się w tym samym czasie przypadkiem, uważam za znikome lub wręcz zerowe. Na dodatek nie znam nikogo, kto biorąc pod uwagę stopień złożoności, byłby w stanie zrobić coś takiego. Nasuwa się więc wniosek, że te zdarzenia mają jedno jedyne źródło. – Wskazał na wydruki. – Jeśli to, co tu widzę, jest prawdą, wkraczamy definitywnie w nową epokę. A właściwie: jesteśmy w nią wpychani.

Helen miała poczucie, że podchodzą do problemu zbyt pragmatycznie. Jakby szukali przedszkola lub szkoły dla swojego dziecka, a nie genów.

– Ile by to kosztowało? – spytał Greg.

Z nieregularnego dochodu w wysokości przeciętnie pięciu tysięcy dolarów miesięcznie Helen zostawała niecała połowa. Greg zarabiał mniej więcej tyle samo. Dysponowali zatem kwotą znacznie wyższą niż amerykańska średnia. Czynniki, ubezpieczenia i inne bieżące koszty wynosiły około dwóch tysięcy na miesiąc. Reszta przeznaczona była na życie i ubezpieczenie na starość.

Ze studiów Helen wyszła z długami. Dotychczasowe próby sztucznego zapłodnienia kosztowały ich kilka tysięcy dolarów. Wspólnie odłożyli prawie pięćdziesiąt tysięcy na czarną godzinę. Rozważali zainwestowanie ich jako pierwszej raty na kupno mieszkania. Albo domku. Resztę musiały dać im bank. Może trochę dostaliby od rodziców. Nie mogła jednak na to liczyć. Bo pracę dziś się ma, a jutro już nie. Polityka ostatnich kilkudziesięciu lat doprowadziła do zaniku klasy średniej. Pozostawała jedynie nadzieja, że uda im się wspiąć wyżej, a nie stoczyć jak większość.

– Oczywiście nie jest to tania procedura – powiedziała Rebecca. – Nie należy jednak w tym przypadku patrzeć na koszty jako na wydatek, lecz traktować je jako inwestycję w państwa dziecko i jego przyszłość. Ponadto płacą państwo jedynie w przypadku sukcesu, to znaczy, jeśli dziecko urodzi się zdrowe.

– A jak definiują państwo brak sukcesu? – spytał podejrzliwie Greg.

– Dobrze, że pan o to pyta. – Rebecca dobitnie przeciwstawiła się jego nieufności. – Jak w przypadku każdej standardowej ciąży zapłodnione jajeczko może nie zagnieździć się w macicy albo w pierwszych tygodniach dojdzie do poronienia. W sporadycznych sytuacjach, również jak w konwencjonalnych ciążach, mogą wystąpić wady płodu i wówczas możliwa jest aborcja. Ale decyzja zawsze należy do rodziców.

Jakiego dokonaliby wyboru, gdyby zamiast planowanego „nowoczesnego” dziecka miałyby im się urodzić upośledzone? Albo po prostu tylko klasyczne? Czy Helen rzeczywiście tak pomyślała: „tylko”? Rebecca nie zostawiała jednak czasu na refleksję, bo już mówiła dalej:

– Cena obejmuje wszelkie informacje i instrukcje, pakiet konsultacyjny i opiekę medyczną odpowiednio wykwalifikowanych pediatrów aż do osiemnastego roku życia, a także bogate ubezpieczenie zdrowotne. Poza tym

pakiet edukacyjny i bieżącą opiekę dydaktyczną sprawowaną przez osoby, które mają doświadczenie w wychowywaniu takich dzieci i w kontaktach z nimi.

Na monitorze ukazała się kwota.

– Łączny koszt wynosi milion siedemset tysięcy dolarów.

– Wobec tego nasza dalsza rozmowa jest zbędna – oznajmił Greg.

Helen odniosła wrażenie, że w jego głosie słychać było ulgę. Ona sama natomiast czuła częściowo rozczarowanie, wściekłość, a dopiero potem także ulgę.

– ...ale – kontynuowała Rebecca – państwu chcielibyśmy złożyć specjalną ofertę. To jest projekt perspektywiczny. Na razie jesteśmy w fazie wstępnej. I państwo jako jedni z pierwszych otrzymują od nas taką propozycję. Poza tym są też państwo jedną z pierwszych par o dochodzie poniżej miliona rocznie i tym samym klientami strategicznymi, ponieważ państwa przykład dowodzi, że nasza oferta jest przeznaczona nie tylko dla bogaczy.

– Przy takich cenach tylko ich na nią stać – wtrącił gniewnie Greg.

– Proszę o chwilę cierpliwości. Po upublicznieniu projektu można się spodziewać prawdziwego szturmu zainteresowanych, ale również wielu dyskusji. Dzięki pozyskaniu większej liczby klientów będziemy mogli radykalnie obniżyć cenę. Na obecnym etapie oferujemy rodzicom wiele różnych pakietów. Z jednej strony, chodzi przede wszystkim o aspekty medialne i popularyzacyjne, na przykład o to, aby gotowi byli państwo rozmawiać z mediami, ale także o prawa do książek, filmów i inne prawa autorskie warte miliony. W przypadku niektórych pakietów państwa inwestycja zwróci się wam kilkakrotnie, w zależności od tego, który z nich wybierze. Oczywiście wszystko będzie zagwarantowane kontraktem. Poza tym w tej fazie mogą państwo udzielać się także jako mentorzy dla innych rodziców. Oczywiście to zaangażowanie byłoby również wynagradzane. Dodatkową korzyść takiej działalności stanowiłoby to, że wasze dzieci miałyby towarzystwo podobnych sobie rówieśników. Mówiąc krótko, mogliby państwo przy relatywnie niewielkim wysiłku uzyskać niemal pełny zwrot poniesionych kosztów. Zwłaszcza – dodała, wskazując na wydruki przedstawiające dziewczynkę i chłopca – przy bliźniętach. W najlepszym razie mogą to być miliony. Choć oczywiście nie jest to rozstrzygające kryterium.

– Ale rzecz jasna nie chciała go pani przed nami ukrywać, prawda? – zauważył Greg drwiąco.

– Pieniądze nigdy nie były istotnym motywem pańskiego działania – odpowiedziała Rebecca. – Podobnie pana żony. Chyba się nie myłę?

Każdemu z nich wcisnęła do ręki teczkę z plikiem papierów. Helen

przekartkowała je szybko.

– To kontrakt?

– Proszę go przestudiować w spokoju – powiedziała Rebecca.

– Przecież nie możemy podpisać takiej umowy bez prawnika! – zaprotestował Greg.

– Niestety, to nieuniknione. Ze względu na konieczność zachowania tajemnicy. Na razie nie możemy jeszcze ryzykować i dopuścić do tego, by nasz projekt stał się znany szerokiej opinii publicznej.

– Wykluczone – upierał się Greg.

– Tak czy inaczej, nie znalazłby pan prawnika, który byłby zdolny doradzić państwu w sposób wiarygodny – rzekła Rebecca. – Nieznane bowiem są przypadki precedensowe, na których mógłby się oprzeć. Wkraczamy na całkowicie nowe tereny. My wszyscy. Proszę najpierw przeczytać te umowy – zakończyła.

– Przeszukaliśmy nagrania monitoringu z każdego laboratorium, a także wszystkie nagrania z Sondrą Farrukah i Jackiem Wolfsonem z okresu, kiedy Kendra mogła zostać poczęta.

Na wielu monitorach centrum bezpieczeństwa ludzie w przyspieszonym tempie śmigali zabawnie po laboratoriach albo innych częściach kompleksu. Prezentacja odbywała się nie po to, by Stanley mógł w ten sposób coś skontrolować. Była to jedynie zwykła demonstracja, że Sam i jego zespół wykonali zadanie domowe.

– Nie znaleźliśmy nikogo, kto by im pomógł. A im samym brakuje zarówno odpowiedniej wiedzy, jak i uprawnień dostępu. Stoimy przed zagadką. Mamy z nimi porozmawiać?

Gdy Stanley i Sam weszli do salki szpitalnej, Sondra Farrukah spojrzała na nich z wyraźnym niepokojem.

– Czy coś jest nie tak z Kendrą? – spytała zdenerwowana. – Dlaczego nie możemy jeszcze iść do domu?

Jack Wolfson siedział na brzegu posłania i trzymał ją za rękę.

Obaj mężczyźni stanęli w nogach łóżka. Stanley powiódł wzrokiem po młodych rodzicach, po czym zatrzymał spojrzenie na Kendrze. To jeszcze bardziej spotęgowało ich obawy. Co było celem Stanleya. Sondra przygryzła wargę i zaczęła gorączkowo głaskać główkę córki leżącej na jej piersi i mimo wszystko śpiącej spokojnie dalej. Stanley wciąż zwlekał, kiwając w zadumie głową.

– Jak to? – spytał wreszcie obojętnie. – A dlaczego miałoby być z nią coś nie

tak?

Jednocześnie starał się uchwycić reakcję obojga. Sondry. I Jacka. Na ile potrafił ocenić, z jej twarzy było szczere zdumienie, jakby rzeczywiście niczego nie rozumiała. Jack natomiast ściągnął brwi, a na jego czole powstała głęboka bruzda. Wyraźnie pracowała mu szczęka.

– Co z nią miałoby być nie tak? – rzucił z prędkością serii z karabinu.

– To ja was pytam.

– O co tu chodzi? – wtrąciła, niemal płacząc, Sondra.

Jack ścisnął ją za rękę.

– Wszystko jest w porządku, skarbie – pocieszył ją. – Przecież słyszałaś, co mówili lekarze. – Po czym zwrócił się z wściekłością do Stanleya: – O co panu chodzi? No niech pan wreszcie powie! Nie widzi pan, co pan wyprawia?

– Kendra – Stanley wypowiedział jej imię chyba zbyt ostro, ale zaraz się opanował – ma wyjątkowe zdolności. Jak większość dzieci tutaj.

Sondra otworzyła szerzej oczy, a jej dolna szczęka mimo woli nieco opadła, twarz Jacka natomiast była nadal mroczna. Stanley dostrzegł pod jego złowrogo ściągniętymi brwiami nieufnie przyczajone spojrzenie.

– Chce pan powiedzieć... – wykrztusiła Sondra.

Albo rzeczywiście o niczym nie miała pojęcia, albo doskonale grała.

Jack zwrócił się do swojej partnerki i uśmiechnął się do niej.

– To cudownie, skarbie!

Skarb kompletnie oniemiał. Stanley wykluczył Sondrę jako ewentualną wtajemniczoną. Uznał, że jej reakcje są nazbyt prawdziwe. Pozostawał Jack. Który od razu wydał mu się podejrzany.

– To jest pierwsze wyjątkowo utalentowane dziecko pracowników personelu – wyjaśniał dalej Stanley. – Zadajemy więc sobie pytanie...

– Niby dlaczego nasze dziecko nie mogłoby być wybitnie uzdolnione? – przerwał mu Jack, wyraźnie dotknięty.

– W jaki sposób... jak mógł pan stwierdzić to już teraz? – spytała Sondra zdezorientowana. Dobre pytanie.

– No właśnie – powiedział Jack, kierując na obu mężczyzn spojrzenie, które Stanley uznał za wręcz aroganckie. – Jak możecie stwierdzić to już teraz?

– Możemy – odpowiedział lakonicznie. Powoli tracił już cierpliwość. Nie miał pomysłu, jak wyciągnąć coś więcej z Jacka. Sam też mu nie pomagał.

– Moja mała księżniczka – szepnęła Sondra z ulgą i popatrzyła z miłością na córeczkę.

Stanley rozluźnił szczęki. Nie udało się.

– Jeszcze raz gratuluję – wycedził. – Może pani wracać do domu. Życzę wszystkiego najlepszego.

Na korytarzu spytał Sama o jego wrażenia.

– Ona nie ma pojęcia – odpowiedział. – Ale co do niego nie jestem pewny. Zauważył pan małe kropelki potu na jego czole? Nie wiem jednak, jak go złamać.

Czytając raport tamtego policjanta z San Francisco, Liz Growley marszczyła czoło. Zawrócił głowę już dwóm instancjom Suspicious Activity Reporting. Jeszcze raz sprawdziła, skąd on bierze te rewelacje. Pewien przyjaciel mu opowiedział, że jemu z kolei opowiedział znajomy, że... Dlaczego ona ma ślęczeć nad czymś takim! Oferta dzieci produkowanych na miarę. No super! Frankenstein żyje! *Get a life!* Pomyłeńcy. Paranoicy. Bлагierzy. Wyznawcy spiskowych teorii. Fantaści. Dupki zajmujące czas innym. Mendy. Psychole. Niestety, taką miała pracę. Sztuka polegała na tym, żeby umieć oddzielić ziarno od plew. Ktoś musiał podjąć decyzję. Pomagały jej programy komputerowe, narady, komitety. Programy komputerowe mówiły jednoznacznie: „Nie”. Inni mieli potężne wątpliwości, ale nie mieli odwagi podjąć decyzji. Spychali odpowiedzialność, by spoczęła na kimś innym. W tym przypadku na Liz. Nie musiała przekazywać tych idiotyzmów jeszcze jedną instancję dalej. Uchylanie się od obowiązków nie było w jej stylu. Słowa klucze zostaną tak czy inaczej w systemie. Jeśli ktoś będzie tego szukał, informacje są do dyspozycji. Cała reszta to strata czasu.

„Drogi Irwinie – pomyślała – dziękuję za twój meldunek, ale na razie powędruje on do cyfrowego archiwum. Czytaj: przejdzie w stan cyfrowej nirwany, na ile znam się na naszych bankach danych. Do następnego przypadku”.

– Chyba omówiliśmy wszystko? – spytał Greg.

Po spotkaniu z Rebeccą spacerowali po całym kompleksie i rozmawiali. Szli przez łąkę za własnymi cieniami. Było już dawno po obiedzie, ale nie czuli się głodni. Nieco dalej stały budynki działu badawczego. Z którejś strony dobiegały głosy dzieci.

Helen potaknęła.

– Teraz pozostawała nam tylko decyzja. Tak czy nie. A jeśli tak: jedno dziecko czy od razu dwoje?

W jej głowie kłębiły się argumenty z ostatnich dni. I z ostatnich lat. Za i przeciw. Wirujące sprzeczne emocje.

Lęk. Obawy. Może jednak nie zachodzić po raz nie wiadomo który w ciążę. Zamknąć przyszłość przed marzeniem o dziecku. Bała się, że z powodu odmienności nie będzie umiała go kochać. Że nie sprosta zadaniu. Że nie potrafi do końca ocenić uczuć i myśli Grega. Że przez decyzję – jakkolwiek – wbije klin między nich. A co z ich bliskimi, przyjaciółmi? Czy odtrąca ich oboje i dziecko? Może będą zwalczać? Niby zawsze razem z Gregiem pragnęli awansu społecznego, podobnie jak większość ludzi z klasy średniej. Ale czy wolno im było posunąć się aż tak daleko?

Przekora. Jasne. Dlaczego nie? Inni nie mają wątpliwości. Co jednakże nie oznacza, że to jest słuszne. Jeśli oni tego nie zrobią, zrobią to inni (mimo wszystko). A oni zostaną z niczym. To argument handlarzy bronią i innych cwaniaków kombinujących z przestępcami, a w gruncie rzeczy chodzi jedynie o jak największy profit. W ich przypadku chodzi o profit społeczny. Nie, wcale nie. Przecież życie to nie targowisko. Nie tylko.

Odwaga. Na co ona się zamierza? Jak daleko gotowa jest się posunąć? Przeciwstawić się opinii innych? Większości? Nawet Grega?

Wątpliwości. Czy rzeczywiście działa wbrew większości? Ilu rodziców odrzuciłoby taką ofertę, gdyby ją otrzymało? Według niej mniejszość. Gdyby rozważyli argumenty za i przeciw, poszukaliby głęboko w sobie – tak jak ona teraz – swoich uczuć i przyjrzeliby się im dokładnie.

Najprostsza była kwestia bliźniaków. Taka możliwość zawsze istniała przy sztucznym zapłodnieniu. Helen nigdy jej nie wykluczała, a wręcz uważała za pociągającą, chociaż wiedziała, że dwoje dzieci naraz oznacza podwójne obciążenie. Bliźnięta są okej. W razie decyzji na tak wybierze tę opcję.

Może Rebecca ma rację. Oni już dawno się zdecydowali. A raczej coś w ich wnętrzu zdecydowało za nich. Oni musieli tylko temu przyklasnąć. Tkwiący gdzieś głęboko pramózg, który nie myśli, ale instynktownie chce zapewnić przetrwanie. Najlepsze z możliwych przystosowanie do otoczenia. Jak od samego początku życia. Jaki instynktowny wniosek wysnuwa ten pramózg? A jaki będzie logiczny wniosek *homo sapiens*? A może to po prostu pierwotny instynkt przemknął się przez pokłady ewolucji i udaje racjonalną myśl? Czy człowiek nie jest człowiekiem, skoro pokonał swój pramózg, zawładnął nim? No i co teraz? Czy wolno nam? Nie? Powinniśmy?

Pograżona w myślach, przeglądała umowę.

– Wygląda to lepiej, niż można by sądzić – powiedziała.

– To prawda – zgodził się z nią Greg. – Rebecca wszystko dokładnie omówiła.

Oczywiście pozostaje ryzyko.

– Ryzyko istnieje tak czy inaczej. Po jednej stronie ryzyko, po drugiej szanse.

– Zdecydowałaś się już? – spytał.

Helen schyliła się i urwała dwa źdźbła trawy. Jedno podała Gregowi.

– Schowaj je za plecami w którejś dłoni – poprosiła. – Ja zrobię to samo z drugim. Potem równocześnie otworzymy dłonie. Trawka znaczy: „Tak”. Pusta ręka: „Nie”.

Greg schował obie ręce za sobą.

– A jeśli nie pokażemy tego samego? – spytał.

– Poczekaj – powiedziała i za plecami zacisnęła jedną dłoń, ukrywając w niej trawę. Wyciągnęła w stronę Grega prawą rękę. On wysunął lewą. Większą i bardziej kościstą niż jej.

Spojrzenie.

– Trzy... dwa... – odliczała. – Jeden. Teraz.

Greg otworzył dłoń. A w niej: zielone źdźbło.

Obok dłoni Helen. Też z trawą. Zaczęła drżeć.

– Gratuluję!

Rebecca sprawiała wrażenie, jakby cieszyła się bardziej niż oni. Greg oddał jej długopis, którym podpisał umowę.

– Podpisali państwo pakiet medialny – powiedziała Rebecca. Elegancka peryfrazą ładnych paru milionów, które Helen, Greg i ich dzieci mieli zainkasować. – Pierwsze i najważniejsze urządzenie pomocnicze na przyszłe miesiące i lata otrzymają państwo ode mnie już teraz.

Wręczyła każdemu z nich gustowną, obciążoną skórą szkatułkę jak na

drogocenny zegarek. Helen próbowała zgadnąć, co w niej jest, ale po chwili z lekkim zawodem odkryła w środku niewielki przedmiot w kształcie guzika z przymocowaną do niego klamrą.

– Kamerki – oznajmiła radośnie Rebecca. – Proszę przypiąć je sobie do kołnierzyka czy do koszuli i filmować wszystko, co dzieje się w zasięgu państwa wzroku. Państwa życie. I życie waszego dziecka. W pudełkach znajduje się instrukcja obsługi. Jest to prostszy wariant kamery, jaką sportowcy montują sobie na hełmach. W przypadku nagrań dłuższych niż dwie godziny trzeba połączyć ją ze smartfonem, komputerem albo jakimś serwerem. W pudełkach są też dwa minidyski do zgrania materiałów z państwa pobytu tutaj. Proszę zarejestrować swoje emocje w najbliższych godzinach. I jutro, kiedy pójdą państwo na zabieg implantacji. Potem ciążę. Narodziny. I wszystko, co wydarzy się później. Następnie przygotowują państwo dla nas zestaw materiałów według własnego wyboru. W celach komunikacyjnych.

„Gratulacje” – pomyślała Helen. Nie czuła się zbyt komfortowo.

– Dzięki za podwiezienie – powiedziała Jessica do Richa, kiedy zatrzymał swoje auto przed jej domem.

We wszystkich oknach było ciemno. Nagie korony drzew wyciągały ku nocnemu niebu swe pokrzywione gałęzie niczym powykręcane reumatyzmem szpony.

– Nie ma za co.

Z ociąganiem spojrzała na niego.

– Poczekam, aż wejdiesz – powiedział Rich, niewłaściwie odczytując jej wahanie.

– Dzięki – rzuciła, po czym zebrała poły płaszcza.

– Czy chciałaś dodać coś jeszcze? – spytał.

A gdy ona już prawie otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, on rzucił:

– Jakież problemy w domu?

Jessica otworzyła drzwi.

– Mąż i dzieci zbyt rzadko mnie widują – wyznała.

Rich położył dłoń na jej ramieniu i pogłaskał ją ze współczuciem.

– Będzie dobrze – rzekł.

Delikatnie ścisnął ramię, jakby chciał zatrzymać Jessicę, ale po chwili ledwie wyczuwalnie ją popchnął. Wysiadła wreszcie i pochyliwszy się jeszcze raz ku niemu, powiedziała:

– Dziękuję.

Przez resztę popołudnia, a także podczas kolacji Greg czuł się tak, jakby znajdował się zamknięty w przejrzystej bańce. Czasami dołączała do niego Helen, a potem znowu był w niej sam.

Żdźbła trawy rozstrzygnęły. Genialna Helen! W gruncie rzeczy przecież już dawno było wiadomo, czego chcieli. Tylko nie mieli odwagi się do tego przyznać. Gdyby wyciągnęli żdźbło, które podważałoby podświadomą decyzję, wtedy zaczęłyby się dyskusja, przekonywanie samych siebie. Ale nie było to konieczne. Uświadomił to sobie w chwili, gdy ujrzał zielone słomki w dłoniach ich obojga.

I potem złożyli podpisy.

Będą mieli bliźnięta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze. Może nie przy pierwszej próbie, ale pewnie jakoś w ciągu najbliższego roku. Tyle wiedzieli już wcześniej.

Tymczasem teraz...

Spacerując po odgrodzonym terenie ośrodka, czuł się – nadal – jak więzień, lecz zarazem jak członek małego, niezwykle ekskluzywnego grona. Swego rodzaju przyszłej elity. Zastrzeżenia, które miał wcześniej, nie zniknęły całkiem, przytłumiła je jednak euforia, jaka ogarnęła go na myśl o wspaniałej przyszłości jego dzieci. To uczucie zdawała się podzielać także Helen.

Radośni i promienni jak świeżo zakochani, wypróbowywali swoją nową zabawkę, układali plany, snuli marzenia. Jeszcze kilka dni temu nierealne. Ale dla nich – w przeciwieństwie do większości ludzi na świecie – od dziś stały się osiągalne. Gdy spytali inne pary, okazało się, że wszyscy zawarli umowy. Zapewniali się nawzajem, jak bardzo są szczęśliwi, ale mówili też o odpowiedzialności, jaka ciąży na nich teraz wobec ich dzieci oraz wobec społeczeństwa. Bła, bła. Zwłaszcza ta ostatnia część.

Pocieszającym aspektem okazało się też miejsce.

– Jesteśmy w San Diego – odpowiedziała Rebecca na jedno z pierwszych pytań Grega po podpisaniu umowy. – W domu, w Stanach Zjednoczonych.

Co dla niego stanowiło zaskoczenie, a nawet szok. A jednocześnie napełniło go dumą. Czyli tutaj coś takiego jest już możliwe. A więc jednak najpotężniejszy naród na ziemi! Bańka, w której się unosił, poszerzyła się i poszybowała nieco wyżej.

A on szybował w niej jeszcze przez wiele godzin w swoich snach.

Dzień czwarty

Wibrowanie na nadgarstku natychmiast obudziło Jessicę. Specjalnie zostawiła zegarek cyfrowy na ręce i jeszcze go wyciszyła, aby Colin mógł spokojnie spać dalej. Bezszelestnie wyszła z sypialni. Poranną toaletę ograniczyła do minimum – trochę zimnej wody na twarz, dezodorant, perfumy, ułożenie włosów. Przez lata nabrała wprawy w szybkim doprowadzaniu się do porządku. Ubrała się w to, co przygotowała sobie wieczorem, i wymknęła się z łazienki.

Z ciemnego przedpokoju zajrzała jeszcze do pokoiów dzieci, w których pachniało ciepłą pościelą, pluszakami i potpourri. W mroku zdołała dostrzec jedynie ich zarysy.

Czterdzieści pięć minut później siedziała już wśród niewyspanych twarzy w Situation Room. Na stole stały opróżnione do połowy filiżanki kawy i talerzyki pełne okruchów.

Na monitorze widać było zatrzymany ziarnisty obraz z monitoringu. Ulica na przedmieściach, ze szpalerem drzew między jezdnią a chodnikiem. Kamera musiała znajdować się przy wejściu do któregoś z domów lub do sklepu. Na jezdni dwa samochody jadące w przeciwnych kierunkach. Na chodniku mężczyzna. Ubrany dosyć lekko. „Tam przynajmniej nie jest tak zimno jak w Waszyngtonie” – pomyślała Jessica.

– Trochę musieliśmy się naszukać – powiedział człowiek z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. – Ale mamy go.

Zdjęcie zamieniło się w wideo. Oba auta wyjechały z kadru, pojawiły się następne. Przechodzień szedł, ale po chwili też zniknął z zasięgu kamery. Jeden z nadjeżdżających samochodów, pick-up, włączył kierunkowskaz i zatrzymał się przy prawym skraju monitora. Dopiero w tym momencie Jessica zauważyła dwie niebieskie skrzynki na listy poczty amerykańskiej. Z pick-upa wysiadł mężczyzna, który trzymając w ręce kopertę w znormalizowanym formacie, zbliżył się do skrzynki po prawej. Gdy koperta tkwiła już do połowy w wąskiej szczelinie, pracownik departamentu zatrzymał wideo i znacznie ją powiększył.

– Nasi technicy to prawdziwi czarodzieje – powiedział.

Na kopercie widać było część adresu nadawcy.

Boldenack. Louisville.

– Ten facet to nie jest Boldenack – zaprotestowała głośno Jessica.

– Wiem – potwierdził mężczyzna.

Znowu uruchomił wideo. Gdy człowiek wrzucający list wsiadał z powrotem

do samochodu, odwrócił twarz do kamery. Zatrzymanie obrazu. Powiększenie. Był ciemnowłosy i dosyć przystojny, o kanciastej twarzy i mocnej szczęce. Wysportowany. Ale to na pewno nie Boldenack.

– Przepuściliśmy go przez system rozpoznawania twarzy.

Obok ukazała się odbitka prawa jazdy ze zdjęciem paszportowym. Ta sama osoba, tylko trochę młodsza.

– Jack Wolfson. Pracuje i mieszka na zamkniętym osiedlu New Garden w San Diego.

– Ktoś już tam był?

– Najpierw chcieliśmy zawiadomić panią.

– Ale nasi ludzie są przygotowani?

– Tak.

– Niech na razie nic nie robią. Trzeba znaleźć wszystko, co się da, o tym osiedlu. I nie spuszczać go z oka. – Zawahała się przez ułamek sekundy. W ciągu dwóch ostatnich dni dwie akcje okazały się niewypałem. – Lecimy tam, zaraz.

Czy ma zadzwonić do Colina, czy wysłać esemesa? O tej porze jeszcze spał. Zdecydowała się na esemesa.

Andwele stał oparty pod słomianym daszkiem ulicznej garkuchni i zajadał się pieczoną kukurydzą. Jednocześnie przekomarzał się uwodzicielsko z kucharką, krzepką trzydziestokilkulatką o zaraźliwym śmiechu. Od czasu do czasu wiódł wzrokiem po okolicy. Ze swojego miejsca widział co najmniej jedną czwartą błogosławionego terenu. Powietrze drżało w południowym słońcu. Jegor i Gordon rozlokowali się w okolicy, a poza nimi jeszcze sześciu innych pracowników ArabAgric. Wszyscy mieli wypatrywać latających duchów. Jak wynikało z opowieści miejscowych chłopów, widywano je tutaj kilka razy w tygodniu. Andwele czuł się trochę nieswojo. Co prawda Gordon był przekonany, że to musiały być drony, ale co on może wiedzieć o tym kraju? O świecie, w którym wciąż mieszkają niezliczone duchy, maszyny mają dusze, a wrogów daje się pokonać magią.

Motocykl zostawił w cieniu pobliskich zarośli. Gordon uparł się, że ma nie brać samochodu, ponieważ jednoślad zapewni mu większą mobilność. Andwele nie chciał wdychać kurzu, ale Jegor wyjaśnił, że być może będzie musiał zjechać z drogi, żeby ścigać drony. Andwele to rozumiał. O ile okaże się, że to drony. Bo jeśli duchy – to niech sobie latają, gdzie chcą. Roześmiał się z kolejnego żartu kobiety sprzedającej kukurydzę i znowu wbił zęby w kolbę.

Gdzieś nad rozległym bezkresem Środkowego Zachodu Rich, Jaylen z FBI, Tom z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, jeden generał i reszta zespołu specjalnego z Jessicą na czele zebrali się przed monitorem w konferencyjnej części samolotu. Na ekranie migały zdjęcia satelitarne zamkniętego osiedla, w którym mieszkał nadawca listu Jack Wolfson. Gdy tylko zidentyfikowali to miejsce, grupa researcherów natychmiast przystąpiła do pracy. Pierwsze wyniki przesłano im bezpośrednio do samolotu.

– New Garden leży w San Diego – wyjaśnił przedstawiciel FBI. – Na tym zamkniętym i strzeżonym osiedlu mogą przebywać wyłącznie mieszkańcy, osoby uprawnione i zaproszeni goście.

Na terenie ogromnego parku w trzech oddzielnych skupiskach stały liczne budynki. Od centralnego kompleksu na planie koła odchodziły liczne budowle. Jessica rozpoznała wśród nich obiekty sportowe. Na północny wschód od nich między drzewami widoczne były grupki domów. Sądząc po dachach – jedno- lub dwurodzinnych. Wszystko łączyła sieć dróg i ulic. Cały teren zabezpieczały dwa pasy muru zwieńczone drutem kolczastym oraz wykopany między nimi rów z wodą. Na teren osiedla prowadziła tylko jedna duża brama. Na pierwszy rzut oka dosyć typowe osiedle tego rodzaju.

Generał wskazał na lewą, zachodnią część głównego kompleksu.

– Tam znajdują się medyczne i biologiczne placówki badawcze. – Przyłożywszy palec po prawej, na wschodzie, dodał: – A tutaj jest luksusowo wyposażona szkoła dla dzieci mieszkańców. Natomiast tu – przesunął palec na skupiska domów – jest strefa mieszkalna. Całe to osiedle zarządzane jest przez fundację, której właścicielami są różne przedsiębiorstwa i instytucje. A do kogo one należą, nie sposób tego ustalić w chaosie spółek offshore i portfeli udziałów. W przypadku międzynarodowych koncernów, które nie chcą płacić podatków, nie jest to niezwykła konstrukcja, ale dla tworu takiego jak osiedle zamknięte owszem.

– To jakaś sekta?

– Nie. Zidentyfikowaliśmy niektórych mieszkańców czy czasowych użytkowników. Są wśród nich znani naukowcy, głównie biolodzy, biochemicy, genetycy.

– To by pasowało.

Generał położył na stole wydruki, na których znajdowały się zdjęcia

i życiorysy. Jessica przebiegła pospiesznie wzrokiem listę nazwisk.

– Wielu z nich założyło razem lukratywne firmy w swoich branżach. Niektórzy są milionerami, a jeden – generał wskazał na szpakowatego mężczyznę nazywającego się Stanley Winthorpe – nawet miliardерem.

– Stanley – rzucił Rich zaskoczony. – Wow!

– Znasz go? – spytała Jessica.

– Jasne. To znakomitość w naszej dziedzinie. Kilka razy otarliśmy się o siebie na różnych kongresach.

– I?

– Jest jednym z najlepszych – stwierdził Rich z uznaniem.

– Sprawdzamy właśnie powiązania z firmami zarządzającymi tym osiedlem – kontynuował Tom. – Myślę, że na pewno je znajdziemy. Co jeszcze o niczym by nie świadczyło, bo takie koneksje nie są zakazane.

– Co mogłoby skłonić tych ludzi do tego, by przez podobny atak ryzykować swoje kariery i majątek? – zastanawiała się Jessica.

– Właśnie to ustalamy. Nasza sekcja analiz na razie nie znalazła motywów.

Głos zabrał Jaylen:

– Model prowadzonej przez nich komunikacji nie jest może całkowicie standardowy, ale też nie niezwykły dla placówek badawczych. Częściowo stosują szyfrowanie. Jednak nie na tyle skuteczne, by w ciągu ostatnich lat nie uruchomić w naszych programach monitorujących dzwonek alarmowego. Utrzymują kontakt z lokalnymi władzami i z lokalną społecznością, lecz nie intensywny. Przedstawiciele urzędowych instytucji bywają tam niezwykle rzadko. Raz odwiedził ich deputowany z tamtego okręgu i podobno był pod wrażeniem. Zachwycił się fantastycznym wyposażeniem, zaangażowanym personelem, warunkami mieszkaniowymi. Widział sporo dzieci.

– Ale nie spersonalizowaną broń biologiczną – zauważyła Jessica. – Wiemy już coś więcej o tym Jacku Wolfsonie?

– To zwykły pracownik obsługi. Sądząc po tym, czego dowiedzieliśmy się o nim na razie, nie byłby zdolny do stworzenia tego wirusa.

– Ale inni stamtąd jak najbardziej?

Rich przejrzał już w miarę dokładnie życiorysy naukowców, odpowiedział więc:

– Kilku z nich być może. Chociaż jak już słusznie zauważyliśmy: po co by im to było?

– No dobrze – wtrąciła Jessica, zwracając się do generała. – Nie jesteśmy w Iraku ani nigdzie indziej na Bliskim Wschodzie, tylko u nas, w kraju. Teren jest

cywilny i dosyć rozległy i nie wolno nam robić z tego wielkiego przedstawienia ani rozpętywać tam wojny. Nie możemy więc od razu zająć wszystkiego w operacji na wielką skalę.

– Zgadza się – przyznał generał.

– Jak zatem postąpimy?

– Dla zabezpieczenia z zewnątrz postawiłem na razie w stan gotowości trzystu ludzi z lekkim sprzętem. Plus dwa śmigłowce.

– Uch – jęknęła Jessica. – Trudno to nazwać dyskretną operacją. Ale być może inaczej się nie da. Potrzebujemy jakiegoś przekazu dla mediów.

– Odkrycie i zabezpieczenie potencjalnie niebezpiecznych odpadów chemicznych na starym nielegalnym wysypisku – zaproponował generał.

Nielegalne odpady chemiczne. Czemu nie? Media mogą to kupić. W razie czego zawsze można powiedzieć, że się pomyłono. Nie ma odpadów. Nie ma niebezpieczeństwa. Brak zagrożenia dla sąsiadujących terenów mieszkalnych. Ludzie wrócą do pracy i wszystko będzie toczyć się jak zwykle. A oni dopadną swojego bioterrorystę.

– Jak widzi pan nasze wejście na ich teren? – próbowała ustalić Jessica.

– Na pewno musi być zdecydowane i energiczne. Pani, Tom i Jaylen z kilkoma funkcjonariuszami FBI pójdziecie jako pierwsi.

– Ja też – wtrącił Rich. Jego spojrzenie zdradzało niepokorną ciekawość, ale także nonszalancką pewność siebie. – Przyda wam się na miejscu ktoś z fachową wiedzą.

Jessica skinęła głową z aprobatą, w związku z czym generał również nie miał zastrzeżeń.

– Ochroniać was będzie ponad trzydziestu antyterrorystów, którzy początkowo pozostaną dyskretnie w samochodach.

Teraz z kolei Jessica przedstawiła swój plan:

– Będziemy chcieli porozmawiać z Jackiem Wolfsonem, poza tym z człowiekiem odpowiadającym za bezpieczeństwo kompleksu i z jego menedżerem.

– Wolfsona proszę przepytąć bezzwłocznie, dwaj pozostali muszą zaprowadzić ludzi ze SWAT-u do laboratoriów i do naukowców. Po tym wstępnym zabezpieczeniu będziemy stopniowo przejmować cały teren.

– W porządku – zgodziła się Jessica, uznając, że nie zaszkodzi trochę schlebić generałowi, ponieważ nigdy nie wiadomo, do czego jeszcze może się jej przydać.

– Tak zrobimy.

Andwele zerwał się na równe nogi. Chmara dzieciaków szarpała go za ramiona, przekrzykując się jedno przez drugie i nerwowo pokazując do tyłu. Słońce stało już dosyć nisko i rzucało długie cienie. Wcześniej Andwele obiecał maluchom z okolicznych domów parę szylingów, jeśli natychmiast mu powiedzą, jak tylko zobaczą duchy. Dzięki temu nie musiał przez cały czas stać i wybałuszać oczu.

Otrzepał spodnie i obejrzał się za siebie.

Rzeczywiście. Daleko nad polami, w kierunku gór, widać było mały punkt. Andwele wyjął komórkę i zadzwonił do pozostałych. Telekonferencja.

– Jest! Na razie jeden! – krzyknął do aparatu. – Na północny zachód od mojej pozycji.

Nie rozłączając się, wetknął telefon do kieszeni spodni i popędził do motocykla, ścigany przez zgraję dzieciaków, które targały go za koszulę i spodnie, domagając się obiecanej zapłaty. Andwele wyłowił kilka zmiętych banknotów z kieszeni i rzucił im na oślep, a potem włączył silnik.

– Ja też go widzę – usłyszał w mikroskopijnej słuchawce wciśniętej do ucha. – Już jadę.

Wciąż jeszcze tarosowało go kilka par rąk, przyspieszył więc ostrożnie w nadziei, że wreszcie go puszczą, i po paru metrach rzeczywiście pozbył się wszystkich. Wtedy porządnie dodał gazu. Przednie koło aż oderwało się od ziemi i Andwele ruszył w pościg w stronę gór wąską ścieżką między polami.

Mały punkt kierował się na lewo. Dróżka nie miała nawet metra szerokości. Pola przeszły w zarośla, gałęzie bezlitośnie chłostały go po ramionach. Przez ryk motoru nie słyszał, czy ktoś mówi coś do niego w słuchawce. Miał wrażenie, że punkt staje się coraz większy, a droga przed nim ciemniejsza. Niedługo słońce schowa się za górami. Znowu wjechał między pola, ale tutaj dróżka odbijała lekkim łukiem w przeciwną stronę do kierunku lotu drona. Dojechał więc do skraju poletka po lewej stronie i zatrzymał się. Dalej rozciągała się wyschnięta łąka z pojedynczymi zaroślami i drzewami. Andwele wprowadził motor w piaszczyste bruzdy i ruszył. Maszyna zaczęła skakać ponad nimi jak narowisty koń i dopiero po chwili udało mu się nad nią zapanować. Tuż za nim wzbijała się ogromna chmura kurzu, przekreślił więc manetkę gazu aż do oporu i wyskoczył w świeże powietrze jak z katapulty. Gdy wjechał na łąkę, dron wydawał się zdecydowanie większy i leciał niżej. Andwele pędził prosto na niego. Postanowił nieco zwolnić, bo w wysokiej suchej trawie nie dawało się dojrzeć podłoża,

a wszędzie mogły czyhać dziury lub – co jeszcze gorsze – czaić się jakieś zwierzęta. Przy zwolnionych obrotach silnika znowu usłyszał głos w słuchawce:

– ...kieruj się na wschód!

– Widzę go przed sobą, jakieś trzysta metrów! – krzyknął. – Trzydzieści metrów nad ziemią. Chyba się zniża.

Już mógł rozpoznać zarysy. Masywny korpus. Z odległości trudno było oszacować wymiary. Metr średnicy, może mniej. Słońce znajdowało się dokładnie nad grzbietem gór. W jego blasku to coś w powietrzu lśniło na pomarańczowo. Andwele jeszcze bardziej przyhamował i jechał śladem tego latającego ustrojstwa, które rzeczywiście powoli opadało. Niczym wielki ptak przed lądowaniem szybowało tuż nad koronami drzew. Rysunek Najumy nie był wcale taki zły. Z tej odległości to coś faktycznie wyglądało identycznie jak bazgroły chłopki.

– Siada – powiedział Andwele do mikrofonu. – Spróbuję dyskretnie się zbliżyć.

O ile dyskretnie zbliżenie się motocyklem w tej otwartej przestrzeni było w ogóle możliwe. Zarośla stawały się nieco gęstsze, niektóre kłudy. W marszowym tempie Andwele szukał najlepszej drogi, miejscami musiał jechać zakolami, aby móc w ogóle się przedrzeć. Drona widział już tylko w prześwitach między drzewami. Kierunek był właściwy. Po kilku minutach gąszcz trochę się przerzedził. W odległości około dwustu metrów zauważył miniaturową trąbę powietrzną. Dopiero po chwili zorientował się, że ten co najmniej dwumetrowy słup kurzu musiał wywołać lądujący dron. Nieco dalej dostrzegł zarysy dwóch mężczyzn przy zdezelowanej toyocie pick-upie.

– Mam go – zameldował znowu.

Zatrzymał się za rozłożystym krzakiem, wyłączył silnik i z kieszeni na udzie spodni wyciągnął miniaturowy aparat fotograficzny.

Andwele jechał śladem pick-upa ponad godzinę. Dostyc szybko znaleźli się na normalnej publicznej drodze, na której ruch nie był co prawda wielki, ale wystarczająco duży, by móc ukryć się między innymi pojazdami. W końcu zrobiło się ciemno. Aby nie rzucać się w oczy, specjalnie został odpowiednio daleko z tyłu. W którymś momencie dołączyli do niego dwaj koledzy i na zmianę z nim kontynuowali pościg. Toyota z dronem na pace jechała ostrożnie. Ćmy i inne insekty trzepotały w świetle reflektorów motocykla, od czasu do czasu żółty blask odbijał się w parach niewielkich oczu ukrytych wśród przydrożnych zarośli. Minęli po drodze kilka osad, w których jedynym źródłem światła były ogniska

albo tu i ówdzie żarówki w domach lub przed nimi. Po jakimś czasie nad horyzontem zaczęła rysować się słaba łuna. Andwele znał te strony. Znowu przejął prowadzenie, a jego dwaj towarzysze jechali za nim z wyłączonymi reflektorami. Na skraju drogi pojawiły się połączone zwisającymi kablami krzywe drewniane słupy z porzewiałymi latarniami, z których nie wszystkie działały. Toyota raz po raz ukazywała się w ich słabym blasku. Tu i ówdzie stały nędzne chaty. W końcu pick-up wjechał do zdecydowanie jaśniejszego centrum miejscowości. Tu ruch był większy, ludzie szli brzegiem drogi po obu stronach. Na jednym ze skrzyżowań samochód skręcił w prawo, a na następnym w lewo. Obok jasnoniebieskiego budynku wjechał w bramę i zniknął na podwórzu za domem. Nad wejściem Andwele przeczytał kolorowy, odręcznie namalowany szyld z napisem: *Drones for Food. The sky is the only limit.*

Helen nie spała wiele. Najpierw w ogóle nie mogła zasnąć, a potem męczyły ją sny. Nieprawdopodobne sny o dzieciach, które wyczyniały najprzeróżniejsze rzeczy, jakich nikt nigdy by się po nich nie spodziewał. Za każdym razem zrywała się z łona. I kompletnie wybudzona. Greg pochrapywał cicho obok, ale kilka razy poznała po oddechu, że on też nie śpi. Nie miała ochoty już z nim dyskutować. Dość się nagadali. Oczywiście zaczęły nadchodzić ją wątpliwości. Przeróżne myśli kłębiły się w jej głowie, dając pożywkę niepokojącym snom. Potem przewracała się bez końca, aż wreszcie w pewnym momencie znowu zasypiała. Lecz dopiero nad ranem zapadła w głębszy sen, z którego też wyrwało ją jakieś koszmarnie przywidzenie. Dzięki szczelnym i grubym zasłonom w pokoju było zupełnie ciemno. Helen spojrzała na elektroniczny zegarek: 7:32. Postanowiła, że już nie będzie próbowała zasnąć. To dzisiaj jest ten dzień. Albo nie. Spojrzała na jasne cyfry.

7:33.

7:34.

Wstała, podeszła do drzwi na taras, nieco odchyliła zasłonę. Liście na drzewach migotały w miękkim świetle porannego słońca. Nowy dzień. Mnóstwo zieleni. Światło i cień. Życie.

Stała tak, oplótłszy ramionami tułów. Promienie słońca igrały z liśćmi.

Winthorpe zobaczył na monitorach obraz z kamer monitoringu umieszczonych przy barierkach ogrodzających główny wjazd. Na zewnątrz czekały trzy ciemne SUV-y.

– To FBI – powiedział do niego Sam Pishta. – Chcą rozmawiać z Jackiem Wolfsonem.

– Z ojcem tej małej Kendry z supergenomem? – skojarzył natychmiast Stanley. To nie może być przypadek.

Sam potwierdził skinieniem głowy.

– Trzy potężne auta dla jednego faceta? Powiedzieli, o co chodzi?

Tym razem Sam zaprzeczył ruchem głowy.

– Oprócz tego chcą też spotkać się z osobą odpowiadającą za bezpieczeństwo i menedżerem całego obiektu... – dodał, a Winthorpe poczuł, jak fala gorąca oblewa go po opuszki palców i nasadę włosów – czyli ze mną i...

– Ze mną – dokończył Stanley, usiłując odzyskać kontrolę nad własnym ciałem.

– Ciekawe, o co im chodzi. Czy musimy ich wpuszczać, jeśli nie mają nakazu

rewizji?

– Nie musimy. Ale przypuszczam, że mają – odrzekł Sam. – Tylko na razie nam go nie pokazali. Najpierw próbują grzecznie.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dlatego.

Przełączył transmisję na obraz z kamer umieszczonych po zewnętrznej stronie kompleksu. Winthorpe aż nachylił się do ekranów.

– *Shit* – wyrwało mu się. Pierwszy raz od kilkadziesiąt lat.

Na ulicy dojazdowej, prawie niezastłoniętej przez drzewa i budynki, stały pojazdy wojskowe. Na dwóch monitorach widać było śmigłowce krążące nad okolicą odpowiednio daleko, by nie dało się ich słyszeć. Byli otoczeni. Przez armię!

– Myślisz, że chodzi o dzieci?

– Nie wiem. Dlaczego chcą rozmawiać akurat z Jackiem Wolfsonem?

– Żeby nas zmylić?

– Może. A może nie.

– Powinniśmy zawiadomić prawników?

– Zaczekajmy, dopóki nie dowiemy się, czego oni chcą.

Stanley patrzył w skupieniu na monitory ukazujące siły wojskowe.

– *Shit* – wymamrotał jeszcze raz. – Znajdźcie tego Wolfsona i przyprowadźcie go do recepcji.

Sam skinął głową, po czym wydał polecenie, by otworzono bramę.

Jessica wszystko rozumiała – osiedle zamknięte i strzeżone, okej, ale takie zabezpieczenia, jakie w nim zobaczyła, wydały jej się przesadne. Ciężkie metalowe wrota odsunęły się na bok, a gdy wjechali, natychmiast się zasunęły. Głos z głośnika poinformował kierowcę, aby podjechał do pierwszych budynków.

Przed nimi ukazał się parkowy krajobraz, znany im ze zdjęć satelitarnych. W niewielkiej odległości Jessica dostrzegła grupkę dzieci i dorosłych zachowujących się całkiem normalnie. Dwieście metrów dzielące ich od kompleksu płaskich budynków pokonali z dużą szybkością.

Na eleganckim patio wyłożonym białym kamieniem w cieniu ogromnych drzew czekali na nich dwaj mężczyźni. Jessica, mając w pamięci materiały z niedawnego briefingu, natychmiast rozpoznała szefa bezpieczeństwa Sama Pishtë oraz doktora Stanleya Winthorpe'a.

Chodzące maszyny bojowe w osobach funkcjonariuszy SWAT-u na razie pozostały ukryte w samochodach. Na spotkanie udali się tylko Jessica, Rich, Tom,

Jaylen i kilku ludzi z FBI.

Winthorpe wyszedł im naprzeciw z wyciągniętą dłonią, za nim z większą rezerwą kroczył szef bezpieczeństwa Sam Pishta.

– Dzień dobry, Richard! Co za zaszczyt! Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

– Witaj, Stanley – odpowiedział mu Rich, przykładając palce do skroni. Dwaj konkurenci. Winthorpe nie mógł mieć już wątpliwości, że jego goście mają kompetentne wsparcie.

Podczas gdy Jessica przedstawiła siebie i resztę swojego towarzystwa, ludzie z FBI ustawili się wokół grupy w półokręgu.

– Chcielibyśmy porozmawiać z Jackiem Wolfsonem.

– Właśnie posłaliśmy po niego – oznajmił Winthorpe. – Czy wolno spytać, o co chodzi?

– Przykro mi – odparła Jessica grzecznie, ale stanowczo, po czym pokazała mu nakaz rewizji. – Możemy to załatwić bez wzbudzania sensacji. Albo inaczej.

Winthorpe, prawie nie poświęcając uwagi papierom, spojrział na nią.

– Oczywiście preferowalibyśmy tę pierwszą opcję – powiedział uprzejmie.

Z budynku za nimi wyłonili się dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Jack Wolfson. Drugi podprowadził go tylko do zebranych.

– Oto i on! – Winthorpe starał się zachować beztroski ton. – Jack, ci państwo chcą z tobą porozmawiać.

Wolfson okazał się postawnym, wysportowanym facetem o mocnej szczęce. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie bardzo atrakcyjnego, ale gdy Jessica dostrzegła jego zaniedbane paznokcie, natychmiast zmieniła zdanie. Jack powiódł nieufnym spojrzeniem po przybyłych. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, dwaj funkcjonariusze FBI zręcznie wykręcili mu ręce na plecy i założyli kajdanki.

– Co to...? – zaczął Winthorpe, nie kryjąc zaskoczenia.

Dyskretnym gestem Jessica dała znak ludziom ze SWAT-u czekającym w samochodach, że mogą przystąpić do akcji.

Z SUV-ów wyskoczyli na patio ciężko uzbrojeni członkowie jednostek specjalnych, znani Stanleyowi jedynie z wiadomości telewizyjnych albo z filmów. Hełmy, okulary ochronne, kuloodporne kamizelki, ciężkie buty, pełny rynsztunek. Biegło ich co najmniej dziesięciu, a głuchy tupot ich stóp przyprawił go o palpitacje serca. Kiedy otoczyli jego, Sama i Wolfsona, z trudem zachował spokój. Nienawidził siebie za ten strach.

Jessica Roberts wskazała na Sama.

– Proszę zaprowadzić ośmiu z tych funkcjonariuszy do centrum bezpieczeństwa

i umożliwić im dostęp. Poza tym proszę stosować się do poleceń pułkownika Lawsome'a. – Jeden z mężczyzn zrobił krok do przodu.

Stanley jeszcze do niczego się nie przyznał. Każdy mięsień w jego ciele był maksymalnie napięty, aby pohamować drżenie. Przez ułamek sekundy przemknęła mu przez głowę myśl, czy wszystkiego się nie wyprzeć. Ich dotychczasowe plany właśnie zderzyły się z rzeczywistością. Ale przecież mają plan i na taki scenariusz. Przybliżony. Komunikacja kryzysowa na wypadek przedwczesnego wykrycia.

Sam musiał chyba pomyśleć o tym samym, ponieważ szepnął do niego:

– Musimy ograniczyć straty. Dlatego...

– Cisza! – Jessica wrzasnęła tak głośno, że obaj aż podskoczyli. Żaden z nich nie przypuszczał, że w tej kobiecie może kryć się taki głos. – A pan, panie Winthorpe, zaprowadzi pozostałe grupy do laboratoriów badawczych i do naukowców pracujących w ośrodku – rozkazała surowym tonem. – Sugerowałabym współpracę z nami i proszę nie próbować kogokolwiek ostrzegać.

Chyba jeszcze nigdy Winthorpe nie czuł się tak bezradny i upokorzony.

– Cześć, Helen! Cześć, Greg! – Mike przywitał ich na śniadaniu jak zwykle z ożywieniem. On też miał przy kołnierzyku kamerkę.

Helen poczuła się nieswojo na myśl o tym, że zostanie uwieczniona na jego dokumentalnym wideo. Ale przecież i on znajdzie się na ich nagraniach. Niemal wszyscy goście, którzy z nimi przylecieli, siedzieli już przy stolikach albo właśnie się schodzili. Większość z kamerkami przy kołnierzykach koszul lub bluzek albo przy wycięciach T-shirtów. „Dobrze, że tym razem stoliki są tylko dla dwóch osób” – pomyślała Helen, ciesząc się, że nie będą musieli z nikim rozmawiać. Chyba że ktoś zagadnie ich przy bufecie, czego ostatecznie też da się uniknąć.

Zresztą, jak stwierdziła w duchu, chyba i tak niepotrzebnie zeszła na śniadanie. Nie była bowiem w stanie przełknąć ani kęsa. Zdobyła się jedynie na wypicie kilku łyków soku pomarańczowego, co nie uszło uwadze Grega.

– Jeszcze możemy wszystko odwołać – powiedział do niej cicho. – Ty możesz odwołać – podkreślił.

Helen zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie.

– Nie musimy tego robić tylko dlatego, że wszyscy tutaj się na to zdecydowali – dodał. – Poza tymi murami taka opcja w ogóle nie istnieje. Mając klasyczne, jak oni tu mówią, dziecko, i tak wciąż należelibyśmy do zdecydowanej większości.

– Przestań! – syknęła do niego z wściekłością. – Myślałam, że już postanowiliśmy!

– Po-postanowiliśmy – potwierdził Greg, lekko osłupiały. – Sądziłem tylko, że jeśli ty...

Przez chwilę Helen miała ochotę zasłonić kamerę. Tej dyskusji nikt nie musiał potem widzieć. Ale z drugiej strony, dlaczego nie?

– Jak nie chcesz, to powiedz wprost! – starała się jak najbardziej zniżyć głos. – Ale nie próbuj zrzucić decyzji na mnie!

– Przecież wcale tego nie robię.

– Robisz!

Greg spojrział na nią z poczuciem winy, a potem spuścił wzrok na niemal nietknięty talerz ze śniadaniem.

– Przepraszam cię – bąknął. – Masz rację. – Zerknął na nią znowu i nieśmiało się uśmiechnął. – Zdecydowaliśmy się razem. Na tak.

Wprowadzili Jacka Wolfsona do jednego z wozów operacyjnych SWAT-u o przyciemnionych szybach i zamknęli drzwi. Z rękami skutymi na plecach przysiadł na podłużnej ławce pod ścianą, mając po lewej i po prawej funkcjonariuszy FBI, a naprzeciwko Jessicę, Richa i Jaylena. Dwie mocne żarówki pod sufitem oblewały go białym światłem, pozostawiając resztę w półmroku. Na kolanach Jessiki leżał laptop.

Postanowiła, że z wyborem taktyki przesłuchania poczeka do chwili, aż go zobaczy. Ma być wobec niego łagodna? Bezpośrednia? Przebiegła? Brutalna?

Być może się myliła, ale ten człowiek nie wydawał się niebezpieczny. Raczej ograniczony i nieszkodliwy. Czyli na początek wersja łagodna.

Zaczęła od pokazania mu nagrania z kamery, która zarejestrowała moment, gdy Wolfson wrzuca do skrzynki list.

– Czy to pan? – spytała.

– T-t-tak – odpowiedział.

– Co jest w kopercie?

Mężczyzna potoczył wzrokiem po całej trójce siedzącej naprzeciw niego.

– Nie... wiem.

Jessica знаła ten rodzaj niepewności. On nie tylko bał się policjantów, ale i coś ukrywał.

– Jeśli pan tego nie wie, to kto może wiedzieć? – Wolfson milczał. Jessica uniosła brwi i postanowiła wyrazić się jaśniej. – Ta przesyłka odegrała bardzo dużą rolę w pewnym zabójstwie. Zabójstwie ważnej osoby. I to pan ją nadał. Czy zdaje pan sobie sprawę, że czeka pana krzesło elektryczne, jeśli nie zdoła pan tego wyjaśnić?

Wolfson zrobił się chyba jeszcze bielszy niż światło oblewające jego twarz.

Potem z ociąganiem zaczął opowiadać.

Rebecca prowadziła bezszelestnie elektryczny pojazd przez trawnik, obok niej siedziała Helen, a z tyłu Greg. Helen widziała wszystko wokół jak przez szybę. Może był to podświadomy mechanizm obronny. Przed nimi leżał kompleks kliniki. Dwieście metrów na lewo za nimi zaczynała się strefa mieszkalna, a na jej granicy znajdowały się obiekty sportowe. Równoległe do nich jechał taki sam pojazd z dwojgiem pasażerów. Za drzewami, pół kilometra na prawo, kryło się główne wejście i patio z recepcją. Na łące na wprost Helen dostrzegła kilkoro bawiących się dzieci. I jeszcze jeden elektryczny samochód. Na drodze pojawiało się coraz więcej klientów. Wyłaniali się ze wszystkich stron.

– ...kilka minut i wszystko będzie załatwione – powiedziała Rebecca. – Parę

godzin odpoczynku, a później odwieziemy was do domu.

Nad dziećmi latał helikopter. Unosił się tak wysoko, że prawie nie było go słychać. Jak mały owad zmierzał szerokim łukiem w kierunku, z którego jechali. Helen, pogrążona w myślach, śledziła go wzrokiem, aż wreszcie straciła go z oczu, bo nie chciała skrócić sobie szyi.

Pora wrócić do rzeczywistości. Zbliżali się do niskiego kompleksu budynków, w którego szklanych ścianach odbijało się słońce. Inne pojazdy też już nadjeżdżały. Jak pszczoły zlatujące się do ula.

Sam Pishta wiedział, że stawianie oporu wojsku jest bezcelowe. Przez wiele lat służył w podobnej jednostce i teraz nie bez uznania obserwował, jak ci mężczyźni, wyglądający przez swój potężny rynsztunek na ociężałych, błyskawicznie pojmują skomplikowane procedury objaśniane przez jego czterech pracowników w centrum bezpieczeństwa. Niewykluczone, że wśród tej ósemki kilku miało tytuł doktorski. W ciągu dziesięciu minut opanowali wszystkie funkcje i przejęli je z wielkim profesjonalizmem. Na monitorach widać było Stanleya Winthorpe'a, który prowadził inny zespół do głównego laboratorium, podczas gdy pozostałe grupy zmierzały do kolejnych.

– Mnie też pan nie zdradzi, czego szukacie? – usiłował podpytać pułkownika Lawsome'a dowodzącego jednostką.

Pułkownik zmierzył go pełnym politowania wzrokiem, ale już w następnej sekundzie w skupieniu skierował spojrzenie prosto przed siebie, w pustkę. Sam domyślił się, że dostał jakąś wiadomość przez zestaw słuchawkowy wmontowany w hełm. Lawsome skinął głową, po czym wydał rozkaz przez mikrofon:

– Zaprowadzić doktora Winthorpe'a do centrum bezpieczeństwa!

Jessica zostawiła Wolfsona w samochodzie. Razem z Tomem, Jaylenem i Richem szła szybkim krokiem przez korytarz, a potem schodami na piętro do centrum bezpieczeństwa. Tam czekali już Sam Pishta i Stanley Winthorpe w otoczeniu kilku funkcjonariuszy SWAT-u, podczas gdy pozostali wraz z pracownikami lokalnej ochrony kontrolowali monitory.

– Panie Winthorpe, panie Pishta, proszę na korytarz! – zakomenderowała Jessica. Obaj mimo osłupienia wykonali rozkaz.

Następnie dała pułkownikowi Lawsome'owi znak, że wszystko jest w porządku, i zamknęła drzwi do pomieszczenia.

Na zewnątrz pozostali ona, Rich, Tom, Jaylen i tamci dwaj.

– Albo Jack Wolfson jest wariatem, albo to ja zwariowałam – zaczęła,

zwracając się do Winthorpe'a. – Bądź to pan jest niespełna rozumu. Właśnie przed chwilą Wolfson próbował nam wcisnąć kompletnie absurdalną historię – mówiła, zatoczywszy ręką łuk obejmujący cały kompleks. – O genetycznie modyfikowanych cudownych dzieciach. Dziesiątkach dzieci. Niemal setce.

Stanley Winthorpe uśmiechnął się. Nienaturalnie, jak zauważyła od razu Jessica. Nie pozwoliła mu dojść do głosu.

– Wolfson twierdzi, że najstarsze mają po dziesięć lat. Dowiedział się tego od jednego z nich, od Eugene'a. – Uśmiech Winthorpe'a natychmiast zgasł, a jego twarz pobraźniała. – Ten chłopiec obiecał, że Wolfson i jego przyjaciółka też będą mogli mieć takie dziecko, jeśli tylko on zrobi dla niego kilka rzeczy albo mu przy nich pomoże.

Winthorpe i Pishta wymienili spojrzenia. A więc jednak zostali zdemaskowani. Lecz w tym momencie obaj uzmysłowili sobie coś jeszcze. Stanley poruszył ustami jak ryba, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie wykrztusił ani słowa.

– Czy on się z nas nabija, czy nie? – Jessica spytała Richa.

– Stanley? – Richard zwrócił się do swojego dawnego rywala.

Ale Winthorpe nadal nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Nagle świat wokół Jessiki się rozszerzył. Po nieskończoność. Przestała oddychać. Bo oto sytuacja uległa fundamentalnej zmianie. Do tej pory liczyli się z terrorystami. Genialnymi użytkownikami najświeższej zaawansowanej technologii. Ale jeśli tylko prawidłowo oceniła reakcję Winthorpe'a, to wszystko miało inny wymiar. Kompletnie inny. Wręcz trudny do pojęcia. To dosłownie przerastało wszelkie wyobrażenia. Okazało się bowiem, że stoją u progu czegoś całkiem nowego. Gigantycznego. Monstrualnego. W jej wnętrzu wzbierało coś równie złowieszczonego jak czarne, zbite chmury burzowe.

Po chwili zdała sobie sprawę, że ogarnia ją panika.

– To byłaby najoryginalniejsza od dawien dawna próba odwrócenia uwagi – skomentował Rich typowym dla niego drwiącym tonem.

Jessica odzyskała grunt pod nogami. On miał rację. Do tej pory znali jedynie opowieści jakiegoś podrzędnego pracownika obsługi – niepokojące, to prawda – i reakcję na nie uznanego naukowca. Nic więcej. I nadal szukali twórcy zaawansowanej broni biologicznej.

Zirytowało ją jednak użyte przez Richa określenie „byłaby” zamiast „to jest najoryginalniejsza próba odwrócenia uwagi”. Jakby rzeczywiście istniała taka możliwość.

Nie miała wyboru. Wyjęła telefon komórkowy i nacisnęła odpowiedni klawisz w trybie skróconego wybierania.

– Wzmocnić posterunki na zewnątrz obiektu – rozkazała. – Zablokować ulice. Poza sąsiadami nie dopuszczać nikogo do obiektu bliżej niż na dwieście metrów. Dopóki nie wydam innych poleceń, nikt nie może wchodzić na teren osiedla ani go opuszczać. Pilnie potrzebne posiłki wewnątrz obiektu. Dwustu ludzi. Plus zespół CDC. Na dziedziniec. Jednostki obecne już na terenie natychmiast do mnie. Czy historyjka o wysypisku już została sprzedana?

Generał po drugiej stronie zaprzeczył.

– To dobrze. Zapomnijmy o niej. Z terenu sąsiadującego z nielegalnym wysypiskiem musielibyśmy natychmiast wszystkich ewakuować. A w obecnych okolicznościach jest to niemożliwe. Wręcz przeciwnie. Na razie wszyscy muszą tu zostać. Dlatego zmieniamy przekaz. Jeden z mieszkańców osiedla jest zarażony groźnym wirusem. Obiekt aż do wyjaśnienia sytuacji zostaje objęty kwarantanną. Mieszkańcom okolicznych osiedli nic nie zagraża, mogą normalnie funkcjonować.

– ...bo dla ich *american way of life* dzieci na zamówienie nie są zagrożeniem – skomentował sarkastycznie Rich.

„*Game over*” – pomyślał Stanley z rezygnacją. Niejeden raz ćwiczyli podobne scenariusze, ale nikt z nich się nie spodziewał, że wydarzy się coś takiego. Życie. Nie da się go całkowicie zaplanować. Teraz chodzi tylko o to, aby ograniczyć straty.

– Muszą państwo wiedzieć jedno – zwrócił się przytłumionym głosem do przedstawicieli władz. – Nie wszyscy tutaj są wtajemniczeni. Jedynie naukowcy. Prosiłbym zatem o uwzględnienie tego przy komunikacji i o odpowiednie pokierowanie akcją.

Jessica Roberts skinęła głową.

– Nasi ludzie na razie też o niczym się nie dowiedzą. To wykluczone. Tak więc w zetknięciu jednych z drugimi nie widzę problemu. Proszę natomiast dopilnować, aby pańscy wtajemniczeni nie rozmawiali z nikim nieuprawnionym. W pana własnym interesie. A pan może już wracać – powiedziała do Pishty, otwierając drzwi do centrum bezpieczeństwa. Gdy z powrotem je za nim zamknęła, Stanley został sam z całą grupą. Nie czuł się komfortowo. – Jednostki SWAT-u znajdują laboratoria i naukowców również bez pana pomocy – powiedziała Jessica. – A my wrócimy teraz razem do Wolfsona.

Ruszyli.

– Czy mogę się wreszcie dowiedzieć, co was tu sprowadziło? – spytał Winthorpe, starając się panować nad sobą, gdy w asyście innych szli korytarzem. Nie ulegało wątpliwości, że ci niespodziewani goście pojawili się z zupełnie innego powodu. Czego chcieli od Wolfsona?

Jessica Roberts zatrzymała się na moment i zmierzyła go uważnie wzrokiem. Najwyraźniej zastanawiała się, czy może powiedzieć mu prawdę.

– Spersonalizowany zabójczy wirus, odkryty przez ekspertów u ofiary zabójstwa – odpowiedziała. – Został wysłany przez Jacka Wolfsona. Który tutaj pracuje.

Doktor tylko się uśmiechnął, jakby uznał, że kobieta go nabiera. Nie powiedziała już nic więcej. Po chwili chyba jednak dotarło do niego, że mówiła jak najbardziej poważnie.

– To niedorzeczne – skomentował. – My tu czegoś takiego nie robimy. Nie wiedzielibyśmy nawet, jak się do tego zabrać. O ile to w ogóle jest już możliwe.

– Jest – wtrącił Rich. – Możesz mi wierzyć.

Jessica przyjrzała się Winthorpe'owi bardzo uważnie. Wydarzenia ostatnich minut skruszyły maskę tego zazwyczaj chyba niezwykle opanowanego człowieka. Mimo to nie potrafiła do końca ocenić, czy jest szczerzy. Może gdy sprawa nabierze większego tempa, coś się wyklaruje.

Szli dalej.

– Jack Wolfson to jeden z naszych pracowników obsługi – wyjaśnił Winthorpe na schodach prowadzących na parter. – Nie umiałby nawet przeliterować określenia „manipulacja genetyczna”.

– Co oczywiście kieruje podejrzenie na tych, którzy to potrafią – odparła Jessica.

Winthorpe przystanął znowu, nagle pobladły jak ściana.

– Chyba nie sądzi pani...?

– Na pewno nie był to Wolfson. On chciał tylko pomóc chłopcu o imieniu Eugene – odpowiedziała, po czym ruszyła szybkim krokiem.

– Eugene ma dopiero dziesięć lat – wyjaśnił naukowiec. – Mimo że intelektualnie dorównuje klasycznemu cudownemu dwudziestolatkowi.

Dotarli do wyjścia na patio, na którym nadal stały trzy ciemne samochody.

– Czyli jest wystarczająco sprytny, żeby coś takiego zмайstrować, pod warunkiem że ma odpowiednie narzędzia i wiedzę?

– Absurd.

– Też tak myślę. W końcu to dziecko. – Chociaż superinteligentne. O ile opowieści Wolfsona i Winthorpe'a były prawdziwe, a nie stanowiły jedynie świetnej taktyki mydlenia oczu. – Wobec tego kto mógłby to zrobić?

– Spersonalizowana broń biologiczna to czysta teoria. Żadne laboratorium...

– Tak jak manipulowane genetycznie dzieci? – przerwała mu Jessica.

Winthorpe zamilkł. Przed nimi przemknął w drodze na dziedziniec konwój składający się z piętnastu pojazdów Humvee i transporterów. Po chwili wyskoczyli z nich kolejni ciężko uzbrojeni żołnierze. Pierwsza partia wezwanych posiłków. Była też grupa pracowników Center for Disease Control – jeszcze nie w swoich wzbudzających grozę strojach ochronnych, ale z ciężkimi skrzyniami, w których znajdowały się też kombinezony.

– A może Eugene był tylko narzędziem w czyichś rękach – zasugerowała Jessica. – Tak czy owak, zajmujemy cały kompleks. Wszystkie osoby przebywające na jego terenie są aresztowane.

– Czy wszystkie grupy operacyjne obecne wewnątrz obiektu mnie słyszą? – spytała Jessica przez mikrofon, palcem przytrzymując odsłuch w uchu.

Dowódcy poszczególnych jednostek potwierdzili po kolei.

– Okej – powiedziała. – Wszyscy jesteście profesjonalistami i dlatego oczekuję od was profesjonalnego zachowania. Nawet w sytuacji, gdy usłyszycie coś, co wyda się wam całkiem idiotyczne. Naprawdę niedorzeczne. Niewiarygodne. Wyjaśnimy to później. W kompleksie znajdują się głównie osoby cywilne, w tym ponad setka dzieci. – Wiedziała oczywiście, że wśród żołnierzy są tacy, którzy w swojej wojskowej karierze stali oko w oko z dziesięciolatkami z pasem samobójcy na biodrach. Dla nich „dzieci” nie oznaczały bynajmniej mniejszego zagrożenia.

Stanley Winthorpe, wciśnięty na przednim siedzeniu humvee między kierowcę i Jessicę, wskazał ręką na kompleks budynków. Maszyny bojowe wyskoczyły z wozów jeszcze niemal w biegu. Nie robiąc hałasu, w skupieniu, żołnierze biegli do poszczególnych wejść, które Winthorpe pokazał im na planie. Od innej strony zbliżała się druga grupa, a trzecia już w środku zabezpieczała łączniki prowadzące do skrzydeł. Za ogromnymi oknami Jessica dostrzegła przestronne laboratorium z licznymi stołami roboczymi, z mnóstwem przyrządów i ludźmi w białych kitlach. Byli wśród nich nie tylko dorośli, ale i ponad dziesięcioro dzieci. Dwoje z nich zauważyło, co dzieje się na zewnątrz, i natychmiast podniosło alarm. Żołnierze zajęli pozycje przy drzwiach, które Jessica otworzyła, wbijając kod podany przez Winthorpe’a. Szklane skrzydła rozsunęły się z lekkim poszumem na bok. Weszła do środka. W szerokich przejściach do sąsiednich sal widać było jeszcze więcej osób.

– Dzieci, panie i panowie, jesteśmy tutaj w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych! – zawołała donośnym głosem. – Każdy dorosły bierze teraz stojące obok dziecko za rękę. Wolne ręce proszę unieść za głowę i przejść powoli pod przeciwległą ścianę. – Naukowcy rozglądali się zdezorientowani i trochę zirytowani. – Proszę stanąć twarzą do ściany, położyć za sobą na podłodze telefony komórkowe i czekać na dalsze wskazówki.

Żołnierze w ciężkich butach wchodzący przez drzwi z bronią gotową do strzału nadali wydanemu przez nią poleceniu zupełnie inną wagę. W okamgnieniu sale opustoszały, a ponad trzydzieści białych kitli stanęło z podniesionymi rękami pod ścianą, między nimi przerażone dzieci. Chociaż Jessica wciąż nie mogła uwierzyć w opowieści Winthorpe’a i Wolfsona, musiała zapytać:

– Gdzie jest Eugene?

Zabieg umieszczenia zapłodnionych komórek jajowych wydał się Helen przyjemniejszy niż standardowa wizyta u jej ginekolog, mimo że podczas niego również musiała być półnaga i leżeć w mało komfortowej pozycji. Różnica polegała na oczekiwaniach. Zwykle chciała jedynie usłyszeć, że jest zdrowa i nic złego się nie dzieje, tym razem miała zajść w ciążę. Stać się matką. Dwojga dzieci. Nowoczesnych dzieci.

– Gotowe – oznajmiła lekarka. – Może się pani ubrać.

Helen próbowała wsłuchać się w siebie, czy czuje jakąś różnicę. Niczego nie zauważyła.

– Przez najbliższe dni proszę unikać wysiłku i stresu – przypomniała życzliwie lekarka, podczas gdy ona wciągała spodnie. – I proszę nie zapomnieć swojej kamerki.

Na czas zabiegu Helen ją odłączyła i odłożyła na bok. Teraz przypięła sobie urządzenie z powrotem, podziękowała i wyszła. Trochę skrępowana i jednocześnie pełna euforii.

W poczekalni siedział Greg. Też z kamerką. Przez głowę przemknęła jej myśl, jakie będzie nagranie, które właśnie powstaje. I potem może zostanie upublicznione. Greg zerwał się z fotela i przytulił ją mocno.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku.

Wybuchnęli śmiechem. A potem zaczęli się całować. Długo.

W końcu oderwali się od siebie i czule objęci ruszyli w stronę wyjścia.

– O rany, nie mogę uwierzyć, że to zrobiliśmy!

Nagle drzwi przed nimi otworzyły się gwałtownie i wolną przestrzeń wypełnił ciemnozielony olbrzym w hełmie, ciemnych okularach wizyjnych, kamizelce kuloodpornej, ciężkich butach i z bronią w rękach.

Greg instynktownie wysunął się przed Helen, aby ją osłonić. W pierwszej sekundzie zadziałał czysty odruch, dopiero po chwili poczuł aż w uszach, jak wali mu serce, i zaczął myśleć. Kamera nadal wszystko filmowała. Być może to dobrze. Przed żołnierzem stanęła kobieta ubrana po cywilnemu.

– FBI – oznajmiła, mignawszy odznaką. – Proszę się nie denerwować, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Proszę iść z nami.

Greg zerknął na pokazany znaczek, nie miał jednak pojęcia, jak miałyby ocenić jego autentyczność. Ale skoro funkcjonariuszce towarzyszyła uzbrojona eskorta, to

chyba wszystko się zgadzało.

– Co się... co się tutaj dzieje? – spytała osłupiała Helen.

– Musimy zabezpieczyć cały teren – odpowiedziała kobieta.

– Dlaczego? – rzucił Greg. – Moja żona jest właśnie po ważnym zabiegu i nie może się denerwować.

– Nie musi – odparła przyjaźnie funkcjonariuszka i ruchem ręki dała im znać, aby poszli za nią. Minęło ich dwóch żołnierzy, którzy weszli do gabinetu. Po chwili dał się słyszeć głos lekarki.

Greg wziął Helen za rękę i oboje ruszyli za kobietą, która po kilku krokach odwróciła się i wyciągnęła do nich otwartą dłoń.

– Poproszę jeszcze o kamerki.

Gdy nie zareagowali do razu, wskazała na ich kołnierzyki. Czyli wiedziała.

Oddali jej oba urządzenia, ona zaś przekazała je żołnierzowi, który włożył je do kieszeni spodni.

Greg pomyślał o swojej rozmowie z Irvinem i przeklął siebie w duchu.

Sam Pishta nie miał wyboru: musiał beczynnie przyglądać się temu, co było widoczne na monitorach. Członkowie sił operacyjnych zastąpili jego ludzi już na wszystkich stanowiskach centrum bezpieczeństwa. Z kamer docierały te same obrazy: mocno zbudowani faceci w hełmach, w kevlarowych kamizelkach i z bronią automatyczną w rękach pilnowali grupy dorosłych i dzieci w dużych pomieszczeniach poszczególnych budynków. Wychowawcy starali się uspokajać płaczące maluchy. Dwa śmigłowce krążyły teraz niżej nad kompleksem. Po zakończeniu pierwszego etapu operacji – czyli zabezpieczeniu całego obiektu i zatrzymaniu wszystkich osób – kilka grup przystąpiło do fazy drugiej, czyli do dochodzenia. I przesłuchiwania. Wolał nie wiedzieć przy użyciu jakich środków.

Helen czuła się oszukana i ograbiona. Odarta z poczucia szczęścia, z pełnej podniecenia nadziei, a także z troski i niepewności, czy zapłodnione jajeczka się zagnieżdżą, okradziona ze wszystkich wspólnie z Gregiem przeżywanych chwil na nowym etapie ich życia, ze wszystkich wyobrażanych sobie przez nią doznań i emocji pierwszych godzin i dni po zabiegu. Tymczasem byli teraz w jadalni, w której przy każdym z trzech wejść stało po dwóch żołnierzy. Pod ścianami co pięć metrów tkwili na posterunku kolejni. Na krzesłach między stołami nie starczyło miejsc dla wszystkich, dlatego kobiety siedziały, a wielu mężczyzn stało. Jedni patrzyli przed siebie, nerwowo przygryzając wargę lub powstrzymując łzy, inni z ożywieniem rozmawiali. Tak pewnie muszą czuć się ludzie na obszarach objętych wojną lub zagrożonych terrorem: wtrąceni nagle w otchłań nieznanego, niewyobrażalnego, pozbawieni wszelkiego poczucia bezpieczeństwa...

Gdy Helen i Greg zostali wprowadzeni do jadalni, od razu przysiedli się do nich Diana i Mike, który teraz ze wzburzeniem rozmawiał z jednym z żołnierzy przy wejściu. Do uszu Helen docierały jedynie strzępy słów. „Co? Żądam wyjaśnienia! ...amerykańskim obywatelem!”. Otoczona ramieniem Grega starała się zachować spokój. Obok niej siedziała Diana, tępo zapatrzona w pustkę.

Żołnierze przyprowadzili ich tutaj prosto z kliniki. Stopniowo przybywało coraz więcej par. Nikt im niczego nie wyjaśnił. Greg dopytywał, zgłaszał zastrzeżenia, oburzał się, domagał widzenia z prawnikiem. Na próżno. Od początku całej akcji nie pojawił się też nikt z personelu ośrodka. Ani Rebecca. Ani Stanley Winthorpe. Nie było widać także dzieci.

Mike wrócił do nich i wyrzucił w górę ramiona.

– Niczego się nie dowiedziałem! – powiedział zdenerwowany. – Mamy czekać. Ktoś niedługo do nas przyjdzie. – Po łące za oknem pędziły w pewnej odległości dwa pojazdy wojskowe. – Może to jest jednak ukryta kamera – spróbował zażartować, aby rozluźnić atmosferę. Po chwili przykucnął przed swoją żoną i ujął ją za rękę.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – zwrócił się do niej łagodnym tonem.

– Oczywiście – powiedziała Diana, kiwając głową.

– Wam też zabrali kamerki? – spytała Helen.

– Wszystkim zabrali – odrzekł Mike. – Pewnie nie chcą żadnych dowodów. Ja też bym nie chciał na ich miejscu.

Podniósł się znowu i powoli powiódł wzrokiem po sali.

– Żołnierzy jest dwudziestu dwóch, a nas osiemdziesięcioro – stwierdził. – Może po prostu powinniśmy wyjść. Przecież chyba nie zaczną do nas strzelać.

– Wolałbym tego nie sprawdzać – bąknął Greg.

– Wyluzuj, Mike – poprosiła go Diana. – Nie musisz grać bohatera!

– Przecież oni nie mogą tak z nami postępować! W końcu nie jesteśmy byle kim!

Z każdą minutą w sali narastał niepokój. Głosy stawały się coraz donośniejsze.

– Do czego to podobne?! Chcemy wyjść!

– Chcemy wyjść! – powtórzył ktoś jeszcze głośniej.

– Chcemy wyjść! – krzyknęła trzecia osoba.

– Chcemy wyjść! – dołączył Mike.

– Chcemy wyjść! Chcemy wyjść!

Niektóre z kobiet wstały z krzeseł, a paru mężczyzn próbowało dopchnąć się do drzwi.

– Chcemy wyjść! Chcemy wyjść! – grzmiało w sali. – Chcemy wyjść! Chcemy wyjść!

Żołnierze rozglądali się z wyraźnym niepokojem. Wyprężyli się. Kiedy mężczyźni zaczęli ich potrącać, odpychali napastników o kilka kroków za pomocą automatów trzymanyh ukośnie przed sobą niczym tarcze. Coraz więcej osób napierało na wszystkie trzy wyjścia.

– Chcemy wyjść! Chcemy wyjść!

– Spokój! – wrzasnął jeden z żołnierzy, lecz nikt go nie słyszał. Opuścił więc broń i skierował lufę w tłum. Pozostali zrobili to samo. Pierwsze szeregi buntowników zamilkły i cofnęły się nieco. Ich reakcja rozeszła się po wszystkich zgromadzonych jak fala. Jedynie z samego środka grupy odzywały się jeszcze pojedyncze okrzyki. Ale po chwili przycichły i one. Słyszać było jedynie wzburzone poszeptywanie bezsilnych ludzi.

„Chłopiec wygląda jak całkiem zwyczajny dziesięciolatek” – stwierdziła w duchu Jessica. Może jest tylko nieco bardziej umięśniony. Zewnętrznie przypominał trochę jej własnego syna. Niepokoiło ją natomiast coś w wyrazie jego oczu. Nie potrafiła jednak określić, co to jest.

Wśród dzieci było kilkoro wyglądających na dziesięć albo nawet na więcej lat. Zanim jednak ich zespoły dochodzeniowe zdobędą dokładniejsze rozeznanie na temat New Garden i jego mieszkańców, Jessica musiała na razie polegać na informacjach Winthorpe'a. Między innymi na jego zeznaniu, że Eugene nigdy nie

został poinformowany o swoim – rzekomym – pochodzeniu. Podczas gdy Jack Wolfson twierdził, że chłopak doskonale o wszystkim wie.

Po pierwszym szoku narastały w niej coraz większe wątpliwości. Patrząc na wystraszone, ale poza tym całkiem niewinnie i normalnie wyglądające dzieci, zadawała sobie pytanie, czy jej reakcja nie była przesadna. A może Winthorpe i spółka wodzą ją koncertowo za nos i na koniec tylko ją ośmieszają. Przyjmując taką perspektywę, rozmowa z małym chłopcem o ewentualnych śmiertelnych wirusach wydawała się absurdalna, wręcz kłopotliwa.

Przyprowadzili Eugene'a do niewielkiej salki konferencyjnej niedaleko centrum bezpieczeństwa. Siedział tam na wygodnej kanapie przy niskim stoliku. Obok zajęła miejsce jego matka z rodziny zastępczej, w której Eugene się wychowywał. Naprzeciwko niego siedzieli na krzesłach Jessica, Rich i Tom.

W przeciwieństwie do większości dzieci on wydawał się spokojny i niewystraszony. Na Jessice zrobił wręcz wrażenie rozbawionego i zaciekawionego całą sytuacją. Na samym wstępie Rich poprosił go o próbkę śliny, na co on bez żadnych dodatkowych pytań czy oporów otworzył szeroko usta i posłusznie poddał się zabiegowi.

Jessica zastanawiała się, jak ma go traktować. Jak Jamiego? Czy jak hiperinteligentne dziecko na zamówienie? Niemal wszystko przemawiało za pierwszą opcją, ale niektóre drobiazgi, na przykład muskuły i od czasu do czasu niemal ptasio szybkie ruchy – za tą drugą, mniej oczywistą. Postanowiła zatem, że najpierw przyjrzy się uważnie jego zachowaniu i potem zdecyduje. Najbardziej bowiem ufała własnym obserwacjom i reakcjom Richa. W odpowiedzi na ważne zmiany większość ludzi przechodzi nieświadomie i często bezradnie przez klasyczne fazy emocjonalne: zaprzeczenie, potem gniew, próby targowania się czy negocjacji, a gdy te się nie powiodą, następuje rezygnacja, na koniec ewentualnie akceptacja. U Richa nie zaobserwowała nic takiego. On, jako wybitny naukowiec kierowany ciekawością, szukał po prostu wskazówek przemawiających za usłyszanymi historiami lub przeciwko nim.

– Najbardziej niepokoi mnie to, że w ogóle uważasz istnienie modyfikowanych genetycznie dzieci za możliwe – szepnęła do niego.

– Mnie też – odpowiedział jej szeptem.

Potem zwróciła się do chłopca.

– Eugene – zaczęła – czy znasz tutaj, w waszej szkole, mężczyznę, który nazywa się Jack Wolfson?

– Oczywiście – potwierdził chłopięcym głosem. – A o co chodzi?

– On mówi, że pomógł ci w paru sprawach, o które go poprosiłeś.

Obserwowała go czujnie. Czy odpowie jej jak dziecko, czy jak dorosły?

– A nie powinien? – spytał Eugene ze zdziwieniem. – Tutaj wszyscy dorośli nam pomagają, jeśli ich o to poprosimy.

– Jack mówi, że pomagał ci przy rzeczach, których wam, dzieciom, nie wolno tutaj robić.

– Słucham? – W jego tonie pojawiło się lekkie oburzenie. Jak u Jamiego, kiedy czuł się niesprawiedliwie atakowany. Albo wiedział, że został na czymś przyłapany. Czyli jak na razie Eugene zachowywał się całkiem normalnie. – Niby co to miało być?

– Na przykład miał przemycać dla ciebie przesyłki pocztowe i wysyłać twoje listy poza osiedlem.

– Bzdury – oznajmił chłopak. – On kłamie.

Jego odpowiedź wydawała się szczerą. Gdyby to był Jamie, Jessica od razu by wiedziała, czy mówi prawdę. Ponieważ jednak nie знаła Eugene'a, nie chciała zanadto wierzyć własnej intuicji.

– Przecież możemy dostawać pocztę i wysyłać różne rzeczy. Przez naszych rodziców. Ja tylko wybrałem inną drogę. To nie jest jednoznacznie zabronione.

Starannie dobrane słowa.

A jednak potwierdził, że coś wysyłał!

– Jack powiedział nam coś jeszcze – kontynuowała Jessica, na co Eugene wzruszył ramionami. – Podobno obiecałeś, że urodzi mu się wyjątkowo mądre i silne dziecko.

Eugene zmarszczył czoło, a potem się uśmiechnął.

– To się zgadza – przyznał.

Jessica wpatrywała się w niego, nie kryjąc zaskoczenia.

– I co? – spytała. – Spełniłeś obietnicę?

– A pytałaś już doktora Winthorpe'a o małą Kendrę? – odpowiedział, wciąż się uśmiechając.

– Czy każdą informację muszę wyciągać panu z gardła? – Jessica zaatakowała z furią Stanleya Winthorpe'a. – Co ma na myśli Eugene, mówiąc o „małej Kendrze”?

Jego twarz pozostała niewzruszona. Na razie trzymali go w centrum bezpieczeństwa. Z personelu New Garden obecny był tylko Sam Pishta, aby w razie potrzeby instruować funkcjonariuszy FBI obsługujących system telewizji wewnętrznej. Pishta był chętniejszy do współpracy. Pozostali członkowie zespołu specjalnego kierowanego przez Jessicę znajdowali się w innych miejscach

kompleksu, ale Richa wołała zatrzymać przy sobie.

– Kim jest Kendra? I o co z nią chodzi?

Drgające mięśnie policzków Winthorpe'a zdradzały, że wcale nie jest taki opanowany, jakiego próbował udawać.

– To jest córka Wolfsona. Niedawno się urodziła – rzekł wreszcie. Na ułamek sekundy jego spojrzenie zahaczyło o Sama Pishtę, który akurat w przeciwnym końcu pomieszczenia objaśniał coś jednemu z ludzi z FBI.

Jessica zawołała go do siebie i spytała o Kendrę. Zerknąwszy na Winthorpe'a, który w ogóle na to nie zareagował, Pishta zaczął opowiadać. O mającej trzy dni dziewczynce, spłodzonej drogą naturalną, która mimo to ma wyjątkowy materiał genetyczny. Sprawdzili już wszystko dokładnie i nie wykryli żadnych luk ani błędów w systemach zabezpieczeń.

– Niezależnie od tego, co się stało – Jessica zwróciła się do Winthorpe'a – jeśli to wszystko, co nam tu sprzedajecie, jest prawdą, nie ulega wątpliwości, że wasze eksperymenty solidnie wymknęły się spod kontroli! – krzyknęła, uderzając pięścią w ścianę. – A jeśli robicie sobie z nas jaja, to módlcie się do Pana Boga, żeby miał was w swojej opiece!

– To nie mógł być Gene! – upierał się Winthorpe, nie zwracając w ogóle uwagi na ostatnie zdanie Jessiki. – On skończył dopiero dziesięć lat! Nic nie wie o swoim pochodzeniu, swojej genetyce! A gdyby nawet wiedział, to i tak nie ma odpowiednich możliwości, ani technicznych, ani manualnych, ani wreszcie nie ma wystarczającej wiedzy!

– A skąd w ogóle wie o właściwościach Kendry?

Winthorpe bezradnie pokręcił głową.

– Czy materiał genetyczny tej małej mógł ulec mutacjom naturalną drogą? – spytała Jessica.

– Nie.

– Stanley, człowieku... – wtrącił Rich. – Z tego, co widzę, wiesz mniej niż twoje dzieci.

– Ten mały wydaje mi się niesamowity – powiedziała Jessica do Richa, Toma i Jaylena, gdy stali w kącie korytarza przed centrum bezpieczeństwa. – Najpierw wszystkiemu zaprzecza, a potem nagle mówi coś, co okazuje się zagadką nawet dla Winthorpe'a. Widzieliście, jak on wyglądał? Zrobił się biały jak kreda! Eugene wie dużo więcej, niż powinien. Może jednak trzeba by przepytąć go trochę bardziej intensywnie.

– To dziecko – zauważył Rich.

– Czy na pewno? – rzucił Jaylen.

Decyzja nie była łatwa. Jessica pomyślała znowu o Jamiem. Mimo wszystko. Przecież tutaj chodzi o niebezpieczne, śmiertelnie groźne wirusy i o dzieci modyfikowane genetycznie!

– Zamknijcie go w jakimś pokoju, żebyśmy mogli go przesłuchać – poleciła.

– Jako dziecko ma prawo do obecności swojego opiekuna albo adwokata – wtrącił Tom.

– Wiem – westchnęła.

„Co za skrupulant” – pomyślała z irytacją.

– Wobec tego niech się pan postara, żebyśmy to nie my go zamknęli, ale któryś z opiekunów. I na razie zostawimy go tam samego.

– A jeśli tylko pozwolił sobie na głupi kawał?

– Jak na zwykłego dowcipnisia ma za dużą wiedzę, a moment, który sobie wybrał, jest nadzwyczaj trafiony.

Mimo to męczyły ją wyrzuty sumienia. Bo Eugene przede wszystkim był po prostu małym chłopcem.

– Do jasnej cholery, odbierzcie wreszcie – wściekała się Hannah, wciąż słysząc w słuchawce jedynie sygnał. – Co się tam dzieje?

Od chwili odkrycia sekretnej aktywności Jill nie zajmowała się niczym innym, tylko niemal bez przerwy przekopywała się przez górę danych. Pozwoliła sobie jedynie na trzy godziny snu. Za zgodą Stanleya włączyła do pracy dziewiętnastoro swoich kolegów i koleżanek z San Diego. Na początek przydzieliła im losowo po kilkadziesiąt katalogów.

Najpierw próbowała zorientować się w swojej partii. Badane przez nią foldery zdawały się dotyczyć bez wyjątku symulacji przeprowadzanych na genomach *in silico*. Sprawa była o tyle łatwiejsza, że Jill w odniesieniu do wszystkich sporządziła mniej lub bardziej staranną dokumentację. Tyle tylko, że nie opatrzyła ani eksperymentów, ani odnośnych danych oczywistymi symbolami. Morze skrótów znacznie wydłużało poszukiwania i dotarcie do sedna. Dopiero gdzieś nad ranem Hannah zdołała z grubsza poszeregować różne zawartości. Niektóre z symulacji modyfikowały znane zestawy genów kukurydzy, soi, ryżu, różnych gatunków zbóż i roślin bulwiastych, a także bawełny bądź próbowały je dalej rozwijać. Na ile Hannah potrafiła w ogóle to ocenić. Bo genetyka roślin to nie była jej specjalność. Ogromną część czasu musiała poświęcić na weryfikację informacji oraz na porównywanie ich ze źródłami naukowymi, aby w ogóle móc zrozumieć, nad czym tak naprawdę Jill pracowała. Na pogłębienie ustaleń przyjdzie pora w późniejszej fazie. Raz po raz zadawała sobie pytanie, kiedy ta dziewczyna przeprowadzała te niezliczone symulacje i czy robiła to sama. Hannah nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

Około trzeciej nad ranem, czując już piasek pod powiekami, otworzyła katalog opatrzony jedną jedyną literą: F. On też zawierał tysiące kolejnych dokumentów. W pierwszym podkatalogu znalazła symulacje z wirusami, a nie z roślinami, i postanowiła, że zabierze się do tego nowego zagadnienia dopiero po krótkiej przerwie na sen.

Około szóstej nad ranem, kiedy poszła do kuchni, żeby przekąsić coś na śniadanie, natknęła się na zaspanego Jima. Stał przy kuchennej wyspie i wlewał w siebie jakiś napój energetyczny.

– Nic – powiedział, gdy ją zobaczył.

– Szukajcie dalej – odparła lakonicznie.

On i jego ludzie nadal ścigali Jill i June Pue. Policja ustaliła już podstawowe

dane i zaczęła sprawdzać dworce kolejowe oraz większe stacje autobusowe. Ale ani ich wysiłki, ani nagrania z kamer monitoringu w różnych miejscach nie przyniosły żadnych rezultatów. Jim wziął szybki prysznic i zniknął znowu, Hannah zaś wróciła do symulacji Jill. Minęły ponad dwie godziny, zanim pobieżnie zapoznała się z towarzyszącymi tekstami i jako tako zaczęła się orientować, o co w nich może chodzić.

Potem przejrzała je jeszcze raz i ogarnięta lekką paniką, oparła się plecami o krzesło, i szepnęła:

– O kur...

Otwierała gorączkowo następne podkatalogi, przebiegała oczami po dokumentacji i czytała opisy kolejnych testów. Kiedy znowu opadła na oparcie krzesła, zauważyła, że minęły trzy godziny.

W Bostonie dochodziła trzynasta, ale ona kierowała się inną rachubą czasu. Drżącymi palcami wybrała numer Stanleya. Po piętnastej daremnej próbie połączenia, również z innymi numerami, w tym także z Samem Pishtą, z furią wcisnęła radiotelefon w podstawkę. Nikt nie zareagował także na maile i esemesy wysyłane przez różne aplikacje.

– Co, do cholery, się tam dzieje?

Czy jest jakiś problem z siecią w rejonie San Diego? Hannah wpisała w wyszukiwarce odpowiednie hasło, lecz nie znalazła żadnej aktualnej informacji na ten temat. Donoszono natomiast o zakrojonej na dużą skalę akcji policji i wojska na obrzeżach miasta. Może w tym leżała przyczyna. Przełączyła się na relację na żywo lokalnej telewizji nadającej w internecie. Reporterzy właściwym im podnieconym głosem opisywali zamknięcie rozległego terenu we wschodniej części miasta, blokadę strzeżonego osiedla, na którym znajdowała się między innymi pewna szkoła. Hannah poczuła się nieswojo. Znała tamtą okolicę. Ujrzała oczami wyobraźni opancerzone pojazdy z uzbrojonymi po zęby żołnierzami odcinającymi całe ulice. Z nerwowej paplaniny dziennikarza wyłowiła w końcu, że policja zastosowała środki bezpieczeństwa z powodu odkrycia na odizolowanym terenie zaraźliwego wirusa; zaznaczano jednak, że okolicznej ludności nic nie grozi. Kolejne ujęcia, widok helikopterów krążących nieustannie w jednym miejscu.

Hannah poczuła, jak po jej ciele, wciąż jeszcze częściowo sparaliżowanym po odkryciu, jakiego niedawno dokonała, rozeszły się ciarki. Ścisnęła mocno dłońmi podłokietniki krzesła, starając się odzyskać nad sobą kontrolę.

Reporter mówił, że na teren osiedla nikt nie może wejść ani z niego wyjść. Wciąż nie było żadnych oficjalnych informacji ze strony władz, ale wyglądało na

to, że w ostatnich godzinach wzmocniono jednostki przebywające zarówno na terenie osiedla, jak i poza nim o dodatkowe znaczne posiłki.

– Czy powodem tak rozległej akcji może być infekcja wirusowa? – zadała pytanie dziennikarka w studiu publicznego nadawcy, na którego kanał Hannah się teraz przełączyła.

Ta gigantyczna interwencja była już tematem numer jeden wszystkich stacji telewizyjnych. Hannah przysłuchiwała się najdziwniejszym spekulacjom sprawozdawców, które towarzyszyły wciąż tym samym obrazom na ekranie, i z każdą minutą stwierdzała z coraz większą ulgą, że żaden z nich mimo ogromnej inwencji choćby o centymetr nie przybliżył się do prawdy. Nie miała jednak złudzeń, że tam, na miejscu, zostanie ona wcześniej czy później odkryta. Albo już to nastąpiło.

Gdy wreszcie odzyskała władzę nad własnym ciałem, ogarnął ją osobliwy spokój. Zrezygnowana zaczęła bawić się myszką, przełączając się na chybił trafił z jednej stacji na drugą. Wśród przekrzykujących się nawzajem dziennikarzy, syren i huku helikopterów czekała na wybuch bomby.

„Wygląda dokładnie tak samo jak u mojego syna albo u jego kolegów” – pomyślała Jessica. Tyle że pokój Eugene’a był znacznie większy, na oko miał około trzydziestu metrów kwadratowych. Łóżko, szafy, kanapa, biurka – bardzo duże jak dla dziesięciolatka. Na jednym dwa monitory i jeden laptop oraz porzucane papiery. Na drugim biurku coś w rodzaju minilaboratorium z mikroskopem, szalkami Petriego i różnymi przyrządami. Też w nieładzie. Na podłodze walały się ubrania, książki, leżał miękki puf. Na jednej ze ścian wisiał kolejny, większy monitor. Były też co najmniej dwie konsole do gier, a na regale stały pudełka z elementami technicznymi.

Jako doświadczona ekspertka w zakresie bezpieczeństwa Jessica odnotowywała spojrzeniem nie tylko to, co widziała, ale też to, czego jej tam brakowało. Nie było plakatów z *Gwiezdnymi wojen* ani zdjęć znanych sportowców na ścianach. Mało książek, a wśród nich tylko jedna jedyna dla dzieci: *Przygody Hucka*. Pozostałe to podręczniki do matematyki, historii, ekonomii i biologii. Żadnych zabawek.

Do pokoju weszło sześciu mężczyzn w kombinezonach.

– Sprawdźcie dosłownie każdy centymetr – poleciała Jessica. – Jeśli znajdziecie choćby najmniejszy nietypowy drobiazg, zawiadomcie mnie natychmiast!

– Wszystko pan monitorował? – spytała.

– Prawie – odpowiedział Sam Pishta.

Jessica patrzyła na ekrany w centrum bezpieczeństwa. Ich ludzie byli już wszędzie. Dzieci wraz z opiekunami zostały umieszczone w obiektach sportowych, a pod ścianami w salach stali żołnierze. Niektóre maluchy chyba się nawet z nimi oswoiły, ale te najmłodsze nadal trzymały się kurczowo swoich wychowawców i nauczycielek. W laboratoriach, budynkach administracji i kwaterach roiło się od dochodzeniowców albo pomieszczenia świeciły pustkami.

– Poza toaletami, łazienkami i sypialniami wychowawców – dodał Pishta. – Poza tym oczywiście pod drzewami i w niektórych zakamarkach są martwe pola. Ale nie ma w nich czego szukać, to są miejsca, w których można co najwyżej się wysikać albo pozwolić sobie na szybki numer.

– Dobrze wiedzieć – rzuciła Jessica z drwiącym uśmiechem. – Ile zajmie nam

czasu, zanim uzyskamy jakieś pierwsze wnioski? – zwróciła się po chwili do Richa.

– Dotyczące czego? Najlepszych kryjówek na szybki numerek, wirusa czy dzieci? – Nie musiała mu odpowiadać, wystarczyło jedno surowe spojrzenie. – Jeśli chodzi o dzieci, dosyć szybko – natychmiast się zreflektował. – Niezbędne sekwencjonowanie genomów trwa zaledwie kilka godzin, zespół z CDC już nad tym pracuje. W przypadku wirusa sprawa wygląda trochę gorzej, bo nie mamy choćby najmniejszego tropu. Może minąć wiele dni albo i tygodni, jeśli nikt niczego nam nie zdradzi.

„Wobec tego trzeba będzie skłonić kogoś, aby nam coś zdradził” – przemknęło Jessice przez głowę.

– Jak długo przechowujecie nagrania? – spytała Sama.

– To zależy.

– Potrzebujemy wszystkich z tego dnia, w którym Jack Wolfson nadał list. I wcześniejszych, z nim i z osobami, z którymi się kontaktował. – A po sekundzie zastanowienia dodała jeszcze: – I z Eugene’em w laboratorium dziecięcym.

Stanley liczył się z przedwczesnym odkryciem projektu przez władze. Przewidzieli taki scenariusz i opracowali odpowiedni plan działania. Natomiast na posądzenia przez najwyższe organy władzy i agencje rządowe o to, że z ich siedziby został uwolniony spersonalizowany zabójczy wirus, nie byli przygotowani. Podobnie jak na to, że niektórzy z wychowanków, mianowicie Eugene, znają swoje pochodzenie. Stanleyowi i jego partnerom coś takiego po prostu nie mieściło się w głowie, niezależnie od stopnia intelektualnej przewagi nowoczesnych dzieci nad rówieśnikami. One były jeszcze za młode. Nie mówiąc już o tym, że nie potrafili sobie wyobrazić, aby którekolwiek z nich było w stanie samodzielnie przeprowadzać tego rodzaju eksperymenty i robić jeszcze Bóg wie jakie rzeczy. I dlatego nie mieli na to żadnego planu. Odkrycie symulacji *in silico* przeprowadzanych przez Jill boleśnie uzmysłowiło im to zaniedbanie. Czasu na korektę zabrakło. Najpierw całe siły skoncentrowali na analizie danych Jill. A teraz wszystko diametralnie się zmieniło.

Naukowcy z New Garden bez protestów zebrali się w dużej sali prezentacyjnej kompleksu badawczego. Zostali tam sprowadzeni ze wszystkich stron pod eskortą żołnierzy. Jedni poszeptywali z z troskaniem, inni stali cicho, jeszcze inni byli bladzi ze strachu. Część wojskowych wyszła, ale kilku pozostało razem z nimi, wzywając do zachowania milczenia. Stanley rozglądał się za trzema współpracownikami. Gdy dostrzegł pierwszego z nich, ruszył w jego stronę,

śledzony krytycznym spojrzeniem przez żołnierzy. Zatrzymał się przed doktorem Richardem Tangiem. Piękny ciemnowłosy mężczyzna o wystających kościach policzkowych i spojrzeniu dzikiego zwierzęcia, syn Brazylijki i Wietnamczyka, dołączył do ich zespołu już jako jego student.

– Co...? – zaczął Tang, nie patrząc na Stanleya, ale jeden z żołnierzy przerwał mu natychmiast i wepchnął się między nich.

– Cisza!

Tang zamilkł. Gdy spotkał wzrok Stanleya, uniósł pytająco brwi, na co jego zwierzchnik opuścił powieki i niemal niezauważalnie pokręcił głową. Nie teraz.

Po sali rozeszły się szepty. Nagle do środka wkroczyła Jessica Roberts razem z Richem, a za nim czterech ciężko uzbrojonych żołnierzy.

Naukowcy w dużej i jasnej sali prezentacyjnej stopniowo się uciszyli i skierowali spojrzenia na przybyłych. Jessica zerknęła badawczo na Stanleya Winthorpe'a, po czym przedstawiła siebie i Richa, mimo że pewnie wszyscy już od dawna wiedzieli, kim są, albo przynajmniej znali jej współpracownika. Potem poprosiła obecnych, aby usiedli. Nie bez ociągania większość wykonała jej polecenie i zajęła miejsca przy gigantycznym lancetowatym stole. Kto był zbyt powolny, znalazł się blisko ich dwojga. Kilka osób wolało mimo wszystko stać – w końcu sali albo pod oknami.

– Proszę państwa – zaczęła Jessica – jesteśmy tutaj, ponieważ prowadzimy śledztwo w sprawie pewnego morderstwa. Ktoś z państwa mógłby powiedzieć, że nie brakuje nam rozmachu. I miałby rację. Wynika to stąd, że jednocześnie dowiedzieliśmy się tu o czymś, co jest o wiele bardziej niewiarygodne niż sprawa, którą zajmowaliśmy się pierwotnie. Chodzi mianowicie o genetycznie modyfikowane dzieci. – W sali znowu zaczęło się poszeptywanie. – Właśnie przeprowadzamy pierwsze analizy genomów, chciałabym jednak już teraz usłyszeć od państwa, czy doktor Winthorpe nie opowiedział mi po prostu megalomańskich fantazji?

Niektórzy z obecnych odchrząknęli, inni tylko patrzyli na siebie nawzajem lub szukali spojrzenia Winthorpe'a. Ich twarze zdradzały przerażenie lub niepewność. Tak nie reagują osoby niemające o niczym pojęcia. To reakcja typowa dla przyłapanych.

– Brak odpowiedzi też może być odpowiedzią – zauważył cicho Rich stojący tuż obok niej.

– Wygląda na to, że państwo mają w tym swój udział – powiedziała Jessica do zgromadzonych. Na twarzach niektórych dało się zauważyć wyraźną ulgę. –

Według moich pojęć jest to po prostu horror. Ale nie mnie to oceniać. Zawiadomimy o tym panią prezydent. Oczekujemy od państwa bezwarunkowego wsparcia w naszych dochodzeniach. Ze względu na bezpieczeństwo narodowe New Garden jest na razie pod naszym nadzorem. I pozostanie pod nim do wyjaśnienia najważniejszych kwestii prawnych.

Ktoś ze słuchaczy jęknął.

„Tak, to może potrwać lata” – pomyślała Jessica.

– Nikomu nie wolno opuścić terenu osiedla. Na razie mogą państwo przebywać w tej sali i na ściśle wyznaczonym, ograniczonym terenie na zewnątrz pilnowanym przez wojsko. Wasi goście znajdują się wszyscy razem gdzie indziej. Obecnie priorytet ma sprawa stanowiąca pierwotny powód naszej obecności tutaj – oznajmiła. – Prawdopodobnie z New Garden został wysłany spersonalizowany śmiertelny wirus, który trzy dni temu zabił sekretarza stanu Jacka Dunbraitha. Chyba świadomi są państwo wagi tego zdarzenia.

Zamieszanie, jakie powstało, Stanley wykorzystał na ponowną próbę podjęcia kontaktu z Tangiem. Żołnierz, który do tej pory ich nie odstępował, trochę się odsunął i powiódł wzrokiem po nerwowo szmerzących naukowcach.

- Najgorszy scenariusz – szepnął Stanley do Tanga. – Archiwum musi zniknąć.
- Ma zniknąć czy zostać zniszczone?
- Zniknąć. Ta wiedza jest zbyt cenna.
- Okej. Przekażę dalej i zobaczę, co sam mogę zrobić.
- Spokój! – syknął żołnierz za nimi. – To odnosi się do wszystkich.

Jessica powiodła wzrokiem po pełnych wzburzenia twarzach. Jej słowa wywołały wśród naukowców taki sam szok jak u Wolfsona, Winthorpe'a i Pishty.

– Wszyscy państwo jesteście podejrzani. Dlatego zalecam ścisłą współpracę z nami. Będziemy przesłuchiwać was indywidualnie. Ale jeśli ktoś ma do powiedzenia coś, co według niego mogłoby nam pomóc, może oczywiście zgłosić się sam.

Jessica nie spodziewała się żadnych ochotników. Tymczasem w końcu sali podniosła się jedna ręka. Należała do wysokiej kobiety o jasnych włosach.

– Cara Movelli, jestem współzałożycielką tej placówki – przedstawiła się. Przepychając się między kolegami, zmierzała do Jessiki. – Nic nie wiem o żadnym zabójczym wirusie – oznajmiła na wstępie. – Ale może znajdziecie coś w tajnych plikach naszych najstarszych wychowanków, które sami dopiero odkryliśmy i właśnie zaczęliśmy je analizować.

Kątem oka Jessica dostrzegła, że Stanley Winthorpe aż drgnął, ale zaraz się opanował.

– Najstarszych?

– Chodzi o Jill – wyjaśniła kobieta. – To jedyne dziecko, które już tutaj nie mieszka, tylko od trzech lat studiuje na MIT. Widzę, że pani w ogóle o tym nie wiedziała – dodała niemal rozbawiona, zerkając na Stanleya Winthorpe’a. – Dwa dni temu natrafiliśmy na coś, o czym w ogóle nie mieliśmy pojęcia. Między innymi na przeprowadzane przez nią symulacje komputerowe dotyczące manipulacji genami najrozmaitszych organizmów.

Jessica spojrzała z wściekłością na Winthorpe’a.

– Materiał jest tak obszerny, że na razie zapoznaliśmy się zaledwie z jego ułamkiem. Przydałoby się nam solidne wsparcie.

Jessica szybko zastanowiła się nad tym, co usłyszała. Potencjalni podejrzani nie powinni zajmować się tym materiałem.

– Rich? – zwróciła się do niego, patrząc pytająco.

– Muszę sprowadzić kilkudziesięciu specjalistów. To trochę potrwa – odpowiedział.

Skinęła głową z aprobatą, po czym znowu skupiła uwagę na kobiecie.

– Wspomniała pani o Jill, tak? Myślałam, że to Eugene jest najstarszy.

– On i Jill są w tym samym wieku – wyjaśniła Cara Movelli.

– Dlaczego tylko ona jest na MIT? – dociekała Jessica.

– Dzięki zmodyfikowanym genom wzrostu Jill wygląda już na wyrośniętą nastolatkę – odpowiedziała kobieta.

– No pewnie, dlaczego by nie? – wtrącił kąśliwie Rich. – Skoro manipulujemy przy łososiach, psach czy krowach, dlaczego nie zająć się i ludźmi?

Zanim Jessica zdążyła przetrwać tę konstatację, jej rozmówczyni mówiła już dalej:

– Uznaliśmy, że ze względu na jej wygląd pójdzie jej łatwiej niż jemu.

– Wobec tego musimy jak najszybciej porozmawiać z tą Jill.

– My też chętnie zamienilibyśmy z nią parę zdań – powiedziała Cara Movelli, znowu zerkając na Winthorpe’a. – Ale dwa dni temu Jill zniknęła. Następnego dnia po śmierci Jacka Dunbraitha.

Na monitorze stojącym przed Jessicą były otwarte dwa okna. W lewym znajdował się Al Waters. Z prawego patrzyła na nią sama pani prezydent i szef jej sztabu Steve Pitt. Waters był w Waszyngtonie, a prezydent w Denver, gdzie miała otworzyć jakieś targi rolnicze. Jessica i Rich skończyli swoją relację. Trójka słuchaczy sprawiała wrażenie, jakby wszyscy czekali na coś więcej. Albo jakby nie zrozumieli. Bądź jakby zerwało się połączenie głosowe. Ale ich usta wcale się nie poruszały. W końcu prezydent pochyliła się ku kamerze i spytała:

– Czy ja na pewno wszystko dobrze rozumiałam?

– Tak, pani prezydent – odpowiedziała nieśmiało Jessica. Przecież ona sama też wciąż nie mogła dać temu wiary.

– W obliczu tego spersonalizowany wirus jest niczym! – wykrzyknęła prezydent. – To byłby koniec ludzkości, jaką znamy! – Była wyraźnie wstrząśnięta. – Nie wierzę. Nie chcę uwierzyć.

– Ja również – odezwała się Jessica. – Ale widziałam te dzieci. I tych naukowców, i w ogóle monitoruję całą sytuację.

– Doktorze Allen?

– Pani prezydent bardzo trafnie to ujęła – potwierdził Rich. – A jak pani prezydent wie, rzadko ulegam emocjom.

– Al – prezydent zwróciła się do doradcy do spraw bezpieczeństwa – muszę przekonać się o tym na własne oczy. Jak najszybciej. Pani Roberts, czy kompleks można wystarczająco zabezpieczyć, aby taka wizyta była możliwa?

– Oczywiście, pani prezydent. On już teraz jest maksymalnie zabezpieczony.

– Steve – prezydent zwróciła się teraz do swojego szefa sztabu – odwołaj pod jakimś niewinnym pretekstem wszystkie dzisiejsze i jutrzejsze spotkania.

– Ale pani prezydent – próbował zaproponować Steve – nie ma jeszcze żadnych dowodów, a przecież jutro miało się...

– Mówimy ni mniej, ni więcej, tylko o losie całej ludzkości! – przerwała mu prezydent. – I nie ma w tym ani krztyny przesady! Co może być ważniejsze od tego? Chyba nic! Nie wyobrażam sobie, aby taki problem można było śledzić jedynie z daleka albo po prostu go delegować. Poinformuj wszystkich członków rządu, a także komisji etyki, że w najbliższych godzinach spotkamy się w New Garden. Zorganizuj dla nich dyskretny transport, ale nie mów im, o co konkretnie chodzi, tylko podkreśl, że to sprawa pilna i najwyższej wagi.

Steve skinął głową.

- Kiedy możemy tam być? – spytała jeszcze.
- W San Diego? Air Force One stoi gotowy. Najpóźniej za cztery godziny będziemy na miejscu.
- Wizyta musi być objęta klauzulą najwyższej poufności – zastrzegła prezydent.
- Wobec tego zorganizuję inną maszynę – odpowiedział Steve.
- Dziękuję wam – zwróciła się prezydent do Jessiki i Richa. – Spotkamy się jeszcze dzisiaj po południu. – Na koniec dodała nieco ciszej: – Niech Bóg ma nas w opiece!
- Od tej strony nie spodziewałbym się wiele... – bąknął Rich pod nosem, tak by usłyszała go tylko Jessica.

„Mała Kendra wygląda jak każdy noworodek” – stwierdził Rich. Może była nawet jeszcze słodsza.

– Wyniki testów są jednoznaczne? – spytał Carę i Sama, chcąc upewnić się jeszcze raz. Oboje zgodnie pokiwali głowami. Początkowo musiał, nie po raz pierwszy w tej historii, oprzeć się wyłącznie na twierdzeniach samych zainteresowanych. Ale zespół CDC opracowywał właśnie test sprawdzający, przeprowadzony przez nich na innych dzieciach. Wyniki miały być gotowe za parę godzin. Rich przypuszczał, że na pozór niemożliwy wynik zostanie potwierdzony. I chociaż pozostawało coraz mniej miejsca na wątpliwości, póki na stole nie leżały pierwsze wiarygodne dowody, nie mogli brać wypowiedzi Jacka Wolfsona za dobrą monetę.

Ojciec Kendry, jako główny podejrzany, był pilnowany przez policję w oddzielnym pomieszczeniu. Przypisywano mu co najmniej pomocnictwo w zabójstwie sekretarza stanu Jacka Dunbraitha. Za zgodą Jessiki miał go przesłuchać Rich.

Wolfson siedział na krześle przy niewielkim stole w jednej z salek konferencyjnych. Ręce miał skute kajdankami na plecach, a strzegło go dwóch mundurowych wyposażonych w groźnie wyglądające pistolety maszynowe. Lub coś w tym rodzaju. Rich nie miał wielkiego rozeznania w tego rodzaju sprzęcie.

– Mówi pan, że Eugene obiecał panu genetycznie zmodyfikowane dziecko? – Nie wyobrażał sobie, aby zdołał kiedykolwiek przyswoić sobie określenie „nowoczesne dziecko”. – Jak zamierzał panu w tym pomóc?

Jack wykrzywił usta i nie bez ociągania wycedził wreszcie:

– Zwyczajnie. Dał mi pigułkę.

– Pigułkę? – powtórzył Rich.

Mężczyzna potwierdził krótkim skinieniem.

– Właściwie to była taka mała owalna kapsułka z czymś w środku. Z płynem albo z jakimś proszkiem, nie wiem dokładnie.

– Do połknięcia?

– Tak.

„Co też ten chłopak mógł mu zaaplikować?” – zastanawiał się Rich. Przychodziły mu do głowy różne pomysły, wszystkie jednak tak dalece wykraczały poza dostępne możliwości, że po prostu nie mógł brać ich pod uwagę. Ale przecież spersonalizowane zabójcze wirusy i dzieci na zamówienie jeszcze kilka dni temu także wydawały mu się nie z tego świata. A może Wolfson najzwyczajniej sobie z nich zadrwił?

– Kiedy to było? Pamięta pan datę?

Jack skupił się, szukając w pamięci.

– Trzeciego czerwca – oznajmił wreszcie.

– Na pewno?

– Na pewno. Taki dzień człowiek pamięta. – Przygryzł dolną wargę. – Czy Kendra... to znaczy, czy Eugene...?

– Co? – Jeśli chciał wiedzieć, musiał to z siebie wydusić.

– Czy Eugene dotrzymał słowa?

– To znaczy?

– Czy Kendra jest nowoczesnym dzieckiem? Bo ja... – spuścił wzrok na stół – bo ja przecież nie potrafię tego sprawdzić.

Jeżeli grał, robił to całkiem nieźle. Naprawdę przekonująco.

– Na razie nie mogę przekazać panu takiej informacji – odparł Rich.

Co stanie się z tymi dziećmi? Dotychczas nie znalazł czasu, by się nad tym zastanowić. A tak naprawdę – nie miał na to odwagi. Oby to wszystko okazało się tylko jedną wielką iluzją!

Ściana projekcyjna w centrum bezpieczeństwa dała się podzielić maksymalnie na trzydzieści okien.

– Na terenie samego kompleksu i wokół niego pracuje bez przerwy kilkaset kamer – objaśniał pułkownik Lawsome. – Ponadto software sygnalizuje wszelkie nietypowe zdarzenia.

– Na przykład? – spytała Jessica.

– Osoby, które próbują przedostać się z zewnątrz. Albo miejsca, w których znajduje się więcej ludzi niż normalnie. I temu podobne.

W jednym z okien Jessica zauważyła Eugene'a w salce konferencyjnej służącej im jako pokój przesłuchań. Najpierw siedział rozparty na krześle, z dłońmi

splecionymi na brzuchu, a potem zerwał się nagle, okrążył stół i próbował otworzyć drzwi. Gdy mimo nacisku klamki nie ustąpiły, uderzył w nie, po czym znowu usiadł i spojrzał prosto w kamerę. Czyżby się uśmiechnął?

Niech jeszcze poczeka.

W innej części ekranu widoczne były osoby określane przez Stanleya Winthorpe'a jako „klienci”, nadal zgromadzone w dużej jadalni. Większość kobiet poprzedniego dnia lub dziś rano podobno poddała się zabiegowi implantacji zapłodnionych komórek jajowych, z których miały powstać dzieci o szczególnych właściwościach. Zrobiły to dobrowolnie. Na myśl o tym Jessicę przeszyły dreszcze. Nie bardzo wiedziała dlaczego. To była reakcja raczej czysto emocjonalna, ponieważ do tej pory nie miała czasu, by się nad tym zastanowić. A nadal nie uzyskali ostatecznych dowodów.

W kolejnych okienkach widziała grupę pracowników naukowych z Richem, drugą zebraną w sali konferencyjnej, poza tym wychowawczynie i wychowawców razem z dziećmi, kilka widoków z terenu kompleksu. Przez łąkę jechał humvee. Większość kadrów w nieregularnych odstępach czasu była zastępowana innymi ujęciami lub tymi samymi, ale widzianymi z innej perspektywy.

– Mamy cały teren pod kontrolą – zapewnił John.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała Jessica. – Prezydent i członkowie komisji etyki już są w drodze. Spodziewamy się ich za trzy godziny.

– Będą bezpieczni.

– Czy możemy nieco odpuścić cywilom? Byłby to problem? – spytała. – W którymś momencie mogą się wkurzyć i zacząć się buntować.

Chociaż z drugiej strony, miałyby ochotę pozostawić ich jeszcze trochę w niepewności.

Jako pracownik ochrony osobistej Jim znał wszystkie mroczne zakamarki zwykle pełnego ludzi i gwarne miasteczka studenckiego Cambridge, nieodległego od wielkiego Bostonu i jego okolicy. Musiał znać. Na wypadek gdyby jego podopieczny czy podopieczna zwiali. Ale Jill nigdy nie musiał tam szukać. I tym razem również nie za nią się rozglądał. Jechał powoli przez ciemne przejście podziemne, pod którego ścianami roiło się od ćpunów. Kupowali towar na miejscu i od razu zachłannie wstrzykiwali sobie działkę. Nawet nie odwrócili się plecami na widok nadjeżdżającego auta. Erin na siedzeniu pasażera wyciągnęła przez otwarte okno rękę ze zdjęciem June Pue.

– Ktoś z was widział tę kobietę?

Jim nie wpadł na razie na inny pomysł. Przez materiały zgromadzone przez Jill na tajemniczym serwerze przekopywała się teraz Hannah. On nie miał zielonego pojęcia o genach i podobnych rzeczach. A do tej pory nie odkryli nic innego, co mogłoby im pomóc. Pozostała jedynie ulica. Złość na Jill przyćmiła teraz troskę o nią. Ta dziewczyna wszystkich ich okpiła, pozostawiając swoją matkę i jego w kompletnej niepewności.

Smartfon Jima zagrał znajomą melodyjkę. Dzwoniła Hannah. Odebrał więc szybko.

– Musicie natychmiast przyjechać – powiedziała.

– Co się stało? Macie Jill?

– Nie. Ale przyjedźcie. Zaraz.

Przed domem stały dwa samochody. Ciemne, nieoznakowane, ale dla niego rozpoznawalne.

– FBI – od razu zauważyła Erin. – Mam nadzieję, że to nic złego.

W środku czekali na nich czterej funkcjonariusze w garniturach. Hannah wydawała się spięta.

– Panie Delrose, musimy pana prosić, aby na razie poszedł pan z nami – oznajmił jeden z mężczyzn. – Podobnie pańskie koleżanki i koledzy.

Jim wiedział, że nie zrobił nic złego, mimo to poczuł się trochę nieswojo.

– Dlaczego?

– Chodzi o bezpieczeństwo państwa.

Poczucie niepewności przerodziło się w alarm.

– Z powodu jednej zaginionej nastolatki?

W co ta Jill się wplątała? I w co przy okazji wkopała także ich? Jim spojrzał pytająco na Hannah, ale ona jedynie uniosła bezradnie brwi.

– Przecież mówiłam już panu – odezwała się, usiłując panować nad sobą. – On nic nie wie.

– Czego nie wiem? Chodzi o te materiały na serwerze Jill?

– Też – potwierdziła Hannah.

– Proszę spakować rzeczy na kilka dni – polecił człowiek z FBI.

– Muszę pilnie porozmawiać z San Diego – oświadczyła Hannah. Zabrzmiało to tak, jakby domagała się tego już nie pierwszy raz. Co jest w San Diego?

– Wszystko w swoim czasie – odparł jeden z funkcjonariuszy. – Na razie musicie pójść z nami.

– Żądam prawnika – odezwał się Jim.

– Nie mamy wyjścia, musimy z nimi iść – powiedziała z rezygnacją Hannah. – Ale nie martw się, Jim, twoja sprawa szybko się wyjaśni.

– Co ma się wyjaśnić? – spytał nerwowo. – O czym wy wszyscy mówicie? O co chodzi?

Greg nigdy nie był w wojsku. Posągowy spokój i niewzruszona koncentracja żołnierzy tkwiących pod ścianami i przy wejściu fascynowały go. A może spali na stojąco? Z powodu ich ciemnych okularów nie mógł tego stwierdzić.

Po stłumionym buncie w jadalni zaległa pełna rezygnacji cisza. Większość siedziała w milczeniu na krzesłach, a kilku mężczyzn, dla których zabrakło krzesel – na podłodze. Niektórzy rozmawiali po cichu. Raz po raz ktoś zrywał się na równe nogi, żeby poprosić o coś żołnierza przy wyjściu. Za każdym razem odpowiedź była jednakowa: dopóki nie zostanie wydany nowy rozkaz, wszyscy muszą pozostać w jadalni. Na szczęście można było korzystać z położonej po sąsiedzku toalety.

– Jestem głodny! – nagle krzyknął ktoś za Gregiem.

Żołnierze nie zareagowali.

– Ja też! – odezwał się ktoś inny.

„Ciekawe, czy dojdzie do drugiej próby buntu?” – zastanawiał się Greg. Jego żołądek też domagał się choćby niewielkiej przekąski.

Jeden z wojskowych przy drzwiach nieoczekiwanie się poruszył. Okrzyki zamilkły. Ale mężczyzna tylko lekko przechylił głowę, jakby czegoś słuchał. Po chwili dał znak ręką swoim ludziom, na co wszyscy opuścili posterunki i błyskawicznie ustawili się za nim w przejściu albo na zewnątrz.

Wówczas mężczyzna zrobił dwa kroki do przodu i zwrócił się do zebranych:

– Proszę państwa, dziękuję za cierpliwość! Bezpośrednia przyczyna waszej mało komfortowej sytuacji została usunięta, dlatego na razie mogą państwo rozprostować nogi, przechadzając się po dworze do linii wyznaczonej przez żołnierzy, albo pójść do swoich pokojów. – Mówiąc to, wskazał ręką na pas szerokości mniej więcej czterystu metrów za szybą. Po prawej i lewej stronie łąki ciągnącej się aż do lasu widać było grupki uzbrojonych i pojazdy wojskowe. – Jak państwo widzą, pozostała część terenu jest zabezpieczona przez armię i niedostępna dla nikogo postronnego. Poza tym cały kompleks jest nieustannie monitorowany.

– Jak w państwie policyjnym – szepnął ktoś za Gregiem.

– Na razie nie mogą państwo opuścić New Garden – kontynuował żołnierz. – Nie warto nawet próbować, bo obiekt jest też zabezpieczony od zewnątrz. Proszę najpóźniej za cztery godziny zameldować się tutaj znowu, czyli punktualnie o szesnastej. Do tej pory proszę słuchać poleceń, jakie otrzymają państwo albo od

żołnierzy, albo od osób cywilnych. Kiedy się znowu zobaczymy, poinformujemy państwa o dalszych krokach. Przy okazji proszę przynieść swoje dokumenty. Obecnie przygotowwany jest posiłek. Za pół godziny zostanie wydany tutaj, w jadalni. Dziękuję za uwagę.

Żołnierz odwrócił się i zniknął wraz ze swoim oddziałem.

Wszyscy obecni popatrzyli na siebie nawzajem, wciąż zdezorientowani. Na ich twarzach nie dało się raczej zauważyć wyrazu ulgi, raczej jeszcze większą niepewność.

– Nie dam się im tutaj zamknąć – fuknął Mike. – Nie wiadomo, czy kiedykolwiek nas stąd wypuszczą.

– Co pan ma na myśli? – spytał stojący obok drągał w okularkach nerda. Miał na imię Newton.

– Co mam na myśli? – powtórzył drwiąco Mike. – Może cudowne dzieci sfabrykowane przy użyciu techniki genetycznej? O których na razie nic nie wiadomo opinii publicznej? I może nigdy ma nie być wiadomo?

– Jak to...? – zaczął Newton.

– To nie byłaby pierwsza sprawa, o której świat dowiedziałby się dopiero po dziesięciach lat w wyniku odtajnienia dokumentów.

– Ale niby jak oni mogliby zapobiec temu, żebyśmy mówili? – oburzył się Newton.

Mike uśmiechnął się z wyraźnym politowaniem.

– Chyba nie sądzi pan, że...? – szepnął jego rozmówca, przerażony nie na żarty.

– Ja nic nie sądzę – odpowiedział Mike. – Ale na pewno nie będę siedział tutaj bezczynnie. No jak, kolego? – Poklepał Grega po ramieniu. – Zrobimy sobie mały rekonesans? Panie będą musiały zadowolić się własnym towarzystwem przy jedzeniu.

Rich siedział przed monitorem komputera razem z Carą Movelli, próbując rozeznaczyć przynajmniej w części dokumentów stworzonych przez Jill. Przy kolejnych dziesięciu monitorach pomagało im po trzech naukowców z New Garden. Rich nie miał wyboru. Wprawdzie od razu przekazał pliki z serwera Jill odpowiedniemu zespołowi analityków genetycznych FBI, ale był on i tak o wiele za mały, aby poradzić sobie z taką masą danych, ponadto potrzebował trochę czasu, aby wgrzać się w materiał.

Sposób rozumowania Richa i Jessiki był prosty: pracownicy naukowcy z New Garden w najgorszym razie są we wszystko wtajemniczeni i wiedzą o zabójczym

wirusie, w związku z czym nie zdradzą ewentualnych informacji na jego temat zawartych w materiałach Jill. Ta wersja jednak wydawała się im obojgu najmniej prawdopodobna. Należało raczej przypuszczać, że wiedzą tą dysponuje co najwyżej kilka osób albo wręcz tylko jedna. Lub nikt. Poza tym może w plikach Jill nie da się niczego odkryć, ponieważ twórca wirusa znajduje się nie gdzie indziej, a w New Garden.

W związku z tym postanowili przydzielić analizę poszczególnych bloków danych trzyosobowym zespołom naukowców.

Jeśli wtajemniczonych jest zaledwie kilka osób, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, by któraś z trójek skompletowanych przez Richa akurat w całości pracowała nad wirusem – czy to z udziałem Jill, czy bez niej – i teraz nie zdradziłaby ewentualnej rewelacji w jej materiale. Raczej można było liczyć na współpracę ze strony większości naukowców, a przynajmniej taką nadzieję żywili Jessica i Rich. A jeśli nie, to mieli jeszcze backup w postaci speców z FBI, tyle że na wyniki ich pracy będą musieli poczekać trochę dłużej.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żeby znaleźli w tych materiałach zabójczy wirus – powiedziała Cara. – Jill nie robi takich rzeczy.

– To kto?

– Nie mam pojęcia.

Rich upił łyk kawy, która stała przed nim na biurku. Cara Movelli od razu wydała mu się dosyć bezpośrednia i otwarta, dlatego szybko nabrał do niej zaufania. Mimo to ostrzegął samego siebie, aby zachować ostrożność.

– Dlaczego właściwie San Diego? – spytał. – Dlaczego nie jakaś samotna wyspa na końcu świata, na której moglibyście pracować sobie spokojnie, przez nikogo nieobserwowani?

– Jak doktor Moreau czy pracownicy Parku Jurajskiego? A gdzie ludzie najmniej rzucają się w oczy? Pomiędzy innymi ludźmi.

Jej argument przemówił do Richa.

– Oficjalnie, a także dla naszego personelu dydaktycznego i dla obsługi oraz dla licznych pracowników naukowych jesteśmy zwykłym zamkniętym, strzeżonym osiedlem, w którym mieszkają głównie badacze. Wtajemniczona jest zaledwie garstka naukowców bezpośrednio zaangażowanych w projekt. Jesteśmy też formalnymi rodzicami tych dzieci.

– Ale skąd one się tutaj biorą?

– Od surogatek. W Stanach to przecież nie jest żaden problem.

– To one nie wiedzą, co w sobie noszą?

– Oczywiście, że nie.

– A gdzie mieszkają? Tutaj?

– Prowadzą zupełnie normalne życie w swoich domach, najczęściej w Kalifornii. Chodzą regularnie na kontrole do współpracującej z nami kliniki, są odwiedzane przez „rodziców”, mówiąc krótko: wszystko odbywa się standardowo. One nawet nie wiedzą o istnieniu New Garden. Po porodzie oddają dzieci naszym „osobistym rodzicom”, a oni sprowadzają się tutaj.

– I dlatego pozostały personel niczego nie podejrzewa.

– No właśnie.

– Ile jest ich obecnie?

– Dwieście osiemdziesiąt siedem. Ale większość surogatek w przypadku nowych wariantów nie donosi ciąży z powodu standardowych komplikacji.

Jej rzeczowa obojętność przerażała Richa, lecz związana z nią otwartość paradoksalnie jeszcze potęgowała jego zaufanie do tej kobiety.

– A w jaki sposób obchodzicie obowiązkowe testy na choroby genetyczne?

– Nie musimy ich obchodzić. Manipulacje genetyczne nie ujawniają się w tych testach.

– A co z nieudanymi eksperymentami? – spytał Rich.

– Wtedy płody obumierają bardzo wcześnie albo my sami w odpowiednim czasie przerywamy ciążę. Przez całe lata udawała nam się jedynie replikacja kolejnych Eugene’ów, Jill i jeszcze dwóch innych eksperymentów zakończonych sukcesem. Jak stwierdziliśmy z czasem, z wyjątkiem jednego przypadku wszystkie replikowane egzemplarze były o wiele lepsze, niż się spodziewaliśmy. Można by powiedzieć: podwójne czarne łabędzie. Myślę, że pan też jest już pod wrażeniem umiejętności Jill.

– Ale jak to było z pierwszymi dziećmi? Przecież z punktu widzenia technologii to wydaje się praktycznie niemożliwe.

Cara pokiwała głową w zadumie.

– Może nie niemożliwe, ale bardzo, bardzo trudne. I wymagało wiele szczęścia. Panu nie muszę przecież wyjaśniać, jak czasochłonne było edytowanie genów starymi metodami. Poza tym naszą inspiracją było co innego.

– Naszą? Kogo pani ma na myśli?

– Czternaścioro założycieli i założycielek pod kierownictwem Stanleya. On zapewnia znaczną część finansowania. W ciągu minionych lat dołączyły jeszcze dwadzieścia dwie osoby. Głównie dawni studenci lub współpracownicy założycieli.

– I nigdy nikt nie chciał upublicznić tego projektu wcześniej?

– Oczywiście nie brakowało dyskusji na ten temat. W końcu jednak przeważały

wspólne interesy.

– A nikt z was nie miał krytycznego stanowiska?

– Bywali tacy, ale nie byli nastawieni aż tak negatywnie, by zdradzić wszystko opinii publicznej.

– Dlaczego więc pani zgodziła się współpracować z nami? – spytał Rich.

– Skoro i tak wszystko się posypało, dalsza zabawa w tajemnice byłaby pozbawiona sensu.

– Rozumiem. Ale przerwałem pani. Zaczęła pani mówić o inspiracji zespołu. Co nią było?

– Wielkie obietnice technologii genetycznej wobec człowieka, na przykład wyeliminowanie chorób genetycznych. Zastąpienie zmutowanych genów BRCA odpowiadających za raka piersi. Tyle że dla wyłączenia chorób genetycznych znamy w większości przypadków znacznie prostszą i sprawdzoną metodę w ramach diagnostyki preimplantacyjnej: w macicy kobiety umieszcza się jedynie te zapłodnione komórki jajowe, które są pozbawione wadliwego genu. I zadanie wykonane. Po co więc dodatkowe nakłady energii i czasu na wymianę genów? Cała ta dyskusja o wyeliminowaniu chorób genetycznych za pomocą manipulacji na zarodkach jest jedynie zabiegiem PR-owym. Dlatego nasze eksperymenty wkrótce zaczęły zmierzać w innym kierunku.

– Optymalizacji. Cokolwiek to znaczy.

– Ostatecznie mieliśmy ogromne szczęście. Dwa z niezliczonych doświadczeń się powiodły. Założyliśmy, i jak się okazało słusznie, że natura pozwoli sprowadzić na świat tak skomplikowany organizm jak człowiek tak czy inaczej tylko wtedy, gdy poniekąd będzie on zdolny do życia. I tak się stało. Przeważająca część poddanych manipulacji zapłodnionych komórek jajowych w ogóle się nie zagnieżdżyła, a większość z zagnieżdżonych, jak już wspomniałam, obumarła w ciągu pierwszych kilku dni lub tygodni. Po prostu natura powiedziała im: „Nie”. Zaledwie nieliczne przyszły na świat: Jill i Eugene. A potem jeszcze dwa inne warianty.

– Czyli te dzieci, które tu żyją, to ostatecznie tylko te cztery warianty?

– Sytuacja uległa zmianie wraz z pojawieniem się metody CRISPR-Cas9. Słyszeliśmy o niej jeszcze przed jej oficjalną publikacją w dwa tysiące dwunastym roku i przeprowadzaliśmy doświadczenia już od dwa tysiące jedenastego. Stanley rozpoznał od razu, że muszą istnieć jeszcze inne możliwości. Przystąpiliśmy więc do przeszukiwania wszystkich dostępnych banków danych, aby znaleźć w nich podobne sekwencje genomów bakterii. I odkryliśmy jeszcze inne metody, dzisiaj już znane, na przykład CRISPR-Cpf1. Początkowo

walczyliśmy z takimi samymi wyzwaniami jak inni. Mam tu na myśli opublikowany w dwa tysiące piętnastym roku eksperyment chińskiego zespołu skupionego wokół Junjiu Huanga, który chciał poddać manipulacji gen odpowiadający za chorobę krwi beta-talasemię, albo podaną do wiadomości rok później próbę stworzenia przez Yonga Fana i jego kolegów zarodków odpornych na wirus HIV. Chodziło o dokładność et cetera. Po licznych dalszych testach z różnymi odmianami Cas poradziliśmy sobie z problemem, zresztą jak cała reszta naukowej społeczności. Tyle że my byliśmy szybsi. Po pierwszych próbach zakończonych sukcesem wybraliśmy, oczywiście w największej tajemnicy, kliniki partnerskie, aby pozyskać pierwszych klientów. Co mam dodać więcej? – Wzruszyła ramionami. – Reszta to historia. Która właśnie się dzieje.

Po niebie przesuwały się w słońcu niczym stado dużych i leniwych zwierzaków jasne kłębiaste obłoki. Ten idylliczny obrazek był jednak złudny, ponieważ między nimi krążyły niezmordowanie jak muchy nad kawałkiem mięsa ciemne helikoptery. Ich naziemne odpowiedniki jeździły po trawnikach, patrolując teren osiedla.

„Robią wrażenie” – pomyślał Greg, nieco onieśmielony.

On i Mike wyglądali natomiast wręcz śmiesznie w wózku golfowym, który bez namysłu zajęli i którym ruszyli przed siebie.

Żołnierze byli wszędzie i nie pozwolili im zbliżyć się do większości budynków: do części recepcyjnej, do przylegającego do niej skrzydła, do laboratoriów, do domów dzieci. I w ogóle do dzieci.

Podczas przejażdżki po kompleksie w pierwszym dniu pobytu w New Garden nie pokazano im wszystkiego, na przykład rozległe fragmenty parku widzieli tylko z daleka. Mike kierował pojazd w stronę lasu w obrębie wyznaczonego dla nich terenu.

– Musieli się zjawić akurat wtedy, kiedy my tu jesteśmy – złorzeczył.

Greg musiał to z siebie wyrzucić.

– Może to nie przypadek – powiedział.

– Dlaczego?

– Helen nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

– O czym?

– Tylko nikomu nic nie mów!

– Ale o co chodzi? Wyduś wreszcie!

– Przed przyjazdem tutaj opowiedziałem o tej wyprawie mojemu przyjacielowi.

– Przecież nie wiedziałeś, dokąd konkretnie jedziemy. Poza tym jakim cudem policja i wojsko mieliby dotrzeć do tej info...

– On pracuje w policji – wyjaśnił Greg. – Pomyślałem, że jeśli cała ta historia jest jedną wielką ściemą, to władze powinny się o tym dowiedzieć. A jeśli nie, to także.

– Świetnie! Nie mogłeś z tym poczekać do powrotu? – Mike pokręcił głową. – Ale mimo wszystko nie rozumiem, jak mogli cię tu znaleźć.

– Nie mam pojęcia – przyznał Greg. – Próbowałem przesznułować smartfon, ale wyniuchali go na lotnisku i zarekwirowali.

– Czyli aż do tamtego miejsca można było śledzić jego pozycję – stwierdził Mike. – Skoro znaleźli lotnisko, rozpatrzyli się w planach lotów – myślał na głos. – Nawet jeśli rozkłady są fałszywe, to istnieją inne możliwości. Detektory pozycji, satelity i Bóg wie co jeszcze. Tyle że patrząc realistycznie: jeśli nawet twój kumpel zgłosił gdzieś tę informację od ciebie, czy wyobrażasz sobie, że ktoś potraktował ją poważnie? A gdyby nawet, wierzysz, że policja w ciągu trzech dni wszystko by sprawdziła i wysłała wojsko? Nasza policja? Nasze władze? Nigdy w życiu! Zajęłoby im to ze trzy lata! – Skierował pojazd w stronę części lasu, której jeszcze nie znali. – Takie spekulacje do niczego nas nie doprowadzą.

Mike jechał w cieniu. Na lewo rozciągał się rozległy trawnik, po prawej i przed nimi – las. Znalazł wąską dróżkę i ruszył nią między drzewami.

– Fajne miejsce do zabawy w chowanego dla dzieci – stwierdził.

Greg rozejrzał się uważnie dookoła.

– Ciekawe, czy tutaj też mają kamery? Jakoś na razie nie widzę ani jednej.

Po niespełna minucie dotarli do muru, wysokiego na mniej więcej pięć metrów. Na samej górze był drut kolczasty i kawałki szkła. Na całej długości muru na specjalnej podporze tkwiły kamery zwrócone w różnych kierunkach.

Po jego drugiej stronie, w odległości około sześciu metrów, znowu zaczynał się las. Wystarczająco daleko, by nikomu nie udało się ani wyjść, ani wejść na osiedle po koronach drzew. Po wewnętrznej stronie biegła w obu kierunkach dróżka. Teraz Mike powiódł wzrokiem naokoło.

– Widzisz jakieś drzewo, na które moglibyśmy się wdrapać? – spytał Grega. – Dobrze byłoby się rozejrzeć.

Pnie były jednak potężne i gładkie, a najniższe gałęzie wyrastały dopiero na wysokości sześciu czy siedmiu metrów. Dach wózka golfowego dosięgał zbyt nisko. Mike ruszył w lewo wzdłuż ogrodzenia. Mniej więcej po minucie jazdy z drogą pod murem łączyła się kolejna dróżka wybiegająca z lasu. Dwie minuty dalej – jeszcze jedna. Na tym odcinku mur biegł zakolem nieco w lewo. Nie było żadnych drzwi, uskoków, budek strażniczych. Mike zatrzymał pojazd.

– Stoją na następnej krzyżówce – powiedział operator. – Ale jeszcze na dostępnym terenie.

Jeden z kadrów w centrum monitoringu ukazywał wózek golfowy ukośnie od góry, z perspektywy jednej z kamer umieszczonych na murze. Widać było jedynie przód i dach pojazdu, ale nie jego pasażerów.

– A gdzie jest ten drugi typ? – spytał John Lawsome.

– Skręca właśnie w następną drogę dojazdową do muru – wyjaśnił operator,

wskazując na monitor, na którym inny wózek golfowy zniknął w tym momencie w lesie.

– Czego on tam szuka? Przecież to jest chyba jeden z naukowców z kompleksu? Gdzie złapie go następna kamera?

– Tutaj – odezwał się operator, przełączając na widok z kamery na murze, w której zasięgu znajdowała się wąska leśna dróżka widziana z góry. – Lasy to czarne dziury.

Na drugim monitorze dwaj mężczyźni, zidentyfikowani jako Michael Kosh i Gregory Cole, kontynuowali wyprawę.

– Zaraz będą musieli pojawić się w miejscu, dokąd jedzie tamten drugi.

– Spotkają się?

Mike Kosh i Greg Cole wyłonili się spomiędzy drzew.

– A gdzie tamten? – spytał John.

Operator wzruszył ramionami.

– Powinien już tam dawno być.

– Poślij tam kogoś – rozkazał Lawsome.

Tymczasem na niewielkiej ścianie projekcyjnej po lewej widać było, jak Jessica wchodzi do pomieszczenia, w którym Eugene ze skrzyżowanymi na piersi rękami stoi naprzeciwko drzwi oparty o ścianę.

Spojrzał na nią jak przyczajone zwierzę, ale ani drgnął. Ona zaś obeszła stół naokoło i przysiadła na jego brzegu. W ten sposób nadal nad nim górowała.

– No i? – odezwał się zadziornie. – Spytałaś Stanleya o Kendrę?

– Tak – odpowiedziała.

– Pewnie nie był zadowolony.

– Skąd o tym wiedziałaś?

– Jack Wolfson już ci powiedział. To ja ją zrobiłem.

– I mam w to uwierzyć?

– Nie – roześmiał się. – Przecież jestem tylko dzieckiem! Skąd miałbym umieć coś takiego?

– Jack mówił coś jeszcze – dodała Jessica. – Że kopertę, w której rozesłał broń biologiczną, dostał od ciebie.

– I ty uwierzyłaś w te brednie?

Jessica postanowiła odrobinę się otworzyć. Może reakcja Eugene'a coś jej zdradzi.

– Sama już nie wiem, w co mam wierzyć, a w co nie wierzyć – westchnęła. – Nasłuchałam się tutaj tylu zwariowanych historii. O dzieciach na zamówienie...

Podobno jest ich kilkadziesiąt – dodała, wnikliwie obserwując twarz chłopca.

Ale on jedynie skinął głową.

– Zgadza się, to brzmi trochę nedorzecznie.

– A nie mógłbyś mi trochę w tym wszystkim pomóc, Eugene?

– Chcę iść się bawić – powiedział nagle płaczliwym tonem.

– Proszę bardzo – odparła, zirytowana jego nieoczekiwaną zmianą nastroju. –

Pomożesz nam?

– Ale jak?! – Już prawie ryczał.

Jessicę natychmiast dopadły wyrzuty sumienia.

– Po prostu opowiedz, co wiesz.

– Ale ja przecież nic nie wiem!

– A Kendra...?

– Usłyszałem przypadkiem! Mogę już iść się bawić? Proszę!

Greg usłyszał gdzieś przed nimi szelest w poszyciu. Potem zauważył cień. Przyłożywszy sobie palec do ust, stuknął Mike'a w ramię, na co ten kiwnął głową porozumiewawczo. On też to usłyszał. Około trzydziestu metrów dalej, wśród drzew.

– Żołnierze? – szepnął.

Między drzewami za zakrętem Greg dostrzegł drugi wózek golfowy. Mniej więcej dziesięć metrów od niego nieruchomo przykucnęła jakaś postać. Mężczyzna.

– Co on tam robi? – powiedział cicho Mike.

– Nie widzę.

Po chwili facet wyprostował się i po pękających gałązkach oraz szeleszczących liściach pobiegł do wózka. Wsiadł. Lekki szum gumowych kół cichł w oddali.

– Jest – powiedział operator. Wózek golfowy wyłonił się z tego samego miejsca w lesie, w którym niedawno zniknął. – Tamci dwaj stoją wciąż na krzyżówce. Czyli się nie spotkali.

– Dokąd on jedzie?

– Z powrotem do budynku.

– Odwołaj ludzi, skoro już wraca.

– A może pošlę ich do tych drugich?

– Nie trzeba. To cywile.

– Zabawne.

Wysoko ponad głowami Grega i Mike’a terkotał helikopter. Poza tym w lesie znowu panowała cisza. Mike uruchomił wózek i ruszył dalej wzdłuż muru, który w tym miejscu był wysoki na kilka metrów, z drutem kolczastym na górze. Nie sposób się wydostać. Przy następnej krzyżówce Greg zaproponował:

– Zawróć. Jestem ciekaw, co ten facet tam robił. Bo to było dziwne.

Mike zatrzymał się, wysiadł, rozprostował nogi i rozejrzawszy się dookoła, wsiadł z powrotem. Odbił w leśną dróżkę w kierunku otwartego terenu, ale za pierwszym łukiem skręcił w lewo między drzewa.

– Co ty robisz?

W tej części lasu poszycie nie było wysokie, a drzewa rosły na tyle daleko od siebie, że można było między nimi przejechać, chociaż wymagało to oczywiście nieco większej zręczności niż jazda po wytyczonych dróżkach.

– Trochę prywatności nam nie zaszkodzi – wyjaśnił Mike. – Kamery są rozlokowane tylko na murze, nie na drodze w lesie, którą przyjechaliśmy. Nie widziałem ich na żadnym skęćie. Skoro mamy jechać w podejrzanym miejscu, lepiej, żeby nas nikt nie widział.

Bawił się szaleńczą jazdą przez las. Przecięli drogę, którą przyjechał tamten mężczyzna. Mike zmierzał do miejsca, w którym go zobaczyli. Gdy się zatrzymał, obaj natychmiast wyskoczyli z pojazdu.

– To musiało być gdzieś tutaj.

Greg pierwszy zauważył ślady. Odciski zelówek, zdeptaną ziemię, rozrzucone stare liście pod dużym drzewem. Między dwoma korzeniami gałęzie i liście wyglądały jakoś inaczej niż wszędzie naokoło. Greg przykucnął, rozgarnął je i wymacał dłonią niewielki otwór. Sięgnął do środka. Na głębokości około pół metra coś leżało. Była to paczka wielkości kartonu na buty, owinięta w kilka warstw przejrzystej folii i oklejona niezbyt elegancko szeroką taśmą klejącą.

– Okeeej – bąknął Mike, przycupnąwszy obok Grega. – Trochę prymitywna kryjówka.

– Najprostsze rozwiązania są często najlepsze – powiedział Greg. – To musi być coś ciekawego, skoro w tej sytuacji zostało tu zdeponowane. – Aby wyjąć pakunek, musiał położyć się na brzuchu. – Mam nadzieję, że to nie bomba.

Wyciągnął go i z zaskoczeniem stwierdził, że jest całkiem ciężki. Kiedy zdecydowanymi ruchami zdarł folię, pod spodem ukazał się karton. Greg otworzył go. W środku znajdowały się jedno na drugim dwa pudełka z plastiku i metalu.

– Zewnętrzne dyski – stwierdzili obaj jednocześnie.

Greg wepchnął folię z powrotem w dziurę. Jeden dysk podał Mike’owi, drugi

wetknął sobie w talię za spodnie, pod koszulę. Następnie również karton wsunął do kryjówki i zakrył ją gałęziami i liśćmi.

– Bierzemy je – powiedział, wsiadając do wózka.

– No i nagle zrobiło się ciekawie – zauważył Mike, który również ukrył drugi dysk pod koszulą. – Podoba mi się ta przygoda.

Wracał tą samą trasą, którą przyjechali. Opuściwszy las, ruszyli ku budynkom.

– Są – oznajmił operator, kiedy Michael Kosh i Gregory Cole wyłonili się spomiędzy drzew.

– Coś nietypowego? – spytał Lawsome.

– Nie – odpowiedział operator, wpatrzywszy się uważnie w monitor. – Pewnie zatrzymali się na siku. Mam tam kogoś posłać?

– Są na terenie dozwolonym i nie robią nic podejrzanego – stwierdził pułkownik. I tak miał dosyć na głowie, bo od niedawna połowa gości gdzieś się włączyła. Nie wspominając już o dzieciach, które zajmowały całkiem sporo monitorów. Długo siedziały w jednym miejscu i teraz musiały się wyszaleć. John doskonale to rozumiał, bo on też miał dzieci. Na razie wszyscy zachowywali się spokojnie. I oby tak pozostało aż do przyjazdu pani prezydent.

Rich wraz z kilkoma naukowcami z New Garden stał wokół dużego stołu zastawionego monitorami. Wśród obecnych znaleźli się też członkowie zespołu specjalnego na czele z Jessicą. Na blacie leżały porozrzucane dziesiątki wydruków.

– To są symulacje tej dziewczyny z MIT – wyjaśnił Rich, kręcąc głową. – Ta mała to geniusz.

– O ile dobrze zrozumiałam, chyba o to chodziło – bąknęła oschle Jessica.

– Wyprzedziła to, nad czym na całym świecie pracują setki laboratoriów – dodał Rich.

– Czyli te laboratoria mają pecha – zauważyła znowu Jessica. – Albo może szczęście, jeżeli będzie im wolno wykorzystać tę wiedzę.

– Raczej nie – wtrąciła się do rozmowy Cara Movelli. – Jill jest naszym dzieckiem. Jako jej opiekunom to nam przysługuje prawo do zarządzania jej intelektualną własnością.

– To jeszcze trzeba będzie wyjaśnić – zaproponował Rich.

– Tak czy inaczej – przerwała im Jessica – po co mnie wezwaliście?

– Podczas analizy materiału zespół natrafił na kilka grup tematycznych, którymi zajmowała się Jill. Posługiwała się niezwykle złożonymi programami do projektowania i symulacji zmian genetycznych. Muszę jeszcze je dokładnie przestudiować, ale już teraz można z pewnością stwierdzić, że udało jej się samodzielnie rozbudować i wzbogacić dostępny software. W każdym razie wśród przeprowadzanych przez nią prób były też manipulacje materiałem genetycznym różnych roślin i zwierząt użytkowych. Między innymi bawełny, kukurydzy i kóz. – Rich odczekał chwilę. Nagle Jessica zrozumiała. – Kiedy się o tym dowiedziałem – ciągnął dalej – rzecz jasna od razu przyjrzałem się im bliżej. – Sięgnął po kilka wydruków. – Niektóre z tych symulacji odzwierciedlają dokładnie to, co w ostatnich tygodniach odkryto w Ameryce Południowej, Afryce i Azji.

„A konkretnie w Brazylii, Tanzanii i Indiach” – dodała w myślach Jessica. Rich prawdopodobnie nie chciał odsłaniać wszystkiego przed Carą.

– Czyli to są niejako projekty? – spytała.

– Możliwe – odpowiedział. – Tak mi się wydaje. Zwłaszcza że uzupełniające pliki zawierające zdjęcia i opisy testów na pierwszy rzut oka nie wyglądają na materiał wstępny zebrany w trakcie przygotowywania się do testów, tylko na dane potwierdzające realizację misji. Zresztą ona chyba nawet dostała skądś

informację o powodzeniu eksperymentu. Trzeba by porównać jeszcze te pliki z innym źródłem.

Elementy układanki powoli trafiały na właściwe miejsca, przez co natychmiast wyłaniały się nowe pytania.

– Czy chce pan przez to powiedzieć – przerwała mu Cara Movelli, nie kryjąc podniecenia – że te organizmy już istnieją, są obecne w naturze? – Ani Jessica, ani Rich jej nie odpowiedzieli. – Ale jak Jill mogłaby do tego doprowadzić? – spytała z niedowierzaniem czy wręcz desperacją w głosie. – Musiałaby poddać je manipulacjom genetycznym. Potrzebowałaby pół uprawnych i zwierząt do testów. No i w końcu musiałaby przetransportować materiał na miejsce docelowe i tam go rozprowadzić! Ona ma dziesięć lat! Kiedy miałyby to zrobić? Nawet jeśli wystarczają jej zaledwie trzy godziny snu na dobę.

– Stworzyła te modele w sposób dla was niezauważalny – powiedział Rich. – I jak zdążyłem się zorientować, była aktywna także na wielu innych polach. Dla tej małej nie istniały nierozwiązywalne problemy.

– Czy są jakieś nowe wiadomości z tamtej strony? – Jessica zwróciła się do Richa.

– Nie.

– To chyba pora już porozmawiać z osobami odpowiedzialnymi. Nawiążcie kontakt z tym, jak to on się nazywał... z Jacobsenem.

– Tak jest – potwierdził Tom. – Oprócz tego Hannah Pierce, matka adopcyjna Jill w Bostonie, chce koniecznie porozmawiać ze swoimi ludźmi tutaj.

– Nie dziwię się jej.

– Mówi, że to bardzo pilne. Podobno znalazła coś w danych Jill.

– Jeszcze coś? – wtrącił Rich. – Mówiąc szczerze, na dzisiaj mi wystarczy.

– Ciekawe, co takiego jest zapisane na tych dyskach, że zostały ukryte? – zastanawiał się Mike, stawiając wózek golfowy obok wejścia do budynku mieszkalnego dla gości.

Greg, spostrzegłszy wypukłość pod swoją koszulą, szybko wciągnął brzuch, żeby nikt niczego nie zauważył. Helen prawdopodobnie wciąż siedziała z Dianą w jadalni. Schował więc szybko dysk w szafie w przedpokoju i wyszedł z powrotem na korytarz, gdzie znowu natknął się na Mike'a, który właśnie zamykał drzwi do swojego pokoju.

– Musimy postarać się o komputer – szepnął Greg. – Dyskretnie.

– To nie będzie proste. Ale trzeba pomyśleć. Gdzie tutaj są komputery? W pracowniach komputerowych dla dzieci. W administracji. W domach,

w których mieszkają rodziny.

– Najlepszy byłby laptop. Bo moglibyśmy zabrać go w jakieś niemonitorowane miejsce. Widziałem kilka w pracowniach.

– Trzeba by jakiś wynieść.

– Może nawet nie. Wystarczyłoby tylko odwrócić monitor tak, aby nie był w zasięgu kamer...

– ...a te w budynkach są niemal wszędzie, nawet nie wiemy gdzie. Nie mówiąc już o tym, że w komputerach są pewnie zainstalowane programy szpiegujące. Żeby było wiadomo, w co te dzieciaki grają.

– Powinniśmy jednak spróbować zdobyć laptop – uznał Mike. – Bezczelność górą.

– No dobra, to spróbujmy. Najpierw z jednym dyskiem. Przyniosę swój.

Minutę później Mike wsunął pudełko między kartki magazynu modowego, który Diana wzięła sobie na podróż. Jeśli ktoś by dokładnie się przyjrzał, od razu zauważyłby dziwny kształt. Ale czy ktoś tego dnia dokładnie się czemuś przyglądał?

Poszli spacerem w stronę kompleksu edukacyjnego. W centrum zabaw kilkoro dzieci i ich opiekunowie siedzieli przed ekranami i byli tak pochłonięci grą, że w ogóle nie zwrócili uwagi na wchodzących. Greg i Mike stanęli obok kobiety w okularach, która, jak ocenił Greg, mogła mieć około trzydziestu pięciu lat. Była ubrana w dzinsy i w sportową bluzę i patrzyła, jak dwaj chłopcy lądują na lotnisku.

– Dziwna cała ta sytuacja – zagał Mike.

– Można tak powiedzieć – przyznała, nie odrywając wzroku od ekranu. Dopiero gdy chłopcy posadzili samolot, odwróciła się, na co mężczyzna wyciągnął rękę i grzecznie się przedstawił:

– Mike.

– Meredith – rzekła kobieta. – Dzieci nazywają mnie Mary.

Dwaj chłopcy prowadzili teraz maszynę na właściwe miejsce na płycie lotniska. Greg również się przedstawił.

– A jak dzieci dają sobie radę z tą sytuacją? – spytał po chwili.

– W porządku. Dla większości to po prostu wielka przygoda.

– To chyba najlepsze podejście – stwierdził Greg.

Mike usiadł na pufie obok Mary. Pismo z jego niezwykłą zawartością położył poza zasięgiem jej wzroku.

– Chcielibyśmy panią o coś spytać, Mary. Czy tu albo gdzieś indziej jest laptop, z którego moglibyśmy skorzystać?

– Grać możecie tutaj, na każdym terminalu – odpowiedziała kobieta. – Normalnie te urządzenia są przeznaczone dla dzieci, ale co w tej chwili jest normalne?

– No właśnie – rzekł Mike. – My nie chcemy grać. Potrzebny jest nam laptop. I kabel do podłączenia zewnętrznego dysku.

Mary zmierzyła ich krytycznym wzrokiem, na co mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie pozwolono nam zabrać własnych komputerów.

– A zewnętrzne dyski pozwolono?

– Może dzięki laptopowi uda nam się zrozumieć, co tu się dzieje – wyznał Greg.

Mary wyraźnie miała wątpliwości, lecz po jej oczach widać było, że mężczyzna lekko ją zaintrygował.

– Ja mam laptop – powiedziała. – W domu.

– I kabel też?

– Tak.

– Mogłaby nam pani go pożyczyć?

Kobieta rozejrzała się, jakby czuła się obserwowana.

– Okej – zgodziła się cicho.

– Ale nam nie wolno przebywać poza wyznaczonym terenem. Musiałaby pani przynieść go tutaj. Dyskretnie, żeby nikt nie zauważył.

– Poproszę tylko Tima, żeby miał oko na moich dwóch chłopców.

– Co ona mogła tam robić? – spytał John operatora, gdy na monitorze wychowawczyni znowu wyszła z domu. Miała luźną koszulę wyrzuconą na spodnie, a pod spodem T-shirt.

Na pozostałych ekranach wciąż te same kadry: ludzie w salach, łąki, budynki, tu i ówdzie żołnierze albo pojazdy wojskowe. Wszędzie spokój.

Operator odtworzył nagranie w przyspieszonym tempie.

– Weszła na chwilę do sypialni. Tam nie ma kamer. A potem opuściła dom. To wszystko.

Na monitorze widać było, jak wsiadła do elektrycznego pojazdu i zniknęła z kadru. Operator przełączył ekran na inną kamerę, aby obserwować ją dalej. Wreszcie dotarła do centrum zabaw, w którym zagadnęli ją dwaj mężczyźni z grona gości.

– Hm – bąknął Lawsome. – Co tam się dzieje?

Jessica nieustannie biegała tam i z powrotem po korytarzach, ponieważ ciągle ktoś czegoś od niej chciał.

– Co jest? – warknęła do słuchawki. Tym razem zgłaszał się operator z centrum bezpieczeństwa.

– Mam na linii adwokata, który twierdzi, że reprezentuje doktora Winthorpe’a, i chce z nim rozmawiać. Z mediów dowiedział się o zamknięciu osiedla.

– Proszę mu powiedzieć, że doktor jest zajęty – rzuciła niecierpliwie Jessica. – Odezwie się, jak znajdzie czas. Jeśli będzie uciążliwy, pošlijcie kogoś do niego i go zatrzymajcie.

Gdy doszła do laboratorium, do którego wezwał ją Rich, rozłączyła się.

Ujrawszy trzech pracowników CDC, poczuła guł w gardle. Obok nich wokół blatu roboczego zgromadzili się Rich, Tom, Jaylen, Cara Movelli i Stanley Winthorpe.

– O co chodzi?

– Mamy pierwsze analizy – oznajmił Rich.

Jessica znowu nic nie rozumiała z widocznych na monitorze szeregów liter połączonych kreskami. Powyżej były wyświetlone portrety i imiona dzieci. Eugene’a, czterech innych i nowo narodzonej Kendry.

– Eugene, czwórka przypadkowo wybranych dzieci i mała Kendra posiadają naprawdę niezwykły genom – wyjaśnił Rich.

– To znaczy, że ich materiał genetyczny był poddany manipulacji? – dopytała Jessica.

– Tak.

Słyszała szum krwi w uszach, słyszała własny przyspieszony oddech. Do tej pory to było tylko przypuszczenie.

Oczami wyobraźni ujrzała Jamiego i Amy. Obok Eugene’a i pozostałych.

– Zgadza się – potwierdził Rich niewypowiedziane na głos myśli członków zespołu specjalnego. – Mamy do czynienia z przełomem.

Naukowcy sprawiali wrażenie, jakby odetchnęli z ulgą. Byli niemal dumni. Tymczasem Tom głosem pulsującym furią krzyknął:

– Co wyście sobie myśleli?! Co wyście zrobili?!

– To niesamowite, jak szybko w takiej sytuacji człowiek popada w paranoję – zauważył Mike, wyciągając w swoim pokoju zza paska spodni laptop, który ukrył na szerokich plecach pod koszulą.

Usiedli razem za biurkiem, uruchomili komputer i podłączyli dysk zewnętrzny.

W oknie na monitorze ukazały się dziesiątki katalogów. Ich nazwy – kombinacje cyfr i liczb – nic im nie mówiły. Gdy Mike kliknął w pierwszy z brzegu, okazało się, że jest w nim jeszcze więcej podkatalogów o dziwnych opisach. Kliknął ponownie. Dokumenty. Teksty. Zdjęcia. Otworzył jedno z nich.

– Co to... u diabła... – Nie dokończył zdania. – Rany boskie!

Obaj niemo wpatrywali się w ekran. Coś w kształcie nerki widoczne na czarno-białym zdjęciu USG przypominało Gregowi embrion we wczesnej fazie rozwoju. Chociaż nie był medykiem, coś mu się jednak nie zgadzało.

– Co...? – Wciąż nie rozumiał. Wskazał na jedno miejsce na monitorze. – Czy... to... jest... oko?

Mike skinął głową.

– A to? Dłoń?

– Na to wygląda – szepnął Mike.

– Ale ona tu nie pasuje.

Otworzył kolejne pliki ze zdjęciami. Przedstawiały przedziwne twory, które były jeszcze mniej podobne do człowieka niż ludzkie zarodki w pierwszych tygodniach ciąży.

Mike otworzył całą galerię.

Gdy ukazały się kolorowe zdjęcia abortowanych zdeformowanych płodów, odwrócił twarz z jękiem. Wiedział jednak, że musi sprawdzić wszystko do końca. Nie odzywali się do siebie ani słowem. Wreszcie Greg zamknął oczy i opadł na oparcie krzesła.

– Boże drogi! – stęknął.

Kiedy znowu uniósł powieki, Mike otwierał różne dokumenty tekstowe.

– Spójrz.

Medyczny żargon, kompletna chińszczyzna. Greg nie rozumiał nic a nic. Tytuły, liczby, daty.

Mike zwrócił mu uwagę na jedną linijkę.

– Popatrz, rok: dwa tysiące czwarty. I tutaj: *abortus*.

Otworzył następne pliki, zdjęcia, teksty.

– *Fuck!* – zaklął. – Nasze żony nigdy nie mogą tego zobaczyć.

– Czego nie możemy nigdy zobaczyć? – Od drzwi dobiegł głos Diany. – Co się z wami dzieje? Gdzie wyście się podziewali? Za pięć minut wszyscy musimy zameldować się w jadalni. Zapomnieliście? Macie swoje dokumenty?

Greg zerwał się z krzesła, żeby zasłonić laptop, podczas gdy Mike zamknął go i starał się ukryć gdzieś dysk.

– Nie zauważyliśmy, że już jest ta godzina – powiedział. – Zaraz przyjdziemy.

Diana wyjęła swój dowód z torby podróżnej i wetknęła go do tylnej kieszeni spodni.

– A czego nie możemy nigdy zobaczyć? – zainteresowała się teraz Helen.

Greg przełknął nerwowo ślinę, wiedział bowiem, że jego żona tak łatwo nie zrezygnuje.

– Wy zawsze wszystko możecie zobaczyć – odezwał się Mike obok niego i zaczął popychać obie kobiety przed sobą w kierunku wyjścia. – Później. No, dalej, idziemy.

– Zaraz, zaraz – nie ustępowała Helen.

Drobna, zwinna Diana już przecisnęła się obok nich.

– A co to za laptop? – spytała.

– Pożyczony, od jednej z opiekunek – wyjaśnił Greg.

Diana obrzuciła Mike'a wymownym spojrzeniem: kłamstwa, wykręty, gierki – bezcelowe.

– Naprawdę lepiej, żebyście tego nie oglądały – powiedział Mike błagalnym tonem.

Greg jeszcze nie słyszał go mówiącego z takim przejęciem. Ale wszystko na próżno. Diana odkryła już dysk, który Mike położył na podłodze obok biurka. Zakazany owoc. Zawsze najlepiej smakuje. Prawie zawsze.

– To są nagrania poprzedzające dzień, w którym Wolfson opuścił New Garden i wysłał list – oświadczył żołnierz o imieniu Ed, jak wynikało z plakietki na jego piersi. – Udało nam się zrekonstruować najdalej trzy dni wstecz. Ale i w tych zapisach są łącznie kilkugodzinne luki, kiedy Wolfson znajdował się poza zasięgiem kamer.

Na ile Jessica zdążyła zauważyć, Sam Pishta dosyć sumiennie z nimi współpracował. Natychmiast oddał im do dyspozycji wszystkie nagrania wideo, a czterej jego pracownicy przez cały czas służyli jej ludziom informacjami, ewentualnie pilotowali ich po terenie kompleksu.

– W ciągu tych trzech dni nie pojawia się nigdzie z kopertą – kontynuował Ed.

– Ani nikt inny z jego otoczenia. Również Eugene. Co o niczym nie świadczy, bo on albo ktoś inny mógł mieć ją schowaną gdzieś blisko ciała i w miejscu niemonitorowanym przekazać dalej.

– Czy oni wiedzieli o monitoringu?

Ed wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

Obok Eda siedział Said. Również on przewijał w przyspieszonym tempie do tyłu jakieś wideo.

– To są nagrania Eugene’a. Ale według mnie nie ma tu nic ciekawego. Jeśli chodzi o filmy z laboratoriów, potrzebni mi są specjaliści, którzy przyjrzeliby się im dokładniej. Kiedy można na nich liczyć?

Nie byli przygotowani na taką sytuację. W New Garden i w okolicy znajdowało się już ponad pięciuset żołnierzy, policjantów i funkcjonariuszy FBI. Ale przydałoby się jeszcze co najmniej dwustu genetyków, jak stwierdził Rich, aby móc szybko zweryfikować przynajmniej najważniejsze informacje. To było jak trzęsienie ziemi, po którym niespodziewanie nastąpiła jeszcze powódź. I pandemia. I uderzenie komety. Byli zmuszeni improwizować. I ustalić priorytety.

– Zobaczę, co się da zrobić – obiecała Jessica.

Padające z szarego nieba nad San Diego pojedyncze krople deszczu zrosiły skórę Jessiki. Odchyliwszy głowę, zamknęła oczy i czekała na kolejne wilgotne i chłodne muśnięcia na twarzy.

Na kilka krótkich minut zrobiła sobie przerwę od tego obłędu i ukryła się w jednym z nielicznych spokojnych miejsc, pod osłoniętym od wiatru murem. Od przybycia do New Garden nie miała ani sekundy na zastanowienie. Wciąż musiała podejmować jedną decyzję za drugą. Spała w sumie co najwyżej kilkanaście minut, i to tylko wtedy, kiedy ze zmęczenia przysypiała byle gdzie, a inni łaskawie pozwalali jej się zdrzemnąć chociaż przez chwilę.

Tak więc mają już pewność: od teraz ludzie piszą własną historię. Może właśnie napisali „K” jak „koniec”. Albo „P” jak „początek”. Tylko czego?

Drobne krople padały na jej nos, policzki, czoło. Jessica otworzyła oczy i w szarych oparach szukała wzorów lub postaci, jak to czasami robiła z dziećmi, wyszukując na letnim niebie wśród wielkich białych chmur różne figury i fantazjując na ich temat.

Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjęła cienki portfel. Wyciągnęła z niego zdjęcie. Amy i Jamie uśmiechali się do niej, opaleni, promienni, z włosami zwichrzonymi przez wiatr, zatrzymani w jednym z momentów

szczęścia, utrwalonym po wieczne czasy. Doskonali. Brzeg fotografii był zniszczony i poszarzały, zgięcie papieru przecinało czoło Amy. Z daleka dobiegały głosy szalejących dzieci.

– To twoje?

Nie słyszała kroków Richa. Skinęła głową.

– Ty też masz dwoje – przypomniała sobie.

– Także chłopca i dziewczynkę, piętnaście i szesnaście lat – powiedział.

– Mówiłeś, że zbyt rzadko ich widzisz.

– Nawet to zapamiętałaś. Ale to lepiej dla nich. – Usiłował się roześmiać, ale mu nie wyszło.

Na zdjęcie spadła spora kropla. Jessica wytarła ją rękawem kurtki. Potem otarła sobie policzek.

Rich zauważył to. Objął ją ostrożnie i delikatnie uścisnął. Nie broniła się. Potrzebowała tego teraz. On też.

– Co z nimi będzie? – powiedziała z lękiem.

– Masz na myśli nasze dzieci? – spytał Rich. – Czy... te stąd?

– Wszystkie.

Jessica, Rich i pozostali członkowie zespołu specjalnego, a także Stanley Winthorpe i Cara Movelli stali w szeregu w tylnej części patio. Niewielki oddział żołnierzy zabezpieczał najbliższy teren, podczas gdy tuż obok na łące wylądowało sześć helikopterów. Z maszyn natychmiast wyskoczyli ludzie z obstawy i skoncentrowani powiedli wzrokiem zza ciemnych okularów we wszystkie strony. Następnie dyskretnie dali znak, że wszystko jest w porządku, i po chwili pojawili się kolejni pasażerowie. Z trzeciego śmigłowca wysiadła prezydent, z pozostałych – ministrowie, doradcy do spraw bezpieczeństwa i członkowie komisji etyki. Zgłoszono delegację dwunastoosobową, w związku z czym w całym kompleksie podjęto dodatkowe środki bezpieczeństwa. Prezydent w trzepoczącym stroju zmierzała zdecydowanym krokiem ku Jessice, za nią zaś kroczyła reszta delegacji.

Jessica przedstawiła Stanleya Winthorpe'a i Carę Movelli.

Naukowcy i prezydent zmierzyli się wzrokiem. Naprzeciw siebie stali przywódczyni Stanów Zjednoczonych, jedna z najpotężniejszych postaci na świecie, oraz współtwórcy istot, które co prawda wciąż są ludźmi, ale pod wieloma względami górują nawet nad tą wszechwładną kobietą. A także nad swoimi twórcami. Kto z nich wszystkich będzie miał ostatecznie większy wpływ na kształt przyszłości?

– No to proszę nam pokazać ten wasz nowy wspaniały świat – powiedziała prezydent.

Przez następną godzinę Jessica w towarzystwie Stanleya i Cary oprowadzała panią prezydent po obiekcie. Na wstępie pokazano jej plan ośrodka i film reklamowy, za pomocą którego Winthorpe wraz z partnerami nakłonili do współpracy kliniki położnicze i który w zwięzły i zrozumiały sposób prezentował samą ideę i jej genezę, a także koncepcję naukową i jej realizację. Był to montaż nagrań wideo prezentujących między innymi dzieci na najrozmaitszych etapach rozwoju, uchwyconych, gdy dyskutują nad złożonymi problemami matematycznymi i ku osłupieniu swoich nauczycieli z łatwością je rozwiązują, gdy przeprowadzają nowatorskie eksperymenty w laboratoriach i w postaci symulacji komputerowych oraz gdy popisują się niezwykłymi dokonaniem sportowymi. Na koniec objazdu po kompleksie delegacja dotarła do jednego z budynków mieszkalnych.

Kiedy dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy próbowało towarzyszyć prezydent

podczas wizyty w nim, stanowczo ich odprawiła. Najwyraźniej ona również, podobnie jak Jessica, uważała, że mimo tych niezwykłych umiejętności i talentów dzieci są wbrew wszystkiemu tylko dziećmi.

– To są dzieci – powiedziała jakby na potwierdzenie. A po chwili szepnęła do Jessiki: – Czy on też tam jest?

Gdy obie ruszyły w stronę domu, Jessica pokazała prezydent na swoim smartfonie zdjęcie kartki znalezionej w Bostonie w rzeczach Jill Pierce. „Uważajcie na Gene’a! Jest potwornie niebezpieczny!”. Prezydent, zapoznawszy się pokrótce z sytuacją, koniecznie chciała poznać tego osobliwego chłopca.

– Tak. Na jakiś czas odizolowaliśmy go od wszystkich i przesłuchaliśmy, ale bez rezultatu. Dlatego na razie pozwoliliśmy mu wrócić do rodziny.

Prezydent, skinąwszy głową, weszła do przestronnego salonu, w którym znajdowało się pięcioro dzieci i tyle samo dorosłych opiekunów.

– Większość dzieci już śpi – wyjaśniła po cichu Jessica.

Pod ścianami pokoju stało z pół tuzina uzbrojonych żołnierzy w mundurach. Dwoje z dzieci zdawało się nic sobie nie robić z ich obecności i grało bez troski na tabletach. Inna dwójka siedziała na kolanach wychowawców, którzy mówili do nich łagodnym głosem albo śpiewali, głaszcząc je po głowach. Najmłodsze maluchy wyglądały na co najwyżej dwa latka. Co, jak Jessica już wiedziała, mogło być mylące. Eugene pisał coś na tablecie.

– Sprawiają wrażenie całkiem normalnych – stwierdziła prezydent.

Gdy niemal cała ekipa weszła do środka, oczy wszystkich zwróciły się na nią.

– Ten z ciemnymi kręconymi włosami to Eugene – szepnęła Jessica prezydent do ucha.

Chłopiec odłożył tablet i patrzył wyczekująco na przybyłych.

– Dzień dobry, dzieci! Witam także dorosłych! Cieszę się, że mogę was poznać.

Wielogłosowa nieśmiała odpowiedź. Wszyscy w napięciu czekali na słowa tak ważnej osoby. Kiedy zaczęła mówić, Eugene wstał. Żołnierze pod ścianami wyprężyli się natychmiast. Chłopiec wyszedł na środek i zatrzymał się przed prezydent. Tuż za nim stanął jeden z wojskowych, którego nie powstrzymało nawet surowe spojrzenie przywódczyni państwa.

– Kogo my tu mamy? – spytała prezydent, podczas gdy także wśród pozostałych członków obstawy zapanował niepokój. Zamiast wygłosić zaplanowane przemówienie, prezydent pochyliła się, aby jej twarz znalazła się na wysokości wzroku Eugene’a. Był to spontaniczny gest, który spodobał się Jessice, chociaż nie miała pewności, czy w tej sytuacji jest wskazany. Kiedy spojrzenia ich obojga się spotkały, chłopiec powiedział dziecięcym głosem:

– Nie wierzysz.

Zwrócił się do niej per ty. Jessica miała ochotę się uśmiechnąć, ale moment był chyba zbyt poważny. Żołnierz trzymał ręce zaledwie kilka centymetrów nad ramionami Eugene’a, gotów w każdej sekundzie chwycić go za nie, co nie robiło na tym dzieciaku najmniejszego wrażenia.

Prezydent uśmiechnęła się urzędowo, lecz nie zdążyła nic powiedzieć, ponieważ on mówił dalej.

– Wciąż nie wierzysz w to, co usłyszałaś i co zobaczyłaś. Tak jak połowa twoich ludzi. „To wszystko jest rozdmuchane – myślisz sobie. – I wcale nie takie straszne”. Cudu też w tym nie widzisz. Druga połowa jest bardziej przytomna. I ma pełne spodnie ze strachu. Albo gotuje się z wściekłości.

Prezydent wciąż miała uśmiech na twarzy.

– Widzę, że jesteś wyjątkowo błyskotliwym chłopcem – powiedziała.

– Na tyle mądrym, żeby na własną rękę dojść, kim tak naprawdę jestem – odparł Eugene. – I wystarczająco rozgarniętym, aby zrobić to tak, żeby oni – w tym momencie wskazał na Carę i Stanleya – niczego się nawet nie domyślili. I zdecydowanie mądrzejszym, niż planowali. – Uśmiechnął się ironicznie do prezydent. – A także znacznie mądrzejszym od ciebie.

Uśmiech na ustach prezydent zmienił się w sztuczny grymas. Ale znowu nie zdążyła się odezwać, ponieważ chłopiec kontynuował:

– Jestem nie tylko mądry, ale jestem też nowym gatunkiem. No, może nie do końca, ale prawie. – Wzruszył ramionami. – Ale jakoś ze sobą wytrzymamy – rzekł głośniej niż dotąd, zwracając się także do wszystkich zebranych za plecami prezydent. – Ci goście – ponownie wskazał na dwójkę naukowców – wymyślili już w tym celu masę odpowiednich programów. – Najwyraźniej napawał się widokiem ich osłupiałych twarzy. – Tak, tak, wiem dużo więcej, niż myślicie. Powinniście lepiej zabezpieczać swoje systemy IT. Włamanie się do nich było dziecinnie proste. – Roześmiał się. – Drobną grą słów! Tak czy inaczej, te plany są, po pierwsze, sformułowane trochę jednowymiarowo, z waszego punktu widzenia. Brak w nich naszej perspektywy. Poza tym zakładacie zdecydowanie zbyt wolny proces rozwoju. Dlatego musimy je opracować na nowo.

Jessica z coraz większą fascynacją i jednocześnie z narastającym niepokojem śledziła wywód Eugene’a. Te emocje wywoływał uderzający kontrast między jego dziecięcym wyglądem, piskliwym, cienkim głosem małego chłopca a starannie dobranymi, dojrzałymi sformułowaniami. To nie był język dziecka. Bez trudu, bez choćby najmniejszej słownej potyczki odebrał przywódczyni wolnego świata władzę i sam wytyczył ramy dyskusji. Jessice zdarzało się nieraz

być świadkiem popisów chełpliwości własnego syna. Całkiem nieporadnych. Bezsensownych. Słodkich albo nawet ostrych. Ale w sumie niegroźnych. Nie niebezpiecznych. To, co widziała w wykonaniu Eugene'a, było czymś zupełnie innym. Poczwała ciarki na plecach.

– Żebyś nie odłożyła tego na nie wiadomo kiedy, zrobimy to tutaj wspólnie – oznajmił.

– Posłuchaj, masz na imię Eugene, tak? – Prezydent próbowała przejąć inicjatywę. – No więc, Eugene, o tym zdecyduje raczej...

– Ja – przerwał jej bezczelnie swoim piskliwym głosem. – Ja o tym zdecyduję. I nikt nie opuści terenu osiedla, dopóki się nie porozumiemy.

– Sądzę... – zaczęła znowu prezydent, podczas gdy uśmiech już całkowicie zniknął z jej twarzy.

Natomiast Eugene uśmiechnął się jeszcze promiennie.

– W każdym razie taka jest moja sugestia – przerwał jej po raz kolejny, jakby była jakąś uciążliwą zrzędą. Jessica nie mogła się nadziwić, że prezydent mu na to pozwala. – Jeśli miałabyś wątpliwości, dlaczego powinniście tu zostać, obejrzyjcie sobie projekt 671F/23a w materiałach Jill. I pamiętajcie, że w New Garden to już się zaczęło.

Jessica zerknęła na Careę, ale ona jedynie bezradnie wzruszyła ramionami.

– Powiem tylko tyle: Kendra – dodał Eugene niemal ze złośliwą satysfakcją, powodując, że Jessicę znowu przeszył dreszcz.

Może ostrzeżenie zostawione przez Jill było uzasadnione. Czy też oni oboje są siebie warci?

– Eugene – powiedziała Jessica, świadoma ryzyka, że włącza się do rozmowy w momencie niekorzystnym dla prezydent. Ale może chłopiec, upojony własną wyższością, da się zaskoczyć. – Czy wiesz, gdzie jest Jill?

Pytanie najwyraźniej go zirytowało, lecz po chwili konsternacji odpowiedział opryskliwie:

– Przecież nie jestem jej stróżem.

– Najchętniej wtrąciłabym tego smarkacza do lochu i zostawiła w nim o chlebie i wodzie! – parsknęła prezydent już po wyjściu z domu, otoczona wianuszkami swoich ludzi. – Co on sobie wyobraża!? Na oczach wszystkich robi ze mnie marionetkę! – Następnie zwróciła się ostro do Richa: – O jakich projektach mówił ten bękart?

– Przypuszczalnie o materiałach tamtej dziewczyny z MIT, które niedawno zostały odkryte – odpowiedział nieśmiało profesor.

– To oni ich jeszcze nie przeanalizowali?

– Powstała ich niesamowita ilość. Właśnie staramy się uzyskać wstępną orientację.

– Teraz przynajmniej wiecie, czego macie szukać w następnej kolejności. Ile może potrwać, zanim dojdziecie do jakichś przydatnych wniosków?

– Jeżeli coś znajdziemy, prawdopodobnie już w ciągu godziny będziemy w stanie sformułować pierwsze konkluzje. Zaznaczam: jeżeli.

– No to znajdźcie coś! I skróćcie godzinę do trzydziestu minut. – Prezydent odwróciła się jeszcze raz w stronę domu i oparłszy ręce na biodrach, rzuciła: – A co zrobimy z tym bezczelnym bachorem? Tak czy inaczej przydałaby mu się porządna lekcja.

– On bawi się z nami w kotka i myszkę – zauważyła Jessica. – Zdradza jedynie to, co mu pasuje i kiedy mu pasuje. Nie mamy za co go ukarać.

– Bzdura! Przecież nie możemy pozwolić, żeby ten smarkacz wodził nas za nos! Ludzie! Mamy dowody! To stąd wyszedł zabójczy wirus! A jeżeli tutaj preparowana jest jeszcze całkiem inna broń biologiczna? Gorzej: tutaj produkuje się dzieci na zamówienie!

„Ciekawa ocena” – przemknęło Jessice przez głowę.

– A ten chłopak wie mnóstwo o tym wszystkim. Mam wrażenie, że częściowo chyba nawet więcej niż jego twórcy! To jest ewidentny stan wyjątkowy! I jako taki wymaga nadzwyczajnych działań!

Jessica przyjęła tę reprimendę z powściąganą złością. W istniejącej sytuacji bowiem nie było dla niej dobrego wyjścia. Jeżeli trzymała się przepisów, zarzucano jej – jak choćby w tej chwili – brak inicjatywy i niedostateczną stanowczość. Gdyby surowiej obeszła się z Eugene’em, też pewnie naraziłaby się na krytykę. Taka praca.

– Proszę się postarać, żeby zdradził, co wie – zażądała prezydent. – Odizolujcie go od reszty. Przesłuchujcie ostrzej niż do tej pory. W którymś momencie rozwiąże mu się język. W końcu to nie jest wytresowany terrorysta przygotowany do przesłuchań. Albo niech zrobi to za was ktoś inny, jeśli uważacie, że potrafi to lepiej. Generale?

– Do dyspozycji, pani prezydent.

Jessica poczuła, że chyba pobladła. Ostre przesłuchanie? To nie jest wytresowany terrorysta? O jakich metodach myśli ta kobieta? Czy ona naprawdę sugeruje zastosowanie tortur? Wobec dziesięciolatka? Co za absurdalny pomysł! Poza tym przecież wiadomo, że w wyniku tortur nie uzyskuje się żadnych przydatnych informacji, ponieważ jest to tylko sposób zaspokojenia niskiej żądy

zemsty i perwersyjnych fantazji o przemocy.

– Zarówno w jego przypadku, jak i w przypadku każdego podejrzanego najbardziej wiarygodne informacje można zdobyć poprzez budowę zaufania.

– Ta szkoła rzeczywiście cudownie się nam sprawdziła – wtrącił szyderczo Jaylen.

„Jeszcze on wbija mi nóż w plecy!” – pomyślała Jessica, a głośno dodała:

– W końcu to jednak dziecko.

– Po jednej stronie jest on, a po drugiej setki milionów Amerykanów – zauważyła prezydent. – Kto jest ważniejszy?

„To pani powinna wiedzieć najlepiej – przemknęło Jessice przez głowę. – Chodzi o prawa człowieka. Kto odmawia ich jednej osobie, nie obroni ich dla nikogo”.

– On ma swoje prawa. Zwłaszcza jako dziecko.

– Przedyskutujemy to później – odpowiedziała prezydent, już nieco bardziej opanowana. – Po tym wszystkim, czego się dowiedziałam, nasuwa się pytanie, czy on jest dzieckiem... czy człowiekiem... Kim on w ogóle jest? Panowie – zwróciła się do towarzyszącej jej ekipy i ruszyła razem ze wszystkimi w kierunku czekających pojazdów elektrycznych. W ostatniej chwili rzuciła jeszcze w stronę Jessiki: – Mam nadzieję, że nie zrozumiała mnie pani źle.

Akurat to Jessica zrozumiała bezbłędnie. Prezydent niczego jej nie rozkazała. Oficjalnie.

Jessica i dwóch ludzi z FBI zaprowadzili Eugene’a do sali przesłuchań. Rozkaz był jednoznaczny: odizolować go. Tego polecenia Jessica nie mogła ani źle zrozumieć, ani odmówić jego wykonania. Ale zaufania u chłopca w ten sposób nie wzbudzi.

Ona i Eugene w tym samym momencie zauważyli, że kamery w rogach pod sufitem są zasłonięte.

– Co to jest? – spytali oboje chórem funkcjonariuszy FBI.

Chociaż ona oczywiście nie miała wątpliwości, czemu to miało służyć: pokazaniu chłopcu, na co się zanosi.

– Proszę je natychmiast odkryć! – rozkazała.

– Ale... – zaczął jeden z mężczyzn, ona jednak przerwała mu z furją:

– Powiedziałam: natychmiast!

– Zabawa w dobrego i złego policjanta? – spytał Eugene. Wydawał się niewzruszenie spokojny.

– Tutaj nie ma złych policjantów – oznajmiła zdecydowanie Jessica. –

Dziękuję – powiedziała chłodno do obu funkcjonariuszy, gdy ci w końcu odsłoniли kamery, po czym kazała im natychmiast wyjść.

Następnie usiadła przy stole, proponując, aby Eugene też to zrobił. Chłopak wolał jednak stać, z jedną ręką w kieszeni spodni. Popatrzył na nią. Rozejrzał się dookoła. Zerknął na kamery. Potem znowu na nią.

– Bardzo zdenerwowałaś panią prezydent – powiedziała.

– Jeśli to prawda, to znaczy, że nie umie panować nad sobą i zupełnie nie nadaje się na to stanowisko – odparł Eugene. – Dosadne słowa były konieczne. Ona chyba nie do końca rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

„A czy w ogóle jest ktoś, kto rozumie?” – pomyślała Jessica. Jeżeli kamery w tym momencie pracowały, operatorzy musieli nieźle się bawić. Albo wręcz przeciwnie – oburzać na tego gagatka. Tak czy inaczej, prezydent wcześniej czy później usłyszy te kolejne prowokacje. Eugene doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Usiadł w końcu i przetarł sobie oczy.

– Jestem zmęczony – przyznał.

Miał zaczerwienione powieki i nagle stał się małym dzieckiem. Już raz posłużył się przy niej takim trikiem. Ale może tym razem nie grał. Zrobiło się późno. Na myśl o tym Jessica stłumiła ziewanie. Ile godzin spała w sumie w ciągu ostatnich kilku dni?

– Ja też – powiedziała ze współczuciem. – Jeśli powiesz nam, co wiesz, będziesz mógł zaraz iść do łóżka. Bo przecież sam przyznałeś pani prezydent, że wiesz mnóstwo.

– Będę rozmawiał tylko z nią – oświadczył jak rozkapryszone dziecko.

– To niezbyt miłe – wtrąciła Jessica. – Przecież ja też cię słucham.

Eugene spojrział na nią znudzony.

– Co chcesz wiedzieć? – spytał cicho.

„Byle nie popełnić teraz żadnego błędu. Zacząć od znajomych, mniej niebezpiecznych tematów”.

– Czy wiesz, kto zmodyfikował genom Kendry?

– Ja – odrzekł, wzruszając ramionami. – Przecież Wolfson już to powiedział.

– Jak to zrobiłeś?

– W laboratoriach szkolnych. Tam nikt nic nie sprawdza.

– I co dokładnie zrobiłeś?

– To zbyt skomplikowane dla ciebie.

Gnojek! Ma mu uwierzyć na słowo? Potrzebowała dowodów. Informacji, które mógł mieć tylko on.

– Spróbuj mi wyjaśnić.

– Jutro – bąknął, po czym położył ręce na stole, oparł na nich głowę i zamknął oczy. – Albo powiem prezydent. Teraz muszę się przespać.

Jessica przyglądała mu się przez kilka sekund. Śpiące dzieci zawsze budziły w niej opiekuńcze uczucia.

Ale w tym przypadku nie mogła mieć pewności. Czy on znowu jej nie oszukuje? Czy powinna zabronić mu spać? Zmęczone dzieci są nieznosne. Dobrze to wiedziała z własnego doświadczenia. Jeśli on naprawdę jest zmęczony, i tak nic by z niego nie wyciągnęła. A jeśli blefuje? Przecież podobno wystarczają mu zaledwie trzy godziny snu na dobę.

– Eugene? – spytała i potrząsnęła go delikatnie za ramię. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Mały poruszył się lekko, ale nie podniósł głowy ani nie otworzył oczu, tylko wydał z siebie słabe „hmmhmm”.

Odmawianie snu było jedną z metod tortur.

Jessica wstała po cichu i opuściła salkę.

– W Stanach Zjednoczonych takie eksperymenty nigdy nie były wyraźnie zakazane – wyjaśniał Donald Blithers, profesor prawa na Yale, gdy Jessica weszła do sali konferencyjnej. – Zabronione jest wspieranie tego rodzaju doświadczeń z pieniędzy publicznych. Prywatnie wolno finansować, co się chce. Tyle że Agencja Żywności i Leków musi każdorazowo wydać zezwolenie na testy z organizmami modyfikowanymi genetycznie. W przypadku, o którym mowa, najprawdopodobniej naruszono ten przepis. Wszelkie dyskusje są jednak w tym momencie bezprzedmiotowe, ponieważ te dzieci już się urodziły.

„No właśnie – pomyślała Jessica. – Tak samo jak moje. Które w przyszłości staną się obiektami kpin ze strony Eugene’a i jemu podobnych”.

Blithers zamilkł, a oczy wszystkich skierowały się na nią, ponieważ prezydent niezbyt dyskretnie przywołała ją do siebie. Po cichu spytała o przebieg rozmowy.

– Musi odpocząć – odpowiedziała Jessica wymijająco, nie kłamiąc. – I chce mówić tylko z panią.

– Jeszcze bezczelnie stawia warunki! Była pani odpowiednio ostra wobec niego?

– Stosownie do sytuacji – odparła, po czym usiadła przy drugim końcu stołu. Blithers, który nie bez irytacji śledził ich wymianę zdań, kontynuował:

– Stoimy zatem wobec pytania: „I co teraz?”.

– Stoimy wobec znacznie ważniejszego pytania – wtrącił George Vanouskaukis, profesor filozofii i etyki na Uniwersytecie Stanforda. – Oto bowiem granice istoty człowieczeństwa zostały zdefiniowane na nowo. I w przyszłości będą przesuwane dalej. Po obu stronach. Czy te dzieci są jeszcze ludźmi w tradycyjnym sensie? A jeśli nie, kim zatem są? Czy można stosować do nich prawa człowieka? Jeśli zaś one są nowymi ludźmi, to kim jesteśmy my? O ile opisy i nagrania oddają prawdę, niebawem my będziemy dla nich na tym samym poziomie, na jakim dzisiaj dla nas znajduje się młodsze rodzeństwo czy rezolutne małpy człekokształtne! Czy w takim razie będziemy jeszcze podlegać prawom człowieka? A to jest dopiero początek!

– Nonsens! – zagrzemiał Reginald Obfort, również profesor etyki, tylko z Harvardu. Jego spory z Vanouskaukiszem były już legendarne. – Oczywiście, że my wszyscy jesteśmy ludźmi!

– Czy to filozofowie określają, kto jest człowiekiem? – wtrącił Rich. – Może pozostawią to panowie fachowcom, takim jak my, biolodzy.

Obfort roześmiał się szyderczo.

– Fachowcom, którzy jeszcze do niedawna, wręcz kilka godzin temu, przekonywali nas, że dzieci niejako szyte na miarę pojawią się na świecie najwcześniej za kilkadziesiąt lat, a prawdopodobnie jeszcze później albo wcale? Tych ekspertów ma pan na myśli? Ha! Panu nie pozwoliłbym nawet wyprowadzić swojego psa na spacer!

„Kropka” – pomyślała Jessica.

– A może panie i panowie biolodzy chcieliby uznać te dzieci za gatunek inwazyjny – awanturował się dalej Obfort. – Jak króliki w Australii czy szopy pracze w Europie.

– Albo filozofowie i teolodzy w biologii – odciął się Rich.

– Drodzy państwo, proponuję, abyśmy przede wszystkim skoncentrowali się na opcjach bezpośredniego działania. – Blithers podjął próbę uspokojenia dyskusji. – Widzę pięć możliwości. Pierwsza: pozostawiamy sprawy własnemu biegowi. Być może nie jest to rozwiązanie wcale niegodne uwagi. Po dzisiejszej akcji na wielką skalę wcześniej czy później wszystko wyjdzie na jaw. I wtedy wybuchnie żarliwa debata na całym świecie. Nie obejdzie się też bez burzy wywołanej z jednej strony przez chętnych i zainteresowanych rodziców, a z drugiej przez przeciwników tego procesu. Może dochodzić nawet do gwałtownych ataków, z czego musimy zdawać sobie sprawę. Druga możliwość, za którą w taki czy inny sposób na razie bym się opowiadał, to tymczasowe moratorium, izolacja i utrzymanie w tajemnicy. Co nie będzie łatwe, ale powinno być możliwe. Pod warunkiem że ta dziewczyna zostanie znaleziona, zanim nabroi jeszcze więcej. Tajemnica powinna obowiązywać aż do momentu, dopóki nie podejmiemy dalekosiężnych decyzji. Trzeci wariant: przejęcie ośrodka przez państwo, aby po cichu przeanalizować know-how i ewentualnie rozwijać wszystko dalej. Pod względem prawnym rozwiązanie nieco problematyczne, ale przypuszczalnie do przeprowadzenia. Ponadto należałoby wyjaśnić też następującą kwestię: rozwijać wszystko dalej w jakim celu? Czy dla optymalizacji, oczywiście w cudzysłowie, amerykańskiego społeczeństwa? Populacji światowej? Jakiejś małej elity? Tylko określonych właściwości, na przykład w celach militarnych? Czwarta możliwość: rozwinąć program perspektywiczny i w sposób planowy go upowszechnić. Tylko to wymagałoby cholernie dobrego przygotowania! Czy nowa technologia miałaby być dostępna dla wszystkich? Pod jakimi warunkami? Jak to przeprowadzić? Jakie prawa i obowiązki mieliby rodzice przy wyborze przyszłych cech swoich dzieci? Czy w ogóle mieliby jakiegokolwiek? W jaki sposób ludzie o tak różnych umiejętnościach koegzystowaliby ze sobą w przyszłości? Jak szybko należy

dopuszczyć do takiego procesu? Czy da się nim sterować? To zaledwie część nasuwających się pytań. Już sama dyskusja i przygotowanie przepisów prawnych zajęłyby, oceniając realistycznie, lata, a właściwie dziesięciolecia. W jaki sposób utrzymać w tajemnicy projekt o tak doniosłym wymiarze w razie ewentualnych zmian ekip sprawujących władzę i administracji rządowej? Nie wspominając już o implikacjach międzynarodowych. Czy zapewnimy dostęp do naszej technologii całemu światu? Czy w ogóle możemy nie dopuścić do tego, aby świat ją pozyskał? Albo ją sobie przywłaszczył? Prawdopodobnie nie. A to oznacza, że nakreślone kwestie musiałyby zostać wyjaśnione na poziomie międzynarodowym.

– Może pan zapomnieć o milczeniu – powiedziała prezydent. – Utrzymanie tego w tajemnicy nie jest w długiej perspektywie możliwe.

– Też tak sądzę – potwierdził Blithers. – Istnieje oczywiście jeszcze piąta opcja. Ale od razu chcę zaznaczyć: dla mnie jest nie do przyjęcia i wspominam o niej jedynie gwoli ścisłości.

– Uśmiercimy wszystkich zaangażowanych, włącznie z dziećmi, rodzicami i naukowcami, spopielimy wszystkie materiały, a resztki zatopimy w najgłębszym miejscu oceanu – uprzedził go generał.

– Nie wchodzi w rachubę – oznajmiła prezydent zdecydowanie. – Mówimy, o ile mi wiadomo, o ponad tysiącu amerykańskich obywateli. W tym o dzieciach. Niewinnych cywilach.

– Gdzie indziej nie mamy z tym problemów – szepnął Rich, tak aby prezydent go nie usłyszała.

– Czy osoby cywilne są niewinne, to dopiero się okaże – zauważył Obfort. – Może popełnili przestępstwo, wyrażając zgodę na ofertę albo rodząc takie dziecko.

– Wobec tego wariant łagodniejszy – uzupełnił generał. – Wszyscy zaangażowani do końca życia pozostaną internowani w miejscu odosobnionym i nieznanym opinii publicznej.

– W takim Guantanamo dla milionerów? – zadrwił Rich. – Interesujące!

– Na razie, tak czy inaczej, trzeba będzie tak zrobić – kontynuował niewzruszenie generał – aby sprawę trzymać pod kluczem i mieć nad nią kontrolę. Autorzy tego przedsięwzięcia muszą bezzwłocznie przekazać nam dane wszystkich osób wtajemniczonych spoza New Garden, to znaczy przede wszystkim kobiet w ciąży i młodych rodziców oraz włączonych w cały proces pracowników klinik położniczych, abyśmy jak najszybciej mogli ich wszystkich wyłować!

– Jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie na jakąkolwiek decyzję – stwierdziła prezydent. – Jak słusznie zauważył profesor Blithers, najpierw należy wyjaśnić liczne kwestie. Ponadto...

– Jest pani potrzebna na zewnątrz. – Jessica usłyszała szept w słuchawce umieszczonej w uchu. – Pilnie!

Nauczyła się już, że wszelkie zebrania i narady należy opuszczać bez oznak zdenerwowania i bez podniecenia, nawet jeśli działo się coś bardzo niepokojącego.

– O co chodzi? – spytała już za drzwiami.

– Mamy bunt gości.

– No i? Żołnierze nie dadzą sobie z nim rady?

– Pułkownik Lawsome mówi, że powinna pani zobaczyć to osobiście.

Jadalnia była bliżej niż centrum bezpieczeństwa, dlatego Jessica pojechała od razu na miejsce. Równocześnie z nią przybył także Lawsome. Już na dworze dało się słyszeć wrzawę. Mimo zamkniętych drzwi ze środka dobiegały wrzaski i krzyki zlewające się w jeden wielki jazgot. Żołnierze trzymali broń skierowaną w stronę ludzi. Raz po raz z tłumy leciały w ich kierunku jakieś naczynia, które nad ich schowanymi w ramiona głowami roztrzaskiwały się z hukiem o ściany. Mundurowi wydawali się wyraźnie zdezorientowani. Bo przed nimi wrzeli nie islamscy terroryści ani wynędzniałe ofiary wojny odgrazające się w niezrozumiałych językach, ani też mieszkańcy slumsów plądrujący sklepy i wywołujący uliczne burdy po rasistowskich przestępstwach popełnionych przez policję, mówiąc krótko: to nie byli ich tradycyjni przeciwnicy. Niewykluczone, że nawet czuli się zaskoczeni, iż ci dystyngowani i majątni ludzie zachowują się dokładnie tak samo jak tamci. Jessica była ciekawa, co aż tak bardzo ich rozjuszyło. Oprócz tego oczywiście, że znowu od dwóch godzin są trzymani w zamknięciu bez podania przyczyn.

– Próbujemy ich uspokoić już od pół godziny – powiedział Lawsome. – Bezskutecznie.

Jessica gwałtownie pchnęła drzwi. Ujrzała przed sobą chaos rozpalonych twarzy, potarganych włosów, wymachujących ramion, a w nozdrza uderzył ją smród strachu, potu i wymiocin.

Wiedziała, że potrafi krzyknąć zdecydowanie głośniejsze, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać po kobiecie o tak kruchej postaci.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnęła, ile sił w płucach.

Taktyka zaskoczenia podziałała. Na chwilę cała sala zamarła. Jessica

wykorzystała moment i wskazała na wysokiego, wysportowanego mężczyznę w pierwszych szeregach rozwścieczonej hordy.

– Pan! Proszę mi powiedzieć, czego chcą ci ludzie!

Z tłumu nagle uszła złość, a wskazany wysunął się przed pozostałych.

– Mike Kosh – przedstawił się. – Musimy porozmawiać z doktorem Winthorpe’em. Zaraz!

– Przede wszystkim musicie stosować się do poleceń żołnierzy. – Jessica przypomniała zasady obowiązującego porządku. – Obecnie mamy inne priorytety niż wasze rozmowy z doktorem Winthorpe’em.

Kosh odwrócił się i dał znak ręką komuś z tłumu.

– Greg! – Dryblasowaty trzydziestokilkulatek zaczął przedzierać się przez zwarte skupisko ludzi, niosąc na jednym przedramieniu otwarty laptop, a w drugiej ręce trzymając podłączony do niego zewnętrzny dysk. Stanąwszy przy Koszu, odwrócił w stronę Jessiki ekran komputera i powiedział:

– Może to zmieni wasze priorytety.

Początkowo Helen nie chciała się zgodzić, kiedy usłyszała, dokąd mają pójść. Do prezydent. Osobiście. A więc to dlatego trzymali ich pod kluczem. Nędzny makijaż miała rozmazany na twarzy, oczy zaczerwienione. Greg i Mike błagali ją i Dianę, żeby nie oglądały tamtych zdjęć. Za wszelką cenę starali się bronić im dostępu do laptopa, ale Diana i Helen, sądząc, że to jakiś żart, w końcu przechytrzyły ich obu.

Prawie wszystkie kobiety albo poprzedniego dnia, albo rano poddały się zabiegowi implantacji zapłodnionych komórek jajowych. Już na widok pierwszych zdjęć pobladyły. Wiele z nich nie chciało oglądać dalej. Inne klikały w kolejne. I mówiły coś drżącymi głosami. Niektóre zwróciły niedawną kolację, niejedna się rozplakała.

Tak jak teraz, gdy Jessica Roberts prezentowała te same zdjęcia prezydent, członkom komisji etyki i garstce naukowców skupionych wokół Winthorpe’a. Przeprowadziła ze sobą jako reprezentantów Helen, Dianę, Grega, Mike’a i dwie inne pary. Helen była w stanie pokazać się ludziom tylko dzięki Dianie, która pomogła jej doprowadzić się jako tako do porządku.

– Zdjęcia pochodzą z dużo wcześniejszych faz projektu! – krzyknął w końcu Winthorpe. Po czym zwrócił się do kobiet: – Nie muszą się panie niczego bać! Do tych poronień doszło w pierwszych tygodniach ciąży. Nigdy żadne dziecko nie przyszło na świat z takimi deformacjami. Żadne nie przeżyłoby w takim stanie!

Helen przełknęła kilkakrotnie ślinę, aby nie zwymiotować.

– Pan nas okłamał! – wrzasnęła któraś z kobiet łamiącym się głosem. – Mówił pan, że nasze dzieci będą zdrowe!

Pozostałe wtórowały jej równie głośno, ale Winthorpe nie dał wyprowadzić się z równowagi.

– I nadal tak twierdzą. Urodzicie zdrowe dzieci!

– Te fotografie mówią co innego!

– To oczywiście, że ze względów badawczych dokumentowaliśmy wszystkie przypadki. Aby ciągle się doskonalić. I teraz jesteśmy już nieomylni. O czym zresztą mogliście się przekonać, patrząc na nasze dzieci.

– A ile urodziło się zdeformowanych? – spytała chłodno prezydent.

Również ona nie zdołała zburzyć odrażającego spokoju Winthorpe'a.

– Ani jedno.

– To znaczy, że dzieci albo rozwijały się zgodnie z życzeniami, albo umierały we wczesnym stadium w brzuchu matki.

– Tak – potwierdził doktor z niemal niezauważalnym ociąganiem.

Helen na szczęście siedziała.

– Tyle że nie zawsze bez pomocy – dodała Cara Movelli. Mimo lodowatego spojrzenia swojego przełożonego kontynuowała: – Kiedy dochodziło do negatywnych zmian, przerywaliśmy ciążę. Tak jak robi to obecnie większość rodziców, jeśli w przebiegu ciąży zostaną stwierdzone nieprawidłowości.

Helen i Greg też odbyli ze sobą taką dyskusję. Co zrobią jeżeli? Skłaniali się ku aborcji. Na myśl o tym Helen poczuła gulę w gardle, a jej ciało było jak napięta, bliska pęknięcia struna.

– Świadomie dopuszczaliście do tych deformacji – stwierdziła prezydent. – Zrobiliście z tych dzieci zwierzątka doświadczalne.

– To nie były dzieci, tylko skupiska komórek i zarodki, zwykle w bardzo wczesnych stadiach rozwoju – skorygował Winthorpe. – I żadne zwierzątka.

– *Ludzie* doświadczalni – odparowała prezydent. – To chyba precyzyjniejsze określenie!

Helen poczuła się nieco podniesiona na duchu, gdy nawet ktoś tak opanowany jak prezydent stracił zimną krew.

– Gdybyśmy czekali na wyniki dyskusji pani komisji etyki, nigdy nie osiągnęlibyśmy żadnych rezultatów – odparł lekceważąco Winthorpe.

– W niektórych przypadkach taki może być sens istnienia owej komisji i jej dyskusji – odpowiedziała prezydent.

„To prawda” – pomyślała Helen, niewolna jednak od wyrzutów sumienia. Bo przecież ona skorzystała z rezultatu prowadzonych tu eksperymentów. Nagle jej

ciało ogarnęło niepowstrzymane drżenie. Greg, który od razu to zauważył, otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie.

– Podtrzymuję to, co już powiedziałem: nasze wyniki są konkretne i namacalne.

– Jak najbardziej. Na przykład dziesięciolatka, nad której działaniami nie ma pan żadnej kontroli. Poza tym prawdopodobnie nielegalnie wprowadzone do obrotu organizmy zmodyfikowane genetycznie. Spersonalizowane śmiertelne wirusy. I kto wie, co pojawi się jeszcze. Przyznaję, to ciekawe.

– A dzieci, które tu wszyscy widzą? One się dla pani nie liczą? Może warto jednak spojrzeć na to, co pozytywne.

– Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą? To chciał pan powiedzieć? – zadrwiła prezydent.

– Myślę, że o stratach kolateralnych kto jak kto, ale prezydent Stanów Zjednoczonych powinna wiedzieć najwięcej – odparował nieustraszenie Winthorpe.

Helen, śledząc tę wymianę ciosów, czuła, że coraz bardziej zbiera jej się na wymioty. Czy to znak, że komórki jajowe już się zagnieździły? Czy to te słynne poranne mdłości? Mimo że jest środek nocy? Mało prawdopodobne.

– Odłóżcie tę kłótnię na później! – wypaliła, nie przejmując się tym, do kogo się zwraca. – Tu chodzi o nasze dzieci!

– Ona ma rację – przyznała, o dziwo, prezydent i zwróciła się do Cary Movelli. Może była nawet wdzięczna za pretekst do skończenia dyskusji. – Pani jest chyba bardziej skłonna do współpracy. Proszę powiedzieć mi prawdę. Czy urodziły się też upośledzone dzieci?

– Nie – odpowiedziała Movelli. Według Helen brzmiało to szczerze.

– Właściwie dlaczego nie? – spytał jeden ze starszych mężczyzn z otoczenia prezydent. – *Pardon*. Profesor Reginald Obfort – dodał.

– Wiem, kim pan jest – rzekła Cara. – Na pańskie pytanie udzielił już odpowiedzi Stanley: z tego samego powodu, z jakiego dzisiaj większość rodziców decyduje się na aborcję. Aby oszczędzić sobie i dziecku niepotrzebnych cierpień i obciążeń.

– Życzę powodzenia w dyskusji ze stowarzyszeniami osób upośledzonych.

– Tę dyskusję prowadzono już na długo przed nami – odparła Cara. – Teraz czekają nas zupełnie inne debaty. Dla tych dzieci to my jesteśmy opóźnieni w rozwoju.

Helen znowu poczuła wzbierające mdłości.

– To jest projekt 671F/23a – powiedział Rich do prezydent.

Cała ekipa zebrała się w jednym z laboratoriów przed dużym ekranem na ścianie, na którym Rich wyświetlał modele i symulacje Jill.

– Jeśli to zadziała, będzie czymś wyjątkowym. To kolejna rzecz, nad którą właśnie pracują naukowcy z całego świata. Tyle że są dopiero na początku drogi. Zamiast miniaturyzować maszyny w ramach tak zwanej nanotechnologii, coraz częściej podejmowane są próby instrumentalizacji mikroorganizmów. Z pewnością znane jest państwu pojęcie „biologizacja przemysłu”. W przypadku projektu 671F/23a Jill eksperymentowała *in silico*, czyli w komputerze, z wirusem stanowiącym swego rodzaju mikromaszynę. Musimy jeszcze przyjrzeć się tej pracy szczegółowo, ale sądząc po tym, co znaleźliśmy dotychczas, wygląda to następująco.

Dotknąwszy palcem wyświetlacza na swoim tablecie, odwrócił na dużym ekranie kolorowy model kulkowy.

– To jest zmodyfikowany genom wirusa grypy. Zasadniczo zaraża wszystkich: kobiety, mężczyzn, dzieci. Tak więc każdy może być jego nosicielem. Czerwone fragmenty są włączone dodatkowo lub zastępują sekwencje pierwotne. Wyposażają one ten wirus w wiele uzupełniających atrybutów. Po pierwsze: zwiększają stopień jego zakaźności, co znaczy, że ten konkretny wirus jest znacznie bardziej infekcyjny niż zwykła grypa. Po drugie: został on w dużej mierze pozbawiony cech generujących symptomy, w konsekwencji czego osoba nim zarażona będzie miała może lekki katar albo poczuje drapanie w gardle. Czyli nic nadzwyczajnego. Żadnej gorączki, żadnego leżenia w łóżku. Bardzo możliwe, że infekcja w ogóle nie zostanie zauważona. Po trzecie: ten genom posiada sekwencje znane nam z wirusów występujących w całym organizmie. Dobrym przykładem tutaj jest choćby wirus eboli. U niektórych ludzi, którzy przeżyli ebolę i nie wykazywali już żadnych objawów choroby, w określonych częściach ciała po roku albo nawet później stwierdzono masę wirusów. Między innymi w oczach i w jądrach.

Ta wizja wydała się Jessice potworna.

– W niniejszym kontekście szczególnie interesujące dla nas są jądra – kontynuował Rich. Korzystając z tabletu, podświetlił czerwoną sekwencję. – I tak oto dotarliśmy do czwartego atrybutu. Jeśli po wstępnej analizie właściwie zinterpretowaliśmy dokumenty autorstwa tej dziewczyny, a nie ulega wątpliwości,

że musimy wszystko precyzyjnie zweryfikować, co wymaga czasu, ten fragment genomu umożliwia wirusowi zaczepienie się w jądrach na konkretnych komórkach, na tak zwanych spermatocytach.

– Czyli na komórkach, z których powstają męskie plemniki? – chciała się upewnić Jessica.

– Tak.

– I co wirus tam robi?

– Wszczepia do genomu tych komórek nowe sekwencje. O ile dobrze zrozumiałem, wprowadza mutacje dokonane przez doktora Winthorpe'a i jego zespół w genomach zmodyfikowanych genetycznie dzieci.

– Chce pan mi powiedzieć, że ten wirus w zakażonych męskich jądrach robi to samo ze spermatocytami, do czego doktor Winthorpe i jego trupa doprowadzili, eksperymentując w probówce na zapłodnionych komórkach jajowych? – spytała z niedowierzaniem prezydent.

– Dokładnie.

– O mój Boże!

– Też tak uważam.

– Ten, kto potrafi wymyślić coś takiego, pewnie jest także w stanie stworzyć śmiertelny wirus, który zabił Jacka Dunbraitha.

– Niewątpliwie.

Prezydent pokręciła głową.

– To jest jakiś koszmar!

– A dla wielu biogenetyków i genetyków molekularnych niedościgłe marzenie – dodał Rich. – Ale na tym nie koniec, bo Jill dodała jeszcze jedną właściwość. Normalnie należałoby się spodziewać, że tylko część potomstwa spłodzonego przez zakażonego mężczyznę odziedziczy te mutacje, bo przecież połowa materiału genetycznego pochodzi nadal od wolnej od wirusa matki. Tymczasem Jill wszczepiła za pomocą metody CRISPR-Cas9 napęd genowy.

– Co takiego?

– Mówiąc krótko: plemnik, wnikając do żeńskiej komórki jajowej, może wszczepić nowe właściwości także w materiał genetyczny pochodzący od matki.

– Wskutek czego dziecko, tak czy inaczej, odziedziczy te zmiany – wywnioskowała prezydent. – I przekaże je dalej.

– Właśnie tak. I każda kolejna generacja przejmie te mutacje w stu procentach. Włącznie ze zdolnością przenoszenia ich na części genomu niezakażonych rodziców! Znaleźliśmy wskazówki w materiałach Jill, z których wynika, że z powodzeniem przetestowała już tę technikę na zwierzętach.

Prezydent mimo woli wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Pozwoli pan, że podsumuję – powiedziała po chwili. – To dziecko stworzyło wyjątkowo zaraźliwy wirus produkujący dzieci o pożądanym cechach.

– A jej mały brat twierdzi, że wirus ten został już uwolniony w New Garden.

Prezydent musiała przez chwilę zastanowić się nad ostatnią uwagą.

– Czyli on twierdzi – dotarło do niej wreszcie – że my wszyscy... możemy być już nim zarażeni!

W sali zaległa cisza.

– Moglibyśmy – potwierdził Rich. – Na razie nie wiadomo nawet, czy ten wirus w ogóle istnieje *in vivo*. Czy jedynie pod postacią modelu komputerowego. Może ten mały blefuje.

– Z tego ośrodka, będącego miejscem hodowli dotychczas niewyobrażalnych genetycznie zmodyfikowanych dzieci, zostaje uwolniony do tej pory również nierealny spersonalizowany zabójczy wirus, jedno z tych dzieciaków od lat po kryjomu prowadzi niesamowicie skomplikowane eksperymenty, inne z kolei wie dosłownie wszystko o działalności doktora, chociaż nie powinno wiedzieć nic, i pan uważa, że to tylko błąd?

– Powiedziałem „może”.

– Boże drogi – szepnął ktoś z komisji etyki.

– Eugene ma z tym najmniej do czynienia – stwierdził Rich.

– Możemy sprawdzić, czy on blefuje? – spytała prezydent.

Rich spojrzał zachęcająco na kierownika zespołu CDC.

– Znamy wirus grypy, na podstawie którego dzieci tworzyły niejako dla zabawy własne symulacje – zaczął wskazany przez Richa mężczyzna. – Istnieje już test wykrywający jego obecność, i to nawet szybki test oparty na próbkach śliny. Musimy tylko sprowadzić wystarczająco dużo egzemplarzy. Właśnie szukamy najbliższej położonego dostawcy. Niestety...

– Niestety co?

– Infekcję wirusową da się stwierdzić dopiero po kilku dniach od zakażenia.

– Czy to znaczy, że mielibyśmy czekać tutaj kilka dni?!

Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami.

– Przynajmniej Jacka Wolfsona możemy sprawdzić od razu – zauważyła prezydent.

– Owszem.

– Wobec tego trzeba to zrobić jak najszybciej!

– Już zaczęliśmy przygotowania. Ale...

– Jakże znowu ale?! – spytała lodowatym tonem prezydent.

– Wiemy mniej więcej, czego szukamy – wtrącił Rich. – W grupie katalogów, w której znajdował się przypadek 671F/23a, są też liczne inne modele i symulacje. 671F/21, 22, 24 i tak dalej, a każdy ma jeszcze różne podkategorie. Oczywiście na razie przejrzałem je jedynie pobieżnie. – Przywołał na ekranie inny model spirali złożonej z kulek. Jessica nie zauważyła żadnej różnicy. Albo same różnice.

– Jill zaprojektowała najrozmaitsze kombinacje cech. W zależności od tego, który wirus jest uwolniony do środowiska, będzie wszczepiał w spermatoocyty inne mutacje.

– Ale Eugene mówił o 671F/23a. Jakich właściwości dotyczy ten projekt?

– Ujmując najprościej: wzrostu, siły, wytrzymałości, potrzeby snu. Większość innych wirusów z tej serii także uwzględnia głównie te parametry. Różnice mogą kryć się w wariacjach tych właściwości.

– Jeżeli 671F/23a rzeczywiście istnieje i niektórzy z nas są już nim zarażeni, czyli komórki, o których pan mówił, uległy już przekształceniu, czy to znaczy, że ten wirus zostanie uwolniony do otoczenia z chwilą, gdy opuścimy New Garden?
– spytała prezydent.

Rich potaknął ruchem głowy.

– Superinteligencja, przewaga fizyczna i atrakcyjny wygląd będą się szerzyć jak zaraza.

Dzień piąty

Gordon nawet nie usiadł, tylko ledwie wszedł, rzucił Darrenowi Zonie, szefowi Drones for Food, wydruki zdjęć prosto na stół, na którym rozsypały się jak wachlarz. Wszystkie przedstawiały dwóch mężczyzn z dronem i dokumentowały ich jazdę do DFF.

Zona zerwał się na równe nogi.

– Co to ma być?

– Myślałem, że nie operujecie w tym regionie – powiedział Gordon. – A z tych zdjęć wynika co innego.

Szef DFF przyjrzał się fotografiom. Oglądał po kolei jedną za drugą, niektórym poświęcał więcej uwagi. I kręcił głową. Raczej z niedowierzaniem niż negująco, jak uznał w duchu Gordon. Potem mężczyzna sięgnął po telefon.

– Tu Darren. Niech John i Haji przyjdą do mnie zaraz.

Wskazał ręką na jedno z krzeseł przed biurkiem.

– Proszę.

Gdy obaj usiedli, zaległa niezręczna cisza.

– Właściwie nie powinno to pana obchodzić, gdzie pracujemy – odezwał się w końcu szef DFF.

– Właściwie nie – odparł Gordon. – Ale w tym przypadku złamano kilka przepisów, co mogłoby przynieść pana niewielkiej organizacji dosyć spore kłopoty. A osoby odpowiedzialne za to wykroczenie doprowadzić do więzienia. Więc chyba to powinno trochę pana obchodzić.

Wystarczyło. Dalsze wyjaśnienia nie były potrzebne.

Zjawili się dwaj wezwani pracownicy. Gordon rozpoznał ich od razu – to byli faceci ze zdjęć Andwelego: jeden przysadzisty, z ogoloną na łyso czaszką, i drugi, chudy jak szczapa, o wyjątkowo dużych górnych zębach. Podeszli do stołu z nieufnymi minami. Darren bez słowa podsunął im zdjęcia ukazujące ich obu w polu przy załadowywaniu drona na pick-upa i przy zdejmowaniu go z paki w bladym świetle lampy na tyłach siedziby DFF. Mężczyźni rzucili okiem na fotografie, a potem speszeni popatrzyli po sobie nawzajem.

– Możemy to wyjaśnić – powiedział wyższy.

– Mam nadzieję – bąknął Darren.

– To lot testowy – wyjaśnił tamten ze wzruszeniem ramion.

Jego zwierzchnik uśmiechnął się złowroźnie.

– Lot testowy. Godzinę drogi stąd. Daleko poza granicami dopuszczalnej strefy.

– Jego lisi uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Posłuchaj, Haji. Ten dżentelmen za tobą twierdzi, że naruszyliście prawo. Do tego stopnia, że być może traficie do więzienia.

Haji i John obejrzeni się przerażeni na Gordona, który jedynie uniósł brwi. To nie on ustanowił takie prawo. Chociaż na razie nie zdradził Darrenowi, o jakie przepisy w ogóle chodziło.

– Ale jeżeli dobrze go zrozumiałem – kontynuował szef DFF, mierząc Gordona wzrokiem – mógłby o wszystkim zapomnieć, jeśli powiecie mu prawdę. Czyż nie tak? – dodał, zwracając się bezpośrednio do gościa.

Gordon skinął głową.

– Jeśli będę przekonany, że mówicie prawdę, mogę ewentualnie przymknąć na to oko – potwierdził.

– Kiedy obserwuję Eugene’a, nie mogę powstrzymać się od myśli, że powinni państwo zweryfikować swoją koncepcję wychowawczą – powiedziała Jessica do Cary Movelli i Stanleya Winthorpe’a. – Posłuszne dzieci według mnie zachowują się inaczej.

– Może, ale... czy są niebywale bystre? – odparł Stanley.

– Te są od ciebie o połowę mniejsze, a już przerosły cię o głowę – wtrącił Rich.

– Mały jest błyskotliwy, ale w tym przypadku wcale bym się nie zdziwił, gdyby blefował – powiedział Winthorpe. – No bo jak miałyby tutaj, w tych warunkach, stworzyć taki wirus? Eksperymenty w szkolnych laboratoriach są ściśle nadzorowane przez nauczycieli i pracowników naukowych. Gdyby nawet udało mu się za pośrednictwem Wolfsona zamówić gdzieś i przeszmugłować niezbędne genetyczne komponenty... co też nie byłoby proste...

– Ale z małą Kendrą mu się udało – przypomniał Rich. – Tak czy owak, trzeba natychmiast powtórnie sprawdzić jego stanowisko w laboratorium. Raczej mało prawdopodobne, aby ukrył potrzebne instrumenty w swoim pokoju.

– Wykluczone – powiedziała Cara.

– Po tym dzieciaku można spodziewać się wszystkiego – wtrąciła prezydent. – Lepiej sprawdźcie wszędzie.

– Czy wirus mógł zostać stworzony poza kompleksem? – spytał Rich. – Przez Jill w Bostonie?

– Mało prawdopodobne – odrzekła Cara. – Na uczelni musi stosować się do surowych reguł i podlega ścisłym kontrolom. W domu nie ma laboratorium, ponadto poza uniwersytetem jest bez przerwy monitorowana. Najzwyczajniej w świecie nie ma takich możliwości.

– Wygląda na to, że jednak miała możliwość stworzyć, wyprodukować i rozesłać GMO kukurydzy, bawełny i kóz – zaproponował Rich – A czegoś takiego nie dokona całkiem samodzielnie nawet cudowne dziecko. Zwłaszcza gdy prawie ciągle jest monitorowane. Jaki z tego wniosek? Ona musi mieć gdzieś laboratorium i współpracowników.

– FBI sprawdza właśnie drogę pieniędzy wychodzących z Bostonu – wtrąciła Jessica.

– Niech się pospieszą – zażądała prezydent.

– To wszystko oznacza – głos zabrał Rich – że są też współsprawcy całego

procederu. Bo jeśli ktoś pracuje przy tworzeniu tych organizmów, to przecież wie, co robi. To nie są przestępcze programy IT, w których przypadku zaprogramowanie poszczególnych elementów można zlecić na przykład profesjonalnym freelancerom z całego świata, łatwym do znalezienia w internecie. Ludziom, którzy nie mają pojęcia, jakiemu nadrzędnemu celowi służy ich robota, bo dopiero zleceniodawcy składają gdzieś te wszystkie klocki do kupy. Przy GMO na razie tak się nie da.

– Na razie?

– Wcześniej czy później będzie to możliwe – wyjaśnił Rich. – Jak wiadomo, obecnie można zamówić online wszelkie potrzebne narzędzia i materiał genetyczny. Da się też znaleźć w sieci wykonawcę specjalnych zleceń. W przyszłości to będzie potężny rynek. W tej chwili jednak mamy pilniejszy problem do rozwiązania. Trzeba ustalić, gdzie znajduje się laboratorium pracujące dla Jill. I kto jest w nim zatrudniony.

– Sześć siedem jeden i tak dalej. Uważasz, że to wszystko mogłoby produkować laboratorium Jill? – spytała Jessica.

Rich z ociąganiem pokręcił głową.

– Jak wspomniałem, ona musiała mieć wspólników. I to może być zasadniczy punkt. Dla nich bowiem tworzenie organizmów modyfikowanych genetycznie, czyli na przykład roślin i zwierząt odpornych na choroby, to wielka sprawa. Idealiści prawdopodobnie byliby nawet gotowi zrezygnować z miliardowych zysków, byle tylko w wymierny sposób pomóc najbiedniejszym regionom świata i osłabić wpływy międzynarodowych koncernów. Jednakże zupełnie czym innym jest świadome majsterkowanie przy wirusie, który w ramach jednej generacji może zmienić znaczną część ludzkości. I to na niekorzyść twórcy, ponieważ te nowe pokolenia miałyby nad nim nieskończoną przewagę.

– Ale przecież panie i panowie z New Garden, ci z tytułami naukowymi, też nie robią nic innego.

– Ich plan był mimo wszystko inny. Tu proces miał być stopniowy, obliczony na mniejszą skalę. Oni, przynajmniej na razie, tak bardzo by na tym nie stracili. A ich „potomstwo” należałoby do nowej elity. Natomiast model Jill wygląda zupełnie inaczej. Uważam bowiem za mało prawdopodobne, aby znalazła wysoce wykwalifikowanych i jednocześnie altruistycznych współpracowników. No bo kto chce się zaharowywać za nic?

– Niemniej nie możemy pozwolić sobie na żadne ryzyko – odpowiedziała Jessica. – Pani prezydent, uważam, że na razie nikt nie może opuścić New Garden – zażądała. – Trzeba natychmiast zawiadomić poszczególne agendy CDC

i wszcząć odpowiednie działania. Pani wraz ze swoim otoczeniem i członkami komisji musi pozostać tutaj, przynajmniej do czasu, kiedy będziemy dysponować testem.

– Ten mały to istny diabeł w ludzkiej skórze – zdenerwowała się prezydent. – Po prostu uwięził nas tu jak zakładników!

– Jill ostrzegła – przypomniała Cara.

– Ale nie wiedzieliśmy przed czym – zwróciła uwagę Jessica. – Czy może się mylę?

Cara zaprzeczyła.

– Jaki stosunek mają do siebie ci dwoje? Jill i Eugene? – spytała Jessica.

– Ambiwalentny. Wychowywali się jak rodzeństwo, starsza siostra i młodszy brat, mimo że są niemal co do dnia w jednakowym wieku. W gruncie rzeczy tolerowali się, choć czasami nie do końca. Pod względem fizycznym Jill zawsze nad nim górowała i dlatego w miarę upływu lat stał się trochę zazdrosny. Osobiście uważam, że ona ma sympatyczniejsze usposobienie, choć to oczywiście subiektywna ocena. Od kiedy zaczęła studiować na MIT, ich relacje się ochłodziły. Również dlatego, że siłą rzeczy prawie się nie widują.

– Ale są ze sobą w kontakcie? Dzwonią do siebie, esemesują, mailują?

– Tak. Oczywiście pod naszym nadzorem.

– Nigdy nie wymieniali się opiniami na temat eksperymentów Jill?

– Przez dostępne nam kanały? Nie.

– Może Wolfson pełnił rolę posłańca między nimi?

– Niewykluczone.

– Zdaje się, że ostrzeżenie Jill należało wziąć na poważnie, bo chyba nikt nie zna tak dobrze Eugene'a jak ona.

– Albo chciała w ten sposób dać mu nauczkę, bo znowu była na niego zła. Z dziećmi nigdy nie wiadomo.

– Tak czy inaczej, muszę zamienić jeszcze słówko z tym smarkaczem – powiedziała prezydent ze złością, po czym niemal przebijając Stanleya Winthorpe'a palcem wskazującym, dodała: – A pan pójdzie ze mną! I pan też. – Spojrzała na Richa. – Przyda mi się neutralna ocena profesjonalisty. Skąd on właściwie wie o wszystkich waszych sprawach? – spytała ostrym głosem Carę Movelli.

– Nie mam pojęcia – bąknęła Cara. – Pani i nasi specjaliści właśnie próbują to ustalić.

– To dopiero byłaby uczta dla mediów – jęknęła prezydent. – Trzeba wymyślić jakąś historyjkę. Bo prawda nie może wyjść na jaw.

– Na razie utrzymujemy, że przyczyną blokady całego osiedla jest wyjątkowo zaraźliwy i niezidentyfikowany wirus, którego rozpoznano u jednego z mieszkańców New Garden – wyjaśniła Jessica. – O pani obecności tutaj nikt nie wie, jednak pani zniknięcie ze sceny na pewno zostanie szybko zauważone. A w którymś momencie ktoś doda dwa do dwóch: tajemniczą akcją na wielką skalę plus nagłą nieobecność głowy państwa.

– Przecież mogę być chora – zlekceważyła to prezydent.

– Zaledwie kilka dni po śmierci sekretarza stanu? Lepiej nie.

– To wyślijmy gdzieś mojego sobowtóra – rzuciła prezydent nie bez irytacji. – W końcu nie raz już tak było. Zresztą biuro prasowe coś już na pewno wymyśli – podsumowała. – O wiele ważniejszy jest teraz nasz następny krok. Pani Roberts niestety ma rację: musimy przede wszystkim ściśle odizolować osiedle. Poza tym trzeba natychmiast przerwać całe to przedsięwzięcie. Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, ile jest już urodzonych dzieci i tych w drodze? – spytała Carę. – Wciąż nie mogę zapamiętać tych liczb.

– Sto dziewięćdziesiąt dwie surogatki zatrudnione na nasze zlecenie, które w razie czego znajdują się tutaj...

– Wielkie nieba!

– ...dwanaścioro dzieci klientów w wieku od kilku dni do co najmniej sześciu miesięcy i osiemdziesiąt siedem kobiet w różnych stadiach ciąży, ale nie ma pewności, czy w każdym przypadku dojdzie do zagnieżdżenia komórek jajowych.

– I nie wszystkie z nich żyją w Stanach Zjednoczonych.

– Większość. Przeważająca część rodziców to ludzie bogaci lub superbogaci, których domem jest cały świat, mieszkają raz tu, raz tam, rekomendujemy jednak, aby podczas ciąży i w pierwszych latach życia dziecka nie wybierali zbyt odległych miejsc pobytu. Co dla osób posiadających prywatne odrzutowce jest oczywiste pojęciem względnym.

– Macie wezwać wszystkich rodziców wraz z dziećmi pilnie do Stanów pod jakimś pretekstem – zakomunikowała prezydent. – Na wizytę kontrolną czy w jakimkolwiek innym celu. Musicie coś wymyślić. – Następnie zwróciła się do szefa sztabu: – Niech nasi najlepsi prawnicy znajdą powody, dla których będziemy mogli ich tu na razie zatrzymać, nawet gdyby oni wynajęli sobie najznakomitszych adwokatów świata. To samo dotyczy wszystkich mieszkających w Stanach. Nie muszę chyba dodawać, że to na cito.

Szef sztabu skinął głową.

– Nie będzie to proste pod względem prawnym – zauważył. – Ale znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Trzeba też bezzwłocznie przerwać pozyskiwanie nowych klientów i zobowiązać kooperujące kliniki oraz lekarzy do milczenia albo wręcz ich aresztować. Konieczne jest też jakieś pilne rozwiązanie dotyczące surogatek. W zależności od tego, na co pozwala prawo.

– W obliczu takiego zagrożenia prawdopodobnie na wiele – wtrącił znowu szef sztabu.

– Wszystko zależy od punktu widzenia – stwierdziła prezydent. – Klienci doktora Winthorpe’a i doktor Movelli dostrzegają w tym procesie nie zagrożenie, tylko raczej szansę. Aż do chwili ostatecznego wyjaśnienia nie ma mowy o dalszych pracach nad programem.

Jessica przemknęło przez głowę, że w tym momencie rozstrzygał się los nie kilkuset osób, ale właściwie całej ludzkości.

– To był długi dzień – dodała po chwili prezydent. – Gdzie w tej sytuacji będziemy nocować?

– Na szczęście nie wszystkie kwatery dla gości są zajęte. Na razie umieścimy tam przejściowo panią, pani prezydent, oraz członków komisji. Niestety, nie możemy zapewnić wszystkim jednoosobowych pokojów.

– Proponuję Vanouskautisa i Obforta ulokować razem – zadrwił Rich.

– Jeżeli w sąsiednich pokojach są inni goście, stwarza to pewne ryzyko, że...

– À propos. Tych ludzi z jadalni chyba należałoby już wypuścić.

– Ochrona na pewno się ucieszy – westchnęła Jessica.

– Myślę, że akurat teraz z całą pewnością nie w głowie im zamach na przywódcę własnego państwa. Dla żołnierzy sprowadzimy śmigłowcami prycze i prowiant i rozmieścimy ich w halach sportowych i salach konferencyjnych.

– Największy problem będzie z posiłkami. Nowi żołnierze mogą znaleźć się na terenie ośrodka wyłącznie w kombinezonach ochronnych. Ale ze wszystkim sobie poradzimy.

Jessica miała taką nadzieję.

Niektórzy chodzili po sali tam i z powrotem, przypominając zwierzęta w klatce, inni płakali lub siedzieli całkowicie wyzuci z sił pod ścianami lub przy stole, z głową opartą na rękach. Byli też tacy, którzy w milczeniu tępo patrzyli w noc przez wielkie panoramiczne okno albo nadal dyskutowali ze wzburzeniem o tym, co się stało. Helen, Greg, Mike i jeszcze kilka osób z ożywieniem rozmawiali o ich spotkaniu z prezydent. Sześciu żołnierzy pilnowało drzwi. Raz po raz ktoś rzucał w ich kierunku pytanie:

– Kiedy wreszcie będziemy mogli stąd wyjść?

– Żeby cię szlag, Greg, coś ty najlepszego narobił? – szepnęła nagle Diana.
Helen odwróciła się do niej.

– Jak to? O co ci chodzi?

– Mnie? O nic – szybko rzuciła żona Mike’a.

– Przecież wyraźnie słyszałam. Powiedziałaś: „Greg, coś ty najlepszego narobił” – powtórzyła Helen.

Ponieważ Diana nie udzieliła jej odpowiedzi, zwróciła się wprost do męża:

– Co ona miała na myśli?

– Nie mam pojęcia – odparł.

Helen doskonale знаła ten wyraz jego twarzy.

– Greg, proszę cię.

Z wściekłością w oczach spytał Dianę:

– Mike ci zdradził?

Gdy kobieta wzruszyła ramionami, zamknął oczy, odchylił głowę, a potem wszystko opowiedział.

Początkowo Helen nie chciała uwierzyć w to, co usłyszała. Jej mąż przed wyjazdem poinformował władze! I niewykluczone, że właśnie dlatego roi się tu teraz od policji i wojska, co więcej, przyleciała nawet prezydent!

– I nawet nie uznałeś za stosowne, żeby to ze mną omówić? – spytała lodowatym tonem.

– Cała ta sprawa... wydawała mi się taka... niepewna – wymamrotał Greg.

– Mnie też! – Helen syknęła tak głośno, że kilka osób aż się obejrzało. – I właśnie dlatego mieliśmy najpierw tu przyjechać i wszystko sprawdzić!

– Helen... – Greg położył dłoń na jej ramieniu, ale ona strąciła ją ze złością.

– A ty tymczasem donosisz na nas! – prychnęła. Na nas. Czyli chyba na całą czwórkę. – Zagrazasz naszemu marzeniu o dziecku! – Do oczu napłynęły jej łzy, które wyraźnie starała się powstrzymać. – Jaka ja byłam głupia! Przecież ty zawsze musisz sam o wszystkim decydować!

Gdy Greg po raz kolejny próbował się do niej przybliżyć, odepchnęła go z jeszcze większą wściekłością i pobiegła w kierunku drzwi. Powstrzymywane łzy popłynęły jej po policzkach, zapchały nos. Myśli w głowie rozpadały się jak dom podczas trzęsienia ziemi o sile ośmiu stopni w skali Richtera. Była już tylko cielesną powłoką. A dotyk Grega, gdy próbował chwycić ją za ramię i zatrzymać, odczuła jak chwyt szponów monstrualnego dźwigu. Wyrwała mu się, odtrąciła go mocno, rejestrując podświadomie, że również Mike i Diana usiłowali ją uspokoić i przekonać, żeby została. Gdy znalazła się już blisko drzwi, nagle żołnierze odsunęli się na bok. Helen sądziła, że to jej ustępują z drogi, ale raptem do sali

wkroczyła Jessica Roberts.

– Dobry wieczór państwu! – krzyknęła, na co wszyscy obecni obrócili się w jej stronę. Kiedy Helen się zatrzymała, Greg i Mike dopadli do niej, lecz nic już nie powiedzieli.

Helen zauważyła, że wraz z Jessicą Roberts przybyło jeszcze więcej żołnierzy, którzy zajęli pozycje na zewnątrz i czekali.

– Jesteście z pewnością zmęczeni – mówiła głośno Jessica. – I macie wiele pytań, na które dzisiaj nie możemy odpowiedzieć. Proszę wrócić do swoich pokojów. Pozostała część kompleksu jest na razie dla państwa niedostępna. Proszę się wyspać! Jutro omówimy dalsze kroki.

– A co tu jest do omawiania!? – zawołał Mike. – Wszyscy mieliśmy dzisiaj wrócić do domu! Tymczasem zamykacie nas w pokojach jak nieposłuszne dzieci! Przecież my mamy nasze prace, rodziny! Nasi bliscy martwią się o nas! Musimy ich zawiadomić, że przyjedziemy dopiero jutro!

– Muszą się państwo z tym wstrzymać – oznajmiła Jessica. – Dzisiaj jest za późno. Poza tym wszyscy już śpią.

– A dlaczego nie możemy się stąd wydostać już teraz? Zaraz?

– No właśnie, dlaczego? – dopytywał ktoś za Mikiem.

– Tak, chcemy do domu! – Coraz więcej głosów powtarzało to żądanie.

– Omówimy to jutro! – oświadczyła surowo Jessica.

– Nie będziemy niczego omawiać! – Mike przyjął postawę niewzruszonego buntownika. – Nie...

– Zamknąć się! – Jessica straciła cierpliwość. Na chwilę wszyscy zastygli w pełnej osłupienia ciszy. – Chcieliście po kryjomu sprawić sobie tutaj swoje cudowne dzidziusie. I zostaliście przyłapani. Teraz ponosicie konsekwencje!

– Konsekwencje? – powtórzył za nią Mike. – Czy to znaczy, że jutro też nas stąd nie wypuścicie!? – krzyknął. – Chcecie nas tu więzić!?

– Porozmawiamy o tym jutro. – Jessica próbowała go uspokoić. – Proszę teraz udać się do swoich pokojów.

Helen odniosła wrażenie, że nadzorująca ich kobieta żałuje swojego wybuchu, Mike zrobił jednak krok w jej stronę.

– Nic z tego, wynosimy się stąd już teraz! – krzyknął i dał znak innym, aby ruszyli do przodu. Przecisnął się obok Jessiki, kilku mężczyzn za nim. Żołnierze zagrodzili im drogę. Lecz po wielu godzinach czekania, niepewności, lęku i niepokoju nagromadzone napięcie błyskawicznie przerodziło się w energię, która w odruchu nagłej nadziei lub desperacji pchała wszystkich ku drzwiom. Jak w parowarze, którego wentyl zaczął przeraźliwie gwizdać.

– Cofnąć się! – zażądała Jessica, unosząc wysoko ręce, ale ani ona, ani sześciu żołnierzy nie było w stanie przeciwstawić się naporowi kilkudziesięciu wzburzonych osób. Ze wszystkich stron rozlegały się okrzyki: „Jakim prawem nam to robicie!?”, „Nie damy się zamknąć!”, „Chcemy do domu!”, „Wypuście nas!”.

Głośne apele o zachowanie spokoju, nieustannie ponawiane przez Jessicę Roberts, ginęły w nieopisanym zgiełku. Nagle skądś dobiegł pierwszy okrzyk bólu. Jeden z żołnierzy pchnął kolbą automatu mężczyzn w pierwszym rzędzie, którzy wskutek naporu z tyłu nie mogli ani zrobić uniku, ani się obronić. Po chwili zaatakowali także pozostali mundurowi. Pojękiwania wywołane bólem mieszały się z wrzaskami pełnymi furii. Mężczyźni z gołymi pięściami rzucali się na strażników, aż w pewnym momencie ktoś z tyłu cisnął krzesłem, które trafiło jednego z żołnierzy i przewróciło go na podłogę.

– Przestańcie! – Helen słyszała daremne nawoływania Jessiki Roberts, ona sama zaś próbowała bronić się w tym powszechnym tumultie, wymachując na oślep rękami. W stronę żołnierzy poleciało kolejne krzesło. Dwóch z nich zostało wypchniętych na zewnątrz przez szerokie szklane drzwi. Tam z pomocą przyszli im koledzy, którzy stawili się razem z Jessicą Roberts. Wspólnymi siłami wtoczyli z powrotem do sali buntowników, którzy potykali się o leżących na podłodze, zasłaniających sobie głowy lub obolałe miejsca. Inni z kolei próbowali powtórnie zaatakować strażników, używając pięści albo zamienionych w pałki nóg od krzesel. Dwa kolejne siedzenia roztrzaskały szyby w oknach obok drzwi, poszerzając tym samym wyjście. Cisnący się do niego ludzie z jeszcze większą furią okładali żołnierzy, czym się dało. Helen znalazła się na zewnątrz wraz z pierwszą falą uciekinierów i teraz osłaniała się przed ciosami. Wciąż nie mogła dojść do siebie po kłótni z Gregiem, którego na dodatek straciła z oczu. W środku rozlegały się pojedyncze głosy kobiet nawołujące do spokoju i opamiętania, mimo to coraz więcej osób wydostawało się na dwór. W całej tej wrzawie postać Jessiki Roberts przemknęła gdzieś Helen jak w migawce. Widziała, jak kobieta ciska się niczym opętana między napierającymi ludźmi, ale już nie po to, aby zatrzymać ich w środku, tylko z czystej, niepohamowanej furii.

Przesuwając się ostrożnie tuż pod ścianą budynku, Helen znalazła się nagle poza kordonem żołnierzy. Szybko zrobiła jeszcze kilka kroków i zatrzymawszy się w mniej oświetlonym miejscu, spojrzała jakby z zewnątrz na szerzący się chaos, szukając jednocześnie ewentualnej drogi ucieczki. Bijatyka zdawała się nie mieć końca, z sali wybiegało coraz więcej ludzi, pierwsi prześlizgiwali się między rozstawionymi na dworze żołnierzami.

Nagły ogłuszający huk sprawił, że Helen aż podskoczyła. Seria błysków przecięła ciemność. Jeden z żołnierzy strzelił ze swojej broni. W powietrze, jak zdążyła zorientować się Helen. Buntownicy zamarli. Wrzaski mundurowych stały się teraz głośniejsze, a ruchy ludzi powolniejsze i spokojniejsze. Helen pobiegła, najszybciej jak potrafiła, w kierunku pogrążonego w ciemności trawnika, oglądając się od czasu do czasu za siebie. Miała wrażenie, że słyszy Grega krzyczącego jej imię. Zatrzymała się dopiero jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej, pod dużym drzewem, i przyciśnięta do jego pnia obserwowała to, co była w stanie dostrzec w poświacie padającej z sali.

Drżała na całym ciele. Wyglądało na to, że żołnierze odzyskali kontrolę nad tłumem. Zamknęli drzwi i zabezpieczyli rozbite okno. Wszyscy wrócili do środka. Byli uwięzieni. Tak jak określił to Mike. Chyba nikt nie został poważnie ranny. Przynajmniej nikt nie leżał na ziemi. I znowu usłyszała głos Grega, który ją wołał.

Stała w ciemności oszołomiona i kompletnie zdezorientowana. Strach powoli opadał, a zamiast niego narastała wściekłość. Złość na samowolę władz, na przemoc żołnierzy, ale też na brak rozsądku u ludzi. I po raz kolejny na Grega. Mimo że był uwięziony, mimo że pewnie się martwił, to jednak na razie nie miała zamiaru tam wrócić i znowu poddać się przemocy, kontroli i rozczarowaniu. Teraz najważniejsze były jej dzieci. Tylko one się liczyły. Odwróciła się więc i pobiegła dalej.

Z oświetlonego pomieszczenia ciemność zalegająca za szybą wydawała się Gregowi jeszcze bardziej nieprzenikniona. Po trawniku przesuwiał się systematycznie szeroki snop światła. Żołnierze nie pozwolili mu szukać Helen. Po buncie nikomu nie wolno było opuścić sali. Przywołani sanitariusze zajęli się lekko poszkodowanymi. Kilka podbitych oczu, rozciętych warg, wiele siniaków, ale bez rozlewu krwi. Najmocniej zranione zostało ego niektórych wicherzycieli. Mike siedział na krześle, cicho przeklinając i przyciskając sobie do lewej skroni zimny okład.

Jessica Roberts stała między dwoma żołnierzami z listą w ręce i kończyła sprawdzanie obecności. Z rozpaloną twarzą i potarganymi włosami wyglądała raczej jak bogini zemsty po zwycięskiej bitwie, a nie opanowana organizatorka, za jaką do tej pory próbowała uchodzić.

– Brakuje pięciu osób. Reszta na miejscu – stwierdziła. Podniosła głos, mówiąc: – Proszę o uwagę! – Słowo „proszę” było w tym wywarczanym ze złością poleceniu pustym frazesem.

Zmęczone, wyczerpane twarze zwróciły się w jej stronę.

– Proszę was jeszcze raz o udanie się spokojnie do swoich pokojów! – powiedziała, starając się panować nad sobą. – Każda próba wyłamania się jest bezcelowa. Jutro o wszystkim porozmawiamy.

– Na tym nie koniec – burknął Mike.

W sali nie podniosły się już jednak żadne protesty czy oznaki sprzeciwu. Powiódłszy ostatni raz wzrokiem po ujarzmionych wichrzycielach, Jessica dała znak żołnierzom, aby otworzyli drzwi.

Zgromadzeni zaczęli stopniowo wychodzić z sali. Z opuszczonymi ramionami szli powoli między zwartymi szeregami żołnierzy, których liczba zdecydowanie wzrosła.

– Moja żona jest gdzieś na terenie ośrodka. – Greg zwrócił się do Jessiki, na co ona zerknęła na swoją listę. – Helen Cole – podpowiedział jej.

Jessica podniosła na niego wzrok, a następnie wskazała przed siebie. Na łące, a także w lesie migąły szersze i węższe snopy światła, które raz po raz krzyżowały się, tworząc gęstą, dynamiczną sieć. Wielkie reflektory ustawione na pojazdach wojskowych, a także mocne latarki patroli przeczesywały cały teren.

– Jak pan widzi, ekipy poszukiwawcze już nad tym pracują – powiedziała. – Znajdą ją.

– Nie obchodzi mnie, czy on śpi – oświadczyła twardo prezydent, patrząc na monitor.

Eugene leżał zwinięty w kłębek na stole i oddychał miarowo. Jessica nie mogła się uwolnić od wyrzutów sumienia.

Za oknami centrum monitoringu w oddali migały stożki światła. Słysząc było silniki humvee, które wciąż szukały pięciu osób spośród gości.

Jessica zaprowadziła prezydent do pokoju. Towarzyszyli im Winthorpe, Rich i czterej żołnierze. Gdy stanęli w drzwiach, Eugene spojrział na nich zaspany.

– Pewnie przyszlście do mnie – powiedział powoli. – Wejdźcie. Ale ich odeślijcie – zażądał, wskazując na żołnierzy. – Czy może oni też mają się przysłuchiwać?

Nadal zwracał się do prezydent Stanów Zjednoczonych bez krztyny szacunku. Po prostu bezczelnie i arogancko. „Jest równie mało dyplomatyczny jak ona” – pomyślała Jessica. Nie pozwalał zachować jej twarzy. Czym zupełnie niepotrzebnie już na wstępie znowu nie ułatwił rozmowy. To na wskroś dojrzałe i zarazem bezwzględne zachowanie, w żaden sposób niewspółgrające z wyglądem dziesięciolatka, sprawiło, że Jessicę przeszył dreszcz.

– Posłuchaj! – powiedziała głośno prezydent. – Bo będziemy musieli pogadać z tobą zupełnie inaczej!

– To nic ci nie da, możesz mi wierzyć – odparł Eugene spokojnie. – Albo żołnierze wyjdą, albo rozmowa jest skończona.

Czy ten dzieciak naprawdę jest taki opanowany, czy tylko tak świetnie gra?

– Gene... – odezwał się Stanley Winthorpe, który do tej pory trzymał się z tyłu. – Musisz...

– Stan... – przerwał mu chłopak z uśmiechem politowania na ustach. – Ja niczego nie muszę. Poza tym tobie już nic do tego. Ty jesteś już historią. To jest sprawa wyłącznie między prezydent a mną i mnie podobnymi.

Ku zaskoczeniu Jessiki prezydent wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Podobasz mi się, Eugene! W moim sztabie przydałoby się więcej takich typków jak ty!

Dała znak żołnierzom, aby wyszli.

– Nie widzę przeszkód, żeby w tej sprawie ponegocjować – odparł Eugene, po czym usiadł na stole po turecku. – To mogłoby być nawet całkiem sensowne, biorąc pod uwagę naszą wspólną przyszłość. Ale na razie co innego jest ważne.

– Musimy rozwiązać tę sytuację szybciej – oznajmiła prezydent bez wstępów. – Jestem świadoma doniosłości dyskusji, którą należy podjąć. I na pewno ją podejmiemy. Ale ona wymaga czasu, a ja i obecni tutaj członkowie rządu mamy także inne pilne zadania i obowiązki. Nie możemy tu czekać, dopóki naukowcy nie sprawdzą projektu 671F/23a.

– Pół nocy spędziłem w tym dusznym pokoju – powiedział raptem Eugene, podnosząc się. Stojąc na stole, znacznie górował nad prezydent. – Potrzebuję świeżego powietrza. Przejdziemy się?

– On jest niesamowity – szepnął Rich do Jessiki. – Niebywały. Nie daje sobie w kaszę dmuchać.

Jessica natomiast uważała go za niebezpiecznego.

Prezydent, opanowawszy się, powiedziała:

– Sądziłam, że chcesz rozmawiać tutaj.

– Ale teraz wolę wyjść na dwór! – zażądał rozkapryszonym tonem i nawet tupnął nogą.

– Pójdiesz, jak skończymy – oznajmiła surowo prezydent.

Eugene skrzyżował ramiona na piersi i oświadczył:

– Wobec tego ja już skończyłem.

Jessica miała ochotę ściągnąć go w tym momencie z tego stołu i odesłać do pokoju. Rich tuż obok obserwował sytuację z chłodnym zaciekawieniem.

Prezydent zaczerpnęła głęboko tchu i rzekła:

– Okej, chodźmy.

Eugene błyskawicznie zeskoczył na podłogę i już był przy drzwiach. Prezydent poprosiła czterech żołnierzy, aby towarzyszyli im w stosownej odległości.

– Dla ochrony – wyjaśniła Eugene'owi, który tym razem nie zaprotestował.

Minąwszy korytarz, wyszli na zewnątrz.

Chłopiec ruszył w kierunku ciemnej łąki. Jessica zerknęła w stronę, gdzie trwały poszukiwania. Na szczęście żołnierze byli wystarczająco oddaleni. Prezydent szła po jednej stronie chłopca, Jessica ze Stanleyem po drugiej, a Rich z tyłu, za Jessicą. Czterej żołnierze trzymali się w odległości kilku metrów. Miękka trawa tłumiła odgłos ich kroków. Krnąbrni goście ośrodka udali się wreszcie do swoich pokojów i znowu zapanował spokój.

– Myślisz, że blefuję? – spytał Eugene. – I tylko czekasz, żeby twoi naukowcy odwołali alarm? – Nagle odwrócił się do Richa. – A ty nie powinieneś pracować?

– Już ty się o to nie martw – odparł profesor obojętnym tonem. – Mam swoich ludzi.

– No dobrze. 671F/23a rozpowszechni się tak czy inaczej. Nie możemy czekać, aż doktor Winthorpe i jego towarzysze w ślimaczym tempie wyposażą niewielką elitę na świecie w dzieci naszego rodzaju. To byłoby jak rzucanie pereł przed wieprze!

– Te „wieprze” to według ciebie bogaci klienci Stana? – spytał Rich, nie kryjąc rozbawienia.

– Licz się ze słowami, Gene! – wtrącił wzburzony Stanley Winthorpe. – Zejdź no może wreszcie na ziemię! Ty...

– Co chcesz mi powiedzieć, staruszkule? – przerwał mu chłopiec, patrząc na niego z lekceważeniem. – Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś, co najlepszego zrobiłeś nam tymi swoimi eksperymentami?

– No co takiego, ty mój biedaku? – odparł drwiąco Winthorpe. – Przeszkadza ci, że jesteś mądrzejszy, silniejszy i przerastasz wszystkich swoich kolegów pod każdym względem?

– Nie jesteś w stanie nawet w przybliżeniu sobie wyobrazić, jak Jill i ja poczuliśmy się, kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy wyniki testów naszych genomów! Co w tym momencie się w nas działo! Jak bardzo poczuliśmy się bezsilni i opuszczeni! Zmanipulowani! Bo zdaliśmy sobie sprawę, że byliśmy jedynie zabawką w rękach ludzi opanowanych manią wielkości.

– Jesteście wyjątkowi! Nie nazywaj nas...

– Ja, Jill i inni z pierwszej generacji nowoczesnych dzieci jesteśmy potwornie pokrzywdzeni. Bo zostaliśmy zmuszeni do dorastania w społeczeństwie zacofanym i niedoskonałym pod każdym względem: intelektualnym, fizycznym i społecznym.

– Ty arogancki mały... – zaczął Winthorpe, próbując dopaść chłopca, który umknął mu zwinnym i błyskawicznym ruchem. Doktor nie wiadomo jakim cudem raptem wyładował na ziemi, twarzą w trawie, a na jego plecach klęczał już Eugene, wykręcając mu jedną rękę do tyłu.

– Bez obaw! – krzyknął do żołnierzy, którzy rzucili się w stronę prezydent. – Wszystko w porządku. Ona jest bezpieczna. – Pociągnął Stanleya za rękę, w następstwie czego rozległ się głośny okrzyk bólu. Następnie pochylił się nad głową bezbronnego mężczyzny. – Nie prosiłem się na ten świat – syknął. Jego chłodne opanowanie zniknęło. – Jak każde dziecko przede mną w historii ludzkości. A już na pewno nie chciałem być taki... inny. Dlatego nie oczekuj, że będę ci w jakikolwiek sposób wdzięczny! Czy zastanowiłeś się chociaż raz, co oznacza dla nas ta sytuacja, te wszystkie nasze wyjątkowe umiejętności? Że być może wcale nie uważamy ich za dar i błogosławieństwo? Że o wiele chętniej

bylibyśmy tacy jak większość, zamiast wiecznie się wyróżniać i być outsiderami? Freakami, których wszyscy się boją? Których wielu ludzi prawdopodobnie prędzej by zamordowało, niż pokochało? – Znowu pociągnął Stanleya za ramię i wcisnął mu kolano w plecy, napierając całym ciężarem swego małego ciała i wyciskając z jego gardła kolejny jęk. – A tak w ogóle to czyim jestem dzieckiem? Zresztą czy ja jestem dzieckiem, czy tylko produktem, którego geny możesz opatentować? Czy ja należę do kogoś? Czy też należę właśnie do *kogokolwiek*, a mianowicie do ciebie? – Raptem puścił go i wstał. – Nie pomyślałeś o tym – parsknął. – A jeśli nawet, to było ci to obojętne! – Nieco ciszej dodał: – Nie wspomnę już o tym kretyńskim imieniu. Gene! Co za oryginalność!

– Ma rację... – bąknął Rich.

Postępując, ale z oczami pałającymi wściekłością, co Jessica zauważyła nawet w tak kiepskim świetle, Stanley pozbierał się z ziemi. Próbował rozmasować sobie ramię.

– Przestań się mazać. – Wyszczrzył zęby do chłopca. – I oszczędź mi tego biadolenia w rodzaju „nikt mnie nie kocha” i głędzenia o konflikcie między twórcą a jego dziełem. Ta dyskusja trwa, od kiedy ludzie umieją myśleć i mówić. Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, Eugene. Ale rozumiem, jesteś jeszcze młody. Pewnego dnia pojmiesz, kim jesteś: niepowtarzalną istotą ludzką, taką jak my wszyscy.

– Och, Stanley, Stanley – odparł Eugene, na pozór obojętnie. – Emocjonalnym szantażem za pomocą wyświechtanego chwytu na zawiedzionego ojca nic nie wskórasz. – Następnie, machnąwszy lekceważąco ręką, zwrócił się do prezydenta: – 671F/23a i inne projekty w ciągu jednego lub dwóch pokoleń stworzą warunki, w których dzieci będą mogły w pełni rozwijać swoje umiejętności.

„Superinteligencja, przewaga fizyczna i atrakcyjny wygląd będą się szerzyć jak zaraza” – przypomniała sobie Jessica.

– Inne projekty? – powtórzyła za nim prezydent. – Mam nadzieję, że na razie nie muszę o nie pytać.

– Na razie nie. Jeszcze nie są przedmiotem dyskusji. Ale w ramach rozmów przedstawimy je później, aby ludzkość mogła się na nie przygotować. Bo zrealizujemy je tak czy inaczej.

Ludzkość. Słyszac to słowo w jego ustach, Jessica poczuła ciarki na plecach. Jakby chłopiec był jakąś istotą pozaziemską. Próbowała się uspokoić, przypominając sobie, że takich dzieci jak on, co prawda całkiem łebskich, jest zaledwie garstka i że bez przerwy są monitorowane. Ale z drugiej strony, gdy

pomyślała o pracach Jill...

Jakieś sto metrów od nich rozbłysły w lesie światła latarek. Bliżej, niż powinni znajdować się prowadzący poszukiwania żołnierze. Trzasnęły gałęzie. Ktoś coś zawołał. Wszyscy zerknęli nerwowo w tamtą stronę, lecz po chwili znowu zaległa cisza. Jeden z żołnierzy z ich asysty szeptał coś do swojego mikrofonu.

Helen przycupnęła za drzewem i nasłuchiwała kroków. W ostatniej sekundzie zdążyła ukryć się przed snopem światła. Znowu zrobiło się ciemno. Ekipa poszukiwawcza była coraz bliżej niej. Niemal zaraz po tym, jak się wymknęła, na wielkiej łące zrobiło się jasno jak w dzień. Pełzające snopy światła przesuwały się po całym terenie. Na samym skraju, w półmroku, Helen dostrzegła żołnierzy z noktowizorami. Rozpełzli się po trawnikach i dotarli też do lasu. Na szczęście zdążyła dobiec tam przed nimi, liczyła bowiem, że w lesie łatwiej będzie jej się ukryć, nie miała jednak żadnego konkretnego planu. Kierowały ją instynkt i strach. W słabym świetle księżyca przedzierającym się przez korony drzew ostrożnie posuwała się po omacku od pnia do pnia, aż nagle usłyszała czyjeś kroki, coraz bliżej. Jakiś głos wzywał, by się pokazać. Wymienił nazwiska. Pięć. W tym także Helen. Niewielu zatem udało się uciec podczas awantury w sali. Mężczyźni znajdowali się może z dziesięć metrów od niej. Wyłączyli lampy i polegali tylko na noktowizorach.

Helen z desperacją zastanawiała się, co zrobić, gdy cienie nieoczekiwanie się zatrzymały. Ktoś coś szeptał. Wykorzystała moment, żeby przemknąć nieco dalej. Zwiększyć odległość. Na szczęście nie nadepnęła na żadną gałąź. Ale i tak nie uda jej się uciec przed tymi typami.

– To jeden z naszych oddziałów – oznajmił żołnierz Jessice i prezydent, uprzednio wymieniwszy szeptem jakieś uwagi przez mikrofon w hełmie. – Wszystko jest w porządku.

Nic nie było w porządku, ale on o tym nie wiedział. Prezydent, odczekawszy, aż żołnierz nieco się oddali, zwróciła się znowu do Eugene'a:

– Chcecie usunąć ze świata ludzi, jakich znamy? I ty uważasz, że my tak łatwo do tego dopuścimy?

– Dlaczego by nie? – odparł. – A co takiego wspaniałego wyście osiągnęli? Na ziemi jest więcej głodujących, biednych, chorych, pozbawionych szans niż kiedykolwiek do tej pory...

– Ale też więcej zdrowych, wykształconych, uratowanych od nędzy...

– ...nierówność, brutalne wojny, ocieplenie klimatu. Zresztą ludzie od zawsze zastępowali tych, których znali. Człowiek ze średniowiecza uznałby nas wszystkich za jakieś cudowne istoty, a świat, w którym żyjemy, wydałby mu się kompletnie obcy. My jedynie kontynuujemy ten proces.

– Postęp techniczny i społeczny to zupełnie co innego niż zmiany genetyczne w naturze!

– Nasza natura bez przerwy zmienia się genetycznie. Dlaczego niektórzy z nas mają niebieskie oczy? Z powodu drobnej mutacji, jaka zaszła gdzieś w basenie Morza Czarnego sześć do dziewięciu tysięcy lat temu. Dlaczego mieszkańcy północnej Europy lepiej tolerują krowie mleko niż ich sąsiedzi z południa? Modyfikacja genetyczna. To zaledwie dwa z wielu przykładów.

– Ale to były zmiany naturalne!

– A w czym one są lepsze od celowych?

– Na przykład w tym, że trwają całe pokolenia i dzięki temu jest dość czasu na dostosowanie się do nich.

– Mimo to człowiek neandertalski wymarł. I co to dało, że ten proces dokonywał się przez tysiące lat, a nie w ciągu kilku generacji? Przestań racjonalizować swój lęk – zaapelował Eugene.

Jessica coraz bardziej nienawidziła tego chłopaka. Ponieważ na wszystko miał odpowiedź, która – przynajmniej w pierwszej chwili – brzmiała przekonująco.

– Wylewasz dziecko z kąpielą. Nie ulega wątpliwości, że ten postęp rodzi pytania. Podobnie jak było w przypadku zielonej, czerwonej i białej biotechnologii w rolnictwie, medycynie i przemyśle. A przeciwko niej nic nie masz – Eugene przekonywał panią prezydent.

– Ale wielu ludzi jej nie akceptuje.

Roześmiał się tak głośno, że żołnierze obejrzelili się, zaniepokojeni.

– I masz ich w nosie! W przeciwnym razie technika genetyczna nie byłaby w Stanach tak rozpowszechniona. Nie wysuwaj argumentów przeciwników! Następstwa stosowania inżynierii genetycznej dla ludzi dotkniętych ubóstwem i pokrzywdzonych na całym świecie były ci kompletnie obojętne, dopóki ty i tobie podobni mogliście zarabiać na tym kupę pieniędzy. Ale teraz nagle twoja uprzywilejowana pozycja bogatej białej kobiety z zachodniego świata, czyli członka uprzywilejowanego ułamka ludzkości, jeśli pominiemy bogatych białych mężczyzn, stała się zagrożona! Doprawdy, kto by pomyślał, że kiedykolwiek znajdziesz się w takiej sytuacji?

– Mówimy o całkiem nowej definicji wizerunku człowieka!

– No, no, to też już było. Poza tym który wizerunek człowieka mamy na myśli?

Świecko-zachodni? Chrześcijańsko-zachodni? Wizerunek fanatycznego chrześcijanina, który akurat teraz bardzo upowszechnia się w Stanach? Czy wizerunek żydowsko-zachodni? Żydowsko-ortodoksyjny? A może mówimy o umiarkowanych muzułmanach? Islamistach? Buddystach? Birmańskich buddystach ludobójcach? Czy o jednym z wielu, wielu innych? O który wizerunek człowieka chodzi? Człowiek definiuje się nieustannie na nowo. To nieuniknione. Choćby z powodu technologii, które rozwijamy. I jak w przypadku wszystkich technologii pytanie, jakie się nasuwa, to nie „czy”, ale „co” i „jak”. Co robić, a czego zaniechać? I jak robić? Na przykład: do kogo należy dany genom – rośliny, zwierzęcia czy człowieka? Do jakiegoś koncernu, do istoty żywej, względnie jednostki czy do ogółu? Czy związane z tym możliwości należy wykorzystać komercyjnie? A jeśli tak, jak zagwarantować, aby te podstawowe zmiany nie służyły nielicznym państwom, międzynarodowym koncernom i jakiejś niewielkiej mniejszości, którym zapewniłyby wszechwładzę nad zaopatrzeniem ludzi w żywność, nad ich zdrowiem czy dostępem do wiedzy? Jak zapobiec szkodom wywołanym przez uwolnienie zmodyfikowanych genetycznie organizmów? – Otrząsnął się. – Koszmarne określenie. Zwłaszcza że obejmuje także mnie. Jak sprawić, aby koncern nasienny nie mógł zarabiać ciężkich miliardów na zmodyfikowanej soi czy bawełnie i przy okazji też na niezbędnym pestycydie, na którego kilka lat później szkodniki i tak się uodpornią i dopiero wtedy zaczną siać prawdziwe spustoszenie, ponieważ na polach nie będzie już genetycznej różnorodności? Wtedy wszyscy będą na tym cierpieć, ale koncern obciąży kosztami ogół. Jak sprawić, żeby twój rząd ani żadne inne rządy nie kupowały takich koncernów? Żeby w przyszłości tacy Winthorpe'owie nie wyrządzali krzywdy światu? Oczywiście genetycznie modyfikowane organizmy mogą się szerzyć jak gatunki inwazyjne, ale powstaje pytanie, czy ze skutkiem negatywnym, na podobieństwo królików w Australii, czy pozytywnym, jak kukurydza, ryż czy pszenica w wielu rejonach świata? To ty musisz odpowiedzieć na to pytanie. Tyle że musisz to zrobić, nie kierując się swoimi małostkowymi uprzedzeniami dotyczącymi dalszego istnienia ludzkości, której istotą w gruncie rzeczy zawsze był rozwój i postęp, a nie trwanie w stadium człowieka jaskiniowego czy średniowiecznej ofiary dżumy. Ludzkości, która każdego dnia jest nowa i musi pogodzić się z tym, że już nazajutrz znowu się zmieni. Na szczęście! Bo gdyby było inaczej, nadal mogłabyś umrzeć na katar, a jedyną narkozą przed operacją przeprowadzaną przez znachora byłaby butelka rumu!

Stanley Winthorpe wymamrotał coś, co w uszach Jessiki zabrzmiało jak przekleństwo, lecz nikt go nie zrozumiał. I nikt nie zwracał na niego uwagi.

Idąc wciąż przed siebie, dotarli aż do części frontowej kompleksu. Przed nimi rysowały się cienie śmigłowców, którymi kilka godzin temu przyleciała prezydent ze swoją świtą. Tkwiły nieruchome i mroczne niczym przyczajone monstra. Eugene ruszył w ich kierunku.

– O rany! – zakrzyknął. W jego głosie dało się słyszeć chłopięce podniecenie.
– Sea kingi! Znam je tylko z gier komputerowych!

Gdy próbował podbiec całkiem blisko, jeden z żołnierzy zastąpił mu drogę. W przeciwieństwie do innych nie był w uniformie bojowym, tylko w szykownym mundurze i w czapce z daszkiem. Jediną bronią, jaką posiadał, był pistolet na biodrze. Prezydent dała mu znak, aby przepuścił chłopca.

Po chwili Eugene stanął jak każdy normalny dziesięcioletek przy przydymionej szybie i próbował zajrzeć do środka.

„Dokładnie jak kiedyś Jamie przy Marine One” – przypomniała sobie Jessica.

– Chcesz wejść? – spytała protekcyjnie prezydent. W jej głosie znowu pojawił się ten ciotczyzny ton. Kolejny znak w kierunku pilota i natychmiast otworzyły się drzwi, a Eugene pospiesznie wdrapał się do helikoptera, podczas gdy prezydent i Jessica zostały na zewnątrz.

– Czy mogę usiąść na miejscu pilota? – spytał chłopiec z ożywieniem.

– Oczywiście.

Powiedziawszy to, prezydent dołączyła do niego i usiadła na fotelu drugiego pilota. Mężczyzna w mundurze wszedł za nią i stanął za siedzeniami.

Za sterem śmigłowca Eugene wydawał się trochę zagubiony. Ślizgał się palcami ponad instrumentami, nie dotykając ich.

– To twój? – spytał. – To znaczy, czy na twoje polecenie może w dowolnym momencie wystartować? Przecież jesteś prezydentem.

– Myślę, że tak. – Uśmiechnęła się i rzuciła za siebie: – Czy jesteśmy gotowi do startu?

– W każdej chwili, pani prezydent – odpowiedział oficer wojskowym tonem.

Małe dłonie Eugene’a zacisnęły się na drążku sterowym, podczas gdy on siedział na fotelu i marzył.

– Super!

– Przed chwilą zrobił nam wykład na temat istoty człowieka i dyskutował z nami o zasadniczych kwestiach decydujących o przyszłości świata, a teraz coś takiego... – bąknął Rich nie bez zdziwienia.

– Dostyc często zdarzają mu się takie zmiany nastroju – szepnęła Jessica.

– Prawdziwe czy udawane? – dopytywał Rich.

– Mnie też się to nie podoba, bo do tej pory w taki właśnie sposób ratował się z każdej krytycznej sytuacji.

Jessica rozejrzała się podejrzliwie dookoła, podczas gdy Rich okrążył maszynę od przodu. Przed nimi znajdował się słabo oświetlony budynek główny, oddzielony tylko śmigłowcami, a za nimi rozciągał się ciemny las. Coś tu się nie zgadzało.

Helen przesuwała się w kierunku przeciwnym do światła. Pod nogami miała miękkie poszycie lasu, a w górze, między koronami drzew, od czasu do czasu przeświecało czarne jak smoła niebo. Już raz udało jej się umknąć żołnierzom, ale byli dosłownie wszędzie. Oni jej nie szukali, tylko na nią polowali! Odpowiedzi Jessiki Roberts były zbyt wymijające. Niewykluczone, że ci, którzy rozpętali zbiorową histerię, mieli rację. Wcale nie zostaną wypuszczeni jutro do domu. Już nigdy stąd nie wyjadą. Rząd mógł zamknąć projekt i zatrzymać ich tutaj na zawsze. Albo każe im gnić w jakimś tajnym Guantanamo. Bądź też stanie się coś jeszcze gorszego.

Kiedy Helen okrążyła skupisko krzaków, ku swemu zaskoczeniu nagle znalazła się we frontowej części kompleksu. W odległości około trzydziestu metrów słaby blask światła z dwóch okien padał na kilka śmigłowców. Pewnie to nimi przyleciała prezydent ze swoimi ludźmi. Z przodu jednego z nich majaczyły cienie kilku osób, w tym cztery potężne sylwetki. Znowu żołnierze w kamizelkach kuloodpornych i hełmach! Helen zwolniła kroku. Tam się coś działo. Dostrzegła więcej cieni, które bardzo szybko zbliżały się do tamtej grupy. Były mniejsze. I biegły bezszelestnie. Jak nietoty. Albo skradające się drapieżne zwierzęta.

Jessica zbyt późno zauważyła te cienie. Potem coś eksplodowało w jej głowie i cisnęło ją na ziemię. Przez zasłonę łez zobaczyła kolejne cienie. Wymachiwały nogami w ciężkich butach, skakały na torsy w kevlarowych kamizelkach, wirowały wokół głów osłoniętych hełmami. Żołnierze chwiali się, dwóch z nich potknęło się i po mocnych kopniakach upadło na kolana. Jessica próbowała się podnieść. To były dzieci! Miały co najwyżej siedem lat! Ale poruszały się jak błyskawice! I były silne! Z pozycji stojącej wzbijały się ponad głowy mundurowych, w locie kopały ich, gdzie popadnie, a ci rośli mężczyźni nie mieli szansy nawet się obronić czy choćby osłonić. Popis wprost nadludzkiej akrobatyki i sztuki walki w realnym życiu. Dwaj trzymający się jeszcze jako tako na nogach żołnierze nie potrafili ich schwytać. Bezradnie wymachiwali lufami swojej broni, byli zdecydowanie zbyt powolni. W półmroku i chaosie Jessica nie potrafiła policzyć, ile jest dzieci. Chyba piątka. Jedno uderzyło żołnierza w nadgarstek, na co ten z jękiem wypuścił z rąk automat, który natychmiast chwyciło inne dziecko i podskoczywszy wysoko, rąbnęło nim mężczyznę z całej siły w twarz, podczas gdy to pierwsze podcięło mu nogi w kolanach. Żołnierz

runął na ziemię, a uzbrojony malec wylądował mu na klatce piersiowej. Przez ułamek sekundy Jessica myślała, że zaraz wystrzeli, ale on jedynie wymierzył kolejne dwa ciosy i odczekał, aż jego ofiara przestanie się ruszać. Także dwaj inni żołnierze leżeli już powaleni na ziemi i tylko ostatni bronił się jeszcze przeciwko trzem malcom, którzy atakowali go razem, trzymając w rękach zdobytą broń szybkostrzelną. Jessice huczało w głowie, jej ciało było jedną wielką bolącą raną, mimo to dźwignęła się na łokcie, gdy nagle tuż przed jej oczami wyrosły dwie niewielkie stopy. Należały do dziewczynki, co najwyżej w wieku Amy, która właśnie miała zamiar przyłożyć jej ciężką lufą pistoletu maszynowego, gdy zniemacka rzucił się na nią Rich i rozłożywszy szeroko ramiona, pociągnął ją na ziemię. Tymczasem ona, przewracając się, błyskawicznie obróciła się na plecy i kopnęła go tak brutalnie w szyję, że na ułamek sekundy zamarł z wyrazem bezgranicznej paniki w oczach, po czym osunął się bezwładnie na trawę. Gdy Jessica chciała podczołgać się do niego, mała znowu zagroziła jej drogę, teraz z lufą wymierzoną prosto w nią. Jessica skupiła się na małym palcu na spuście. Zobaczyła nagły błysk, a potem jej głowa eksplodowała z potwornym hukiem.

Helen znieruchomiała. Atak trwał może pięć sekund. Wszyscy dorośli leżeli jak kłody na ziemi, a nad nimi pochylały się cienie pięciorga dzieci. Sprawdzały, dotykały. Następnie wyprostowały się. W rękach trzymały pistolety maszynowe pokonanych.

Czy to złudzenie, czy właśnie zaczął huczeć silnik śmigłowca? Nawet nie zauważyła, jak krok po kroku podeszła bliżej i obserwowała tę scenę może z odległości dziesięciu metrów.

Wirnik śmigłowca musiał chyba zacząć pracować już podczas ataku i teraz obracał się coraz szybciej.

W budynku zapaliły się światła.

Maszyna warczała coraz głośniej. Podmuch powietrza był tak silny, że nawet Helen rozwiewał włosy. Uzbrojone dzieci wdrapały się przez szeroko otwarte teraz drzwi do środka maszyny. Hałas sprawiał, że głosy dobiegające od strony budynku były prawie niesłyszalne. Nagle wypadły z niego potężne cienie. Inne okrążyły pozostałe helikoptery, były zaledwie kilka metrów od niej. W ogłuszający ryk silnika wdarły się jeszcze odgłosy strzałów. W otwartych drzwiach śmigłowca rozbłyskiwały jasne ogniki. Nadbiegające cienie padły na ziemię. Helikopter drgnął lekko. Jedna z leżących na trawie osób mozolnie oderwała tułów od ziemi i uniosła rękę. Machała nią.

– Nie strzelać! – wrzasnęła Jessica, chociaż wiedziała, że huk silnika i tak ją zagłusza. W głowie jej wirowało, jakby to w niej właśnie obracało się śmigło helikoptera. Pulsujący ból sięgał aż do karku. Mimo wszystko zdołała dźwignąć się na nogi. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedzieć, że stało się to, czego się obawiała. Eugene siedział nadal na miejscu pilota, z dłońmi na dźwigniach i drążku sterowym, na fotelu obok – pilot z pistoletem maszynowym przyłożonym do skroni. Przez otwarte drzwi ujrzała w środkowej części maszyny prezydent, a przy niej jedno z dzieci, które przed chwilą ją zaatakowały. Także z bronią w rękach, wymierzoną prosto w czaszkę przywódczyni państwa. Dwoje innych stało w drugich drzwiach.

– Nie strzelać! – krzyknęła znowu Jessica, nie słysząc własnego głosu. Z podniesionymi rękami biegła w kierunku żołnierzy stojących przed śmigłowcem. Podmuch powietrza niemal przewrócił ją na ziemię. Kątem oka widziała, jak z pokładu wypadają jakieś niewielkie przedmioty. – Nie strzelać! Oni mają prezydent!

Helen w osłupieniu obserwowała, jak helikopter niezdarnie próbuje dźwignąć ociężałe cielsko w powietrze. Jedno koło uniosło się nieznacznie nad ziemią, ale zaraz dotknęło jej na powrót, po czym oderwało się ponownie, jak dziecko, które uczy się chodzić. Jasne światło padające z budynków po przeciwnej stronie jaskrawo oświetlało całą scenę. Żołnierze stali lub klęczeli na trawie, z bronią gotową do strzału. Między nimi a maszyną pojawiła się jakaś postać z uniesionymi rękami. Każdy odgłos ginął w wyciu wirnika. W otwartych drzwiach bocznych zwróconych do żołnierzy widoczne były zarysy trójki dzieci. Śmigłowiec oderwał drugie koło, ale niemal po sekundzie osiadł jeszcze raz między nieruchomymi ciałami. Jasna smuga światła w bocznym wejściu zrobiła się węższa. Dzieci zamknęły drzwi.

Oślepiający blask, który nagle oblał Helen, wyrwał ją z paraliżu.

– Tam jest! – Usłyszała za sobą głosy przebijające się przez ryk śmigłowca. – Nie ruszać się!

Ogarnięta paniką spojrzała za siebie, osłaniając dłońią oczy przed rażącą jasnością. Nie widziała niczego poza migotliwą bielą. Po chwili odwróciła się i niemal oślepiąca tym blaskiem puściła się biegiem przez trawnik.

– Helen Cole? Stać! Zatrzymać się! – Przez warkot przedzierały się okrzyki z jednej strony, a z drugiej docierały nawoływania: – Nie strzelać!

Helen nie myślała, tylko pędziła przed siebie.

Dopiero gdy uczepliła się pokładu helikoptera i podciągnęła wyżej, została

zauważona przez jedno z dzieci. Pod stopami nie czuła już ziemi, wciągnęła się do połowy do kabiny. Nagle maszyna się przechyliła i oderwała od podłoża. W nagłym zrywie śmigłowiec obrócił się wokół własnej osi, a silniki zawyły ze zdwojoną mocą. Helen zsunęła się nieco i znowu znalazła się w jaskrawym świetle włączonych w budynku reflektorów. Uczepiła się podpórki jednego z foteli, podczas gdy jej nogi znalazły się poza platformą i dyndały w powietrzu. W panice spojrzała w dół. Jeszcze nie byli zbyt wysoko. Gdyby teraz się puściła, upadając, co najwyżej skrzyłaby sobie kostkę. W tym momencie jednak to był jedyny sposób wydostania się stąd! Tuż za nią na trawniku leżeli żołnierze i kierowali broń prosto w śmigłowiec. Między nimi a maszyną stał ktoś z szeroko rozłożonymi ramionami. Kiedy Helen odwróciła głowę, rozpoznała Jessicę Roberts. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Potem helikopter obrócił się znowu i wzniósł wyżej. Helen zmobilizowała resztki sił, mięśnie w ramionach ją paliły, ale nie odmawiały posłuszeństwa – męczarnie w studiu fitness i wyciskanie z siebie siódmych potów teraz się opłaciły. Z niemal nadludzką siłą wciągnęła się cała do wnętrza maszyny, w czym pomogły jej małe dłonie. Ledwie znalazła się w środku, ktoś zatrzasnął za nią drzwi. Bez tchu opadła na pierwsze z brzegu siedzenie i złapała się czegośkolwiek, bo helikopter, zataczając śmiały łuk, wznosił się coraz wyżej w ciemność. Z mieszaniną zdumienia i przerażenia stwierdziła nagle, że na miejscu pierwszego pilota nikt nie siedzi, a przynajmniej nie widziała tam niczyjej głowy ze słuchawkami. Zajęty był najwyraźniej tylko fotel drugiego pilota. Kabina była ciasna i pełna dzieci trzymających w rękach pistolety maszynowe, duże i niebezpieczne, mimo że ich lufy były skierowane w podłogę. Dzieci żołnierze! Boże! Trochę bezradnie przyglądały się nieoczekiwanej pasażerce, też próbując się czegoś złapać. Helikopter wciąż nie uniósł się na odpowiednio wysoki pułap i nie obrał stabilnego kursu, tylko kołysał się i zataczał łuki.

– Gene! – wrzasnął jeden z chłopców. – Gene! – Ale przy tym natężeniu hałasu nikt nie mógł go usłyszeć. Usiadł więc, zapiął pasy i nie spuszczał z Helen wzroku.

Poczuła za sobą jakiś ruch. Cała sytuacja wydawała się już na tyle surrealistyczna, że Helen nawet się nie zdziwiła, widząc, kto oprócz niej jest w śmigłowcu: pani prezydent. W tym momencie obie były jedynie zwykłymi kobietami, które znalazły się w niewiarygodnie krytycznym położeniu. W oczach prezydent odbijały się te same myśli, które dręczyły Helen: „Co za koszmar! Jak się z niego obudzić!?”.

Tak czy inaczej, znajdowała się w powietrzu i miała szansę wydostać się

z New Garden.

Unosząc ręce i biegając jak szalona między stojącymi na ziemi śmigłowcami, Jessica wciąż nie pozwalała żołnierzom strzelać. Na pewno wyglądała komicznie! Ale jakie to miało znaczenie!? Pierwsi piloci zajęli już miejsca i uruchomili silniki.

– Nikt nie może opuścić terenu kompleksu! – wrzeszczała. Z desperacją rozglądała się dookoła. Czy żołnierze nie dostali odpowiednich poleceń? Wskakiwali jeden za drugim do maszyn. W końcu dotarło do niej, że jej rozpaczliwe wymachiwanie i dramatyczne okrzyki nie robią na nich najmniejszego wrażenia i nic nie dają. Przez ułamek sekundy przemknęło jej przez głowę, żeby wyrwać któremuś z żołnierzy pistolet i za jego pomocą powstrzymać pozostałych. Ale pewnie parę sekund później już by nie żyła. Instynktownie rozejrzała się dookoła i między wciąż nieruchomo spoczywającymi ciałami dostrzegła rzeczy, które wypadły ze śmigłowca przy starcie. Podeszła do nich. Trzy telefony komórkowe. Chwyciła je natychmiast i podbiegła do Richa, który leżał najbliżej – na plecach, z oczami wychodzącymi niemal z orbit i palcami kurczowo wczepionymi w szyję.

– Rich! – wrzasnęła. Nie zareagował. Jego ciało było jak kłoda drewna. – Rich!

Usiłowała oderwać jego dłoń od szyi, ale ręka była zeszywniała. Co ona ma teraz zrobić? Spróbować sztucznego oddychania? To chyba nie najlepszy pomysł, jeżeli kopniak tej małej pogruchotał mu krtań. Wobec tego jak mu pomóc?

Raz po raz przenosiła spojrzenie z duszącego się Richa na szykujące się do startu helikoptery, aż w końcu przycisnęła usta do jego warg i wtoczyła między nie tyle powietrza, ile tylko zdołała.

Ciało Richa napięło się niczym cięciwa, dłoń oderwała się od szyi i opadła na ziemię. Jessica znowu nabrała powietrza i zamierzała powtórzyć zabieg, gdy nagle mężczyzna z ostrym gwizdem wykonał łapczywy wdech. Błędym wzrokiem rozejrzał się dookoła, zamachał rękami, po czym pokazał jej uniesiony kciuk i odgonił ją. Natychmiast zrozumiała, zerwała się na równe nogi i popędziła do budynku, w którym znajdowało się centrum monitorowania. Podczas gdy silniki warczały coraz głośniejsze, ona wpadła do środka, puściła się po schodach na górę, pogalopowała przez korytarz i bez tchu wtargnęła do pomieszczenia, w którym żołnierze i policjanci nerwowo mówili jeden przez drugiego, telefonowali, łączyli się przez radio, przekazywali rozkazy.

– Zatrzymajcie helikoptery! – zażądała. – Nikt nie może opuścić kompleksu!

Na jednym ze stołów położyła trzy komórki. Wyglądały na specjalne urządzenia wysoko postawionych polityków albo wojskowych, którzy musieli bezpiecznie się komunikować. Jessica domyślała się, do kogo należały te aparaty.

Kilkoro mężczyzn i kobiet obrzuciło ją pełnymi irytacji spojrzzeniami i natychmiast powróciło do ogarniania chaosu.

Na monitorach niewiele dało się rozpoznać, ale przynajmniej widać było, że dwaj z powalonych żołnierzy właśnie jakoś się pozbierali i wstali. Rich także próbował podnieść się na czworakach.

Za plecami Jessiki wyrósł nagle generał dowodzący całą operacją.

– Maszyny zostają na ziemi! – huknął tubalnym głosem. – Natychmiast wstrzymać start!

Jessica była tego samego zdania. Im mniejsze ryzyko, tym lepiej.

– Co się dzieje? – spytał. – Dlaczego tamten śmigłowiec odleciał? Kto nim sterował? Dlaczego nie pozwoliła pani do niego strzelać?

– Na jego pokładzie jest prezydent – wyjaśniła Jessica. – Urowadzona przez garstkę dzieci. – Generał zamarł. – Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale to prawda – dodała.

– Rozumiem – odezwał się wreszcie generał. – Kwatera główna musi śledzić Marine One. Przekazać parametry jednostkom alarmowym! Muszą podjąć pościg.

Jessica spytała przedstawiciela policji z San Diego:

– Macie chyba jednostkę kontroli powietrznej?

Mężczyzna skinął głową.

– Ona też musi natychmiast przystąpić do akcji.

Policjant chwycił telefon.

– Co tak naprawdę się stało? – chciał wiedzieć generał.

– Nie wiadomo dokładnie – odpowiedział jeden z funkcjonariuszy zajętych pilnowaniem urzędów.

– Ja wiem – rzuciła Jessica. – Byłam przy tym.

W kilku zdaniach przedstawiła mu przebieg wydarzeń.

– Dzieci? – spytał z niedowierzaniem.

– Musimy złapać je najszybciej, jak to możliwe! Bo jeżeli one rzeczywiście są nosicielami tego wirusa...

– Okej! – krzyknął generał na całe pomieszczenie. – Wezwać posiłki lotnicze z Naval Air Station North Island! Na pokładzie Marine One pasażer numer jeden. Zawiadomić natychmiast jednostki epidemiologiczne! Poza tym zlokalizować telefony komórkowe prezydent i pilota!

Wszyscy pospiesznie przystąpili do wykonywania rozkazów. Zakończyli

prowadzone rozmowy i rozpoczęli nowe.

– Niech to szlag! – wymamrotał generał. – Jesteśmy kompletnie ślepi. Nie mamy pojęcia, dokąd oni lecą.

– Przecież my i tak nie możemy nigdzie się wybrać – przypomniała mu Jessica. Jej głowa była jak balon tuż przed pęknięciem, do którego mimo to nadal zrywami pompowano rozżarzone powietrze. Pokazała generałowi trzy komórki. – Lokalizacja telefonów to dobry pomysł – przyznała. – Ale najwyraźniej ktoś już wpadł na niego przed nami. Wygląda na to, że na życzenie tych dzieciaków pilot i prezydent musieli zostawić swoje aparaty.

– Cholerne bachory – zagrzmiał mężczyzna i znowu podniósł wzrok na ekrany. – W razie czego siły operacyjne będą musiały podjąć decyzję: ratować prezydent czy zapobiec rozprzestrzenieniu się wirusa.

– Wiem – powiedziała Jessica. – Jeśli chodzi o wirusa, nie możemy pozwolić sobie na żadne ryzyko. W razie potrzeby pańscy ludzie muszą być przygotowani do obezwładnienia buntowników.

Generał zachował kamienną twarz.

Helen widziała w dole jarzące się światła jakiegoś miasta. Eugene sterował śmigłowcem z wyłączonymi reflektorami zaledwie kilkadziesiąt metrów nad dachami. W świetle ulicznych latarni można było rozpoznać w ogrodach i na ulicach różne szczegóły: leżaki przy basenach, grupę ludzi na chodniku spoglądającą w górę w poszukiwaniu źródła hałasu, skrzyżowania ze zmieniającymi się światłami.

Było za głośno, aby rozmawiać. Jedno z dzieci, chłopiec, wciąż trzymało się jedną ręką oparcia fotela drugiego pilota, podczas gdy w drugiej ścisnęło pistolet maszynowy z lufą opartą na ramieniu mężczyzny. Wystarczyłby jeden niezgrabny manewr, omdlenie czy nieszczęśliwy przypadek, a tułów mężczyzny przeszyłaby kula. Albo kilka kul, w zależności od tego, na jaką funkcję ustawiona była broń.

Prezydent siedziała ze stężałą twarzą ukośnie za Helen. Pilnowana przez chłopca, który położył sobie automat na udach, kierując go prosto w nią.

Tylko Helen nikt nie groził. Dwie dziewczynki trzymały broń na kolanach i na zmianę ogarniały wzrokiem wnętrze kabiny albo wyglądały na zewnątrz. Początkowo Helen żałowała swojej spontanicznej decyzji i nie potrafiła opanować paniki w obliczu uzbrojonych dzieci, ale teraz znajdowała się w stanie beznamietnego spokoju. Intuicja mówiła jej, że one nie stanowią bezpośredniego zagrożenia. Nic jej nie robią. A to, że dziesięcioletek steruje śmigłowcem, nie niepokoiło jej bardziej niż cała reszta. Obserwowała, z jaką swobodą obsługuje

urządzenia. Jakby miał za sobą z tysiąc lotów. Prawdopodobnie w pokoju zabaw New Garden. Czy takie doświadczenie było wystarczające w realnym świecie? Lecieli prosto jak po sznurku nad miastem. Nie potrafiła ocenić, jaki udział w pilotowaniu miał mężczyzna w fotelu obok Eugene'a, ale na pewno zdawał sobie sprawę z obecności ważnej pasażerki. Jednej z nich.

Helen była ciekawa, jaki cel miały te dzieciaki. Nie ulegało wątpliwości, że po ich ucieczce z New Garden w pościg wyruszyły pozostałe śmigłowce, a zaraz potem dołączyły do nich wszelkie pozostające w tym regionie do dyspozycji siły policji i wojska. Oczywiście potrzebowały trochę czasu, aby wystartować czy wyjechać na ulice, ale na pewno wkrótce się pojawią. Helen nie wiedziała, od jak dawna są w powietrzu. Może od pięciu minut. Najwyżej od dziesięciu.

Pomyślała właśnie o Gregu, gdy nagle zza oparcia fotela Eugene'a wysunęła się mała ręka i chłopięcy palec wskazał jakiś punkt przed nimi. Śmigłowiec zmniejszył prędkość i zaczął się zniżać. Zatoczyli koło nad czymś, co wyglądało na kiepsko oświetlony ogromny parking, na którym zajęta była tylko jedna czwarta miejsc. Eugene coraz bardziej zacieśniał krąg, aż nagle opadli tak szybko, że żołądek podszedł Helen do samego gardła. „Zaraz się roztrzaskamy” – pomyślała przerażona, lecz w następnej chwili śmigłowiec odzyskał równowagę. Znajdował się już prawie nad ziemią i po chwili osiadł łagodnie na parkingu. Małe dłonie Eugene'a zwinnymi ruchami wyłączały różne instrumenty. Potem chłopiec zerwał się z fotela i odwrócił. Rzucił przelotne spojrzenie na Helen, o której obecności poinformował go jeden z dzieciaków, krzyżąc mu prosto do ucha. Następnie wrzasnął do wszystkich:

– Bierzemy tamto!

Wskazał na starszy model vana GMC, stojący kilka metrów przed nimi w miejscu, gdzie nie sięgał blask latarni. Klasyczne auto z czasów dzieciństwa Helen. Nawet ona je rozpoznała.

– Tylko niech nikt nie próbuje robić żadnych głupstw!

Drugi chłopiec otworzył już drzwi helikoptera od strony samochodu. Wszyscy po kolei wyskakiwali z maszyny pod terkoczącymi śmigłami. Gdy Helen zawahała się przez chwilę, Eugene, wyciągając palec w kierunku jej brzucha, powiedział:

– Z nami będzie pani bezpieczniejsza. Myśli pani, że ona – tu wskazał na prezydent – pozwoliłaby pani i innym matkom tak po prostu odejść? Jeśli oni zwyciężą, a pani w ogóle będzie mogła urodzić swoje dziecko, na pewno od razu je pani odbiorą. Albo w najlepszym razie odizolują panią razem z nim.

– To jest... – zaczęła prezydent, lecz Eugene przerwał jej natychmiast.

– Pani jest jedną z nas – zwrócił się do Helen. – My jesteśmy dla pani jedyną

szansą! Niech pani idzie z nami!

Helen wręcz zbaraniała.

Jedna z nas!

– Niech pani go nie słucha! – krzyknęła prezydent, chwytając ją za ramię. –
Mówi bzdury!

Eugene uśmiechnął się do niej. Uśmiechnął!

– Ja mówię bzdury? A kto wprowadził do New Garden wojsko i zrobił z osiedla warowną twierdzę, z której nikomu nie wolno się wydostać? Ja? Niech pani idzie z nami – zwrócił się znowu do Helen, jakby kierował do niej zaproszenie. A ona miała kompletny mętlik w głowie. Jedna z nas. Potencjalna matka dwojga im podobnych. Czy naprawdę tego chciała? Urodzić takich małych bojowników? Czuła na ramieniu dłoń prezydent. Nie odważyła się jednak na sprzeciw wobec chłopca.

– Nie dyskutuję z uzbrojonymi – oświadczyła i uwolniła się od pani prezydent, którą Eugene chyba też przekonał do wyjścia, wymachując lufą broni.

Obie kobiety skoczyły razem, czując powiew wywołany ruchami coraz wolniej obracającego się śmigła. Ledwie znalazły się na płycie parkingu, dzieci wzięły je wraz z pilotem pomiędzy siebie i pobiegły jak wytrenowany minioddział do auta. Eugene wsunął rękę do prawej kieszeni spodni, wyjął ją szybko i obmacał pozostałe kieszenie, włączając z małą kieszonką koszuli. Helen miała wrażenie, że na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji, a z ust padło chyba jakieś przekleństwo.

Spojrzała na niebo, próbując wypatrzeć na nim inne helikoptery, lecz ku swemu zaskoczeniu nie odkryła ani jednego. Nasłuchiwała też syren policyjnych radiowozów. Cisza. Czyżby wylądowali za szybko, aby ktokolwiek zdołał ich namierzyć? Ale przecież pozostałe śmigłowce na pewno od razu ruszyły za nimi w pościg! Może specjalnie zachowywały tak dużą odległość, żeby nie było ich ani widać, ani słychać? Mało prawdopodobne. Na razie do jej uszu docierały jedynie zwykłe nocne odgłosy miasta. I brzęk szkła, kiedy jeden z chłopców rozbił swoją bronią boczną szybę w vanie. Eugene włożył rękę do środka i otworzył drzwi kierowcy, następnie wsiadł i otworzył także drzwi pasażera. Potem schylił się pod kierownicą, znikając pod nią niemal całkowicie. Podczas gdy jego koledzy wpychali prezydent i pilota do auta od przeciwnej strony, po czym sami również zajęli miejsca, on zerwał obudowę osłaniającą stacyjkę i zetknął ze sobą dwa przewody w sposób, jaki Helen widziała tylko na filmach. Gdzie ten mały nauczył się takich rzeczy? Silnik zaskoczył z przytłumionym bulgotem, a Eugene przesiadł się szybko na fotel pasażera, wciąż kręcąc głową, jakby sam nie dowierzał, że mu

się udało.

Helen patrzyła na niego oszołomiona.

– Filmy, internet – wyjaśnił, widząc jej zbaraniałą minę, a jednocześnie znów zaczął grzebać w kieszeniach spodni. – To żadne czary. Pani też by potrafiła, gdyby tylko znalazła pani pięć minut, żeby się w to wgryźć. Ale to jest możliwe oczywiście jedynie w takich starych modelach jak ten. Pani prowadzi – wskazał na nią. A gdy ociągała się z wykonaniem jego polecenia, dodał: – No już, ruszamy!

Z tylnego siedzenia ział ku niej czarny otwór lufy pistoletu maszynowego. Nie, to niemożliwe. Chyba jej nic nie zrobią.

– Niech pani go posłucha – powiedziała spokojnie, ale stanowczo prezydent. Helen wsiadła więc i zatrzasnęła drzwi. Musi poczekać na inną okazję, żeby uciec. Kiedy oparła ręce na wytartej kierownicy, zauważyła, że drżą jej dłonie.

– Światła włączymy dopiero na drodze – polecił Eugene.

Jedna z nas? Nabrała głęboko powietrza, a następnie ustawiła dźwignię automatycznej skrzyni biegów w pozycji D, oznaczającej jazdę do przodu.

– Marine One wylądował – zatrzeszczał męski głos w krótkofalówce i po chwili podał parametry.

Jessica i generał czekali w napięciu za oficerem. Prezydent została porwana, a ona myślała jedynie o tym, co z Richem. Z innego głośnika rozległa się informacja, że za pięć minut na miejscu będą dwa wozy.

– Za pięć minut!?! – parsknął generał. – Do tej pory oni mogą być już Bóg wie gdzie! Gdzie są śmigłowce NAS?

– W drodze. Za dwie minuty znajdą się nad docelowym obszarem – oznajmił trzeci głos.

– Nienawidzę takich sytuacji – syknął generał. – Jestem jak ślepiec.

– Czy możemy w okolicy tego miejsca zorganizować blokadę dróg? – spytała Jessica.

– To niemożliwe – odpowiedział jeden z policjantów. – Za dużo ulic, dziedzińców, ogrodów, żeby w czasie, jakim dysponujemy, wszystkie je zabezpieczyć.

– Ale przecież macie kamery monitorujące ruch! – krzyknęła do mikrofonu. – Spróbujcie przynajmniej w ten sposób coś ustalić!

– Już to robimy. Ale najpierw musimy przejrzeć nagrania z ostatnich minut, żeby się dowiedzieć, w którym kierunku pojechali, i dopiero wtedy przestawić się na odpowiednie kamery.

– Jedyne nadzieje w śmigłowcach – bąknęła Jessica. „Skoncentruj się!”. Wpatrywała się w mapę San Diego widoczną na jednym z monitorów z zaznaczonym już lądowiskiem Marine One. W środku miasta. – Dokąd oni mogą zmierzać?

– Uzbrojeni? Z prezydentem jako zakładniczką? – spytał generał. – Z pewnością nie wybrali żadnego publicznego miejsca, takiego jak dworzec kolejowy czy autobusowy. Lotnisko międzynarodowe też nie wchodzi w rachubę, bo te szczeniaki nie mają paszportów, poza tym i tak nie przeszłyby przez kontrolę.

– A które z dzieciaków zwały, poza Eugene’em?

– Proszę sprowadzić tutaj doktora Winthorpe’a i doktora Movelli. Oprócz tego proszę zarządzić sprawdzenie obecności wszystkich dzieci, a także całego personelu New Garden oraz gości – polecił generał.

Greg, stojąc na tarasie swojego pokoju, wsłuchiwał się w noc. Czerń nieba raz po raz przecinały snopy światła wojskowych szperaczy. Do tej pory nie znaleziono Helen. Greg modlił się, by tylko nic jej się nie stało. Żołnierze byli uzbrojeni po zęby, było ciemno, wystarczył jeden fałszywy ruch...

Czy w oddali rozległ się jakiś hałas? Strzały? Oblał go strach. Opadłszy na fotel, wpatrzył się w noc. Tuż obok ktoś kłócił się za zamkniętymi drzwiami. Greg przypomniał sobie swoją sprzeczkę z Helen. Ona miała rację. Skontaktowanie się z Irvinem bez jej wiedzy było przejawem braku szacunku wobec niej. Pytał sam siebie, co sobie wtedy myślał. To wszystko wydawało się wówczas po prostu czystym wariactwem! A mimo to było zupełnie niewinne w porównaniu z tym, co przeżywali teraz.

Poprzysiągł sobie, że już nigdy nie zawiedzie Helen.

„Proszę cię, Boże, spraw, aby wyszła cała z tej historii. Błagam!”.

Na monitorach w centrum bezpieczeństwa pojawiła się transmisja online z kamer śmigłowców szukających Marine One. Białe kręgi światła przesuwają się po budynkach, ogrodach, parkach, ulicach w dole. Na jednym z parkingów oświetliły pojedyncze samochody, a potem zatrzymały się nieruchomo na potężnym korpusie śmigłowca stojącym pośrodku placu.

– Marine One znaleziony – oznajmił z głośników bezdźwięczny głos. Stożek światła z drugiego helikoptera omiatał cały parking dookoła stałej jasnej tarczy. Jakaś dalsza kamera pokazywała wiele niebieskich punktów zbliżających się w szaleńczym tempie sąsiednimi ulicami.

W jaskrawym blasku reflektorów nie dało się zauważyć żadnego ruchu.

– Ich już od dawna tam nie ma – bąknął generał tuż obok Jessiki.

– Nie od tak bardzo dawna – odpowiedziała bez specjalnego optymizmu. – Co z analizą nagrań z kamer monitorujących ruch uliczny? – rzuciła do mikrofonu urządzenia łączącego ją z dowództwem policji w San Diego.

– Na razie jeszcze nic, *sorry* – padła odpowiedź.

Za nimi otworzyły się drzwi i do środka wtoczył się Rich. Twarz pokryta ranami, nos spuchnięty, wokół ust zakrzepła krew. Jego koszula również była zakrwawiona i cała w strzępach.

Jessica natychmiast znalazła się przy nim.

– Oni mają prezydent – powiedziała i otoczyła go ramieniem. – Jak się czujesz?

– Jako tako – wycharczał zachrypniętym głosem.

– Co tu właściwie robisz?

– Chciałem zobaczyć, co z tobą.

Dopiero teraz przypomniała sobie o swojej nabrzmiałej twarzy, która pulsowała.

– Musisz iść do sanitariuszy – powiedziała.

– Ty też – bąknął ledwie zrozumiale.

– Później. Teraz mam ważniejsze rzeczy do roboty.

– My mamy – wycedził przez zęby i dotknął jej ręki. – Dziękuję.

W odpowiedzi mocniej ścisnęła jego ramię, które wciąż jeszcze obejmowała.

– Dziękuję ci za pomoc tam, na dworze. Zobaczymy się później – wydyszał.

– Okej. Nie mów za dużo – poprosiła go.

– Jak wiesz, to nie jest dla mnie łatwe – szepnął z krzywym uśmiechem.

Gdy wyszedł, Jessica znowu skupiła się na monitorach, na których pierwsze radiowozy policyjne dotarły już do parkingu i zatrzymały się kilka metrów przed śmigłowcem. Otworzyły się drzwi, policjanci wyskoczyli szybko i ukryli się za nimi, z bronią gotową do strzału. Kolejne pojazdy okrążyły maszynę, z nich również wypadli uzbrojeni mundurowi. W jasnym świetle reflektorów scena robiła wrażenie sztuki teatralnej.

Policjanci z samochodów stojących za ogonem helikoptera podbiegli skuleni do tylnego wirnika i przedostali się po kadłubie do przodu. Za nimi poszli następni. Pierwsi przez otwarte drzwi wtargnęli do środka, koledzy ich ubezpieczali. Jessica z biciem serca czekała na jakikolwiek sygnał. Do kabiny weszli jeszcze dwaj policjanci. Kilka sekund później jeden z nich pojawił się w drzwiach i rękami zaczął dawać znaki, również helikopterom ponad parkingiem.

– Marine One zabezpieczony – oznajmił jeden z pilotów. – Ale to już nie jest Marine One. W środku nie ma nikogo. Ptaszki wyleciały.

– Przywołuję was do porządku! – wrzasnął do niego generał z wściekłością.

„Jakby dyscyplina raportowania była akurat w tym momencie najważniejsza” – pomyślała Jessica.

– Jak najszybciej rozesłać zdjęcia Eugene’a Battona do wszystkich komend policji i służb w okolicy – poleciła. – I zachować maksymalną ostrożność! Sprawdzić, czy na parkingu albo wokół niego nie ma kamer monitoringu. Może coś się znajdzie. Jakie jeszcze mamy możliwości?

– Musimy zdać się na policję – rozległo się w jednym z głośników.

Jessica powstrzymała się od kąśliwej uwagi.

– Spróbuję podsumować, Haji – powiedział Gordon i zerknął do swoich notatek.

Stali w zagraconej szopie gdzieś na drugim końcu miejscowości. Znajdowały się w niej różne zardzewiałe urządzenia, meble, poduszki, beczki, kanistry i inne rupiecie. Darren Zona czekał na zewnątrz, za otwartymi drzwiami. W drugiej ręce Gordon trzymał swój smartfon. Kciukiem przesuwiał po wyświetlaczu, odtwarzając konwersację na Facebooku.

– Półtora roku temu niejaki Allan Neiman skontaktował się z tobą przez Facebooka. Po kilku miesiącach, w czasie których dosyć często rozmawialiście ze sobą, złożył wam propozycję drobnego interesu. W tym celu mieliście „wypożyczyć” drona waszego pracodawcy. Nie pytając go o to.

Gordon zatrzymał odpowiedni wpis na smartfonie. Wyobraził sobie obu tych gości, jak siedzą przed swoimi monitorami i oczyma duszy widzą ciężkie dolary, które mieli zarobić. Omamieni przez człowieka, który na pewno nie podał im prawdziwego nazwiska.

– Za pomocą tego drona mieliście rozpylić nowy środek ochrony roślin nad niewielkim obszarem, który Allan Neiman wskazał wam na elektronicznej mapie przysłanej też przez Facebooka.

John skinął głową, a Haji wpatrywał się w mrok szopy.

– I nie wydało wam się podejrzane, że nie mogliście o niczym poinformować chłopów? Bo Allan Neiman zapewnił, że środek jest nieszkodliwy, tak? No i obiecał spore pieniądze. – Haji skrzywił się. – Wszystko miało zostać przeprowadzone w okresie kwitnienia kukurydzy. Pestycyd był do odebrania na targu. I rzeczywiście go przejęliście, dwadzieścia dużych kanistrów. Cały pick-up. Ich zawartość rozpyliliście za pomocą dronów nad polami. Allan był pewnie zadowolony.

– Chłopom to tylko pomogło – zwrócił uwagę John. – Bo ten środek tępi *armyworm!*

– Wykonaliście zlecenie Allana Neimana perfekcyjnie, poza jednym szczegółem – ciągnął Gordon, nie zważając na słowa Johna. – Mieliście zniszczyć wszystkie puste kanistry.

– Szkoda by było – powiedział John, wzruszając ramionami.

– Gdzie jest ten ostatni? – spytał Gordon, na co John zaczął grzebać w rupieciach i po chwili wyciągnął spod na wpół rozpadającego się metalowego łóżka duży żółtawy pojemnik.

Gordon obejrzał go dokładnie.

– To na pewno ostatni?

John skinął twierdząco głową.

– I od tamtej pory nie używaliście go do niczego innego?

– Nie.

– Muszę zbadać resztki zawartości – powiedział. – Żeby sprawdzić, czy mówicie prawdę. Jeśli nie, wrócę tutaj. – Machnął swoim smartfonem. – Mam dostęp do waszych kont na Facebooku. I zmieniłem już hasła. Jak wszystko sprawdzę, będziecie mogli znowu z nich korzystać. Do tej pory radzę wam zachowywać się spokojnie.

Wyszedł z szopy z kanistrem w ręce. Skinięciem głowy pożegnał Darrena i rzucił na odchodnym:

– Niech pan ma na nich oko.

Przez centralę dowodzenia przepływały we wszystkich kierunkach pytania, rozkazy, odpowiedzi. Jessica słuchała właśnie relacji pilota policyjnego śmigłowca, który przed chwilą wystartował w San Diego, gdy dowództwo policji zgłosiło się z kolejnym meldunkiem.

– Sprawdziliśmy nagrania z kamer monitorujących okolice parkingu.

Po chwili na ekranach bezpośrednio przed Jessicą i generałem pojawiły się zdjęcia. Ziarniste czarno-białe kadry ukazywały niemal puste ulice i skrzyżowania, raz lepiej, raz gorzej widoczne w blasku latarni. Według wskaźnika czasu w prawym górnym rogu była 4:29. Czyli ujęcia pochodziły sprzed dwudziestu pięciu minut, jak obliczyła Jessica.

– To jest wyjazd z parkingu, na którym stoi helikopter – objaśnił ten sam głos, gdy na monitorach pokazał się starszy model vana opuszczający plac. – Sprawdziliśmy to. Przez ponad dwie godziny nie wyjechało stamtąd ani jedno auto. A mniej więcej pięć minut po prawdopodobnym wylądowaniu ruszył ten van. Potem... – kadry przesuwały się w przyspieszonym tempie, aż do pojawienia się pędzącej kolumny policyjnych radiowozów z niebieskimi kogutami na dachach – do przyjazdu naszych ludzi nic się nie działo.

Jessica czuła, że w jej żołądku, po raz pierwszy od wielu godzin, rozwiązał się niewielki węzeł. Mimo wszystko jednak dzieciaki mają dwadzieścia pięć minut przewagi.

– Macie ślad tego vana? – spytała podniecona.

– Jedziemy za nim – potwierdził głos. – To kwestia minut, zanim go dopadniemy.

Jessica zacisnęła dłoń w pięść.

Helen przez cały czas była spięta. Widok broni w rękach dzieci napawał ją przerażeniem. Od czasu do czasu ogarniała ją wściekłość na Grega, a potem na siebie. Po chwili z kolei zaczynała martwić się o niego. Co żołnierze zrobili z nimi wszystkimi po tamtej bijatyce? Po czym ponownie zalewała ją fala złości, a przede wszystkim czuła się zawiedziona i kompletnie zagubiona. Nagle głos Eugene'a przywołał ją do rzeczywistości.

– Teraz w lewo – nakazał chłopiec.

Helen skręciła zgodnie z poleceniem. Ulice były pogrążone w nocnym mroku, po obu stronach rosły szeregi palm. Zarysy ich zielonych pióropuszy były ledwie widoczne w oślepiającym blasku wysokich latarni. GMC był tak stary, że nie posiadał systemu nawigacji. A chłopak nie miał ani mapy, ani żadnej innej pomocy umożliwiającej orientację w terenie.

– Eugene – prezydent po raz kolejny spróbowała wtrącić się z tylnego siedzenia – cokolwiek zamierzasz...

– Proszę – przerwał jej natychmiast. – Później. Muszę się skoncentrować.

– Musisz przede wszystkim się opamiętać – powiedziała spokojnie prezydent, nie tracąc cierpliwości. – Jak sobie wyobrażasz dalszą ucieczkę? Przecież szuka nas już cała policja stanu Kalifornia plus jednostki specjalne. Nie macie najmniejszej szansy.

Ale Eugene zakrył sobie uszy dłońmi i znowu polecił:

– Teraz w prawo.

A gdyby tak Helen go nie posłuchała? I po prostu pojechała dalej prosto? Prawdopodobnie żadne z tych dzieciaków nie potrafi prowadzić. Chociaż z drugiej strony, jeśli ktoś umie pilotować helikopter, to pewnie dałby sobie radę i z samochodem. Mimo że głowa ledwie wystaje zza kierownicy. Ale dziesięć lat za kierownicą rzuciłby się w oczy. Tylko komu? Przez trzydzieści minut jazdy Helen nie zobaczyła ani jednego radiowozu. O tej porze, między głęboką nocą a świtem, prawie nikt nie jeździł ulicami. Nie było nikogo, kto mógłby zwrócić uwagę na nietypowego kierowcę vana. Helen odbiła w prawo.

Mogłaby spowodować wypadek. Wjechać w zaparkowany samochód. Albo w słup latarni. Może w ten sposób udałoby się unieszkodliwić te dzieciaki chociaż na chwilę. Zauważyła we wstecznym lusterku, że dwoje z nich nie zapięło pasów. Ale broń była wciąż skierowana w prezydenta i pilota, choć nie przyłożona już do ich skroni jak w śmigłowcu. Gwałtowne uderzenie w latarnię mogłoby

niechący uruchomić palec na spuście. To zbyt ryzykowne.

Na wysokości dużego parkingu Eugene kazał jej znowu zwolnić, a potem przejechać powoli między nieoświetlonymi rzędami samochodów. Dał znak, aby zatrzymała się przy starej hondzie, po czym wyskoczył z vana i zniknął za innymi pojazdami.

– Dzieci – prezydent podjęła próbę przemówienia do rozsądku pozostałym. – Skończcie już tę bezsensowną zabawę. Oddajcie nam broń, zanim wydarzy się coś, czego nikt by nie chciał.

W odpowiedzi na jej apel wszyscy jeszcze mocniej zacisnęli dłonie na maszynowych pistoletach.

Helen usłyszała, że gdzieś w pobliżu zaczął pracować silnik. Zaraz potem drugi. Kilka sekund później zza zakrętu wyjechał rodzinny van. Za kierownicą siedział Eugene, ledwie widoczny. Zahamował przed nimi i zeskoczył z siedzenia.

– Wy dwoje, wysiadać! – polecił Helen i pilotowi. Następnie zwrócił się do mężczyzny: – Teraz pan poprowadzi. Pojedzie pan z prezydent i z resztą dzieci. Na początek z powrotem. – Pilot usiadł z ociąganiem za kierownicą, poprawił sobie fotel. – Dalsze instrukcje dostanie pan od mojej koleżanki.

Wskazana dziewczynka uniosła nieco broń i ruchem głowy dała prezydent do zrozumienia, że ma opuścić GMC i przesiąść się do drugiego vana, co prezydent oczywiście uczyniła, a za nią to samo zrobiły pozostałe dzieci.

– Przykro mi, że cała ta historia ma taki finał. – Eugene zwrócił się do niej. – Ale na pewno jeszcze o sobie usłyszymy. Życzę miłego dnia! – A do swoich kolegów w środku krzyknął: – Wiecie, co macie robić!

Następnie zatrzaskał drzwi. Niemal natychmiast rozbłysły reflektory i rodzinny van lekko się cofnął, a potem powoli wyjechał z parkingu i skręcił w kierunku, z którego niedawno przyjechali.

Eugene śledził go wzrokiem, dopóki nie zniknął z pola widzenia. Gdzieś w pobliżu nadal słychać było jednostajny szum silnika.

– My pojedziemy innym samochodem – oznajmił.

W ręce trzymał pistolet, którego Helen do tej pory nie zauważyła. Prawdopodobnie należał do pilota.

Chłopiec dostrzegł jej wylężnione spojrzenie.

– To tylko na wypadek, gdyby wpadła pani na jakiś niemądry pomysł – wyjaśnił. – Ale to raczej niemożliwe. Bo przecież pani doskonale wie, że jestem jedyną szansą na uratowanie pani dziecka. I w ogóle całej tej historii.

Wsunął pistolet głęboko w kieszeń spodni. Wydawało się mało prawdopodobne, aby zdołał wyjąć go jednym błyskawicznym ruchem. To miał

być dowód zaufania wobec niej czy pułapka? Bo przecież Helen miała już okazję zobaczyć, jak szybki i zwinny potrafi być. Dał jej znak, aby ruszyła. Szła obok niego z mieszaniną strachu, bezradności i ciekawości.

– Dokąd pojechali tamci? – spytała. Dwoje zakładników i gromadka uzbrojonych dzieciaków w środku nocy. Trudno było myśleć o tym spokojnie.

– Bez obaw – odpowiedział Eugene. Doszli do niewielkiej starej hondy z otwartymi drzwiami kierowcy i warczącym silnikiem. – Nic im się nie stanie. Prezydent to zbyt niebezpieczne towarzystwo. Wprawdzie nas też będą dalej szukać, ale już nie z takim zapamiętaniem. Poza tym ona nie powinna wiedzieć, dokąd my dwoje się wybieramy. – Jego ręka zniknęła w kieszeni, w której tkwił pistolet. Helen zrozumiała aluzję.

– A dokąd się wybieramy?

– Przed siebie. Nawiasem mówiąc, jestem Eugene.

– Wiem.

– A pani?

– Helen Cole.

– Miło mi. Dziękuję, Helen, że poprowadzisz.

Helen skinęła głową i po krótkiej chwili namysłu wyjechała na ulicę i ruszyła przed siebie zgodnie ze wskazówkami Eugene'a.

– Macie go?! – krzyknęła Jessica do mikrofonu. Na monitorach tuż przed nią migąły niezliczone kadry z przeróżnych kamer monitoringu w San Diego, na niektórych zdawała się rozpoznawać starego vana GMC.

– Widzieliśmy go jeszcze kilka minut temu – wyjaśnił głos. – A potem wjechał na teren, który nie jest w całości objęty monitoringiem. To znacznie utrudnia poszukiwania. Pojawił się jeszcze na dwóch skrzyżowaniach, a później już nie. Z tamtych miejsc można pojechać w wiele różnych kierunków, musimy teraz sprawdzić każdy po kolei. Nasi ludzie są już w drodze.

– Cholera jasna! – syknęła Jessica. – Nie możecie pozwolić im uciec!

Ku swemu zaskoczeniu Greg stwierdził, że policjant idzie z nim do odizolowanego skrzydła kompleksu. Potem wprowadził go do pomieszczenia pełnego żołnierzy i różnych urządzeń, głównie monitorów. Panował w nim nerwowy zgiełk. Jessica Roberts wyraźnie czekała na niego. Wyglądała zupełnie inaczej niż jeszcze pół godziny wcześniej. Lewą połowę twarzy miała otartą i opuchniętą, włosy potargane, ubranie usiane zielonymi i brązowymi plamami. Wyglądała na zmęczoną i chyba walczyła z bólem.

– To pan jest jednym z tych, którzy odkryli dowody nieudanych eksperymentów, prawda? – zaczęła od razu. Opuchnięte wargi sprawiały, że jej głos brzmiał jak po miejscowym znieczuleniu u dentysty. Strzeliwszy kilka razy palcami, spytała: – Greg, zgadza się? – Dobra pamięć. – Pańska żona ma na imię Helen? – upewniła się, gdy on jeszcze raz przedstawił jej swój problem.

Skinął głową.

Jessica dała znak operatorowi, aby puścił nagranie z jednej z kamer monitorujących. Pierwsze sekundy wypełniały ciemne kadry rozświetlane od czasu do czasu jaskrawymi błyskami, w których Greg nie był w stanie niczego rozpoznać. Ktoś włączył reflektory i obraz stał się wyraźniejszy. Widać było biegających i rzucających się żołnierzy, śmigłowiec, potem Jessicę Roberts, która wpadła między maszynę a uzbrojonych mundurowych, podczas gdy raptem za jej plecami helikopter zaczął w niekontrolowany sposób wirować wokół własnej osi. Greg z niedowierzaniem przyglądał się kolejnym scenom.

– Stop – poleciła Jessica operatorowi.

Mniej więcej trzy metry nad ziemią śmigłowiec obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zawisł nieco krzywo w powietrzu, zatrzymany przez operatora. Dopiero teraz Greg dostrzegł, że jego boczne drzwi są otwarte. Coś z nich zwisało. Czyjeś nogi. Ciemne džinsy, wyżej ciemna bluzka, ręce zaciśnięte na czymś w kabinie. Głowa odwrócona do kamery, twarz zniekształcona nieopisaną paniką. Mimo to Greg rozpoznał ją natychmiast.

– Boże drogi – szepnął. Poczul, że robi mu się niedobrze. Przełknął ślinę. I zaczął drżeć.

– Czy to ona? – spytała Jessica Roberts.

– Co... co...?

Jessica poleciła operatorowi, aby puścił wideo dalej. W zwolnionym tempie. Helikopter nadal wirował, unosząc się jednocześnie coraz wyżej. Nogi Helen stały się krótsze, zniknęły z kadru. Gdy maszyna ponownie obróciła się do kamery tą samą stroną, znajdowała się już co najmniej sześć metrów nad ziemią, a drzwi były zamknięte. Operator nacisnął jakiś guzik i film leciał już w normalnym tempie. W ciągu kilku sekund śmigłowiec zniknął w ciemnościach nocy.

– Domyślam się, że pan również nie wie, dokąd ona się wybrała? – spytała Jessica Roberts.

Greg z szeroko otwartymi ustami wpatrywał się w ekran, na którym biegali tam i z powrotem żołnierze.

– Nie mam... pojęcia – wykrztusił. – Pokłóciliśmy się. – A po chwili dodał już nieco przytomniej: – Czyli ona jest na pokładzie? Wszystko z nią w porządku?

– Poleciała z nimi. Ale nic ponad to nie wiemy.

– A kto tam był? I co robią ci wszyscy żołnierze? Nie ruszyliście w pościg za tą maszyną?

– Dziękuję panu za współpracę – oznajmiła Jessica. – Poinformujemy pana, jak tylko dowiemy się czegoś nowego. A gdyby przypomniało się panu coś ważnego, proszę niezwłocznie dać nam znać.

– Ale przecież nie możecie mnie teraz...!

Jeden z żołnierzy zdecydowanym ruchem skierował go do drzwi.

– Owszem, możemy – rzuciła Jessica Roberts.

– Tylko tyle ma mi pani do powiedzenia!?! – krzyknął Greg z furią przez ramię, zanim zatrzasnęły się za nim drzwi.

Wściekły i jednocześnie ogarnięty poczuciem zupełnej bezradności dał się wyprowadzić z odizolowanej strefy. Gdy mundurowy zostawił go samego w długim, pustym korytarzu prowadzącym do sypialni, Greg poczuł, jak wali mu serce. Niczym sterowany pilotem ruszył przed siebie. Każdemu krokowi zdawało się odpowiadać zwielokrotnione echo. Jego oczy były jak tama tuż przed pęknięciem. Jeszcze jeden krok. I jeszcze jeden. I kolejny.

Jechali międzystanową ósemką w kierunku zachodnim przez kilka kilometrów, po czym Eugene kazał jej odbić na drogę 805. Wczesnym rankiem ruch był jeszcze niewielki. Większość trasy prowadziła przez tereny zabudowane. Helen znowu przemknęła przez głowę myśl o spowodowaniu wypadku, w końcu jednak ponownie ją porzuciła. Mogłaby natomiast jechać zbyt szybko i liczyć na zatrzymanie przez policję drogową. Co na jej miejscu zrobiłby Greg? Czasami miał dobre pomysły. A czasami bardzo złe. Niewykluczone, że Eugene nie pozwoliłby jej rozwinąć zbyt dużej prędkości, grożąc pistoletem. Ale z drugiej strony, czy strzeliłby do kamikadze za kierownicą samochodu, w którym siedział? Przecież on też mógłby zginąć. Im dłużej Helen myślała o ewentualnych rozwiązaniach, tym wyraźniej uświadamiała sobie coś, co ją zaskoczyło. Otóż nie była do końca przekonana, czy rzeczywiście chce czmychnąć Eugene'owi. Po co w ogóle uciekła z New Garden?

„Jesteś jedną z nas” – stwierdził chłopiec. I chociaż ona wcale nie była tego pewna, to jednak fakt, że zdecydowała się mieć dwoje nowoczesnych dzieci, nieuchronnie odgradził ją od ogromnej reszty świata. Nie wiedziała przecież, jakie będzie podejście władz do takiego potomstwa i jego rodziców. Może więc, dopóki nie rozezna się lepiej w sytuacji, na razie nie powinna się demaskować. Tylko poczekać i sprawdzić, co zamierza Eugene. I zachować czujność, aby nie przegapić żadnej szansy, obojętnie, na co by to była szansa.

Z tablic drogowych wynikało, że jadą w kierunku Tijuany. Zostało niecałe dziesięć kilometrów do granicy. Czy Eugene wybiera się do Meksyku? Wiele lat temu Helen odbyła taką wyprawę razem z jednym z poprzedników Grega. Władze amerykańskie nie były zbyt skrupulatne w kontrolowaniu ruchu granicznego w tę stronę, a meksykańskich pograniczników też udało im się jakoś wykiwać.

Eugene nie wydawał żadnych nowych poleceń.

– Zamierzasz jechać do Meksyku? – spytała go. – Masz paszport?

Chłopiec bez słowa wyciągnął dokument z tylnej kieszeni spodni.

– Ale ja nie mam. – Uśmiechnęła się.

– Jasne – odpowiedział obojętnie. – A co takiego odznacza się w lewej kieszeni twoich džinsów? Przecież, o ile pamiętam, wszystkim gościom New Garden kazano przyjść wieczorem do jadalni z dokumentami. Myślisz, że nie wiem, co się tam działo?

– A skąd masz swój?

– Zwędziłem Stanleyowi. – Roześmiał się głośno. – Dostałem go rok temu przed wyjazdem z nim, jego kolegami i kilkorgiem spośród starszych dzieci do Kanady.

Dziesięć minut później dotarli do granicy. Nagle ruch wyraźnie się zageścił, tuż przed budką strażniczą każdy samochód odprawiany był oddzielnie. Helen doszła do wniosku, że służba graniczna musiała już zostać poinformowana o porwaniu głowy państwa. Do którego doszło najwyżej godzinę temu. A więc to działa tak szybko? Czyżby wiedziano też o zniknięciu jej i Eugene’a? Z mocno bijącym sercem Helen zbliżała się w ślimaczym tempie do punktu kontrolnego. Ciężko uzbrojeni funkcjonariusze zagłądali do każdego pojazdu. Nieduży busik skierowali na bok. Ich koledzy przystąpili do szczegółowej kontroli, podczas gdy oni przepuszczali następne auta.

– Luz – powiedział Eugene i rzeczywiście zabrzmiało to jak głos kogoś odprężonego.

Helen zastanawiała się gorączkowo, w jaki sposób mogłaby zasygnalizować coś mundurowym? Spojrzeniem? Może powinna wyskoczyć z samochodu? Wtedy złapałiby Eugene’a. I ją też.

„Pani jest jedną z nas”. Wcale nie. Ale nie chciała, aby zmuszono ją do aborcji. Nie chciała też wylądować w jakimś obozie dla internowanych. Mokrymi od potu dłońmi ścisnęła kierownicę. Samochód przed nimi, granatowy pick-up nowszej daty, który na dodatek zasłaniał jej cały widok, po szybkiej i powierzchownej kontroli ruszył przed siebie. Helen podjechała do urzędnika. Mężczyzna schylił się, aby zajrzeć do środka, po czym ruchem głowy dał znak, że droga wolna.

Spojrząwszy w lusterko wsteczne, Helen upewniła się, że funkcjonariusz zajął się już następnym pojazdem, a na nich w ogóle nie zwraca uwagi.

Kolumna samochodów wlekła się w kilku rzędach w kierunku kontroli meksykańskiej. Na ich pasie, oparci o budkę strażniczą, stali tylko dwaj wyraźnie znudzeni mundurowi. Kierowcy samochodów zgodnie z oczekiwaniem przejeżdżali obok nich powoli, ale praktycznie niesprawdzani. Eugene podał Helen paszport, ona zaś wyciągnęła swój z tylnej kieszeni spodni i otworzyła oba, przygotowana do kontroli.

Pięć minut później prowadziła hondę po meksykańskiej autostradzie. Przy jednym z pierwszych zjazdów Eugene polecił:

– Tutaj na prawo.

Największa tablica kierowała ich na trasę prowadzącą do lotniska Tijuana.

– Mamy gdzieś lecieć? – spytała Helen. – Ani mi się śni. Chcesz zaprowadzić mnie do samolotu z pistoletem przyłożonym do głowy?

– Dojechałaś aż tutaj nie z powodu pistoletu. I w dalszym ciągu to nie on będzie miał dla ciebie znaczenie – powiedział Eugene. – Jill i ja już dużo zrobiliśmy. Ale musimy doprowadzić rzecz do końca. W bezpiecznym miejscu. I ty musisz nam w tym pomóc.

– Jak to sobie wyobrażasz? Nie mamy pieniędzy. Zresztą tobie samemu i tak nie sprzedadzą biletu. A nawet gdyby ci się udało go zdobyć, to już wtedy albo przy odprawie twoje nazwisko wyląduje w banku danych, który wcześniej czy później zostanie sprawdzony.

– Jeśli chodzi o pieniądze, nie musimy się martwić – oświadczył Eugene, wyczarowując zza paska spodni rulon banknotów, których wartości Helen nie była w stanie oszacować. To dziecko chyba już niczym jej nie zaskoczy. – A kto powiedział, że mamy lecieć liniowym samolotem?

Promień światła z lampy lekarskiej skierowany w oko Jessiki przywołał obraz, który przemknął niczym błyskawica przez jej głowę – zobaczyła znowu dziecko, które uderzyło ją masywnym magazynkiem pistoletu maszynowego.

– Prawdopodobnie ma pani wstrząs mózgu – oznajmił doktor.

Sanitariusze i lekarze wojskowi rozlokowali się w kilku salach zabiegowych ośrodka medycznego New Garden.

– Potrzebuje pani kilku dni spokoju.

Na pewno! A najlepiej kilku tygodni.

– Wręcz przeciwnie – powiedziała, dźwigając się z leżanki. – Potrzebuję czegoś, co utrzyma mnie na nogach. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Spokój jest akurat wykluczony.

Podczas gdy lekarz coś zapisywał, a potem przygotowywał zastrzyk, pielęgniarka jakimś szczypiącym płynem zdezynfekowała jej otarcia na twarzy. Jessica zacisnęła mocno zęby.

– Co z poszkodowanymi żołnierzami? – spytała medyka, gdy wbił igłę w jej ramię.

– Dojdą do siebie. Na szczęście skończyło się tylko na siniakach i płytkich ranach.

– A profesor Allen?

– Może go pani spytać sama – odparł. – Co prawda na razie nie powie pani wiele. Sztuczne oddychanie, które mu pani zrobiła, omal nie zrujnowało mu krtani. Ale z drugiej strony, wyrwało go ze wstrząsu. Tak więc z tego punktu

widzenia było korzystne. Profesor jest obok.

Jessica zerwała się na równe nogi.

Rich siedział na krześle i zasłaniał sobie jedno oko. Włosy opadały mu w nieładzie na biały bandaż opasujący czaszkę. Nos miał czerwony i spuchnięty, a na pękniętej górnej wardze tkwił ściągający plaster. Szyję pokrywała mu jedna wielka sina plama. Trzy metry przed nim stała sanitariuszka z tablicą do badania wzroku.

Gdy zobaczył Jessicę, opuścił rękę.

– Do twarzy ci – powiedziała, spoglądając na białą opaskę na jego głowie.

– Twoja pomarańczowa połówka twarzy też jest wyjątkowo sexy – zacharczał niezbyt wyraźnie, ponieważ na dodatek prawie nie mógł poruszać ustami. – Zwłaszcza z tą śliwą pośrodku.

– Jeszcze nie skończyliśmy – przerwała mu sanitariuszka.

– Skończyliśmy – zaoponował Rich ochryple i podniósł się z krzesła.

– Mógłbyś jeszcze trochę popracować nad głosem – zakpiła sobie Jessica.

– Mówią, że za parę dni będzie znowu w porządku – wymamrotał, po czym skinieniem ręki pożegnał sanitariuszkę, a Jessicę skierował do wyjścia.

Znaleźli się na korytarzu, za którego panoramicznymi oknami rozpościerał się park otulony mgłą świtu. Gdy oboje dostrzegli w szybie swoje blade odbicia, wybuchnęli śmiechem.

– Gorzej niż w Halloween – zachrypiał Rich. Zaraz jednak spoważniał. – Co z prezydent?

– Wciąż jej szukamy.

– *Shit...*

W przeszklonej ścianie znajdowały się drzwi. Gdy Rich nacisnął klamkę, ustąpiły. Powiało chłodnym świeżym powietrzem. On wyszedł pierwszy, a Jessica za nim.

Odchyliwszy głowę, spojrzął w niebo.

– Po tej nocy chyba się wyjaśni, co będzie z tymi dziećmi – rzekł.

– Jesteś zły? – spytała.

– Nie – odpowiedział. Lekko odwrócił się ku niej. Stał bardzo blisko. – Co najwyżej na to, że ciebie tak urządzili.

Jessica mimo woli się uśmiechnęła, chociaż uruchomienie mięśni twarzy każdorazowo powodowało ból.

– Chyba trudno o mniej odpowiedni moment na flirt – powiedziała.

Na jego ustach znowu pojawił się drwiący uśmiech.

– Gdyby one – wskazał na swoje wargi – nie były akurat w ruinie,

pocałowałbym cię!

– Gdyby nie to, że na naszych oczach porwano prezydent, szukamy zabójczego wirusa i musimy zmagać się z brutalnymi dziećmi stworzonymi na zamówienie, może nawet poszłabym na to – odpowiedziała kokieteryjnie. – Ale niestety – dodała, biorąc go pod rękę i ruszając z nim z powrotem do budynku – nie mamy wyjścia: musimy ratować świat.

„I gdybym nie była mężatką” – zabrakło w jej wyliczeniu, z czego zdawała sobie sprawę. Ale była wdzięczna Richowi, że podarował jej pierwszą miłą chwilę od tygodni.

Helge nie mógł się nawet nacieszyć spektakularnym widokiem Golden Gate Bridge w porannym słońcu, rozciągającym się za panoramicznym oknem hotelowego apartamentu. Razem z Horstem Pahlenem i Micahem Foxem, szefem bezpieczeństwa Santiry, siedział pod gołą ścianą, w której nie dało się ukryć żadnej, choćby miniaturowej kamery. Micah to sprawdził. Nadawane przez telewizję gorączkowe relacje dotyczące jakichś nocnych zająć w San Diego stanowiły zasłonę akustyczną. Wiadomości z ostatniej chwili!

Przez ekran laptopa przed nimi przesuwały się kadry nieudolnego wideo nakręconego komórką. Z paki pick-upa startował właśnie dron z ładunkiem.

– Oni wszystko dokumentowali – wyjaśnił Gordon, widoczny w okienku po prawej, na górze. Pokazywał fragmenty filmików, na których John i Haji odbierają kanistry z targu i napełniają drony ich zawartością. – Właśnie badamy pozostałości z ostatniego kanistra pod względem genetycznym. Tu nie chodziło o ziarna kukurydzy, czyli nie o nasiona, co pokazują także te nagrania. I nie o żaden środek owadobójczy, którego oczekiwano od dostawcy. Tylko o jakiś pył albo proszek. Pod mikroskopem wygląda to jak pyłki kukurydzy. Jestem pewny, że to jest ten cudowny środek. – W lecącym właśnie filmiku dron rozsnuwał nad polami delikatną mgłę. – A całą korespondencję znajdziecie na ich kontach na Facebooku.

– A Allan Neiman? – spytał Helge.

– Allanów Neimanów jest wielu – powiedział Gordon. – Wstępne poszukiwania nic nie dały. Powinien to dokładnie sprawdzić dział bezpieczeństwa. Według mnie to fikcyjne nazwisko. Może wy ustalicie, kto kryje się za tym kontem facebookowym. W najgorszym razie drogą oficjalną. Ale na początek spróbowałbym inaczej. Metodami inżynierii społecznej czy jakoś tak.

– Zajmiemy się tym – oświadczył chłodno Micah. Nikt nie musiał go pouczać, co ma robić. – A dokumenty w porcie, z którego dostarczone zostały kanistry? – spytał. – Przecież musi być jakiś nadawca.

Gordon pokręcił głową.

– Allan Neiman podał im adres i dane człowieka, od którego mieli odebrać kanistry. Wybieramy się do niego. Może on będzie wiedział, skąd pochodziły.

Helge spojrział na zegarek IWC na swoim nadgarstku i zakomunikował:

– Za godzinę mamy następne spotkanie. Odezwiemy się po nim. – Następnie zamknął laptop, po czym mimowolnie spojrział na telewizor, na którego ekranie po

niewyraźnych ujęciach nisko lecącego śmigłowca pojawiły się sceny z policyjnej akcji na jakimś parkingu. Przy akompaniamencie historycznego trajkotu sprawozdawcy telewizyjnego policjanci przypuścili szturm na zaparkowany już helikopter, oświetlony snopem światła z reflektorów. Tekst na dolnym pasku też nie dostarczał wyjaśnienia. Helge wstał. Przed kolejnym spotkaniem musiał jeszcze coś przegryźć.

– *Fuck!* – zaklął szef sztabu obok Jessiki, patrząc na relację w telewizji. – Media kompletnie odleciały! Znajdźcie jakiś temat zastępczy! – wrzeszczał na rzecznika prezydent – albo cokolwiek! To musi zniknąć z czołówek! Nikt nie może się dowiedzieć o tym tutaj, a już w żadnym razie, że prezydent była tu i... – Urwał, ponieważ zdał sobie sprawę z ironii własnych słów. – Prezydent była tu. – Była. Tak, to właściwe sformułowanie. – Musicie nad tym zapanować! I odzyskać kontrolę nad tą narracją!

„Czyli stworzyć własną wersję wydarzeń, obowiązującą na zewnątrz” – pomyślała Jessica.

– My... – zaczął generał, lecz szef sztabu natychmiast mu przerwał:

– To pan odpowiadał za bezpieczeństwo! Więc teraz niech się pan lepiej nie odzywa!

Kamienna twarz generała również tym razem nie zdradzała żadnych emocji.

– Czy mamy jakieś nowe informacje o prezydent i dzieciakach? – spytała Jessica, próbując w ten sposób obniżyć nieco temperaturę dyskusji.

Kręcenie głowami.

– Policja z San Diego wprawdzie znalazła vana GMC, ale był pusty – wyjaśnił Jaylen. – Ponieważ na tamtym terenie kamery są rozmieszczone dosyć rzadko, w grę może wchodzić wiele samochodów, do których się przesiedli. Trwają intensywne poszukiwania, przeprowadzane są kontrole. Na razie bez rezultatu. Sprawdzana jest też bezpośrednia okolica miejsca, w którym natrafiono na GMC, na wypadek gdyby te dzieciaki były jeszcze w pobliżu.

– Nie możemy też przystąpić do klasycznego pościgu – oznajmił przedstawiciel FBI. – To byłoby zbyt ryzykowne.

– Nie mówiąc już o PR-owej katastrofie, gdyby rzeczywiście ich znaleźli i doszłoby do impasu z prezydent jako zakładniczką – wtrącił znowu szef sztabu.

Jessice nie podobało się, że ten człowiek tak łatwo tracił zimną krew. Oni wszyscy powinni teraz zachowywać spokój. Ale z drugiej strony, przecież nawet członkowie amerykańskich sił specjalnych nie zawsze byli perfekcyjnie działającymi maszynami bojowymi, wbrew temu jak przedstawiały ich media czy patriotyczne filmy akcji. Ich brak opanowania stał się powszechnie znanym faktem po fatalnych w skutkach akcjach z Afganistanu czy Iraku. Szef sztabu pewnie dobrze wiedział, co robi, mówiąc o „narracji”, nad którą trzeba odzyskać kontrolę. Dopóki tylko nielicznym będzie wiadome, że ta „narracja” nie

odpowiada prawdzie, nie będzie problemu. Albo odzyskają kontrolę nad przebiegiem wydarzeń, albo w końcu fakty wyjdą na jaw.

Helen zostawiła samochód na kilkupoziomym parkingu przy lotnisku. Tutaj nie znajdą go tak szybko. Wciąż walczyła ze sobą. Pomysł Eugene'a brzmiał zupełnie zwariowanie. Jego niezwykle cechy i umiejętności napawały ją lękiem. Tymczasem wysuwane przez niego argumenty nie wydawały się całkiem nedorzeczne. Na dodatek jego dziecienny wygląd budził w niej mimo wszystko instynkt opiekuńczy. Przecież nie mogła zostawić tego chłopca zupełnie samego!

Celem Eugene'a nie był terminal linii rejsowych, tylko budynek, w którym mieściły się ośrodki szkolenia lotniczego i gdzie obsługiwano prywatne jety. Zdecydowanym krokiem wszedł do niewielkiego biura pierwszej z brzegu szkoły awiacji. Helen, stojąc obok niego, miotła się między troską o być może rozwijające się już w jej łonie dzieci, niejednoznacznymi uczuciami do Grega i nadzieją, że może zaraz zostaną zatrzymani.

Przywitała ich sympatyczna kobieta, Esmeralda Chimenez, jak wynikało z identyfikatora na jej piersi.

– Mamy być może trochę osobliwą prośbę – zaczęła Helen zgodnie z wcześniejszą instrukcją Eugene'a. O dziwo, czuła się zaskakująco pewnie. – Ponieważ bardzo się nam spieszy, szukamy kursanta, który uczy się pilotować odrzutowe jety i ma jeszcze do wylatania dużo mil. Oczywiście jesteśmy gotowi znacząco partycypować w kosztach lotu, jeśli tylko mogliby państwo zapewnić nam dotarcie jak najszybciej do celu. – Kobieta zmarszczyła brwi, Helen zaś wyjaśniała dalej: – Loty rejsowe trwają znacznie dłużej, a nam niezwykle zależy na czasie.

Esmeralda Chimenez pozostawała nadal nieprzekonana, o czym świadczyło jej niezmiennie zmarszczone czoło.

Helen położyła na stole ich paszporty.

– Nie ma w tym nic podejrzanego – zapewniła. – Moja matka ciężko zachorowała.

Kobieta z ociąganiem przekartkowała dokumenty. Po chwili powiedziała z hiszpańskim akcentem:

– To pani syn? Ma inne nazwisko niż pani.

– Po ojcu. Po ślubie oboje zachowaliśmy nasze nazwiska. – Esmeralda w odruchu wyraźnej dezaprobaty wywróciła oczami. – Ale mąż zastrzegł sobie, że dzieci muszą nazywać się tak jak on.

Kobieta przesunęła paszporty z powrotem przez stół.

– Nie mamy nikogo, komu brakowałoby mil do wylatania – odparła.

Helen odczekała kilka sekund, aby się upewnić, czy urzędniczka nie zmieni jednak zdania, po czym sięgnęła po dokumenty.

– Mimo to dziękuję pani za poświęcony nam czas – pożegnała się i ruszyła wraz z Eugene’em do wyjścia.

Trzy minuty później siedzieli dwadzieścia metrów dalej, w biurze innego ośrodka szkolenia, mając naprzeciw siebie urzędniczkę nazywającą się Mercédès Dosantos. Ten sam wstęp, tylko na końcu Helen dodała jeszcze:

– Loty rejsowe z dwiema przesiadkami trwają za długo, a moja matka jest w agonii!

Dosantos pokiwała w zadumie głową.

– Wchodziłoby w grę nawet trzech przyszłych pilotów – powiedziała. – A dokąd chce pani lecieć?

– Do Brazylii.

– Brazylia jest ogromna. Dokąd dokładnie?

– Montes Claros.

– Nie znam.

Wzruszyła ramionami, a potem sięgnęła po słuchawkę telefonu i po chwili zaczęła rozmawiać po hiszpańsku. Helen rozumiała tylko pojedyncze słowa. Eugene wiercił się niespokojnie na krześle obok jak zwyczajny dziesięciolatek.

– Mamusiu – odezwał się chłopięcym głosem – kiedy polecimy?

– Nie wiem... – odpowiedziała Helen, zaskoczona tym niespodziewanym przedstawieniem.

Mercédès zasłoniła dłonią muszlę słuchawki i zwróciła się do Helen:

– Co pani rozumie przez „znaczącą partycypację w kosztach lotu”?

– Dwadzieścia tysięcy dolarów – odpowiedziała Helen. – W gotówce. Połowa wypłacona po lądowaniu na miejscu przez ludzi, którzy nas odbiorą.

Kobieta z niewzruszoną miną przekazała kwotę po hiszpańsku i po chwili rozłączyła się.

– Trzeba poczekać kilka minut – oznajmiła. – Lot za granicę z międzylądowaniami dla uzupełnienia paliwa nie ułatwia sprawy. Tak twierdzi instruktor. I prawdopodobnie zwiększy koszt. – Powiedziała to tak, jakby podniesienie ceny nie było dla Helen niczym nadzwyczajnym. – Poproszę o wasze paszporty.

Padły te same pytania o nazwiska jak w poprzednim biurze. Ale niezadowolenie z odpowiedzi było mniejsze. Mercédès oddała im dokumenty, nie zapisując ani ich nazwisk, ani numerów paszportów.

Zadzwoił telefon. Kobieta odebrała, słuchała przez chwilę, potem znowu zasłoniła słuchawkę i spytała Helen:

– Dwadzieścia pięć tysięcy. Start za godzinę. Okej?

– Jasne – odpowiedziała, trochę osłupiała.

Mercédès przekazała decyzję i odłożyła słuchawkę.

– Rzeczywiście musi się pani bardzo spieszyć – stwierdziła tonem, z którego wynikało, że taka transakcja nie jest dla niej co prawda chlebem powszednim, ale nie jest też czymś nadzwyczajnym. – Zaprowadzę was do poczekalni.

Po drodze Eugene uśmiechnął się triumfalnie za plecami Mercédès.

„Spokojnie, jeszcze nie jesteśmy w powietrzu – pomyślała Helen. – A tym bardziej w Brazylii”. Ciągle nie mogła zrozumieć, co ona tutaj robi. Powinna przynajmniej jakoś zawiadomić Grega, że nic jej nie jest.

Pilot był niskim, ale dosyć atrakcyjnym czterdziestolatkiem.

– Jonathan Green – przedstawił się z uśmiechem drapieżnika.

– Brzmi mało meksykańsko – napomknęła Helen.

– Pochodzę z Afryki Południowej – wyjaśnił.

Kursant, mdły młodzieniec pod trzydziestkę, nazywał się Emilio Durante.

Wszyscy razem przeszli przez płytę lotniska do niedużego jeta o spiczastym dziobie i dwóch silnikach po obu stronach ogona. Do wejścia na pokład prowadziły opuszczone schodki.

– To learjet 60 – powiedział Jonathan.

Dotarwszy do trapu, Helen przestała się wahać. Postanowiła, że przede wszystkim w trosce o swoje nienarodzone dzieci musi na razie znaleźć się jak najdalej od władz amerykańskich.

W środku maszyna była o wiele bardziej luksusowa niż samolot, którym ona i Greg oraz reszta zostali przetransportowani do San Diego. Jon zainkasował od niej pieniądze, przeliczył je skrupulatnie i poprosił, aby wybrała sobie miejsce. Nikt poza Mercédès w biurze nie wziął już do ręki ich paszportów. Nie musieli też przechodzić żadnych formalnych kontroli bezpieczeństwa ani nigdzie się odprawiać.

– Masz ochotę zobaczyć start z kokpitu? – spytał instruktor Eugene’a.

– Jasne!

Helen po raz kolejny stwierdziła, że chłopak umiał perfekcyjnie grać rozentuzjasmowanego dziesięciolatka. Może jednak nim jest? Nie potrafiła przejrzeć tego dzieciaka. A przecież niewykluczone, że w niej rośnie właśnie taki drugi Eugene.

Wszyscy trzej zniknęli za drzwiami kokpitu. Gdyby ci dwaj dorośli wiedzieli, kogo zaprosili do siebie... Oby tylko nie przyszło mu do głowy przejść sterów.

Helen zapięła pas i pogrążona w zadumie wyjrzała przez okienko. Nowy świat. Maszyna ruszyła z miejsca i toczyła się powoli w stronę pasa startowego. Helen czuła, jak coraz szybciej bije jej serce. Nigdy dotąd nie leciała w takich okolicznościach.

Gdy samolot przyspieszył, patrzyła w napięciu na umykający z zawrotną prędkością pod kołami asfalt. Nawet nie zauważyła, kiedy oderwali się od ziemi, ale czuła przyspieszenie w żołądku. Również nie wiadomo kiedy znaleźli się w powietrzu. Wznosili się błyskawicznie długim łukiem w kierunku gór. Świat w dole stawał się coraz mniejszy. Po lewej słońce oświetlało pasmo górskich wierzchołków. Oślepiąca jego blaskiem Helen zapomniała, skąd się tu wzięła, z kim tu dotarła i co się w ogóle wydarzyło. Czuła jedynie, jak przez jej ciało przelewa się fala światła. Zatopiła się w tym doznaniu. Pod wpływem ciepła poczuła się zmęczona. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie spała całą noc.

Przez oczami przemknęły jej obrazy z ostatnich godzin i dni. Pomieszały się z jej snami, podczas gdy pilot konsekwentnie zmierzał na południe.

Dokądkolwiek Greg by poszedł, wszędzie stali na posterunkach policjanci albo żołnierze. Na korytarzach przed ich pokojami. Po drodze na śniadanie. W samej jadalni. Ludzie byli spragnieni – jedzenia i wiadomości. Przysiadł się do Diany i jej męża. Mike miał spuchniętą prawie połowę twarzy i jedno oko. Greg opowiedział im o ucieczce Helen helikopterem.

– Dobrze zrobiła – stwierdził Mike. – Kto wie, czy wyjdziemy stąd żywi.

– Przestań! – parsknęła Diana.

Greg nie potrafił odpowiedzieć na jej pytania. Jak to możliwe, że Helen się udało? Dlaczego żołnierze jej nie zatrzymali? Teraz już rozumiała, skąd wziął się w nocy huk helikoptera. Wszyscy czekali, aż wreszcie ktoś im powie, co stanie się z nimi dalej, lecz obecni w jadalni żołnierze tylko bez przerwy ich pocieszali. Wśród gości znowu narastała złość i bezradność, ale po doświadczeniach ostatniej nocy nikt nie odważył się na kolejny bunt.

Dopiero gdy w drzwiach pojawiła się Jessica Roberts, podniosły się głośne okrzyki:

– Chcemy wreszcie wrócić do domu!

– Co to wszystko ma znaczyć?!

– Będziecie się mieli z pyszna, jak w końcu porozmawiam ze swoim adwokatem!

Kobieta poczekała, aż zapanuje spokój, po czym oświadczyła chłodno:

– W wyniku nieprzewidzianych wydarzeń nie możemy niestety udzielić państwu żadnych dalszych informacji. – Nie zważając na podnoszący się pomruk, ciągnęła niewzruszenie: – Ale za pośrednictwem maili albo esemesów niezwłocznie powiadomimy wasze rodziny i firmy, że z powodu choroby lub z innych przyczyn przez kilka najbliższych dni nie będzie was w domu i nie będziecie osiągalni. Za parę minut przyjdzie tu kilka osób. Proszę podać im odpowiednie dane kontaktowe.

– To jest dyktatura! – krzyknął ktoś z sali.

– Robimy to dla państwa bezpieczeństwa – rzuciła mało uprzejmie Jessica.

– Tak mówi się zawsze, kiedy odbiera się ludziom wolność – szepnął Mike. – Dranie!

– Dziękuję! – zakończyła Jessica. – O całej reszcie porozmawiamy później! – Po czym wyszła.

– Na pewno ci uwierzę – burknął Mike.

Buntowniczy duch opuścił go minionej nocy. Ale i pozostali w obliczu wzmocnionych posiłków pilnujących ich żołnierzy nie zdobyli się na nic więcej niż pełne oburzenia komentarze.

Gordon znajdował się w miejscu, które wcześniej widział na filmiku wideo. Polecił Johnowi, żeby pokazał mu na mapie, gdzie w tej dziurze zabitej dechami, położonej niedaleko cudownych pól, odebrali kanistry. Musiał mu porządnie przemówić do rozumu, żeby wreszcie powiedział prawdę. Chociaż w panujących wokół ciemnościach wszystko wyglądało trochę inaczej, nie ulegało wątpliwości, że John i Haji przysłali go tam gdzie trzeba. Buda sklepowa na skraju nędznego targowiska. Za nią składowisko części samochodowych i rupieci, które w zachodnich krajach wylądowałyby na śmietniku, a tutaj zyskiwały czwarte albo i piąte życie jako części zamienne albo Bóg wie co jeszcze. W świetle kilku ulicznych latarni targowisko wydawało się centrum wieczornego życia – było po brzegi wypełnione ludźmi.

John wszedł do sklepu. Mężczyzna, od którego John i Haji odebrali kanistry, stał w blasku samotnej żarówki za krzywą ladą zbitą ze zniszczonych desek.

Gordon przywitał się i bez specjalnych wstępów pokazał mu wideo. Kanistry. Skąd? Kto je przywiózł? Jednocześnie powachlował się kilkoma banknotami.

Sklepiarz pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć. Wymamrotał coś pod nosem, po czym znowu się wyprostował.

– Mjuma Transports – wyjaśnił. – Adres?

Rozmowa nie nastęczała trudności.

– Tak, proszę – odpowiedział Gordon. To wydawało się wręcz zbyt proste.

Mężczyzna pogrzebał w koszyku stojącym na chybotliwym regale za jego plecami i wyciągnął z niego jakąś kartkę. Pokazał ją Gordonowi. Adres w Dar es Salaam. I telefon. Gordon wpisał wszystkie dane do swojej komórki. Położył banknoty na ladzie, podziękował i wyszedł w tropikalną noc. Od razu wybrał numer Mjuma Transports. Może ktoś jeszcze siedział w biurze.

Prezydent czuła piasek pod powiekami, bolały ją plecy. Do długich, bezsennych nocy i stresu była przyzwyczajona. Do porwań – nie. Zwłaszcza zorganizowanych przez sztucznie wyhodowane dzieci. Kiedy Eugene oddzielił się od nich, zabierając ze sobą tamtą kobietę, pilot zgodnie z poleceniem pozostałej czwórki ruszył międzystanową autostradą numer 5 na północ. W innych okolicznościach z pewnością obudziłyby się w niej wspomnienia z wypraw z czasów studenckich.

Mniej więcej po godzinie pilot zjechał z autostrady. Kierowali się w stronę gór. Na tablicy przy drodze pojawił się napis „Ramona”. Prezydent już nie podejmowała prób dyskusji. Wszystkim dyrygowała dziewczynka, której Eugene przekazał dowodzenie. Droga robiła się coraz bardziej kręta, prowadziła przez teren zabudowany. Najpierw domy stały rzadko, potem gęsto i znowu rzadziej, aż w końcu w ogóle zniknęły. Po piętnastu minutach jazdy przez pustkowie pilot skręcił w las, co nie spodobało się prezydent. Mimo obezwładniającego zmęczenia narastał w niej strach. Minęło jeszcze dziesięć minut, podczas których posuwali się po wyboistej dróżce między drzewami, i w końcu padło polecenie: „Stać!”.

Pilot wykonał je posłusznie. Znajdowali się w jakiejś niecce.

– Wysiadać – powiedziała dziewczynka, trzymając pistolet maszynowy w rękach.

Oboje opuścili vana. Myśleli, że za nimi wysiądą także dzieci, tymczasem drzwi się zatrzasnęły, a największy chłopiec – chociaż i tak za mały – usiadł za kierownicą, zawrócił i ruszył w kierunku, z którego przyjechali.

– Szybko – rzucił pilot i chwyciwszy prezydent za rękę, pociągnął ją za sobą pod górę, między zarośla. – Lepiej się schować. Na wypadek gdyby zmienili zdanie.

Prezydent szła za nim, chociaż nie obawiała się, że dzieci po nich wrócą.

Przez kilka minut siedzieli przycupnięci w krzakach, obejmując wzrokiem kotlinę i okolicę. Nigdzie nie było widać starego GMC.

Gdy prezydent się podniosła, poczuła lekki ból w kolanach.

„Nad tym mógłby popracować ten Winthorpe” – pomyślała.

– Wobec tego idziemy – oznajmiła.

Na monitorze Helgego twarz Gordona była rozmyta i jednocześnie krzykliwie kolorowa. Widocznie światło afrykańskiej nocy nie sprzyjało jakości przekazu przez kamerkę telefonu komórkowego. Jego głos też brzmiał niewyraźnie, a muzyka lecąca z kolumn stereo w hotelowym pokoju sprawiała, że Helge ledwie go rozumiał. Dlatego on, Horst i Micah siedzieli jeden obok drugiego, trzymając wyświetlacz smartfona dosłownie kilka centymetrów przed sobą.

– Znalazłem miejsce, z którego tych dwóch odebrało kanistry. To coś w rodzaju targowiska w jakiejś dziurze. Dostarczyła je miejscowa firma spedycyjna o nazwie Mjuma Transports. Jest późno, ale jeszcze złapałem kogoś w biurze. I udało mi się od niego wyciągnąć, kto był pierwotnym nadawcą kanistrów.

– Kto to? – spytał Helge nerwowo.

– Nazywają się Eloxy – zachrypiął Gordon. – Siedziba firmy znajduje się w Montes Claros, w Brazylii.

Horst już wklepywał nazwę do swojego laptopa, szukał informacji.

– I stamtąd były te kanistry? – spytał znowu Helge.

– Tak twierdzą w Mjuma Transports. A to nie jest wcale jakaś mała firma krzak, jak się spodziewałem. Ekspediują przesyłki do Tanzanii, Mozambiku, RPA, Zambii, Kenii. Dyspozytor, z którym rozmawiałem, powiedział, że pierwszy raz mieli coś z Eloxy i pierwszy raz dostarczali coś w to miejsce. Wybieram się do niego jutro. Zobaczymy, może natrafimy na jeszcze więcej ciekawostek.

– Pierwszą już mamy – wtrącił Horst. – Niedaleko od Montes Claros leżą te niedawno odkryte pola ze zmodyfikowaną genetycznie bawełną.

– No dobra – odezwał się Helge. – Zrobimy tak: niech pan kupi całe zbiory od pobłogosławionych chłopów. Jeśli się da, także ziemię. Plus kilkusetmetrowy pas dookoła niej. Na wszelki wypadek. Tylko szybko. Cena nie gra roli. Jak będzie już pan miał plony albo ziemię, albo jedno i drugie, proszę zachować kilka próbek, a resztę zniszczyć. Gruntownie. Do cna. Chłopi nie mogą w żadnym razie zostawić sobie nic na następny zasiew. Rozumie mnie pan?

– Tak. Ale co zrobimy, jeśli nie będą chcieli sprzedać?

– To jedynie kwestia ceny.

– A jeżeli mimo wszystko się nie zgodzą?

– Te rośliny nie mogą przetrwać. A tym bardziej rozprzestrzeniać się w sposób niekontrolowany.

Na drugim końcu świata Gordon wpatrywał się w swoją kamerkę. Analizował

po cichu słowa Helgego.

– Zrozumiałem – powiedział wreszcie.

– Dobra robota, Gordon. Życzę spokojnej nocy. – Helge zakończył połączenie, po czym zwrócił się do Micaha: – Dokładnie to samo przekaz zespołom w Indiach i Brazylii. Mają kupić zbiory, ziemię i stada, zachować próbki czy pojedyncze egzemplarze, resztę zniszczyć.

– Za wszelką cenę – rzekł Micah, świadomie nie precyzując, czy ma na myśli pieniądze, czy co innego.

Na co Helge odpowiedział równie otwarcie:

– Za wszelką cenę.

Nawet gdyby byli potajemnie nagrywani, na podstawie tak prowadzonej rozmowy niczego by im nie udowodniono. Jako prezes zarządu Helge musiał wiedzieć, jak należy wydawać dyspozycje.

Znowu włączył się Horst:

– Niewiele informacji da się znaleźć o tym Eloxy. Mały producent pestycydów. Strona internetowa mało profesjonalna. Przyjrzymy się bliżej.

– I takie coś miałyby produkować najbardziej zaawansowane organizmy transgeniczne na kuli ziemskiej?

– Może to tylko przykrywka. Albo dane przekazane Mjuma Transports lub przez Mjuma Transports są fałszywe.

– Bliskość tych brazylijskich pól bawełny przemawia za Eloxy. Micah, pewnie znajdziesz kogoś, komu uda się wejść w ich system. A my polecimy sobie na miejsce, żeby zamienić z tymi ludźmi parę słów.

Dojście do szosy zajęło im pół godziny. Po drodze wspólnie ustalili dalsze kroki.

– Nie wolno nam do nikogo się zbliżać – oznajmiła na wstępie prezydent.

– Dlaczego?

Czyli nikt mu jeszcze nie wyjaśnił!

– To jest zbyt skomplikowane, by o tym teraz mówić. Tak czy inaczej, musimy jak najszybciej skontaktować się z policją.

Stanęli obok siebie na poboczu i zaczęli machać ku nadjeżdżającym samochodom. Kilka aut zwolniło, ale mimo wyraźnie widocznego munduru pilota na ich wysokości przyspieszyło znowu.

Pięty wóz także się początkowo nie zatrzymał, dopiero po chwili zahamował z piskiem opon. Prezydent i jej towarzysz ruszyli w jego stronę, podczas gdy kierowca, zjechawszy w połowie na piaszczyste pobocze, cofnął się i w kłębach kurzu stanął obok nich. Mężczyzna w średnim wieku o szpakowatych włosach, okrągławej twarzy i w błękitnej koszuli z krótkim rękawem opinającej nieznacznym brzuszkiem szybko wysiadł zza kierownicy.

– O rany, pani do złudzenia przypomina naszą prezydent!

– Często to słyszę – powiedziała od niechcienia prezydent.

Inni uczestnicy ruchu nie zwracali uwagi na scenę rozgrywającą się na skraju drogi.

– Dokąd chcecie jechać?

– Proszę się nie zbliżać – powiedziała prezydent, cofając się o krok. A na widok zdziwionej twarzy uprzejmego kierowcy dodała: – Ale proszę jeszcze nie odjeżdżać. Jak się pan nazywa?

– Edward Solowsky. Ed.

– Okej, proszę posłuchać, Ed. To, co za chwilę pan usłyszysz, wyda się panu niedorzeczne i nieprawdopodobne, mimo to bardzo proszę, aby zrobił pan to, co powiem. Czy ma pan przy sobie telefon komórkowy?

– Co to wszystko znaczy? – spytał podejrzliwie mężczyzna. – Czy to jakaś ukryta kamera?

– Nie. Ma pan komórkę czy nie?

– Mam. – Wyciągnął ją z kieszeni spodni.

– Wobec tego proszę zadzwonić pod następujący numer.

W pierwszej chwili Ed raczej nie miał zamiaru nigdzie dzwonić. Prezydent obrzuciła go zatem spojrzeniem, które zwykle odnosiło skutek. Przynajmniej

w przypadku osób, które wiedziały, kogo mają przed sobą.

Teraz też podziałało. Naturalny autorytet. Zyskuje się go wraz z upływem czasu na takim stanowisku. Dyktowała mu numer, a on wciskał odpowiednie klawisze. Gdy podniósł już aparat do ucha, powiedziała:

– Kiedy ktoś się odezwie, proszę się przedstawić i powiedzieć, gdzie pan jest i że stoi pan przed prezydent.

Jego oczy rozszerzyły się znacznie, nie miał jednak czasu, aby jakkolwiek zareagować, ponieważ w słuchawce już rozległ się czyjś głos. Mężczyzna posłusznie zrobił to, co mu przed chwilą kazano.

Tymczasem pilot, zwrócony twarzą do drogi, wyprostował się, podszedł do niej bliżej i szepnął:

– Jeden z samochodów jechał najpierw w przeciwnym kierunku, potem zawrócił i minutę temu minął nas po tej stronie. I znowu zawrócił. Pasażer chyba nagrał nas na komórkę.

– Dziękuję – odparła prezydent równie cicho.

– Ten człowiek chce rozmawiać z panią osobiście – oznajmił Ed.

– Proszę mu powiedzieć, że stoi pan dwa metry ode mnie, a ja nie mogę się do pana zbliżyć. On wie dlaczego.

Nie kryjąc przerażenia, mężczyzna przekazał informację i cofnął się o krok.

– Mówi, że ktoś po panią przyjedzie – wykrztusił. – I pyta, gdzie są dzieci.

Mężczyzna dalej dzielnie pełnił rolę pośrednika. Ledwie dokończył zdanie, prezydent kontynuowała:

– Kilkoro podróżuje srebrnym fordem galaxy, za kierownicą siedzi dziesięciolatek. Nie powinno być trudno ich znaleźć.

Ed zmarszczył czoło i spojrzał z niedowierzaniem, ale powtórzył wszystko słowo w słowo. Następnie zrelacjonował to, co usłyszał:

– Już kogoś wysyłają. I proszą, żebym z panią poczekał. Zgodziłem się. A potem ten człowiek się rozłączył. – Mężczyzna stał speszony przed nimi, ręka trzymająca komórkę zwisała bezradnie przy jego udzie. – Czyli pani naprawdę jest naszą prezydent, tak?

Twarz prezydent wypełniła niemal cały ekran.

– Nie mam dużo więcej do powiedzenia – rzekła. – Ten mały oddziałik, który nas porwał, był jak część świetnie funkcjonującej maszyny. Broń traktowali tak, jakby mieli zabawki w rękach.

„W końcu to mimo wszystko są dzieci” – pomyślała Jessica.

– Musicie ich znaleźć! A zwłaszcza tego Eugene’a! On jest niezwykle niebezpieczny! Ścigajcie go! Użyjcie wszelkich środków, żeby go złapać! Nie można dopuścić, aby wyrządził jeszcze więcej zła! Może któreś z nowoczesnych dzieci w New Garden wie coś o jego zamiarach. Ten chłopak ma wszystko zaplanowane. Możliwe, że wspólnie z tamtą dziewczyną, która zniknęła. – Oni również już na to wpadli. – Ten mały wspominał coś o innych środkach poza wirusem, których chcą użyć. Są jakieś nowe ustalenia wynikające z ich materiałów?

– Na razie nie ma. Nasi eksperci wciąż przekopują się przez nie.

– Zostanę tutaj i tu odbędę kwarantannę – powiedziała prezydent.

Jessica dała znak operatorowi, aby puścił filmiki wideo, które w ciągu ostatnich godzin pojawiły się w internecie. Nieostre, rozchwiane ujęcia robione z jadącego samochodu ukazywały auto na skraju drogi, a przed nim trzy rozmawiające osoby. Do tego komentarz filmujących, nieco zagłuszany przez szum pojazdów: „...bardzo podobna... prezydent... myślisz? A co ona... tutaj?”.

– O pani autostopowej przygodzie kursują już w sieci pierwsze filmiki – poinformowała ją Jessica.

– Na szczęście chyba za mało wyraźne i kręcone ze zbyt dużej odległości, aby mogły być naprawdę groźne. Co sądzisz, Al?

– Te dwa dotychczasowe rzeczywiście możemy zlekceważyć – potwierdził doradca do spraw bezpieczeństwa. – Ale zajmijmy się tym.

– À propos New Garden – wtrąciła Jessica. – Co zrobimy z klientami doktora Winthorpe’a?

– Zastanawiałam się nad tym. W końcu miałam sporo czasu. Muszę jeszcze porozmawiać z prawnikami i etykami, ale wszystko zdaje się zmierzać do tego, że złożymy tym ludziom propozycję.

Rozmyte czarno-białe kadry, zarysy samochodów, jeden zbliżał się do światła na pierwszym planie. „Nieduże auto azjatyckiej produkcji” – odgadła Jessica. Kilka

ujęć dalej operator zatrzymał film.

– Mamy numer rejestracyjny – powiedział. Po paru następnych klatkach znowu zastopował. Na siedzeniu pasażera wyraźnie widoczne dziecko. Fotel odsunięty do tyłu, obie twarze to jedynie szare plamy o różnej tonacji, górna połowa ukryta w cieniu.

– Niewiele da się rozpoznać – stwierdziła Jessica. – Nie mamy dla porównania jakichś innych zdjęć z ucieczki, ewentualnie ubrań, jakie mieli na sobie Eugene i Helen Cole?

Jednym przyciśnięciem klawisza operator otworzył na ekranie obok inne obrazy. Był na tyle przytomny, że przygotował je wcześniej. Helen Cole przy śmigłowcu. Eugene uchwycony w chwili, kiedy kokpit wirującej jak bąk maszyny znalazł się w blasku reflektorów.

– To mogą być oni – uznała Jessica. – Jego koszula i jej bluzka są bardzo podobne. A z pościgu?

Operator uruchomił inny przycisk. Na trzecim monitorze ukazał się nieruchomy obraz tego samego auta od przodu, ale widzianego lekko ukośnie z góry. Jakość zdjęcia była zdecydowanie lepsza. Twarze znowu schowane w cieniu, ale ubrania wyraźniejsze.

– Czterdzieści pięć minut po zniknięciu z parkingu przekroczyli pod Tijuana granicę z Meksykiem – oświadczył operator.

Jessica była zbyt zmęczona, aby choć zakląć.

– Nawiązano kontakt z Meksykanami?

– Owszem. Niestety, dostali zdjęcia kilka minut za późno. A tam nie ma na drogach specjalnie dużo kamer monitoringu.

– Dziękuję – westchnęła Jessica. Co mogła więcej?!

Obok niej stała już kolejna osoba z jakąś sprawą.

– Mamy na linii Helgego Jacobsena z Santiry – zameldował mężczyzna, podsuwając jej telefon komórkowy. – Chciała pani z nim rozmawiać. Pomyśleliśmy, że może teraz znajdzie pani chwilę.

Jessica wzniosła oczy do nieba.

– Jasne. Najwyższy czas! Dziękuję.

Helge właśnie rozsiadł się w jednym z wygodnych skórzanych foteli w ogonie należącego do firmy falcona, gdy podszedł do niego Micah z komórką i otwartym laptopem.

– Bardzo dziwny telefon – powiedział. – Ta osoba należy do sztabu doradcy do spraw bezpieczeństwa w Białym Domu.

Na ekranie komputera pokazał swojemu szefowi stronę internetową ze zdjęciem kobiety, która mogła mieć około trzydziestu pięciu lat, a sądząc po rysach twarzy, piegach na ciemnej skórze i kręconych włosach, w jej żyłach płynęła krew przodków pochodzących z całego świata.

– Niejaka Jessica Roberts. Chce z panem rozmawiać o GMO w Afryce, Indiach i Brazylii.

Ta informacja przeszła Helgego lodowatym dreszczem.

– A skąd ona o tym wie?

– Nie mam pojęcia. – Micah wzruszył ramionami. – NSA?

– *Fuck!* – zaklął cicho Helge. – Myślałem, że nasza komunikacja jest zabezpieczona.

– To tylko przypuszczenie. Może ktoś u nas był nieostrożny – zrewanżował się Micah. – Ale oni mogą mieć też inne źródła.

Helge zrobił niecierpliwy gest.

– Niech mi ją pan wreszcie da!

Micah wręczył mu telefon. Helge się przedstawił. Po drugiej stronie odezwała się kobieta. Miała przyjemny, jasny głos.

– Dziękuję, panie Jacobsen, że znalazł pan chwilę, aby ze mną porozmawiać – powiedziała po krótkiej prezentacji. – Zależy mi na rozmowie bezpośrednio z panem jako najważniejszą osobą w pańskiej firmie. Nasi współpracownicy już wstępnie omówili sedno sprawy. Odkryte na trzech kontynentach zjawiska to w końcu nie błażostka. – Zanim zdążył spytać, skąd ona o tym wie, mówiła niezmordowanie dalej: – Kiedy dowiedzieliśmy się o tym, poinformowano nas, że pan wpadł na to odkrycie kilka dni wcześniej. Aby nie przedłużać: słyszałam, że siedzi pan w samolocie, gotowy do startu. Słyszałam także, że pańska firma prowadzi dochodzenie na własną rękę.

Gdy zamilkła, Helge odpowiedział:

– Zgadza się. Oczywiście jesteśmy dopiero na początku śledztwa. Te odkrycia nastąpiły niedawno.

– Naturalnie. Czy poinformował pan już lokalne władze albo instytucje międzynarodowe? Nie otrzymaliśmy jeszcze żadnych meldunków na ten temat.

– Zanim to zrobimy, chcemy najpierw wszystko zweryfikować, aby mieć całkowitą pewność.

– Rozumiem.

Helge zaklął w duchu, bo ta kobieta wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że ma do dyspozycji środki nacisku, które może wykorzystać wobec niego.

– Czy pańska weryfikacja przyniosła już jakieś rezultaty? Na przykład dotyczące sprawców?

– Niestety nie.

– Szkoda. Bo te organizmy stanowią prawdopodobnie ogromne zagrożenie. Rzecz jasna pan również zdaje sobie z tego sprawę. Tym bardziej że nie złożył pan jeszcze żadnego zawiadomienia. Dlatego bardzo pana prosimy, aby od tej pory ściśle pan z nami współpracował w tej kwestii.

Owa Roberts wyraźnie przedkładała groźbę zawołowaną nad bezpośrednią. Pewnie już od dawna o wszystkim wiedziała, tylko jeszcze nie ustaliła, skąd pochodzą te organizmy. Musiał koniecznie zyskać na czasie.

– Potrzebujemy próbek roślin i zwierząt, aby porównać je z informacjami z innych źródeł – kontynuowała.

– Z jakich innych...?

– Na razie nie możemy powiedzieć – weszła mu w słowo.

Przecież każda wymiana polega, do cholery, na braniu i dawaniu! Znowu zaklął w duchu. A ona chciała tylko brać i nie dawać nic w zamian. I oczywiście mając taką pozycję, mogła sobie na to pozwolić.

– Moi współpracownicy omówią to z panem. Będziemy w kontakcie. Ma pan już dane kontaktowe.

– Oczywiście – odpowiedział Helge, zgrzytając zębami. Co za bezczelność!

Wyświetlacz telefonu zgasł. Pahlen spojrzał na niego pytająco.

– Goń się! – wrzasnął Helge i cisnął aparatem w przejście między fotelami. – Aroganckie świnię! Wiedzą dużo, ale nie mają pojęcia o Eloxy. Jeśli to rzeczywiście Eloxy jest odpowiedzialna za te niesamowite rzeczy, musimy porozmawiać z tamtymi geniuszami jako pierwsi, żeby nie zaprzepaścić szansy. Czy pilot może coś zrobić, żeby ani władze, ani satelity nas nie zlokalizowały?

Maszyna toczyła się powoli na pozycję startową.

Greg pędził przez noc, gałęzie pękały pod jego stopami, światła reflektorów przedzierały się przez ciemność, silnik helikoptera ryczał mu nad głową.

– Helen! – wrzeszczał raz po raz. Ktoś chwycił go za ramię, potrząsał nim, on próbował się wyzwolić, lecz nie mógł się wyrwać.

– Greg!

Kobięcy głos.

– Greg! Niech się pan obudzi!

Jasno. Muł zamiast mózgu w głowie.

Twarz Jessiki Roberts tuż przed jego twarzą.

– Greg – powtórzyła znowu. – Niech się pan obudzi! Hej!

Obok niej żołnierz, za nimi podwójne łóżko. Szklane drzwi na taras. Na łóżku rzucona niedbale bluzka Helen. Greg rozpoznał ich pokój. Wróciło wspomnienie. Obraz Helen w helikopterze. I on, który nie chciał w to uwierzyć. I szukał jej niezmordowanie, aż do obiadu. Aż wreszcie w którymś momencie wrócił do pokoju, mając nadzieję, że ją w nim zastanie. I wyczerpany usiadł na chwilę w fotelu.

Wreszcie ocknął się i zerwał na równe nogi.

– Coś z Helen?

– Jak wynika z ostatnich ustaleń, pańska żona po ucieczce śmigłowcem towarzyszyła dalej jednemu z dzieci. Bardzo możliwe, że została do tego zmuszona – wyjaśniła Jessica. – Dzieci miały broń.

– Boże – jęknął Greg.

– Wszystko wskazuje na to, że ukradli z parkingu samochód i pod Tijuana przekroczyli granicę z Meksykiem. Pana żona siedziała za kierownicą.

– Pani sobie ze mnie kpi? Co Helen miałyby robić w Meksyku?

– Tego chciałabym się dowiedzieć od pana. Czy pan albo pańska żona macie tam jakieś kontakty?

– Żadnych.

Diana i Mike szli właśnie na kolację, gdy nagle zaczepiła ich policjantka:

– Państwo Kosh?

Stan permanentnego napięcia, w jakim Diana znajdowała się wskutek podejmowanych przez lata prób zajścia w ciążę przez sztuczne zapłodnienie, w ostatnich dniach przerodził się w ekstremalną nadpobudliwość. A zdarzenia

ostatnich godzin doprowadziły ją wręcz na skraj przepaści. Każda kolejna niespodzianka tylko pogarszała jej samopoczucie i popychała ją o krok dalej.

– Proszę na chwilę za mną. Chcielibyśmy omówić z państwem wasz powrót do domu.

– A co tu jest do omawiania? – rzucił opryskliwie Mike. – Wystarczy, żebyście otworzyli bramę i wzięli na smycz tych swoich kowbojów.

Diana miała już dość jego pyskówek. Ścisnęła go za rękę, aby go pohamować, a może także zapanować nad sobą, albo po prostu czegoś się chwycić. Delikatnie popchnęła go do przodu.

Funkcjonariuszka w policyjnym mundurze zaprowadziła ich do pokoju o surowym wyglądzie, w którym za stołem siedzieli kobieta i mężczyzna w cywilnych strojach. Gestem dali im znak, aby usiedli. Policjantka zamknęła drzwi od zewnątrz.

– Ja jestem Carrie, a to jest Tim – powiedziała kobieta. Nazwisk nie podała. Diana nie sądziła, aby to były ich prawdziwe imiona. Poczowała się jeszcze gorzej. – Przejdźmy od razu do rzeczy. To, co się stało i co odkryto tutaj w ostatnich dniach, z oczywistych powodów, to znaczy ze względu na bezpieczeństwo narodowe, musi być przez pewien czas objęte absolutną tajemnicą. Mają więc państwo dwie możliwości. Pierwsza: aż do wyjaśnienia sytuacji pozostać tutaj i nie utrzymywać kontaktu ze światem zewnętrznym. Na razie nie jesteśmy w stanie ocenić, jak długo mogłoby to potrwać. Dni, miesiące, lata. A może na zawsze. Kto wie?

– Zwariowała pani?! – krzyknął Mike, na co Diana chwyciła go za rękę, żeby powstrzymać kolejny wybuch. Jego występy w stylu macho były w tej sytuacji zupełnie bezsensowne. Nagle poczuła, że oblała się potem. Domyślała się bowiem, co zaraz usłyszą.

– Albo? – spytała drżącym głosem o drugą możliwość.

– Albo zobowiążą się państwo do zachowania bezwzględnej tajemnicy, a my okazemy państwu zaufanie. – Ostatnią część zdania Carrie powiedziała tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że wcale go nie okażą, ale mają w zanadrzu coś takiego, co uczyni owo zaufanie całkowicie zbędnym. I rzeczywiście, Diana się nie myliła, po chwili bowiem kobieta uzupełniła: – Oraz przede wszystkim zobowiążą się państwo do usunięcia wszelkich dowodów.

Ten werbalny cios w podbrzusze odebrał Dianie dech. Wciąż przytrzymywana przez nią dłoń Mike'a drgnęła gwałtownie – pewnie chciał rzucić pytanie o to, co, do cholery, oznacza „usunąć wszelkie dowody”, ale ona powstrzymała go znowu. Bo od razu wiedziała, co Carrie miała na myśli. Jej szczupłe palce wbiły się tak

mocno w potężną łapę Mike'a, że aż spojrzał na nią zaskoczony. Nie potrafiła powstrzymać drżenia ust.

Z zacerowaną wargą pod napuchniętym nosem i z bandażem wokół głowy Rich przypominałby raczej bezdomnego włóczęgę po alkoholowej przygodzie niż wybitnego naukowca, gdyby tego gruzowiska, jak nazywał teraz swoją twarz, nie rozjaśniały jak zawsze przenikliwe i zuchwałe oczy.

– Co jest? – spytała Jessica. – Wyglądało na to, że jesteś zdenerwowany.

– Bo jestem zdenerwowany – odpowiedział wciąż jeszcze chrapliwie, ale już trochę mocniejszym głosem. – Popatrzcie!

Razem z Jessicą zaprosił do pracowni biologów innych dostępnych członków prezydenckiego zespołu specjalnego.

Jessica przycisnęła się obok niego na krzesło przed dużym monitorem, pozostali skupili się za nimi. W tym ścisku ramiona i uda ich obojga nieuchronnie ocierały się o siebie. Mimo to Jessica się nie odsunęła.

– Doszliśmy do bardzo niepokojących wniosków – powiedział Rich. – I znaleźliśmy obciążający dowód. Obie te rzeczy wiążą się ze sobą i podważają nasze hipotezy. – Otworzył na ekranie zdjęcia roślin bawełny, pól kukurydzy i kóz. – Pamiętajcie modele i symulacje Jill dotyczące bawełny, kukurydzy i kóz, które zostały już prawdopodobnie wdrożone w naturalnym otoczeniu. Do analizy danych posadziłem dwoje ludzi i kazałem im je porównać z zestawem danych czterech innych projektów. W rezultacie udało im się odkryć pewien schemat.

Na ekranie pojawiły się ikonki plików.

– Jill pracuje w sposób bardzo uporządkowany i systematyczny. Każdy projekt dzieli na sześć faz. Pierwsza faza to wstępne próby *in silico*, czyli na początek wyłącznie w komputerze. Druga to próby bardziej szczegółowe, także *in silico*. Trzecia obejmuje pierwsze próby stworzenia organizmów *in vivo*, w laboratorium albo w warunkach laboratoryjnych. W jej materiałach są dokumenty tekstowe, ale także zdjęcia i wideo. Przekazaliśmy je do analizy FBI, CIA i CDC, bo może dzięki nim uda się ustalić miejsca przeprowadzania eksperymentów. W razie niepowodzenia doświadczeń *in vivo* Jill wracała do fazy drugiej, czyli do symulacji szczegółowych w komputerze. W przypadku gdy wszystko szło dobrze, następowała faza czwarta, czyli pierwsze wykorzystanie organizmów w laboratorium. Jeśli więc na przykład stworzyła transgeniczne pyłki kukurydzy, roślina zostawała nimi zapyłona, a potem hodowano ją i czekano na owoce. W razie fiaska – do którego w tym przypadku, jak już wiemy, nie doszło – cofała się, a przy sukcesie przechodziła do fazy piątej, czyli rozmnożenia GMO do ilości

komercyjnych, a potem do fazy szóstej – pierwszego uwolnienia do środowiska. Tak to przebiegało w przypadku bawełny, kóz i kukurydzy. Również te dokumenty są przez nas analizowane pod kątem miejsca powstania i producenta. Wszystkie pliki są opatrzone datami, dzięki czemu wiemy, kiedy zostały przeprowadzone poszczególne fazy. Wielokrotnie musiała pracować albo w szklarniach, albo gdzieś w strefie tropikalnej, w której zbiory odbywają się kilka razy w roku.

– Brazylia, Tanzania, Indie – wtrąciła Jessica. – Wszystko się zgadza.

Rich otworzył na monitorze nowe zdjęcia. Były na nich pola ryżowe, nie tak malownicze jak w prospektach turystycznych, za to pokazane z różnych perspektyw, włącznie ze zbliżeniami pojedynczych roślin.

– Przez przypadek zespół wybrał jeszcze projekt, który również jest już w fazie testów *in vivo*, a więc przeszedł symulacje na komputerze i w kontrolowanych warunkach był wypróbowywany w laboratorium albo na polu testowym. Trwa analiza zdjęć i nagrań wideo dotyczących tego projektu. Nie ulega wątpliwości, że Jill nie mogła przeprowadzać swoich eksperymentów na MIT. Sądząc po datach, możemy przyjąć, że ich dokumentacja jest aktualna. Nasz zespół obecnie przeszukuje wszystkie inne serie doświadczeń, próbując ustalić ich status. Już niedługo powinniśmy się dowiedzieć, co jeszcze jest na warsztacie albo zostało już stworzone i zastosowane, a my po prostu nie dotarliśmy na razie do odpowiednich informacji.

– Rozumiem – powiedziała Jessica. – To wszystko jest bardzo interesujące, ale... – Podczas przedstawianego wywodu obudziło się w niej złowróżbne przecucie. Rich już podczas ich pierwszego spotkania w Situation Room dał się poznać jako człowiek niezwykle skoncentrowany, skuteczny i skupiony na tym, co najistotniejsze, potrafiący doskonale rozpoznawać priorytety. Dlatego wiedziała, że w panującej sytuacji nie robiłby im wykładu na temat sposobu pracy Jill powodowany jedynie satysfakcją z tego, że dokonał takiego odkrycia. Ta prezentacja była jedynie wstępem. – Ale mam nadzieję, że nie zmierza do tego, czego się obawiam.

– To znaczy?

– Że projekt 671F/23a wykroczył już poza fazę drugą. I że Eugene wcale nie blefował.

– Oczywiście natychmiast to sprawdziliśmy. Co chcesz usłyszeć najpierw? Dobre czy złe wiadomości?

Jessica poczuła skurcz w żołądku.

– W liczbie mnogiej? Złe.

– Projekt 671F/23a został już zakończony i wdrożony.

- A niech to szlag – jęknęła. – Jack Wolfson?
 - Możliwe – potwierdził.
 - Co w tej sytuacji może być jeszcze dobrego?
 - Wirus z tego projektu nie jest zaraźliwy – odpowiedział Rich. – Rozwija się jedynie w osobie, której został zaaplikowany.
 - Czyli Eugene blefował tylko w połowie. Nie jesteśmy zarażeni.
- Mimo to Jessica nie poczuła ulgi. Bo jakiś cienki wewnętrzny głosik podpowiadał jej, że Rich nie doznał jeszcze końca.
- To były dwie wiadomości: dobra i zła – odezwał się znowu, potwierdzając jej obawy.
 - Jakie jeszcze masz w zanadrzu?
 - To zależy od punktu widzenia. Wygląda na to, że inne projekty z serii 671 od dwóch dni, czyli zaraz po zniknięciu Jill, znajdują się w fazie numer pięć.
 - Rozmnożenie w celu upowszechnienia.
 - Ale jest coś, co mnie szczególnie niepokoi. Ona pominęła fazę czwartą: próby na pierwszych organizmach testowych...
 - Którymi byliby ludzie.
 - Zgadza się – potwierdził Rich. – Czyli chce przejść do realizacji na szeroką skalę bez testów. A to oznacza...
 - ...że jej się spieszy. I ryzykuje strasznie dużo.
- Rich tylko skinął głową.
- Ale co nagle zmusiło ją do takiego pośpiechu? – spytał Tom za ich plecami.
 - Lęk, że nie doprowadzi wszystkiego do końca, zanim zostanie znaleziona? – zasugerowała Jessica.
 - Przecież uciekła, zanim w ogóle dowiedzieliśmy się o New Garden.
 - Pewnie liczyła się z tym, że to wkrótce nastąpi. Jeżeli to rzeczywiście Eugene opracował i wysłał zabójczego wirusa, a ona była wtajemniczona w jego plany, wówczas śmierć sekretarza stanu stanowiła dla niej sygnał alarmowy. Być może stąd to ostrzeżenie przed chłopakiem. Od tamtego momentu musiała się spieszyć.
 - I tu pojawia się kolejny niejasny, ale jednocześnie interesujący element – wtrącił Rich. Ponieważ z powodu problemów z głosem raczej szeptał, niż mówił, wszyscy słuchali go ze szczególnym skupieniem. – W projektach opatrzonych literą F Jill stosuje inny szczep wirusa grypy niż w przypadku niezaraźliwego 671F/23a. A mianowicie ten sam, który zabił Jacka Dunbraitha, czyli ten o działaniu śmiertelnym.

Cisza.

A potem posypały się pytania:

– Czyli to Jill stworzyła tego wirusa?

– Czy to może być przypadek?

– Jej ostrzeżenie przed Gene'em to tylko blef?

Rich odczekał, aż wszyscy się uspokoją, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Mało prawdopodobne, aby był to przypadek. Poza tym zastosowała sekwencję z laboratorium w Baltimore, która podnosi infekcyjność wirusa.

– Czy to znaczy, że zamach na sekretarza był czymś w rodzaju testu infekcyjnej skuteczności wirusa bazowego? – spytała Jessica. – I że teraz ona wykorzystuje go nie jako spersonalizowane narzędzie do zabijania, tylko wbudowała w niego inne właściwości i używa go jako pasa transmisyjnego umożliwiającego masowe rozpowszechnienie zmian spermatocytów?

– Niewykluczone – powiedział Rich. – Tylko po co test ze skutkiem śmiertelnym, ściągający na siebie uwagę niemal całego świata?

– Tak czy inaczej, musimy ją znaleźć! I powstrzymać!

Greg zastał Dianę i Mike'a w jadalni. Siedzieli w milczeniu przy stole i ponuro grzebali w jedzeniu. W sali panowała przygnębiająca atmosfera, niektóre kobiety płakały.

„Pewnie to efekt napięcia” – pomyślał Greg.

– Mogę się przysiąc? – spytał.

Gdy Diana skinęła głową, Mike rzucił pytające spojrzenie.

Coś tu nie grało.

– O co chodzi? – spytał Greg.

– Możemy jechać do domu – powiedział Mike, podczas gdy jego żona utkwiała wzrok w talerzu.

– To cudowna nowina!

– Pod pewnymi warunkami. Musimy zobowiązać się do całkowitej dyskrecji.

– Niby jest to do przyjęcia. Chociaż z drugiej strony, jestem ciekaw, jak oni sobie to wyobrażają. No bo jeśli ktoś jednak zacznie mówić?

– Dlatego żądają usunięcia wszelkich dowodów – wyjaśnił Mike.

– Jakich do... – zaczął Greg, ale urwał, ponieważ nagle zrozumiał. Zerknął na Dianę, lecz nie odważył się zatrzymać na niej spojrzenia. – A niech to diabli! – szepnął. – A jeśli się nie zgodzicie?

– Wtedy musimy tu zostać. Niewykluczone, że na bardzo długo.

– Ktoś na pewno zacznie gadać po wyjściu stąd. Wy też. I wszystko wyjdzie na jaw!

– Ale kto uwierzy w coś takiego, jeśli wszystkie dowody zostaną zniszczone?

– No a... dzieci? Te, które już żyją?

Mike wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. O tym nie mówili. Ale w końcu w Guantanamo zamykali ludzi na całe lata bez sądu. Poza tym można je zamordować w tajnych więzieniach. W tym kraju ostatnio wszystko jest możliwe.

Greg patrzył to na Dianę, to na Mike'a.

– I... co zrobicie?

– Zapłodnione komórki jajowe prawdopodobnie nawet się jeszcze nie zagnieżdżyły – powiedziała spokojnie Diana. – Patrząc z tego punktu widzenia, to nie byłaby nawet prawdziwa aborcja. – Przygryzła wargę, aby ukryć jej drżenie, a Mike ujął jej dłonie i mocno uściskał.

„Helen...” – pomyślał Greg.

„Gównno wpadło w wentylator – tak Jessica zaczęła esemesa do Colina. – Ze mną wszystko OK. Odezwę się najszybciej, jak się da. Może to potrwać jeszcze kilka dni. *Sorry!* Całusy, także dla dzieci!”.

Przez kilka sekund siedziała po prostu i gapiła się przez okno w ciemność. Działanie zastrzyku pobudzającego, który rano zrobił jej lekarz, już minęło. Miała zeszywniałe kości, mięśnie jak rozciągnięte gumki, a jej mózg był jak wilgotna wata. Może wybierze się do lekarza jeszcze raz. Po kolacji. Bardzo przydałyby się jej teraz właściwości dzieci na zamówienie: ograniczona potrzeba snu, zdolność szybszej regeneracji, większe kompetencje poznawcze. A najlepiej by było, gdyby ten koszmar po prostu się skończył. Przez moment zazdrościła Helen Cole, że zaryzykowała ucieczkę.

Dla najwyższego personelu wojskowego i rządowego urządzono niewielką jadalnię w oddzielnym pomieszczeniu, obsługiwana przez kuchnię wojskową. O dwudziestej umówiła się tam z Richem.

Czekał w otwartych drzwiach. W środku kilku mundurowych stało już w kolejce przy okienku.

– I znowu dowiodłaś swego wyszukanego smaku w wyborze urokliwych miejsc na randkę – przywitał ją ochrypłym szeptem, uśmiechając się pogodnie.

– W takim razie trzeba skupić się na randce – odparła – która, nawiasem mówiąc, nią nie jest.

– Och, daj spokój, pozwólmy sobie w tej niewesołej sytuacji przynajmniej na krótką chwilę przyjemności.

Z daleka dało się zauważyć, jak w okienku pracownik kuchni pacnął na talerz jednej z osób stojących w kolejce jakąś nieokreśloną breję, a do tego dołożył kawałek rozgotowanego mięsa.

– Sama widzisz – powiedział Rich ze zboląłą miną, po czym wziął ją pod rękę i ruszył korytarzem. – Znam lepsze miejsce – dodał.

Jessica szła za nim z lekkim ociąganiem. Wreszcie po kilkunastu metrach Rich otworzył drzwi.

Pomieszczenie było nieduże, ale urządzone ze smakiem. Prawdopodobnie do tej pory służyło jako biuro któregoś ze współwłaścicieli New Garden. A raczej współwłaścicielką, jak stwierdziła Jessica, przyglądając się wystrojowi. Po lewej, pod ścianą, znajdowała się elegancka komoda, po prawej – stylowa kanapa. Pośrodku, naprzeciw przeszklonej ściany z widokiem na park, stał

kompletnie nakryty stół dla dwóch osób. W blasku pary świec lśniły kieliszki do wina, delikatna porcelana i błyszczące sztucce. Obok wiaderko do chłodzenia, z którego wystawała sztywna butelka – już otwartej i owiniętej płócienną serwetką.

– Mała ucieczka od obłędu – powiedział Rich, pchnąwszy ją lekko do przodu.
– Chociaż na kilka minut.

Jessica właściwie wcale się nie broniła. Im bardziej nierzeczywista – i niestosowna – była ta sceneria w danej chwili, tym mocniej się nią napawała. A może właśnie dlatego.

Rich, uprzedziwszy jej pytanie, wyjaśnił:

– Zapasy Stanleya. Ten facet umiał cieszyć się życiem.

Nalał jej wina i podał kieliszek. W tym momencie Jessica odkryła na bocznym stoliku dwa mniejsze talerze z czymś, co wyglądało na drobną przystawkę, ponadto dwa duże talerze nakryte kłozami i małą deskę serów.

– Nie myśl o niczym – poprosił Rich, unosząc ku niej kieliszek. – Po prostu się delektuj.

– Jeśli to wypiję, za piętnaście minut będę pijana.

– Tym lepiej.

Nagły wstrząs wyrwał Helen ze snu. Instynktownie chwyciła się pierwszej lepszej rzeczy, jaką znalazła pod palcami. Podłokietniki. Wokół bioder miała zapięty pas. W uszach jej huczało. Wibracje słabły. Powoli wracała świadomość. Spojrzenie przez okrągłe okienko upewniło ją, że lot wcale jej się nie przyśnił. Na zewnątrz przemykały w zawrotnym tempie zabudowania lotniska. Z siedzenia naprzeciwko uśmiechał się do niej Eugene. A może to jest jednak tylko jakiś koszmarny majak?

– Dobrze się spało?

Przetarła sobie oczy. Eugene nie zniknął, podobnie zresztą jak wnętrze jeta i ryk silników.

– Międzylądowanie dla uzupełnienia paliwa – wyjaśnił. – Spałaś prawie sześć godzin.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

– W Gwatemali. Zatrzymamy się najwyżej na jakieś pół godziny. Żeby zatankować.

– Muszę... zawiadomić mojego męża, gdzie jestem. Na pewno odchodzi od zmysłów.

Jej wściekłość na Grega w dużej mierze została stłumiona przez niepewność, lęk i troskę. Wciąż jednak gdzieś głęboko w środku gryzła ją gorycz wywołana jego samowolnym działaniem.

– Załatwimy to. Musimy się tylko zastanowić, jak to zrobić. – Nagle twarz Eugene'a spochmurniała. – Twój mąż pewnie jest wciąż w New Garden, dobrze pilnowany. Czyli musielibyśmy tam zadzwonić albo wysłać maila. To są ślady, po których można łatwo dotrzeć do nadawcy, jeśli nie zrobi się tego mądrze. – Pokręcił głową niemal z zakłopotaniem. – Jeżeli zależy ci na twoim dziecku, musimy być ostrożni! Pamiętasz, co powiedziała prezydent: szukają nas już wszystkie tajne służby Stanów Zjednoczonych. Kto wie, jak daleko poza granice kraju rząd rozesłał informacje o mnie i mnie podobnych. Nie wiadomo, czy nie polują na nas od dawna także służby i władze na całym świecie!

Może spowodowała to senność, a może przepełniony obawami wywód Eugene'a – tak czy inaczej, jego argumenty wydały się Helen niezwykle przekonujące.

– Wspaniała perspektywa.

Samolot zatrzymał się na płycie.

– Ale do uniknięcia – stwierdził chłopiec z większym optymizmem. – Głodna?
– spytał z ożywieniem. – Od wczoraj wieczorem nic nie jadłaś. Z tyłu jest nieduża lodówka z przekąskami. Powinnaś odmówić sobie tylko szampana.

– To akurat nie przyjdzie mi z trudem – odpowiedziała. – Nie widzę powodu do świętowania.

Talerze i kieliszki były już puste, butelka także. Za szybą zapadła noc. Rich ponad dobrą godzinę podawał jej do stołu i uprzątał talerze, dolewał wina, a gdy rozmowa schodziła na wydarzenia, jakie nastąpiły po ich pierwszym spotkaniu w Situation Room, elegancko kierował ją na inne, lżejsze tematy. Przez chwilę Jessica rzeczywiście zapomniała, gdzie jest. Kiedy przyszła kolej na sery, przesiedli się na kanapę, a Rich przyniósł świeżo otwartą butelkę wina.

– Ja już dziękuję – oznajmiła, zakrywając dłonią swój kieliszek. On natomiast nalał trochę do swojego i skosztował, a uznawszy, że jest dobre, dolał sobie jeszcze.

Kiedy wzniosł ku niej kieliszek, chwyciła jego dłoń i mocno uścisnęła.

– Dziękuję ci – powiedziała. – To był bardzo piękny wieczór.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł i również ścisnął ją za rękę. Następnie opróżnił kieliszek, odstawił go, po czym z błogością odchylił głowę na oparcie sofy i obrócił ją w jej stronę.

Jessica również opadła na poduszki, spojrzała na niego i z uśmiechem syciła się chwilą. Czowała, że jej głowa robi się coraz cięższa, i później odnotowała jeszcze, że twarz Richa się przybliżyła, jego powieki zatrzepotały, a potem opadły, podczas gdy granica między jawą a snem uległa zatarcu.

Dzień szósty

To był najdłuższy lot w życiu Helen. A przynajmniej tak jej się zdawało. W środku nocy wylądowali jeszcze raz, aby uzupełnić paliwo. W północnej Brazylii, jak twierdził Eugene. Ona prawie cały czas drzemała, jeśli tylko akurat nie roztrząsała w myślach wszystkiego, co się wydarzyło.

W którymś momencie czarne jak smoła niebo zabarwiło się po lewej stronie na granatowo. W oddali wyłoniła się rozmyta smuga, która w ciągu kilku minut zarysowała się w linię horyzontu. Pół godziny później ponad nią rozlała się pomarańczowa łuna. W dole widać było bezkresne przestrzenie. Koryta rzek wiły się przez gęstą dżunglę. Od czasu do czasu pojawiały się skupiska ludzkie, również większe miasta. Wąskie i proste dukty dróg ciągnęły się przez krajobraz. Ciemnoczerwona tarcza słońca przesuwiała się nad światem. Po kilku minutach wlecieli w dzień.

– Śniadanie? – spytał Eugene.

W lodówce były jeszcze jakieś drobne przekąski i soki owocowe. Chłopcu dopisywał apetyt.

– Co zamierzasz? – spytała go Helen. Po raz pierwszy od dłuższego czasu czuła się dziwnie silna. Może dlatego, że nie miała wyboru. Albo dlatego, że nagle wszystko stało się radykalnie inne niż do tej pory. Nie wiedziała, czy Eugene powie jej prawdę.

– Pamiętasz sam początek swojej wizyty w New Garden? – zwrócił się do niej. – Wasza grupa przypadkowo była świadkiem awantury między mną a Nelsonem. Z powodu Briana, syna opiekunki, który potwornie nas denerwuje. Klasyczny genom. Zazdrości nam naszych umiejętności i próbuje to sobie zrekompensować podlizywaniem się, podłościami i różnymi podstępami. Chytry lis.

– Wy też nie byliście dla niego mili.

– Takie są dzieci.

– Ale takie mądre jak ty chyba nie powinny się tak zachowywać?

– A ciebie nikt nigdy nie denerwuje? I nie wpadasz wtedy w złość?

Helen skłamałaby, gdyby zaprzeczyła.

– Musimy się postarać, żeby twoje dziecko dorastało w świecie, w którym będzie jak najwięcej takich jak ono – mówił dalej. – Wyobraź sobie, że jest ich zaledwie garstka. Rodzicom coś takiego może wydawać się nawet atrakcyjne. Mieć wyjątkowe dziecko! Ale to jest owoc idiotycznego myślenia w kategoriach

konkurencji. Dla dziecka to prawdziwe piekło! Dla twojego również. Bo byłoby niesamowicie samotne! Wyobcowane! Poza tym pełny rozwój jego umiejętności i zdolności jest możliwy tylko wtedy, gdy obraca się w jak najliczniejszym gronie rówieśników i starszych, którzy je motywują i stymulują, ponieważ są tak samo uzdolnieni jak ono. Ludzkość zawsze odnosiła największe sukcesy, kiedy współpracowała, a nie zwalczała się wzajemnie. – Jego spojrzenie, skupione podczas tego wywodu na niej, na krótko przeniosło się na małe okrągłe okienko i bezkres za nim. – W Brazylii mamy laboratorium – kontynuował, znowu patrząc na Helen. – Zorganizowała je Jill, kiedy zaczęła studiować na MIT. Testujemy w nim to i owo. Teraz musimy zrobić ostatni krok. Szybciej, niż ona zamierzała.

– Co to znaczy, że macie laboratorium i przeprowadzacie tam testy? Jeździecie regularnie do Brazylii?

– Nie, skąd! Niby jak? Kupiliśmy niewielką firmę biotechnologiczną i zatrudniliśmy paru naukowców, którzy z powodu pewnych... problemów nie mogą już pracować w Stanach. A w Brazylii nikogo nic nie obchodzi. Płacimy im dobrze, pomagamy w ich trudnej sytuacji, a w zamian oni wykonują nasze polecenia.

– A ci naukowcy wiedzą... czym... kim... jesteście?

– Oczywiście, że nie! Tylko jeden z nich spotkał się kiedyś z Jill i uważa ją za supermózg, który próbuje stworzyć genialny start-up. Na elitarnych uczelniach amerykańskich nie brakuje przecież takich agregatów.

– Skąd dwoje dzieciaków ma pieniądze na firmę biotechnologiczną w Brazylii? Kto podpisuje kontrakty? Jak...

– Pieniądze to nie problem. Po to są rynki finansowe, wystarczy tylko umieć użyć sprytnych algorytmów. Umowy podpisują uczynni dorośli, którzy są za to wynagradzani. Znalezienie figurantów czy założenie firmy to bułka z masłem. W końcu żyjemy w Stanach Zjednoczonych, w kraju nadającym się do takich malwersacji jak mało który na świecie. W Bostonie Jill zarobiła wystarczająco dużo pieniędzy i stworzyła sobie dostatecznie szeroką przestrzeń działania, aby móc wszystko gładko przeprowadzić.

Helen nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Eugene'a rozpiera duma. Jeśli ta historia jest prawdziwa, prawdopodobnie opowiedział ją po raz pierwszy. Co prawda już wcześniej słyszała w mediach o podobnych kombinacjach, ale coś takiego w wykonaniu dwojga dziesięciolatków byłoby co najmniej niezwykle. I może rzeczywiście stanowiłoby powód do dumy?

A jeszcze większy powód do obaw. Ogromnych obaw.

– To stąd masz pieniądze?

– Jill podczas każdej swojej wizyty dawała mi trochę po kryjomu. Na wszelki wypadek.

– Na przykład taki jak teraz.

– Na to wygląda.

– Co testujecie?

– Przeróżne rzeczy, nad którymi tak czy inaczej pracuje się już na całym świecie, tyle że my jesteśmy lepsi. Chodzi o wytwarzanie alternatywnych źródeł energii i surowców przez bakterie. O lekarstwa. O rośliny i zwierzęta odporne na szkodniki i choroby. Ale my mamy inny cel niż wielkie koncerny biotechnologiczne. My nie robimy z tego biznesu. Te rzeczy są zbyt ważne. Dlatego rozprowadzamy je gratis. Pomagamy tym, którzy tego naprawdę potrzebują.

– A teraz?

– Musimy pójść o krok dalej.

– Kolej na ludzi – domyśliła się Helen.

– Twoje dziecko powinno mieć kolegów, którzy nie będą się go bali.

– Moje dzieci – skorygowała. – Zdecydowaliśmy się na bliźnięta.

– Tym lepiej. – Eugene się uśmiechnął. – Twoje dzieci powinny żyć w świecie, który przyjmie je z radością.

Jessica ocknęła się zniecacka. Resztki snu pierzchły gdzieś w ciemność, jej głowa leżała na poduszce, dłoń spoczywała w czyjejś dłoni. Mrugając nerwowo powiekami, doszła wreszcie do siebie. Świece na stole wypaliły się już prawie do końca i tliły się coraz słabiej. Tuż obok na kanapie spał Rich, z głową obróconą w jej stronę, w pozycji, w jakiej zapamiętała go w ostatniej sekundzie przed zaśnięciem. Jego lewa dłoń wciąż obejmowała jej prawą.

Gdy przypomniała sobie, co się wydarzyło, ogarnęła ją błogość w parze z wdzięcznością oraz z nutką – co najwyżej – żalu. A potem nie potrafiła się powstrzymać od uśmiechu, ubawiona tym, że zasnęli. Oboje!

Przez chwilę się nie ruszała, po czym powoli uniosła głowę, uwolniła prawą dłoń i dźwignęła się z siedziska. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Rich drgnął, obrócił się na bok i spał dalej. Jessica czuła pulsowanie w głowie, a mimo to była wyjątkowo ożywiona, jak chyba ani razu w ciągu minionych dwóch dni. Podeszła po cichu do stołu, zdmuchnęła świece i na palcach ruszyła ku drzwiom. Tuż przed nimi zawróciła jeszcze do sofy, pochyliła się nad Richem i pocałowała go delikatnie w pokryty kilkudniowym zarostem policzek.

– Jeszcze raz dziękuję – szepnęła mu do ucha, na co on mruknął cicho. Ona zaś wymknęła się z pokoju.

Schodzili coraz niżej do lądowania. Pod nimi rozpościerała się pagórkowata przestrzeń usiana na przemian bujnym tropikalnym lasem i rozległymi polami. Drzewa i zabudowania rzucały półdługie cienie.

Kilka minut później dotknęli wreszcie ziemi. Kandydat na pilota całkiem nieźle dawał sobie radę z tym manewrem. Udowodnił to już podczas wcześniejszych międzylądowań. Na ile Helen zdołała się zorientować, lotnisko było niewielkie – tylko jeden pas, żadnych ogrodzeń, ani jednego samolotu poza ich maszyną.

Gdy tylko maszyna się zatrzymała, Eugene od razu zerwał się z fotela. Pilot wyszedł z kokpitu, otworzył drzwi i spuścił schodki, po czym dyskretnie stanął im na drodze.

– Pieniądze na zewnątrz – powiedziała Helen, stosując się do wcześniejszych wskazówek Eugene’a.

Mężczyzna spojrział na nią sceptycznie, ponieważ przed samolotem nikt nie czekał. Do kabiny wdzierało się już gorące i wilgotne powietrze.

Pilot zszedł pierwszy i zatrzymał się u podnóża schodków. Helen wraz z Eugene’em ruszyli za nim. Gdy byli już na dole, wręczyła mu resztę ustalonej kwoty.

– Środki bezpieczeństwa – wyjaśniła niewinnie. – Nikt nie musiał wiedzieć, że mieliśmy ze sobą całą sumę.

Jonathan Green wziął od niej rulon banknotów, skinął głową i przeliczył. Następnie pożegnał się, dotknąwszy palcami daszka czapki.

– Było mi bardzo miło – powiedział. – Okienko odprawy jest tam – wskazał jeszcze, po czym uciekł z żaru lejącego się z nieba do klimatyzowanej kabiny jeta.

– Co teraz? – spytała Helen.

Eugene kiwnął ręką. Sprzed niedużego budynku terminalu zmierzała właśnie w ich kierunku ciemna limuzyna. Po chwili zatrzymała się przed nimi. Kierowca w kolorowej koszuli z krótkimi rękawami wyskoczył natychmiast, okrążył auto i otworzył im drzwi. Gdy Helen wsiadła za Eugene’em do środka, stwierdziła z ulgą, że wewnątrz jest klimatyzowane.

Szofer przejechał obok miniterminalu, przypominającego raczej średniej wielkości dworzec kolejowy, i skręcił w ulicę.

– Żadnych formalności wjazdowych? – spytała Helen.

– Trzeba wiedzieć, z kim wcześniej porozmawiać – wyjaśnił Eugene. – Mimo to lepiej nie daj się nikomu przyłapać ze swoim paszportem bez wizy.

Limuzyna sunęła z umiarkowaną prędkością przez zakurzone ulice dzielnicy składającej się z nędznych parterowych lub co najwyżej jednopiętrowych domów, pomiędzy którymi szwendały się zapuszczone psy, bawiły się grupki dzieci o spalonej słońcem skórze i kruczoczarnych włosach oraz rosły bujne tropikalne rośliny. Przedpotopowe samochody i motocykle zdawały się najpopularniejszymi środkami lokomocji, wśród nich od czasu do czasu błysnął jakiś nowszy model. Ich kierowca nie odzywał się ani słowem.

– Skąd on wiedział, że przyjedziemy? – dociekała Helen.

– Dałem znać jeszcze z domu, żeby ktoś mnie odebrał.

– Po co musiałam przyjechać z tobą?

– Nie musiałaś. Już nie pamiętasz? Ale cieszę się, że to zrobiłaś. Podróżujące samotnie dziecko zbytnio rzucałoby się w oczy. I nie byłoby to dla niego bezpieczne.

Poprzedniej nocy w New Garden oraz podczas porwania prezydent Eugene nie wydawał się raczej bezbronny i wylęknięty.

– Jak go poinformowałaś?

– Nasza firma go przysłała. Dzięki Jill korzystam z kanałów komunikacji, które nie są znane Winthorpe'owi, Pishcie i ich ludziom.

Helge wczytywał się w materiały dotyczące firmy, którą Santira zamierzała kupić. Za małymi okienkami samolotu nad Ameryką Południową rozciągało się nieskazitelnie błękitne niebo. Micah usiadł naprzeciw niego i podał mu kilka spiętych ze sobą wydruków.

– Na razie tyle znaleźliśmy o Eloxxy. – Następnie szef bezpieczeństwa otworzył swój egzemplarz i dodał: – To lokalny wytwórca pestycydów, działa od siedemdziesiątego drugiego roku. Firma rodzinna, długo się broniła przed przejściem przez wielkie koncerny. Do których, nawiasem mówiąc, w latach dziewięćdziesiątych należał poprzednik Santiry.

– Czyli jeszcze przed moją kadencją – zauważył Helge, kartkując dokumenty bez szczególnego zainteresowania.

– Od chwili powstania żadnych godnych uwagi nowych opracowań – kontynuował Micah. – Również po przejściu sterów przez drugie pokolenie. Cztery lata temu nad firmą zawisła groźba bankructwa. W końcu trzy lata temu spadkobiercy sprzedali to, co jeszcze pozostało. Nabywcą była fikcyjna spółka z Kajmanów, która z kolei należy do innych udziałowców. Na razie nie udało się ustalić żadnego fizycznego właściciela.

– W tych okolicznościach pewnie postępowałbym identycznie – powiedział Helge. – Też bawiłbym się w chowanego. – To, co usłyszał, potwierdzało jedynie jego przypuszczenia, że natrafili na twórcę tajemniczych superorganizmów.

– Robi się ciekawiej, gdy docieramy do ważniejszych osób w firmie. Prezesem jest niejaki Alonso Gimp, Brazylijczyk. Przejęty jeszcze od poprzedników.

Helge rzucił okiem na jego życiorys.

– I co niby jest w tym ciekawego?

– Nie chodzi mi o niego – wyjaśnił Micah. – Poza nim jest kierownik sprzedaży Eduardo Palao, też Brazylijczyk, z którym jeszcze przed wylotem umówiliśmy się na spotkanie, żeby mieć pretekst do złożenia wizyty. Wcześniej pracował u dystrybutora pestycydów, nasion i innych rzeczy. Ale jego też możemy sobie darować. Naprawdę interesujący jest kierujący sekcją badań i rozwoju Rand Levinson, Amerykanin.

Po półgodzinnej jeździe przez miasto auto zatrzymało się przed rozległym parterowym budynkiem. Nie był zbyt nowoczesny, ale i tak prezentował się lepiej od wszystkiego, co Helen widziała po drodze. Na jego tyłach rozciągały się pola i łąki. Na części z nich wznosiły się pokryte folią konstrukcje, coś w rodzaju szklarni.

Szofer otworzył im drzwi. Wysiedli. Tu powietrze było jeszcze bardziej wilgotne niż w okolicach lotniska. Unosił się w nim zapach słodkawych i obcych przypraw oraz ziemi i dymu z lekką nutą zgnilizny.

Eugene ruszył pierwszy. Znalazłszy się w recepcji, z dużą pewnością siebie oznajmił siedzącej za ladą kobiecie:

– Proszę powiedzieć Jill, że przyjechał Gene. Ona czeka na mnie.

Na nosie recepcjonistki tkwiły mało dyskretne okulary. Kobieta nie wyglądała na zaskoczoną. Bez ociągania przekazała informację przez telefon, po czym poprosiła Helen i Eugene'a, aby spoczęli na sfatygowanej kanapie w rogu. Helen marzyła o prysznicu. Ledwie zdążyli usiąść, w korytarzu prowadzącym w głąb budynku pojawiła się istota, jakiej nigdy by się tu nie spodziewała.

Bo oto zmierzała ku nim smukła blondynka o figurze modelki, która spokojnie mogłaby zdobić okładki najbardziej luksusowych magazynów. Coś w jej postaci jednak Helen drażniło. Trudno było określić, ile mogła mieć lat – może czternaście, ale równie dobrze dwadzieścia. Wzrost i rozwój fizyczny przemawiałyby raczej za drugą opcją, z kolei jej ruchy nie pasowały do tego obrazu. Bo kobieta świadoma swego oddziaływania na innych ludzi, a zwłaszcza na mężczyzn, niewątpliwie szłaby inaczej. To stworzenie tymczasem mimo rozwiniętej fizyczności poruszało się jak dziecko. Twarz dziewczyny wydawała się Helen skądś znajoma. Z jej miny bynajmniej nie wynikało, że cieszy się z obecności Eugene'a i jego towarzyszk. Wręcz przeciwnie.

Dostrzegłszy ją, Eugene zerwał się z kanapy, a za nim wstała także Helen.

Modelka przewyższała ją o pół głowy, a chłopiec sięgał jej zaledwie do piersi. Otworzywszy szeroko oczy, odchylił głowę i wpatrzył się w nią jak młodszy brat. To musiała być Jill. Oboje, mimo jednakowego wieku, stanowili bardzo różnicowaną parę. I prawdopodobnie mimo wszystko połączoną szczególną więzią.

– Jasna cholera, Eugene – prychnęła Jill na powitanie całkiem dorosłym głosem. – Coś ty najlepszego zrobił? – Z wściekłością odrzuciła ręką włosy do

tyłu.

Helen widziała ten gest u dziewczynki na reklamowym wideo doktora Bena. To ona była tamtym cudownym dzieckiem, które tak ją oczarowało! Tylko tam nadano jej imię Sarah.

Pomimo pochmurnej twarzy i złego humoru oczarowała Helen na nowo. W całej swej okazałości, taka wyrosnięta, fascynowała ją jeszcze bardziej.

– A kim pani jest? – spytała dziewczyna opryskliwie.

– Helen Cole.

– To jedna z klientek Stana – wyjaśnił Eugene.

Jill spojrzała na brzuch Helen.

– Chyba raczej od niedawna – zauważyła. – Po co ją tu przywlokłeś? – zwróciła się do chłopaka. – Znowu potrzebowałaś mamusi? – Następnie powiedziała do Helen: – Odgrywa twardziela, a w rzeczywistości... No dobrze. Domyślam się, że zostanieie tutaj jakiś czas. Będziecie musieli. Oficjalnie Eugene jest moim kuzynem. Pani jest jego matką i moją ciotką. – Wzruszyła ramionami. – W końcu musimy mieć jakieś wytłumaczenie waszej obecności tutaj. Chodźcie – rzuciła, po czym ruszyła korytarzem, z którego się wyłoniła. – Co się stało?

I Eugene zaczął gorączkowo trajkotać. Jak młodszy braciszek, w którego nagle się zamienił obok tej dużej dziewczyny, niemal kobiety, przynajmniej pod względem fizycznym. Opowiadał o przybyciu do New Garden prezydenckiego zespołu specjalnego i wkrótce potem samej prezydent. I o tym, że wszyscy już wiedzą o małej Kendrze. Tego Helen nie zrozumiała.

Jill, mijając po drodze szereg zamkniętych pomieszczeń, doprowadziła ich do szklanych drzwi na samym końcu korytarza. Za nimi ukazała się bardziej nowoczesna i przestronna strefa. I znowu wiele drzwi. Eugene wciąż jeszcze opowiadał, podczas gdy Jill otworzyła jedno z nich i wpuściła ich do jakiegoś laboratorium. Poza nimi nikogo w nim nie było. Eugene dokończył swoją relację.

– Świetnie – podsumowała Jill sarkastycznie. – Czyli to tylko kwestia czasu, kiedy nas tu znajdą.

– Byliśmy ostrożni.

Helen przypomniała sobie, że w ośrodku szkolenia lotniczego w Tijuanie ktoś jednak przeczytał ich nazwiska. Czy Mercédès zapamiętała je sobie? Oraz ich twarze? Może zarejestrowały ich kamery monitoringu? Według niej Eugene był sporym optymistą.

– Jak daleko jesteś? – spytał chłopiec Jill.

– A co ty sobie wyobrażasz!? Nadal na początku – huknęła na niego

dziewczyna. – Zaczęłam dopiero trzy dni temu. Z konieczności.

– Już była najwyższa pora.

– Wcale nie, do cholery! Przez tę swoją niecierpliwość naraziłeś cały projekt! Nie mówiąc już o... – Nie dopowiedziała tego, co zamierzała, tylko pokręciła głową i zerknęła na Helen. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę przeprowadziłeś te swoje cholerne bzdury! Zniszczyłeś wszystkie nasze starania! – parsknęła. – Od lat pracujemy nad prawdziwymi udoskonaleniami dla ludzi, tak aby pewnego dnia uważano nas za błogosławieństwo, a nie za zagrożenie! A ty co robisz? – Gdy z purpurową twarzą pochyliła się ku niemu, zamarł, chyba trochę wystraszony. – Czy zdajesz sobie sprawę, co w ten sposób wykazałeś? Że takie dzieci w niczym nie są lepsze! Wobec tego zwykły człowiek zada sobie pytanie: po co te wszystkie udoskonalenia? Po to, żeby móc zabijać w jeszcze bardziej wyrafinowany sposób? To naprawdę superpostęp!

Zabijać? Co? Kogo? Jill chyba zapomniała o obecności Helen, której zupełnie nie podobała się ta dyskusja.

– Bez tego nigdy byś nie zaczęła – odparował Eugene.

Helen bardzo chciała wiedzieć, o czym oni mówią. Bez czego?

– Oczywiście, że bym zaczęła. Kiedy nadeszłaby odpowiednia pora.

– Właśnie nadeszła.

– Wcale nie!

– Tak!

– Nie!

– Właśnie, że tak!

Przed Helen stało dwoje awanturujących się dzieci. Bezradnie śledziła wymianę ciosów między nimi, aż w końcu poczuła, że ma dość.

– Spokój! – krzyknęła. – Co prawda nie mam pojęcia, o co chodzi, ale wkurzacie mnie! – Dwie rozpalone twarze zwróciły się ku niej z wyrazem osłupienia. – Jestem waszą matką i ciotką, już zapomnieliście?

Oboje spojrzeli po sobie. Można było nawet odnieść wrażenie, że trochę się zawstydzili. Po chwili Jill wybuchnęła śmiechem.

– Ona ma rację – powiedziała. – To śmieszne.

– Niezupełnie – zaprotestowała Helen. – Kto albo co zostało zabite czy będzie zabite?

– Nic – odpowiedziała Jill, kręcąc głową. – To była tylko taka przenośnia. Najlepiej, żebyście teraz pojechali do hotelu. Do tego samego, w którym i ja się zatrzymałam. Porozmawiamy wieczorem. Teraz mam jeszcze dużo do zrobienia.

– Nie będziesz tego robić beze mnie – oświadczył Eugene. – Chyba nie

sądzisz, że ci na to pozwolę? Gdzie mogę pracować? Potrzebny jest mi stół laboratoryjny. Gdzie są inkubatory?

– Już dość napsułeś – oświadczyła Jill. – Niczego tu nie dotkniesz.

– We dwoje pójdzie nam szybciej.

– Ciekawe z czym? – odparowała. – Nawet o tym nie myśl. Model Eugene’a był prototypem. Tak samo jak model Jill. I więcej już ich nie będzie.

Helen zaczynała się domyślać, o co chodzi w tej ich dyskusji. Czyżby to, co usłyszała od chłopaka w samolocie, było prawdą?

Nagle Jill zwróciła się do niej:

– Helen, na jakie właściwości zdecydowała się pani u swojego dziecka?

– Ja... ja...? – zaczęła się jąkać. Wydruk leżał w ich pokoju w San Diego. – Eee... na zdolność – gorączkowo szukała w pamięci – empatii, wysoki potencjał poznawczy, wysoką szybkość reakcji, ograniczone zapotrzebowanie na energię... eee... wzrost około dwóch metrów w przypadku chłopca, metr osiemdziesiąt u dziewczynki...

– Od razu dwoje! – ucieszyła się Jill.

Było tego jeszcze więcej, ale w tej chwili Helen nie mogła sobie już nic przypomnieć. Czyli nawet nie wiedziała, jakie chciałyby mieć dziecko! Nagle niczym błyskawica przemknęło jej przez głowę wspomnienie wizyty u doktora Bena. Ważne, żeby było zdrowe – to wszystko, czego sobie wtedy życzyła! Miała wrażenie, że to zdarzyło się dawno, dawno temu.

– To jest jeszcze bardzo świeże – próbowała się wytłumaczyć. – Nie zapamiętałam wszystkiego.

Nagle zatęskniła za Gregiem. Tym sprzed tygodnia. Sprzed San Diego. Sprzed kuszącej wizji roztoczonej przez doktora Bena.

– No widzisz – wtrącił Eugene. – Oni wszyscy i tak chcą tego samego.

– Ale przecież nie o to chodzi – sprzeciwiła się Jill. – Twoje umiejętności mają się do tych, w jakie będą wyposażone dzieci Helen, jak telefon stacjonarny do smartfona. Chociaż oba urządzenia niewyobrażalnie górują nad dawnym telegrafem i oba służą do komunikacji, mimo to istnieje między nimi gigantyczna różnica! Dostrzeż to wreszcie!

Dopiero teraz Helen zrozumiała sens dyskusji obojga w całej jej doniosłości. Oni prowadzili taki sam spór jak ona z Gregiem zaledwie kilka dni temu! Czy następne pokolenie ma być wyposażone w lepsze predyspozycje niż oni? Tyle że w tym przypadku następne pokolenie będzie się pojawiać co kilka lat. Podobnie jak dziś dzieje się z komputerami i telefonami komórkowymi. Ona sama zmienia smartfony co dwa lub trzy lata. A co zrobić z przestarzałymi modelami

człowieka? Na przykład po trzech latach? Nagle zrobiło się jej słabo, musiała usiąść. Bardzo chciała, aby ktoś ją przytulił.

– Muszę zawiadomić męża, że nic mi się nie stało – powiedziała zmęczonym głosem.

Tamtych dwoje z irytacją przerwało dyskusję.

– A gdzie on jest? W New Garden? – spytała Jill.

– Chyba tak.

– Nie wolno ci tam dzwonić, bo mogliby nas wyśledzić. Możemy co najwyżej wysłać maila z jednorazowego adresu. – Powiedziawszy to, stanęła przed komputerem. – Proszę – rzuciła niecałą minutę później.

– Szybka jesteś – zauważyła Helen.

– Często potrzebuję takich adresów. Są przygotowane.

Helen usiadła przed monitorem.

– Tylko nie pisz niczego, po czym dałoby się rozpoznać, gdzie i z kim jesteś. Zresztą i tak sprawdzę twoją wiadomość, bo tylko ja mogę ją wysłać.

Ktoś zapukał do drzwi. Jill podeszła i otworzyła je. W wejściu stał wysoki, chudy mężczyzna. Widząc jego pytające spojrzenie, dziewczyna wyjaśniła, że odwiedziła ją ciotka z kuzynem, po czym przedstawiła Helen i Eugene'a Randowi Levinsonowi. Gość najwyraźniej zadowolony z tłumaczeniem Jill. Przytłumionym głosem powiedział coś, co, sądząc po tonie, było krótkim raportem, a potem jeszcze o coś spytał.

Dziewczyna odwróciła się do nich i rzuciła:

– Zaraz wrócę. Niczego nie dotykajcie!

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, Eugene natychmiast zaczął chodzić między stołami, założywszy ręce na plecy jak skupiony mały profesor. Tu i tam czegoś dotknął od niechcenia, coś wziął do ręki, obrócił. Helen była ciekawa, na jak długo podziela na niego autorytet jego starszej siostry, za jaką uważała Jill. Na dobrą sprawę nie wiedziała, dlaczego od czasu ich wspólnej podróży coraz bardziej czuła się odpowiedzialna za jego zachowanie. Przecież nie powinna. A może jednak? Kto tu jest odpowiedzialny za kogo? I za co?

Zacząła pisać.

Jill szybko przebiegła wzrokiem po niezbyt długim mailu.

– Okej – oznajmiła, po czym pochyliła się nad klawiaturą i nacisnęła „wyślij”. Zanim wróciła, Helen próbowała zrobić to sama, jednak na próżno. Również teraz dłonie Jill na tyle skutecznie zakrywały klawisze, że nie sposób było dostrzec, które uruchamiała.

Po wysłaniu maila dziewczyna oparła się o brzeg stołu obok Helen.

– Jakie masz plany? – spytała ją.

Helen sama chciałaby znać odpowiedź na to pytanie. Podczas lotu dużo nad tym myślała. Ale nic nie wymyśliła. Chciała chronić swoje dzieci. Urodzić je. Wychować. Ale czy wciąż uciekając?

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić – odpowiedziała.

– Chcesz zachować dzieci przy sobie? Zakładając, że komórki jajowe się zagnieżdżą – dodała Jill.

– Raczej tak. Owszem.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że rząd na razie nie będzie chciał na to pozwolić? Że prawdopodobnie przez całe lata będziesz co najmniej pod obserwacją...

– Eugene już mi przedstawił najgorsze scenariusze – przerwała jej Helen.

– Potrafisz sobie wyobrazić, że będziesz umiała tak żyć? – spytała Jill. – Albo że możesz zostać nawet zamordowana?

– Oczywiście, że nie! Ale przecież nie posuną się do tego!

– Niby dlaczego? Rządzący mordują i z bardziej błahych powodów. Także w państwach demokratycznych. Oni uważają nas i twoje dzieci za zagrożenie. Przecież gdyby było inaczej, nie zajęliby New Garden i nie odcięliby go od świata. Na razie możesz zostać tutaj – oznajmiła. – Zatrzymasz się w tym samym hotelu co ja i Eugene. Musimy tylko rozwiązać kwestię wizy. Ale to nie jest wielki problem. O pieniądze się nie martw. Proponuję, żebyś przez najbliższe dni zastanowiła się nad wszystkim w spokoju. – Popatrzyła na Helen ze współczuciem, jak mała siostrzenica. – Jeśli poczujesz tęsknotę za domem, powiedz mi. Nie możemy dopuścić do tego, żebyś zrobiła coś nieprzemyślanego i się zdradziła. Bo wtedy nawet się nie obejrzysz, jak cię aresztują i od razu stąd odesłają. A o tym, co by cię mogło spotkać w Stanach, już mówiliśmy.

– Bez obawy – odpowiedziała Helen. – Nie zamierzam wydać sama siebie. – Miała świadomość, o co tak naprawdę chodziło w tej rozmowie. – Ani was.

– Na razie nie – napomknęła Jill. – Ale to się może zmienić.

Helen zastanowiła się nad jej słowami.

– Gdyby miało się tak stać – rzekła – poinformuję was odpowiednio wcześniej.

Jill zmierzyła ją wzrokiem z zaszępioną miną, po czym pokiwała głową.

– Czy Greg będzie mógł odpowiedzieć na mojego maila? – spytała jeszcze Helen. – I czy mogłabym wziąć tu gdzieś prysznic?

Jill zaprowadziła Helen przez kilka korytarzy do małej łazienki. Po drodze wyjęła z jakiegoś schowka biały T-shirt i laboratoryjny kitel. Obie rzeczy położyła na

małym stoliku obok prysznic.

– Nie mam tu nic innego do przebrania. W hotelu pożyczę ci swoje rzeczy, a jutro postaramy się o coś więcej. Trafisz z powrotem do laboratorium?

– Chyba tak.

Helen wykąpała się starannie, po czym włożyła świeży T-shirt i swoje spodnie, a na to narzuciła biały kitel, który okazał się trochę za duży, zdjęła go więc i przerzuciła go sobie przez ramię. Drogę do laboratorium, prowadzącą przez staroświeckie korytarze wyłożone wykładziną dywanową, w których pachniało obcymi środkami czystości i odświeżaczami powietrza, znalazła bez problemu. Większość drzwi była zamknięta, ale Helen raczej nie ciekawiło, co znajduje się za nimi. Przez te, które pozostały otwarte, widziała zwyczajne biura z niezbędnym wyposażeniem albo jakieś pakamery.

Eugene siedział za stołem i manipulował przy jednym z urządzeń, których Helen w ogóle nie rozpoznawała. Nie zwracał na nią uwagi. Rozejrzawszy się bezradnie, znalazła sobie w końcu miejsce, usiadła i zaczęła się mu przyglądać. Niedługo potem przyszła Jill.

– Do jasnej cholery, Eugene! – krzyknęła ze złością, widząc, że chłopak jednak coś robi. – Przecież ci mówiłam...

– Nie myśl sobie, że masz tu więcej do powiedzenia tylko dlatego, że dostałaś od naszych... – zawahał się, zanim z pogardą wypuścił kolejne słowa – rodziców? twórców?... zmienione geny wzrostu – przerwał jej gwałtownie. – To jest nasz wspólny projekt, a nie tylko twój! Wolno mi tutaj pracować tak samo jak tobie!

– Ach... niech cię diabli! – Jill machnęła ręką ze zniechęceniem. – Żebyś chociaż robił wszystko tak samo jak ja – sarknęła dalej.

– Potrzebne mi są kurze jajka – powiedział, nie podnosząc wzroku.

– To sobie je zdobądź!

– To jest nasza firma – przypomniał jej z furią Eugene. – Przysięgam ci, że jeśli będziesz próbowała mnie wygryźć, jestem gotów to wszystko wysadzić w powietrze!

– Już choćby ta odpowiedź pokazuje, że to ja powinnam mieć ostatnie słowo. Nie tylko z powodu paru genów wzrostu.

– Zawsze miałaś się za kogoś lepszego – odparował. Jego nienawistne oczy ciskały na nią gromy.

Jill pokręciła głową z rezygnacją i westchnąwszy, powiedziała:

– Niepojęte. Co to ma być? Chodź, coś ci pokażę. – Machnęła na niego ręką.

Niewiele myśląc, Helen poszła za nimi.

– Ja też chcę zobaczyć – rzuciła.

– Proszę bardzo – odparła Jill.

Wyszli z laboratorium do nowoczesnego łącznika.

Jill otworzyła kolejne drzwi, za którymi – jak się okazało – znajdowała się śluza przed następnymi drzwiami, tym razem przeszklonymi, nad którymi rzucał się w oczy ostrzegawczy napis: „Uwaga! Pomieszczenie sterylne!”.

Za szybą Helen ujrzała dziesięć osób w białych kombinezonach, papierowych czepkach, maseczkach na ustach i dużych okularach z pleksiglasu. Wszyscy stali przy dwóch długich stołach. Przyjrząwszy się bliżej, dostrzegła przed każdym z laborantów prostokątną podstawkę, w której w kilku rzędach znajdowało się co najmniej sześćdziesiąt kurzych jaj. Ubrani na biało ludzie mechanicznie opuszczali dłonie nad jednym jajkiem za drugim. W palcach trzymali małe pipety.

– Tu przygotowywana jest inkubacja – wyjaśniła Jill. – Do specjalnych jajek, pozbawionych patogenów, wprowadzane są tak zwane wirusy zasiewowe. Jajka dostajemy od wybranych dostawców. Sprowadzenie ich niemal na koniec świata to niemały wyczyn. Ale tutaj nikt się nami nie interesuje.

– Musisz przedstawić mnie laborantom – zażądał Eugene, który aby zajrzeć przez szybę do środka, musiał stanąć na palcach.

– Jak skończą to, co mają do zrobienia, i wyjdą stąd – powiedziała Jill. Wskazując na widoczne przed nimi wnętrze, dodała: – Przez tamte tylne drzwi po lewej wchodzi się do komory lęgowej.

Opuściwszy śluzę, znaleźli się znowu w łączniku, a Jill otworzyła drzwi po lewej, za którymi ukazał się imponujący widok.

Obok siebie stały w rzędach dziesiątki wysokich szklanych szaf szczelnie wypełnionych regałami pełnymi kurzych jaj. W środku było ciepło i duszno, w powietrzu unosił się pomruk inkubatorów.

– Jajka wylęgają się tutaj przez kilka dni, dopóki nie namnożą się w nich wirusy. W zależności od rodzaju wirusa trwa to od trzech do sześciu dni. Nawiasem mówiąc, w taki sam sposób wytwarza się wiele szczepionek, na przykład przeciw wirusom grypy – wyjaśniła Jill Helen.

– Czy wasi laboranci wiedzą, co wy tu produkujecie? – spytała Helen.

– Są przekonani, że tak. Tyle że to nie zawsze się zgadza z rzeczywistością. Albo zgadza się jedynie częściowo.

Kochany Greggo,

chcę ci powiedzieć, że u mnie wszystko dobrze. Po naszej kłótni byłam bardzo zła i czułam się zraniona. Nadal jestem ogromnie zawiedziona. Być może dowiedziałeś się, że opuściłam New Garden. Nie mogę Ci napisać, gdzie się znajduję. Tej wiadomości podobno nie da się wysledzić (niech więc pani sobie daruje, pani Roberts). Odezwę się znowu, kiedy będę wiedziała, co dalej.

Helen

Greg odetchnął z ulgą.

– Czy ten mail rzeczywiście może być od pana żony? – spytała Jessica, stojąc obok niego i wpatrując się w monitor.

– Tak – wykrztusił. – Greggo. Czasami tak się do mnie zwracała, jeśli zachowałem się niewłaściwie. Wiemy o tym tylko my i kilkoro naszych przyjaciół.

Już dawno nie używała tego określenia. Bynajmniej nie dlatego, że niczego nie przeskrobał. Jakoś oboje o nim zapomnieli. Kiedyś zwykle dawała mu w ten sposób do zrozumienia, że jest na niego zła. Ale jednocześnie gotowa wybaczyć. Czy to nadal obowiązuje?

Na końcu po prostu „Helen”. Żadnego „całuję”. Czy „tęsknię”.

Tylko „Helen”.

– A ten adres mailowy New Garden znają jedynie jego mieszkańcy, jak na przykład Eugene – powiedziała Jessica. – To by się zgadzało. Może pańska żona jest taka tajemnicza nie z własnej woli. Czy nie widzi pan w tej wiadomości jakichś ukrytych wskazówek? Sugestii, gdzie się znajduje? I czy rzeczywiście jest z nią Eugene?

Greg ponownie przeczytał krótki list. I jeszcze raz. Lecz nie potrafił skupić się na niczym innym poza świadomością, że rozczarował Helen. „Kiedy będę wiedziała, co dalej”. Ale dalej z czym? Z jej ciążą? Z ucieczką? A może ona została porwana? Greg poczuł mocne ukłucie w żołądku na myśl o tym, że mogło jej chodzić o ich relację. Że chciała mieć dzieci bez niego.

– Greg? – Jessica Roberts wyrwała go z odrętwienia.

Utkwił wzrok w monitorze. Ukryte wskazówki? To nie w stylu Helen. Czytając maila po raz kolejny, usiłował się skoncentrować i mimo wszystko je znaleźć.

Miał nadzieję, że może odkryje chociaż jedną. Która pozwoliłaby mu przybliżyć się do niej.

– Nie mogę niczego się dopatrzeć – przyznał wreszcie.

Jessica Roberts kazała mu iść do swojego pokoju, z którego miał się nie ruszać, aby być w każdej chwili do dyspozycji. Kiedy otworzył drzwi, stanął twarzą w twarz z Richardem Allenem, który wszedł do środka, gdy tylko on wyszedł.

– Dzień dobry!

– Witaj! – odpowiedziała Jessica. – Odpocząłeś trochę?

Oboje doskonale wiedzieli, czym mógłby, a może powinien był skończyć się wczorajszy wieczór. Jessica postanowiła jednak, że pozostanie tym, czym był: drobną ucieczką od obłądu.

– Zasnęliśmy! – roześmiał się Rich.

– No i świetnie – odpowiedziała z uśmiechem, biorąc go pod rękę, chociaż zdawała sobie sprawę, że w tym miejscu i w tym momencie musiało to wyglądać wyjątkowo nieprofesjonalnie. Wyciągnęła go za drzwi.

– Śniadanie? – spytała.

– Ale dzisiaj musimy niestety poprzestać na kantynie. Stan nie ma na składzie świeżych bułeczek.

– Zawsze powtarzam: nie jest ważne...

– ...miejsce randki, ważna jest sama randka.

Wczesnym popołudniem falcon wylądował w Montes Claros.

Pogoda okazała się wyjątkowo przyjemna jak na tę szerokość geograficzną. Bezchmurne niebo, lekki wiatr, niecałe trzydzieści stopni. Lotnisko było mikroskopijne, maszyna zaparkowała obok kilku innych jetów i różnych jednopłatów.

W terminalu spytano ich o paszporty. Jako Szwed, Niemiec i Anglik nie potrzebowali wiz. Kilkadziesiąt osób czekało na jeden z nielicznych regularnych rejsów narodowego przewoźnika, zapowiadany mało zrozumiale, ale tym hałaśliwiej przez głośniki.

Przed budynkiem stała zarezerwowana w Avisie limuzyna, do której zorganizowano im także kierowcę. Był ubrany w jasne spodnie i jasną koszulę z widocznymi zagniotkami po prasowaniu. Gdy pasażerowie wsiedli już do środka, wręczył im po dwa zwykłe telefony komórkowe.

– Zgodnie z życzeniem – powiedział. Była to przyjęta ostatnio zasada postępowania wielu biznesmenów podróżujących po świecie w interesach: nie korzystać za granicą z własnych telefonów czy komputerów umożliwiających identyfikację tożsamości użytkowników i monitorowanie ich poczynąń.

Asystent Helgego, używając jakiegoś pretekstu, ustalił pod fałszywym nazwiskiem spotkanie z kierownikiem sprzedaży Eloxy. Gdy wszyscy trzej znajdą się już na miejscu, na pewno uda im się namówić na rozmowę także ważniejsze osoby w firmie. Helge wiedział, że musi koniecznie pozyskać potencjał tego tajemniczego przedsiębiorstwa dla Santiry, która wzbogacona o know-how na równie imponującym poziomie narobi porządnego zamieszania na rynku. Nie! Wytrąci wszystkim atuty z ręki.

Kochana Helen,

bardzo Ci dziękuję za wiadomość! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się o Ciebie martwiłem! Wybacz mi, proszę, to, co zrobiłem – sytuacja po prostu mnie przerosła i straciłem głowę.

Jeszcze jestem w New Garden, ale mówią, że jutro możemy już jechać do domu. Mike miał rację. Melduj się, proszę, gdziekolwiek jesteś. W każdej chwili jestem też gotów pojechać po Ciebie, jeśli mi tylko powiesz dokąd. Wydarzenia ostatnich dni wyprowadziły nas oboje z równowagi. Najlepiej by było porozmawiać o tym w domu, poza tym w nim miałabyś najlepszą opiekę. Okropnie mi Ciebie brakuje i już nie mogę się doczekać, kiedy znowu wezmę Cię w ramiona!

Kochający Cię ponad wszystko Greg

– Uważają ciebie albo nas za idiotów? – spytała Jill. – „Jeśli mi tylko powiesz dokąd”. Co za prymitywy! Ale ten mail przynajmniej pokazuje, że nie znają naszego miejsca pobytu.

– O ile to nie jest podstęp, żeby uspić waszą czujność – wtrąciła Helen. – Bo potrzebują czasu, żeby wysłać tu ludzi i was wszystkich zgarnąć.

– „Was”? Jedziesz na tym samym wózku.

– Być może każdemu ta wiadomość mówi co innego – odpowiedziała Helen w zamyśleniu.

– To znaczy?

– Na przykład to zdanie: „Mike miał rację”. Nie ma do niego żadnego wyjaśnienia. No i przede wszystkim nie pasuje do reszty.

– Kto to jest Mike? I w czym miał rację?

– To inny klient, którego poznaliśmy w New Garden. Przyjechał z żoną. Kiedy całe osiedle zostało zablokowane przez wojsko i policję, obawiał się tego samego co wy. Że nieprędko stamtąd wyjdziemy. Albo w ogóle nigdy. – Wskazała na początek wiadomości. – A tu Greg pisze, że jutro mogą wrócić do domu. Czyli Mike raczej nie miał racji. Więc po co to wtrącenie?

– Może to przejęzyczenie?

– Nie sędzę.

– Czyli uważasz, że w tym jest ukryta wiadomość od Grega? Że ta informacja o powrocie do domu nie jest prawdziwa? Niewykluczone...

Jill otworzyła dodatkowe okno na swoim laptopie. W agregatorze wiadomości ustawiła sobie przegląd aktualizowanych na bieżąco informacji o blokadzie osiedla w San Diego. Doniesienia na ten temat nie zajmowały już czołowych miejsc w najważniejszych mediach.

– Według oficjalnych źródeł w New Garden pojawił się zaraźliwy wirus – wyjaśniła Jill. – I z tego powodu osiedle objęto czasową kwarantanną. Jednocześnie lokalne media podają, że rodziny osób zatrudnionych na zamkniętym osiedlu oraz w tamtejszej szkole od wczoraj nie mają żadnego kontaktu ze swoimi bliskimi. Władze tłumaczą to środkami ostrożności, które mają zapobiec szerzeniu się plotek i rozsiewaniu niepokoju wśród mieszkańców miasta. No rzeczywiście, tajemniczość to sprawdzony sposób, aby zapobiec plotkom – zauważyła drwiąco. – Tak czy owak, na pewno znajdzie się niejedno lokalne medium, które od razu poinformuje, czy internowani opuścili osiedle. Trzeba to dokładnie śledzić. Niewykluczone, że ten wasz Mike miał jednak rację. Ja też tak uważam.

Wygląd budynków należących do Eloxy nieomylnie zdradzał, z jakiego okresu pochodziły: z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Stanowiły mieszaninę elementów folkloru brazylijskiej prowincji, taniego naśladownictwa Bauhausu i pragmatyzmu. Położone na zachodnich obrzeżach Montes Claros graniczyły z polami. Prawdopodobnie testowymi. Na półkuli południowej późne lato trwało bardzo długo, a jesień oznaczała jedynie powolne obniżanie się temperatury do znośnego poziomu. Tutejsze pola zawsze zdobił jakiś odcień zieleni.

Nowi właściciele nie wzbogacili substancji budowlanej o żadne wielkie inwestycje. Chętniej lokowali pieniądze w wysokiej jakości fachowcach. Na firmowym parkingu stały niepozorne samochody średniej klasy, kilka pick-upów i samochodów rodzinnych. Nic nie wskazywało na finansowe sukcesy, jakie mogłyby wynikać z tego rodzaju rezultatów badawczych. Trudno się dziwić, skoro wszystko rozdawano.

Za przeszklonymi drzwiami znajdowała się mało spektakularna recepcja. Siedziała w niej okrągława czterdziestolatka w okularach, których spiczaste oprawki nadawały jej wygląd kota. Kiedy Horst wyjaśnił, kim są, poprosiła obu, aby spoczęli na wysiedzianych czarnych skórzanych fotelach i kanapie, należących z pewnością jeszcze do pierwotnego wyposażenia.

W głąb budynku prowadził długi korytarz z pomarańczowymi płytkami na podłodze i fioletowymi kasetonami na suficie. Gdyby nagle wyszedł im naprzeciw mężczyzna o bujnych ciemnych bakach, z wąsikami, ubrany w koszulę w psychodeliczne wzory, superszeroką w barach marynarkę, spodnie dzwony

i w butach na podwyższonych obcasach, Helge nie zdziwiłby się ani trochę.

Daleko w korytarzu ktoś w białym laboratoryjnym kitlu przeszedł z jednych drzwi do drugich. Tuż potem z innych drzwi wyłoniły się dwie osoby zajęte rozmową. Chudy mężczyzna w wieku Helgego. Sądząc po fotografiach z materiałów Micaha, mógł to być Rand Levinson. Towarzyszyła mu atrakcyjna młoda kobieta. Bardzo atrakcyjna. I bardzo młoda. Helge widział to nawet ze swojego miejsca. Może to jego praktykantka. Żadne z nich nie nosiło dzwonów. Zatopieni w konwersacji oddalali się coraz bardziej, aż w końcu zniknęli z pola widzenia. Po chwili z kolejnych drzwi wyszły dwie kobiety w biurowych strojach i trajkocząc jak najęte, skręciły dwa pomieszczenia dalej. Dużo się tu działo. Nad parkingiem za oknem drgało rozżarzone powietrze.

Przystojny trzydziestopięciolatek, który przywitał ich kilka minut później, miał na sobie ciemny garnitur o modnym kroju, w którym nawet szczupli mężczyźni wyglądali jak serdelki w zbyt naciągniętym flaku. Lśniące białe zęby błyszcząły w miedzianozłotej twarzy, a ciemne loki, ujarzmione dużą ilością olejku, połyskiwały tłustawo.

– Eduardo Palao – przedstawił się, po czym każdemu gościowi po kolei mocno uścisnął rękę. – Proszę mówić do mnie Ed.

Usiedli w mało przytulnej salce konferencyjnej przy dosyć tanim stole, na środku którego stało kilka pustych szklanek oraz małych butelek z wodą i sokiem owocowym. Obok znajdował się telefon.

Helge od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy pański szef Alonso Gimp jest obecny? Albo może kierownik badań i rozwoju Rand Levinson? – Nie dał Edowi czasu na zadanie pytania ani sformułowanie jakiegokolwiek wymówki, lecz mówił dalej: – Posiadamy dowody, że z tej firmy wysyłane są do wielu krajów w różnych częściach świata organizmy zmodyfikowane genetycznie i są tam stosowane na szeroką skalę. Możemy iść z tym do odpowiednich władz. Bądź porozmawiać. Muszę bowiem przyznać, że chętnie poznałibyśmy ludzi, którzy opracowali te organizmy.

– Nie mam... zielonego pojęcia, o czym pan mówi – powiedział Ed.

– Bardzo możliwe – odparł Helge. – Dlatego właśnie chciałbym porozmawiać z osobami bardziej kompetentnymi. – Wskazał ruchem głowy na telefon. – Tak byłoby najwygodniej. Albo proszę od razu nas do nich zaprowadzić.

– Nadal nie...

– Ci państwo na pewno będą chcieli nas wysłuchać, może mi pan wierzyć.

Ed podniósł się z krzesła.

– Lepiej poinformuję ich osobiście.

Mężczyznę, z którym Ed niebawem wrócił do salki konferencyjnej, Helge rozpoznał natychmiast. To był Rand Levinson. Ten od ślicznej praktykantki. Nie przedstawiając się gościom, usiadł za stołem naprzeciw Helgego i Horsta. Był jeszcze chudszy, niż wydawało się z daleka, co nadawało mu ascetyczny, niemal kapłański wygląd. Spojrzeniem dał znak Edowi, który został przy drzwiach, aby zamknął je od zewnątrz. Następnie zwrócił się do nich:

– Jak więc widzę, nie mam do czynienia z przedstawicielami spółdzielni rolnej Recrop ze Springfield w Missouri, tylko z panami Jacobsenem i Pahlenem, prezesem zarządu i szefem działu rozwoju Santiry. Czego panowie sobie życzą?

– Nie da się nie zauważyć, panie Levinson, że odrobił pan pracę domową – odparł Helge. – Ale my też. Bawełna w Brazylii, kozy w Indiach, kukurydza w Tanzanii. Doskonale pan wie, o czym mówię. – Levinson nie zareagował. – Jeśli to wyjdzie na jaw, będzie pan musiał zwinąć cały interes.

– Czego panowie sobie życzą?

– Przede wszystkim prawdy. To wy opracowaliście te organizmy?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Helge przywołał na twarz swój przyjazny uśmiech.

– Pan chyba boi się podsłuchu! Okej. Nie macie w tym budynku bezpiecznego pomieszczenia?

Levinson sięgnął po telefon.

– Dajcie mi Keltysa – powiedział do słuchawki. Poczekał kilka sekund. – Potrzebujemy pana w specjalnej salkie konferencyjnej. – Rozłączył się. – To potrwa kilka minut – oznajmił.

Jaylen wręczył Jessice kilka wydruków, ale ona nie miała ani ochoty, ani czasu na żmudną lekturę, dlatego spojrzała na swojego współpracownika wymownym wzrokiem i poleciła:

– Opowiedz w skrócie!

– Helge Jacobsen – zaczął Jaylen. – Udało nam się dostać do części jego korespondencji, terminarza i planów podróży z ostatnich dni. Po rozmowach, których treści niestety nie znamy, ze współpracownikami w Afryce, próbujących tam zlokalizować GMO, zrezygnował z ustalonych spotkań na najbliższe dni i firmowym jetem udał się w kierunku Meksyku. Rozmawiała z nim pani tuż przed startem. Po międzylądowaniu w celu, jak się okazało, uzupełnienia paliwa ponad godzinę temu maszyna ostatecznie wylądowała w brazylijskim mieście Montes Claros.

Wskazał na wydruk mapy Brazylii. Wymieniona miejscowość leżała w centralnej części kraju, kilkaset kilometrów na północ od Rio de Janeiro i São Paulo.

– Jak ustaliliśmy, dzwoniąc na tamtejsze lotnisko, wynajęli miejsce postojowe dla swojego samolotu co najmniej na jedną noc. – Zatrzymał palec na mapie. – Montes Claros. W tym mieście musi być coś bardzo ważnego.

– Brazylia – powiedziała głośno Jessica. – Gdzie w Brazylii Santira odkryła nadzwyczajną bawełnę?

Szybko sprawdzali pozostałe materiały, które wisiały na dużej tablicy na ścianie i leżały porozrzucane na podłodze.

– Jest! – krzyknęła Jessica. – Mam! – Z zadowoleniem zaprezentowała mu wydruki mówiące o międzynarodowych odkryciach. – Minas Gerais. – Pola były zaznaczone na mapie. – Niecałe dziesięć kilometrów od Montes Claros.

– Ale jego ludzie już tam przecież byli – przypomniał jej Jaylen.

– No właśnie. Czyli jest tam jeszcze coś innego, na tyle ważnego, że wybrał się na miejsce osobiście. Musimy zebrać wszystkie dane, jakie możemy stamtąd uzyskać: przez satelity, nadzorowanie komunikacji i tak dalej. Przydałby się też jakiś kontakt osobowy. Proszę nawiązać łączność z naszym zespołem w okolicy. W Rio czy w São Paulo, z kimś, kto najszybciej dostanie się do tego Montes Claros. Trzeba się tam dokładniej wszystkiemu przyjrzeć. I proszę przygotować nieduży samolot, na co najmniej dwanaście osób, który mógłby natychmiast wystartować!

Kompleks był znacznie większy, niż wydawało się od strony parkingu. Po spacerze przez labirynt pomarańczowo-fioletowych korytarzy wylądowali w pozbawionym okien białym pomieszczeniu o solidnych drzwiach i wystroju dużo świeższej daty niż w pozostałej części budynku. Obok kanapy i foteli czekał krępy ochroniarz.

Levinson wyciągnął rękę do Helgego i Horsta.

– Proszę o telefony. I wszelkie inne urządzenia elektroniczne.

Obaj skwapliwie oddali mu swoje komórki, po czym goryl obmacał ich starannie. Gdy nie znalazł niczego, wziął aparaty od Levinsona i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. W pokoju było tak cicho, że Helge słyszał pulsowanie krwi we własnych uszach, a kiedy usiedli na białych fotelach przy białym stole, poczuł się jak w celi wariata. Może nie była to wcale fałszywa wizja.

– Czego chcecie? – spytał Levinson.

„Nie trwoni słów na marne” – pomyślał Helge, po czym rozejrzał się dookoła.

– Przytulnie tu macie. Na uboczu. Władze zavalone robotą, niezainteresowane, skorumpowane. W takich warunkach można sobie poeksperymentować, prawda?

Levinson nie spuszczał z niego wzroku.

– Czy te organizmy są wasze? – spytał Helge.

– Pochodzą z naszej firmy, tak.

– Pan je opracował?

– Nasz zespół.

– Dlaczego?

– Bo nam wolno.

Helge nie dał się sprowokować.

– Dlaczego uwalniacie te organizmy za darmo? Jeśli to, co dotychczas ustaliliśmy na ich temat, jest prawdą, one są warte miliardy. A wy je rozdajecie w prezencie.

– A więc o to chodzi? O pieniądze?

– A o co innego mogłoby chodzić?

– Na przykład o to, co pańscy specjaliści od PR-u tak chętnie powtarzają na temat pańskiego przedsiębiorstwa. O zagwarantowanie pożywienia dla wciąż rosnącej liczby ludzi na świecie. O nowe źródła energii dla wszystkich. O lepsze warunki życia w krajach rozwijających się.

Helge uśmiechnął się pod nosem.

- Niech pan przestanie! Nie wygląda mi pan na zbawiciela świata.
- A jak ktoś taki wygląda?
- Panie Levinson – wtrącił Horst – przecież pan wie, kim jestem. I zdaje pan sobie sprawę, że mnie interesują nie pieniądze, ale nauka...
- I dlatego pracuje pan dla tej korporacyjnej ośmiornicy...
- Szczerze podziwiam to, co pan stworzył. To wyprzedza o co najmniej pięć lat wszystkie znane mi dokonania. Co najmniej. A dobrze orientuję się w tej branży.
- Nie jestem wrażliwy na pochlebstwa. Ale rzeczywiście, ma pan rację.
- Wobec tego na co jest pan... – zaczął Helge, zamilkł jednak pod spojrzeniem Horsta.
- Chciałbym z panem współpracować, Rand – oznajmił Horst.
- W uszach Helgego wyznanie zabrzmiało szczerze. Niemal jak wypowiedziane przez studenta, który ma niepowtarzalną szansę zaprezentowania się swojemu wymarzonemu profesorowi. Albo była to perfekcyjna gra, albo prawda. Helge uznał, że na wszelki wypadek powinien mieć oko na Horsta.
- Jeśli tak panu zależy na pracy z nami, proszę złożyć aplikację – odpowiedział Levinson. – Ale uprzedzam, że będzie pan musiał znacznie obniżyć swoje oczekiwania dotyczące wysokości wynagrodzenia.
- Proszę tylko pomyśleć, jakie możliwości miałyby pan i pański zespół w Santirze. W naszym dziale badań i rozwoju pracują setki naukowców. A u pana?
- Ułamek tej liczby. Ale jak mi się wydaje, dość, by wyprzedzić was o kilka długości.
- Wobec tego proszę pomyśleć, jak daleko mógłby pan zajść, mając do dyspozycji nasze zasoby i większy budżet!
- Proszę powiedzieć wprost – wtrącił Helge – czego pan żąda, aby przejść ze swoim zespołem do nas?
- Stanowiska Horsta Pahlena?
- Helge roześmiał się głośno. W przeciwieństwie do Horsta.
- Zgoda – oświadczył, nie przestając się śmiać. – Nie martw się, Horst, znajdziemy dla ciebie coś innego.
- Nie martw się, Horst – powtórzył za nim Levinson. – Nie jestem zainteresowany.
- Szkoda – stwierdził Helge. – Może zmieni pan zdanie, kiedy Eloxy zostanie zamknięta przez władze, a pan straci pracę. A może nawet trafi pan do więzienia. A brazylijskie więzienia... Brr!

- Ja sam nie mogę podjąć takiej decyzji – oświadczył Levinson.
- Pan nie, prezes Gimp też pewnie nam nie pomoże. Kto ma tutaj coś do powiedzenia?

Gdy Levinson pojawił się w laboratorium, wydał się Helen jeszcze bardziej spięty niż wcześniej. Natychmiast podszedł do Jill i zaczął mówić szeptem. Eugene, przy stole obok, pracował dalej w skupieniu. Po kilku zdaniach Jill ścisnęła mężczyznę za rękę, dając mu w ten sposób znak, żeby zamilkł. Następnie wstała i skierowała go w stronę wyjścia.

Ale drogę zagroził im Eugene z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Co to ma znaczyć? – zwrócił się do Levinsona. – Oni nam grożą? Próbują nas zaszantażować? Kim oni są?

Ten mały chłopiec stojący butnie naprzeciw dwóch wysokich postaci mógł się wydawać całkiem niewinny i niegroźny. O ile nie wiedziało się o jego umiejętnościach. A Jill doskonale zdawała sobie z nich sprawę. Fizycznie nad nim górowała, ale to nie wystarczało, aby mogła go wyminąć. Zwłaszcza że wolała uniknąć otwartej konfrontacji na oczach Levinsona.

– Mój kuzyn ma dobry słuch i jest dosyć sprytny – wyjaśniła mu po chwili wahania. – Tak jak ja. A on i moja ciotka są cichymi udziałowcami w Eloxy. W związku z czym ta sprawa dotyczy w pewnym sensie także ich. – Rzuciła w kierunku Helen spojrzenie, które jednoznacznie nakazywało jej włączenie się do gry.

– Pewien europejski koncern biotechnologiczny odkrył niektóre z naszych testów – wyjaśniała Jill swojemu „kuzynowi”. – Poza tym nasi tutejsi spedycy nie byli wystarczająco ostrożni i w konsekwencji Europejczycy zidentyfikowali Eloxy jako źródło testów. I teraz chcą zwerbować do siebie Randa razem z jego zespołem albo kupić firmę. Jeśli on się nie zgodzi, zawiadomią władze o naszych doświadczeniach.

– I w rezultacie trafimy za kratki – oznajmił Levinson. – W zamian obiecują superwarunki i potężny budżet.

Eugene przeniósł spojrzenie z mężczyzny na Jill i z powrotem.

– To pan trafi za to za kratki – odparł.

– Co nikomu nie pomoże – powiedziała Jill. Komunikacja między nią a Eugene’em obywatela się niemal bez słów.

Dziewczyna cofnęła się o krok i oparła o stół, dając w ten sposób znak, że wszyscy razem muszą na ten temat spokojnie porozmawiać. Toteż Levinson i Eugene podeszli do niej, dołączyła do nich również Helen, chociaż nie bardzo

wiedziała, jaki może wnieść wkład do dyskusji.

– Może powinniśmy się z nimi dogadać – zaproponował Eugene. – Wtedy moglibyśmy kontynuować nasze prace. Zwłaszcza że oferują budżet wielokrotnie przekraczający nasze środki.

Levinson ze zdziwieniem przyglądał się niegrzeszącemu skromnością i nad wiek pewnemu sobie chłopcu, Helen zaś po raz kolejny poczuła się nieswojo, wyobrażając sobie świat pełen Eugene'ów. Natomiast zrównoważone zachowanie Jill w tej pełnej napięcia sytuacji bardzo jej się podobało.

– Oni znają zaledwie ułamek naszych prac – dodał Eugene.

„Podobnie jak Levinson” – przemknęło Helen przez głowę. Czy to nie odpowiednia chwila, aby wreszcie zakończyć tę historię? Przecież to nie do pomyślenia, żeby ona sama miała wiecznie się ukrywać. Czy naprawdę chce wspierać Jill i Eugene'a w realizacji ich szaleńczego planu?

– Graj na zwłokę – Jill poleciła Levinsonowi. – Powiedz, że musimy na spokojnie omówić ich propozycję. Takiej decyzji nie podejmuje się w ciągu kilku minut.

Rand wyszedł.

– Tak naprawdę potrzebujemy jeszcze tylko kilku dni – stwierdziła Jill. – Musimy zyskać na czasie.

– W takim razie trzeba się zgodzić na negocjacje – wtrąciła Helen. – Albo wręcz zapowiedzieć zasadniczą zgodę. Przecież nie zamkną firmy w ciągu jednej nocy.

– Dobry pomysł. Powiemy im, że musimy dokończyć nasze bieżące projekty, a potem możemy się z nimi połączyć.

– A jakby tak oddać im Levinsona i resztę? – podsunął pomysł Eugene. – Przecież on bez nas niewiele znaczy. – Roześmiał się serdecznie. – A to by się zdziwili w Santirze!

– W którymś momencie Levinson by nas sypnął.

– A co on tam wie? – rzucił Eugene.

– Zna nasze twarze, zna firmę. A jeśli ktoś porządnie się wgryzie w materiały, dojdzie do wszystkiego. W końcu ten Helge Jacobsen jakoś nas tu znalazł.

– Jeśli o mnie chodzi, Levinson może prowadzić dalej nasze inne projekty. Zajmie mu to lata. A nam i tak zależy przecież tylko na tym jednym.

– To tobie zależy tylko na twoim projekcie – powiedziała Jill.

– A ona znowu swoje – jęknął Eugene, przewracając oczami.

Ten cały Levinson irytował Helgego. Ale ostatecznie nie musi się z nim żenić,

tylko chce go pozyskać dla swojej firmy.

– Nie wiem, nad czym akurat teraz pracuje pan dla Eloxy – oznajmił – nie mogę jednak dopuścić, aby nadal rozpowszechniał pan po świecie superzaawansowane GMO za darmo. W ten sposób zrukuje pan podstawy biznesowego istnienia nas wszystkich. Pomijając już to, że niezachowanie okresów testowych jest z pana strony wielką nieodpowiedzialnością.

– Nic pan nie wie o naszych fazach testowych – odpowiedział Levinson.

– Tak czy inaczej, pańska praca dla Eloxy musi jak najszybciej się skończyć. Najlepiej natychmiast.

Levinson uśmiechnął się nieznacznie.

– Jestem związany kontraktem. I terminami wypowiedzenia. To nie jest takie proste.

– Myślę, że znajdzie pan jakieś wyjście – napomknął Helge, rzucając na stół plik spiętych papierów w przejrzystej foliowej koszulce. Levinson osłupiały rozpoznał na pierwszej stronie swoje zdjęcie z młodych lat.

– Rand Levinson – powiedział Helge. – Jeden z najbardziej utalentowanych studentów w swoim roczniku na MIT, potem obiecujący młody narybek jednego z największych światowych koncernów chemicznych, zwolniony oficjalnie z powodu nierozwiązywalnych konfliktów z przełożonymi. To samo powtórzyło się jeszcze u dwóch następnych pracodawców. Jednocześnie rozpadło się pańskie małżeństwo, a słabość do alkoholu i narkotyków, właściwa przyczyna pana problemów, jeszcze się pogłębiła. W końcu stał się pan spalony dla wszelkich poważnych firm. W przeciwnym razie osoba o takim talencie nie tkwiłaby gdzieś na brazylijskiej prowincji.

Im dłużej mówił, tym bardziej Levinson zapadał się w siebie. Drżącymi palcami przewracał kartki pełne wyczerpujących informacji na swój temat.

– W gruncie rzeczy zadaję sobie pytanie, czy w ogóle powinniśmy dawać panu taką szansę – kontynuował Helge. – Bo to cholernie ryzykowne. Za panem przemawiają jedynie pańskie ostatnie dokonania. Taka okazja już nigdy się panu nie nadarzy. Tak naprawdę pomogliśmy panu się stąd wyrwać.

Powiedziawszy to, Helge przyjacielskim gestem położył dłoń na przedramieniu swego bladego rozmówcy.

Gdy Levinson odprowadzał swoich gości do wyjścia, po ciszy wypełniającej biały pokój normalne odgłosy docierające z budynku przyniosły mu prawdziwą ulgę.

– Pańska ostatnia szansa – przypomniał mu cicho Helge. – Niech pan jej nie

przegapi! Proszę porozmawiać ze swoimi ludźmi, nie dam się jednak długo zwodzić. W gruncie rzeczy taką decyzję można podjąć dosyć szybko. Zwłaszcza że pańskie możliwości są ograniczone. – Spojrzał na swój zegarek. – Przyjdę jutro o dziesiątej rano i spodziewam się wyłącznie zgody.

Helen siedziała zagubiona w laboratorium, przyglądając się dwojgu dzieci przy pracy. Eugene zorganizował sobie oddzielne stanowisko i w skupieniu pochyłał się nad instrumentami i szalkami Petriego, zonglował probówkami i manipulował przy urządzeniach wyglądających jak skrzyżowanie drukarki laserowej i kochera do jajek albo płaskiego skanera i garnka do gotowania na parze. Helen w ogóle odnosiła wrażenie, że większość maszyn w laboratorium przypomina bezładne połączenie komputerów i urządzeń kuchennych. Było tu poza tym mnóstwo naczyń o przeróżnych kształtach i wykonanych z rozmaitych materiałów, za pomocą których Jill i Eugene nieustannie coś przelewali, mieszały, przesiewali, destylowali, miksowali, rozrabiali. Również ich ruchy przypominały jej trochę własne czynności w kuchni. Tyle tylko że ci dwoje z prazupy życia, z DNA, układali całkiem nowe przepisy i przyrządzali ją na nowo.

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Levinson. Pilna krzątania Eugene'a już go nie irytowała, jakby to było całkiem naturalne, że dziesięć lat pracuje w ich laboratorium.

– Co tym razem powiedział Jacobsen? – spytała Jill.

– Negocjujemy – odparł. – Aby grać na zwłokę, tak jak pani chciała. Przyjdzie znowu jutro.

– Przemysłałam to – powiedziała. – Musimy wziąć inny scenariusz pod uwagę. Jacobsen chce pozyskać autorów naszych rozwiązań, nie wie jednak, że nie zdobędzie ich wraz z naszym oficjalnym zespołem. Co szybko odkryje w praktyce. Jeżeli zatem Eloxy chce kontynuować bez przeszkód swoje projekty, musimy pozwolić panu odejść i jak dotąd po kryjomu wspierać pana w pracy, a jednocześnie tutaj stworzyć nowy zespół. Sam pan doskonale wie, jak trudna i kosztowna była rekrutacja obecnego zespołu, dlatego takie wyjście to dla mnie ostateczność, na którą zdecyduję się tylko wtedy, jeśli nie uda nam się pozbyć tego człowieka w inny sposób. Dla pana to też rozwiązanie mało komfortowe, ponieważ musi się pan liczyć z tym, że wcześniej czy później z takich lub innych powodów będziemy musieli wstrzymać naszą pomoc. Nie sądzę też, aby Santira wykazywała tolerancję wobec wszystkich pańskich potrzeb, jak już się pan u nich znajdzie. Myślę więc, że powinien pan zrobić wszystko, aby Helge stracił zainteresowanie nami.

„To nie będzie proste” – pomyślała Helen. Eugene opowiedział jej przecież o ich spektakularnych osiągnięciach. Jeśli są one faktem, to ktoś taki jak ów Jacobsen nie da się tak łatwo spławić. Poza tym mógł ich zdradzić – nie wiedząc, kogo w istocie zdradza. I znowu Helen uświadomiła sobie bolesną prawdę, że jest uciekinierką. Musi się ukrywać. Ona i jej dzieci. I w każdej chwili może zostać znaleziona.

Żołnierz szedł w skupieniu przez łąkę. Chociaż pogawędka z kolegami o grach komputerowych trochę go odprężyła i wprawiła w lepszy nastrój, nie mógł zapomnieć wydarzeń ostatniej nocy. Kilkoro dzieciaków porwało głowę wielkiego państwa. Czy ktoś widział wcześniej coś takiego? Dostali rozkaz, żeby nie opuszczać terenu osiedla. A jeszcze większy niepokój wywołało przybycie ludzi z Center for Disease Control, którzy od tamtej pory włączyli się po całym kompleksie w swoich ochronnych kombinezonach.

Za nimi znajdowało się miejsce, na którym stały zaparkowane śmigłowce, po lewej – las, na prawo – kompleks budynków, przed nimi – strefa mieszkalna. Nad ich głowami przetaczały się gęste chmury, spomiędzy których co najwyżej od czasu do czasu wyglądało słońce, rzucając tu i ówdzie jasne plamy na trawnik. Żołnierz potoczył wzrokiem po łące. Jasne plamy zmieniały swoje kształty, rozlewały się po niej. Kilka metrów przed nim coś błysnęło w trawie. Inni nic nie zauważyli. Po paru krokach ujrzał pod stopami nieduży podłużny przedmiot. Dookoła niego trawa była częściowo zdeptana, a w dwóch miejscach nawet zerwano darń wraz z ziemią.

- Co to jest? – spytał kolegów, wskazując lufą broni na znaleziony drobiazg.
- Wygląda jak USB – powiedział jeden z nich.

Przyjrzeni się dokładniej. Niemal wszyscy z nich mieli za sobą służbę na obszarach objętych wojną. Zetknęli się w Iraku i Afganistanie z minami pułapkami i innymi śmiertcionośnymi niespodziankami, przez które stracili wielu kolegów. Ale przecież nie byli teraz w Afganistanie. Ani w Iraku. Z drugiej strony, mieszkańcy tego osiedla minionej nocy porwali prezydent kraju.

Żołnierz przyklęknął, aby obejrzeć przedmiot z bliska. Pozostali cofnęli się o kilka kroków. Nie widział pod nim nic poza źdźbłami trawy. Jeśli jednak zapalnik był skonstruowany w ten sposób, że...

- Mamy robota do rozbijania? – rzucił.
- Nie – usłyszał za swoimi plecami.

Mogliby oczywiście oddać z odpowiedniej odległości kilka strzałów. Ale jeśli to rzeczywiście jest tylko USB i zawiera cenne dane? Przyłożywszy prawą stronę twarzy do trawy, bardzo dokładnie oglądał to coś na klęczkach.

– Zachować bezpieczny dystans – zakomenderował, na co pozostali cofnęli się jeszcze dalej.

- Nie dotykaj! – krzyknął któryś z kolegów, gdy on wyciągnął już rękę po

pendrive'a.

Zawahał się. Potem jednak chwycił go palcami.

Rand Levinson czekał, aż do kubka naleje się kawa. Był sam w kuchni. Gdy niecałe trzy lata temu Eloxy przejęli nowi właściciele, zatrudnili go jako szefa działu rozwoju. Na ich polecenie rozbudował zespół pracowników naukowych i laborantów do czterdziestu osób, zatrzymał też dziesięciu pracowników administracji i dystrybucji. Wszyscy byli szczęśliwi, że mogli zostać w firmie mimo plajty. Tego rodzaju posady należały w Montes Claros do rzadkości.

Rozejrzał się jeszcze raz, czy rzeczywiście jest sam, po czym wyciągnął z tylnej kieszeni spodni piersiówkę, ukrytą pod laboratoryjnym kitem, i dopełnił kubek aż po brzeg solidną porcją wódki. Szybko schował butelkę z powrotem pod fartuch, następnie usiadł ciężko na starym plastikowym krześle i pociągnął spory łyk.

Gdy odstawił kubek, w drzwiach kuchni pojawił się kuzyn Jill. Chłopak o ciemnych lokach i promiennie niebieskich oczach wydawał mu się równie niesamowity jak jego większa kuzynka.

Trzy dni temu nieoczekiwanie znalazła się w laboratorium. Opowiedziała mu ze szczegółami, jakie instrukcje dostawał niemal codziennie przez ostatnie trzy lata drogą mailową od swoich tajemniczych pracodawców, i oznajmiła, że to ona go zatrudnia. Przeegzaminował ją, zadając kilka pytań. Precyzyjnymi, wyczerpującymi, częściowo niezrozumiałymi nawet dla niego odpowiedziami najpierw wprawiła go w osłupienie, potem wystraszyła i wreszcie przekonała. W mgnieniu oka znalazła rozwiązanie dwóch problemów, z którymi akurat się zmagali. Nie miał pojęcia, ile ma lat, ale na pewno nie więcej niż osiemnaście. Początkowo się jej bał, potem ją znienawidził i zaczął jej zazdrościć, mimo że zachowywała się uroczo. Albo właśnie dlatego. Choć od czasu do czasu bywała też humorzasta. Jak głupia koza. Jak dziecko. Ale jako geniusz mogła sobie na to pozwolić. Czuł się tym bardziej zbity z tropu. Na dodatek była porywająca. Nieziemska. Atrakcyjna geniuszka. Jak wizja Monroe ze starego dowcipu. Monroe mówi do Einsteina: „Powinniśmy się pobrać. Proszę sobie wyobrazić: moja uroda i pańska inteligencja”. Einstein na to: „A jeśli wyjdzie odwrotnie?”.

Wciąż nic o niej nie wie. Gdzie się do tej pory podziewała? Dlaczego pojawiła się ni stąd, ni zowąd? Czym zajmuje się przy swoim stanowisku w laboratorium, które sobie zastrzegła?

A teraz jeszcze ta ciotka ze swoim niesamowitym dzieciakiem, który ma identyczne spojrzenie jak Jill. Jakby zaglądał mu w najgłębsze zakamarki duszy.

I nie odkrywał tam nic ciekawego. Jedynie kobieta wydawała się całkiem zwyczajna.

Eugene zrobił krok do przodu i zamknął za sobą drzwi.

– Ostatnio dużo się dzieje, prawda, Rand? – rzucił. – Najpierw Jill. Potem my, moja mama i ja. A dzisiaj jeszcze ci Europejczycy. Mogą narobić nam kłopotu, co?

Rand uśmiechnął się bezradnie. Czego ten mały mógł od niego chcieć? Dlaczego jego głos brzmi jak głos dziesięciolatka, podczas gdy treść wypowiedzi temu przeczy?

Eugene usiadł na jednym z wolnych krzeseł. Jego bezlitosne oczy świdrowały Randa na wskroś.

– Bawełna tutaj, całkiem niedaleko. Kukurydza w Tanzanii. Kozy w Indiach. I jeszcze inne rzeczy, na które Santira na razie nie wpadła. O czym mam mówić? O kukurydzy odpornej na *armyworm* i inne szkodniki? Dzięki genowi miodli indyjskiej i innym genom? Nie jestem pewien, czy Santira jest już na tyle zaawansowana w swoich analizach: czy wie o innych metodach obronnych, które kukurydza uruchamia w przypadkowej kolejności, aby szkodniki się nie uodporniły. Oczywiście przy użyciu napędu genowego. Plus mikroorganizmy dla użyznienia gleby.

Rand opuścił kubek. Chłopiec zamilkł i popatrzył na niego niewinnie.

– Wiem – powiedział Rand. – Ja to skonstruowałem.

Do czego zmierza ten dzieciak?

– Ty... Mogę ci mówić po imieniu, prawda, Rand? Ty wykonałeś to, co inni skonstruowali, używając twojego określenia. A teraz Santira chce skaptować ciebie i twój zespół, aby zdobyć know-how Eloxxy. Oczywiście mógłbyś do nich przejść. Tyle że oni szybko by się na tobie zawiedli. I wtedy wylądowałbyś w więzieniu.

Rand opróżnił kubek jednym haustem. Gdy patrzył na tego chłopca, przypominały mu się horrory oglądane w młodości. Dzisiaj już go nie interesowały. Jest naukowcem, na dodatek mającym słabość do alkoholu i narkotyków, a nie negocjatorem. Polityka to nie jego bajka. Jeśli ten mały chce czegoś od niego, niech powie prosto z mostu. Przebierając palcami po kubku, marzył o tym, by móc napełnić go po brzeg zawartością butelki tkwiącej w kieszeni spodni.

– Myślę, że bardzo chętnie byś przyjął tę propozycję – odezwał się znowu Eugene swoim cienkim głosem. – Ale wiesz, że potrzebujesz pomocników, osób stojących za tobą. Niestety, Jill nie jest zachwycona tym pomysłem. Chyba

zdążyłeś zauważyć.

Te oczy! Rand musiał spojrzeć gdzieś w bok. Dlaczego nikt nie ma ochoty na kawę czy jakąś przekąskę albo sok z lodówki? Dlaczego nikt nie przerwie wreszcie tej rozmowy?

– Ona na to nie pójdzie – powiedział Eugene na głos to, co Rand tak czy inaczej już przeczuwał. – Zresztą nie musi – ciągnął chłopak. – Potrzebujesz partnera, który będzie ci dostarczał po kryjomu rozwiązania. A ja chciałbym kontynuować swoją pracę. – Gdy Rand spojrzał na niego pytająco, wyjaśnił: – Jill nie jest tutaj jedynym cudownym dzieckiem. Ale to długa historia. Kiedyś ci ją opowiem. Podsumowując: nie potrzebujesz Jill. Proponuję ci pewien układ. Możesz przyjąć ofertę Santiry, a ja będę twoim backupem. Pójdę z tobą. Dostanę własne laboratorium. Oficjalnie, w Santirze. Albo prywatnie, ale to ty musisz się o to postarać. Wynegocjować z nimi. Jill z tego wyłączymy. Ona nie musi nic wiedzieć.

Czy to jest jakieś przedszkole? Okej, mały zna najdrobniejsze szczegóły, ale jednak...

– Pewnie sobie teraz myślisz: „Czego ten dzieciak chce ode mnie?” – dodał Eugene z uśmiechem. – „Żarty sobie robi?”. Rozumiem cię. Jasne. Potrzebujesz dowodów. Bardzo proszę. Pytaj, o co chcesz.

– Pomyśleliśmy, że powinniśmy panią przynajmniej o tym poinformować – powiedział oficer o nazwisku Lanston, jak wynikało z naszywki na piersi. – Włożył pendrive’a do laptopa. – Żołnierze znaleźli go na łące. Początkowo nie spodziewaliśmy się niczego specjalnego, dopóki rutynowo go nie sprawdziliśmy.

Na monitorze otworzyło się okno z zawartością nośnika. Znajdowały się w nim nazwy tylko dwóch katalogów: Tails i 671F/27g.

Jessica nie wiedziała, co uznać za bardziej interesujące. O ile Tails okaże się tym, czego się spodziewała, a 671F/27g jest spokrewnione z 671F/23a.

– Nie mamy pojęcia, co znaczą te wszystkie liczby – dodał Lanston. – Ale wydało nam się dosyć ciekawe, że w New Garden ktoś używa programu, dzięki któremu można niemal z każdego komputera niezauważalnie i anonimowo wejść do sieci.

A zatem jeśli chodzi o Tailsa, Jessica się nie pomyliła. Do odszyfrowania drugiego katalogu potrzebowała Richa.

– Gdzie to znaleźliście? – spytała żołnierza, który w odpowiedzi wskazał na łąkę.

– Tam.

– Chodzi mi o dokładne miejsce. Proszę mnie zaprowadzić.

Trzy minuty później zatrzymali się niedużym pojazdem elektrycznym pośrodku trawnika. W ziemi tkwiła niewielka żółta chorągiewka.

Jessica wysiadła i usiłowała ustalić pozycję. Przedostatnia noc była bardzo ciemna. Wcześniej wiele się zdarzyło, a potem jeszcze więcej. Była zmęczona. Co prawda nie bardziej niż teraz. Ale mimo wszystko. To mogło być tutaj. Tu Eugene rzucił się na Winthorpe’a. W dwóch miejscach trawnik wyraźnie ucierpiał. To mogły być ślady po ich kotłowaniu. Być może jeden z nich zgubił wtedy pendrive’a?

– Kiedy to znaleźliśmy, rozejrzeliśmy się jeszcze raz dokładnie – uzupełnił oficer. – I natrafiliśmy na to. Nie mam pojęcia, czy to ważne.

W jego zaskakująco delikatnej dłoni leżał guzik.

Jessica wzięła go w palce. Widziała taki już wcześniej. Przy koszuli Eugene’a.

Gdy wróciła do centrum dowodzenia, czekała na nią wiadomość. Skierowana właściwie do Grega Cole’a.

Drogi Gregu,

*Szanowna pani Roberts,
Szanowne Służby,
w miejscu, w którym obecnie jestem, mogę bez przeszkód śledzić relacje na temat tego, co dzieje się w New Garden. Dlatego na razie nikomu nie zdradzę, gdzie się znajduję.
Dzięki temu mam dużo czasu na myślenie.*

*Pozdrawiam
Helen*

Greg Cole raczej nie ucieszy się z tej wiadomości.

Mimo okularów przeciwsłonecznych Linda Courtes i Bob Steen musieli osłonić sobie oczy dłońmi, gdy wysiedli z czteroosobowego samolociku, który przed pięcioma minutami wylądował na małym lotnisku Montes Claros. Słońce zawisło poniżej gęstych chmur i znajdowało się tuż nad wierzchołkami drzew przed nimi.

Cztery godziny wcześniej Linda dostała w Brasílii telefon ze Stanów Zjednoczonych. Pilna akcja. Na razie tylko rozpoznawcza. Ale do wykonania natychmiast. Nic więcej nie zdradzono. Tak bywało. Wezwała więc Boba i godzinę później wystartowali ze stołecznego lotniska. Maszyna i pilot zostali wynajęci z komercyjnej firmy, a formalnym zleceniodawcą było Three Times Ltd, przedsiębiorstwo handlowe z siedzibą w Brasílii.

Tuż przed lądowaniem otrzymała na swój bezpieczny telefon kolejną informację: osoby poszukiwane, Jacobsen i Pahlen, na lotnisku wynajęły samochód w Avisie. Cel dalszej podróży nieznany, śledzenie z satelity niemożliwe z powodu gęstej warstwy chmur.

Bob był mniej więcej jej wzrostu. Niewyprasowana koszula opinała jego brzuch, ale dzięki temu, że była wyrzucona na spodnie, litościwie ukrywała ślad po wrzynającym się w warstwę tłuszczu pasku.

„Jak na agenta nie najlepiej się prezentuje” – pomyślała Linda, jak za każdym razem, kiedy z nim pracowała. Akurat nikt inny poza nim nie był jednak dostępny.

Lotnisko okazało się rzeczywiście bardzo małe. Tylko jeden pas startowy. Obok płyta dla czekających maszyn, na której stały dwa średniej wielkości samoloty rejsowe, sześć jetów biznesowych i osiem samolotów śmigłowych w rodzaju ich taksówki powietrznej. Pasażerowie pokonywali kilka metrów dzielących ich od terminalu na własnych nogach. Należało przypuszczać, że jeśli nawet ktoś zrobiłby parę kroków w bok, ku prywatnym odrzutowcom, nikogo by to nie zainteresowało.

Asfalt był rozgrzany od słońca. Linda mieszkała w Brazylii od pięciu lat i zdążyła się już przyzwyczaić do tutejszego klimatu. We dwoje obeszli dookoła niewielkie jety i zatrzymali się przy czwartym w szeregu. Linda wyjęła z kieszeni żakietu telefon komórkowy, po czym porównała kombinację cyfr i liter z wyświetlacza z tą widniejącą na kadłubie samolotu.

– No to mamy go – stwierdziła z zadowoleniem.

Dwie firmy wynajmujące samochody: jedna lokalna i Avis. Ruszyli ku stoisku tej

drugiej. Przywitał ich energiczny młody mężczyzna o sympatycznym uśmiechu. Linda spytała o możliwość wynajęcia auta i po wielu propozycjach zdecydowała się na skromnego i niedużego nissana. Wypełniając formularze, spytała od niechcienia:

– Nasi przyjaciele przylecieli dzisiaj jednym z tych niedużych jetów stojących na płycie. Europejczycy. Jacobsen i Pahlen. Niestety, zapomniałam adresu ich hotelu. Czy nie wspomnieli panu przypadkiem, gdzie się zatrzymają?

Doskonale zdawała sobie sprawę, jak działa na mężczyzn, dlatego uśmiechnęła się promiennie do młodego człowieka. Dla ułatwienia odpowiedzi razem z formularzem, kartą kredytową i prawem jazdy przesunęła przez ladę także jeden banknot.

– Niestety, nie mogę udzielić pani takiej informacji – oznajmił z poważną miną, bez skrępowania wziął jednak wszystko, po czym zaczął wklepywać dane do komputera. Gdy skończył, oddał dokumenty. Pieniądże zatrzymał. Następnie wręczył Lindzie dowód rejestracyjny i kluczyki samochodowe. – Jeśli nie wiedzą państwo, gdzie się zatrzymać, polecam Intercity. To najlepszy hotel w mieście.

W drodze do hotelu Linda wysłała do centrali informację, że poszukiwane osoby prawdopodobnie zatrzymały się w Intercity, i jeszcze zanim dotarli na miejsce, otrzymała odpowiedź.

„Potwierdzenie. Według systemu rezerwacji wymienionego hotelu osoby docelowe są w nim zameldowane”.

Pewnie ktoś z Langley albo skądinąd na krótko „odwiedził” komputer hotelowy i sprawdził dane.

Intercity okazał się dziesięciopiętrowym białym kłocem, jednym z najwyższych budynków w okolicy. W środku był urządzony z klasą. Linda i Bob poprosili o dwa oddzielne pokoje. Dostali jeden na piątym, a drugi na siódmym piętrze. Linda wzięła ten położony wyżej.

Jadąc na górę, ustalali dalsze kroki.

– Jeśli wieczorem nie będą jeść tutaj kolacji, nigdzie indziej i tak ich nie znajdziemy – stwierdziła Linda. – Dlatego proponuję, żebyśmy zostali w hotelu. Wtedy złapiemy ich przynajmniej, jak wrócą.

– Tak, to pochodzi z tej samej serii co 671F/23a – potwierdził Rich, patrząc w monitor.

– Czy to jedyna symulacja zapisana na tym pendrivie? – spytała Cara Movelli.

– Tak. Skąd to pytanie?

– Przeanalizowaliśmy już dokładniej symulacje robione przez Jill z serii 671 – wyjaśniła. – Testowała najprzeróżniejsze kombinacje cech, które za pomocą wirusa mogą być wszczepione w spermatoocyty. Wśród nich były również wszystkie kombinacje, które my zrealizowaliśmy już w praktyce w New Garden. Teraz musimy tylko jeszcze ustalić, w jaki sposób dotarła do tych danych. Są dwie możliwości: albo razem z Eugene’em włamali się do naszego wewnętrznego systemu IT, albo przeanalizowali genomy wszystkich tutejszych dzieci i potem odpowiednio wykorzystali je w swoich modelach komputerowych. Być może Jill miała sposobność dokonywania takich analiz w Bostonie. Tak czy inaczej, wiemy, że kombinacja 671F/27g to Eugene. I ośmioro innych dzieci w wieku od pięciu do ośmiu lat mających te same właściwości.

Jessica czuła, że jej zwoje mózgowie są rozgrzane do czerwoności.

– Pięcioro najstarszych uciekło razem z nim ostatniej nocy – uzupełniła Cara.

Linda wzięła odświeżający prysznic i na kolację ubrała się w neutralny biznesowy kostium. Nie chciała ani spodobać się Bobowi, który nie był w jej guście, ani w ogóle zwracać na siebie uwagi.

Restauracja hotelowa była otwartą przestrzenią przylegającą bezpośrednio do lobby, urządzoną designerskimi meblami. Na stolikach migotały świece, mniej więcej przy jednej czwartej z nich siedzieli goście, w większości ludzie interesów, a nie turyści, jak oceniła Linda po wstępnym rozeznaniu. Nie zauważyła poszukiwanych. Wybrali z Bobem miejsce zapewniające im widok na salę, bufet sałatkowy i dojście z lobby, a niebędące jednocześnie typowym dla agentów miejscem pod tylną ścianą, skąd rzucaliby się w oczy każdemu wchodzącemu. Linda zamówiła wodę, kieliszek czerwonego wina i przyniosła sobie niewielką porcję sałatek. Goście jedli, rozmawiając, podchodzili często do bufetu, pojawiały się nowe twarze. Mniej więcej po piętnastu minutach w wejściu stanęli trzej mężczyźni, z których jeden przypominał Helgego Jacobsena ze zdjęć. Drugim był prawdopodobnie Horst Pahlen, szef działu rozwoju Santiry. Sprawa musiała być ważna, skoro aż dwie najważniejsze osoby z kierownictwa zarabiającego miliardy przedsiębiorstwa wybrały się na brazylijską prowincję. Trzeciego mężczyzny Linda nie знаła. Wyglądał na dawnego wojskowego, mógł być człowiekiem z obstawy albo odpowiadać za bezpieczeństwo. Bob też ich zauważył. Podczas gdy wszyscy trzej wciąż czekali, aby wskazano im stolik, Linda wzięła do ręki komórkę i udając, że sprawdza coś w internecie albo szuka numeru, dyskretnie strzeliła im kilka fotek. A potem jeszcze parę, gdy kelner prowadził ich na miejsce, na lewo od Lindy i Boba. Dzieliły ich trzy stoliki i co najmniej dziesięć metrów, więc nie było niebezpieczeństwa, że agenci zostaną zauważeni. Linda od razu wysłała zdjęcia do swojego kontaktu. A potem pozwoliła sobie na solidny łyk wina. Robota wykonana.

Wszystko poszło aż nazbyt gładko.

Jessica zerwała się raptownie, gdy ktoś dotknął jej ramienia. Jak długo spała? Miała wrażenie, że co najwyżej minutę. Najtrudniejsze było to, że natychmiast musiała odzyskać przytomność umysłu i się skupić. Czego tak czy inaczej nie potrafiła, ale starała się przynajmniej udawać.

– Wiadomość z Brazylii – powiedział policjant, który ją obudził.

Z Brazylii? A co tam się działo? Racja! Helge Jacobsen. Transgeniczna bawełna.

Pobiegła do centrum dowodzenia, gdzie już czekała na nią operatorka. Na jej monitorze widniały zdjęcia prywatnego jeta i mężczyzn przy stoliku w restauracji.

– Czy znamy kalendarz Jacobsena?

– W ostatnich dniach nie ma dostępu do jego komunikacji – odparł oficer kontaktowy z CIA.

– Muszę połączyć się bezpośrednio z pańskimi ludźmi na miejscu – zażądała Jessica.

Mężczyzna miał już telefon w dłoni i wybierał numer.

– Cześć, Lindo – przywitał swoją rozmówczynię po drugiej stronie. – Dobra robota. Ktoś chce z tobą rozmawiać. – Po czym przedstawił krótko Jessicę i jej funkcję, a następnie włączył głośnik.

– Witaj, Lindo, świetna robota! – pochwaliła ją również Jessica. – Niech pani ma na oku Jacobsena. I pilnuje jego samolotu. Wiadomo już, po co on tam przyjechał?

– Nie. Jutro rano pojedziemy za nim. Nasze zasoby są ograniczone.

– Proszę się nie przejmować kosztami – powiedziała Jessica. – Dziękuję, Lindo!

Koniec połączenia.

– Czy samolot, który w razie czego może w każdej chwili zawieźć nas do Montes Claros, jest gotowy do startu? – spytała. Zamierzała przystąpić do operacji dopiero, gdy zyska całkowitą pewność. – Obywatele USA muszą mieć chyba wizę, żeby wjechać do Brazylii?

– Owszem.

– Wobec tego mogą polecieć tylko ci, którzy mają paszporty dyplomatyczne. – Ona taki posiadała. – Czy wystarczy nam tam na południu ludzi, którzy mogliby odpowiednio szybko przemieścić się do Montes Claros i przeprowadzić tajną akcję? – spytała jeszcze.

– Przyznaję, że jest to dosyć śmiała teza – oznajmił Rich, lecz Jessica bynajmniej nie usłyszała w jego głosie przesadnego sceptycyzmu, jakiego można by się spodziewać w przypadku prezentacji ryzykownych koncepcji. Zwłaszcza że przedstawiał je prezydent Stanów Zjednoczonych, która uczestniczyła w telekonferencji, a także obecnym na miejscu członkom rządu i komisji etyki. – Podsumujmy na początek to, co wiemy. Po pierwsze: już dziesięć lat temu doktorowi Winthorpe’owi i jego zespołowi udało się coś, co uchodziło do tamtej pory za niewykonalne, a mianowicie powołano do życia transgeniczne dzieci o wybitnych kompetencjach w niektórych dziedzinach. Po drugie: dwoje najstarszych z nich, niejako prototypy, dziewczynka Jill i chłopiec Eugene, uciekło. Jill, która dzięki swoim zmodyfikowanym genom rosła szybciej i mimo dziesięciu lat wygląda jak dorosła, cztery dni temu zniknęła z MIT, w dzień po śmierci Jacka Dunbraitha. Eugene uciekł minionej nocy z New Garden. Po trzecie: po zniknięciu Jill natrafiono na symulacje i eksperymenty przeprowadzane na zmodyfikowanych genetycznie organizmach przez nią samą albo na jej zlecenie. Jak to możliwe, na razie nie wiemy. Niektóre z testów znalazły już realizację w rzeczywistym otoczeniu, między innymi te dotyczące bawełny w Brazylii, kukurydzy w Tanzanii i kóz w Indiach. Po czwarte: Eugene wiedział o doświadczeniach Jill i to on zwrócił nam uwagę na jedną konkretną symulację. W jej wyniku wirusy zmieniają spermatoocyty w męskich jądrach, wskutek czego powstające nasienie jest nośnikiem pewnych zmian genetycznych. Identycznych z tymi, jakie doktor Winthorpe i jego zespół oferują swoim klientom. Po piąte: część wirusów modyfikujących genom człowieka opiera się na zaraźliwym wirusie grypy – taki sam został użyty do stworzenia śmiertelnośnego wirusa, który zabił sekretarza stanu. Z dużym prawdopodobieństwem można więc przyjąć, że Jack Dunbraith został zamordowany przez jedno z dzieci. Pytanie tylko przez które. Po szóste: analiza plików Jill wykazała, że projekty dotyczące specyficznych wirusów modyfikujących człowieka niedawno wkroczyły w pierwszą fazę realizacji *in vivo*. Niedawno, czyli przedwczoraj. A to oznacza, że ona właśnie teraz produkuje te wirusy. Istotne w tym kontekście jest to, że Jill porwała się chyba na aż dziesięć wirusów, które, jeżeli rzeczywiście okażą się skuteczne i zostaną uwolnione do środowiska, zmienią nasienie zarażonych w różny sposób. W zależności od tego, jakiego rodzaju wirus się złapie, tak będą kształtować się właściwości potomstwa.

– Chwileczkę – wtrąciła prezydent – chciałabym dobrze zrozumieć: jeżeli złapię wirus numer jeden, wtedy moje dziecko może na przykład wyżej skakać czy lepiej liczyć, w przypadku wirusa numer dwa będzie lepiej rozumieć złożone

zagadnienia i szybciej rosnąć, jeśli to będzie wirus numer trzy, wtedy będzie potrzebowało mniej snu i zużyje mniej energii do wykonania tych samych czynności, a wirus numer cztery spowoduje...

– Upraszczając: tak właśnie może to wyglądać – potwierdził Rich. – Jill skupiła się na tych samych manipulacjach, które opracował zespół doktora Winthorpe’a i które, że tak powiem, są „najlepsze”.

– Nawet lepsze od niej samej?

– Pod niektórymi względami tak.

– Czyli Eugene pewnie to miał na myśli, mówiąc o dalszych możliwościach – podsumowała prezydent.

– Możliwe – przyznał Rich. – Tego rodzaju wirusy, uwolnione w wystarczających ilościach i w odpowiednich miejscach, mogłyby w ciągu niewielu lat zarazić znaczną część ludzkości. Znamy symulacje szerzenia się wirusów choćby z obrazów dotyczących eboli, AIDS, świńskiej czy ptasiej grypy czy ostatnio wirusa Zika, kiedy z kilku czerwonych punktów w krótkim czasie na wszystkich kontynentach rozlewają się czerwone plamy. Już przeważająca większość ludzi następnej generacji mogłaby posiadać nowe właściwości.

– Czyli powstałby świat odpowiedni dla Eugene’a i jemu podobnych, taki, jakiego on pragnie.

– I Jill chyba też – powiedział Rich. – W końcu to ona obecnie prowadzi eksperymenty. I w ten sposób doszliśmy do punktu numer siedem: w trakcie ucieczki Eugene zgubił pendrive’a. Na podstawie odcisków palców mogliśmy stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że należał do niego. Na nośniku znaleźliśmy program, dzięki któremu można z każdego komputera anonimowo wejść do sieci. To wyjaśnia, skąd Eugene wiedział o eksperymentach Jill, a może nawet w nich uczestniczył i komunikował się z nią, podczas gdy nikt niczego nie zauważył. Znaleźliśmy też zbiór danych obejmujących symulacje przeprowadzane przez Jill na ludzkich spermatozoiach. Co interesujące, skupiają się one tylko na jednym konkretnym wirusie: takim, który wyposaża komórki dokładnie we właściwości posiadane przez Eugene’a. Jill nie pracuje jednak nad realizacją tego szczególnego modelu.

Rich przerwał, aby słuchacze mogli przetrawić przekazaną masę informacji. Gdy nie padło żadne pytanie, a on odniósł wrażenie, że wszyscy są już gotowi wysłuchać kolejnej części wywodu, zaczął mówić dalej:

– Tak więc mamy poza naszym zasięgiem nastolatkę, która w pośpiechu próbuje zmodyfikować genetycznie ludzkość na dziesięć różnych sposobów. I chłopca, który też jest nie wiadomo gdzie i chciał zabrać ze sobą dane niezbędne

do przeprowadzenia określonej pojedynczej manipulacji genetycznej. Moim zdaniem jesteśmy świadkami wyścigu. Jill chciałaby dokonać zmian we własnym duchu, a Eugene pragnąłby, aby w przyszłych pokoleniach nie brakowało jemu podobnych. Albo może nawet próbuje powstrzymać Jill. I przeforsować jedynie swój, że tak powiem, gatunek.

Po krótkiej chwili ciszy rozległo się co najmniej dziesięć głosów naraz. Minęło kilka sekund, zanim prezydent zdołała przywołać wszystkich do porządku.

– Jest to teza niezwykle śmiała – skorzystała z zaprowadzonego na powrót spokoju doradczyni do spraw politycznych. – Ale nie można jej wykluczyć.

– Przecież to dzieci – wtrącił ktoś inny. – Nie zapominajmy, że mówimy o dzieciach! Czy naprawdę mamy uwierzyć – kontynuował z narastającym oburzeniem – że choćby ułamek z tego, co tu usłyszeliśmy, może być prawdą? Przecież na razie nie mamy żadnych autentycznych, pewnych dowodów. Jedyne opowieści, obserwacje...

– Moje obserwacje były dosyć jednoznaczne – przerwała mu prezydent. – Jeśli mam być szczerą, chociaż to wszystko wciąż wydaje mi się niepojęte, już tego nie kwestionuję. Bo na własnej skórze doświadczyłam działalności tych dzieci.

– Przebadaliśmy już genomy kilkorga z nich – przypomniał Rich. – Wszelkie wątpliwości są wykluczone.

– Pańska teza zakłada przede wszystkim nie tylko niezwykle niepokojący, ale również głęboko krzywdzący obraz obecnej ludzkości widziany z perspektywy Jill i Eugene'a – stwierdził profesor Obfort. – A mianowicie: oni nie uważają nas już za największe zagrożenie czy za najniebezpieczniejszego przeciwnika, a jedynie postrzegają jako źródło hodowli nowych istot. My zaś jesteśmy już dla nich historią. O ile oczywiście owa teza jest prawdziwa – dodał na koniec.

– Krzywdzący czy nie – wtrąciła zdecydowanie prezydent – jedno jest pewne: musimy powstrzymać te dzieci. I to jak najszybciej. Wszystko jedno jak.

Kierowca zawiózł Helen, Eugene'a i Jill do hotelu. Dziesięciopiętrowy budynek dominował nad prawie wszystkimi domami w okolicy. „Intercity” – oznajmiało duże logo na szczycie frontowej ściany.

– To codzienne jeżdżenie jest trochę uciążliwe – powiedziała Jill. – Ale w pobliżu Eloxy nie ma żadnych hoteli na odpowiednim poziomie. Zresztą gdzie indziej w mieście też chyba nie. Poczekajcie tutaj – dodała, gdy auto zajęchało przed wejście. – Nie uda mi się zameldować was bez wizy. Wynajmiemy pokój pod innymi nazwiskami.

Kiedy wróciła pięć minut później, Helen i Eugene wysiedli z samochodu. Lobby było rozległe i przestronne. W jednym końcu znajdowała się recepcja, obok której goście wcale nie musieli przechodzić, a w drugim – wypełniona niemal po brzegi restauracja. Jill w towarzystwie Helen i Eugene'a ruszyła prosto do wind i po chwili nacisnęła guzik ze strzałką skierowaną w górę.

Linda wybrała potrawę wegetariańską, podczas gdy Bob z ukontentowaniem wbił widelec w stek, z którego pociekła strużka krwi.

Po rozmowie z Jessicą Roberts niemal nie odrywała się od telefonu, próbując skontaktować się z miejscowymi firmami ochroniarskimi. Już pierwsza z wybranych zaoferowała jej dowolną liczbę ludzi. Linda zdecydowała się na razie na cztery zespoły dwuosobowe, które od następnego ranka miały przystąpić do pracy. Z trzema z nich zamierzała spotkać się o 5:20 w hotelowym lobby, czwarty natomiast miał udać się bezpośrednio na lotnisko i pilnować firmowego jeta Santiry.

W restauracji prawie wszystkie stoliki były już zajęte. Jacobsen, Pahlen i trzeci mężczyzna rozmawiali z ożywieniem, czekając na główne danie. Wśród nowych gości byli głównie biznesmeni, poza tym pojawiła się garstka turystów, a później również kilkoro miejscowych, prawdopodobnie na wytworną kolację. Ponieważ wieczór przebiegał bez problemów i zakończył się sukcesem, Linda wdała się z Bobem w dosyć luźną rozmowę. Mimo to, jako rasowa agentka, cały czas miała oczy szeroko otwarte i wyostrzone zmysły. Kiedy więc podniosła wzrok nad sałaty, spojrzała mimochodem na niewielki pulpit stojący w wejściu, przy którym wszyscy goście lokalu musieli na krótko się zatrzymać, i dalej, na przejście do lobby.

Trzyosobowa grupka przed windami natychmiast rzuciła jej się w oczy. Przede

wszystkim niezwykle atrakcyjna młoda dziewczyna, obok niej śliczny chłopiec o ciemnych lokach i błyszczących niebieskich oczach oraz w miarę atrakcyjna trzydziestokilkulatka o skórze nietypowo bladej jak na tę szerokość geograficzną. Matka ze swoimi dziećmi.

Linda chciała już wrócić do jedzenia, gdy nagle uprzytomniła sobie, że gdzieś już widziała te twarze. Dyskretnie sięgnęła po komórkę, którą włożyła do torebki, i dała Bobowi znak, aby nie ruszał się od stołu. Sama zaś wstała i podeszła do pulpitu, udając, że odbiera połączenie. Dzięki temu znalazła się wystarczająco blisko wind, by móc pstryknąć kilka szybkich fotek, zanim cała trójka zniknęła w kabinie.

Wróciwszy na miejsce, wyświetliła po kolei wszystkie zdjęcia, po czym jednym dotknięciem palca powiększyła najlepsze ujęcie. Następnie otworzyła jeden z pięciu plików zdjęciowych, które po nocnym telefonie dostała na zakodowaną pocztę. Jak wynikało z instrukcji, dwa z nich przedstawiały jej właściwe cele: Helgego Jacobsena i Horsta Pahlana. Trzy pozostałe przesłano jej „na wszelki wypadek”. Cokolwiek to znaczyło. Na jednym widniał uroczy dziesięciolatek Eugene Batton, na drugim – Jill Pierce, obłądnie atrakcyjna nastolatka o ciemnobłond włosach, a na trzecim – niejaka Helen Cole. Linda jeszcze raz porównała ich portrety z postaciami, które ujrzała przed chwilą na żywo.

Eugene, Jill i Helen właśnie przybyli do hotelu Intercity w Montes Claros.

Jill jechała razem z Helen i Eugene’em na ósme piętro.

– Macie pokój obok mnie – oznajmiła w windzie, a po chwili omiotła kobietę spojrzeniem od stóp do głów. – Wprawdzie jesteś trochę niższa ode mnie – stwierdziła – ale mogę ci pożyczyć jakieś swoje spodnie i koszulę. Gene, ty też musisz zadowolić się na razie moimi rzeczami, mimo że mogą być za duże. Dopiero jutro kupimy dla was coś nowego.

Pokój Helen był obszerny, nowocześnie urządzony i czysty. Ledwie weszli do środka, rozległo się pukanie do drzwi. To Jill przyniosła im świeżą bieliznę, dwie pary cienkich letnich spodni i T-shirty.

– Proszę. Odświeżcie się, a potem zamówimy sobie kolację na górę – powiedziała, nie wchodząc do środka.

– Trafiony, zatopiony! – wykrzyknęła triumfalnie Jessica, gdy operator w zaimprovizowanym centrum dowodzenia pokazał jej zdjęcia z Brazylii. – Proszę mnie połączyć z Lindą – zwróciła się do oficera kontaktowego z CIA.

Minęło trzydzieści sekund.

– Lindo, nasze nowe najważniejsze cele to chłopiec Eugene, dziewczyna Jill i Helen Cole. Czy zauważyła pani coś, co wskazywałoby na to, że ta kobieta została uprowadzona? Czy też mogła poruszać się swobodnie?

– Cała trójka sprawia wrażenie bardzo zgodnej.

– Czyli ona współpracuje z dziećmi – stwierdziła Jessica na tyle głośno, by oficer CIA i wszyscy pozostali obok niej dobrze to usłyszeli.

– Czy załatwiła już pani posiłki?

– Tak.

– To dobrze. Proszę wezwać też swoich kolegów do wsparcia. Nie wolno nam w żadnym razie zgubić tych trojga. Pod żadnym pozorem! To kwestia bezpieczeństwa kraju.

– Zrozumiałam.

– I jeszcze jedna ważna rzecz, Lindo. Musi pani być nadal czujna. Niezależnie od tego, co się będzie działo, macie pozostać w ukryciu, dopóki nie otrzymacie innych rozkazów. Ewentualnie będziecie musieli przeprowadzić tajną interwencję. Dlatego wezwanych kolegów powinna być odpowiednia liczba i muszą być właściwie przygotowani.

Przez kilka sekund na linii słychać było tylko szum. Jessica obawiała się, że będzie musiała powtórzyć wszystko jeszcze raz albo że połączenie zostało zerwane, gdy Linda nagle spytała:

– Tajną interwencję?

– Tylko jeżeli okaże się to niezbędne. Otrzyma pani jeszcze dokładniejsze instrukcje. A teraz proszę zadbać o wsparcie. Odezwiemy się.

I na tym Jessica zakończyła rozmowę.

– Czy maszyna jest gotowa? – zwróciła się do oficera CIA.

– W każdej chwili.

– Proszę przyprowadzić Grega Cole'a – poleciła jednemu z żołnierzy strzegących pomieszczenia. – Niech weźmie ze sobą paszport. Nic więcej nie musi wiedzieć. Jeśli odmówi albo będzie próbował jakichś trików, proszę mu powiedzieć, że chodzi o jego żonę. W ostateczności obezwładnić go.

Żołnierz dziarsko ruszył wykonać zadanie.

– Może przyda nam się przy rozmowie z nią – wyjaśniła Jessica oficerowi CIA.

– On nie ma wizy – wtrącił agent.

– To akurat najmniejsze zmartwienie – bąknęła. – Myślę, że nie uda nam się całkiem pominąć Brazylijczyków. Powinniśmy więc unikać dyplomatycznych kłopotów.

– Co pani zamierza? Wtajemniczyć Brazylijczyków?

– W żadnym razie. Potrzebujemy jednak dobrego wyjaśnienia, dlaczego grupa Amerykanów o statusie dyplomatycznym nieoczekiwanie przylatuje do Montes Claros. Nie należy na razie zawracać głowy władzom. Nie trzeba płoszyć koni.

Apartament Jill był większy niż pokój Helen. Wszyscy troje siedzieli na wygodnych fotelach obok otwartych szklanych drzwi na balkon, przez które wlewało się do środka ciepłe wieczorne powietrze i docierały typowe odgłosy miasta. Helen odczekała, aż obsługa rozstawi kolację na niskim stole przed kanapą, a gdy już zostali sami i łąpczywie połknęli pierwsze kęsy okazałych burgerów, zadała pytanie:

– Co teraz zamierzacie?

Dzieci wymieniły między sobą spojrzenia, po czym Jill odpowiedziała:

– Dociekliśmy przyczyn naszych wyjątkowych umiejętności znacznie szybciej, niż Stanley i reszta w New Garden się spodziewali. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, jakie skutki przyniesie ten ich komercyjny model: niewielka liczba zamożnych lub bardzo bogatych ludzi będzie mogła sobie pozwolić na transgeniczne potomstwo, a reszta nie. Wtedy w New Garden takich jak my była zaledwie garstka. Dlatego tym mocniej odczuwaliśmy naszą inność. Zrozumieliśmy także, że abyśmy mogli w pełni się rozwijać, musi nas być więcej. I to skłoniło nas do opracowania koncepcji korzystnych nie tylko dla nas, ale też dla wszystkich, koncepcji, które rugują model komercyjny.

– W ostateczności zdecydowaliśmy się na model dwustopniowy – kontynuował Eugene. – Sama widziałas w New Garden: kilkadziesiąt czy nawet setkę rodziców i dzieci można oczywiście od biedy zamknąć, internować. Gdyby było trzeba, można by nawet pozbyć się ich całkowicie. Z milionami na całym świecie nie będzie to możliwe. Więc zależy nam na tym, aby w pierwszej fazie jak najwięcej ludzi miało nowoczesne dzieci. Dzięki temu dyskusja, czy tego chcemy, czy nie, stanie się bezzasadna.

Odgryzł kolejny kęs burgera, Jill zaś przyniosła swój laptop i otworzyła go.

– W tym celu skonstruowaliśmy swego rodzaju biologiczne minimaszyny – wyjaśniła. – One wszczepiają zmiany genetyczne już w spermatocyty w męskich jądrach.

Po przeżyciach ostatnich dni Helen chyba już nic nie mogło zaskoczyć. Nawet genetyczne minimaszyny.

– Jak mam sobie to wyobrazić?

Posługując się zdjęciami w laptopie, które znacznie ograniczyły apetyt Helen, Jill wywodziła dalej:

– Wirusy rozchodzą się po całym ciele, trafiają również do jąder. Tam nasz

wirus wbudowuje pożądane zmiany. Najpierw wypróbowaliśmy to na kozach, oczywiście posługując się wirusami zakaźnymi dla tych zwierząt. I udało się.

– U kóz.

– To ssaki. Jak człowiek. W odniesieniu do ludzi stosujemy jako bazę naturalne wirusy grypy. Zaraża się nimi niezbyt inwazyjnie mężczyznę, kobietę czy dziecko i w ten sposób infekcja przekazywana jest dalej. U zainfekowanych mężczyzn dochodzi potem do zmian.

Helen wahała się między niedowierzaniem, przerażeniem a fascynacją. Zjedzonego do połowy burgera odsunęła na bok. Dopiero gdy kilka razy nabrała głęboko powietrza, była zdolna zadać następne pytanie:

– Dlaczego za pomocą wirusów zmieniacie coś u mężczyzn, a nie u kobiet?

– Bo u mężczyzn jest łatwiej. To jedyny powód – wyjaśnił Eugene.

– Ale przecież nie możecie zarazić całej ludzkości waszym zmanipulowanym wirusem, nie pytając, czy ktoś w ogóle tego chce?! – oburzyła się.

– Nikt by się na to nie zgodził – wtrącił Eugene.

– No właśnie!

– Nie możemy sobie na to pozwolić. Ty powiedziałaś „tak”.

– Ale mnie spytano!

– A czy narzekałabyś, że masz wyjątkowo utalentowane dziecko, gdybyś wcześniej nie wiedziała, że takie urodzisz? – spytała Jill.

Ta piekielna dziewczyna na wszystko miała odpowiedź!

– A jak coś pójdzie nie tak? – rzuciła Helen.

– W najgorszym razie zarazieni w ogóle nie będą mieli dzieci – wyjaśniła Jill.

– Wtedy błąd samoczynnie szybko się wyeliminuje.

– Czy ci ludzie już nigdy nie będą mogli mieć dzieci? Czy też ich dzieci będą upośledzone?

– Jeśli nawet w pojedynczych wypadkach tak by się stało, w drugiej fazie zostałyby to skorygowane – odpowiedziała ze spokojem Jill.

– No jasne, przecież opracowaliście model dwustopniowy – zauważyła sarkastycznie Helen.

– Początkowo tak – wtrąciła Jill. – Gdyby Eugene nie zepsuł wszystkiego przez swoją niecierpliwość.

– Znowu zaczyna... – zirytował się Eugene.

– Przestańcie! – krzyknęła Helen. – Chcę się dowiedzieć, na czym polega faza druga.

– W fazie drugiej udostępniamy szeroko nasz projekt – powiedziała Jill. – I dajemy ludziom na całym świecie do dyspozycji proste instrumenty, aby mogli

mieć wymarzone dzieci.

– Słucham? Niby jak? Biotechnologiczny zestaw dla majsterkowiczów pod nazwą: „Zrób sobie idealne dziecko”?

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Eugene, napawając się osłupieniem Helen.

– I niby jak miałyby to funkcjonować?

– Każdy mógłby wybrać sobie określoną cechę dla swojego dziecka, tak jak ty to zrobiłaś, na przykład przez internet. – Jill otworzyła w laptopie własne projekty systemu, który rzeczywiście przypominał schemat, jakim posługiwała się Rebecca Yun, gdy Helen i Greg zastanawiali się nad swoim potomstwem. – Potem zamówiłby w odpowiednim laboratorium albo, gdy procedura już się rozwinie, u masowego producenta zwykłe tabletki albo spray do nosa. Jak każde dowolne lekarstwo – mówiąc to, Jill kliknęła w ikonkę „zamawiam” widoczną na jeszcze martwej grafice. – W tabletkach lub w sprayu będą się znajdowały wirusy odpowiadające twojemu spersonalizowanemu modelowi. Kiedy zażyjesz te środki, w twoich komórkach progenitorowych pojawią się właściwości, jakie wymarzyłaś sobie dla swojego dziecka.

– W porównaniu z fazą pierwszą istnieje tu istotna różnica – wtrącił Eugene. – Ten wirus nie jest zaraźliwy. To znaczy, zmienia wyłącznie danego klienta.

– Nawiasem mówiąc, już spłodziliśmy w ten sposób jedno dziecko – dodała Jill. – W New Garden.

– Kendrę... – Helen przypominała sobie rozmowę ich obojga tuż po przybyciu do Eloxy.

– A mówiąc precyzyjnie, to zadanie przejął Eugene – wyjaśniła Jill. – Bo ja byłam na MIT. A w laboratoriach w New Garden nie ma szczególnie surowej kontroli, bo przecież nikt nie spodziewał się czegoś takiego.

Uśmiechnęła się z wyższością. Miała dziesięć lat, chociaż wyglądała na więcej. Helen poczuła ciarki na plecach. Czy jej córka też będzie taka?

– I w taki oto sposób każdy będzie miał swoje upragnione dziecko – podsumowała Jill.

– Każdy mężczyzna – skorygowała Helen. – Bo kobiety będą skazane na zgodę mężczyzn. Oni natomiast nie będą musieli o nic prosić.

– Fakt, to niefortunny krok wstecz pod względem równouprawnienia kobiet i samostanowienia przez nie o sobie – przyznała Jill. – Trzeba to rozwiązać w trzeciej fazie – dodała z przekonaniem. – Jak tylko znajdziemy możliwości poddania manipulacji żeńskich komórek jajowych.

Eugene spojrział na nią z wyrazem zaskoczenia.

– W trzeciej fazie? – spytał.

– Jeszcze do tego wrócimy – uspokoiła go.

– Mimo to dziecko chyba jednak nie odziedziczy w stu procentach danych właściwości – zauważyła Helen. – Bo u matki nic nie uległo zmianie. Tak przynajmniej wynika z praw Mendla, jeśli dobrze uważałam na lekcjach biologii.

– Dlatego rzecz jasna wbudujemy napęd genowy – odparł Eugene.

– No oczywiście. A co to jest?

Posługując się grafiką, na której dla Helen panował jeden wielki chaos, wyjaśnił:

– Mówiąc zwyczajnie: męski materiał dziedziczny może wbudować nowe właściwości także w niezmienioną część genomu kobiecej komórki jajowej.

– To możliwe?!

Helen zauważyła, że mówi coraz głośniej.

– Tak.

– Wow – westchnęła. – A kto będzie produkował te tabletki? To nie będzie zabronione?

– Nie sposób zakazywać tego wiecznie – odpowiedziała z przekonaniem Jill. – Jeśli jednak nie da się inaczej, udostępniemy online instrukcje, jak to zrobić samemu.

– Czyli jednak metoda „zrób to sam”!

– Tylko w razie konieczności. Początkowo byłoby to niewątpliwie trochę ryzykowne dla użytkowników.

– Większe wyzwanie widzę w zapewnieniu kontentu.

– Kontentu? – dopytała Helen.

– Mam na myśli warianty genetyczne – wyjaśnił Eugene.

Helen wzięła głęboki oddech.

– Według ciebie o co w tym wszystkim chodzi? O jakiś przemysł rozrywkowy?!

– Być może kiedyś też, kto wie.

Helen wywróciła oczami.

– Nie jestem pewna, czy chcę tego doczekać.

– Bardzo możliwe, że już doczekałaś. Pamiętaj, co nosisz w swoim brzuchu. I dlatego powinno ci zależeć na jak największym wyborze i dostępie dla jak największej liczby ludzi. Aby twoje dzieci nigdy nie musiały przeżywać czegoś takiego jak ja i Eugene oraz internowani w New Garden. Musisz nam pomóc!

– Czy to znaczy, że jeśli nawet ktoś jest zarażony waszym wirusem z fazy pierwszej, potem będzie mógł zmienić spermatoocyty za pomocą pigułki?

– Właśnie tak. A kiedyś także komórki jajowe.

– I kilka lat później też? Kiedy będzie można wbudować nowe, dodatkowe i – palcami zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu – „lepsze” zmiany?

– Przyszli rodzice będą tak robić. Bo po co stosować przestarzałe wersje? Co prawda niektórzy naukowcy marzą o tym, aby kiedyś wyposażyć dzieci, młodzież i dorosłych dodatkowo w starsze wersje...

– Na przykład mnie?

– ...ale na razie jeszcze długo nie będzie to możliwe.

– A jeżeli ktoś zbuduje tak jak wy jakiś wirus wyłącznie według własnych wyobrażeń i zarazi nim ludzi?

– Nie można tego wykluczyć.

– A jeśli więcej osób wpadnie na taki pomysł?

– To zapewni jeszcze większą różnorodność. Pod warunkiem że zakodują to wystarczająco czysto.

– Zakodują! Przecież nie mówimy o programistach!

– A jednak. Nazwa kod genetyczny nie jest przypadkowa. Genetyka to obecnie dyscyplina informatyczna.

– No a jeżeli ktoś zakoduje samych wariatów? Szaleńców? Morderców?

– Po co miałyby robić coś takiego?

– A dlaczego ktoś zrzuca bomby atomowe?! Albo wbija się samolotami pasażerskimi w wieżowce? Nie mam pojęcia! – krzyknęła Helen, nie przejmując się wcale tym, że podniosła głos. – Może po to, żeby zmajstrować doskonałego żołnierza! Albo wytepić członków znieprawionego narodu!

– No cóż, tak czy inaczej to od ciebie teraz zależy, czy twoje dzieci będą miały towarzystwo. Powinnaś nam pomóc! W twoim interesie. A przede wszystkim ze względu na swoje dzieci.

– Muszę... muszę to wszystko przetrwać – wykrztusiła Helen, nie mając bynajmniej na myśli dwóch kęsów burgera, na którego się skusiła.

Dzień siódmy

Linda nastawiła budzik na piątą. W żadnym razie nie mogła dopuścić do tego, aby którakolwiek z pięciu nadzorowanych przez nią osób opuściła hotel niezauważona. Przelotne spojrzenie przez okno na zasnuwane gęstymi chmurami niebo wystarczyło jej, by nabrać pewności, że nie może liczyć na pomoc z góry. Przez tę grubą zasłonę nie miał szansy przedrzeć się żaden obraz z satelity czy z drona. Dwadzieścia minut po piątej, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, ona i Bob spotkali się z wynajętymi ochroniarzami w pustym o tej porze hotelowym lobby. Czekało na nich sześciu Metysów o bardzo różnej posturze. Wszystkich łączyły źle dopasowane garnitury i rozdeptane buty. Wycofawszy się wraz z nimi w ustronny kąt holu, Linda rozdzieliła zadania i przekazała zdjęcia monitorowanych osób. Dziesięć minut później mężczyźni opuścili hotel, aby ustawić się przed nim w miejscach umożliwiających dyskretną obserwację. O szóstej Linda i Bob zasiedli w jadalni przed pustym bufetem, zadowolając się samą kawą. Ściskając w dłoniach filiżanki, nie spuszczała oczu z wind.

Po dziesięciu minutach pojawili się znajomi im dziewczyna i chłopiec. Bez Helen Cole. Zmierzali prosto do wyjścia. Odczekawszy chwilę, Linda i Bob ruszyli za nimi. Zdążyli jeszcze zauważyć, jak oboje wsiadają do czarnej limuzyny. Ta dwójka była najważniejsza, dlatego pozostawała obiektem numer jeden i jako taki należała do zadań Lindy. Para dzieci. Jakim cudem tych dwoje mogło zagrażać bezpieczeństwu narodowemu?

Pobiegła z Bobem na parking za hotelem. Wskoczyli do samochodu. On prowadził, ona zaś zadzwoniła do ochroniarzy, każąc im czekać na pozostałych. Po dwóch minutach dogonili czarne auto i zachowując odpowiedni dystans, jechali za nim, cały czas mając je w zasięgu wzroku. Ich niepozorny nissan nie rzucał się w oczy na tutejszych ulicach. Liczące ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Montes Claros nie było już bynajmniej małym miastem, jak jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Mimo niemałego ruchu Bob bez trudu podążał za celem. Po trzech kwadransach dotarli na obrzeża miasta, do zdecydowanie bogatszej okolicy, a potem, za domami jednorodzinnymi, pojedynczymi blokami, sklepami i niewielkimi zakładami produkcyjnymi pokazały się wreszcie pola i łąki. Samochód zajechał na parking przed niskim, podłużnym budynkiem, liczącym sobie na oko kilkadziesiąt lat. Ponad wejściem widniał wyblakły niebieski napis w stylu lat siedemdziesiątych, złożony z przechylonych zdecydowanie na prawo liter układających się w nazwę Eloxy.

Czarna limuzyna zatrzymała się, dwoje pasażerów wysiadło i zniknęło w pozbawionym ozdób wejściu. Bob przejechał obok, zawrócił jakieś sto metrów dalej na ulicy i zaparkował po przeciwległej stronie, między poobijanym pick-upem a furgonetką, tak aby mieli widok na drzwi wejściowe. Następnie wyłączył silnik.

– Mam nadzieję, że klimatyzacja działa nie tylko w czasie jazdy.

Nie działała. Ale na razie dawało się jeszcze wytrzymać.

Linda sprawdziła w internecie informacje na temat firmy. Nie było ich wiele. Zadzwoiła do osób kontaktowych w Stanach Zjednoczonych.

Gdy Helen się obudziła, najpierw musiała przez chwilę pozbierać myśli. W końcu zdała sobie sprawę, że nie śni – naprawdę znajduje się w kompletnie obcym mieście i wpatruje się w ścianę hotelowego pokoju, podczas gdy przez okno wdzierają się odgłosy ulicy.

Elektroniczny zegarek na telewizorze pokazywał, że dochodzi dziesiąta.

Leżała dalej i się zastanawiała.

Zaufanie dzieci wobec niej bynajmniej jej nie cieszyło, tylko irytowało. Zostawiły ją samą w pokoju. To był po prostu jakiś obłąd. Sytuacja ją przerastała. Zdecydowanie. Nadal mogłaby pokrzyżować ich plany. Ale kim była, aby rozstrzygać o losach ludzkości? Przecież nawet w przypadku własnych – przyszłych – dzieci miała wątpliwości. Przypomniała się jej uwaga Jill: „Czy narzekałabyś, że masz wyjątkowo utalentowane dziecko, gdybyś wcześniej nie wiedziała, że takie urodzisz?”. Ale teraz chodzi o całą ludzkość. Chociaż... to może zbyt dużo powiedziane. Nie powinna mieć się za Bóg wie kogo. A jednak... Ona mogła sama zdecydować. Miała wybór. A przyszłym rodzicom nie będzie on dany, jeżeli Jill i Eugene zrealizują swoje zamierzenia. Z drugiej strony, jeśli nowa technologia zostanie wykorzystana zgodnie z biznesowymi planami Winthorpe'a, wówczas przeważająca większość ludzi też będzie pozbawiona wyboru, ponieważ nie stać ich będzie na skorzystanie z jego oferty. Która z tych opcji jest lepsza? Która uczciwsza? A jeżeli rząd USA po zajęciu New Garden zniszczy tę technologię? Albo wykorzysta ją wyłącznie do własnych militarnych celów? A jeżeli technika stworzona przez Jill i Eugene'a nie jest jeszcze wystarczająco dopracowana i może mieć gorsze następstwa niż tylko pojedyncze przypadki bezpłodności?

Usiadła na łóżku. Miała jeszcze kilka dni na podjęcie decyzji. Być może nawet tygodni, w zależności od postępów eksperymentu.

Zastanawiała się, czy powinna spróbować skontaktować się z Gregiem w New

Garden. Ryzyko, że służby wywiadowcze USA mogłyby ustalić miejsce jej pobytu, było jednak zbyt duże.

Wzięła prysznic, a potem włożyła za długie dzinsy Jill i jej T-shirt, który okazał się w sam raz. Mimo to chciała mieć własne ubranie. Wzięła pieniądze, które dziewczyna zostawiła jej poprzedniego wieczoru, i zjechała windą. Pora śniadania dobiegała końca. Helen zadowolona się kawą i świeżym croissantem.

W recepcji zamówiła taksówkę, aby pojechać do centrum handlowego poleconego przez Jill.

Linda, podobnie jak Bob, opuściła do połowy szybę, aby powstał chociaż niewielki przewiew i ochłodził nieco wnętrze samochodu. Niemal przez cały czas siedzieli w milczeniu. Czterdzieści pięć minut temu zadzwonili ochroniarze sprzed hotelu. Po Jacobsena i Pahlena przyjechała limuzyna. Po dwudziestu minutach odezwali się znowu, meldując, że auto z dwoma pasażerami w środku zmierza w kierunku tej samej części miasta, w której Linda i Bob dusili się już od jakiegoś czasu.

– Może się założymy, czy oni też tu przyjadą? – zaproponowała.

– Na co stawiasz? – spytał Bob.

– Przyjadą – odpowiedziała po krótkim namyśle.

– To nie mamy się co zakładać – stwierdził z żalem Bob. – W końcu w tej okolicy nie ma zbyt wielu celów, które mogłyby być dla nich ciekawe.

Wysiadł, żeby rozprostować nogi w cieniu pojedynczych drzew. Wypalił papierosa i wrócił. Czekali dalej. W końcu na niewielki parking przed Eloxxy zjechało audi. Za nim ukazał się samochód starej daty, na którego przednich siedzeniach Linda dostrzegła dwóch wynajętych przez siebie pomocników. Podczas gdy audi parkowało, oni przejechali dalej. Minęli także swoich zleceniodawców, nie dając po sobie poznać, że ich zauważyli. W tym momencie odezwał się telefon Lindy.

– Wygląda na to, że my też musimy znaleźć sobie tutaj jakieś dyskretne miejsce do zaparkowania – oznajmił głos w słuchawce.

Punktualnie o dziesiątej Helge i Horst wkroczyli do recepcji Eloxxy. Jeszcze nie zdążyli usiąść na kanapie, gdy wyszedł po nich Levinson i ponownie zaprowadził ich do izolatki, jak Helge nazywał w duchu to pomieszczenie. Podobnie jak poprzednim razem teraz też musieli oddać wszystkie urządzenia elektroniczne.

Levinson poprosił, aby usiedli, podczas gdy on stał, ukrywając dłonie za plecami.

– No więc w firmie są dwa stanowiska – zaczął. – Jedna strona chce dalej rozmawiać, chociaż jest nastawiona raczej negatywnie. Druga byłaby gotowa na różne formy współpracy.

– Nasuwa się pytanie – odezwał się Helge – po której ze stron opowiadają się najważniejsze osoby z kierownictwa. Na przykład pan.

– Ja osobiście jestem w stanie wyobrazić sobie zmianę, oczywiście pod pewnymi warunkami.

– O nich możemy porozmawiać. A kto jeszcze?

– Nikt inny nie jest panu potrzebny. To ja jestem tu mózgiem. Jeśli nie zależy panu na całej firmie, jestem gotów przejść. Pozostali są dobrzy, ale w końcu jedynie wykonują moje polecenia. Podobny zespół mogę stworzyć także u pana. Potrwa to jedynie nieco dłużej, niż gdyby zabrał pan stąd nas wszystkich.

Helge, wyraźnie zaskoczony, skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał się Levinsonowi, który wydawał się równie spięty jak dzień wcześniej. Bezczelna arogancja widoczna we wczorajszej rozmowie jednakże zniknęła. Ta zmiana nastawienia nieco go niepokoiła. Czyżby podziały ich pogrożki? A może kryje się za tym coś zupełnie innego? W gruncie rzeczy jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że odpowiedzialny za cudowne produkty szef badań i rozwoju jest skłonny przejść do Santiry.

– A co powiedzą pozostali na pańską decyzję? – spytał Helge.

– To mnie nie obchodzi.

– Czy wiedzą o pańskich planach?

– To jeden z warunków, o których wspomniałem. Nasze rozmowy do chwili zawarcia porozumienia pozostaną poufne.

Helge rozplótł ramiona.

– Wobec tego powinniśmy jak najszybciej wszystko przygotować. Nie mogę tkwić nie wiadomo jak długo na brazylijskiej prowincji. Przyjadę jeszcze raz dziś po południu. Oczekuję wtedy od pana konkretnych propozycji.

Helen znalazła sklepy sprzedające znajome jej marki, przymierzyła kilka rzeczy i w końcu zdecydowała się na dwie pary lekkich spodni, kilka T-shirtów oraz dwie bluzki. Kupiła też prostą bieliznę, T-shirty, spodnie i slipy dla Eugene'a. W drogerii zaopatrzyła się w niezbędne kosmetyki, po czym z czterema wielkimi torbami wróciła taksówką do hotelu.

Znalazłszy się w swoim pokoju, przebrała się, a następnie włączyła telewizor i przeleciała przez wszystkie dostępne amerykańskie kanały informacyjne w poszukiwaniu najnowszych doniesień z San Diego. Wynikało z nich, że osiedle

nadal jest zablokowane. Nie wspomniano ani słowem, by ktokolwiek opuścił New Garden. Czyli Mike miał rację.

Powinna napisać do Grega.

Nagle rozbudziła się w niej inna myśl. Przecież mogłaby zadzwonić do jakiejś dużej stacji telewizyjnej albo do „New York Timesa” i wszystko opowiedzieć. Sprzedać swoje *story* za wielkie pieniądze. To rozwiązałoby całe mnóstwo problemów. Wtedy nie mogliby już jej zamknąć. Czy wręcz przeciwnie? Gdyby opinia publiczna zwróciła się przeciwko niej, czego nie można było wykluczyć. Byłaby jednak zabezpieczona finansowo. Ale czy pozwolono by jej zatrzymać dzieci? Czy jeszcze kiedykolwiek prowadziłaby spokojne życie? Odrzuciła ten pomysł. Przede wszystkim pragnęła mieć potomstwo.

Co teraz? Musiała się czymś zająć. W mieście nie było nic ciekawego do oglądania. Na telewizję nie miała najmniejszej ochoty. Zamówiła więc taksówkę i podała adres Eloxy.

– Nasi ludzie oczywiście natychmiast przyjrzeni się Eloxy – powiedział Jaylen, kładąc przed Jessicą ciekawą teczkę. – Relacje właścicielskie uległy zmianie trzy lata temu, po przejęciu. Dwa procent udziałów należy do nowego szefa działu badań i rozwoju, Randa Levinsona. – Wskazał na dokumenty w teczkę. – Strona trzecia. Ale do niego jeszcze wrócimy, bo jest interesujący z innego powodu. – Chudy mężczyzna w średnim wieku o przerzedzonych włosach. Jessica przeglądała dalej papiery. – Pozostali właściciele ukrywają się w rajach podatkowych za niejasną płataniną spółek – kontynuował Jaylen. – Oczywiście dotrzemy do nich, tyle że nie w ciągu jednej nocy. Na szczęście w innych dokumentach znaleźliśmy schemat, który nieco nam wyjaśnił. Strona szósta.

Jessica objęła wzrokiem diagramy, na których widoczne były liczne prostokąty z nazwami i adresami firm, połączone ze sobą liniami. Jaylen mówił dalej:

– Dwie z tych firm pojawiają się zarówno w katalogu, na który FBI natrafiła na serwerze Jill Pierce, jak i w kontaktach bankowych, które niedawno założyła.

– Super – bąknęła Jessica.

– Dokładna analiza jeszcze trochę nam zajmie, wygląda jednak na to, że Jill Pierce przy pomocy Randa Levinsona kupiła Eloxy.

– Aby jego rękami móc przeprowadzać swoje eksperymenty – domyśliła się Jessica. – Ta mała...

– Ale wyłącznie te na roślinach i zwierzętach – zauważył Rich, który siedział obok i słuchał.

– Tego jeszcze nie wiemy. Może nawet tamten śmiertelny wirus pochodzi z Eloxy – zakwestionowała Jessica.

– To dlaczego był wysłany z San Diego?

– Jednego jestem pewien – rzekł Rich. – Levinson musi wiedzieć, nad czym pracuje, skoro daje się zdalnie sterować Jill. Mimo to nie jestem w stanie sobie wyobrazić, aby ujawniła mu swoją serię F. Albo żeby on opracował znany nam zabójczy wirus.

– Mam wrażenie, że on by sobie z tym poradził – wtrącił Jaylen.

Rich sięgnął po wydruk jego życiorysu.

– MIT, firmy ze światowej czołówki – mamrotał pod nosem. – Rzeczywiście – przyznał, gdy przeczytał do końca. – Poradziłby sobie.

– A jeśli chodzi o ten śmiertelny wirus, nie byłbym taki pewny, czy on rzeczywiście nie powstał w Eloxy – powiedział Jaylen. – Bo jak się okazuje,

Rand Levinson ma coś wspólnego z naszym starym znajomym. Strona jedenasta.

– Daniel Boldenack! Nasz haker biotechnologiczny! – wykrzyknęła Jessica, gdy zobaczyła jego twarz.

– No właśnie. Na początku pracowali razem w jednej firmie. Potem wpadli z powodu narkotyków i podejrzanych incydentów. Przez pewien czas Boldenack zaopatrywał Levinsona w drugi.

– Nadal mają ze sobą kontakt?

– Sprawdzamy to. Ostatnie dane pochodzą sprzed ośmiu lat. Ale może po prostu byli od tamtej pory ostrożniejsi.

Obiad nie smakował Helgemu. Odbyte po nim telekonferencje też nie przebiegły po jego myśli, ale przynajmniej Micah zadbał o to, aby ich uczestnicy korzystali z niedających się zlokalizować telefonów prepaidowych, dzięki czemu obecne miejsce pobytu całej ich trójki nadal pozostawało tajemnicą. Helge w nie najlepszym humorze wyszedł z hotelu, przed którym miał na niego czekać samochód. Tymczasem podjazd przed wejściem był pusty. Z irytacją rozejrzał się wraz z Horstem, lecz jedyne auta, jakie widzieli, stały na stacji benzynowej obok albo na prawie pustym hotelowym parkingu. Gdy wściekli zamierzali już wrócić do lobby, przed hotel zajęchała limuzyna. Kierowca natychmiast z niej wyskoczył, gorliwie podbiegł do drzwi i otworzył je szeroko przed pasażerami.

Burknąwszy coś na powitanie, wsiedli do środka. Podczas jazdy nie rozmawiali wiele.

Ponownie znaleźli się przed Eloxxy. Helge poprawił sobie krawat i wysiadł razem z Horstem. Szara zasłona chmur nieco łagodziła prażący blask słońca, sprawiała jednak, że było jeszcze bardziej duszno niż dzień wcześniej. Ulicą za parkingiem przejeżdżały nieliczne samochody, od czasu do czasu także motocykle i motorynki. Po jej drugiej stronie, w odległości około trzydziestu metrów, zatrzymała się właśnie nieduża toyota. Helge jeszcze raz poprawił sobie krawat. Kiedy spojrzął na samochód, coś wzbudziło jego podejrzenie, chociaż w pierwszej chwili nie umiał określić, co dokładnie. Czy ten samochód jest zbyt czysty? A może widział go już wcześniej? Z całą pewnością widział niejeden podobny, bo przecież to model znany na całym świecie. Może dzisiaj przed południem. Przed hotelem, kiedy czekali na swoją limuzynę.

– Nie widziałeś już gdzieś tej małej toyoty, która tam stoi? – spytał Horsta, starając się nie patrzeć zbyt intensywnie w kierunku auta.

Horst zerknął w tamtą stronę.

– Nie.

– Jedziemy z powrotem – oświadczył Helge, po czym ku zaskoczeniu szofera sam otworzył tylne drzwi i wszedł do środka. – Mamy jeszcze coś do załatwienia – zwrócił się bezpośrednio do kierowcy. – Niech pan skręci z parkingu w lewo i jedzie do centrum. Ale nie najprostszą drogą, tylko proszę trochę kluczyć.

Szofer posłusznie wykonał polecenie. Helge wyjął telefon, uruchomił kamerę i trzymał aparat w taki sposób, jakby odbywał z kimś telekonferencję, podczas gdy w rzeczywistości ustawił go tak, aby na ekranie widoczna była tylna szyba.

Gdy mijali toyotę, usiłował rzucić okiem na jej pasażerów, którzy wciąż jeszcze nie wysiedli. Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni. Wykorzystując dalej komórkę jako lusterko wsteczne, Helge obserwował, jak toyota niedługo potem ruszyła z miejsca i włączyła się do ruchu za dwoma motorowerami i jednym poobijanym niedużym samochodem.

– Nie oglądaj się – uprzedził Horsta.

Po pierwszym skręcie z głównej trasy toyota zniknęła.

„Mam paranoję” – pomyślał Helge.

Również po następnym nie pokazała się już za nimi.

– No i? – spytał Horst.

– Jeszcze chwila – odpowiedział Helge. Gdy odbili trzeci raz w bok, poprosił szofera, aby wrócił do Eloxxy, po czym schował komórkę do kieszeni. Następnie obejrzał się za siebie.

Znowu się pojawiła.

– Niech pan jedzie do najbliższego supermarketu albo centrum handlowego czy dokądkolwiek, gdzie moglibyśmy dostać kawę.

Po kilku minutach i dwóch kolejnych skrętach zatrzymali się przed zwyczajnym barem. Kierowca otworzył drzwi Helgemu, po czym obaj mężczyźni przynieśli z niewielkiego lokaliku dwa kubki kawy – jeden dla Helgego, drugi dla Horsta.

– Kto to może być? – zastanawiał się Horst.

– Nie mam pojęcia. Ktoś z Eloxxy?

– Ale po co? Przecież wiedzą, że tu jesteśmy.

W drodze powrotnej Helge darował sobie zabawę ze smartfonem, tylko poprosił szofera, aby w lusterku wstecznym kontrolował jadący za nimi samochód. Kiedy pół godziny później ponownie zajechali przed Eloxxy, toyota zaparkowała po przeciwnej stronie ulicy, tym razem zdecydowanie dalej.

„Amatorzy” – pomyślał Helge, wysiadając.

– Możliwe, że to ci sami Amerykanie, którzy dzwonili do ciebie tuż przed odlotem – zasugerował Horst.

– Spróbujemy to ustalić.

Co prawda piloci mieli zadbać o to, żeby nikomu nie udało się zidentyfikować celu ich lotu, ale cholera wie, jakie możliwości mają ci przekłeci jankesi! Widocznie ta sprawa musi być dla nich diabelnie ważna, jeżeli odezwał się do niego ktoś taki jak ta Roberts z samego Białego Domu.

Jeżeli więc w tym pudełku na kółkach siedzą ludzie z CIA, to Helge miał chyba poważny problem. Bo to oznaczało, że służby wiedzą nie tylko, gdzie on teraz

jest, ale też, że okłamał władze. Tyle że po agentach służb specjalnych USA spodziewałby się mniej dyletanckiego działania.

– Proszę wyświadczyć mi przysługę – zwrócił się do kierowcy, wciskając mu do ręki banknot. – Niech pan zrobi małe kółko i dyskretnie zanotuje numer rejestracyjny tej małej beżowej toyoty, która stoi tam, po lewej. A potem proszę mi go przynieść. Będę w środku – powiedział, wskazując ręką na budynek za nimi.

Helge i Horst zameldowali się u recepcjonistki, uprzedzając jednocześnie, że się im nie spieszy i mogą poczekać na Levinsona, jeśli jest bardzo zajęty. Następnie usiedli na sfatygowanej kanapie. Pięć minut później do foyer wszedł kierowca ich limuzyny i ruszył prosto do nich.

– To pracownicy miejscowej firmy ochroniarskiej – poinformował.

– Można jakoś się dowiedzieć, czego oni chcą? – spytał Helge. W ostateczności mógł potem przekazać numer Micahowi i kazać mu się zająć tą sprawą.

– Ma się paru przyjaciół w branży – powiedział kierowca z nieznacznym uśmiechem. – Wystarczyły dwa, trzy telefony i wszystko wiadomo. To było dosyć proste. – Zamilkł i czekał. Helge zrozumiał. Wygrzebał kilka banknotów z kieszeni i wetknął je mężczyźnie do ręki. Ten zerknął na nie mimochodem, żeby ocenić ich wartość. – Zostali wynajęci przez niejaką Lindę Courtes. – Wręczył Helgemu pomiętą kartkę.

Helge natychmiast wybrał numer Micaha i podyktował mu nazwisko.

Levinson był jeszcze bledszy niż wcześniej. Helge i Horst szli za nim przez pomarańczowo-fioletowe korytarze. Akurat gdy dotarli do izolatki, odezwał się telefon Helgego. Micah Fox.

Odszedł na bok i odebrał, rzucając do słuchawki jedynie krótkie: „Tak?”.

– Linda Courtes jest z amerykańskiej ambasady w Brazylii – oznajmił Fox.

Na Helgem niewiele rzeczy robiło wrażenie, jednak akurat ta wiadomość nie pozostawiła go obojętnym.

– CIA? – spytał po cichu. Levinson nie powinien był go usłyszeć.

– Możliwe, ale niekoniecznie. W każdym razie reprezentuje władze amerykańskie.

– Dzięki.

Rozłączył się.

A więc Jessica Roberts jednak go znalazła.

Prawdopodobnie powinien teraz zadzwonić do działu prawnego Santiry. Utrudnianie działania organom państwa. Co najmniej. Chociaż z drugiej strony – gdyby nie on, o niczym by się nie dowiedzieli.

– Muszę wyjść jeszcze na chwilę – powiedział do Horsta i Levinsona.

Energicznym krokiem wrócił na parking. Stał w cieniu pod drzewem i zadzwonił do Micaha. Poleciał mu, aby połączył go przez centralę firmową z zewnętrznym rozmówcą. Następnie podał mu numer, który dostał od Jessiki Roberts do dalszych kontaktów.

Gdy Jessica opuszczała samolot, lotnisko w Montes Claros było już oświetlone sztucznym światłem. Razem z nią przylecieli Rich i trzech inni członkowie prezydenckiego zespołu specjalnego mający ważne paszporty dyplomatyczne albo wizy. Oraz Greg Cole, bez wizy. Na razie nikt o nią nie pytał. Może uda mu się porozmawiać ze swoją żoną. Nakłonić ją do ustępstw. Reszta miała na razie zostać w samolocie.

Jessica ze swoimi towarzyszami czekała właśnie w pobliżu terminalu na podjeżdżające limuzyny swoich kolegów operujących na terenie Brazylii, gdy na wyświetlaczu jej bezpiecznej komórki pojawił się numer z San Diego.

– Mamy na linii Helgego Jacobsena – usłyszała. – Będzie pani z nim rozmawiać?

– Proszę przełączyć.

W słuchawce rozległo się kliknięcie.

– Panie Jacobsen, gdzie pan jest?

Milczenie po drugiej stronie. Po chwili mężczyzna powiedział:

– Niedługo po naszej ostatniej rozmowie otrzymałem informacje, które mogły mnie doprowadzić do twórców GMO. Przed przekazaniem ich pani chciałem je najpierw sprawdzić, żeby nie wywoływać fałszywego alarmu.

– To bardzo uprzejmie z pana strony. – Niestety, sarkazm był trudny do przekazania drogą telefoniczną, zwłaszcza przy niezbyt dobrej jakości połączeniu.

– To, że pan dzwoni, każe mi wnioskować, że informacje były przydatne. – Dlaczego odezwał się akurat teraz?

– Możliwe – odparł Helge. – Natrafiliśmy na firmę, z której prawdopodobnie były wysyłane GMO.

– Interesujące – wtrąciła Jessica. – Jak nazywa się ta firma? I gdzie się znajduje?

– W Brazylii – powiedział Helge. – W mieście Montes Claros. Stan Minas Gerais.

– To tam, gdzie w dwa tysiące piętnastym runęła zapora górnicza i doszło do wielkiej katastrofy ekologicznej?

– Tak, to jest ten sam stan.

– A jak nazywa się firma?

Zasłoniła sobie drugie ucho, do którego wdzierała się głośna zapowiedź z megafonu na lotnisku.

Helge prawie nie słyszał Roberts, bo raptem w telefonie rozgrzmiał jeszcze jeden głos. Mechaniczny, jakby pochodził z głośnika. Portugalski, jak zorientował się po chwili. I nagle sobie przypomniał. Podobną zapowiedź słyszał na własne uszy poprzedniego dnia. Na lotnisku Montes Claros. Zawahał się, zdezorientowany.

– Słucham? Nie rozumiem pani – rzucił. – Szwankuje połączenie... – Potrzebował czasu na zastanowienie. Nie miał go wiele. Jak to możliwe, że Jessica Roberts znalazła się tutaj tak szybko? Ci obserwatorzy musieli już dłużej deptać mu po piętach. W ogóle po co tutaj przyjechała? To prawda, że tutejsze organizmy GMO są wyjątkowo zaawansowane, a sposób ich dystrybucji szkodzi interesom branży, ale czy to jest wystarczający powód, aby współpracownica prezydent Stanów Zjednoczonych zawiadamiła ambasadę i od razu leciała do Brazylii? Tak czy inaczej, chyba już od dawna wiedziała, gdzie on się znajduje.

– Eloxy – powiedział. – Tak nazywa się ta firma.

– Dziękuję.

Koniec połączenia.

Helge włożył komórkę do kieszeni marynarki i popatrzył przed siebie, na ulicę, w stronę beżowej toyoty.

– Kurwa – szepnął Levinson, a potem wrzasnął: – Kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Helge obawiał się, że facet zaraz zacznie płakać. Albo zemdleje. Albo jedno i drugie.

– Musimy stąd zwiewać – powiedział Helge. – I to zaraz.

– Taaak – potwierdził przeciągle Levinson i rozejrzał się wokół, jakby prześladowały go duchy. – Tylko... muszę coś jeszcze załatwić.

– Jeśli wyjdziemy od frontu, pojedą za nami. Można wydostać się stąd jakoś od tyłu?

– Przez pola testowe – wyjaśnił Levinson. – Tamtędy można dotrzeć do sąsiednich ulic, a potem zawołać taksówkę. Co później?

– Zobaczymy. Ile czasu pan potrzebuje?

– Niczego nie przygotowałem. Nie wiedziałem, że tak szybko...

Droga z lotniska zajmie Roberts co najmniej pół godziny. Czyli zostało im jeszcze około dwudziestu minut, o ile ona wcześniej nie wysłała swoich ludzi.

– Niech się pan pospieszy! Mogą tu być w każdej chwili!

Po przyjeździe do Eloxy Helen siedziała w laboratorium i przyglądała się pracy dzieci. Na początku dopytywała, co robią, otrzymywała jednak bardzo lakoniczne odpowiedzi, aż w końcu Jill oświadczyła, że musi się skoncentrować.

Helen nieustannie biła się z myślami, co będzie z nią dalej. Nagle drzwi laboratorium otworzyły się z impetem i do środka wpadł Levinson. Zrobił trzy kroki, po czym stanął jak wryty, jakby sobie coś przypomniał. Jill i Eugene spojrzeli na niego wystraszeni.

– Co się stało? – spytała Jill.

– Ach... nic – rzucił. Powiódł błędnym wzrokiem po sali, zatrzymał spojrzenie na Eugenie, szeroko otworzył oczy, jego głowa lekko drgnęła, po czym znowu rozejrzał się niespokojnie. – Pomyliłem drzwi.

I zniknął.

– Co to było? – spytała Jill, marszcząc czoło.

– Pomylił drzwi – stwierdził Eugene sucho, a następnie pochylił się znowu nad swoimi instrumentami.

Cała ta scena wydała się Helen bardzo osobliwa. Dzieci zauważyły Levinsona dopiero, gdy stał w laboratorium, ona zaś widziała, jak do niego wpadł. Według

niej wyglądał na potwornie zdenerwowanego. I wcale nie pomylił drzwi. Ale Jill i Eugene zachowywali się tak, jakby już zapomnieli o całym zajściu – w skupieniu pobrzękiwali swoimi naczyniami. Jednak po chwili, gdy ona dalej się zastanawiała, co miało znaczyć nagłe wtargnięcie Levinsona, minął ją Eugene, rzucając półgłosem:

– Zaraz wrócę.

Jego muskularne małe ciało poruszało się tak samo sztywno jak zawsze, mimo to jakby nieco inaczej. Helen nie potrafiła tego dokładnie określić, ale wyraźnie to widziała. Odprowadziła go wzrokiem do drzwi, następnie odczekała kilka sekund i uchyliła je nieco, wyglądając za nim. Chłopiec biegł szybko korytarzem. Na jego końcu dostrzegła zarys męskiej postaci – dużą głowę o rozczochranych włosach, kościste ramiona i chudą sylwetkę w laboratoryjnym białym kitlu, ciemne, za długie spodnie marszczące się nad butami. To był Levinson. Helen знаła już na tyle dobrze budynek, że wiedziała, iż znajduje się tam kuchnia dla personelu. Eugene wszedł do niej, a Levinson zamknął za nim drzwi.

Znowu przypomniało jej się dziwne zachowanie mężczyzny. Jak szeroko otworzył oczy i kiwnął głową. To był znak skierowany do Eugene’a, teraz nie miała już co do tego wątpliwości. Co za tajemnice mogli mieć ci dwaj?

Helen wyslizgnęła się z laboratorium, zamknęła drzwi i jak najszybciej przemknęła w okolice kuchni. Po chwili usłyszała zza drzwi przytłumiony głos Levinsona. Wydawał się zdenerwowany, wręcz ogarnięty paniką.

– ...mogą być tutaj w każdej chwili! Musimy natychmiast uciekać!

Przycisnęła ucho do drzwi.

– Co dokładnie powiedział Helge Jacobsen?

– Ktoś z władz amerykańskich. Może nawet CIA. – Helen poczuła, jakby ktoś wymierzył jej cios prosto w żołądek. – On nie wie. Zdaje się, że skontaktowali się z nim już kilka dni temu. Ich ludzie obserwują budynek. Inni właśnie przed chwilą przylecieli. Pytał mnie o tylne wyjście!

Helen zaczęła się trząść. Gwałtownie wezbrała w niej fala mdłości.

– Przedstawiciele amerykańskich organów rządowych w Brazylii? Bez wsparcia sił miejscowych? – rzucił Eugene. – Mówił ci, po co tu przyjechali?

O czym opowiadał Levinson? Dlaczego pominęli Jill?

– Z powodu GMO, które rozsyłamy po świecie! A po co innego?

– No tak, po co innego – powtórzył Eugene tak cicho, że Helen ledwo go zrozumiała.

„Po co innego? Z twojego powodu. Z mojego powodu. Z powodu moich dzieci” – Helen poczuła, że zaraz zwymiotuje. Oparła drżącą rękę o ścianę tuż

obok drzwi.

– W porządku – usłyszała głos Eugene’a. – Muszę tylko coś zabrać i możemy stąd spadać. Spotkamy się z Helgem od tyłu.

Helen pospiesznie odeszła kilka kroków i udawała teraz, że właśnie przypadkiem przechodziła korytarzem. Walczyła ze sobą, aby w ogóle utrzymać się na nogach.

Gdy za jej plecami gwałtownie otworzyły się drzwi, odwróciła się odruchowo. Eugene wypadł z nich jak wystrzelony z procy, obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, ale pobiegł dalej. Po raz pierwszy wyglądał jak normalny mały chłopiec. Który boi się potworów pod swoim łóżkiem. Ogarnięty paniką. Pędził w kierunku laboratorium.

Również Levinson opuścił kuchnię. Skinął jej głową i ze wzrokiem utkwionym w podłogę pospieszył przed siebie.

Helen nie wytrzymała. Z walącym mocno sercem puściła się za Eugene’em, który zniknął już za zakrętem. Ten mały i Levinson prowadzili jakąś grę. Co prawda nie wiedziała, o co w niej dokładnie chodzi, lecz jednego była pewna: ona i Jill zostały z niej wyłączone. Nie podzielono się też z nimi informacją, że amerykańskie władze trafiły na ich trop.

Tym razem to ona z impetem otworzyła drzwi do laboratorium i wystraszyła Jill.

– Czy naprawdę tak trudno zapukać? – ofuknęła ją dziewczyna.

– Nie ma czasu! – krzyknęła Helen. – Musimy uciekać! Natychmiast!

Greg wciąż miał wrażenie, że to tylko sen. Jazda ulicami jakiegoś brazylijskiego miasta, o którego istnieniu jeszcze kilka godzin temu nawet nie wiedział, wydawała mu się zbyt surrealistyczna. Razem z nim w samochodzie siedziała wysoka rangą współpracownica prezydent Stanów Zjednoczonych i – jeśli dobrze zrozumiał – agenci CIA. Czekali na nich na niewielkim prowincjonalnym lotnisku w czterech autach. Jessica Roberts poprosiła go, aby z nią poleciał. Ledwie wystartowali, od razu zawisła na telefonie. Spytała swoich rozmówców, jaka jest sytuacja, i wydała polecenie, aby zostali na miejscu, dopóki oni się nie pojawią. Po skończeniu rozmowy wcisnęła Gregowi do ręki telefon, który przekazał jej jeden ze współpasażerów.

Na wyświetlaczu widoczny był nieznany mu numer.

– Niech pan zadzwoni – zażądała Jessica. – Tam jest pańska żona. Proszę powiedzieć, że chce pan z nią mówić.

– Ale ja nie znam portugalskiego – zastrzegł Greg. Myśl o Helen

spowodowała, że jego serce przeszło ukłucie bólu.

Levinson dotarł do Helgego i Horsta złany potem. Miał ze sobą chłopca, może dziesięcioletniego, wyjątkowo ładnego, nadzwyczajnie umięśnionego i wysportowanego jak na dziecko w tym wieku, wyglądającego na małego adepta sztuk walki o promiennie niebieskich oczach i ciemnych lokach.

– To mój syn Eugene – oznajmił Levinson, dysząc. – On musi iść ze mną.

Helge nie dostrzegwał żadnego podobieństwa między nimi dwoma. Poza tym Levinson nigdy nie wspominał o dziecku, w materiałach też nie było żadnej wzmianki na jego temat. Co ten mały tam robi, dlaczego nie jest w szkole? Helge i Horst wymienili spojrzenia. Nie było czasu na dyskusje.

– Pójdzie pan przodem – polecił Helge. Gdy weszli za nim do nowoczesnej części budynku, zadzwonił do kierowcy ich samochodu.

– Niech pan odjedzie z parkingu przed Eloxy – rozkazał mu – i kręci się po okolicy. Jeśli będzie miał pan ogon, musi się go pan pozbyć. I czekać na dalsze wskazówki.

Nie wiadomo, czy im się nie przyda.

Kiedy weszli do pomieszczenia z wieloma drzwiami, chłopak rzucił:

– Muszę jeszcze coś zabrać.

– Nie ma czasu! – zaprotestował Helge, ale dzieciak już zniknął.

– Co on tam robi? – spytał Horst rozdrażnionym głosem. – Co to jest?

– Tutaj rozmnażamy GMO – wyjaśnił Levinson. – Nie mam pojęcia, czego on tam szuka.

– Niech go pan przyprowadzi! – zażądał Helge. – Musimy iść! I niech mu pan uświadomi powagę sytuacji!

Niepotrzebnie się denerwował, bo Eugene właśnie się pojawił.

– Już jestem – oznajmił.

Kiedy Helen skończyła opowiadać, Jill zerwała się z krzesła.

– Chodź!

Kłusem dobiegły do recepcji. Na dworze zaczynało już zmierzchać. Jill zamieniła kilka zdań po portugalsku z kobietą siedzącą za ladą, po czym ta opuściła swoje miejsce i wyszła przed budynek, następnie przespacerowała się przez parking w kierunku ulicy, rozejrzała w obie strony, zrobiła kilka kroków w lewo, jakby chciała rozprostować nogi, przeciągnęła się, kilka chwil robiła krążenia głowy i ramion, po czym wróciła.

Ledwie otworzyła drzwi, od razu powiedziała coś do Jill. W recepcji

zadzwoił telefon, kobieta szybko odebrała.

Jill wycofała się w półmrok korytarza.

– Podobno rzeczywiście jakichś czterech gości siedzi w dwóch samochodach – poinformowała.

Kobieta krzyknęła coś do Jill z recepcji.

– *Haalquemquequarfalarhelencole. Eledizqueeseumarido.*

Jill zamarła na sekundę i kątem oka spojrzała na Helen, co nie uszło jej uwadze. Nagle zdała sobie sprawę, że zrozumiała fragmenty usłyszanego zdania. Tak przynajmniej się jej wydawało. Czy kobieta z recepcji wymieniła jej nazwisko? A na końcu powiedziała „seumarido”? *Seu marido*. Podobieństwo do hiszpańskiego było wyraźne. Jej mąż.

– Czy ona wspomniała coś o mnie? – spytała Helen. – I powiedziała „jej mąż”? Co to ma znaczyć? Czy to Greg właśnie dzwoni?

Miała nogi jak z waty.

Jill utkwiała w niej wzrok.

– Nie, musiałaś się przesłyszeć.

Ale Helen już zmierzała w stronę recepcji. Mimo całej złości i gniewu na Grega myśl o nim wydawała się zbawczą kotwicą w tym chaosie. Jill chwyciła ją za ramię.

– Nie mamy teraz na to czasu – oświadczyła. – Poza tym skąd wiadomo, czy to nie pułapka?

– Pułapka? Przecież oni i tak wiedzą, że tutaj jesteśmy.

– Żeby cię zatrzymać. Żeby znowu mieć cię pod kontrolą. – Jill świdrowała ją wzrokiem. – Musisz się zdecydować.

Helen, wyrwawszy się jej, podbiegła do kobiety i wzięła od niej słuchawkę.

– Greg? – wszyscy w aucie usłyszeli głos Helen dochodzący z włączonego głośnika w telefonie. – Greg, to ty?

Poczucie ulgi i radość odebrały mu na chwilę mowę.

– Tak – wykrztusił wreszcie. – Tak! Czy u ciebie wszystko dobrze?

– Tak. Gdzie jesteś?

Jessica rzuciła ku niemu spojrzenie i skinęła głową. Zgodnie z ustaleniami.

– Jadę do ciebie, kochanie. Boże, jak ja się o ciebie bałem! Zostań tam, gdzie jesteś.

Szum. Wreszcie głos Helen:

– Nie jesteś sam.

Greg spojrzał pytająco na Jessicę.

- Nie. Pomagają mi inni.
- Kto?
- Jessica Roberts, znasz ją. I inni.
- Ona jest z tobą?
- Tak.

Szum.

Sygnał.

Greg zacisnął szczęki, a potem coś zatkało mu krtań i odebrało powietrze.

– Powiedziałaś wcześniej, że musimy uciekać. – Jill zwróciła się łagodnie do Helen, która stała nieruchomo przy ladzie recepcji, ze słuchawką w ręce, podczas gdy po jej policzkach płynęły łzy. – Czy to nadal obowiązuje?

– Oczywiście – odpowiedziała szeptem i przygryzła wargę.

– Wobec tego nie ma na co czekać.

Gdy zaczęły biec, przez pierwsze metry Helen odnosiła wrażenie, że ma nogi z ołowiu.

Najpierw Jill popędziła z powrotem do laboratorium, gdzie szybko porwała ze stołu torbę.

– Masz przy sobie dokumenty? – spytała.

– Mam – potwierdziła Helen, ledwie dysząc.

Jill ruszyła dalej. Po kilku sekundach znalazły się w nowszej części obiektu, tej z pomieszczeniami do inkubacji. Dziewczyna otworzyła drzwi do jednego z nich, w którym Helen jeszcze nie była. Wyglądało jak połączenie pokoju pielęgniarskiego z apteką. Jakaś kobieta siedziała przy komputerze i coś pisała.

– Czy serie F są gotowe? – rzuciła Jill.

– Od rana – padła odpowiedź. Kobieta zmierzyła je obie spojrzeniem, nie kryjąc zdziwienia.

– Gdzie?

Wstała i otworzyła jedną z szaf. W oświetlonym wnętrzu stały szeregi zamkniętych słoiczków, buteleczek i innych pojemników. Wodząc po nich palcem wskazującym, kobieta przeszukiwała długie rzędy, aż wreszcie natrafiła na to, czego potrzebowała. Wyjęła dwie szklane rurki długości pół palca wypełnione przezroczystą cieczą i sprawdziła etykiety. Jill wzięła je od niej, rzuciła okiem i podziękowała. Zacisnęła na nich dłonie, a potem schowała je w torbie.

Minutę później obie znalazły się na samym końcu budynku, tuż przy wyjściu do szklarni. Minąwszy szybko długie kolumny sadzonek, dotarły do drzwi. Jill otworzyła je. Za nimi rozpościerał się w mroku istny las wysokiej kukurydzy. Od

budynku dzielił go mniej więcej dziesięciometrowy pusty pas ziemi. Po lewej i po prawej miasto wrzynało się swoimi mackami w otaczający krajobraz. Niedługo zrobi się całkiem ciemno. Jill rozejrzała się dookoła, próbując ocenić sytuację.

– Miejmy nadzieję, że nikogo tu nie ma – powiedziała, po czym puściła się przed siebie, a Helen za nią. Po kilku krokach dobiegły do skraju pola i zanurzyły się w morzu kukurydzy.

Helge trzymał się blisko Levinsona i chłopca. Twarz chłostały mu liście kukurydzy o ostrych kantach. Lewą ręką usiłował osłaniać się przed nimi, podczas gdy prawą przyciskał do ucha komórkę.

– Nikogo? To dobrze. Niech pan opuści parking i ruszy na wschód. Żeby tylko nikt za panem nie pojechał! A jeśli ktoś się przyczepi, to niech go pan zgubi! Albo da mi znać! Odezwę się znowu, jak będę wiedział, gdzie dokładnie będę pana potrzebował.

„O ile jeszcze ktokolwiek ma pojęcie, gdzie jesteśmy” – dopowiedział w duchu z wściekłością. Schował komórkę, akurat w idealnym momencie, bo wolną ręką mógł się obronić przed kolbą kukurydzy, która celowała prosto w jego nos.

– Dokąd idziemy? – spytała Helen.

Jill przebijała się przez ciemność i gąszcz kukurydzy niczym doświadczona badaczka dżungli.

– Najpierw musimy się wydostać ze strefy zagrożenia – wyjaśniła. – Potem zobaczymy. – Zdecydowanymi ruchami, niemal z furią, odtrącała kolejne potężne łodygi z drogi. – Rand i Eugene, te podłe szczury – prychnęła – myślą, że uda im się zwiać z Jacobsenem. A przecież jego samolot na pewno jest obserwowany.

– Ale czy Amerykanie rzeczywiście mogą ich zatrzymać? – spytała Helen. – Skoro nie współpracują z brazylijskimi władzami? Przecież nie powiedzą im prawdy.

– Wystarczy, że poinformują Brazylijczyków o nielegalnych GMO. To wystarczający powód, żeby uniemożliwić start. Jacobsen ma trzy możliwości. Jeśli jest sprytny, wybierze trzecią. Po pierwsze, może próbować uciec z resztą swoim jetem. Ale pewnie się domyśli, że jego maszyna jest monitorowana, każe więc pilotowi przygotować się do startu, a potem pojawi się w ostatniej sekundzie i wskoczy do samolotu. Dlatego na miejscu Amerykanów zatrzymałabym pilota i zmusiła do współpracy, i w ten sposób zastawiła na Jacobsena pułapkę. Po drugie, może próbować wykorzystać wynajęty samochód. Ale jeśli nawet Amerykanie jeszcze go nie namierzyli, i tak zaraz będą mieli go na celowniku. Ze względów bezpieczeństwa w wynajmowanych samochodach instalowane są teraz urządzenia lokalizacyjne. Trzecia możliwość to załatwienie sobie nowego samochodu.

– A co my zrobimy?

Należało przypuszczać, że niewielka recepcja firmy sprawiającej wrażenie podupadłej rzadko bywała tak pełna. Jessica razem z Gregiem Cole'em i czterema pracownikami ambasady amerykańskiej tłoczyli się przed ladą. Akredytowani jako dyplomaci funkcjonariusze CIA, posługując się perfekcyjnym portugalskim, podali się za brazylijskich policjantów po cywilnemu. Recepcjonistka nie przyjrzała się dokładnie ich legitymacjom, którymi machnęli jej przed nosem, poza tym wydawała się zmęczona. Tak naprawdę zamierzała już iść do domu.

– Nikt nie odpowiada – oznajmiła z silnym akcentem, przyciskając słuchawkę do klatki piersiowej.

– Gimp? Levinson? Cole? – Jessica wymieniała nazwiska. – Goście Jacobsen i Pahlen? Dzieci? Jill i Eugene? Nie ma nikogo z nich?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Jill Pierce i Helen Cole były tu jeszcze kilka minut temu – powiedziała. – Jill kazała mi wyjść na parking i sprawdzić, czy ktoś siedzi w samochodzie. A potem był telefon do pani Cole. Później obie stąd poszły.

– Czy rzuciło się pani coś w oczy? – spytał jeden z pracowników ambasady po portugalsku, który Jessica знаła na tyle, by zrozumieć jego pytanie.

– Nie – odpowiedziała kobieta, nieco onieśmielona. – Chociaż może... Wyglądały tak, jakby się spieszyły. Najpierw pobiegła pani Pierce, a zaraz za nią pani Cole.

– Coś jeszcze?

– Mniej więcej w tym samym czasie chłopca razem z Randem Levinsonem i dwoma gośćmi widziano w sekcji inkubacji – dodała. – Dowiedziałam się tego przed chwilą, kiedy wszystkich obdzwaniałam. A potem były tam także Jill Pierce i Helen Cole. Wszyscy coś stamtąd zabrali.

– Od tamtej pory już nic się nie wydarzyło?

– Nie wiem – odparła rozdrażniona. – Przecież nie rozmawiałam z każdym, kto tu pracuje. Zresztą o tej porze wielu już nie ma.

– A inni?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Czy w budynku są jeszcze inne wejścia i wyjścia?

– W sumie pięć.

– Proszę nas do nich zaprowadzić – zażądała rzekoma policjantka. – I do tego działu, gdzie ostatnio widziano chłopca.

Wszyscy szli za recepcjonistką przez liczne korytarze, aż wreszcie znaleźli się

w nowoczesnej części obiektu, gdzie kobieta pokazała im drzwi na zewnątrz. Jessica poleciła dwójce swoich ludzi, aby poszukali ewentualnych śladów, po czym ruszyła z resztą dalej.

– Wynajęty samochód Jacobsena wyjechał z parkingu – oznajmił Jaylen, podsuwając jej pod nos tablet, na którym czerwony punkt przesuwał się po mapie.

W pomieszczeniu za podwójną śluzą siedzieli laboranci i szczepili jajka. Recepcjonistka poprosiła jedną z kobiet w białym kitlu na zewnątrz.

– Czego chłopiec chciał od pani? – spytała rzekoma policjantka. Jessica tylko w połowie zrozumiała odpowiedź. Agentka przetłumaczyła ją w całości.

– Poprosił ją o małą fiolkę z organizmami, które rano przyniósł jej do rozmnożenia.

– To oni przyjmują zlecenia od dzieci? – spytała Jessica.

– Od momentu kiedy kilka dni temu pojawiła się tutaj Jill Pierce – tłumaczyła dalej agentka. – Dla niej też już wykonali kilka zleceń.

„Oby nie chodziło o namnożenie wirusa z serii F” – pomyślała z nadzieją Jessica.

– Czy proces namnażania już się skończył? – spytała.

– Z materiałem chłopca nawet jeszcze nie zaczęli – wyjaśniła agentka. – Dlatego wziął tylko swój materiał wyjściowy.

– Czy powiedział, do czego jest mu potrzebny?

– Nie.

– Kto z nim był? Jill Pierce?

– Nie. Doktor Levinson i ci dwaj goście.

– Niech pani pójdzie sprawdzić pozostałe wyjścia – poleciła Jessica agentce. – I proszę wziąć ze sobą trzech kolegów.

Wskazane osoby ruszyły wykonać polecenie, ona zaś zwróciła się do pozostałych pracowników ambasady.

– Proszę zadzwonić do naszych ludzi na lotnisku, żeby uważali na Helgo Jacobsena i resztę. Ci, którzy czekają w samolocie, niech dopilnują, aby piloci przypadkiem nas nie okpili. Dwoje z nas zostanie tutaj, na wypadek gdyby jednak ktoś się jeszcze pojawił.

Więcej nie mogli zrobić. Trudno bowiem sobie wyobrazić, by w obcym kraju okupowali prywatną firmę. Wcześniej czy później ktoś wreszcie odkryje ich dyplomatyczne awanturnictwo. Zwróciła się znowu do laborantki:

– Jak bardzo zaawansowane jest namnażanie Jill? – Jak to brzmiało!

– Ona nie wie – powiedziała druga agentka po krótkiej wymianie zdań z kobietą. – Trzeba spytać dwa pomieszczenia dalej.

Tam inna laborantka wyjaśniła im łamanym angielskim:

– Dwie małe fiołki były już gotowe. Panna Pierce zabrała je ze sobą.

Jessica zaklęła w duchu. Przed wywołaniem lawiny międzynarodowych problemów postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę. Wybrała firmowy numer Helgego Jacobsena.

Helge przedzierał się przez kukurydzę za Levinsonem, chłopcem i Horstem, podczas gdy nad ich głowami od czasu do czasu spomiędzy chmur wyzierał księżyc. Nagle wydało mu się, że coś wije się po ziemi. Gdy przerażony odskoczył w bok, w kieszeni spodni zabręczał mu telefon. Wyjął go, nie zwalniając kroku.

Znał ten numer. Połączyła się z nim przez firmę. Nie zatrzymując się, odebrał.

– Jacobsen – zaczęła rozmowę bez powitania. – Gdzie pan jest?

Zwolnił nieco, aby mniej dyszeć.

– W podróży służbowej, przecież pani wie.

Dzięki telefonowi na kartę wciąż nie byli w stanie go dokładnie zlokalizować. Miał nadzieję, że Micah wszystkiego dobrze dopilnował.

– Niech pan nie próbuje robić ze mnie głupiej, bo to się panu nie uda! Nie wiem, w co pan gra, ale skoro ma pan ze sobą dzieci, powinien pan o nich co nieco wiedzieć.

Dzieci? Jakie dzieci? Z nimi był przecież jedynie syn Levinsona.

Roberts mówiła dalej:

– Wiemy, że dzieci, zanim uciekły z Eloxy, zabrały z sekcji inkubacji i namnażania pewne organizmy. – Helge przypomniał sobie, że syn Levinsona wstąpił gdzieś tuż przed opuszczeniem budynku, a naukowiec rzekomo nie wiedział, po co on tam poszedł. – Nawet nie ma pan pojęcia, w co się pan wpakował! Za tą sprawą kryje się znacznie więcej znacznie poważniejszych rzeczy, niż byłby pan w stanie sobie wyobrazić w najgorszych snach! Mamy podstawy, by przypuszczać, że te dzieciaki wzięły ze sobą zabójczy wirus! Rozumie mnie pan? Będzie pan narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo! I nie tylko pan, ale cała ludzkość, jeśli tylko wirus zostanie uwolniony do otoczenia! Trzeba powstrzymać te dzieci. A w tym momencie pan jest jedyną osobą, która może to zrobić! Rozumie pan, co do pana mówię? Cięży na panu ogromna odpowiedzialność! Niech pan spróbuje je gdzieś obezwładnić, najlepiej nie w pobliżu ludzi.

Helge szedł coraz wolniej, szukał w ciemności sylwetki chłopca. Niby jak dziesięciolatek mógłby zmagistrować zabójczy wirus? A co ważniejsze: z jakiego

powodu? I dlaczego ona bez przerwy trajkotała o dzieciach? Kto jest tym drugim dzieckiem?

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – odezwał się wreszcie. Horst odwrócił się do niego, gdy usłyszał, że z kimś rozmawia. – Tu nie ma żadnych dzieci. – Nawet nie skłamał, bo przed nim siedł tylko jeden jedyny chłopiec.

– Jak pan chce – odpowiedziała Roberts. Jej głos nie był już tak natarczywy, za to brzmiał bardzo surowo. – Nie ma pan najmniejszej szansy, aby opuścić ten kraj. Za kilka godzin dopadniemy pana. I wtedy znajdzie się pan w prawdziwych tarapatach, obiecuję to panu. O ile będzie pan jeszcze żył.

Helge nabrał głęboko powietrza. Mocne groźby. Zabójczy wirus. Prawdziwe kłopoty. Pieprzenie. W rzeczywistości chodzi im pewnie o Levinsona. Próbowali dobrać się do niego przez jego syna, bo jest supermózgiem biotechnologii i mógłby przynieść im miliardy.

„Ja też byłbym gotów wymyślić najdziksze historie, aby mieć go w garści – pomyślał. – Nie oddałbym go bez walki”.

– Wykonuję swoją robotę, pani Roberts, a pani swoją. Życzę powodzenia – powiedział do słuchawki.

– Jankesi? – spytał Horst, obracając głowę. Również Levinson i mały zorientowali się, że rozmawia przez telefon, i na moment przystanęli.

– Idziemy dalej – rzucił do nich.

Jessica z wściekłością cisnęła telefon na udo.

– Dureń! – syknęła przez zęby. – Proszę mnie połączyć z brazylijskim ministrem spraw wewnętrznych – poleciła jednemu z pracowników ambasady. – Natychmiast. Chodzi o zagrożenie międzynarodowe najwyższej wagi. Bioterroryzm. Musimy koniecznie znaleźć te dzieci i je powstrzymać. Wszelkimi dostępnymi środkami.

– O ile nie jest już za późno – szepnął Rich.

Gdy Helge wraz z pozostałymi w końcu wyłonili się na skraju pola, byli pokryci strzępami liści i włóknami kukurydzy, a twarze i dłonie mieli pocierane od ostrych krawędzi roślin i twardych łodyg. Przed nimi w świetle księżyca stały nędzne domki, zbudowane z surowej cegły i pokryte zwykłą blachą, a biegnące między nimi nieutwardzone drogi prowadziły w obszar bardziej cywilizowany. Helge otrzepał się w miarę starannie i ruszył dalej. Małemu jakimś cudem udało się prawie wcale nie zabrudzić, a Horst i Levinson wierzyli chyba, że w miarę jak będą szli, stopniowo opadną z nich kurz i śmieci. Tak więc posuwali się dalej

przez upiorne, częściowo piaszczyste, częściowo błotniste ulice, aż w końcu dotarli do usianej dziurami i rozpadlinami, ale pokrytej asfaltem jezdni. Cały czas jako pierwszy szedł Levinson, z energią, jakiej Helge nigdy by się po nim nie spodziewał. Jego syn kroczył za nim, nie skarżąc się ani słowem. Helge miał wrażenie, że w tej ciemności ze wszystkich stron obserwuje ich wiele par oczu. W końcu Levinson zatrzymał się na jakimś większym skrzyżowaniu.

– Teraz zamówimy taksówkę – powiedział. – Mam kierowcę, z którym często jeżdżę. Mogę zadzwonić do niego bezpośrednio, nie przez centralę.

Helge podał mu swój telefon.

Dziesięć minut później z ulgą wsiedli do samochodu. Helge zajął miejsce z przodu, pozostała trójka z tyłu, przy czym Levinson wylądował pośrodku. Jego zapach przepełniał Helgego obrzydzeniem, na razie jednak nie miał wyboru.

– Do hotelu? – spytał taksówkarz. – Na lotnisko?

– Ani do hotelu, ani na lotnisko – odpowiedział Helge.

Wyjął baterię ze swojej komórki.

– Zróbcie to samo – zwrócił się do pozostałych. – Pan też – powiedział do mężczyzny za kierownicą.

Horst i Levinson zrozumieli natychmiast, kierowcę zaś przekonali kilkoma banknotami. Po chwili on również położył baterię swojego sfatygowanego telefonu w zagłębieniu między przednimi fotelami.

– To będzie dla pana intratny kurs – oznajmił mu Helge. – Jest pan gotowy na nocną jazdę?

– Wszystko jest kwestią ceny. – Taksówkarz uśmiechnął się do niego.

– São Paulo.

– Jak pan sobie życzy, *senhor*. Gotówką?

– Oczywiście. – Na szczęście w takich krajach jak Brazylia Helge zawsze miał przy sobie większe sumy. Wręczył mężczyźnie dwieście dolarów. – Resztę dostanie pan na miejscu.

Helen podążała za Jill przez pole kukurydzy. W końcu dotarły na jego skraj, gdzie roślinność była już nieco rzadsza. Przedzieranie się przez ciemność absorbowало całą jej uwagę. Wokół otaczały ją obce zapachy i obce odgłosy, jedynie od czasu do czasu przemykały jej przez głowę strzępy myśli. Znowu ucieczka? Czy teraz tak już będzie zawsze? Może jednak powinna się poddać. Dokąd zmierzają? Czy powinna ufać tej dziewczynie? Ale komu innemu mogłaby jeszcze uwierzyć? Posuwały się do przodu, reagując nerwowo na każdy szmer i odgłos, aż wreszcie przedostały się do wąskiej drogi z szeregiem nędznych chat po obu stronach. Jakiś młody mężczyzna minął je na terkoczącej motorynce. Helen obawiała się, że straciły orientację. Lecz na szczęście po kilku minutach doszły do szerszej, asfaltowanej ulicy, po której jeździły nie tylko motorynki, ale także motocykle i samochody. Jill, idąc powoli przed siebie, próbowała złapać podwózkę. Jako dwie atrakcyjne kobiety nie musiały długo czekać. Tuż obok zatrzymała się nieduża ciężarówka z gigantycznymi jutowymi workami szepionymi byle jak do kupy na pace. Starszy mężczyzna i jego towarzyszka, oboje o spalonych słońcem i poranych zmarszczkami twarzach wieśniaków, z uśmiechem zaprosili je do szoferki.

Ponieważ w Eloxy nie było ani jednej z poszukiwanych osób, Jessica i reszta popędzili z powrotem na lotnisko. Bez większej nadziei. Ścigani bowiem z całą pewnością spodziewali się, że terminal i samolot będą monitorowane. Po drodze pracownicy ambasady i Jessica bez przerwy wydzwaniali do najwyższych przedstawicieli władz brazylijskich. Gwar rozmów wypełniał wnętrze auta.

– ...nie zastałem... – mówił właśnie człowiek z ambasady, podczas gdy Jessica usiłowała przekonać kogoś w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, by połączono ją z samym ministrem.

– Chodzi o nielegalnie rozprowadzane transgeniczne organizmy, możemy mieć do czynienia z bioterrorystycznymi działaniami na niewyobrażalną skalę... – Nie mogła powiedzieć mu prawdy. – Nie, oczywiście, że nie prowadzimy żadnego pościgu ani śledztwa na własną rękę – próbowała uspokoić zbulwersowanego urzędnika. – Respektujemy w całej rozciągłości prymat organów brazylijskich... ale musieliśmy dokonać pewnych ustaleń, aby nie narażać was na skutki fałszywego alarmu... – Kiepski wykręt. Relacje między oboma krajami od lat nie były najlepsze, a ta historia bez wątpienia pociągnie za sobą kolejny

dypłomatyczny dysonans.

Kierowca ciężarówki zostawił Jill i Helen przy pełnym życia wieczornym targowisku gdzieś w środku Montes Claros. Jill podziękowała wylewnie i na pożegnanie wcisnęła chłopce banknot do ręki. Nie musiały długo szukać taksówki. Na skraju placu czekało ich aż pięć w szeregu. Nieduże samochody, wyglądające w miarę solidnie. Płynnym portugalskim Jill zaczęła negocjacje z pierwszym z taksówkarzy. Po dosyć długiej wymianie zdań i kręceniu głową przeszła do następnego. Ta sama dyskusja, z której Helen nie rozumiała ani słowa. Ale tym razem się udało. Jill dała jej znać ręką, aby wsiadła do tyłu, ona zaś zajęła miejsce przy kierowcy. Wręczywszy mu rulon banknotów, nie cofnęła dłoni, tylko nadal trzymała ją wyciągniętą ku niemu. W końcu mężczyzna podał jej telefon komórkowy.

– Dla bezpieczeństwa – wyjaśniła, po czym lekko obróciła głowę ku Helen i dodała: – Żeby nie wpadł przypadkiem na głupi pomysł i nie próbował sprawdzić z kumplami, czy nie mamy jeszcze więcej pieniędzy. – A otwierając jego komórkę i wyjmując z niej baterię, dodała: – Poza tym ktoś mógłby nas obserwować. Lepiej się zabezpieczyć i nie dać się zlokalizować przynajmniej przez komórkę. Przed nami długa droga.

– A dokąd jedziemy? – spytała Helen.

– Namierzenie telefonu komórkowego Jacobsena trochę potrwa – poinformował jeden z pracowników ambasady po zakończeniu rozmowy telefonicznej. – Jeśli w ogóle się uda. Brazylijczycy i tak już są wściekli z powodu pani obecności tutaj. Niektórzy najchętniej natychmiast by panią wydalili. W każdym razie nie mamy co liczyć na szeroką współpracę.

– A nasze służby?

– Pracują nad tym. Między innymi próbują dostać się przez centralę Santiry. Tyle że tym razem dział bezpieczeństwa firmy może być bardziej pedantyczny niż do tej pory.

Na lotnisku Montes Claros musieli zadowolić się dwoma okrągłymi stolikami barowymi w kawiarni terminalu jako zaimprovizowaną centralą dowodzenia. Skupiwszy się wokół nich w piętnaście osób, przystąpili do narady.

– Musimy uświadomić Brazylijczykom – zaczęła Jessica – że tu nie chodzi już jedynie o współpracę, ale o żywotny interes ich własnego państwa! Mówimy o groźbie terroryzmu biologicznego! Oczywiście mogą to zignorować, mogą zająć się tym na własną rękę albo też wspólnie połączymy siły, aby wyeliminować

niebezpieczeństwo. – Następnie zwróciła się do mężczyzny ze swojego zespołu: – Co wiadomo o wynajętym samochodzie Jacobsena?

– Zlokalizowaliśmy go za pomocą Avisa i monitorujemy. Nadal kręci się w pobliżu Eloxy. Jeśli chodzi o sprawdzenie korporacji taksówkowych, musimy uzbroić się w cierpliwość. Lokalnym siłom trudno zarzucić nadgorliwość nawet w normalnych warunkach. Do wykonania tego zadania oddelegowano na razie tylko jedną osobę. Nasza *digital intelligence* też do tej pory nic nie odkryła.

Jessica zakłęta w duchu.

– Okej – powiedziała. – Samolotem się stąd nie wydostaną. Pozostaje im wyłącznie samochód. Dokąd waszym zdaniem mogą pojechać?

– A może zaszyją się w Montes Claros? – zasugerował jeden z dyplomatów. – I odczekają, aż wszystko się uspokoi?

– To też jest jakaś opcja. Jednak chyba bardziej prawdopodobne, że spróbują stąd uciec.

– A właściwie po co mieliby w ogóle uciekać? – spytał dyplomata.

– Choćby po to, żeby uniknąć aresztowania – rzuciła z irytacją Jessica. Prawdziwego powodu nie mogła mu wyjawić. – Niech pan nie traci czasu i dzwoni, gdzie się tylko da, żeby uświadomić miejscowym notablom wagę problemu!

Odciągnęła na bok Richa, po czym, kupiwszy dwie kawy, wycofała się razem z nim w nieco spokojniejszy kąt kawiarni.

– Kolejny strzał w dziesiątkę na liście urokliwych miejsc na randkę – powiedział z przekąsem.

– Widzę, że chyba trochę się nudzisz?

Jessica postawiła swój laptop na stoliku.

– Jaki cel mogliby obrać? – zwróciła się do niego. – Mam kilka pomysłów, ale chętnie usłyszałabym twoje zdanie.

– Jest sporo znaków zapytania – odpowiedział. – Czy wszyscy są z Jacobsenem? Uciekają osobno? Kto dowodzi? On? Jaki ma w tym interes? – Głośno pociągnął łyk zbyt gorącej kawy. – Ogromnie niepokojąca jest informacja, że dzieciaki zabrały z laboratorium wyhodowane organizmy. I to nawet namnożone, jak w przypadku Jill. Z plików na jej serwerze wynika, że może chodzić o okazy z serii eksperymentów opatrzonej literą F. To samo dotyczy Eugene'a i danych, które chciał zabrać z San Diego. Niewykluczone, że udało mu się je tutaj zrekonstruować. Na razie puszczam wodze fantazji: celem tych dzieciaków jest to, aby za pomocą wirusów genetyczne modyfikacje człowieka rozprzestrzeniły się jak najszybciej i jak najszerszej po świecie. Są ścigane

i muszą liczyć się z tym, że mimo swojej wielkiej przebiegłości wcześniej czy później wpadną. Możliwe, że w dłuższej perspektywie jest to ich jedyna szansa, aby puścić w obieg te wirusy. Muszą więc ten niewielki zasób organizmów, jakim dysponują, wykorzystać jak najefektywniej. I bardzo szybko. Co powinni zrobić w takiej sytuacji?

– Uwolnić wirusy w miejscach, z których błyskawicznie mogą roznieść się dalej, najlepiej na cały świat – powiedziała Jessica. – Myślmy o tym samym?

– Najlepsze miejsce do tego celu to duże lotnisko międzynarodowe. Które w Brazylii jest największe?

– W São Paulo. Zdecydowanie.

– Czy Jill i Eugene też tak myślą? – spytał Rich. – Bo ja postawiłbym na Rio de Janeiro.

– Sądzę, że kto jak to, ale oni dwoje to wiedzą.

Jessica otworzyła laptop.

– Mamy pogładowe scenariusze. Są nawet dostępne online.

Na ekranie pojawiła się mapa świata.

– Jeśli na lotnisku São Paulo, które rocznie przyjmuje ponad czterdzieści milionów pasażerów, zostanie uwolniony zaraźliwy wirus, błyskawicznie rozprzestrzeni się po całym świecie – przeczytała na głos.

Z São Paulo sieć linii rozchodziła się po całym kontynencie amerykańskim, sięgała także do Europy – były to połączenia lotnicze z innymi miastami świata. Tam, gdzie lądowały samoloty, w okolicy pojawiały się czerwone punkty – liczne w Ameryce Łacińskiej, pojedyncze w Stanach Zjednoczonych i Europie. Następnie rosły, mnożyły się, zlewały w plamy, wysyłając nowe promienie, na których końcach na Bliskim Wschodzie, w Azji, a wreszcie także w Afryce pojawiały się kolejne punkty i rozrastały stopniowo. Przez cały czas w dolnym prawym rogu ekranu tykał zegar odmierzający dni.

– Po trzech miesiącach zarażona byłaby cała Ameryka Łacińska. Po czterech Stany Zjednoczone, po pięciu Europa, po pół roku kraje arabskie i znaczna część Azji. Afrykę wirus objąłby na samym końcu, ale też by się nie obroniła. – Jessica zatrzymała animację. – W ciągu pół roku los ludzkości byłby przesądzony.

– Niewykluczone, że przeoczyliśmy jakiś element, i może oni zamierzają coś zupełnie innego, ale wcale nie mniej groźnego – wtrącił Rich.

– Dlatego trzeba działać. Wszystkie duże lotniska w kraju muszą być pilnie obserwowane. My lecimy do São Paulo. Samochodem Jacobsen i dzieci będą tam jechać całą noc. Czyli znajdziemy się na miejscu przed nimi.

Energicznym ruchem zamknęła laptop.

– Chyba że pojedą do Rio – powiedział Rich, idąc za Jessicą w stronę reszty zespołu.

Dzień ósmy

Początkowo Jill odpowiadała taksówkarzowi na jego nieustającą paplaninę, podczas gdy Helen w nieregularnie rozbłyskującym blasku reflektorów aut jadących z naprzeciwka usiłowała rozjaśnić swoje myśli.

W którymś momencie Jill ucięła wreszcie rozmowę z kierowcą. Jechali przez noc przy akompaniamencie jedynie szumu silnika.

– Co teraz? – spytała w końcu Helen.

Jill, zapatrzona w przesuwany się za boczną szybą krajobraz, spojrzała po chwili na starszą towarzyszkę podróży, która widziała jedynie zarys jej postaci, chyba że akurat samochód z przeciwległego pasa na kilka sekund rozświetlił kontury twarzy dziewczyny jaskrawym światłem.

– Spróbuję doprowadzić swoją pracę do końca. O ile po zdradzie Eugene'a jest to jeszcze w ogóle możliwe.

– Dlaczego to zrobił?

– Bo jest niedojrzały, to jeszcze dzieciak! Z jednej strony, mamy identyczny plan: w jak najkrótszym czasie jak najwięcej nowoczesnych dzieci na świecie. Tyle że nasze koncepcje zasadniczo się różnią. Ja jestem za jak największą liczbą wariantów i za ciągłym ich rozwojem. Przecież wiadomo od dawna, że tylko duże zróżnicowanie populacji, w tym także ludzkości, kultury, zapewnia większe szanse przetrwania i możliwości postępu. Mimo to Gene opowiada się wyłącznie za jednym wariantem. Najchętniej za własnym genomem. Czyli w zasadzie marzy mu się mnóstwo Eugene'ów. Bo on boi się innych. To jest podejście egoistyczne i krótkowzroczne. Głupie. Być może na pierwszy rzut oka monokultury wydają się potężne, ale nie potrafią reagować na zmiany, nie są w stanie się rozwijać i jeśli ma się do dyspozycji właściwe narzędzie, można je za jednym zamachem zniszczyć.

– Dlatego Eugene chciał wszystko przyspieszyć. A co takiego zrobił, że aż musiałaś uciekać?

– Nie powiem ci tego. Coś koszmarnie kretyńskiego. Dorośli dostaliby za to dożywocie albo wylądowali na krześle elektrycznym.

– Zamordował? – Helen jęknęła, przeklinając jednocześnie w duchu chwilę, gdy doktor Benson po raz pierwszy przedstawił jej i Gregowi wiadomą propozycję. – Kogo?

– I tak już za dużo powiedziałam. Zapomnij. Stało się.

– Ale to przecież istne szaleństwo, jeśli on dopuszcza się takich rzeczy!

Dlaczego go nie powstrzymałaś?

– Niby jak miałam to zrobić? W New Garden mógł majstrować sobie bez przeszkód wszystko, co chciał, nikt mu nie przeszkadzał. Poza tym to jeszcze dziecko! – Tylko jakie! – I w końcu jakby mój brat – bąknęła Jill bardziej do siebie niż do Helen, która mimo wszelkich kłótni, jakich była świadkiem między tym dwojgiem, dostrzegła łączącą ich mocną więź.

– W gruncie rzeczy chodzi wam tylko o rywalizację – stwierdziła. – O to, kto przeforsuje swoją wizję przyszłości „nowoczesnego” człowieka. My, ludzie starej daty – podkreśliła z szyderstwem – jesteśmy wam całkiem obojętni! Jesteśmy dla was jedynie inkubatorami.

– Mylisz się – odpowiedziała łagodnie Jill. – Jesteście i pozostaniecie naszymi rodzicami.

– To nie może być prawda – bąknęła Helen.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ona również może mieć takiego Eugene’a. Jednocześnie uprzytomniła sobie, że we wszystkich wyjaśnieniach i dyskusjach ostatnich dni nigdy nie pojawił się jeden konkretny wątek, nikt o niego nie zapytał. Czy można zmienić genom również tak, aby dzieci były nastawione pokojowo i umiały zgodnie współpracować z innymi? Modyfikacje wprowadzane przez zespół z New Garden czyniły je szybszymi, inteligentniejszymi, wydajniejszymi. Doskonale przygotowanymi do globalnej rywalizacji. A w osobie Eugene’a stworzono silniejszego, sprawniejszego i inteligentniejszego mordercę. Trudno to uznać za optymalizację, jak stwierdziła Helen w duchu.

Pogrążona w zadumie oparła czoło o chłodną szybę i wpatrzyła się w ciemność, rozjaśnianą od czasu do czasu blaskiem ulicznej latarni albo słabym światłem padającym z przydrożnych garkuchni czy nędznych sklepików. Położywszy dłoń na brzuchu, z lękiem zadała sobie pytanie, co tak naprawdę w nim rośnie.

Szef bezpieczeństwa Aeroporto Internacional de São Paulo-Guarulhos, jak również przedstawiciele burmistrza, gubernatora stanu i ministra spraw wewnętrznych mieli takie miny, jakby nie mogli się zdecydować, co bardziej wytrąciło ich z równowagi: historia, którą usłyszeli z ust Jessiki, czy też niewyobrażalna bezczelność tej jankeskiej baby o pokancerowanej twarzy. I jej całej świty. Bez jakichkolwiek pozwoleń przystąpiła w Brazylii do pościgu. A kiedy jej się nie udało, postanowiła całe to gównno rzucić im na głowę. Na dodatek o takiej porze! Mimo wszystko nie było wyjścia: musieli zaakceptować polecenia swoich najwyższych przełożonych i zgrzytając zębami, współpracować.

To wszystko mieli wypisane na twarzach.

– Co zrobimy, jeśli oni rzeczywiście pojawią się w Guarulhos? – spytał ponuro szef bezpieczeństwa lotniska, elegancki mężczyzna, którego kwadratową szczękę pokrywał ciemnawy cień zarostu z piątej rano.

– Przede wszystkim trzeba ich zidentyfikować.

– O to niech się pani już nie martwi! – odparł urażony. – Cały port lotniczy jest wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia monitorujące. Wprowadziliśmy zdjęcia poszukiwanych do systemu, resztę wykona za nas program rozpoznawania twarzy.

– A pańscy ludzie jak zawsze patrolują terminale?

– Oczywiście. A co mają innego do roboty?

Ona na jego miejscu w strategicznie ważnych punktach umieściłaby dodatkowe posiłki. Ale w końcu to nie ona tu dowodziła. Musiała zdać się na kompetencje miejscowych.

– W porządku. Chciałabym postawić w strategicznych miejscach kilku współpracowników ambasady, aby w razie czego mogli szybko interweniować. W końcu niektórzy z poszukiwanych to obywatele Stanów Zjednoczonych.

Szef bezpieczeństwa z wyrazem dezaprobaty na twarzy szukał spojrzeniem pomocy u innych. Przedstawiciel ministra spraw wewnętrznych niemal niezauważalnie i jakby z lekką rezygnacją skinął głową.

– Ale nie będą nic robić, dopóki nasi ludzie nie uzyskają kontroli nad sytuacją – oznajmił.

– Oczywiście – zgodziła się Jessica.

– To my zatrzymamy poszukiwanych i ich aresztujemy – dodał.

– I nie dopuście, aby ewentualnie użyli broni biologicznej. W razie

konieczności zastosujecie siłę. – To też nie zjednało jej sympatii wśród zgromadzonych. – Jak wspomniałam, choć może to brzmieć dziwnie, najbardziej niebezpieczni są dziesięcioletni chłopiec i nastolatka.

– Nasi ludzie mają strzelać do dzieci?

– Tylko w ostateczności.

Delegat burmistrza z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Terrorysty. Czyli musimy się liczyć z oporem – dodał szef bezpieczeństwa.

Jessica nie mogła oświecić mężczyzny i opowiedzieć mu o umiejętnościach tych dzieciaków. Dorośli byli niegroźnymi cywilami. Za to one... Wciąż jeszcze miała sińce po ich nocnym ataku przy śmigłowcach w New Garden.

– Możliwe. Jeżeli się pojawią, musimy przy użyciu wszelkich środków nie pozwolić na to, aby uciekły albo uwolniły te niebezpieczne organizmy.

– Wszelkich środków? – powtórzył za nią szef bezpieczeństwa.

– Tak – potwierdziła Jessica.

Na obrzeżach São Paulo ruch wyraźnie się zageścił. Levinson od kilku godzin gapił się w okno, wciąż dygocząc. Jechali całą noc. Zatrzymali się dwa razy przy drodze, żeby się wysikać, i tylko raz na kawę. W świetle słońca jego trupio blada skóra wydawała się jeszcze bardziej przejrzysta, niemal widać było przez nią kości. Stan ojca raczej nie robił wrażenia na synu. Horst drzemał z głową opartą o boczną szybę. Helge zaś przestał rozmyślać i obserwował przez okno tętniącą życiem metropolię. Z powodu braku telefonów nie mogli niczego ustalić. Będą musieli pytać. Helge zamierzał wyczarterować jakąś prywatną maszynę i dopiero kiedy znajdzie się poza granicami tego kraju, pomyśleć, co dalej.

Spytał kierowcę, czy przypadkiem nie wie, w którym terminalu znajdują biura wynajmujące jety biznesowe. Mężczyzna nie miał pojęcia.

– O ile mi wiadomo, w trzecim – rzucił z tyłu Eugene.

Skąd ten mały mógł to wiedzieć? Można było odnieść wrażenie, że wszystko przewidział i zaplanował. Mimo woli Helge przypomniał sobie ostrzeżenia Jessiki Roberts. Może jednak coś było na rzeczy?

Około wpół do dwunastej taksówkarz zajechał przed terminal numer 3 lotniska São Paulo-Guarulhos. W morzu samochodów wypatrzył lukę na tymczasowych miejscach parkingowych. Mimo długiej jazdy żaden z pasażerów nie wyskoczył z ulgą z auta.

Helge zapłacił taksówkarzowi, nawet dokładając trochę do ustalonej kwoty, po czym odwrócił się do reszty i powiedział:

– To co, wychodzimy? Proponuję, żebyśmy się rozdzielili. Albo po dwóch, albo trzech pójdzie razem, a jeden sam. Przypuszczam, że oni szukają większej grupy.

– Przecież tu kręcą się setki ludzi – wtrącił Horst. – Na pewno uda nam się między nimi zniknąć.

– Okej, wobec tego ja pójdę z Eugene’em – zadeklarował Levinson, odzywając się po raz pierwszy od wielu godzin.

– Wolałbym, żeby pan był ze mną – powiedział Helge. W końcu zdecydował się na całą tę wyprawę nie po to, żeby on teraz się rozmyślił i dał drapakę. – Horst Pahlen na pewno dobrze zajmie się pańskim synem.

– Ale przecież nie mogę swojego...

– W porządku, tato, nie przejmuj się – nieoczekiwanie wtrącił mały.

– Czyli ustalone – podsumował Helge. – Nadal nie wolno nam używać

komórek. Pozostajemy w zasięgu wzroku, żebyśmy się nie zgubili.

Przeznaczony wyłącznie dla połączeń międzynarodowych terminal trzeci został zbudowany dopiero w 2014 roku na rozgrywane w Brazylii mistrzostwa świata w piłce nożnej. Wraz z oddaniem go do użytku port lotniczy São Paulo-Guarulhos stał się największym portem Ameryki Łacińskiej oraz jednym z większych na świecie. W 2015 roku odprawiono z niego czterdzieści milionów pasażerów z różnych kontynentów. Również tego dnia lotnisko zdawało się pękać w szwach. Setki twarzy przewijały się przez monitory centrum monitoringu, dzięki którym ochrona lotniska czuwała nad porządkiem i bezpieczeństwem na terenie hali odlotów. Kolejne setki pojawiały się na ekranach strefy przylotów i dwóch pozostałych terminali. Operatorzy, siedząc przed nimi, rutynowo wykonywali swoją pracę i właśnie zaczęli niewinną zabawę, która uświadomiła Jessice, że chyba nie jest tu mile widziana. Jeden z nich powiększył obraz kobiety bawiącej się swoim telefonem komórkowym: jedynie od czasu do czasu unosiła znad niego głowę, a potem znowu zapomniała o bożym świecie.

– To chyba ktoś z pani ludzi, prawda? – spytał Jessicę siedzącą za jego plecami na obrotowym krześle, z oczami utkwionymi w monitorze. – Przy stanowisku odprawy prywatnych jetów? – dodał z ironicznym uśmiechem, którego Jessica wprawdzie nie mogła zobaczyć, ale wyczuła go po tonie głosu.

– Oczywiście – odpowiedziała, zachowując spokój. – Przecież nie polecą samolotem rejsowym, bo na pewno się domyślają, że monitorujemy lotniska, a zwłaszcza terminale międzynarodowe.

– Ja chyba też mam kogoś – odezwał się inny operator. Rzeczywiście, odkrył Richa, który usadowił się wygodnie w kawiarni hali odlotów terminalu trzeciego i obserwował ogromną ścianę frontową z szeregiem wejść, chociaż był w stanie objąć wzrokiem co najwyżej połowę z nich. Monitory mimo wszystko lepiej pełniły tę funkcję.

Rich nalegał na to, aby uczestniczyć w operacji, i Jessica się zgodziła, ponieważ mogła im się przydać każda para oczu. Co jakiś czas kontaktowali się ze sobą telefonicznie.

Na jednym z ekranów wokół głowy jakiegoś mężczyzny pojawił się owal, a jego twarz szybko się powiększyła.

– Rozpoznawanie twarzy – skomentował operator. Człowiek na monitorze miał przeciwsłoneczne okulary na nosie, co nie spodobało się programowi, ponieważ utrudniały lub wręcz uniemożliwiały identyfikację.

Operator zapisał zbliżenie, które program uzupełnił już o dane dotyczące płci,

wzrostu i wieku. Oprócz tego wyświetlił galerię zdjęć ściganych osób, do których pasowały zarejestrowane parametry. W końcu poszukiwano nie tylko podejrzanych Jessiki. Operator porównał szybko ponad trzydzieści portretów ze świeżo zapisanym ujęciem i w końcu stwierdził:

– To żaden z nich.

Jednym kliknięciem uwolnił pasażera w ciemnych okularach z macek software’u. Ledwie skończył procedurę, odezwała się z kolei operatorka:

– I tych dwoje.

Czyli zabawa trwała dalej. Ale kobieta miała rację. Jessica bowiem uległa prośbie Grega Cole’a, który koniecznie chciał uczestniczyć w poszukiwaniach żony, i teraz kręcił się po terminalu w towarzystwie agenta. Operatorka nieomylnie wyłowiła ich z tłumu. Greg miałby wielkiego pecha, gdyby ktoś dopadł go z jego paszportem bez wizy.

– Okej, widzę, że znacie się na swojej pracy – przyznała głośno Jessica. – Skupmy się, proszę!

Jill wysunęła plik dolarów z torby tylko na tyle, aby móc odliczyć należność dla kierowcy. Resztę wetknęła z powrotem. Helen zdążyła rzucić okiem na pieniądze i oszacowała, że było tam jeszcze co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przy okazji odkryła też kilka dodatkowych rulonów. Jill miała przy sobie także laptop. Zauważyła spojrzenie Helen, ale nic nie powiedziała.

Włożyły okulary przeciwsłoneczne i czapki z daszkiem, które stanowiły ich standardowe wyposażenie już w Montes Claros i dlatego należały do niewielu rzeczy, jakie miały przy sobie w momencie pospiesznej ucieczki. Następnie pożegnały się z taksówkarzem, który życzył im wylewnie wiele szczęścia. Widocznie zapłata za kurs była więcej niż wystarczająca.

– Czy to nie jest ryzykowne – spytała po cichu Helen, gdy stanęły wśród wielu innych pasażerów przed terminalem – żeby w tym kraju nosić tyle gotówki?

– Jasne, że jest. Ale nie da się za wszystko płacić kartą kredytową. Choćby za taksówkę. Poza tym przez następne dwa tygodnie będziemy musiały nadal się ukrywać. Gotówka ogromnie w tym pomaga.

Na myśl o najbliższej przyszłości Helen znowu poczuła, że brakuje jej powietrza. Ale jaki miała wybór? Więzienie, w jakie władze zamieniły New Garden? Jill, ruszywszy przed siebie, zaczęła znowu grzebać w torbie i po chwili wyciągnęła z niej coś małego, co mieściło się w dłoni. Gdy wetknęła to do kieszeni spodni, Helen pomyślała, że to pewnie kilka złożonych banknotów.

Z bijącymi sercami weszły razem do terminalu skrajnym wejściem.

Na monitorze w centrum monitorowania hali odlotów terminalu trzeciego program rozpoznawania twarzy znowu wyłapał dwie osoby i przybliżył ich obraz. Zanim na ekranie wyświetliły się zdjęcia ściganych, Jessica już wykrzyknęła:

– To są dwaj z nich! Helge Jacobsen z Eugene’em. Nie do wiary!

Pospiesznie przebiegła wzrokiem po innych monitorach, które pokazywały szerszy obraz. W morzu ludzi nie dostrzegła żadnej znajomej postaci. Czy są sami? A gdzie Jill, Horst Pahlen, Rand Levinson i Helen Cole? Podczas gdy operatorzy przekazywali już informację umundurowanym kolegom, Jessica szybko połączyła się ze wszystkimi swoimi ludźmi w trybie telekonferencji, który skonfigurowała już z samego rana.

– Dwie z poszukiwanych osób znalezione – oświadczyła. – Jacobsen i chłopiec! Terminal trzeci, hala odlotów. Pozostali są prawdopodobnie niedaleko. Miejcie oczy otwarte!

Poszczególne głosy potwierdziły odbiór informacji, a po chwili odezwał się Rich:

– Widzę ich. A innym wejściem, jakieś dwadzieścia metrów dalej, wchodzi właśnie Pahlen i Levinson.

Jessica też już ich zobaczyła na monitorze. Poprosiła operatora, aby przybliżył ich twarze.

– Mamy ich. Faktycznie! *Yes!*

– Ale Jill i Helen nie widać – stwierdził Rich.

– Gdzie są wasi ludzie? – rzuciła do operatorów. – Przecież już dawno powinni tam być!

Nie otrzymała odpowiedzi, lecz po chwili zauważyła na innych monitorach pierwszych mundurowych z bronią, nie potrafiła jednak stwierdzić, gdzie dokładnie się znajdują.

Tymczasem zidentyfikowane dwie pary szły dalej w głąb hali, rozglądając się wokoło. Zachowywały się tak, jakby nie miały ze sobą nic wspólnego. Jessica wepchnęła telefon do kieszeni i wypadła na zewnątrz – centrum monitorowania znajdowało się niecałe sto metrów od hali odlotów. Starła się nie biec, aby nie zwracać na siebie uwagi, tylko szła bardzo szybko, jakby była pasażerką już prawie spóźnioną na samolot. Nadal nie widziała żadnych przedstawicieli sił operacyjnych. Przeciskała się przez tłum, gdy nagle stanęła jak wryta, ponieważ nie dalej niż dziesięć metrów przed sobą dostrzegła Levinsona i Pahlena. Byli odwrócenii do niej plecami i zmierzali w kierunku Richa, który siedząc na kawiarnianym krześle, usiłował zasłonić się za pomocą komórki, aby nie zostać rozpoznany.

Levinson i Pahlen szli teraz w stronę Eugene'a i Jacobsena, którzy wdali się w jakąś dyskusję.

Jessica, kryjąc się między ludźmi, starała się podejść do nich bliżej. Nadal ani jednego policjanta w zasięgu wzroku. Gdzie podziewali się ci uzbrojeni mundurowi, których widziała na monitorze? Znalazłszy się zaledwie kilka metrów od ściganej czwórki, usłyszała, jak Jacobsen zwrócił się do pozostałych:

– Gdzie jest wynajem samolotów biznesowych?

Jessica zastanowiła się przez chwilę, czy ma czekać na policję, ale gdy nadal nie dostrzegła ani jednego funkcjonariusza w pobliżu, podeszła do czteroosobowej grupki.

– Helge Jacobsen – powiedziała przytłumionym głosem za jego plecami, aby wykorzystać moment zaskoczenia. Nim zdążył się odwrócić, dodała: – Niech pan zachowuje się spokojnie. Mamy dwie możliwości: wszyscy czterej podporządkujecie się teraz moim poleceniom, zanim pojawi się tutaj grupa ciężko uzbrojonych i mało przyjemnych brazylijskich antyterrorystów. Wtedy może cała sprawa nie skończy się dla was całkiem tragicznie...

Jacobsen i pozostali trzej, którzy widzieli jego reakcję, patrzyli teraz wprost na nią. Od drugiej strony zbliżali się Rich i jedna z agentek.

– Albo odejdę i zostawię was antyterrorystom.

Helge nie zaszedłby tak wysoko w życiu, gdyby tego rodzaju sytuacja mogła wyprowadzić go z równowagi. Sytuacja kryzysowa. Potrzebne było rozwiązanie. Błyskawicznie rozważał możliwe opcje.

Brazylijczycy w gruncie rzeczy nic na niego nie mają. W najgorszym razie straci Levinsona, ponieważ zamkną go pewnie za nielegalne GMO. Ale jeśli wyłoży odpowiednio dużo pieniędzy, w ostateczności nie dopuści i do tego.

Jessica Roberts jest na niego wściekła. Jak będzie chciała, może mu oczywiście narobić kłopotów. Jednak nie na dłuższą metę. Stanowi natomiast dla niego szansę na wywiezienie stąd Levinsona, jeśli tylko uzmysłowiłby jej znaczenie tego człowieka także dla amerykańskiej gospodarki.

– Niech pani nie odchodzi – powiedział.

Lecz Jessica Roberts już go nie słuchała.

Podczas rozmowy z Jacobsenem Eugene, cofając się krok po kroku, odsunął się od grupy i jednocześnie wyjął coś z kieszeni spodni. Jessica dostrzegła małą fiolkę w jego dłoni dokładnie w momencie, gdy błyskawicznie się odwrócił i puścił pędem przed siebie. Odtrąciła na boki Pahlę i Jacobsena i rzuciła się za

nim w pościg, krzycząc:

– Eugene, stój!

Niewiele brakowało, a chłopiec wpadłby prosto w ramiona Richa, który przyklęknął jak ojciec witający syna. Mały przeskoczył jednak przez niego w stylu, na jaki nie zdobyłby się chyba światowej klasy płotkarz, i nieprawdopodobnie szybko przebierając nogami, popędził dalej.

Nagle zwolnił, siłą rozpędu biegł jeszcze dwa metry po śliskiej posadzce, aż w końcu zamarł w postawie zagnanego w pułapkę dzikiego zwierzęcia.

– *Pare! Pare! Stop! Não se mexa! Don't move! Tudo! All of you! Stop! Now! Imediatamente!*

Z trzech stron pędziło na niego sześciu policjantów z wyciągniętymi pistoletami maszynowymi.

Helen studiowała obok Jill ogromną tablicę informacyjną, gdy nagły tumult, który wybuchł w hali, kazał jej skierować wzrok w inną stronę.

Czterdzieści metrów dalej chyba sześciu wrzeszczących policjantów w kuloodpornych kamizelkach, hełmach i z automatami w rękach okrążyło grupkę, podczas gdy setki piszczących pasażerów rozpierzchały się w poszukiwaniu jakiegokolwiek kryjówki.

Helen ujrzała trzech mężczyzn i jeszcze trzy inne postacie. Osoba stojąca najbliżej niej uniosła ręce, odwróciła się i krzyknęła do mundurowych:

– Nie strzelać! *Não atire!*

To Jessica Roberts!

Jednocześnie od wejścia biegli dwaj mężczyźni w wakacyjnych strojach, wymachując paszportami w wyciągniętych dłoniach i wrzeszcząc mniej więcej to samo do nerwowych funkcjonariuszy, na co ci jeszcze bardziej gorączkowo wymachiwali bronią.

Za Jessicą i mężczyznami Helen odkryła także naukowca, który znalazł się w New Garden wraz z rządową ekipą. I Eugene'a!

Wszyscy okrażeni unieśli ręce. Na ich twarzach widoczne było napięcie albo nawet strach. Jedyne Eugene wydawał się spokojny, a jego prawa dłoń zacisnęła się w pięść, jakby chciał przesłać policjantom komunistyczne pozdrowienie.

Pasażerowie ukryli się za filarami, schodami ruchomymi, przycupnęli za donicami z kwiatami, chowali się za każdym występem, który dawał choć minimalną ochronę.

Jill położyła dłoń na ramieniu Helen i odciągnęła ją lekko do tyłu. W ogólnym chaosie nikt ich nie zauważył. Obie szybko wycofały się za potężny filar, za którym cisnęły się już co najmniej trzy rodziny.

Wśród łkających, spazmujących lub nawołujących do spokoju ludzi Jill stanęła tak, aby dokładnie widzieć rozgrywającą się przed nimi scenę. Helen tkwiła obok i trzęsa się jak galareta. Przez hałas, zwielokrotniony echem odbijającym się od ścian, ledwie słyszała słowa wypowiedane szeptem przez Jill. W jej uszach brzmiały one jak błaganie.

– Nie rób tego, Eugene. Nie teraz. Nie rób.

Helge musiał bardzo się skupić, aby zapanować nad drżeniem dłoni. W tej sytuacji nie mógł w żadnym razie stracić nad sobą kontroli. Za plecami słyszał

przyspieszony oddech Levinsona. Horst po początkowym: „Co, do jasnej cholery...?” zamilkł, a Jessica Roberts niezmordowanie przemawiała do uzbrojonych facetów w hełmach, których automaty wgapiały się w nich jak ślepie jadowitych węży tuż przed ukąszeniem. Eugene pod nieustępliwym naciskiem broni maszynowej przyłączył się znowu do ich małej grupy.

W pierwszym momencie Helge znieruchomiał, teraz odważył się powoli obrócić głowę, aby zorientować się w sytuacji. Byli jedynymi osobami stojącymi w hali, wszyscy inni gdzieś się pochowali. Jedynie gdzieś wychyłały się zza węglów pojedyncze głowy ciekawskich. W innych okolicznościach prawdopodobnie bawiłby go widok o wiele liczniejszych dłoni z filmującymi komórkami, wyrastających z różnych elementów architektury jak chwasty.

Coraz więcej policjantów ustawiało się wokół nich. Helge naliczył już siedemnastu. Dziwna liczba. Kolejni czaili się pojedynczo w całej hali, przy wejściach i wyjściach, przy schodach ruchomych. W końcu w ich stronę ruszył ktoś, kto zamiast bojowego wyposażenia miał na sobie tylko normalny mundur, a na głowie czapkę z daszkiem. Jego chód i postawa sygnalizowały kogoś wyższego rangą. Nieustraszony przebił się do nich przez kordon uzbrojonych policjantów.

– Pani Roberts, no i narobiła pani sobie jeszcze większego bigosu – powiedział do niej bezbłędny angielski. Dał znak swoim ludziom, że wszystko jest w porządku, po czym znowu zwrócił się do niej: – Przecież uzgodniliśmy, że pani włączy się dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli sytuację pod kontrolą. Proszę za mną. Pan też, panie Allen. Reszta zostaje na swoich miejscach.

Oboje wywołani spełnili jego polecenie, on zaś gestem, jakim normalnie odpędza się natrętne muchy, wskazał im miejsce za policjantami.

– Proszę stanąć tutaj. Możecie opuścić ręce.

Levinson opierał dłonie na głowie, co jednak nie wywoływało nerwowej reakcji policjantów. To, że jego wąskie barki i wątłe ramiona nie miały siły, by trzymać je w górze, specjalnie nie dziwiło Helgego. Bardziej zdumiało go to, że Eugene, którego ukradkiem obserwował kątem oka, zrobił to samo co ojciec.

Helge widział tylko ostatnie momenty jego nieudanej próby ucieczki, lecz do tej pory nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, czy był to jedynie skutek zmęczenia po długiej podróży, czy też wynik zniekształconego postrzegania rzeczywistości w obliczu trudnego położenia, w jakim się znalazł, odniósł jednak nieodparte wrażenie, że ruchy i unik, a właściwie skok w wykonaniu tego małego mogły się zdarzyć jedynie w filmie akcji, a nie w prawdziwym życiu.

Eugene bawił się swoimi ciemnymi lokami, jak czasami robią to dzieci, kiedy

są zamyślane albo zawstydzone. Gdy jednak przez ułamek sekundy coś błysnęło między jego włosami, Helge rozpoznał małe szklane pojemniki, nie większe niż pół palca chłopca, który najwyraźniej próbował go otworzyć. Nagle dosyć liczne własne spostrzeżenia i wydarzenia ostatnich godzin zaczęły układać mu się w spójną całość.

Tuż przed ucieczką powrót do pomieszczenia z inkubatorami. Telefon Jessiki Roberts i jej ostrzeżenia przed bioterrorystami! Czyżby miała rację? Co innego Eugene mógłby mieć teraz w palcach? Ale to przecież dziecko!

Gdyby Helge w tym momencie opuścił ręce i spróbował odebrać mu fiolkę, być może policjantom puściłyby nerwy i nafaszerowałyby go pociskami. Lecz jego jedyna szansa kryła się w momencie zaskoczenia. Bo chyba nawet to niesamowite dziecko nie spodziewało się, że w obliczu wymierzonej w nich wszystkich broni ktokolwiek odważy się wykonać choćby najmniejszy ruch.

– Co Eugene ma w rękach?! – wrzasnął raptownie Helge. – On chce coś otworzyć! Co to jest?

Jednocześnie jego dłoń opadła błyskawicznie na głowę chłopca i próbowała obezwładnić drobne palce. Policjanci zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, potrząsali bronią, także Jessica wydarła się na cały głos, nikt nie rozumiał ani słowa. Helge chwycił drobny prawy nadgarstek, potem lewy. Mały bronił się z niespodziewaną siłą, ale on miał więcej krzepy. Odciągnął obie ręce Eugene'a tak daleko od siebie, że prawa nie mogła już odkręcić fiolki trzymanej w lewej dłoni. Kątem oka Helge dostrzegł policjantów, którzy z dzikim wrzaskiem zamierzali się na nich rzucić. Chłopiec mimo wszystko nadal próbował otworzyć pojemnik: trzymając go tylko między trzema palcami, za pomocą kciuka i palca wskazującego usiłował odkręcić nakrętkę.

– Niech mnie pan puści! – krzyczał Eugene. – Pan nie ma o niczym pojęcia! Przecież pan nie wie, co ja tu mam!

Z niespotykaną jak na dziesięciolatka siłą starał się wyrwać mężczyźnie, wierzgając jeszcze dodatkowo nogami, ale Helge trzymał go dalej w żelaznym uścisku. W końcu Eugene poddał się, jego ciało przestało się prężyć i walczyć. W następnej chwili, gdy Helge dosłownie na ułamek sekundy instynktownie nieco zwolnił uchwyt, chłopiec wykorzystał to, wyrzucił ponad głowę lewe ramię, zrobił zamach i cisnął szklaną fiolkę na środek hali.

Helen nie widziała, co Eugene rzucił przed siebie. Ale wiele osób zareagowało natychmiast. Mężczyzna, który się z nim szamotał, chwycił go chyba jeszcze mocniej i wykręcił mu ręce na plecy. Jessica Roberts, której spojrzenie śledziło lot niewidocznego dla Helen przedmiotu, dała nura z wyciągniętymi do przodu rękami, po czym upadła jak długa na posadzkę. Komendant policji wykrzyknął rozkaz, na co jego uzbrojeni podwładni dopadli trzech mężczyzn i dziecko i pociągnęli ich na podłogę.

Jill wysyczała przez zęby jakieś przekleństwo i wcisnęła zaskoczonej Helen swoją torbę do ręki.

– Co chcesz zrobić? – spytała Helen.

– Muszę pomóc Eugene’owi! – odpowiedziała dziewczyna, wychodząc już zza filaru.

– Ale on nam przecież...! – krzyknęła Helen, lecz nie dokończyła, ponieważ Jill nie zwracała na nią uwagi.

Helen stała wciąż obok grupy pasażerów, którzy nadal kryli się za kolumną, rejestrując wszystko swoimi komórkami. Instynktownie przycisnęła torbę do piersi.

Jessica pozbiierała się z posadzki, z jedną dłonią zamkniętą w pięść. Gdy już stanęła na nogi, otworzyła ją i przyjrzała się dokładnie temu, co w niej spoczywało. Dotknęła przedmiotu palcami drugiej ręki, w końcu schowała go do kieszeni.

Policjanci znowu wykrzykiwali jakieś polecenia, szarpiąc trzech mężczyzn i Eugene’a i każąc im się podnieść. Chyba żaden z nich nie zauważył, że Jessica złapała to coś, co zostało rzucone przez chłopca. Eugene nadal się bronił, teraz także słownie. Jego piskliwy chłopięcy głos stanowił jaskrawy kontrast wobec surowych rozkazów policjantów.

Do uszu Jessiki docierały tylko niektóre słowa: „Ja...? Jedyna... ma z tym... tam!”. Wydzierając się bez przerwy, mały wrywał się trzymającemu go mocno policjantowi.

– To ona, tam! – wrzasnął nagle, odwrócił głowę i utkwiał wzrok w Jill, która szła swobodnie przez halę, z ręką w kieszeni spodni. – To nią powinniście się zająć!

Oczy wszystkich zwróciły się ku nastolatce.

– Czy to...? – bąknęła Jessica. – To jest Jill Pierce!

Helen przysunęła się bliżej do grupy za filarem, obserwując zza niego, jak pozostali policjanci prężą się i kierują broń na Jill. Dziewczyna wyjęła rękę z kieszeni i chyba uświadomiwszy sobie beznadziejność swojej sytuacji, posłuchała krzyków nakazujących jej, aby dołączyła do grupy mężczyzn.

Młoda kobieta, której pojawienie się przykuło uwagę wszystkich, wydawała się Gregowi skądś znajoma. Dlaczego stała w pojedynkę na samym środku hali, podczas gdy wszyscy inni pochowali się po kątach? Odruchowo powiódł wzrokiem po kryjówkach, z których wystawały głowy i telefony komórkowe. Na początku akcji musiały znajdować się tutaj setki ludzi, którzy teraz chowali się albo ostrożnie próbowali znaleźć lepszą perspektywę do filmowania. Niektórzy ryzykanci zdobywali się nawet na to, by wyjść z ukrycia i przebiec chyłkiem z jednego kąta w drugi. Greg znowu powrócił wzrokiem w miejsce, na którym mimo woli zatrzymało się jego spojrzenie. Patrząc na ten filar, czuł w sobie niepokój, choć nie potrafił określić jego przyczyny. Gdy miał już odwrócić głowę, nagle jakaś przycupnięta postać na samym skraju ukrytej grupy przykuła jego uwagę. Serce zaczęło mu bić jak szalone, oblał się zimnym potem. Sylwetka, włosy, kształt głowy, zarys twarzy. Greg zakrył sobie dłonią usta, aby zdławić krzyk. Do oczu napłynęły mu łzy.

Policjanci obchodzili się dosyć brutalnie z uwięzionymi. Helgemu, Horstowi i Levinsonowi założyli kajdanki, a drobne nadgarstki Eugene'a skrępowali łącznikiem kabli. Kiedy Helge został zmuszony do padnięcia na posadzkę, w ostatniej chwili zauważył jeszcze, że Jessica Roberts złapała fiolkę Eugene'a. Tego, co działo się potem, nie rozumiał.

Młoda kobieta raptem została otoczona przez policjantów i dołączona do ich grupy. Eugene nazywał ją Jill. Helge rozpoznał ją od razu. To była tamta dziewczyna, którą podczas swojej pierwszej wizyty w Eloxxy widział razem z Levinsonem na korytarzu i wziął ją za praktykantkę.

– Idiota – syknęła do Eugene'a, na co on uśmiechnął się do niej ze złośliwą satysfakcją.

Czy ci dwoje mają ze sobą coś wspólnego? Dzieci... W Helgem narastało poczucie, że w całej tej historii zarówno Jessica Roberts, jak i Rand Levinson zataili przed nim ważne informacje.

– No i widzisz, co narobiłeś! – wyrzucała Jill Eugene'owi. – Cała nasza praca poszła na marne. Teraz nas po prostu zamkną. W najlepszym razie.

– Nikt nie kazał ci się ujawniać. – Eugene wyszczerzył zęby.

– Do jasnej cholery, przecież jesteś jednym z nas! Musiałam ci pomóc!

– Tylko dlatego, że jesteś ode mnie większa! Daruj sobie to współczucie! Nie potrzebuję twojej pomocy! Nigdy nie potrzebowałem! Nienawidzę cię!

Kilka metrów dalej Jessica Roberts prowadziła dyskusję z komendantem policji, który patrzył na nią z lekceważeniem.

Przeraźliwy krzyk tuż obok wyrwał Helgego z odrętwienia. Eugene wisiał Jill na plecach, wykręcając jej do tyłu prawą rękę swoimi zakrwawionymi, ale swobodnymi dłońmi. Helge dostrzegł głębokie czerwone szramy na jego nadgarstkach, które z wprost nadludzką siłą musiał uwolnić od krępującego kabla. Teraz małymi palcami usiłował otworzyć o wiele większą pięść dziewczyny.

– Nie zrobisz tego! – wydyszał.

Jill, biorąc potężny zamach, uwolniła się od niego i niczym zapaśnik cisnęła go na posadzkę o metr dalej. Jednocześnie z jej dłoni wypadł na ziemię nieduży błyszczący przedmiot i z brzękiem potoczył się po śliskiej powierzchni, aż w końcu odbił się od niej kilka razy, zawirował w miejscu i się zatrzymał. Była to taka sama fiolka, jakiej kilka minut temu pozbył się chłopak. Oboje rzucili się na nią. Eugene był szybszy, Jill natomiast przytrzymali dwaj policjanci i chociaż kilkoma zwinnymi ruchami błyskawicznie uwolniła się od nich, natychmiast dopadli ją dwaj kolejni. Nie bez wysiłku przewrócili ją na ziemię i obezwładnili – każdą jej kończynę kurczowo trzymał jeden mundurowy. Eugene’a zaś otoczyło trzech innych z bronią w gotowości.

– On jest zarażony! – wrzeszczała Jill na zmianę po portugalsku i po angielsku, wijąc się, przyciskana do ziemi kolanami i rękami policjantów. – Tak samo jak ja! Puśćcie mnie!

Policjanci zamarli. Pytającym wzrokiem spojrzeli na swojego dowódcę. Jessica podskoczyła i rozłożyła szeroko ręce w uspokajającym geście, chcąc coś powiedzieć. Dowódca ruchem głowy dał znać, aby puścić Jill. Mężczyźni zerwali się na równe nogi, cofnęli o kilka kroków, kierując jednocześnie broń prosto w dziewczynę.

Wylękniona Helen obserwowała zza filaru rozwój sytuacji, podczas gdy reszta ukrytych za nim pasażerów, słysząc słowa Jill, rzuciła się w panice do ucieczki, podobnie jak inni ludzie znajdujący się jeszcze w hali odlotów. Policjanci osłaniający niedużą grupkę mężczyzn oraz dwoje dzieci byli znowu w gotowości bojowej. Inni, którzy zdecydowanym tonem zaczęli wzywać resztki pasażerów do opuszczenia hali, kierując ich w głąb budynku, trzymali broń poziomo i nie spuszczaali z oka ogniska zapalnego. Wyjścia na zewnątrz zostały zablokowane.

Helen, wciąż w stanie szoku i osłupienia, czuła jednocześnie ulgę, że na razie nikt jej nie zidentyfikował. Wahała się, czy powinna zostać, czy też skorzystać z okazji i zniknąć. Ścisnęła w rękach prawdopodobnie kilkaset tysięcy dolarów. I laptop Jill.

– Helen.

Głos Grega za plecami sprawił, że skamieniała.

– Helen.

W pierwszej chwili niemal go nie poznała. Głębokie zmarszczki przecinały jego twarz, zwykle śniada skóra wydawała się szara i była usiana tu i ówdzie czerwonymi plamami. Próbował się uśmiechnąć, ale zdobył się jedynie na niepewny grymas.

– Strasznie mi... przykro! – wyjąkał.

Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Musimy uciekać – szepnął. – Teraz albo nigdy.

Jego spocona dłoń dotknęła czule jej ramienia.

Pod podeszwą jego buta coś zachrząściło. Rozdrażniony uniósł stopę – na posadzce było kilka maleńkich odłamków szkła i między nimi trochę rozlanej cieczy.

Nagła wrzawa kazała im się natychmiast obrócić. Ujrzeni Eugene'a, który zawisł nad głowami policjantów dokładnie tak samo jak podczas walki, gdy widzieli go pierwszego dnia w New Garden. Wykonując szalone salto, opadł na grupkę mundurowych wokół Jill. Dziewczyna zorientowała się zbyt późno i nie zdążyła przyjąć pozycji obronnej. Co prawda jego lewa stopa odbiła się od jej uniesionego ramienia, ale druga z całym impetem trafiła ją w głowę. Po kolejnym zamachu w powietrzu wymierzył jej jeszcze dwa mocne kopniaki prosto w czaszkę, która odbijała się bezwładnie jak gruszka bokserska na sprężynie. Gdy Eugene wreszcie wylądował na ziemi, ciało Jill osunęło się na posadzkę przy akompaniamencie zbiorowego okrzyku wszystkich zgromadzonych wokół. Jej głowa odbiła się jeszcze dwa razy niczym piłka od kamienistej powierzchni, a potem opadła na nią, dziwnie wykręcona w stosunku do tułowia. Brak jakichkolwiek oznak życia odebrał Helen wszelką nadzieję.

Prawie nie czuła mocnego uścisku Grega wokół nadgarstka, a jego głos docierał do niej jak przez watę. Podczas gdy próbował odciągnąć ją w przeciwnym kierunku, ona nie mogła oderwać spojrzenia od leżącej bez życia dziewczyny.

„Ten mały to potwór” – przebiegło Helgemu przez głowę.

Eugene stał niewzruszony obok zwłok młodej kobiety i wyraźnie bawił się strachem policjantów przed rzekomym niebezpieczeństwem zarażenia się nie wiadomo czym.

Nagle chyba poczuł na sobie wzrok Helgego.

– No co? – rzucił prowokacyjnie. – Właśnie widzi pan ostateczny efekt swojej pracy. I oczywiście pańskich kolegów na całym świecie. Najpierw mikroorganizmy, potem rośliny i zwierzęta. Dlaczego poprzestać tylko na tym? Na końcu szeregu jest człowiek. Niech pan spyta profesora Allena. Panią Roberts. I wszystkich innych...

Helge czuł się tak, jakby miał rozdwojenie jaźni. Po jednej stronie było jego dotychczasowe życie, po drugiej – to, w co nie chciał uwierzyć, co wydawało się niemożliwe. To, co widział, przypisywał własnemu zmęczeniu i niecodziennym okolicznościom, a niestandardowe zachowanie Eugene'a od pierwszej chwili poznania – fanaberiom rozpuszczonego, może trochę zaburzonego psychicznie szczeniaka. Lekko psychotycznego, paranoidalnego, ogarniętego manią wielkości. Ale mimo wszystko ten dzieciak nie mógł być tym, za kogo próbował się podawać.

Teraz trzymał w dłoni szklaną fiolkę, którą zgubiła tamta dziewczyna. Co się w niej kryło?

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał go Helge. Ledwie wypowiedział te słowa, poczuł się jak idiota. On, Helge Jacobsen, szef zarządu. Zakuty w kajdanki. Przed jakimś dzieciakiem.

– Eugene – odezwała się Jessica Roberts. – Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Daj nam...

– Pani Roberts, przecież już to wszystko przedyskutowaliśmy – przerwał jej, pobłażliwie kręcąc głową. – Ale bardzo proszę. – Wyciągnął do niej rękę z fiolką ukrytą między palcami. – To jest Jill...

Jessica nie zdążyła wziąć ampułki, ponieważ raptem obok chłopca wyrosła Jill – zmartwychwstała, jakby wyczarowana z powietrza. Wyrwała Eugene'owi ampułkę z dłoni i równie nagle, jak się pojawiła, zniknęła im z oczu.

Wśród powszechnych okrzyków zdumienia wylądowała za Jessicą, poza kręgiem policjantów, a potem widać było tylko jej plecy, gdy puściła się pędem przed siebie. Jessica natychmiast rzuciła się za nią i zdołała chwycić ją za nogę. Dziewczyna potknęła się, zwolniła, próbowała wyrwać się znowu i biec dalej, Jessica nie puszczała jednak jej kostki. Dopiero gdy jej nadgarstek przeszył przenikliwy ból od nagłego uderzenia czubkiem buta, bezwładne palce ześlizgnęły

się z nogi uciekiniarki. Mimo łzawiących oczu Jessica dostrzegła jeszcze, że Eugene przeskoczył nad nią i popędził za Jill.

Po raz kolejny rozległ się wrzask policjantów i szczęk broni.

– *Pare! Freeze!* Stać! Natychmiast!

Ani Jill, ani Eugene nie słuchali ich rozkazów. Jessica zerwała się z posadzki, jej prawa dłoń dyndała bezwładnie przy udzie, każdy ruch był niczym porażenie prądem. Wykrzykiwała ich imiona na całe gardło. Przecież to były mimo wszystko dzieci! Które uciekały nie wiadomo dokąd.

A potem grzmotnęła pierwsza salwa, posadzka wokół tamtych dwojga zdawała się rozpadać w małe obłoki kurzu. Jessica nie słyszała własnego głosu.

Jill uniosła wysoko rękę z fiolką, zrobiła zamach, zamierzyła się do rzutu, w wyniku którego pojemnik miał roztrzaskać się o posadzkę, a jego zawartość roznieść po hali. Eugene był za nią. Następna salwa rozmyła postać Jill w delikatną czerwoną mgłę. Purpurowa sylwetka zatoczyła się, runęła na ziemię, zaległa tam nieruchomo. Pod gradem kul z wielu luf ciało Eugene'a wygięło się w łuk, a potem, wstrząsane konwulsjami, zapadło się w sobie i osunęło na ziemię jak worek.

Nie zwracając uwagi ani na ból, ani na kanonadę, Jessica rzuciła się ku zmasakrowanym ciałom, poślizgnęła się w kałuży krwi i upadła jak długa obok tego, co pozostało z Jill. Po chwili pozbierała się i przyklęknęła. Obok jej dłoni, w czerwonej kałuży, leżała fiolka. Otwarta! Nakrętka znajdowała się kilka centymetrów dalej. Zdrową ręką dyskretnie zebrała obie części, wcisnęła nakrętkę, po czym zastąpiła fiolkę pustą ampułką, którą Rich wiele godzin temu dał jej w samolocie, gdy rozważali wszelkie możliwe scenariusze.

– Nie zbliżać się! – wrzasnęła, unosząc rękę. – Jestem objęta kwarantanną! Ewakuować halę! Natychmiast!

Siedziała na posadzce, mając przed sobą tamtych dwoje, u kresu ich podróży. Nie czuła już swojego pogruchotanego nadgarstka, jedynie żar, który z jej oczu rozlewał się po policzkach. To przecież mimo wszystko były dzieci!

Dzień dziewiąty. I później

Ulice Upper West Side na Manhattanie przysypywały duże płatki śniegu. Megan Androover rozkoszowała się wolnym wieczorem spędzonym na kanapie przed kominkiem w świeżo wyremontowanym domu, podczas gdy Lionel pracował jeszcze w swoim gabinecie na piętrze, a ich córka Lily spała w pokoju dzieciennym. Nieoczekiwanie ktoś zadzwonił do drzwi. Zachodząc w głowę, kto może chceć coś od nich o tej porze, Megan odrzuciła koc i ruszyła do holu. Ich pokojówka, kucharka i niania miały własne klucze. Poza tym dwie ostatnie już dawno wyszły.

– Co się dzieje, skarbie? – spytał z góry Lionel.

Obraz z kamery umieszczonej na zewnątrz obok drzwi ukazywał na schodach jednego mężczyznę i dwie kobiety. Kapelusz mężczyzny był przyprószony płatkami śniegu.

– Słucham?

– Jesteśmy z policji – powiedziała jedna z kobiet, unosząc legitymację ku czarnemu oku kamery. – Jestem oficer Donalds, a to są moi koledzy: Shear i Maniz. Chcielibyśmy zadać kilka pytań w związku z włamaniem w sąsiedztwie.

W ciągu ostatnich miesięcy coraz częściej zdarzały się takie przypadki.

– O co chodzi?! – krzyknął znowu Lionel.

– To policja – odpowiedziała mu żona. – W związku z włamaniem w sąsiedztwie. Wpuszczę ich.

– O tej porze? Już schodzę.

Słyszając jego kroki na schodach, Megan otworzyła drzwi. Cała trójka weszła akurat w momencie, gdy w holu pojawił się także Lionel. Kiedy Megan próbowała zamknąć za nimi drzwi, została odepchnięta do tyłu przez grupę wdzierających się do środka mężczyzn i kobiet. Zanim zdążyła się obejrzeć, stała u podnóża schodów obok Lionela, otoczona w sumie przez osiem osób. Gdy otworzyła usta, aby wezwać pomoc, oficer Donalds uprzedziła ją:

– Megan i Lionel Androover, ze względu na bezpieczeństwo kraju mamy rozkaz zabrać państwa razem z córką ze sobą.

Pod Megan ugięły się nogi. Lionel i dwóch policjantów chwyciło ją w porę, dzięki czemu nie osunęła się na podłogę.

– Proszę oszczędzić sobie i nam kłopotów i nie stawiać oporu. Proszę spakować niezbędne rzeczy...

– Co to wszystko ma znaczyć? – oburzył się Lionel. – Nie zrobiliśmy nic złego.

Mamy prawo...

- Bardzo proszę spakować rzeczy na kilka dni dla siebie i dla Lily.
- ...do obrony. Nie zamierzamy nigdzie się stąd ruszyć!

Dzień wcześniej po raz pierwszy usłyszał o wydarzeniach w New Garden. Od razu zaczął nerwowo szukać bliższych informacji w internecie, ale natrafił tylko na wzmianki o jakimś niebezpiecznym wirusie. O nowoczesnych dzieciach nie wspomniano ani słowem, co go w dużej mierze uspokoiło. Ponieważ Megan nie była miłośniczką doniesień medialnych, nie chciał niepokoić jej tą wiadomością. Jak się okazuje, był to chyba błąd.

– Proszę spojrzeć, panie Androover – powiedziała kobieta nadal uprzejmym, ale dosyć stanowczym tonem, pokazując mu gęsto zadrukowaną kartkę wyglądającą na pismo urzędowe. Lionel rzucił na nią okiem, po czym chciał pobiec na górę, co uniemożliwił mu oficer Maniz, chwytając go mocno za rękę.

– Chodzi o bezpieczeństwo naszego państwa – powtórzyła Donalds. – Proszę nie robić trudności. Jestem przekonana, że wszystko się wyjaśni.

Megan miała mnóstwo pytań. Dokąd ich zabiorą? Co zamierzają zrobić z Lily? Czy będzie mogła z nimi zostać? Nie zdołała jednak wykrztusić ani słowa.

– Pani nie ma pojęcia, o co chodzi, prawda? – rzucił Lionel półgłosem. Na widok paniki w jego oczach Megan znowu była bliska omdlenia. Na szczęście Donalds i Shear nadal ją podtrzymywali.

– Bardzo panią proszę. – Donalds zwróciła się do niej łagodnym tonem, pomagając jej wejść po schodach. – Chodźmy się spakować. Gdzie jest Lily?

W tym samym czasie identyczne sceny rozgrywały się w czterdziestu jeden domach w Stanach Zjednoczonych. W ciągu kolejnych dni na sześciu amerykańskich lotniskach pięćdziesiąt siedem par z niemowlętami, małymi dziećmi lub ciężarnymi kobietami od razu po wyjściu z samolotu zostanie dyskretnie poproszonych na bok i przetransportowanych w miejsce, w którym pozostaną aż do odwołania. Kolejne siedem par, które mimo pilnego wezwania z New Garden nie stawiają się w USA, zostaną odszukane przez specjalne służby.

Ponadto sto osiemdziesiąt siedem surogatek w Kalifornii i w siedmiu innych stanach będzie poddanych szczególnej obserwacji, oczywiście bez ich wiedzy.

– Zniknęły?! Co to znaczy, że zniknęły?! – krzyczał wzburzony Gordon.

Stavros ze wzruszeniem ramion wskazał na puste miejsca w laboratorium. Obok niego stał szef bezpieczeństwa ArabAgric, również bezradny.

– Nie ma – odpowiedział Grek. – Kiedy wróciłem po przerwie na lunch, próbek kukurydzy i pana laptopa nie było.

– Jak to możliwe?! – Gordon krzyknął na faceta odpowiadającego za ochronę.

– Właśnie to badamy – odpowiedział zaatakowany z kamienną twarzą.

– Wszystkie dane i pliki mamy tak czy inaczej w centrali – wtrącił Gordon. – Mimo to...

Odezwał się telefon Stavrosa. Grek odebrał połączenie i po chwili zwrócił się do Gordona:

– To był Andwele. Musimy natychmiast jechać!

Już z daleka Gordon, Jegor i Andwele dostrzegli słupy dymu, co najmniej równie szerokie jak ciemne chmury nadciągającej burzy. Im byli bliżej, tym bardziej docierał do nich tragiczny wymiar katastrofy. Ciemnoszara ściana ciągnęła się niemal przez cały horyzont, podsycana językami ognia metrowej wysokości. Słaby wiatr pędził dym w postaci gigantycznego walca w ich stronę.

Gordon wiedział, co się stało: ten piekielny obraz tworzyło pole Najumy, a wraz z nim pola sąsiednich chłopów porośnięte cudowną kukurydzą i ich nędzne chatki. Jego zadanie, aby zniszczyć ślady cudownej transgenicznej kukurydzy, przejął ktoś inny. I wykonał je radykalnie, nie zważając na straty. Przyglądali się temu spektaklowi przez kilka minut. Andwele mamrotał coś pod nosem.

W końcu Gordon dał hasło do odwrotu.

– A jednak duchy – bąknął Andwele. – Złe duchy.

Jessica razem ze swoją mamą, która wpadła z wizytą z Miami, korzystały na werandzie z popołudniowego słońca i przyglądały się dzieciom baraszującym na wiosennej trawie usianej pierwszymi krokusami. Colin przyniósł z kuchni tacę z filiżankami i dzbankiem z herbatą, z którego dzióbka unosiła się cienka smużka pary. Napełniwszy filiżanki, przysiadł się do kobiet.

Po przeżyciach w New Garden Jessica nie umiała patrzeć na swoje dzieci, nie myśląc o tamtych.

Po śmierci Jill i Eugene'a musiała spędzić jeszcze kilka dni w São Paulo, aby doprowadzić sprawy do końca. Zwłoki ich obojga pozwolono im wywieźć z Brazylii bez specjalnych dochodzeń, co oczywiście zostało okupione wysokimi ustępstwami dyplomatycznymi.

Przez pośpiech Eugene wyprodukował wirus po partacku. Po dokładnej analizie jego fiolki stwierdzono, że nie był on zdolny do życia i nie wywołałby żadnych szkód. Z kolei wirus Jill przeniknął co prawda do krwi rozlanej na posadzce lotniska, zadbano jednak o to, aby ją starannie stamtąd usunąć, a potem zniszczono. Jessicę i jej ludzi o wiele bardziej martwiło to, że laborantka z Eloxy wspominała o dwóch fiolkach, które podobno Jill zabrała przed ucieczką, a znaleziono tylko jedną. Mogli jedynie mieć nadzieję, że kobieta się myliła albo że Jill nie wykorzystała drugiego pojemniczka bądź że jego zawartość stanie się bezużyteczna, zanim dojdzie do jej kontaktu z ludźmi.

Jessica nie została włączona do debat etyków i polityków na temat dalszych kroków wobec New Garden, dzieci i zainteresowanych rodzin. Kilka dni zajęło jej rzetelne przekazanie ośrodka instytucjom, które od tej pory miały zająć się tym problemem, jej zaś powierzono nowe zadania. Od Ala Watersa dowiedziała się potem, że wszystkie nowoczesne dzieci zostały umieszczone w zamkniętej strefie i tam miały żyć. Eksperyment nie był kontynuowany.

Początkowo domagała się, aby przekazywano jej dalsze bieżące informacje na ten temat, nierzadko kipiąc przy tym złością albo nie mogąc pogodzić się z poczuciem zawodu. Projekt został jednak objęty klauzulą najwyższej poufności, co ostatecznie zamknęło jej dostęp do niego. Również Rich był z niego wyłączony, a przynajmniej tak twierdził. W São Paulo ulokowano ich oddzielnie, a od tamtej pory spotkała się z nim kilka razy na kawie w Waszyngtonie. Mówił, że jego inne projekty badawcze zajmują go na tyle, że już w ogóle nie myśli o New Garden.

Ona natomiast wciąż nosiła się z zamiarem ujawnienia wszystkiego, lecz im więcej czasu upływało od tamtych wydarzeń, tym bardziej bladł ich obraz i stygły emocje. Poza tym nie posiadała żadnych dowodów. Żadnych list z nazwiskami rodziców, którzy nagle zniknęli, żadnych próbek tkanek dzieci, nawet jej ubranie poplamione krwią Jill i Eugene'a agenci specjalni zabrali jej zaledwie kilka godzin po strzelaninie na lotnisku w São Paulo, sprawdzając, czy przypadkiem nie zachowała żadnych innych świadectw. Poza tym tak zwani informatorzy nadal uchodzili w Stanach Zjednoczonych nie za niezbędnych demaskatorów nieprawidłowości w różnych dziedzinach, lecz raczej za zdrajców. Bez dowodów jedynie by się ośmieszyła i została uznana za zarozumiałą albo za wyznawczynię teorii spiskowych. A przede wszystkim jest chyba jednak nazbyt wierna i lojalna wobec własnego państwa, by zrobić coś takiego.

– Czyż one nie są wspaniałe? – westchnęła jej mama, patrząc na dzieci. – Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak ty i twój brat tak samo szaleliście w naszym ogrodzie! A teraz patrzę na twoje dzieci! Zobaczysz, że nawet się nie obejrzysz, jak znajdziesz się na moim miejscu!

„Tymczasem życie czasami robi wolty, których nikt nie może albo nie chce przewidzieć – pomyślała Jessica. – I jesteśmy wobec nich bezbronni, ponieważ z naszych wcześniejszych doświadczeń nie da się sklecić żadnych strategii, aby się z nimi uporać”.

Ona właśnie przeżyła takie salto i nadal nie wiedziała, czy już dotknęła ziemi, czy wciąż jeszcze wiruje w powietrzu. Chętnie porozmawiałaby o tym z Richem. Colinowi do dzisiaj nie wspomniała ani słowem o New Garden i nowoczesnych dzieciach. Nie wolno jej było.

Odgryzła kawałek biszkoptu. Kiedy słyszała śmiech córki i syna biegających po trawie, w jej głowie rozlegało się echo szczebiotu dzieci z New Garden.

Greg z czułością głaskał Helen po brzuchu. Trudno było nie zauważyć wypukłości. W gorącym słońcu Rio de Janeiro jego dłoń wydawała się wręcz chłodna. Pocałował ją w policzek, po czym wyciągnął się znowu na leżaku, z laptopem na kolanach. Widok z balkonu ich apartamentu sięgał aż po morze. Właściwie dlaczego nie żyli tak już wcześniej? Greg poświęcił się pracy. Jako programista o wysokich kwalifikacjach w tak wyspecjalizowanej dziedzinie jak FinTech bez trudu znajdował pod pseudonimem zlecenia przez internet, i to tak liczne i intratne, że stać ich było na dostatnie życie w brazylijskim mieście. Kapitał na start zapewniły im rulony gotówki ukryte w torbie Jill – w sumie ćwierć miliona dolarów! Ponadto zachowanie anonimowości w tej wielomilionowej metropolii również nie stanowiło problemu. Także opieka lekarska była na odpowiednim poziomie – spokojnie wystarczało im na nią pieniędzy dzięki dochodom Grega i rezerwom Jill.

Jej laptop leżał prawie cały czas w domowym sejfie. Zabezpieczony hasłem, niedostępny, mimo że Greg wielokrotnie próbował się do niego dostać. Ale może tak było lepiej.

Zgodnie z jego sugestią Helen wykorzystywała do surfowania po sieci różne narzędzia anonimizujące, takie jak VPN czy TOR, zwłaszcza kiedy kilka miesięcy temu próbowała znaleźć informacje o tym, co dzieje się w San Diego. Gdyby służby specjalne Stanów Zjednoczonych monitorowały zapytania na ten temat – czego Greg nie wykluczał – mogłyby łatwo wpaść na ich ślad. Już od dawna trudno było jednak znaleźć jakiegokolwiek nowe doniesienia na ten temat. Trzy tygodnie po zablokowaniu osiedla otwarto je znowu. Większość mieszkańców się wyprowadziła, a tamtejsza szkoła, instytucje medyczne i laboratoria zostały zamknięte. Nigdzie nie wspomniano ani słowem o prawdziwym charakterze New Garden. Nagrania wykonane przez licznych pasażerów w terminalu trzecim lotniska São Paulo-Guarulhos, dostępne na różnych platformach internetowych, wywołały ogromną falę spekulacji i dały pożywkę przeróżnym teoriom. Emocje budziły przede wszystkim spektakularne skoki i akrobacje obojga zastrzelonych dzieci. Szczególną aktywnością w tych dyskusjach wyróżniał się dawny ochroniarz Jill, niejaki Jim Delrose.

– To nie są normalne dzieci – oświadczył w wypowiedzi zarejestrowanej na wideo. – Przecież to widać! One i ich rzekoma matka, która wówczas zniknęła, byli związani z ośrodkiem New Garden w San Diego, w którym zgodnie

z oficjalną wersją doszło do zakażenia groźnym wirusem. A w rzeczywistości przeprowadzano tam genetyczne doświadczenia na ludziach!

Inni, którzy woleli zachować anonimowość, sugerowali związek z lutowymi wydarzeniami w New Garden. Helen przypuszczała, że byli to dawni współpracownicy albo klienci, którzy nie mieli odwagi się ujawnić. Jak wszelkie teorie spiskowe, również te prowadziły donikąd.

Od czasu do czasu próbowała odszukać Dianę i Mike'a Koshów. Ale ani na ich kontaktach społecznościowych, ani nigdzie indziej nie znalazła żadnej wzmianki od nich albo o nich. Choć fakt ten napełniał ją smutkiem, z drugiej strony, umacniał ją w przekonaniu, że podjęli słuszną decyzję, rozpoczynając nowe życie w Rio.

Początkowo Helen każdego dnia godzinami buszowała po sieci, próbując natrafić na jakieś informacje, jednak wraz z coraz większym poczuciem bezpieczeństwa w ich nowym domu jej zainteresowanie powoli przygasało i w końcu stopniało do mglistej ciekawości, której ulegała co najwyżej raz w tygodniu. Również dzisiaj nie znalazła nic godnego uwagi, dopiero gdy wpisała w wyszukiwarce „Mike Kosh”, pojawiło się nowe zdjęcie, wstawione zaledwie dwa dni wcześniej.

Trzej mężczyźni w garniturach, prawdopodobnie na jakiejś konferencji.

Ten atrakcyjny z prawej to niewątpliwie był Mike.

Helen z wypiekami na twarzy przystąpiła do poszukiwań i już po dwóch minutach wiedziała, że Mike Kosh dwa dni temu rzeczywiście uczestniczył w konferencji w Los Angeles. Czyli Mike żyje i dobrze mu się wiedzie! Helen ogarnęło uczucie ogromnej ulgi. Ale co z Dianą? Ona i Mike musieli zgodzić się na warunki władz, o których opowiadał Greg. W jej myślach powstał chaos.

– Greg, spójrz!

Pół godziny później Greg ustalił dane kontaktowe Mike'a Kosha i skonfigurował niewykrywalne połączenie telefoniczne. Niekiedy dobrze jest mieć prawdziwego nerda w rodzinie. Obserwowany przez Helen wybrał numer. Po dwóch sygnałach w słuchawce odezwał się męski głos.

– Mike Kosh.

– Cześć, Mike! – wykrzyknął Greg. – Tu Greg Cole! Co u was? Gdzieście się podziewali? Zniknęliście tak bez śladu!

– Greg! Witaj! Mógłbym spytać cię o to samo! Długo by opowiadać. Ale w skrócie: jesteśmy znowu w domu, wiedzie nam się dobrze, a za cztery miesiące zostaniemy rodzicami trojaczków!

Helen i Greg wymienili spojrzenia.

– To będą... to znaczy... „nowoczesne” trojaczki?

– Jasne! Właściwie nie powinienem o tym mówić, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Przecież znasz całą historię.

– Ale czy Diana, żebyście mogli wrócić do domu, nie musiała...

– Tak najpierw mówili – przerwał mu Mike. – Diana nie chciała się jednak zgodzić, więc trzymali nas tam dalej. Po kilku tygodniach zmienili zdanie. Nie wiadomo dlaczego. Wszyscy klienci, którzy odmówili aborcji, mogli pojechać do domu. Tylko musimy trzymać to w tajemnicy. Podobno kiedyś władze wszystko wyjawią. A jeśli nie, to nie. Dla nas to żadna różnica. I tak będziemy mieć nasze dzieci. A co u was?

– To znaczy?

– No jak się wam wiedzie? Gdzie jesteście?

Kolejna wymiana spojrzeń.

– Dzięki, super. Spodziewamy się bliźniąt!

– Gratulacje! Hej, ale nie musicie się już ukrywać!

– A kto mówi...

– Człowieku, różne urzędasy całymi tygodniami nas wypytywały, czy nic o was nie wiemy. Pewnie liczyli na to, że w którymś momencie się do nas odezwiecie. Prawdopodobnie teraz nas podsłuchują i zaraz was namierzą.

– To niemożliwe.

Mimo to Helen przebiegły ciarki po plecach. Mike zawsze był dosyć bezpośredni, ale jego demonstracyjna wylewność wydała się jej podejrzana.

– Nie macie się czego obawiać – dodał. – Sprawa jest rozwiązana. Możecie wrócić do domu. Poczekaj!

Helen i Greg słyszeli, jak Mike grzebie w jakichś papierach; po chwili podyktował im numer telefonu i adres mailowy. Helen zapisała wszystko w swoim laptopie.

– Tam możecie się zgłosić – powiedział. – Przepraszam, muszę kończyć. Odezwijcie się, jak już wrócicie.

Po czym się rozłączył.

Helen ujrzała w oczach Grega taką samą konsternację, jaka ogarnęła także ją po zakończonej rozmowie. Potem oboje spojrzeli na numer i adres na monitorze komputera.

– Jak myślisz? – spytał Greg. – To pułapka?

Epilog

Najwyższy rangą doradca do spraw bezpieczeństwa, Al Waters, zwołał spotkanie w Situation Room. Za stołem siedziała prezydent i szef jej sztabu, szefowie Departamentów Bezpieczeństwa Krajowego, Spraw Wewnętrznych i Obrony, a także doradca kierujący powstałą cztery miesiące wcześniej tajną sekcją HuguM (Human Genetic Manipulation) Affairs. Asystenci każdego z nich siedzieli na krzesłach w drugim rzędzie.

Asystent szefa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego rozdał materiały opatrzone adnotacją „Ścisłe tajne”. Na monitorze na węższej ścianie gabinetu błyszczał tytuł: „Nowe ustalenia w sprawie eksperymentów nad ludzką linią germinalną”.

Szef departamentu wstał z miejsca.

– Aktualne informacje służb wywiadowczych potwierdzają, że spółka spin-off chińskiego Bejing Genomic Institute, który, jak wiadomo, już od wczesnych lat nowego wieku gromadzi kod genetyczny dziesiątków tysięcy ludzi o wybitnej inteligencji z całego świata i bada genetyczne podstawy inteligencji, od dwóch lat w ścisłej tajemnicy przeprowadza diagnostykę preimplantacyjną. Jak wynika z ostatnich ustaleń, tamtejsi naukowcy wybierają zapłodnione komórki jajowe o genetycznych predyspozycjach wskazujących na wyjątkowo wysoką inteligencję oraz na różne szczególne kompetencje fizyczne i umieszczają je w macicach specjalnie dobranych matek. – Gdy na monitorze zmieniały się obrazy, dodał: – Konkretne rezultaty tej metody można będzie poznać oczywiście dopiero za kilka lat. Gdyby wspomniane doświadczenia skończyły się sukcesem, musimy liczyć się z tym, że część chińskiego społeczeństwa w ciągu zaledwie kilku generacji będzie pod wieloma względami przewyższała pozostałą populację świata.

– Z wyjątkiem nowoczesnych dzieci z New Garden – zastrzegł kierujący działem HuguM Affairs doradca. – One już obecnie są o kilka poziomów wyżej. A dzięki badaniom Jill posunęliśmy się nawet jeszcze dalej! Tyle że świat nic o tym nie wie. Jak to dobrze, że przenieśliśmy ten projekt do San Antonio i nieprzerwanie go kontynuowaliśmy!

Szef departamentu obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

– To jeszcze nie wszystko, doktorze Winthorpe. W kolejnych cyklach chińskich eksperymentów, rozpoczętych dopiero przed kilkoma tygodniami, w macicy specjalnie dobranych matek umieszczane są genetycznie zmodyfikowane

zapłodnione komórki jajowe. Nasze informacje nie są jeszcze precyzyjne, ale jak się zdaje, celem różnych serii doświadczeń jest podniesienie rozmaitych właściwości poznawczych i fizycznych. Podobnie jak w New Garden.

– No i dobrze. – Stanley Winthorpe uśmiechnął się szyderczo. – My mamy dwanaście lat przewagi! Wyzwanie przyjęte! Pora zatem odpowiednio uzbroić genetycznie amerykański naród! Wyścig rozpoczęty!

Postłowie i podziękowania

Helisa to powieść, która łączy rzeczywistość, inwencję twórczą autora i fantazję. Przy czym warto zauważyć, że rzeczywistość dogania fantazję w oszałamiającym tempie, co stwierdzi każdy, kto sprawdzi dokładne znaczenie tej lub innej nazwy czy niektórych pojęć występujących w książce.

Za gotowość służenia informacją i rozmową, jak również za niektóre zaskakujące inspiracje dziękuję Klausowi Huberowi, Philippowi Schaumannowi, Christianowi Reiserowi i jeszcze kilku innym osobom (zainteresowani będą wiedzieli...). I oczywiście mojemu zespołowi w wydawnictwie Blanvalet oraz agentowi Michaelowi Gaebowi. Jak zawsze składam też podziękowania za nieustające wsparcie swojej żonie. I dziękuję Wam, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, którzy znowu poświęciliście dla mnie kilka godzin Waszego cennego czasu! Jeśli książka Wam się spodobała i chcielibyście dowiedzieć się więcej o niej, o poruszanej w niej tematyce, a także o innych moich bestsellerach: *Blackout* i *Zero*, zapraszam na: www.marcelberg.com.

[1](#) Agencja rządu federalnego Stanów Zjednoczonych wchodząca w skład Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2](#) Babe Ruth, Joe DiMaggio, Mike Schmidt – amerykańscy zawodowi baseballiści.

Przekład: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska
Redakcja: Anna Włodarkiewicz
Korekta: Piotr Królak, Grzegorz Krzymianowski

Projekt okładki: © www.buerosued.de
Adaptacja ilustracji na I stronie okładki: Krzysztof Olak

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4329-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo